
OPINIA

KWARTALNIK OŚRODKA MYŚLI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ

Redaguje zespół:

*Marek Albiniaak, Zbigniew Adamczyk, Andrzej Anusz (redaktor naczelny),
Karol Chylak, Andrzej Chytek, Michał Janiszewski (sekretarz redakcji),
Mirosław Lewandowski, Marek Michalik, Mariusz Olszewski, Zbigniew
Śniadecki, Bohdan Urbankowski, Jerzy Wawrowski, Kazimierz Wilk*

Artykuły są recenzowane

Wydawca:

Ośrodek Myśli Niepodległościowej

Instytutu Historycznego NN

im. Andrzeja Ostoja Owsianego

ul. Nowy Świat 48/11

00-363 Warszawa

e-mail: ihoo@o2.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Przedruk możliwy za podaniem źródła

Wszystkie dotychczasowe numery pisma dostępne na stronie ihoo.pl

ISSN 2352-5725

Skład, łamanie i druk:

Akces, Warszawa



SPIS TREŚCI

ANDRZEJ ANUSZ, MICHAŁ JANISZEWSKI Wstęp	5
DR ANDRZEJ ANUSZ Konfederacja Polski Niepodległej 1979–1989. Kalendarium i zarys historii.	8
My byliśmy przygotowani... z Leszkiem Moczulskim rozmawia Michał Janiszewski.	47
Polityka to jest bardzo racjonalne zajęcie z Leszkiem Moczulskim rozmawia Maciej Szumowski.	128
O powstaniu KPN z Tadeuszem Stańskim, działaczem niepodległościowym, opozycjonistą w czasach PRL-u, rozmawia Katarzyna Śniadecka	163
TADEUSZ STAŃSKI Wspomnienia (1978–1979)	199
Byliśmy optymistami Rozmowa Macieja Szumowskiego z Romualdem Szeremietiewem z 1985 roku	215
ROMUALD SZEREMIETIEW Polityka i uczciwość.	266
Nie cierpię fanatyzmu z Marią Moczulską rozmawia Katarzyna Śniadecka	289
Gra na dwóch fortepianach. Półlegalna i całkiem nielegalna konspiracja niepodległościowa w PRL z doktorem Bohdanem Urbankowskim rozmawia Michał Janiszewski	304
Podopieczni nieposłuszni władzy ludowej z Księdzem Prałatem Józefem Majem rozmawia Katarzyna Śniadecka	347

ANDRZEJ WERNIC Andrzej Szomański (1930–1987)	358
MICHAŁ JANISZEWSKI „Michał, który pogonił Albina Siwaka”	365
ADAM SŁOMKA Wspomnienie o Tadeuszu Burakowskim	391
ARTUR BROŻYNIAK KPN na terenie obecnego Podkarpacia w latach 1979–1990	396
ŁUKASZ PERZYNA Niezwykłe pismo młodzieżówki KPN. Pierwsza piątka z Orła Białego	404
DR MACIEJ ZAKRZEWSKI Romantyzm celów, pozytywizm środków. Myśl polityczna Leszka Moczulskiego a tradycja niepodległościowa	435
DR KAROL CHYLAK Przyczynek do dziejów myśli politycznej Konfederacji Polski Niepodległej w III Rzeczypospolitej	471

To już 40 lat... 1 września 1979 roku w Warszawie w ramach uroczystości patriotycznych przy Grobie Nieznanego Żołnierza Nina Milewska odczytała Akt Założycielski Konfederacji Polski Niepodległej. Powstająca organizacja pierwsza postawiła sobie za cel odzyskanie niepodległości kraju – gdy inni jeszcze – pomimo osobistej odwagi, jakiej wymagało podjęcie działalności opozycyjnej w niedemokratycznym państwie – woleli w sferze polityki ograniczać się do żądań przestrzegania praw człowieka, „finlandyzacji”, czyli stopniowej neutralizacji Polski czy nawet ulepszenia socjalizmu, nadawania mu „ludzkiej twarzy”. KPN od początku głosiła tezę o niereformowalności systemu komunistycznego.

Konfederacja do dyskusji programowej wniosła kategorie i pojęcia z zakresu geopolityki, a Leszek Moczulski już w czasach dyktatu Leonida Breżniewa nad częścią globu głosił, że udziałem komunizmu stanie się nieuchronny rozpad.

KPN w swojej działalności jasno stwierdzała, że jest partią polityczną „pierwszą wolną od Łaby do Władystostoku”, i jasno precyzowała swój polityczny charakter.

KPN w sposób szczególny nawiązywała do piłsudczykowskich tradycji II Rzeczypospolitej i podkreślała swoje związki z rządem emigracyjnym.

KPN była najbardziej scentralizowanym i formalnie zorganizowanym ugrupowaniem wśród środowisk opozycji politycznej. Posiadała statut, w którego rozdziale 8 stwierdzono, że jej celem jest działanie na rzecz niepodległości Polski i budowy Trzeciej Rzeczypospolitej, tworzenie warunków dla rozwoju świadomości niepodległościowej, umacniania

duchowych i materialnych struktur narodu, zaś w ostatnim 38 artykule napisano: „Pierwszy Kongres KPN, jaki odbędzie się po odzyskaniu niepodległości i utworzeniu III Rzeczypospolitej, obowiązany jest podjąć uchwałę, która stwierdza, czy KPN powinna zostać rozwiązana, czy też istnieć nadal. Po 1989 roku KPN istniała nadal i w pierwszych całkowicie wolnych wyborach parlamentarnych w październiku 1991 roku odniosła sukces wprowadzając do Sejmu 52 posłów. KPN była jedyną niezależną organizacją, która powstała przed utworzeniem NSZZ „Solidarność” w 1980 roku i funkcjonowała zachowując ciągłość po 1989 roku. Historia Konfederacji Polski Niepodległej ciągle nie doczekała się pełnego i rzetelnego opisu. Z okazji 30 rocznicy powstania KPN Instytut Pamięci Narodowej zorganizował Konferencję pt. „Konfederacja Polski Niepodległej na drodze do wolności”. Konferencja ta, zorganizowana przez Krakowski Oddział IPN oraz Instytut Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego odbyła się 10 września 2009 r. w Auli Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie. Plonem tej Konferencji była książka „Konfederacja Polski Niepodległej na drodze do wolności” pod redakcją Michała Wenklara opublikowana w Krakowie w 2011 roku. W jej wstępie Michał Wenklar napisał: „Wciąż brak jednak całościowej monografii tej partii. Impulsem do wzmożenia zainteresowania historią Konfederacji była trzydziesta rocznica jej powstania, przypadająca na jesień 2009 roku. Ukazała się wówczas książka Andrzeja Anusza i Łukasza Perzyny pt. „Konfederacja. Rzecz o KPN” oraz pierwszy tom (opartej głównie na wspomnieniach samych Konfederatów) książki „Prześladowani, Wysztychani, Zapomniani, Niepokorni...” napisaną przez Mirosława Lewandowskiego przy współpracy Macieja Gawlikowskiego”. Minęło 10 lat... Potrzebny jest kolejny impuls do prac nad historią Konfederacji Polski Niepodległej. Mamy nadzieję, że będzie to niniejsze specjalne wydanie kwartalnika nurtu niepodległościowego „Opinia” w całości poświęcone historii KPN. Tom składa się w większości z tekstów, które już wcześniej ukazały się w „Opinii” dotyczących historii KPN po artykule wprowadzającym dr. Andrzeja Anusza o pierwszych 10 latach istnienia Konfederacji, tom podzieliliśmy na trzy działy. Pierwszy zatytułowamy

WSTĘP

„Założyciele” składa się z wywiadów i artykułów Leszka Moczulskiego, Tadeusza Stańskiego i Romualda Szeremietiewa. Drugi: „Ludzie i struktury” składa się z rozmów z działaczami i osobami ważnymi dla KPN oraz tekstów opisujących poszczególne struktury organizacji. Trzeci dział to „Dyskusje Opinii”, który składa się z referatu dr. Macieja Zakrzewskiego pt. „Romantyzm celów, pozytywizm środków. Myśl polityczna Leszka Moczulskiego a tradycja niepodległościowa wraz z zapisem dyskusji oraz referatem dr Karola Chyłaka pt. „Przyczynek do dziejów myśli politycznej Konfederacji Polski Niepodległej w III Rzeczypospolitej” wraz z zapisem dyskusji. Mamy nadzieję, że nasze wydawnictwo przyczyni się do przyspieszenia prac przez Instytut Pamięci Narodowej nad pełną i rzetelną monografią Konfederacji Polski Niepodległej organizacji, która na to w sposób oczywisty zasługuje.

DR ANDRZEJ ANUSZ

KONFEDERACJA POLSKI NIEPODLEGŁEJ 1979–1989. KALENDARIUM I ZARYS HISTORII*

1 września 1979 roku przed północą do zatrzymanego w Pałacu Mostowskich Leszka Moczulskiego, funkcjonariusz SB mówi: *zbierajcie się*. Gdy Moczulski idzie do taksówki na plac Dzierżyńskiego, tam na postoju spotyka Andrzeja Czumę, swojego głównego antagonistę z Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, w którym stali na czele zwalczających się frakcji. Rok wcześniej Andrzej Czuma oskarżył Leszka Moczulskiego o współpracę z SB. Teraz oznajmił bez entuzjazmu: *Powstał ten twój KPN*¹.

Akt założycielski Konfederacji Polski Niepodległej odczytała w Warszawie w ramach uroczystości patriotycznych przy Grobie Nieznanego Żołnierza Nina Milewska. Manifestacje patriotyczne, które z reguły odbywały się po uroczystych mszach w kościołach stały się specjalnością działaczy ROPCiO, później tę tradycję przejęli członkowie KPN.

Władze z coraz większą irytacją śledziły tę rocznicową aktywność. We wrześniu 1979 r. gen. A. Krzysztoporski, dyrektor Departamentu III MSW, na naradzie sekretarzy KW PZPR mówił na ten temat: *Wreszcie taką formą nową, dopiero z którą się zetknęliśmy od końca ubiegłego roku, to jest próba organizowania i organizowanie różnego rodzaju manifestacji, wyjść na zewnątrz. Tęgo dotychczas nie mieliśmy. Pierwsza taka próba była*

¹ Niniejszy tekst oparty jest ściśle na treści napisanej przez Autora wspólnie z Łukaszem Perzyną książki *Konfederacja. Rzecz o KPN*, Warszawa 2009. Tam podana bibliografia. Większość cytatów pochodzi ze wspomnianej publikacji lub z książki Autora *Kościół obywatelski. Formowanie społeczeństwa obywatelskiego w PRL w okresie powstawania niezależnych instytucji politycznych (1976–1981)*, Warszawa 2004.

¹ Cyt. za: A. Anusz, Ł. Perzyna, op. cit., s. 19.

11 listopada tutaj w Warszawie. Też nie tylko w Warszawie, ale i w innych miastach, ale tam to miało o wiele mniejszy zasięg, przede wszystkim chodziło tu o Gdańsk i Kraków. Drugi raz w przeddzień rocznicy wybuchu powstania warszawskiego i teraz mieliśmy do czynienia z taką formą na 1 września w 40. Rocznicę wybuchu wojny światowej. Kto w tym uczestniczy? Uczestniczy 80–90% ludzi zupełnie przypadkowych, technologia jest tego rodzaju, zamawia się jakąś mszę w kościele na intencję pomordowanych czy rzeczywiście ofiar takich czy innych, ogłasza się że taka msza będzie, idzie się do kościoła, potem się msza kończy, ma się jakieś rekwizyty w postaci czy jakiejś chorągwi, czy jakiś transparentów, ostatnio po raz pierwszy pochodni, bo to już było godzina wieczorna, mieli tam około 12–15 takich pochodni, albo korzystają z jakiegoś nagłośnienia, czy innej formy i ogłaszają, że teraz idziemy uczcić tę właśnie rocznicę, czy pamięć, idziemy pod Grób Nieznanego Żołnierza, czy np. pod Pomnik Bohaterów Westerplatte w Gdańsku itd. No i rzeczywiście duża część ludzi po prostu podąży za tą grupą inspiratorów, idą tam, są tam, zwykle mieliśmy do czynienia z jednym czy dwoma bardzo wrogimi przemówieniami, odśpiewaniem kilku patriotycznych pieśni i na tym się sprawa kończy².

Akt założycielski KPN podpisali: Józef Bal, Jan Bogusławski, Krzysztof Bzdyl, Wanda Chylicka, Teodor Dąbrowski, Stefan Dropiowski, Zbigniew Drozdowski, Stanisław Franczak, Ryszard Fryga, Krzysztof Gąsiorowski, Zdzisław Jamrozek, Stanisław Janik-Palczewski, Tadeusz Jandziszak, Stanisław Janowski, Romana Kahl-Stachniewicz, Ryszard Kossowski, Bernard Koleśnik, Roman Kraszewski, Roman Kściuczek, Stefan Kucharzewski, Zdzisław Kutnowski, Marek Lachowicz, Adam Macedoński, Zygmunt Marowski, Nina Bronisława Milewska, Mieczysław Majdzik, Antoni Młynarski, Leszek Moczulski, Michał Muzyczka, Michał Niesyn, Ryszard Nowak, Krzysztof Ostaniec, Zdzisław Pałuszyński, Marek Porębski, Jan Prawski, Maciej Pstrąg-Bieleński, Stanisław Sikora, Matylda Sobieska, Tadeusz Stachnik, Tadeusz Stański, Janusz Stolarzski, Romuald Szeremietiew, Wojciech Szostak, Anna Szuwarska, Jerzy

² Cyt. za: A. Anusz, *Kościół obywatelski...*, s. 458.

Sychut, Stanisław Tor, Kazimierz Traczewski, Zygmunt Urban, Apolinary Wilk, Ryszard Jan Żywiecki.

Kilka osób podpisało się pseudonimami: Zygmunt Goławski (jako Zygmunt Marowski), Andrzej Szomański (Zdzisław Kutnowski), Ryszard Zieliński (Ryszard Żywiecki) i Stefan Kurowski (Krzysztof Ostaniec).

Wśród sygnatariuszy byli przedstawiciele Ruchu Porozumienia Polskich Socjalistów, Związku Narodowego Katolików, Lubelskiej Grupy Ludowej, Siedlecko-Podlaskiej Grupy Ludowo-Narodowej, Dolnośląskiej Grupy Ludowej, Wolnych Związków Zawodowych (Katowice) oraz Społecznego Instytutu Pamięci Narodowej im. Józefa Piłsudskiego.

Po latach jeden z założycieli KPN Tadeusz Stański, który w IPN otrzymał status osoby pokrzywdzonej, po analizie swojej „teczki” w rozmowie ze mną stwierdził, że jego zdaniem wśród założycieli KPN było 11–12 TW, co stanowiło około 20% jej składu. Sama operacja ogłoszenia polegała też na tym, żeby jej moment zgrać z odbywającym się wtedy I Zjazdem Łączności z walczącym krajem, na którym ważną rolę odgrywała Liga Niepodległości Polski. Jerzy Zalewski był ministrem spraw krajowych rządu londyńskiego.

Zrobiliśmy to tak: nagrałem krótką informację, że powstaje KPN, pierwsza polska partia niepodległościowa, i odezwę, że działamy otwarcie – opowiada Leszek Moczulski – Musieli to mieć, ale nie mogli mieć za wcześnie³.

Obawiano się, że materiał może zostać podmieniony, jak wiele podobnych przesylek. Nie był to płonny niepokój, skoro Moczulski uzgadniał z Londynem szczegóły za pośrednictwem Andrzeja Mazura z Ruchu Wolnych Demokratów, wobec którego wtedy nie miał podejrzeń, a dziś – złudzeń. Okazał się wieloletnim współpracownikiem SB. Pewnymi emisariuszkami okazały się za to Wanda Stachiewiczowa oraz Zofia Biernacka. O tej drugiej Moczulski mówi ciepło: – *Córka faceta, który napisał „Pierwszą brygadę”*. Londyn, jak ustalono, dostanie

³ Cyt. za: A. Anusz, Ł. Perzyna, op. cit., s. 28.

wiadomość zaraz po ogłoszeniu powołania KPN. *Okolo 20 osób wyłączyliśmy z dalszej pracy organizacyjnej i zamelinowaliśmy w rozmaitych miejscach w Warszawie, najczęściej gdzieś u wdowy po zastężonym panu – chwali się zapobiegliwością Leszek Moczulski*⁴.

Gdy Nina Milewska odczyta deklarację powołania KPN, trzy dziewczyny biegną od razu, każda do innego bezpiecznego telefonu, dzwonić na umówiony numer w Londynie. W paczce każda ma magnetofon z nagraniem wystąpienia Moczulskiego. Uda się. Wiadomość o powołaniu KPN pierwsza przekaze emigracji Matylda Sobieska, która w okresie późniejszym okaże się współpracowniczką SB.

Powstanie Konfederacji było zwieńczeniem kilkuletniego procesu. *Prawnicy N[urtu] N[iepodległościowego], szukając legalnej i powszechnej formuły na działalność obywateli w PRL (dotychczasowe stowarzyszenia można było założyć tylko za zgodą władz), stwierdzili ze zdumieniem, że jedyną organizacją, która nie potrzebuje pozwolenia władz na istnienie, będąc zarazem niemożliwą do zdelegalizowania, jest partia polityczna – opisuje w *Historii KPN* Adam Słomka. Komuniści zaraz po II wojnie światowej uchylili obowiązywanie ustawy o partiach (stronnictwach) politycznych, tworząc lukę prawną umożliwiającą im działalność poza jakąkolwiek kontrolą. W latach stalinowskich i późniejszych monopol władzy był z kolei tak daleko posunięty, że bez oglądania się na ewentualne konsekwencje wprowadzono w PRL formalny stan pozorowanej wolności politycznej obywateli (gł. w Konstytucji). Było to oczywiście następstwem instrumentalnie traktowanego prawa w celu propagandowej licytacji z systemem zachodnim. Po latach furtkę tę wykorzystała KPN, stając się pierwszą jawną i legalną działającą partią opozycyjną, nie tylko w Polsce, ale w całym bloku sowieckim*⁵.

Nazwa partii pojawiła się stopniowo. Środowisko, pracujące nad przyszłą partią, posługuje się już wtedy nazwami „Narodowa...” lub „Niezależna Partia Niepodległościowa”, ale żadna z nich nie spodoba się Moczulskiemu. Na wiosnę, gdy trwają już rozmowy z grupami go-

⁴ Cyt. za: ibidem.

⁵ A. Słomka, *Historia KPN. Marzenia i czyn*, Katowice 1995, s. 22.

towymi skonfederować się z przyszłą partią, Moczulski proponuje, by w nazwie znalazło się słowo „konfederacja”. Budzi dobre skojarzenia historyczne: z potężną Rzeczpospolitą Szlachecką, *Potopem* Henryka Sienkiewicza, wreszcie z Konfederacją Barską. Najpierw najlepsza wydaje się „Konfederacja Niepodległej Polski”. Potem Moczulski decyduje się zmienić szyk wyrazów, by logo ugrupowania mogło zawierać umieszczoną pośrodku „kotwicę” – znak Polski Walczącej i kolejne historyczne odwołanie. Nazwa KPN dla przyszłej partii zostaje ustalona – jak pamięta Leszek Moczulski – przed kwietniem 1979 r.

Niektórzy działacze chcieli nadać KPN chrześcijańsko-demokratyczny charakter. Jednak Moczulski powiedział im: *Po co robić partię chadecką w społeczeństwie, które jest katolickie? Zresztą nie dostaniemy poparcia Episkopatu*⁶. Jednak po latach mówił o wsparciu Kościoła: *Oparcie mieliśmy wśród niektórych księży (zwłaszcza ks. Ludwik Wiśniewski dominikanin i o. Bronisław Sroka – jezuita, obaj w Lublinie, o. Hubert Czuma – jezuita w Szczecinie, o. Czesław Białek – jezuita w Poznaniu, o. Eustachy Rakoczy – paulin na Jasnej Górze i Warszawie, kapelan Kombatantów Września, księży diecezjalni ks. Wacław Karłowicz w Warszawie, ks. Witek Andrzejewski w Gorzowie – ten ostatni żywcem przypominający tych kapłanów, którzy z szablą w ręku na czele powstańczego szwadronu ruszali w bój*⁷.

Bardzo ważnym elementem budowy Konfederacji było opublikowanie przez L. Moczulskiego pracy programowej pt. *Rewolucja bez rewolucji*. Książka ukazała się w czerwcu 1979 r. w okresie pierwszej papieskiej pielgrzymki. Moczulski zawarł w niej bardzo trafną, krótkoterminową prognozę polityczną przewidującą, że w ciągu maksimum dwóch lat niewydolność systemu, zwłaszcza socjalistycznej gospodarki, miała doprowadzić do poważnego kryzysu. Ponieważ oznaczało to w praktyce kolejne wystąpienie robotników, autor proponował najbardziej skuteczną i bezpieczną metodę strajku okupacyjnego. Spełniło się to

⁶ Cyt. za: A. Anusz, Ł. Perzyna, op. cit., s. 25.

⁷ Cyt. za: A. Anusz, *Kościół obywatelski...*, s. 300.

w sierpniu 1980 r. Następstwem tego społecznego wybuchu miała być według Moczulskiego stopniowa likwidacja PRL i odzyskanie pełnej niepodległości.

Ciekawe, że Moczulski w *Rewolucji bez rewolucji* przewidywał, iż w razie załamania się struktur PRL, Polsce nie grozi anarchia, bowiem w okresie przejściowym struktury te zostaną zastąpione przez struktury kościelne. Z tą koncepcją polemizował związany z KOR-em publicysta Jan Walc, który w „Biuletynie Informacyjnym” nr 33 ironicznie stwierdził: [...] *Jakby co Ajatollah Wyszzyński stanie na czele i zaprowadzi porządek* [...] ⁸. Gdy numer pisma ukazał się w kolportażu zdecydowano się go wycofać i dokonać retuszu: usunięto słowo „ajatollah” i zastąpiono je słowem „kardynał”.

Jan Walc nie oszczędził też Leszka Moczulskiego w artykule opublikowanym również w „Biuletynie Informacyjnym”, pod charakterystycznym tytułem: *Drogą podłości do niepodległości* napisał: *Ktoś, kto wspólnie z moczarowcami tępił kulturę narodową, najpierw organizując masową nagonkę na jednego z najwybitniejszych pisarzy polskich – Sławomira Mrożka. Później zaś pisywał plugawe teksty przeciw gnębionym w marcu studentom i intelektualistom – otóż ten ktoś doszedł do przekonania, iż słynny tramwaj dojeżdża do przystanku niepodległość* ⁹.

Niemal w każdym numerze „Biuletynu Informacyjnego” można było znaleźć złośliwość pod adresem ROPCiO, a potem KPN, czego pisma tych organizacji nie czyniły w stosunku do KOR.

Piotr Wierzbicki na temat tego braku współdziałania mówił: *Jednym ze źródeł nieufności między KOR-em a np. ROPCiO czy KPN-em była też, z jednej strony zwykła rywalizacja, a z drugiej – typowe dla życia konspiracyjnego podejrzenia o prowokację. Ludzie ROPCiO podejrzewali ludzi KOR-u i na odwrót. W opozycyjnym salonie państwa Walendowskich czytałem w tamtym czasie swój „Traktat o gnidach”. Jest tam fragment mówiący o tym, że na każdą inicjatywę, która powstaje w innym środowisku, opozycjo-*

⁸ Cyt. za: ibidem, s. 289.

⁹ Cyt. za: ibidem.

nista reaguje w ten sam sposób: „To prowokacja bezpieczeństwa” Podszedł do mnie wtedy Kuroń i przyznał, że wcześniej nie uchwycił tego mechanizmu¹⁰.

Działalność KPN nie jest tak znana jak KOR, jego akcje nie były tak nagłaśniane, chociaż zasługi ma nie mniejsze.

Organizacje opozycyjne w latach siedemdziesiątych częściej deklarowały raczej cele społeczne, bezpośrednio interwencyjne, niż ogólnopolityczne. Takim bezpośrednim interwencyjnym celem była obrona robotników i praw człowieka. Antypolityczne nastawienie opozycji politycznej było wynikiem realnego spojrzenia na rzeczywisty układ sił politycznych. Pożądane przez społeczeństwo obalenie ustroju politycznego było w przekonaniu opozycji sprawą dalszej przyszłości. Z tej racji koncentrowała się ona na działaniu możliwym do wprowadzenia w życie indywidualne i społeczne obywateli w istniejących warunkach systemu totalitarnego.

KPN nie ukrywał swej polityczności. Leszek Moczulski: *My przywiązujemy wielką uwagę przede wszystkim do silnego państwa. Zarówno jednak w porozumieniach helsińskich, jak i w deklaracji praw człowieka ONZ na pierwszym miejscu wśród tych praw znajduje się prawo do własnego niepodległego państwa. Było dla nas jasne, że wydobędziemy przede wszystkim ten punkt.*¹¹

Różnice między KOR i KPN istniały głównie w warstwie ideologii oraz odmiennym rozkładaniu akcentów. Dla ludzi KOR niepodległość miała być zwieńczeniem budowy społeczeństwa demokratycznego, dla KPN warunkiem zbudowania demokracji. Korowcy w hierarchii ideowej najwyżej stawiali wartości demokratyczne, konfederaci wartość niepodległości.

Ciekawe, że w już w sierpniu 1979 r. jednym głosem przypadł w Ruchu Młodej Polski wniosek Aleksandra Halla o skonfederowanie RMP z tworzącą się partią niepodległościową. Jednak w przygotowanych już na 1 września ulotkach, informujących o powstaniu KPN, członko-

¹⁰ Cyt. za: *ibidem*, s. 290.

¹¹ Cyt. za: *ibidem*, s. 288.

wie RMP zdążyli zostać umieszczeni. W końcu KPN zawarła z RMP umowę dżentelmeńską: w Szczecinie RMP wchodzi do KPN i bierze na siebie budowę tamtejszej struktury konfederackiej, za to w Gdańsku przez rok KPN nie powstanie. Wystarczy na razie RMP, a po roku zapadnie decyzja, co dalej. Chodzi o to, żeby nie tworzyć fałszywej konkurencji. Po roku jednak będzie już Sierpień.

Pieniądze pozyskiwano głównie ze zbiorów, sprzedaży niezależnych wydawnictw oraz różnego rodzaju dotacji głównie od emigracji politycznej. Jan Józef Lipski, który pełnił funkcje skarbnika KSS KOR, obliczał, że działalność Komitetu wraz z finansowanymi przezeń Towarzystwem Kursów Naukowych, Studenckimi Komitetami Solidarności, kilkoma czasopismami i wydawnictwem, kosztuje 38 tys. dolarów rocznie. KPN mogło o takich pieniądzach tylko pomarzyć.

KPN była najbardziej scentralizowanym i formalnie zorganizowanym ugrupowaniem wśród środowisk opozycji politycznej. Posiadała statut w którego artykule 8 stwierdzono, że jej celem jest działanie na rzecz niepodległości Polski i budowy Trzeciej Rzeczypospolitej, tworzenie warunków dla rozwoju świadomości niepodległościowej, umacniania duchowych i materialnych struktur narodu, zaś w ostatnim 38 artykule napisano: *Pierwszy Kongres KPN jaki odbędzie się po odzyskaniu Niepodległości i utworzeniu III Rzeczypospolitej obowiązany jest podjąć uchwałę, która stwierdza, czy KPN powinna zostać rozwiązana, czy też istnieć nadal*¹².

JEST ROK 1980.

23 marca – Odbywają się wybory do Sejmu. KPN przystąpiła do kampanii wyborczej przedstawiając dokument programowy pt.: *Platforma wyborcza KPN* oraz wystawiając 8 kandydatów. Odmowa rejestracji list Konfederacji oraz aresztowanie kandydatów na posłów spowodowały ogłoszenie bojkotu wyborów pod hasłem: *Chcesz głodować – idź głosować.*

¹² Cyt. za: A. Anusz, Ł. Perzyna, op. cit., s. 183.

11 i 27 kwietnia – KPN organizuje publiczne uroczystości w rocznicę zbrodni katyńskiej.

3 maja – KPN organizuje publiczne uroczystości z okazji rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 maja 1791 roku.

15 maja – Obrady Rady Politycznej KPN w Jeleniej Górze. W rezolucji napisano m.in.: *Rzeczpospolita Polska nie może zgodzić się na podległość Ukrainy jakimukolwiek państwu rosyjskiemu*¹³.

26 lipca – I Kongres KPN odbywa się w Łądku Zdroju.

14 sierpnia – Początek strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Fala strajków w całym kraju trwa od początku lipca. W ośrodkach protestu KPN kolportuje broszurę pt.: *Walka strajkowa*.

20 sierpnia – SB zatrzymuje działaczy opozycji demokratycznej, m.in. Romualda Szeremietiewa i Krzysztofa Gąsiorowskiego z KPN.

21 sierpnia – Dalsze zatrzymania, m.in. dwóch działaczy Konfederacji: Leszka Moczulskiego i Tadeusza Stańskiego.

26 sierpnia – W kościele NMP Królowej Polski w Nowej Hucie – Bieńczycach podejmują sześciodniową głodówkę solidarnościową, połączoną z modlitwą w intencji strajkujących robotników, działacze Chrześcijańskiej Wspólnoty Ludzi Pracy oraz Zygmunt Łenyk z KPN.

30 sierpnia – W Szczecinie Kazimierz Barcikowski w imieniu władz podpisuje z MKS porozumienie kończące strajk.

31 sierpnia – W Stoczni Gdańskiej Międzyzakładowy Komitet Strajkowy i komisja rządowa podpisują porozumienie, na mocy którego powstają niezależne, samorządne związki zawodowe. MKS stwierdza, że będą one przestrzegać zasad określonych w Konstytucji PRL, bronić społecznych i materialnych interesów pracowników i nie zamierzają pełnić roli partii politycznej. Wobec groźby kontynuacji strajku wicepremier Mieczysław Jagielski gwarantuje, że następnego dnia wszyscy zatrzymani działacze opozycji demokratycznej, w tym członkowie KPN, zostaną zwolnieni. Wobec części z nich, członków i współpracowników KSS „KOR”, a także wobec przewodniczącego

¹³ Cyt. za: ibidem, s. 14.

KPN Leszka Moczulskiego zastosowano sankcje prokuratorskie i toczy się w dalszym ciągu śledztwo. Zarzuca im się przynależność do organizacji o charakterze przestępczym¹⁴.

Nie wszyscy działacze opozycji włączyli się do organizacji struktur „Solidarności”. Leszek Moczulski wspomina: *Po wyjściu z więzienia na mocy porozumień gdańskich, natychmiast – w początkach września 1980 r. rozpocząłem rozmowy zmierzające do stworzenia zespołu porozumiewawczego, w którym znaleźliby się przedstawiciele opozycyjnych grup politycznych. Pozwoliłoby to w ciągu paru miesięcy zorganizować sformalizowany ośrodek, pozwalający na pełną koordynację aktywności politycznej, uzupełniający masowe działania związkowe. [...] Rozmowy rozpoczęłem od ugrupowań prawicowych m.in. dlatego, że lewicowi działacze KSS „KOR”, skonfliktowani (Kuroń, Macierewicz), całą swoją aktywność skierowali na „Solidarność”¹⁵.*

23 września – Aresztowany zostaje przewodniczący KPN Leszek Moczulski. Zarzuca mu się, że w wywiadzie, którego udzielił 15 września tygodnikowi „Der Spiegel”, poniżał godność naczelnych organów PRL.

26 września – Ukazuje się *Oświadczenie Ruchu Młodej Polski* w sprawie Leszka Moczulskiego: *Uwięzienie go dobitnie wskazuje, że władze PRL w dalszym ciągu uważają, iż represje policyjne, zamykanie ludzi w więzieniach są dopuszczalnymi metodami prowadzenia walki politycznej. [...] Brak zdecydowanej reakcji społeczeństwa na uwięzienie Leszka Moczulskiego stanowić może zachętę do dalszych represji wymierzonych w ludzi prowadzących niezależną działalność społeczną. Wzywamy wszystkich Polaków do wystąpienia w obronie Leszka Moczulskiego. Broniąc go bronimy naszych praw do wolności słowa i przekonań¹⁶.*

13 listopada – Zostają aresztowani działacze KPN: Tadeusz Stański, Zygmunt Goławski, Jerzy Sychut i Krzysztof Bzdyl.

7 grudnia – Konfederacja publikuje dokument pt.: *Warunki przezwyciężenia kryzysu* i ogranicza swoją zewnętrzną aktywność.

¹⁴ Ibidem, s. 14.

¹⁵ Cyt. za: A. Anusz, *Kościół obywatelski...*, s. 388–389.

¹⁶ Cyt. za: A. Anusz, Ł. Perzyna, op. cit., s. 15–16.

10 grudnia – Konstytuuje się Komitet Obrony Więzionych za Przekonania. Jego przewodniczącym zostaje Aleksander Hall, w składzie m.in.: Andrzej Wajda, Kazimierz Dejmek, Wanda Wiłkomirska, Marian Brandys, Tadeusz Konwicki, Halina Mikołajska, Władysław Bartoszewski, Klemens Szaniawski, Władysław Siła-Nowicki, Aniela Steinsbergowa, Jacek Taylor, Jan Olszewski.

W 1981 ROKU:

21 stycznia – Zostają aresztowani: Tadeusz Jandziszak – szef Obszaru Zachodniego KPN i Romuald Szeremietiew – zastępca przewodniczącego Rady Politycznej KPN do spraw politycznych.

21 marca – W Katowicach odbywa się I Ogólnopolski Zjazd Komitetów Obrony Więzionych za Przekonania.

9 maja – W Warszawie odbywa się Ogólnopolski Zjazd Regionalnych i Uczelnianych Komitetów Obrony Więźniów Politycznych.

4 czerwca – Działacze Konfederacji Polski Niepodległej zostali zwolnieni z więzienia.

15 czerwca – Przed Sądem Wojewódzkim w Warszawie rozpoczął się proces przywódców KPN: Leszka Moczulskiego, Romualda Szeremietiewa, Tadeusza Stańskiego i Tadeusza Jandziszaka, oskarżonych o przygotowania do obalenia przemocą ustroju PRL.

18 czerwca – Leonid Breżniew po rozmowie z I Sekretarzem KC PZPR Stanisławem Kanią tak relacjonował jej przebieg na posiedzeniu Biura Politycznego KC KPZR: *Na temat Moczulskiego powiedziałem mu: towarzyszu Kania, jak długo będziecie guzdrać się z tym Moczulskim – był w areszcie, wypuściliście, a teraz znowu zaczynacie od sądu. A dalej? A dalej, powiedział Kania, będziemy go sądzić zgodnie z prawem i posadzimy ponownie w więzieniu. Otrzyma to, na co zasłużył*¹⁷.

17 września – KPN zwołała ogólnopolski zlot w Częstochowie. Na Jasnej Górze poświęcono sztandar partii, odczytano akt oddania się KPN w macierzyńską opiekę Matki Boskiej Częstochowskiej oraz

¹⁷ Cyt. za: ibidem, s. 17–18.

złożono wotum z wrytymi słowami pieśni Konfederatów Barskich (z „Księdza Marka”). Wiersz Juliusza Słowackiego uznawany był za nieformalny, obok „Pierwszej Brygady”, hymn KPN.

26 września – 7 października – W Gdańsku – druga tura I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność”. Wybrane zostają krajowe władze Związku – Komisja Krajowa (przewodniczący związku, 37 przewodniczących regionów i 69 wybranych na zjeździe) i 21-osobowa Komisja Rewizyjna. Przewodniczącym Komisji Krajowej zostaje Lech Wałęsa. W trakcie obrad profesor Edward Lipiński oznajmia o rozwiązaniu się Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR”.

27 IX 1981 r. w kuluarach I Krajowego zjazdu „Solidarności” ogłoszono powstanie Klubów Służby Niepodległości, które stanowiły swoisty sojusz opozycyjnych ugrupowań, co między innymi wynikało z uczestnictwa w Klubie dużej grupy działaczy ROPCiO, KPN i już rozwiązanego KOR. Kluby miały jednoznacznie chrześcijański i niepodległościowy charakter.

Swoistą odpowiedzią działaczy o bardziej lewicowej opcji w „S”, na fakt powstania KSN, było powołanie w listopadzie 1981 r. Klubów Samorządnej Rzeczypospolitej „Wolność – Sprawiedliwość – Niepodległość”, które odwoływały się do tradycji polskiej lewicy niepodległościowej. Liderem tej formacji był Jacek Kuroń. Obie inicjatywy nie zdążyły odegrać poważnej roli przed wprowadzeniem stanu wojennego.

11 listopada – KPN współorganizuje w całym kraju niezależne obchody Święta Niepodległości.

2 grudnia – Jednostki specjalne MO dokonują przy użyciu helikopterów i sprzętu bojowego pacyfikacji Wyższej Oficerskiej Szkoły Pożarnictwa w Warszawie. KPN ogłosiła oświadczenie, w którym wezwała do natychmiastowego zorganizowania (od 8 grudnia) strajku generalnego jako przeciwdziałania wobec zbliżającego się uderzenia władz.

13 grudnia – Władze wprowadzają stan wojenny. W tym czasie przewodniczący KPN Leszek Moczulski przebywa na przepustce z więzienia.

15 grudnia – W Katowicach odbyło się konspiracyjne posiedzenie Rady Politycznej KPN z udziałem przedstawicieli Krakowa i Wrocławia.

wia, reprezentantów ogólnopolskiej narady organizacji młodzieżowych (OM KPN) oraz przewodniczącego Leszka Moczulskiego. Kierownictwo KPN podjęło decyzję o sformowaniu trzyosobowego gremium przywódczego (tzw. trzeci szereg), przydzielając Krzysztofowi Królowi zadanie stworzenia awaryjnego ośrodka łącznikowego centrali. Leszek Moczulski wraca z przepustki do więzienia.

Fakt, że Leszek Moczulski powrócił do więzienia stał się przedmiotem kontrowersji między przewodniczącym KPN a jego współpracownikami: Tadeuszem Stańskim i Romualdem Szeremietiewem. Uważali oni, że Moczulski powinien zejść do podziemia i organizować społeczny opór.

21 grudnia – Sąd Wojewódzki w Warszawie przekazał akta sprawy kierownictwa KPN Sądowi Warszawskiego Okręgu Wojskowego.

JEST 1982 ROK.

22 lutego – Przed Sądem Warszawskiego Okręgu Wojskowego rozpoczyna się proces przywódców KPN (Leszka Moczulskiego, Romualda Szeremietiewa, Tadeusza Stańskiego i Tadeusza Jandziszaka). Przejęcie sprawy przez sąd wojskowy nastąpiło na mocy dekretu z 12 grudnia 1981 r.

1 – 3 maja – Manifestacje i demonstracje uliczne z okazji święta pracy i święta Konstytucji 3 maja w całym kraju. Dochodzi do starć z milicją. Liczne zatrzymania.

1 lipca – Kornel Morawiecki zakłada we Wrocławiu „Solidarność Walcząca”.

8 października – Sejm uchwała – przy 12 głosach sprzeciwu i 19 wstrzymujących się – ustawę o związkach zawodowych i organizacjach rolników. Wszystkie związki istniejące przed 13 grudnia 1981 r., w tym „Solidarność”, zostają rozwiązane, a rolnikom indywidualnym w ogóle nie przyznaje się prawa do zrzeszania się w związki zawodowe. W Gdańsku dochodzi do demonstracji ulicznych. Po zakończeniu przewodu sądowego trwającego ogółem 169 dni procesowych, prokurator ppor. Tadeusz Gonciarz, podtrzymując wszystkie zarzuty zawarte w ak-

cie oskarżenia, wniósł (w końcu września) o wymierzenie Leszkowi Moczulskiemu kary 10 lat pozbawienia wolności – najwyższej przewidzianej w art. 128 Kodeksu karnego. Dla Romualda Szeremietiewa i Tadeusza Stańskiego oskarżyciel zażądał po 9 lat, a dla Tadeusza Jandziszaka kary 6 lat pozbawienia wolności.

Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego w składzie: płk Eugeniusz Dudzik, płk Bohdan Piechota i płk Juliusz Przygódzki skazał Leszka Moczulskiego na 7 lat więzienia, Romualda Szeremietiewa i Tadeusza Stańskiego na 5 lat, Tadeusza Jandziszaka na 2 lata z zawieszeniem na okres 5 lat.

Leszek Moczulski w „ostatnim słowie” przed sądem Warszawskiego Okręgu Wojskowego powiedział m.in.: *Stalinowskie rozstrzygnięcia o Polsce z lat 1944–45 – złamały nasze prawo do samostanowienia. Nierównoprawność, zmieniająca się w czasie i historycznie malejąca – ciąży nad tymi stosunkami. Deklaracja rządu ZSRR z listopada 1956 r. o przywróceniu równoprawności, uprzednio bardzo naruszonej – nie dała wielkich następstw, a przekreśliła ją doktryna Breżniewa o „ograniczonej suwerenności” państw obozu. Na stosunkach tych ciąży też eksploatacja gospodarcza bezpośrednia i pośrednia, zmienna w czasie i historycznie malejąca w formach bezpośrednich, ale rosnąca w latach 70-tych w formach pośrednich, jak i groźba koncepcji inkorporacyjnych, stawianie Polsce zadania zadawania interesów ZSRR (Bierut: by Polska była zaporą w korytarzu przed Niemcami, Gierek: utworzyć korytarz między ZSRR i Niemcami), oraz reakcyjna polityka ZSRR – popierania sił konserwatywnych, tj. bojących się większych zmian w kraju. [...] W latach 60-tych jakby pojawiła się szansa zerwania tej obcości, gdyby PZPR przyjęła szczerze program demokratyzacji, czy nawet patriotyzmu. Ale okazało się, że była to tylko manipulacja, nie program. Program gospodarczy Gierka tej szansy już nie dawał.*

Za Stalina partia była obca społeczeństwu jako siła totalitarna, a choć później totalitaryzm ten degenerował się i rozsypywał aż do 1980 roku – trwa on wciąż, choćby w fasadowych reliktach.

Nigdy nie wyciągnęła wniosków z faktu, że przyszła do Polski jako siła narzucona i do dziś uzurpuje sobie rząd, choć już nie dusz – bo z tego zre-

zygnowała – to rząd nad narodem. Minął już okres, kiedy mogła podjąć walkę o uwiarygodnienie tego uzurpatorstwa. Może w latach 1956–1958 udałoby się jej to. Wtedy miała największe szanse.

PZPR uważa, że są interesy i wartości wyższe niż polskie i przedkłada je nad narodowe obojętne, jak się nazywają – internacjonalizm, interes klasowy, solidarność socjalistyczna – różnie w różnych okresach. Opiera swój monopol władzy na zmistyfikowanych stosunkach polsko-radzieckich, twierdzą, że gwarantem jej władzy jest Moskwa. Ogranicza to suwerenność i uniemożliwia normalizację stosunków polsko – radzieckich.

[...] Historia zmiecie tę władzę. Weźmiemy udział w tym procesie jako świadoma część narodu. Chodzi o to, ażeby ten proces przebiegał w warunkach mniej kosztownych dla Polski. Czy to przekonanie narusza prawo? To przekonanie narusza na pewno interes panującej elity, ale broni interesu 98,5% – a więc całego narodu. Dlatego, że bronię go – to stoję przed tym sądem. [...] Nie jest to jedynie rewolucja socjalna, polityczna, demokratyczna czy niepodległościowa. Nie jest to rewolucja jednej części narodu przeciw innej. Zawiera wszystkie te elementy i nie jest żadną z nich, choć zawiera części każdej. Jest to rewolucja całego narodu, choć nie cały naród bezpośrednio, czynnie w niej działa.

Jest to po prostu Polska Rewolucja Narodowa. [...] Natomiast w kategoriach moralnych zwycięstwo już dawno odnieśliśmy. Udowodniliśmy, co warta jest godność człowieka i poszanowanie własnych przekonań. Jesteśmy żywymi dowodami, że nie warto klękać, że można działać zgodnie ze swymi przekonaniami w każdym okresie, nawet w czasie najbardziej dramatycznym.

I, proszę wysokiego sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego, przed Historią obroniliśmy już naszą wizję Polski. Oczywiście w ogromnym poczuciu obecności Opatrzności¹⁸.

Gdy przywódcy KPN siedzieli w więzieniu, rosło pokolenie nowych działaczy. W stanie wojennym wyszła książka Mariana Reniaka o KPN, wydana oficjalnie, w ogromnym nakładzie, drukowana w Czechosłowacji

¹⁸ Cyt. za: ibidem, s.185–189.

i NRD – wspomina Adam Słomka. Reżimowe opracowanie, oparte na materiałach MSW, opisuje, że KPN powstała z inspiracji CIA oraz wywiadu RFN. Konfederaci jednak, poza reklamą, wyniosą z niej niespodziewaną, z punktu widzenia intencji wydawcy, korzyść. *Włączono do niej wkładkę ze zdjęciami, na dobrym pomimo kryzysu papierze* – opowiada Adam Słomka: – *Wśród tych zdjęć znalazła się również fotografia niewypełnionej legitymacji KPN*. Po 13 grudnia 1981 r. w wyniku internowań i aresztowań wiele struktur KPN utraci kontakt z władzami partii. *Wycinali więc te legitymacje z książki Reniaka i wypełniali je* – wspomina Słomka¹⁹. Taki okazał się niespodziewany efekt propagandowej publikacji, która miała KPN zohydzić.

JEST ROK 1983.

1 lipca – Sąd Najwyższy uprawomocnia wyrok w procesie KPN, jej przywódcy zostają wywiezieni do więzienia w Barczewie.

22 lipca – Po 586 dniach zniesiony zostaje stan wojenny w Polsce. Rozwiązana zostaje WRON, ogłoszona amnestia, która obejmuje przestępstwa popełnione z powodów politycznych albo w związku ze strajkiem lub akcją protestacyjną. Opuszczają więzienia wszyscy z wyrokami do 3 lat, a powyżej łagodzi się je o połowę. Postanowiono nie wszczynać postępowania karnego lub je umarzać wobec sprawców, którzy dobrowolnie do 31 października zgłoszą się do organów ścigania, polskiego przedstawicielstwa dyplomatycznego lub konsularnego i *oświadczą do protokołu, że zaniechają przestępczej działalności oraz ujawnią rodzaj popełnionego czynu i miejsce jego popełnienia*²⁰. Łagodnie zamierzano potraktować kobiety oraz sprawców, którzy w chwili popełnienia czynu nie ukończyli 21 lat. Amnestię stosować ma sąd właściwy po rozpoznaniu sprawy.

22 września – Działający w podziemiu, upoważnieni przez kierownictwo KPN przedstawiciele Rady Politycznej wydali oświadczenie na

¹⁹ Cyt. za: *ibidem*, s. 51.

²⁰ Cyt. za: *ibidem*, s. 37.

temat sytuacji i warunków działania Konfederacji. W oświadczeniu stwierdzono:

1. *Skład kierownictwa i budowa struktur są nadal informacjami do wyłącznej, ścisłej wiadomości wewnętrznej KPN (powtórzenie tezy z Rady Politycznej z 15 grudnia 1981 roku)*

2. *Rada Polityczna jedynym ciałem uprawnionym do reprezentowania KPN.*

3. *Osoby upoważnione (pseudonimy): Zawisza, A. Kowalski, Andrzej Grot.*

4. *Weryfikacja po szczebel Kierownictwa Akcji Bieżącej, obszaru i rejonu.*

5. *Nominacje niepotwierdzone do 1 września 1983 r. – cofnięte.*

6. *Niepostuszeństwo karane usunięciem.*

7. *Wszystkie struktury zobowiązane są do podporządkowania się Radzie Politycznej.*

8. *Instrukcja Rady Politycznej – w wypadku braku kontaktu – kierować się dokumentami programowymi KPN i wytycznymi RP. Niech każdy na swoim terenie działa w miarę możliwości i środków. Rozliczenia i ocena działalności będą przeprowadzane w przyszłości w oparciu o niniejszą instrukcję²¹.*

Oświadczenie sygnowali: Zawisza, A. Kowalski i Andrzej Grot, który to pseudonim jako swój w późniejszym okresie ujawnił Krzysztof Król.

9 grudnia – W więzieniu w Barczewie działacze KPN Leszek Moczulski, Romuald Szeremietiew i Tadeusz Stański oraz działacze „Solidarności”: Piotr Bednarz, Władysław Frasyniuk, Patrycjusz Kosmowski, Andrzej Słowik i Edmund Bałuka, rozpoczęli akcję protestacyjną, w tym głódówkę.

JEST 1984 ROK.

16 kwietnia – Piotr Bednarz, Władysław Frasyniuk, Patrycjusz Kosmowski, Leszek Moczulski, Tadeusz Stański i Romuald Szeremietiew, osadzeni w więzieniu w Barczewie, wystosowali „List otwarty” do gene-

²¹ Cyt. za: ibidem, s. 37–38.

rała Wojciecha Jaruzelskiego: *Latem do więzienia w Barczewie przywieziono 9 więźniów politycznych i osadzono ich w warunkach urągających nawet normom obowiązującym w PRL. Cele 4-osobowe o pow. 7 m. kw. nie skanalizowane, zagrzybione, z podłogą położoną bezpośrednio na gruncie. Po wielodniowym proteście głodowym uzyskano minimalną poprawę warunków – skanalizowanie cel. W dniu 5 – XII – 83 r. pobito grupę więźniów, a innych polewano wodą na mrozie. Od tego momentu stosuje się wobec więźniów politycznych różnego rodzaju represje i szykany, a ostatnio także tortury. Od pięciu miesięcy pozbawieni jesteśmy widzeń i korespondencji z rodzinami, możliwości uczestniczenia w mszy św., spacerów, prawa zakupów art. żywnościowych. Otrzymujemy najgorszą kategorię jedzenia. W okresie tym wielokrotnie osadzano nas w karcerach. Stosowano brutalną przemoc, m.in. wylamując i zrywając mięśnie barku Wł. Frasyńniuka i odbijając płuco T. Stańskiemu, a także wysyłając E. Bałukę do Gdańska, gdzie został skatowany. Od dwóch tygodni władze podjęły wobec nas działania, których nie można nazwać inaczej niż stosowaniem tortur. I tak:*

Wielokrotnie osadzani jesteśmy w bunkrze głodowym. Jest to pomieszczenie o pow. ok. 5 m kw., bez okien i dostępu powietrza. Umieszcza się nas nawet po 3 osoby i przetrzymuje po 5 dni. Już po kilku minutach osoby osadzone w takich warunkach odczuwają brak tlenu. W dniach od 29 III do 2 IV osobom przebywającym w bunkrze uniemożliwiono spożywanie posiłków. Podstawą prawną stosowania takich metod jest podobno zarządzenie ministra sprawiedliwości z 1975 roku, które pozwalało na stosowanie tego rodzaju tortur. Jak wiadomo, wielokrotnie doprowadzało to do trwałych okaleczeń, a nawet śmierci więźniów.

Większość czasu przetrzymywani jesteśmy w kajdankach. Kuje się nas w sposób szczególnie dotkliwy – do tyłu, przekuwając jedynie na noc rękę do przodu.

2. IV, oprócz zakucia w kajdany, Wł. Frasyńniukowi i T. Stańskiemu zaklejono plasterm usta w identyczny sposób jak robili to hitlerowcy, rozstrzelując polskich patriotów. Sugerowano, że jest to przygotowanie do wykonania takiej samej czynności.

Stosowanie kaftana bezpieczeństwa, twierdząc przy okazji, że więźnio-

wie polityczni będą traktowani jak psychicznie chorzy. Użycie kaftana bezpieczeństwa powoduje zaburzenia krążenia krwi, utratę przytomności, jest przyczyną uszkodzenia stawów.

Stosowanie specjalnego urządzenia krępującego, wykorzystywanego przy wykonywaniu kary śmierci przez powieszenie.

Stosowanie gazu paraliżująco-tławiącego. Szczególnie brutalne było to w dniu 7 IV, gdy świadomie oblewano gazem oczy więźniów z odległości kilku cm, w celu trwałego oślepienia. Wynikało to jasno z wypowiedzi funkcjonariuszy (cyt.: „Daj mu lepiej po oczach, aż oślepnie”).

Nieustanne i bezprawne grożenie połamaniem kości [...] ²².

Czerwiec – Oświadczenie Rady Politycznej KPN w sprawie bojkotu wyborów do rad narodowych.

23 lipca – Sejm uchwała amnestię, obejmującą m.in. wszystkich skazanych (58 osób) i aresztowanych tymczasowo (682 osoby) za czyny o charakterze politycznym, oprócz Bogdana Lisa i aresztowanego wraz z nim Piotra Mierzejewskiego, których sprawa zostaje zakwalifikowana jako zdrada ojczyzny.

21 sierpnia – Msza dziękczynna w kościele św. Stanisława Kostki w Warszawie gromadzi około 10 tys. ludzi. W homilii padają słowa apelu o prawdę jako podstawę zaufania rządzących i rządzonych. Przy owacjach tłumu Anna Walentynowicz, Seweryn Jaworski, Jacek Kuroń, Adam Michnik, Andrzej Rozpłochowski, Romuald Szeremietiew, Leszek Moczulski, Marian Jurczyk, Z. Teliga, Zbigniew Romaszewski, T. Rzeszotko, Maciej Bednarkiewicz, Władysław Siła-Nowicki i inni przechodzą na plebanię, wznosząc palce w znaku „V”. Zgromadzeni śpiewają „Rotę”. Rozrzucane są ulotki Komitetu Ochrony Praworządności, zapowiadające walkę o uwolnienie pozostałych więźniów politycznych.

14 października – Obraduje Rada Polityczna KPN w pełnym składzie. Zdecydowana większość obecnych jest za utrzymaniem dotychczasowej formuły działania. Romuald Szeremietiew i Tadeusz Stański nie

²² Cyt. za: ibidem, s. 39–41.

zgadzają się z utrzymaniem tej formuły, wraz z grupą współpracowników opuszczają Konfederację i tworzą Polską Partię Niepodległościową. Po latach założyciele PPN wspominają:

O nazwie Polska Partia Niepodległościowa Romuald Szeremietiew i Tadeusz Stański myśleli już pięć lat wcześniej. Ale wtedy, w 1979 r. skrót PPN zajęty był już przez Polskie Porozumienie Niepodległościowe Zdzisława Najdera.

Jednak w 1984 r. założyciel tamtego PPN przebywał już na emigracji w Monachium, gdzie z wyrokiem śmierci, wydanym zaocznie przez sąd wojskowy w PRL, kierował Radiem Wolna Europa.

W 1984 r. PPN Najdera już nie istniała. Mogliśmy wrócić do tej nazwy – wspomina Romuald Szeremietiew – Wraz z Tadeuszem Stańskim uznaliśmy, że po 13 grudnia 1981 r. skończył się czas opozycji legalnej. Trzeba budować konspirację.

Po wyjściu z Barczewa, Szeremietiew ze Stańskim domagają się przyjęcia przez KPN ideowej opcji prawicowo-konserwatywnej. Na posiedzeniu Rady Politycznej opowiedzą się za tym starsi działacze, młodym (jak Słomka czy Król) bliższy pozostaje punkt widzenia Moczulskiego.

Uznałem, że jeśli nawet wygramy głosowanie, Moczulski tego nie uzna – przyznaje Szeremietiew. – Powstałyby wtedy dwie partie o tej samej nazwie: Doszliśmy do wniosku, że lepiej odejść.

Tak powstaje PPN. *Jedyna firma, która nie wykluczała walki zbrojnej – przypomina Tadeusz Stański – w jej kierownictwie nie było agentów.*

Z Moczulskim rozeszliśmy się z powodów ideowych i taktycznych – relacjonuje Stański – Moczulski głosił, że Rosjanie nie będą gadać z nacjonalistami ani dysydentami. Uważał, że po wyjściu z Barczewa trzeba ponownie trafić do więzienia. My z Romkiem wręcz odwrotnie – że koncepcję trzeba zmienić na bardziej tajną i bezpieczną. Te dwie rzeczy nas poróżniły²³.

22 grudnia 1984 roku – W wieży dzwonnicy kościoła pod wezwaniem Najświętszej Marii Panny przy ulicy Przyrynek w Warszawie,

²³ Cytaty za: ibidem, s. 53–54.

w pomieszczeniu dzierżawionym przez KIK, odbył się II Kongres KPN. Kongres zajął się głównie kwestiami wewnętrznymi i organizacyjnymi.

Związane to było z odejściem grupy działaczy KPN – z Romualdem Szeremietiewem i Tadeuszem Stańskim. Wybrano władze Konfederacji z Leszkiem Moczulskim na czele.

W uchwale politycznej II Kongresu KPN napisano m.in.: *Weszliśmy w decydujący okres polskiej rewolucji niepodległościowej. Społeczeństwo w obecnym stanie świadomości coraz pełniej rozumie nasz generalny cel, jakim jest Niepodległa i Demokratyczna Rzeczpospolita. Taki stan ducha i umysłów Konfederacja Polski Niepodległej wita z satysfakcją – gdyż potwierdza on słuszność naszej dotychczasowej drogi i zwiększa pewność ziszczenia naszej wizji rewolucji. Przekonanie to utwierdza w nas także ewolucja programów przedstawianych przez poszczególne grupy opozycyjne. Ewolucja ta postępowała od koncepcji „odnowy” w ramach systemu, przez „finlandyzację”, po dzisiejsze uświadomienie sobie głównych narodowych dążeń. Z grupy określanej pod koniec lat 70-tych mianem „marzycieli” – staliśmy się realistami, bez zmiany naszego programu. Kwestią dyskutowaną pozostały jeszcze tylko metody działania, poglądy na przyszłość, a ze spraw doraźnych – ocena możliwości i sensowności tymczasowego kompromisu czy taktycznego porozumienia z władzami PRL – aby maksymalnie obniżyć koszty nieuchronnych przemian.*

Uważamy, że mamy szansę zrealizowania naszego programu – Niepodległości, i że programowi wysuwanemu przez cały Naród nie może się przeciwstawić żadna siła. Zarzutom o „romantycznym uniesieniu bez realnych podstaw” przeciwstawiamy – jako argument popierający naszą tezę – zjawisko Sierpnia 1980 roku. Wtedy także nie wierzono, że zwycięstwo jest osiągalne, gdy postulaty przekroczą granicę żądań socjalnych. Wiara w zwycięstwo i swoje siły wzrastała w miarę walki, narastała od drobnych żądań płacowych po próbę uzdrowienia całego systemu ustrojowego. Proces ten powtórzy się i obecnie, choć dokładniej kontrolowany i w innej formie. [...]

Najważniejszym zadaniem jest organizowanie i samoorganizacja społeczeństwa we wszystkich dziedzinach. Ruch oporu winien przejmować wszystkie możliwe do opanowania obszary, środowiska, samorządy, instytucje i kota.

Musimy zachować i rozbudować niezależny obieg życia obywatelskiego; rozwijać naszą samoorganizację w niezależnych związkach, partiach, organizacjach i grupach; budować struktury samoobrony przed agresją fizyczną i psychiczną; wydawać i rozpowszechniać gazety i książki; dzielić się informacjami o represjach, sposobach i możliwościach walki z władzami. Organizujemy w miarę możliwości organy koordynujące działania, tworzymy siatki organizacyjne. Aby zwyciężyć, musimy opleść strukturami cały kraj, wszystkie środowiska, zakłady pracy i szkoły; im więcej będzie obszarów wolnych od ingerencji reżimu – tym będziemy silniejsi [...].

Konspiracja, odgrywająca w stanie wojennym czołową rolę, staje się obecnie tylko jednym elementem narodowego ruchu oporu. Im więcej będzie jawnych działaczy, pism i struktur – tym większy uzyskają efekt. Prowadzimy z władzami walkę polityczną, a ta jest skuteczniejsza, gdy prowadzi się ją jawnie. To władza zepchnęła niezależne siły do podziemia. Teraz należy wydobyć je na powierzchnię. Stąd też powstanie ruchu i komitetów „Przeciw Przemocy” jest poważnym sukcesem politycznym opozycji. Na pewno jawny winien się stawać także związek zawodowy. Etap podziemny powoli się kończy i, być może, niedługo znów będą działać jawne redakcje, punkty kolportażowe, informacyjne i werbunkowe. W 1975 roku też wydawało się to niemożliwe. [...]

Konieczne jest, aby społeczeństwo rewindykowało to, co mu zabrano 13 grudnia: możliwość łączenia się w związki zawodowe, wolne i samorządne, niezależne od ingerencji z zewnątrz. Praktycznie jest to walka o wolność dla „Solidarności”. Nie możemy jednak sprowadzić „Solidarności” do samego mitu, ponieważ tym samym zaprzepaszczamy jej istnienie. „Solidarność” jest jednym z pierwszych kroków ku niepodległości, a nie przedostatnim. Organizacja społeczeństwa w związkach zawodowych jest zbyt ważna, aby pozwolić sobie na ich mistyfikację. Swoje zwycięstwa musimy osiągać etapami: najpierw niezależne i samorządne związki zawodowe, później samorządy, partie, co przy wolności słowa i skutecznej polityce pozwoli nam na wybitcie się na niepodległość.

To nieprawda, że przeżyły się strajki, a demonstracje są zbyt kosztowne. Strajki są najmocniejszą formą politycznych działań masowych, a przed

strajkiem generalnym władze nie mają obrony i nie są w stanie go przenieść. Masowe strajki nie rozpoczną się jednak w następstwie samych apeli – najpierw musi dojrzeć sytuacja społeczna.

Najbardziej masowymi formami działania są bierny opór i bojkot. Jakkolwiek polegają one na wstrzymaniu się od działania, stanowią niezbędne przygotowanie do wszystkich akcji czynnych.

Negocjacje i porozumienia z rządem PRL. Nie zamierzamy ich inicjować, ale nie chcemy torpedować, a gdy przyniosą korzystne dla narodu rezultaty – możemy je akceptować. Oczywiście tego rodzaju porozumienia należy rozpatrywać wyłącznie w kategoriach taktycznych. Nie mają one szans trwałości – ale pozwalają nam uzyskać postęp w niektórych dziedzinach, pozwolą przeorganizować się i przygotować do następnej fazy rewolucji. Trzeba być ostrożnym i nie pozwalać się oszukiwać, jak robił to rząd z „Solidarnością”. Jako podstawę do negocjacji z władzami, KPN przypomina przedstawioną jeszcze w lutym 1980 roku i nadal aktualną platformę programową, domagającą się m.in. realizacji pięciu kardynalnych praw obywatelskich. Są one możliwe do realizacji w warunkach ustrojowych PRL, znajdują pełne oparcie w postanowieniach Konstytucji PRL, a zarazem przybliżają Polskę do celu zasadniczego, jakim jest utworzenie Niepodległej Rzeczypospolitej:

- *wolność słowa oraz nieskrępowane działanie systemu wolnej prasy i wszystkich środków masowego przekazu, wraz z zapewnieniem możliwości korzystania ze środków technicznych, potrzebnych do realizacji wolności słowa;*
- *wolność wyznania, przekonań, badań naukowych, twórczości literackiej i artystycznej;*
- *wolność powoływania przez obywateli związków, partii, stowarzyszeń i innych zrzeszeń o charakterze światopoglądowym, politycznym, społeczno-kulturalnym i innych, oraz warunki ich nieskrępowanego funkcjonowania;*
- *równość wobec prawa wszystkich partii i stronnictw politycznych;*
- *wolne wybory – zapewniające równe prawa wszystkim partiom i grupom obywateli w zgłaszaniu programów i kandydatów, popularyzowaniu ich oraz kontroli aktu głosowania i obliczania głosów.*

Generalne założenia naszego programu przedstawił Leszek Moczulski w „Rewolucji bez rewolucji”, pracy kierującej ruch niepodległościowy na nowe tory programowe. Rezygnując z koncepcji walki zbrojnej jako głównej formy działania prowadzącego do Niepodległości, program ten przeciwstawia jej drogę walki politycznej – konstruktywnej i bezkrwawej „rewolucji bez skutków rewolucyjnych”, tj. ofiar, nieszczęść i zniszczeń.

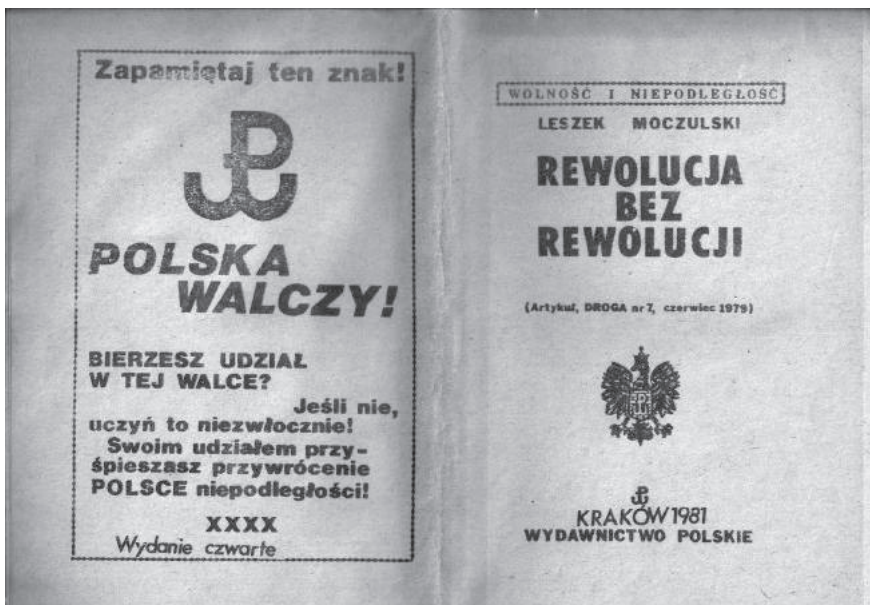
Wytyczonych zostało pięć faz:

- 1. Faza formowania grup politycznych – „w zdezintegrowanym politycznie i zatimizowanym społeczeństwie zaczną krystalizować się ośrodki niezależnej myśli politycznej. ... Z czasem każda z tych grup dopracowuje się własnych ustaleń programowych i zaczyna określać swoją tożsamość polityczną... Aktem kończącym tę fazę stanie się określenie celów wspólnych dla całej niepodległościowej opozycji”.*
- 2. Faza formowania infrastruktury politycznej. – „Luźne początkowo grupy, w dyskusjach określające swoją tożsamość ideową, z czasem tworzą własne programy polityczne, całościowe lub częściowe. Towarzyszy temu budowa trwałych struktur oraz umocnienie wpływu na poszczególne środowiska społeczne. ...Dominować zaczynają założenia ideowe i programowo-polityczne. W oparciu o takie kryteria – grupy zaczynają współdziałać ze sobą, a następnie łączyć i przekształcać w partie i związki polityczne. Jest to zmiana jakościowa, tak pod względem krystalizacji programowej jak rozwoju struktury wewnętrznej”.*
- 3. Faza formowania Polskiego Systemu Politycznego – „Proces przeobrażeń grup politycznych w partie i stronnictwa stwarza nowy układ polityczny. Na miejsce licznych grup powstaje wyraźnie mniejsza ilość znacznie silniejszych struktur partyjnych... Faza ta będzie stosunkowo bardziej skomplikowana: w początkowym okresie nastąpi tworzenie przez poszczególne ośrodki wspólnych ośrodków koordynacji działań. Natomiast w okresie końcowym będziemy mieli do czynienia z formowaniem ośrodków quasi-państwowych, zupełnie samodzielnych, w skład których wchodzić będą przedstawiciele poszczególnych ugrupowań politycznych. Formowanie Polskiego Systemu Politycznego*

zostanie zakończone, gdy działające w kraju ugrupowania polityczne wytworzą instytucje, swym zasięgiem działania dublujące państwowe i terenowe instytucje PRL”.

- 4. Faza czwarta – „W tej fazie obok instytucji PRL, będzie istniał i działał równoległy Polski System Polityczny. Przypominać to będzie sytuację znaną z naszej historii, w której obok obcych władz formowało się Polskie Państwo Podziemne. Różnice chwili obecnej polegają na tym, że Polski System Polityczny będzie działał jawnie, oraz – że nie będzie prowadził walki zbrojnej z oficjalną władzą... Ukoronowaniem działań stanie się utworzenie dysponującej mandatem społecznym Krajowej Reprezentacji Politycznej, spełniającej rolę quasi-parlamentu. W tym samym też czasie praktycznie wszystkie wspólne instytucje przestaną mieć charakter porozumienia między poszczególnymi ugrupowaniami politycznymi, a oparte będą o niewątpliwy mandat społeczny”.*
- 5. Faza przejmowania władzy – „Są tu możliwe różne scenariusze wydarzeń... W toku krótszego bądź dłuższego procesu (jest dość prawdopodobne, że przebiegać to będzie lawinowo) władzę najwyższą przejmą instytucje utworzone przez Polski System Polityczny. Nastąpi wówczas proklamowanie Niepodległej Trzeciej Rzeczypospolitej, ogłoszona zostanie tymczasowa konstytucja oraz przeprowadzone powszechne, równe, bezpośrednie i tajne wybory do Sejmu i innych naczelných organów Rzeczypospolitej”.*

Model przedstawiony w 1979 roku w „Rewolucji...” jest modelem idealnym i teoretycznym, a w rzeczywistości wszystko rozegra się w sytuacji coraz bardziej zażartej walki z władzami PRL. Bowiern władze PRL będą usiłowały nie dopuszczać do rozwoju struktur politycznych, stosując najróżniejsze metody ograniczania i rozbijania działalności niezależnej, po próby adaptowania jej do oficjalnych struktur. Trzeba liczyć się z tym, że władze niejednokrotnie sięgając będą po środki brutalne. W toku wydarzeń, gdy siła materialna PRL zacznie kruszeć i rozpadać się, narastać będzie groźba radzieckiej interwencji. Wszystkie te niebezpieczeństwa trzeba rozpoznać z awczasu. Siły niezależne winny dążyć do nadania wydarzeniom takiego



Programowa praca Leszka Moczulskiego

(fot. arch. Jerzego Woźniaka)



11 listopada 1981, Warszawa

(fot. Tomasz Gutry)



11 listopada 1981, Warszawa
(fot. Tomasz Gutry)





Proces KPN 1981 rok, Warszawa. Oskarża prokurator Wiesława Bardonowa. W pierwszym rzędzie obrońcy oskarżonych od lewej: Tadeusz de Virion, Edward Wende, Jerzy Woźniak, Jerzy Biejał, Maciej Dubois, Krzysztof Piesiewicz i Jadwiga Gorzkowska. W drugim rzędzie oskarżeni: Leszek Moczulski, Romuald Szeremietiew, Tadeusz Stański i Tadeusz Jandziszak
(fot. ze zbiorów prywatnych)



Maj 1981 r., Wrocław. Marsz w obronie więźniów za przekonania.
(fot. ze zbiorów Krzysztofa Turkowskiego)



Stan wojenny. Członkowie Konfederacji Polski Niepodległej przed Katedrą św. Jana w Warszawie w czasie demonstracji patriotycznej

(fot. ze zbiorów Roberta Nowickiego)



Stan wojenny, Warszawa. Uroczystości patriotyczne z udziałem członków Konfederacji Polski Niepodległej na Powązkach

(fot. ze zbiorów Roberta Nowickiego)

Andrzej Szomański
(fot. z arch. Jerzego Woźniaka)



Demonstracja KPN. Warszawa, lata '80

(fot. Tomasz Gutry)



Jędrzejów. Lata 80 – uczestnicy przemarszu „Szlakiem Pierwszej Kadrowej”, demontują tablicę „W hołdzie funkcjonariuszom MO i SB”

(fot. ze zbiorów Roberta Nowickiego)



1985 r., Warszawa. Msza św. za Ojczyznę w kościele Św. Stanisława Kostki na Żoliborzu

(fot. ze zbiorów Roberta Nowickiego)

Zdjęcie

podpis posiadacza legitymacji

Legitymacja nr 27

Imię JERZY

Nazwisko WOŹNIAK

Data ur 12 XII 1969

Adres ul. KENIGA 6M47
WARSZAWA - UR SUŚ

Nazwiska osób wprowadzających:
GEŚICKI WIESŁAW
SZOMAŃSKI ANDRZEJ

Posiadacz niniejszej legitymacji jest:

Uczestnikiem KPN od 17 IX 1986
(podpis)

Kandydatem KPN od 3 V 1987
(podpis)

Czl. rzeczywistym od 17 IX 1981
(podpis)

Zaświadczenie o stopniu uczestnika wydaje szef okręgu, o stopniu kandydackim – szef obszaru, o członkostwie rzeczywistym – Rada Polityczna.

Pełnione funkcje, pochodzące z wyborów przez Kongresy KPN:

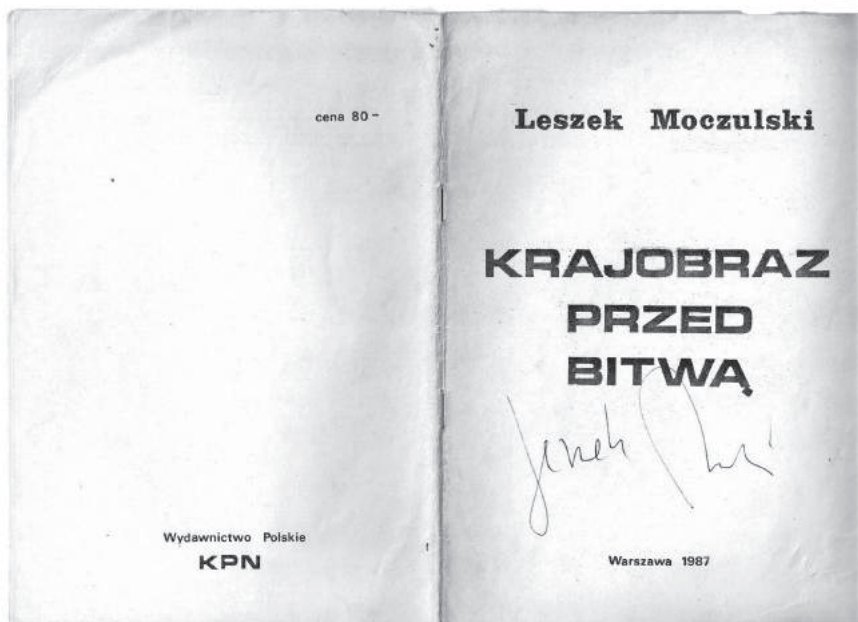
LEGITYMACJA CZŁONKOWSKA

KONFEDERACJA POLSKI NIEPODLEGŁEJ jednoczy człańania i wysiłki na rzecz niepodległości. Skupia osoby działające indywidualnie, oraz różne ugrupowania, odmienne w widzeniu wielu kwestii ideowych, społecznych i politycznych, lecz wierne nadrzędnej sprawie niepodległości. Stanowi ośrodek krystalizacji



Legitymacja KPN

(fot. z arch. Jerzego Woźniaka)



Kolejna praca programowa Leszka Moczulskiego

(fot. z arch. Jerzego Woźniaka)



Częstochowa, sierpień 1987

(fot. z arch. Jerzego Woźniaka)

Częstochowa, sierpień 1987
(fot. z arch. Jerzego Woźniaka)



Warszawa, ul. Targowa. Wrzesień 1988. Akcja Nike, grupy młodzieżowej KPN
(fot. z arch. prywatnego)





Wrzesień 1988. Akcja „Świt Niepodległości” na trasie Łazienkowskiej

(fot. z arch. Jerzego Woźniaka)



Wiosna 1988, dworzec Warszawa Gdańska. Akcja „Świtu Niepodległości” na rzecz uwolnienia więźniów politycznych

(fot. z arch. Jerzego Woźniaka)



11 listopada 1988. Dziedziniec Uniwersytetu Warszawskiego, wiec z udziałem KPN

(fot. Mirosław Mikulski)



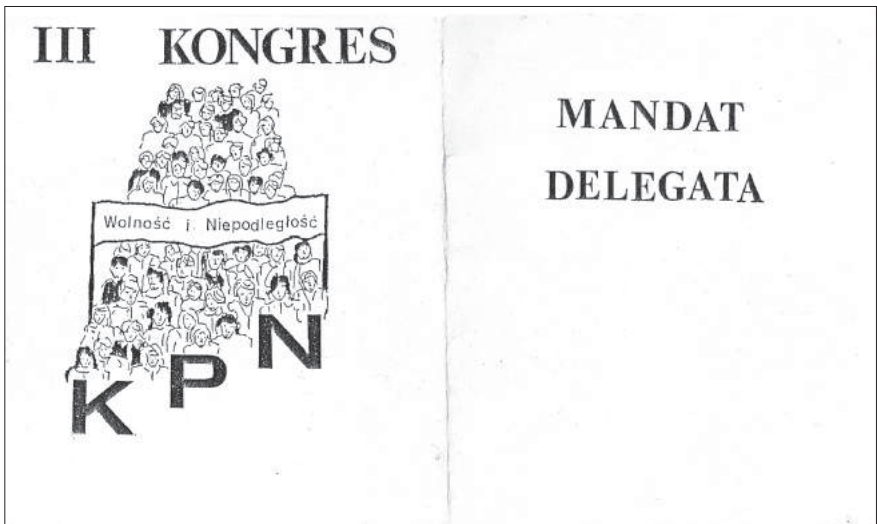
11 listopada 1988. Dziedziniec Uniwersytetu Warszawskiego, wiec z udziałem KPN

(fot. Mirosław Mikulski)





Styczeń 1989. Spotkanie z Leszkiem Moczulskim w prywatnym mieszkaniu przy ul. Keniga
(fot. z arch. Jerzego Woźniaka)



Styczeń 1989. Mandat delegata

(fot. z arch. Jerzego Woźniaka)



Maj 1989. Kampania wyborcza KPN

(fot. Tomasz Gutry)



Warszawa 1990. Okupacja Pałacu Sobańskich przez KPN

(fot. z arch. Jerzego Woźniaka)



Lato 1989. Demonstracja KPN
(fot. Grzegorz Boguszewski)





Lato 1989. Demonstracja KPN

(fot. Grzegorz Boguszewski)

biegu, w którym uniknie się dramatycznych przyspieszeń – mogą one sprokocować nieobliczalne reakcje władz PRL, a także ZSRR”.

[...] Najbliższym wielkim zadaniem, jakie stoi przed społeczeństwem – jest rewindykacja uprawnień, uzyskanych w latach 1980–1981, zagwarantowanych przez władze PRL w historycznych Porozumieniach Sierpniowych, a następnie odebranych siłą. Rewindykacje te można sprowadzić do ich najważniejszego elementu: nieskrępowanej możliwości skupienia się ludzi pracy w związki zawodowe i rozwijania w nich wszystkich dziedzin aktywności. Przywrócenie pluralizmu związkowego będzie jednoznaczne z dotarciem do pierwszego horyzontu. Osiągniemy w ten sposób cele wielkie, ale jeszcze nie ostateczne – a tylko doraźne.

W warunkach braku swobód politycznych pluralizm związkowy nie może być trwały: grozi mu bowiem, że wcześniej czy później zostanie zniesiony. Dlatego pojawia się następny cel: odzyskanie wolności politycznych obywateli. Drugim horyzontem jest więc taka demokratyzacja istniejącego systemu, która w praktyce wprowadzi pluralizm polityczny.

Swobody polityczne obywateli można jednak utrwalić jedynie w niepodległym państwie. W warunkach politycznej zależności od zewnętrznego hegemonia – zwłaszcza jeśli jest nim państwo totalitarne – prawa polityczne mogą być w każdej chwili cofnięte, a nawet muszą być w niedługim czasie zniesione i całkowicie potępione. Taki stan rzeczy prowadzi bezpośrednio i zupełnie naturalnie do wytyczenia trzeciego celu: Niepodległości. Tylko bowiem w warunkach państwa niepodległego, w którym mandat władzy płynie od wewnątrz – ze społeczeństwa, a nie z zewnątrz od hegemonia możliwy jest trwały system demokracji i równych praw i obowiązków dla wszystkich obywateli. Powołanie niepodległej RP jest równoznaczne z osiągnięciem trzeciego horyzontu.

Dwa wielkie cele pośrednie – pluralizm związkowy i polityczny – prowadzą ku celowi zasadniczemu – Niepodległości. Osiągnięcie jednego ułatwia walkę o następny. Taki porządek celów wynika z aktualnej sytuacji, stopnia świadomości i aspiracji społeczeństwa. Dzięki temu w dążeniu do każdego kolejnego horyzontu skupić będzie można we wspólnym działaniu przeważającą część narodu.

*W tak pojętym wspólnym programie Polaków – Konfederacja ma swoje wyraźne miejsce. Będziemy czynnie uczestniczyć w osiągnięciu kolejnych celów, tak rozkładając swe siły, aby wystarczyło nam ich na dotarcie do najważniejszego, trzeciego horyzontu. Odpowiednio, w działaniach na rzecz pluralizmu związkowego będziemy lojalnie współdziałali ze strukturami związkowymi, o wiele bardziej masowymi, a więc silniejszymi od nas; działaniami na rzecz pluralizmu politycznego będziemy współkierowali w związku z innymi partiami i ośrodkami politycznymi; działaniami na rzecz Niepodległości będziemy kierowali bezpośrednio. Dlatego Konfederacja Polski Niepodległej musi być najmocniejsza dopiero w końcowej, rozstrzygającej fazie rewolucji. [...]*²⁴.

JEST 1985 ROK.

1 marca – Wznowiona zostaje „Gazeta Polska”, pismo KPN ukazujące się w latach 1979–1981.

8 marca – W Warszawie obraduje Rada Polityczna KPN.

9 marca – Spotkanie członków KPN w Warszawie przy ul. Chmielnej 119 przerywa 30-osobowa grupa antyterrorystyczna, wyważając drzwi mieszkania. Zostają zatrzymani Leszek Moczulski, Krzysztof Król, Grzegorz Rossa, Andrzej Szomański, Dariusz Wójcik, Adam Słomka i Piotr Węgierski (który po latach okaże się tajnym współpracownikiem o pseudonimie „Paweł”, i to on powiadomił SB o miejscu i czasie spotkania)²⁵. Uczestnicy spotkania przed rozbiciem zgromadzenia przyjmują *Rezolucję w sprawie wolnych wyborów*. Aresztowani zostają Leszek Moczulski, Andrzej Szomański, Krzysztof Król, Adam Słomka i Dariusz Wójcik.

ROK PÓŹNIEJ W 1986:

3 marca – W Warszawie rozpoczyna się proces Leszka Moczulskiego, Andrzeja Szomańskiego, Krzysztofa Króla, Adama Słomki, Dariusza

²⁴ Cyt. za: *ibidem*, s. 192–203.

²⁵ Aparat represji wobec księdza Jerzego Popiełuszki 1982–1984, tom I, Warszawa 2009, s. 76–77.

Wójcika – działaczy KPN aresztowanych rok wcześniej (9 marca), oskarżonych o *przynależność do organizacji mającej na celu przestępstwo*.

22 kwietnia – Zapadają wyroki w procesie KPN. Sąd Wojewódzki w Warszawie skazuje Leszka Moczulskiego na 4 lata, Krzysztofa Króla i Adama Słomkę na 2,5 roku, Andrzeja Szomańskiego i Dariusza Wójcika na 2 lata więzienia. Wniosek obrony o zwolnienie oskarżonych do rozprawy rewizyjnej w Sądzie Najwyższym zostaje oddalony.

11 września – Minister spraw wewnętrznych ogłasza, że na wolność wyjdą wszystkie osoby skazane i aresztowane za *przestępstwa i wykroczenia przeciwko państwu i porządkowi publicznemu*. Wraz z uprzednio zwolnionymi, amnestia obejmuje 225 więźniów politycznych.

26 września – W kościele św. Marcina w Warszawie, w siedzibie Prymasowskiego Komitetu Pomocy Więzionym za Przekonania odbywa się spotkanie niedawno uwolnionych więźniów politycznych z prymasem Józefem Glempem. W imieniu więźniów przemawiają Zbigniew Bujak i Leszek Moczulski. Dziękują komitetowi za pomoc w trudnych chwilach.

11 listopada obraduje Rada Polityczna KPN. W nowej sytuacji politycznej przyjmuje dwa oświadczenia: w sprawie prawnego charakteru działań KPN oraz w sprawie bieżącej sytuacji. W pierwszym napisano m.in.:

[...] *Rada Polityczna KPN stwierdza co następuje:*

1. *Sądy WOW, Wojewódzki i Najwyższy słusznie nie dopatrzyły się znamion przestępstwa w istnieniu, programie i celu działania Konfederacji Polski Niepodległej;*
2. *Konfederacja Polski Niepodległej, dążąc do zmiany ustroju państwowego w Polsce, nigdy nie zamierzała ani nie zamierza osiągnąć tego przy użyciu przemocy ani jakichkolwiek innych prawem zabronionych, gwałtownych środków;*
3. *Cel, istnienie i struktura Konfederacji są jawne i statut KPN zakazuje ich utajniania. Świadczy o tym dobitnie ogłoszenie istnienia Konfederacji i systematyczne informowanie o jej istnieniu i działaniach, ogłaszanie dokumentów programowych KPN oraz statutu – normującego jej strukturę. Jawność celu, istnienia i struktury Konfederacji jest już,*

*a będzie jeszcze bardziej poszerzana niż wymagają tego obowiązujące przepisy*²⁶.

W drugim stwierdzano m.in.:

[...] Sytuacja krajowa rozwija się pod ciężarem wzmagających się trudności gospodarczych i rosnącego wyraźnie biernego naporu społecznego, na ogół nie uświadamianego sobie przez ludzi. Władze w zasadzie nie są zdolne z przyczyn ogólnych na wznowienie represji, a więc są zmuszone do prowadzenia polityki łagodzenia i negocjacji. (L. Moczulski: „Skoro nie mogą siłą, chcą pokonać nas sposobem”). Pragnęłyby doprowadzić do porozumienia z bardziej ugodową częścią opozycji za możliwie niską cenę, aby podzielić się z nią odpowiedzialnością za zbliżający się krach gospodarczy, uwiarygodnić się w oczach społeczeństwa i Zachodu, a w następstwie tego uzyskać pomoc gospodarczą oraz zepchnąć ze sceny politycznej bardziej radykalną część opozycji. Rachuby takie są jednak raczej nierealne. [...]

Równoległe nastąpiło ożywienie działalności ugrupowań politycznych pozostających poza „S”, bądź też luźno z nią związanych. Siła tych ugrupowań jest dość znaczna, zaś obecnie przerasta zapewne, przynajmniej aktywnością, potencjał „Solidarności”. [...]

Obecnie nic nie wskazuje, aby władza dojrzała do zawarcia generalnego porozumienia społecznego, podobnego do sierpniowego z 80 roku – i nie wiadomo, kiedy do niego dojrzeje. Prawdopodobnie będzie to względnie długi proces, przy czym władze dążyć będą do szukania porozumienia i wypracowania kompromisu tylko z częścią ugrupowań opozycyjnych, przy czym w miarę upływu czasu oferty ze strony władzy kierowane będą do coraz to dalszych ugrupowań. Jest to dla opozycji sytuacja o tyle korzystna, że nawet ograniczone represje uniemożliwią pełną normalizację sytuacji międzynarodowej i będą blokowały energię społeczną, co spowoduje, iż słabnąca władza będzie bardziej skłonna do ustępstw. Czyli im późniejsze będzie porozumienie, tym słabsza będzie wtedy władza i tym większe będą wtedy jej ustępstwa. [...]

Rada Polityczna rozważywszy rolę KPN w świetle powyższej sytuacji, podejmuje następujące decyzje:

²⁶ Cyt. za: ibidem, s. 208–209.

1. *Formułująca się nowa sytuacja polityczna w PRL, aczkolwiek napawająca optymizmem, w żadnym wypadku nie powinna prowadzić do osłabienia gotowości obronnej struktur konfederackich.*
2. *W pełni obowiązują wytyczne zawarte w Uchwale Politycznej II Kongresu KPN z 22 grudnia 1984 roku. Zgodnie z tą uchwałą, w obecnym okresie, czyli w dążeniu do osiągnięcia pluralizmu związkowego (I horyzont) Konfederacja nie wysuwa się na plan pierwszy. Zasadniczym organizatorem aktywności społeczeństwa jest i pozostaje nadal „Solidarność”, a KPN udziela jej pełnego wsparcia i pomocy w działaniach na rzecz formalnej reaktywacji związku.*
3. *Wszyscy konfederaci, a w szczególności konfederaci działający w strukturach „S” obowiązani są działać na rzecz umacniania jedności związku i jego statutowych władz. Jednakże w dyskusjach wewnątrz „Solidarności”, poprzedzających podjęcie decyzji, konfederaci prezentując stanowisko KPN winni opowiadać się za tworzeniem od nowa jawnych struktur „S” na wszystkich szczeblach, przy równoczesnym zachowaniu i umacnianiu podziemnej bazy całej aktywności. Ta generalna zasada winna być za każdym razem skorelowana z sytuacją w danym miejscu i czasie. Ujawnienie jest możliwe jedynie wówczas, gdy ryzyko nie jest zbyt wielkie, a więc w szczególności nie naraża się na szwank istnienia struktur podziemnych. Nie można dopuścić, aby po ujawnieniu się Komisji Zakładowej „S” ewentualne represje naruszyły substancję związku na terenie danego zakładu. Jednakże – taktyka faktów dokonanych jest celowa i podjęcie ryzyka wychodzenia na powierzchnię struktur „S”, w tym Komisji Zakładowych, stanie się niebawem niezbędne. Wszelkie decyzje muszą być podejmowane na miejscu i winna je cechować daleko posunięta rozwaga. [...]”²⁷.*

7 marca 1987 roku – Rada Polityczna KPN przyjęła *Rezolucję w sprawie integracji opozycji*. Efektem tego było m.in. podpisanie umowy o współpracy KPN z „Solidarnością Walczącą”.

²⁷ Cyt. za: ibidem, s. 210–213.

27 kwietnia – Leszek Moczulski, przewodniczący KPN, zostaje przyjęty w Białym Domu przez wiceprezydenta USA George'a Busha.

9 listopada – We Wrocławiu aresztowany zostaje Kornel Morawiecki, przewodniczący „Solidarności Walczącej”, pod zarzutem przemytu przedmiotów mających służyć działalności terrorystycznej. Demonstracje domagające się uwolnienia Kornela Morawieckiego i innych więźniów politycznych przeprowadzane są z udziałem KPN w wielu miastach Polski. Jest to akcja: „Uwolnienia więźniów politycznych”; na murach pojawiły się napisy „UWP”. Przed referendum odbywa się ogólnopolska narada działaczy KPN. Konfederacja apeluje o bojkot referendum.

29 listopada – Odbywa się referendum na temat tempa i zakresu reform gospodarczych i politycznych. Propozycje rządowe nie uzyskują aprobaty społecznej. W Krakowie demonstruje około 400 działaczy i sympatyków KPN.

W 1987 roku obok głównych pism KPN: „Drogi” (Łódź), „Gazety Polskiej” (Warszawa), „Niepodległości” (Kraków) i „Wolnego Czynu” (Katowice) uruchomiono nowe redakcje biuletynów Konfederacji: „Nie chcemy komuny” (Warszawa), „Świt Niepodległości” (organizacja młodzieżowa), „Orzeł Biały” (organizacja studencka), „Contra” (Kraków), „Niezawisłość” (grupa skonfederowana), „Obszar III”, „Pobudka”, „Naród i Niepodległość” (Zagłębie Dąbrowskie), „Konfederat Dolnośląski”, „Victoria” (Toruń), „Wiarus” (Płock), „Biuletyn Informacyjny” (Białystok). Powstało pismo dla żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego: „Honor i Ojczyzna”.

Przyszła 1988 rok, który miał się okazać rokiem dużych zmian politycznych w Polsce. Po dwóch falach strajków, wiosennej i sierpniowej, dochodzi do rozmów przygotowujących „okrągły stół”

13 października – W Warszawie odbywa się spotkanie KPN i innych nurtów opozycji z przedstawicielami „Solidarności”.

11 listopada – W Katowicach w Katedrze rozpoczyna się głódówka w obronie 53 wyrzuconych z pracy górników. Jest ona organizowana przez Kazimierza Świtonia oraz środowisko związane z KPN.

Kolejne rozmowy w sprawie „okrągłego stołu” i spotkanie ze środowiskiem byłego KOR odbywają się w styczniu 1989 r. u księdza Romana Indrzejczyka, późniejszego kapelana prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Spotkanie w kaplicy prowadzi Tadeusz Mazowiecki, obecni są Jacek Kuroń, Leszek Moczulski, Krzysztof Król, a także Przemysław Hniedzewicz i Romuald Szeremietiew oraz anonimowy przedstawiciel „Solidarności Walczącej”.

Mazowiecki oznajmia „opozycji antyustrojowej”, że głównym celem jest ponowna legalizacja „Solidarności”. Co do reszty – druga strona powie, co chce uzyskać. Potem można budować coś poważnego.

Oświadczyliśmy, że nie poprzemy Okrągłego Stołu, uznanego przez nas za koncepcję ryzykowną, choć uważaliśmy za możliwe, że przyniesie coś dobrego – relacjonował Krzysztof Król. *Zaproszenia dla nas do Okrągłego Stołu nie było. Mazowiecki zastrzegł, że nie chce od nas żadnych deklaracji* – dodał²⁸.

22 lutego – W wielu miastach – Katowicach, Bytomiu, Tychach, Żorach, Jastrzębiu, Chorzowie, Sosnowcu – odbywają się zorganizowane przez KPN demonstracje na rzecz poszanowania praw obywatelskich w PRL i CSRS.

25 lutego – W Katowicach odbywa się Kongres Opozycji Antyustrojowej, mimo aktywnych działań milicji, która próbowała do niego nie dopuścić (zatrzymano ponad 120 osób). W rezolucji końcowej krytycznie oceniono negocjacje przy „okrągłym stole”.

4 marca – W Krakowie III Kongres KPN (który rozpoczął się w lutym w Warszawie przerwany przez interwencję SB i MO) przyjmuje program partii.

7 marca – Władze żądają potępienia przez „Solidarność” uczestników demonstracji studenckich w Krakowie.

21 marca – W Poznaniu manifestują NZS, KPN i „Solidarność Walcząca”. ZOMO pałkami zmusza demonstrantów do schronienia się w na terenie uniwersytetu i oblega uczelnię do godziny 21.00.

²⁸ Cyt. za: ibidem, s. 82.

2 kwietnia – Wiec KPN w Lublinie zostaje brutalnie zaatakowany przez milicję.

5 kwietnia – Posiedzenie plenarne kończy obrady „okrągłego stołu”. Porozumienie przewiduje rejestrację NSZZ „Solidarność” oraz m.in. utworzenie Senatu i urzędu prezydenta, wolne wybory do Senatu oraz podział mandatów w wyborach do Sejmu (65% miejsc dla strony rządowej i 35% dla opozycji).

8 kwietnia – Na posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego Aleksander Hall, Adam Strzembosz, Tadeusz Mazowiecki i Jan Olszewski występują z propozycją poszerzenia składu komitetu m.in. o przedstawicieli KPN, jednak większość jego członków podziela stanowisko Bronisława Geremka, Jacka Kuronia i samego Lecha Wałęsy, uznając, że próby rozszerzenia obozu solidarnościowego mogą doprowadzić do jego rozpadu i w konsekwencji, do porażki wyborczej.

11 kwietnia – W Lublinie manifestują KPN i NZZ dla uczczenia pamięci polskich oficerów zamordowanych w Katyniu

17 kwietnia – Sąd Wojewódzki w Warszawie rejestruje NSZZ „Solidarność” z siedzibą w Gdańsku.

20 kwietnia – Sąd Wojewódzki w Warszawie rejestruje NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych z siedzibą w Warszawie.

23 kwietnia – W Warszawie Komitet Obywatelski, z udziałem przedstawicieli regionalnych komitetów obywatelskich, zatwierdza listę kandydatów do Sejmu i Senatu oraz przyjmuje program wyborczy.

25 kwietnia – ZOMO rozpędza przedwyborczy wiec zorganizowany przez KPN w Warszawie.

1 maja – W wielu miastach odbywają się, po raz pierwszy od wielu lat, legalne manifestacje „Solidarności”. W Warszawie pochód „Solidarności” gromadzi 100 tys. ludzi. W Gdańsku odbywa się wiec, zorganizowany przez „Solidarność Walczącą”, z hasłami przeciw uczestniczeniu w wyborach. Przemawiają: Andrzej Gwiazda, Tadeusz Szczudłowski i Anna Walentynowicz. Wiec przeradza się w demonstrację zaatakowaną, wyjątkowo brutalnie, przez milicję. Wiece i pochody, zorganizowane przez „Solidarność Walczącą” odbywają się w Gdyni,

Jastrzębiu, Poznaniu, Wałbrzychu; głównie pod hasłami: „Precz z komuną” i „Bojkotu wyborów”.

3 maja – W wielu miastach mają miejsce pochody i wiece organizowane przez „Solidarność Walczącą”.

8 maja – Ukazuje się pierwszy numer „Gazety Wyborczej” – ogólnopolskiego dziennika opozycyjnego – w nakładzie 150 000 egzemplarzy. Redaktorem naczelnym Lech Wałęsa mianuje Adama Michnika.

10 maja – Zostaje zamknięta lista kandydatów do Sejmu i Senatu. KPN zdecydował wystawić swoich kandydatów.

16 – 18 maja – W Krakowie manifestacje, zorganizowane przez tzw. Grupę Krakowską, skupiającą młodych z NZS, KPN, Federacji Młodzieży Walczącej oraz Akcji Studenckiej „WiP”, pod hasłem „Sowietci do domu”, przekształcające się w wielogodzinne starcia z milicją. Wiele osób zostaje pobitych i aresztowanych.

23 maja – Sąd Wojewódzki w Warszawie odrzuca wniosek o rejestrację NZS. Studentów, którzy po opuszczeniu gmachu sądu sformowali pochod, w okolicach Uniwersytetu Warszawskiego brutalnie atakuje milicja. Wiele osób zostaje pobitych, a kilkanaście aresztowanych. W proteście Uniwersytet Warszawski rozpoczyna strajk okupacyjny.

28 – 29 maja – Strajkuje już 38 wyższych uczelni.

2 czerwca – Ukazuje się pierwszy numer reaktywowanego „Tygodnika Solidarność” pod redakcją Tadeusza Mazowieckiego.

4 czerwca – W I turze wyborów do Sejmu X kadencji i Senatu pierwszej kadencji kandydaci Komitetu Obywatelskiego zdobywają 252 z 261 możliwych do obsadzenia mandatów; pozostałe dziewięć miejsc przechodzi do drugiej tury. Spośród 35 kandydatów z tzw. listy krajowej tylko dwóch uzyskuje wymaganą liczbę głosów – pozostali muszą zrezygnować z miejsc w parlamencie. Frekwencja wyborcza wyniosła około 62%.

7 czerwca – W Warszawie rzecznik prasowy „Solidarności” Janusz Onyszkiewicz informuje o spotkaniu Bronisława Geremka, Tadeusza Mazowieckiego i ks. Alojzego Orszulika z przedstawicielami „komisji rządowej” – gen. Czesławem Kiszczakiem, Andrzejem Gdulą i Stanisła-

wem Cioskiem. Na spotkaniu strona solidarnościowa potwierdza obowiązywanie postanowień „okrągłego stołu”, także tych, które dotyczą procentowego podziału mandatów w Sejmie. Stwierdza także, że nie zgłasza żadnych pretensji do wakujących miejsc z listy krajowej i czeka na propozycje strony rządowej co do sposobu ich wypełnienia.

12 czerwca – Rada Państwa wydaje dekret zmieniający zasady ordynacji wyborczej do Sejmu, ogłaszając ponowne głosowanie na miejsca nie obsadzone przez kandydatów koalicji rządzącej z listy krajowej i rozdzielając 33 mandaty pomiędzy okręgi wyborcze.

17 czerwca – Obradująca w Gdańsku KKW NSZZ „Solidarność” podziękowała członkom komitetów obywatelskich za sukces wyborczy, zamykając ich działalność na szczeblu wojewódzkim, motywując to koniecznością budowy samorządów lokalnych.

18 czerwca – Odbywa się II tura wyborów do Sejmu i Senatu PRL – przy frekwencji 26%. Opozycja zyskuje dalsze 7 mandatów senatorskich i 1 poselski, natomiast, z powodu zmienionej ordynacji wyborczej, obóz rządowy wprowadza do Sejmu 296 swoich kandydatów na z góry przewidziane dla nich miejsca. Ogólnie, w obu izbach parlamentu, rozkład sił jest następujący: strona solidarnościowa ma 161 posłów i 99 senatorów, PZPR – 173 posłów, ZSL – 76, SD – 27, Stowarzyszenie PAX – 10, Unia Chrześcijańsko – Społeczna – 8, a Polski Związek Katolicko – Społeczny – 5.

Najlepszy wynik spośród KPN-owców, idących pod własnym szyldem i przeciwko kandydatom „Solidarności”, zanotuje wtedy w Szczecinie (okręg 91 do Sejmu) Zbigniew Brzycki z 15,8%, ale drugie miejsce nie da mu mandatu.

Sam Leszek Moczulski w krakowskim okręgu 50 (Podgórze-Krowodrza) z 10,2% głosów przegra rywalizację tylko z Janem Rokitą (76,2%).

Dariusz Wójcik w okręgu 55 w Lublinie będzie z 5,1% głosów trzeci, ustępując zarówno Tadeuszowi Mańce z „S” (65%), jak Ryszardowi Bendelowi ze Stronnictwa Pracy (15,4%).

Także trzeci w wyścigu do Sejmu z Chorzowa, który wygra Anna Knysok, będzie Adam Słomka z 6% głosów. Krzysztof Król zaliczy szó-

ste miejsce w Grudziądzu (3,7% głosów). W okręgu, obejmującym Andrychów i Oświęcim Zygmunt Łenyk z 1,3% poparcia zajmie czwarte miejsce. Również czwarty okaże się na wrocławskich Krzykach Antoni Lenkiewicz (3,7% głosów).

Wybory przybrały kształt plebiscytu.

Na zakończenie warto podkreślić szczególne elementy, które wniosła Konfederacja Polski Niepodległej do dorobku opozycji politycznej w latach 1979–1989.

Powstająca w 1979 KPN pierwsza postawiła sobie za cel odzyskanie niepodległości kraju, gdy inni jeszcze – pomimo osobistej odwagi, jakiej wymagało podjęcie działalności opozycyjnej w niedemokratycznym państwie – woleli w sferze polityki ograniczać się do żądań przestrzegania praw człowieka, „finlandyzacji”, czyli stopniowej neutralizacji Polski czy nawet ulepszenia socjalizmu, nadawania mu „ludzkiej twarzy”.

KPN od początku głosiła tezę o niereformowalności systemu komunistycznego.

Konfederacja do dyskusji programowej wniosła kategorie i pojęcia z zakresu geopolityki, a Leszek Moczulski już w czasach dyktatu Leonida Breżniewa nad znaczną częścią globu głosił, że udziałem komunizmu stanie się nieuchronny rozpad.

KPN w swojej działalności jasno stwierdzała, że jest partią polityczną – *pierwszą wolną od Łaby do Władywostoku*, i jasno precyzowała swój polityczny charakter.

KPN w sposób szczególny nawiązywała do piłsudczykowskich tradycji II Rzeczypospolitej i podkreślała swoje związki z rządem emigracyjnym w Londynie.

W omawianym przeze mnie okresie historii Konfederacji chciałbym zwrócić uwagę na pewne szczególne zjawiska.

Jesienią 1981 roku KPN zaczęła dynamicznie nabierać charakteru partii masowej, związane to było z procesem pewnego różnicowania się szerokiego ruchu „Solidarności”. Proces ten został gwałtownie „zamrożony” wraz z wprowadzeniem przez władze stanu wojennego. Wtedy impe-

ratyw jedności ruchu nabrał szczególnego charakteru. Członkowie KPN jak i innych struktur niezależnych wychodzili z założenia, że przywrócenie legalnego działania „Solidarności” jest kwestia, zasadniczą. Poświęcenie sił i środków na rzecz Związku ograniczyło w zasadniczy sposób możliwość rozbudowy struktur KPN w konspiracji.

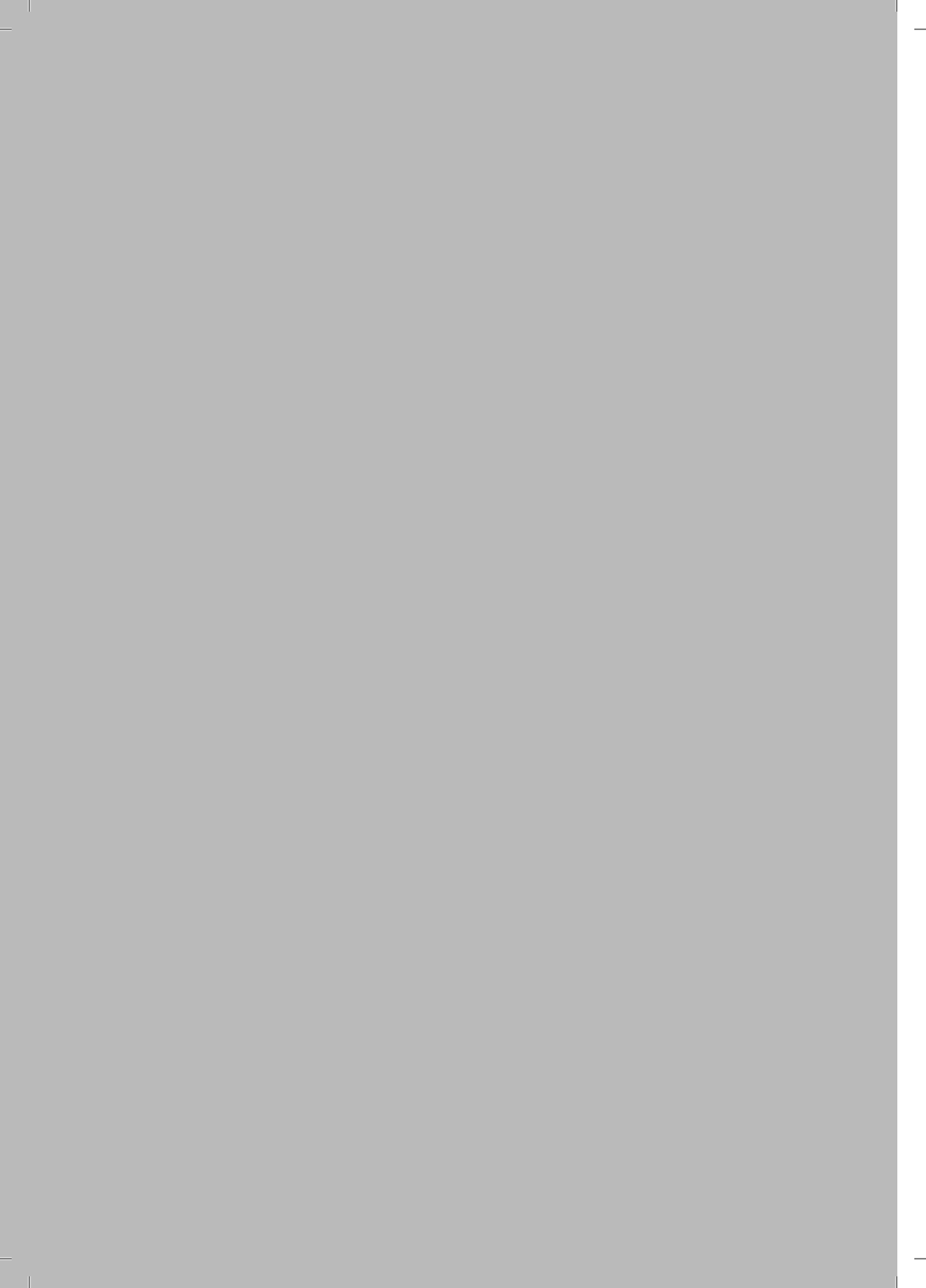
W 1984 roku kiedy podziemie znalazło się w pewnej stagnacji i istniało niebezpieczeństwo porozumienia się części działaczy „Solidarności” z władzą na jej warunkach z jednej strony, a „wyrzucenie” bardziej radykalnych na emigrację z drugiej. Protest z udziałem działaczy KPN w więzieniu w Barczewie podziałał na kierownictwo „Solidarności” bardzo wyraźnie i do żadnej ugody z władzami wtedy nie doszło.

W okresie rozmów „okrągłego stołu” aktywność takich ugrupowań jak KPN czy „Solidarność Walcząca”, które kontestowały rozmowy z władzami pozwalała przedstawicielom strony opozycyjno-społecznej przesunąć punkt ciężkości osiągniętego kompromisu na rzecz „Solidarności”.

W momencie, kiedy przedstawiciele władz straszili opozycję „betonem” w swoich szeregach, przedstawiciele strony społecznej mogli odwołać się do „niezlomnych” z KPN, „Solidarności Walczącej” czy innych środowisk nieuczestniczących w rozmowach „okrągłego stołu”.

W wyborach 1989 roku imperatyw jedności w ruchu „Solidarności” jeszcze zwyciężył. Jednak ruch społeczny w sposób naturalny zaczął się różnicować. To był czas dla sukcesów politycznych KPN. I te sukcesy stosunkowo szybko nadeszły. Ale to już inna historia.

ZAŁOŻYCIELE



MY BYLIŚMY PRZYGOTOWANI...

Z LESZKIEM MOCZULSKIM
ROZMAWIA MICHAŁ JANISZEWSKI

MICHAŁ JANISZEWSKI: Zbliża się 30 rocznica wyborów kontraktowych. Chciałbym Cię przy tej okazji zapytać o kilka rzeczy z nią związanych. Zacznijmy może od tego, wybory kontraktowe są często uznawane za jedną z możliwych cezurą historyczną pomiędzy PRL a III RP. Czym dla Ciebie był PRL?

LESZEK MOCZULSKI: Od samego początku był dla mnie tym samym, co dla ogromnej większości Polaków: formą rosyjsko-sowieckiego władztwa nad Polską. W latach 40. takie było powszechne przekonanie. Później, ale dopiero po 1956 r. większość pogodziła się z takim stanem rzeczy. Działo zresztą przyzwyczajenie, a urodzeni już po wojnie nie znali alternatywy.

Był jednak pewnie margines, który dość chętnie kolaborował z komunistami.

Oczywiście, że był – i systematycznie się poszerzał. Wprawdzie system komunistyczny był tak bardzo obcy Polakom, całkowicie nie pasujący do naszych doświadczeń państwowych, do polskiej tradycji politycznej i kultury – że przez pierwsze dziesięć lat traktowano go powszechnie jak jakieś wredne ciało obce. Zwłaszcza, że narzuciła go nam Rosja, główny zaborca. Co nie przeszkadza, że – podobnie jak w poprzednich pokoleniach, znaleźli się ludzie, skądinąd niekwestionowani patrioci, którzy nie dostrzegając innego wyjścia z tej tragicznej sytuacji, bardzo wcześnie zaczęli szukać jakiegoś *modus vivendi* z nową władzą. Niemalże automatycznie powstał nurt, który sam się określał, jako neopozytywizm. Był

w sporym stopniu powiązany z Kościołem. To naturalne – żeby kontynuować swoją misję ewangelizacyjną, konieczne było utrzymywanie stosunków z władzami, mimo, że były one antypolskie i antykatolickie. Zbudowane wokół tej konieczności założenie polityczne było bardzo proste: *Musimy się pogodzić z rzeczywistością. Jest ona obca i zła, lecz nie jesteśmy w stanie jej zmienić. Każda próba zmiany doprowadzi nas do jeszcze większego nieszczęścia, do zagłady biologicznej Polaków, przesiedlenia Sybir itd. Zwyczajny realizm wymaga uznanie nowego stanu rzeczy i skupienia wysiłków na ratowanie tego, co się tylko da, zwłaszcza wartości moralnych.*

Mówisz o środowiskach, które zaakceptowały ustalenia jałtańskie wchodząc do rządu formowanego przez komunistów.

Niezupełnie. Wraz z frontem, który pomiędzy latem 1944 a przedwiośnią 1945 r. przetoczył się przez Polskę nadchodziła władza sowiecka, a jej funkcjonariusze, głównie narodowości polskiej, przystępowali do organizowania sowieckiej republiki, przewidzianej do włączenia do ZSRR. Niektórzy z nich działali w przyczyn ideowych, inni oportunistycznych, gdyż po doświadczeniach łagiernych trudno było wierzyć w humanitaryzm komunizmu. W tym też czasie narodził się czy też odrodził neopozytywizm. Bazę miał szerszą, niż sądzi się dzisiaj. Po katastrofie eksperymentu z 20-letnią niepodległością (jak to niektórzy określali), powtórka wydawała się niemożliwa. Aktywni politycznie byli jeszcze ludzie, którzy 30 lat wcześniej reprezentowali orientację moskiewską. Pamiętam moją rozmowę ze Stanisławem Grabskim, czołową postacią narodowej demokracji w 1914 r., człowiekiem który zapewne wykształceniem i inteligencją przewyższał Romana Dmowskiego. Brał on udział jako przedstawiciel *krajowych demokratów* w konferencji moskiewskiej w czerwcu 1945 r. – o której za chwilę. Później był profesorem na UW, wykładał doktryny społeczne i polityczne. Ponieważ był to przedmiot fakultatywny, byłem chyba jedynym studentem, który zdawał u niego egzamin. Przerodził się on w wielogodzinną rozmowę. Grabski przekonywał, o ile obecna sytuacja Polski jest lepsza, niż w poprzedniej wojnie. Wtedy Rosjanie zagarniali nie tylko Lwów i Przemyśl, lecz także

Chełm i Suwałki, a wraz z Prusami Wschodnimi Gdańsk. Zachodnia granica Kongresówki ulegała względnie niewielkiemu przesunięciu na Zachód, nie było pewne, czy dostaniemy Poznań. Ta mini-Polska uzyskiwała co najwyżej autonomię w ramach imperium rosyjskiego. Teraz – rozmawialiśmy wiosną 1949 r., jesteśmy wprawdzie zależni od Rosji, ale mamy osobne państwo i członkostwo w ONZ. Granica wschodnia oparła się o Bug, zachodnia o Odrę-Nysę. Jedynym mankamentem jest komunizm, ale prędzej czy później rozsądek zwycięży i porzucą tą złudną ideologię. Taka argumentacja polityczna nie była wyjątkowa, lecz emocjonalnie nie do przyjęcia dla ogromnej większości społeczeństwa. Patrząc szerzej, wówczas – ale i przez cały czas trwania PRL, występowały obok siebie dwa równoległe kierunki niezależnego działania. Pierwszy walczył o swobody religijne, drugi o polityczne. Dla Prymasa Stefana Wyszyńskiego łączyły się one w jedno, ale byli i tacy, którzy traktowali je rozdzielnie, za ustępstwa w jednej dziedzinie kapitulowali w drugiej. Już w marcu 1945 r. zaczął wychodzić „Tygodnik Powszechny” – wydawany przez kurię krakowską. Było to jedyne pismo niezależne od władz państwowych, ale rzecz jasna podlegało cenzurze. Od początku realizowało ono neopozytywistyczną linię: ponieważ nic więcej nie możemy zrobić, musimy się pogodzić z rzeczywistością i ratować wartości moralne.

Taki był stan do czerwca 1945 r. Mocarstwa zachodnie, które w pełni godziły się na podporządkowania Polski Sowietom, aby nie tracić twarzy wobec własnych obywateli, doprowadziły wówczas do realizacji postanowień jałtańskich i powołania w czerwcu 1945 tzw. Rządu Jedności Narodowej ze Stanisławem Mikołajczykiem jako wicepremierem. Polska formalnie była osobnym państwem o własnym rządzie, tylko ten ostatni został całkowicie zdominowany przez komunistów, a kraj był okupowany przez wojska sowieckie. Mikołajczyk reprezentował polską opcję polityczną, kierowane przez niego Polskie Stronnictwo Ludowe było aktywną partią opozycyjną, ale uznawano ważność Jałty oraz przynależność Polski do obozu sowieckiego. Dążono do zmian wewnętrznych, zwłaszcza do przerwania terroru fizycznego. Neopozytywizm szedł w cień, co zresztą pozwoliło „Tygodnikowi Powszechnemu” przetrwać, gdy po

mniej więcej dwu latach jawna opozycja została zdławiona, a wszystkie nieprawomyślne pisma, wydawane głównie przez PSL zamknięto albo zagarnęła je władza.

Kolejność była więc taka: najpierw ujawnili się i podjęli działania neopozytywiści, którzy podkreślali swą niezależność, ale nie opozycyjność, później przez dwa lata funkcjonowała opozycja uznająca system jałtański, po jej rozbiciu komuniści uzależnili całkowicie ZSL i Stronictwo Demokratyczne, a przejęli PPS. Neopozytywiści wegetowali, a po zagarnięciu TP w 1953 r. przez władze faktycznie przerwali aktywność. Krwawe masowe refleksje doprowadziły do likwidacji ruchu oporu – zarówno politycznego, jak zbrojnego. Nie była to żadna wojna domowa, bo w takim konflikcie każda ze stron dysponuje znacznym, autentycznym i szczerym poparciem społecznym. Nowa władza, zresztą bezpośrednio i na wszystkich szczeblach podporządkowana sowieckim organom albo przez nie kontrolowana, była obcym, wyizolowanym ciałem bez realnego poparcia społecznego; pozyskiwała głównie ludzi, którzy szli na współpracę z musu, ze strachu, albo zwykłego oportunistu. Większość była zastraszona, ale jak najdalej od tego, aby wspierać obcą, w dodatku terrorystyczną władzę. Żadna grupa społeczna – ani robotnicy, ani chłopcy w swojej masie nie poparli narzuconej dyktatury. Również neopozytywiści, którzy tylko przystosowali się do sytuacji, aby bronić odrzucanych przez komunę wartości moralnych.

Ale nawet to uznanie miało charakter warunkowy, powodowany sytuacją polityczną.

Tak. Dopiero po paru latach, gdzieś od 1948–49, już po całkowitej likwidacji podziemia i opozycji, zarysował się odmienny proces, stymulowany bezpośrednio przez władzę. Wraz z totalnym uzależnieniem wszystkich dziedzin aktywności społecznej, czego końcową operacją było odbieranie chłopom ziemi i tworzenie kolchozów, rządcy PRL zaczęli rozwijać program pozyskiwania ludzi drogą tzw. awansu społecznego. Każdy, kto deklarował wierność PRL i braterskiemu sojuszowi z ZSRR, oraz przyjmował ideologię komunistyczną, zyskiwał możliwość popra-

wy swej osobistej pozycji. Często była to poprawa pozorna. Małorolny chłop, przenoszony do miasta, stawał się robotnikiem i mieszczaninem. Wyglądało to pięknie, ale często oznaczało to pogorszenie warunków bytowania. Prestiż okazywał się pozorowany, pauperyzacja rzeczywista. Bardziej konkretne korzyści uzyskiwali młodzi ludzie, którzy jeszcze w szkołach potrafili się wykazać politycznie, aby uzyskać ściśle reglamentowane miejsce na wyższej uczelni. W tym ostatnim przypadku sterowany przez PZPR proces dał największe rezultaty. Podczas wojny i okupacji, a także w wyniku czerwonego terroru, inteligencja w Polsce została w większej części wymordowana, więziona i rozproszona po świecie. Jej część, która przeżyła i pozostała w Kraju – ludzi represjonowanych, a często złamanych moralnie, odcięto od wpływu na młodzież. Przejęli ją komunistyczni propagandziści i ciągu pięciu- sześciu lat urobili na własna modłę. W ten sposób przerwano ciągłość pokoleniową. Pierwsza generacja tej *nowej inteligencji*, określającej się, jako socjalistyczna, przeżyła ogromny wstrząs po ujawnieniu przez Chruszczowa zbrodni Stalina. Szokiem były nie tyle same zbrodnie, o nich wszyscy wiedzieli, co sam fakt ich ujawnienia – czego rezultatem stało się przekształcenie *rewolucyjnego entuzjazmu* w cyniczny oportunizm. W skrajnej postaci było to przyjęcie maksymy: *skoro komunizm generuje zbrodnie, to wolimy być po stronie zbrodniarzy, a nie ofiar.*

Te wczesne roczniki *nowej inteligencji* – w rzeczywistości tylko pracowników umysłowych i wszelkiego rodzaju funkcjonariuszy, po *zwycięstwie marcowym 1968 r.* zaczęła dominować w partii i państwie, stając najtrwalszą podporą systemu. Bez porównania gorzej poszło władzom PRL z formowaniem *nowej klasy robotniczej*. Ludzie, przenoszeni ze wsi do miast, jeśli nawet doceniali, że to jest awans społeczny, to nie zmieniali swych tradycyjnych przekonań, przede wszystkim moralnych i religijnych – bo polityczne mieli na ogół bardzo nieokreślone. Słowem, nie przeobrażali się ideologicznie zgodnie z oczekiwaniami komuny, zachowywali krytyczny stosunek do władzy. Co więcej, łatwiej niż inne grupy społeczne, dostrzegali wyzysk i pogardę dla ludzi pracy. Ostatecznie to młodzi robotnicy, urodzeni i wychowani w PRL, stali się głów-

ną siłą społecznego buntu przeciwko totalitarnemu systemowi. Ale już w tragicznej pierwszej połowie lat '50 podobnie jak ogromna większość społeczeństwa, wyraźnie odczuwali zbrodniczość systemu, siłą narzuconego Polsce. Trudno było taką postawę manifestować, a nawet ujawniać w warunkach masowego terroru, lecz była ona typowa dla ogromnej większości Polaków. Co do wsi, przekonania chłopstwa formował głównie fakt pozbawiania ich ziemi i przymusowe zapędzanie do kołchozów.

Jeśli więc pytasz, jaki był mój ówczesny stosunek do PRL, odpowiadam: wrogi. Do 1956 roku był on zgodny z dominującą postawą społeczeństwa polskiego, ale po tej dacie przestał, gdyż większość uznała istniejący porządek rzeczy. Dlatego nigdy nie musiałem zmieniać poglądów, w przeciwieństwie do młodszych ode mnie nawet o parę lat kolegów, którzy zostali poddani zmasowanej indoktrynacji. Choć bez wątplenia większe znaczenie miało wcześniejsze przyswojenie sobie innego kodeksu wartości, zarówno w rodzinie, jak środowisku, w którym dorastałem.

Radykalna zmiana postaw społecznych dokonała się dopiero w 1956 r. Po piętnastu latach nieprzerwanego, totalnego terroru najpierw nazistowskiego, później komunistycznego, społeczeństwo polskie było do cna wymęczone i bliskie granicy załamania. Gospodarczy i ideologiczny kryzys w ZSRR tworzył pozory głębokich przemian ustrojowych. W niezbyt odległym czasie okazało się to złudą, ale na świadomość społeczną oddziaływało już samo potępienie zbrodni stalinizmu, wypuszczanie ludzi z więzień czy zapowiedzi szerszej demokratyzacji – wzmacniane istotnie przez społeczne przyzwyczajenie do bytowania w systemie totalitarnym. Działała prosta maksyma: jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma. Największym pragnieniem było przywrócenie jakiegokolwiek normalności. To wymagało jednak chociażby tylko warunkowej akceptacji realnie istniejącego stanu rzeczy. I do takiej akceptacji doszło. Nastąpiła swoista identyfikacja społeczeństwa z PRL.

Jednak powszechnie ocenia się bardzo pozytywnie zmiany, jakie przyniósł Październik 1956.

Bo to rzeczywiście były zmiany pozytywne. Rządzący działali pod olbrzymią presją społeczeństwa. W drugiej połowie 1965 r. do strajków i manifestacji dochodziło w coraz to nowych regionach. Ludzie z dotychczas rządzącej frakcji mogli obawiać się, że spotka ich taki sam los, jak popleczników Berii – i tym gorliwiej potępiali stalinizm i domagali się liberalizacji systemu. Byli wreszcie i tacy, którzy szczerze chcieli zmian, widząc w tym szansę odnowy socjalizmu. Splot tych przyczyn narzucił zarówno ustępstwa, jak ich wysoce spektakularną formę. Nie były to wyłącznie ustępstwa pozorne. Skończono z masowym, krwawym terrorem; nawet w stanie wojennym nie został on przywrócony we wcześniejszym rozmiarze. Poprawiono istotnie warunki bytu i pracy. Zrezygnowano z kołchozów. Otwarto drogę dla pozytywnych inicjatyw ludzi, jeśli tylko nie naruszały one politycznych filarów systemu. Ale nie były to ustępstwa jednostronne. Październik 1956 rok był wielkim kompromisem pomiędzy narzuconym przemocą systemem a zniewolonym społeczeństwem. Polacy – a przynajmniej ich ogromna większość, uznali władzę komunistyczną za autentyczną, przyjęli jej założenia ideologiczne i geopolityczne, zgodzili się, że PRL jest ich państwem – polskim państwem. To było ogromne, fundamentalne ustępstwo. Dzięki niemu PRL trwał jeszcze tak długo, bo ponad trzydzieści lat, ale – pozostając państwem totalitarnym, nie powrócił już do otwarcie zbrodniczej formy.

Patrząc z szerszej perspektywy, trzeba dostrzec, że w 1956 roku doszło do dwóch fundamentalnych, choć przeciwstawnych zdarzeń. Wywarły one ogromny wpływ nie tylko na Polskę, lecz na cały obóz sowiecki oraz na stosunki Wschód-Zachód. Pierwszym było masowe zaakceptowanie systemu PRL przez społeczeństwo polskie – co w nowym świetle przedstawiało charakter obozu sowieckiego. Równoległe doszło do brutalnego zdławienia rewolucji węgierskiej przez wojska sowieckie – ukazujące siłę i zdeterminowanie ZSRR, współdecydena porządku światowego (*World Order*). Łącznie mieliśmy ujawnioną silnie społeczną zgodę na dalsze bytowanie w narzuconym systemem komunistycznym oraz światowe uznanie władzy Moskwy nad tę część Europy.

Można łatwo zrozumieć, czemu Polacy – świadomie czy nie, poszli aż tak daleko. I to, jako pierwsi. Wydarzenia 1956 r. przypomniały, że trwałość systemu totalitarnego w Polsce i całej wschodniej Europie gwarantują wielkie mocarstwa świata z USA na czele. A każda próba buntu zostanie zalana krwią. Rosjanie bezkarnie zmiażdżyli Węgry, Amerykanie i zachodni Europejczycy, cały Wolny Świat milcząco uznał, że ZSRR ma do tego prawo. W takich warunkach kompromis okazywał się nawet nie mniejszym złem, tylko niepełnym dobrem. Zapewniał społeczeństwu możliwość mniej więcej normalnego funkcjonowania w nienormalnych warunkach totalnego podziału świata. Co nie przeszkadzało, że był to kompromis schizofreniczny. Gomułka – i nie tylko on, bo wszyscy celebryci oraz beneficjenci komuny z krańcowym oburzeniem potępiali zbrodnie, które sami popełniali. Przecież za całe zło, do którego doszło w najbardziej krwawym, powojennym okresie, odpowiadał politycznie i moralnie *towarzysz Wiesław*, w 1956 r. idol milionów. I był gotowy do następnych zbrodni, jak wykazał grudzień 1970 r. Dość zgodnie jednak przyjęto, że ludzie, którzy krwawo niewolili Polskę – z Gomułka na czele, byli – przynajmniej niektórzy z nich, uczciwymi Polakami, tylko z sowieckimi bagnetami na karku musieli czynić to, co im kazano. W sumie PRL stał się swoistą hybrydą. Z jednej strony postępowała, chwilaми skokowo, reglamentowana demokratyzacja państwa, z drugiej trwało nieprzerwanie umacnianie totalitaryzmu. Aparat władzy ulegał swoistej polonizacji, oczywiście nie w znaczeniu etnicznym, tylko moralnym i politycznym. Nowi ludzie wchodzili do PZPR, jedni ze zwykłego oportunizmu, inni gdyż dostrzegali, że mogą zrobić coś dobrego – ale będzie to możliwe dopiero wówczas, gdy znajdą się wewnątrz rządzącej partii i jej biurokratyzowanego aparatu. Była to zupełnie inna motywacja, niż uczestnictwo w aparacie władzy w pierwszym powojennym dziesięcioleciu, kiedy głównym celem było maksymalne zniewolenie Polski przez ZSRR. Ta wymiana, czy też przeobrażanie kadr nie zmieniała jednak generalnej tendencji. Wraz z uczestnictwem w szeroko pojętej warstwie rządzącej, a zwłaszcza w toku awansowania na coraz wyższe stanowiska, niezależnie od pierwotnej motywacji, wszyscy stawali się coraz bardziej

gorliwymi realizatorami przedsięwzięć, które w ostatniej linii wynikały z imperialnych potrzeb ZSRR. Innym przykładem schizofreniczności systemu było głoszenie pełnych swobód twórczych – ale dozwolonych tylko w granicach ostatniej instrukcji odpowiedniego wydziału KC PZPR. Przekonałem się o tym na własnej skórze, gdy w 1957 r. trafiłem do więzienia. Najbardziej charakterystyczny stał się jednak charakter głównego nurtu opozycji politycznej, która zaczęła ujawniać się od końca lat 60., a zorganizowany kształt przyjęła w następnej dekadzie. Otóż nie była to opozycja alternatywy, tylko generalnej akceptacji tego, co jest, z sugestią koniecznych szczegółowych poprawek. *Jeśli mamy mieć niepodległą Polskę z Berezą, to wolę taką, jaka jest* – powiedział mi wiosną 1976 r. może najbardziej zasłużony działacz opozycji, a wcześniej bohaterski powstaniec warszawski – człowiek, którego darzę najwyższym szacunkiem. Różniły nas tylko poglądy, ale działały emocje. Schizofreniczne były również stosunki pomiędzy władzą a opozycją. Totalitaryzm nie dopuszcza żadnej formy krytyki i sprzeciwu, a przecież komunistyczne władze – z przerwą na ścisły stan wojenny, a więc przez dobre dziesięć lat tolerowały istnienie opozycji, ograniczając się do indywidualnych represji. Co więcej, chwaliły się tą swoją tolerancyjnością, zabiegając o zagraniczną pomoc gospodarczą. Z kolei opozycja antytotalityarna *ex definitione* powinna występować przeciwko kanonom systemu. Tymczasem w polskim opozycyjnym *mainstreamie* dość powszechnie opowiadano się za zachowaniem ustroju socjalistycznego wersji leninowskiej (a nie zachodnioeuropejskiej socjaldemokracji), tylko w lepszym, zreformowanym wydaniu. Program *Samorządnej Rzeczypospolitej*, uchwalony na I Zjeździe „Solidarności”, nie nawiązywał do rozwiązań stosowanych przez socjaldemokrację, tylko jugosłowiańskich komunistów. Cała opozycja odwoływała się do konstytucji PRL i deklarowała, że działa w granicach jej przepisów, co w większości było nie szczere, lecz nie brakowało grup opozycyjnych, które traktowały to poważnie. Wreszcie, absolutnie schizofreniczna była maksyma, której przestrzegał niemalże ogół obywateli PRL, także ludzie uczestniczący w wysokich strukturach władzy: *co innego myślę, co innego mówię, co innego robię*.

Ta wewnętrzna sprzeczność była jednak konieczna, aby państwo i społeczeństwo mogły jakoś funkcjonować. Ustrój totalitarny trwał, choć bardzo niemrawo realizowany. Totalitaryzm wynika z przyjętych zasad, których katalog można łatwo sporządzić. Obowiązują one bezwzględnie, lecz jeśli skuteczność rządu staje się niska a władza słabnie, takie państwo nie przekształca się w demokrację liberalną, lecz pozostaje nadal totalitarne, tylko źle funkcjonujące. Dotyczyło to zresztą całego obozu sowieckiego, nie tylko PRL.

Stan swoistego kompromisu pomiędzy władzą a społeczeństwem trwał przez ćwierć wieku, od Października 1956 do sierpnia 1980 r. Miało to swoje konsekwencje. Schizofreniczność narzucała oportunistom, lecz nie prowadziła do masowego cynizmu. Ogromna większość ludzi, jeżeli nawet patrzyła krytycznie na rządy PZPR, uważała je za nieuniknione, gdyż inne nie mogłyby powstać. W tych granicach rozwijała się masowa aktywność Polaków. Dawała ona wymierne efekty: odbudowano kraj, rozbudowano gospodarkę, powoli podnosił się standard życia. Formalnie kierowała tym partia i rząd, dwoiście oddziałując na procesy rozwojowe. Z jednej strony starano się pozytywnie organizować wysiłek społeczny, z drugiej kierowano go w niewłaściwym kierunku oraz dławiono wszelkie spontaniczne inicjatywy. W sumie komunistyczne władze więcej chyba przeszkadzały, niż pomagały żywiołowo rozwijającej się aktywności Polaków. Wysiłek trzydziesto-milionowego narodu, nawet najgorzej kierowany, musiał dać przecież widoczne rezultaty. Miernikiem stosunku społeczeństwa do władzy stała się skuteczność tej ostatniej – i to w jednej tylko dziedzinie: w rozwiązywaniu problemów ekonomicznych. Szczególnie charakterystyczny był okres rządów Gierka. Wyraźny skok gospodarczy początku dekady, którego impulsem stały się kredyty zachodnie, ustabilizował system i zwiększył obopólne zaufania; załamanie ekonomiczne, odczuwalne już w połowie dziesięciolecia, przyniosło lawinowy wzrost niezadowolenia, który osiągnął apogeum latem i jesienią 1980 r.

Jedynym pracodawcą był komunistyczny moloch – zespolenie totalitarnego państwa z monopolistycznym przedsiębiorstwem – super-

koncernem¹. Jak w każdym przedsiębiorstwie, impulsem działania był wyłącznie zysk. Przeznaczano go jednak nie na inwestycje, tylko na potrzeby imperialnej polityki Sowietów. ZSRR rozpoczął właśnie swoją ostatnią batalię o dominację nad światem. To wymagało maksymalnego gromadzenia środków, a tym samym znacznego pogorszenia warunków bytowania ludzi. Pozostawało to w jawnej sprzeczności z publicznie głoszona ideologią wyzwolenia klasy robotniczej z kajdan wyzysku. Rzeczywistość obalała mit o wyższości socjalizmu nad kapitalizmem, lecz szerokie masy pracownicze nadal traktowały go poważnie. Komunizm sam dostarczał robotnikom broń przeciwko sobie. *Wszyscy mamy równe żołądki* – stało się hasłem końca lat '70. Polityka, zgodnie zresztą z regułą Karola Marksa, została sprowadzona do żądań rewindykacyjnych: dajcie nam to, co się nam należy. A należy się nam równie dostatnie życie, jak wam.

Niedostrzegalnie – bo bardzo powoli, zmianie ulegał charakter społeczeństwa. Działyły czynniki obiektywne: wymierały resztki przedwojennej inteligencji, lawinowo traciły aktywność generacje, w minionej wojnie walczące o niepodległość. Powszechne stawało się przekonanie, że skoro ludzie nie są w stanie wpłynąć na działania władz, to dążenia polityczne pozbawione są jakiegokolwiek sensu. Tym samym oddawano politykę w pacht PZPR, a ta starała się ją wykorzystać głównie do indoktrynacji społeczeństwa. Charakterystyczny był mit o tysiącletnim zagrożeniu niemieckim, aktualnie w postaci RFN. Zmasowane argumenty, głoszone po liście biskupów polskich do niemieckich, do dzisiaj są powtarzane w niezmienionej postaci, zwłaszcza przez ludzi, którym wpojono je w szkołach w czasach Gomułki. Glajchsztaltacja społeczeństwa, ustawiczne równanie w dół, prowadziło do trwałych skutków.

Zawarty ongiś kompromis ulegał zapomnieniu. Oficjalnie zastępował go mit o jedności ideowo-moralnej komunistycznej władzy i społeczeństwa – katolickiego w przeważającej masie. W rzeczywistości na-

¹ Por. L. Moczulski, *Moloch. Państwo jako przedsiębiorstwo, społeczeństwo jako siła robocza*, Warszawa 1985/2013.

rastał bardzo głęboki konflikt socjalny – radykalny w swych żądaniach rewindykacyjnych, ale odzégnujący się od polityki. Korespondowało to ze zmianami w PZPR, całkowicie już zbiurokratyzowanym i redukującym politykę do wąskiego piaru.

W takiej sytuacji myśl polityczna znalazła schronienie w podziemiu. Wykształciły się tam trzy główne środowiska polityczne, opozycyjne wobec istniejącej rzeczywistości. Najmłodsze było najsilniejsze. Nie określało się zbyt precyzyjnie, z pewnym uproszczeniem możemy nazwać je socjal-demo-liberalnym. Socjalizm był raczej chowu sowieckiego niż zachodniego, gdyż siłą rzeczy punkt odniesienia stanowiła rzeczywistość PRL. Wyrosło ono w latach 60. w środowiskach młodzieżowych na pograniczu liberalnej frakcji PZPR, przewodziło rewolcie studenckiej 1968 r., a wyrzucone poza nawias legalnego działania, rozwijało się w warunkach na wpół konspiracyjnych i znalazło partnera – a okazjnie schronienie, w koncesjonowanych stowarzyszeniach progresywnych katolików, wyrosłych zresztą z nurtu neopozytywistycznego. Ten sojusz młodej lewicy laickiej z postępowym młodym katolicyzmem niezbyt świadomie nawiązywał do wyidealizowanego wzorca Października. Wszystko to, czego wówczas nie zrealizowano należycie, zamierzano powtórzyć, lecz w lepszym, bo starannie przemyślanym wydaniu.

Drugie środowisko, silnie związane z Kościołem, było kontynuacją chrześcijańskiej i narodowej demokracji. Skupiało się na kwestiach podstawowych: biologicznym przetrwaniu narodu oraz obronie tradycyjnych wartości moralnych i kulturowych. Nie miało większych ambicji czynnego udziału w polityce – uznając, że warunki geopolityczne na to nie pozwalają.

Trzecie środowisko było najślabsze, lecz chyba najlepiej przygotowane intelektualnie i organizacyjnie do nadchodzącego czasu burzy i naporu. Miało charakter najbardziej zamknięty i całkowicie zakonspirowany. Skupiało wąskie środowiska piłsudczykowski, określające się wewnątrznie jako nurt niepodległościowy (nn). Słabość liczebna wynikała głównie z determinacji wcześniejszy działań, gdy nie żałowano krwi, a także z faktu, że środowiska niepodległościowe zarówno Niem-

cy, jak Sowieci i ich polscy pomocnicy traktowali najokrutniej. Jakość przygotowań była z kolei rezultatem bardzo starannego, rygorystycznego doboru kadr. Przeważali ludzie wysoce kompetentni w swoich dziedzinach, o dużym doświadczeniu teoretycznym i praktycznym. Miałem okazję przekonać się o tym wkrótce po przyjęciu do nn w 1959 r., gdy jako prawnika-konstytucjonalistę z wykształcenia skierowano mnie do zespołu pracującego nad modernizacją Konstytucji Kwietniowej 1935 r. Działaliśmy w ścisłej konspiracji, co uniemożliwiało spotkanie się w większym gronie, wszystko trzeba było prowadzić w indywidualnych rozmowach oraz wzajemnym przekazywaniu pisemnych propozycji i opiniach. W porównaniu z dobrze mi znanymi seminariami uniwersyteckimi, prowadzonymi przez wybitnych procesorów, był to poziom znacznie wyższy, mimo bez porównania trudniejszych warunków pracy. Jednak, bez względu na przeszkody, już pod koniec lat 60. dysponowaliśmy projektem konstytucji, dopasowanym do warunków końca XX wieku oraz do istotnych cech charakteru Polaków. Projekt ten przedstawiłem w książce, wydanej w połowie lat 80. w drugim obiegu w Kraju oraz w Paryżu, a bez konieczności jakiś istotnych zmian, złożyłem w Komisji Konstytucyjnej, powołanej przez Sejm w 1992 r. W porównaniu z innymi zadaniami kodyfikacja konstytucji należała do najłatwiejszych. Głównym przedmiotem naszych prac było przygotowanie zarówno programu działania, prowadzącego do odzyskania niepodległości, jak też projektów niezbędnych, gdy zacznie funkcjonować Trzecia Rzeczpospolita.

Przewidzieliście wybuch społeczny w końcówce lat 70. na podstawie analizy demograficznej i ekonomicznej. Uczestniczyliście w tworzeniu demokratycznej opozycji, inicjowaliście Wolne Związki Zawodowe, chłopski ruch protestu, powołaliście KPN z zadaniem uwolnienia Polski spod władzy sowieckiej, zapowiadaliście upadek PRL i odzyskanie niepodległości przez Polskę. Wszystko to większość struktur opozycyjnych bardzo długo uważała za niemożliwe. Jak do tego dochodziliście?

Myszę, że działały dwa czynniki. Po pierwsze, nie zajmowaliśmy się żadnymi ideologiami, nie badaliśmy doktryn filozoficzno-społecznych, nie organizowaliśmy dialogu pomiędzy katolikami a marksistami, nie rozważaliśmy, czy równość i wolność są z sobą sprzeczne. Zajmowaliśmy się wyłącznie polityką, traktowaną jako działanie profesjonalne, a więc wymagające przygotowania intelektualnego i organizacyjnego. Po drugie nie interesowało nas, czy i jak można zreformować PRL. Nie traciliśmy na to czasu. W sytuacji pełnej zależności od ZSRR wszystkie zmiany musiały uzyskać aprobatę Moskwy, a to przekreślało możliwość rzeczywistej reformy, nawet najlepiej pomyślanej. Warunkiem wyjściowym, pozwalającym na prawdziwe i trwałe zmiany, było odzyskanie niepodległości, co samo przez się powodowało likwidację PRL – satelickiego tworu powołanego przez Sowiety.

Skupienie się na realnej polityce wymagało od nas nieprzerwanej analizy zmieniającej się rzeczywistości międzynarodowej, wewnątrz obozowej i krajowej. Jedna i druga ulegały istotnym przemianom. O tych drugich już wspominałem. System światowy pod koniec lat 60. ulegał radykalnej zmianie: z dwubiegunowego stawał się wielobiegunowy, a trzeci biegun, zarówno geopolityczny, jak ideologiczny wyrastał w Chinach. Dzisiaj nie dostrzega się tej przemiany, przyćmiły ją późniejsze wydarzenia, ale odbierali ją współcześni; pisałem o tym w wydanej w 1971 r. książce „Dylematy” – wkrótce potępionej i wycofanej z księgarń². Była ona częściowym tylko, głównie ze względu na cenzurę, przedstawieniem wyników badań, prowadzonych przez nas na bieżąco. Prognozy przekształceń układów geopolitycznych pozwalały nam przewidywać działania mocarstw, a w tworzonym przez nie systemie sprzężeń można było wynaleźć luki do wykorzystania. Jedna okazała się wystarczająco duża. W wyniku wieloletnich, różnorodnych manewrów, w sierpniu 1975 r. doszło w Hel-sinkach do swoistego zawieszania broni pomiędzy Zachodem i ZSRR. USA były rozbite wewnętrznie po aferze Watergate, kryzysie naftowym i klęsce wietnamskiej. Europa zachodnia szukała jakiegoś stabilizujące-

² L. Moczulski, *Dylematy. Wstęp do historii Europy zachodniej 1945–1970*, Warszawa 1971.

go porozumienia z ZSRR. Moskwa czuła się panem sytuacji. Dwa lata wcześniej – w 1973 r. – pojawiła się okazja do położenia łapy na Bliskim Wschodzie, ale bariera NATO, przecinająca basen Morza Śródziemnego, uniemożliwiła interwencje zbrojną ZSRR w konflikt egipsko-izraelski. Zapory nie dawało się obejść – okazja uciekła Moskwie przed nosa. Dlatego w ciągu dwu następnych lat Związek Sowiecki doprowadził do Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE). Strony gwarantowały sobie nienaruszalność podziału Europy, w zamian za co ZSRR uzyskiwał wolną rękę w strefie afro-azjatyckiej. Pozwalało to na przebicie się Sowietów na południe, do Oceanu Indyjskiego – i bezpośrednie dotarcie do naftodajnej strefy od wschodu. Wtedy nagle urosło strategiczne znaczenie Afganistanu. Rosjanie również zapłacili za Hel-sinki, akceptując zachodnią, uznaną przez ONZ zasadę przestrzegania praw człowieka. Dla Polski pojawiła się sytuacja wyjątkowa. Przy utrzymywaniu zamrożonych frontów zachodniego i wschodniego (chińskiego), skierowanie głównych sił sowieckich na południe wymagało utrzymania politycznego rozejmu na zachodzie – co najmniej do momentu, gdy droga do Bliskiego Wschodu zostanie otwarta. Oznaczało to m. in., że w strefie zależnej od ZSRR, a w szczególności w PRL komuniści musieli zachowywać wszelkie pozory, a więc nie stosować otwartych politycznych represji. Konieczność takiej, czasowo zliberalizowanej polityki, była również pochodną nowych możliwości, jakie przed Moskwą otwierały się w zachodniej Europie. We Włoszech powstała szansa utworzenia rządu z udziałem komunistów, co dawało Sowietom dostęp do wnętrza NATO; w RFN socjaldemokratyczny kanclerz Helmut Schmidt powoli zaczynał się skłaniać do neutralizacji tego państwa; we Francji prezydent Giscard d'Estaing zabiegał o zbliżenie z ZSRR. W obliczu tak wielkich perspektyw, dla Kremla bez znaczenia było, że Gierek będzie miał kłopoty z jakimiś grupkami dysydentów; w ZSRR zresztą coś podobnego funkcjonowało już od pewnego czasu, a w środowiskach intelektualnych kolportowano *samizdat* – i ustrój z tego powodu się nie zawalił. Dla nas sformowanie takich *małych grupek* miało kluczowej znaczenie. Ze wspomnianych przez Ciebie analiz demograficznych, prowadzonych przez

nas od końca lat 50. wynikało niezbicie, że trwający przyrost energii społecznej osiągnie apogeuem około 1980 r. Ponieważ władze nie były w stanie tej energii zagospodarować, powstawała klasyczna sytuacja rewolucyjna. Otóż, wcześniejsze pojawienie się opozycji politycznej, choćby najskromniejszej liczebnie, pozwalało ukierunkować cały proces. Co więcej, we względnie krótkim czasie, ten ruch sprzeciwu mógł liczyć na nagłe i masowe poparcie. Eksplozja społeczna w Polsce, jak wszystko wskazywało znacznie potężniejsza od poprzednich, radykalnie zmieniała sytuację nie tylko w obozie sowieckim, lecz w całej Europie. Powstawały warunki, w których odzyskanie przez Polskę niepodległości stawało się realne. Dlatego w ciągu dwu tygodni po podpisaniu Aktu Końcowego KBWE zapadła nie tylko decyzja, lecz rozpoczęliśmy bezpośrednio przygotowania organizacyjno-techniczne do powołania partii.

Muszę się cofnąć w czasie i przypomnieć, że jeszcze w 1969 r. otrzymałem zadanie stworzenia całkowicie wyodrębnionej komórki, która zadaniem było przygotowanie powstania partii niepodległościowej. Z czasem otrzymała ona kryptonim „Konwent”. Od tej pory prace analityczne i programujące rozwijały się dwutorowo: bardziej ogólne kontynuowano w tym samym kształcie organizacyjnym, zwanym *chaotyczną strukturą*, a szczegółowo rozpracowywał je Konwent. Ważniejsze ustalenia wracały zresztą na forum nn, gdzie poddawano je ostatecznej analizie. Taka dwustopniowość wynikała nie tylko z wyjątkowo rygorystycznie traktowanych zasad ścisłej konspiracji, lecz również z wymogów życia. Nurt niepodległościowy skupiał w większości osoby w raczej podeszłym wieku. Wiadomo było, że to nie oni poprowadzą jawne działania niepodległościowe – tylko młodsze pokolenie. Dobierano nas starannie, poddawano starannemu szkoleniu, dopuszczano do coraz poważniejszych zadań. Wspomnianą komórkę powołano dziesięć lat przed spodziewanym wybuchem społecznym i nadano jej absolutnie samodzielny statut. Podejmowaliśmy decyzje, nikogo wcześniej nie pytając, tylko raportując, jeśli była taka potrzeba, co postanowiliśmy. Jedynie kluczowe kwestie koncepcyjne przekazywaliśmy do oceny. M. in. sami podjęliśmy decyzję o podjęciu półjawnych dzia-

łań. Pierwsze było pozornie rocznicowe spotkanie 11 listopada 1973 r. grupy kilkudziesięciu osób w poznańskim mieszkaniu Staniewiczów³, generalnie spoza nn i o różnych przekonaniach, na którym miałem referat „Obowiązek naszego pokolenia”. W tym czasie w skład Konwentu wchodził Leszek Moczulski, Restytut Staniewicz, Romuald Szerebietew, Andrzej Szomański – oraz w ograniczonym zakresie Ryszard Żywiecki.

Otóż w połowie września 1975 r. w mieszkaniu Romualda Szerebietiewa doszło do zwołanej przez Konwent odprawy roboczej, podczas której nie zastanawialiśmy się, czy podjąć i jakie akcje, lecz rozdawaliśmy gotowe zadania poszczególnym osobom. Po kilkunastu latach przygotowań, wiadomo było, co trzeba zrobić i w jakiej kolejności. Mieliśmy gotową doktrynę działania, później nazwaną *rewolucją bez rewolucji*. Była to forma powstania, skoncentrowanego na uderzeniu społecznym i politycznym, przy żelaznej zasadzie unikania starcia fizycznego – bo te musiała wygrać władza. Wcześniej, zgodnie z koncepcją *góry lodowej* kolejne fragmenty struktury opozycyjnej miały wynurzać się na powierzchnię, gdy pod wodą pozostawało całe zaplecze polityczne, kadrowe, organizacyjne i techniczne. Główną siłę uderzeniową miały być środowiska robotnicze, wstępnie już zorganizowane przez komunistyczną władzę zgodnie z potrzebami organizacyjnymi superkoncernu. Stąd gotowy projekt Wolnych Związków Zawodowych – narzędzia ataku i destabilizacji, a nie samopomocy pracowniczej. Wspierać go miał ruch chłopski, formowany z wykorzystaniem dawnych struktur PSL. Do kluczowych zadań należało szybkie zorganizowanie jawnie działającej sieci biur organizacyjnych oraz uruchomienie periodycznych i ulotnych wydawnictw. We wszystkich tych zakresach przygotowaliśmy szczegółowe rozwiązania, a także najrozmaitsze taktyczne chwytły i tricki. Na ich wymyślenie mieliśmy wcześniej aż nadmiar czasu. Ponieważ nikt z nikąd nie dawał nam pieniędzy, cała działalność musiała być samofinansująca się,

³ Nieżyjący już prof. Witold Staniewicz był związany z Józefem Piłsudskim od czasu formowania Związku Strzeleckiego – i należał do najstarszych członków nn.

tj. pochodzić ze środków własnych uczestników i pomocy sympatyków. Wreszcie – było nas względnie niewielu, pierwszym zadaniem stało się uruchomienie kanałów do znanych nam grup i środowisk kształtujących się w podziemiu, aby wspólnie rozpocząć działania. Obradowaliśmy w malutkiej kawalerce, aby zapalić papierosa, trzeba było wychodzić na klatkę schodową. Pamiętam, jak podczas takiego wyjścia, zapytał mnie Romek Szeremietiew – *Leszek, czy ja śnię, czy to dzieje się naprawdę?* Coś mu odpowiedziałem, ale również miałem poczucie absolutnej nierealności. Ale wszystko poszło – i to bez większych zgrzytów.

Powiedziałeś, że Moskwie zależało, aby żadne represje nie naruszały dobrych stosunków z Zachodem. Ale przecież brutalnie stłumiono strajki czerwcowe 1976 r.

To dobry przykład. Gierek bardzo starannie przygotowywał się do ogłoszenia podwyżki cen, MSW przeprowadzała badania, jak przyjmą to ludzie. Uznano, że do niczego nie dojdzie. Dlatego strajki w Ursusie i Radomiu były ogromnym zaskoczeniem, a brutalna reakcja SB i MO nastąpiła automatycznie. Jednak błyskawicznie, być może po interwencji Moskwy, władze PRL przeszły do odwrotu. Jeszcze tego samego dnia premier Jaroszewicz odwołał podwyżki – co niewątpliwie uspokoiło sytuację w kraju. Później władze zachowywały się z nietypowym liberalizmem. Doszło do procesów, ale były one jawne i dopuszczono obecność obserwatorów ze środowisk opozycyjnych, a także organizacje pomocy dla uwięzionych robotników i ich rodzin. Siłą rzeczy tworzyło to sytuację, w której możliwe stało się utworzenie Komitetu Obrony Robotników Represjonowanych w Wyniku Protestów Społecznych w Czerwcu 1976 – jak brzmiała pełna nazwa KOR. Władze nie zareagowały, mimo iż powstanie jawnej struktury opozycyjnej było znacznie większym zagrożeniem niż odosobnione strajki. Wpłynęło na to potępienie represji przez Berlingera – szefa WPK. Uczyniło to przecież nie z dobrego serca, tylko ratując koncepcje utworzenia we Włoszech rządu Wielkiej Koalicji z udziałem komunistów. Taki wyłom w strukturze NATO miałby kluczowe znaczenie dla ZSRR.

Chyba tylko wy przewidzieliście eksplozję społeczną i wprowadziliście ją do swoich planów.

Tak wygląda. Nie świadczyło to jednak o naszej wyjątkowej mądrości czy lepszym wykształceniu – tylko wynikało ze szczególnych, ogólnie korzystnych dla nas warunków. W stosunku do władz dysponowaliśmy trwałą przewagą sytuacyjną. Przez lata skupialiśmy całą uwagę na przygotowaniach, bo nie prowadziliśmy przecież bieżącej działalności politycznej. To narzucało nam myślenie wyłącznie perspektywiczne, wymagało szczególnej konsekwencji intelektualnej, rozpatrywania wszystkiego pod kątem wytyczonego jasno długiego marszu. Mieliśmy zresztą w nurcie niepodległościowym dobrych nauczycieli – ludzi o doświadczeniu politycznym sięgającym 1905 r., którzy dużo wcześniej, z racji swych cech osobistych i profesjonalnego przygotowania pełnili poważne funkcje państwowe, dowódcze, sztabowe, administracyjne czy gospodarcze. Dla nich myślenie systemowe, korzystanie z systematycznie ponawianych analiz politycznych, gospodarczych, demograficznych, kulturowo-świadomościowych czy strategicznych było czymś niezbędnym. Pozwalało to nam pełniej korzystać z aparatu pojęciowego i analitycznego, wypracowanego jeszcze w okresie przedwojennym przez środowiska piłsudczykowsko-sanacyjne. Pracowaliśmy w warunkach swoistego komfortu intelektualnego: wolni od konieczności codziennego rozstrzygania, odnoszenia się do izolowanych faktów, obracaliśmy się myślowo w świecie długotrwałych procesów i przeobrażających się zjawisk.

Zupełnie inną perspektywę ma polityka widziana z pozycji rządzących. Normalną rzeczą jest konieczność natychmiastowego reagowania na to, co się dzieje. Lepsze czy gorsze rozwiązywanie pojawiających się codziennie problemów pochłania lwią część czasu. Nie starcza go na zajmowanie się dalszą przyszłością, co powoli przechodzi w przyzwyczajenie. W realnym socjalizmie wszystkie rządy skupiały się na sprawach bieżących, głównie na przełamywaniu *przejściowych trudności*. Sowieci nigdy nie opisali bardziej szczegółowo drogi, która doprowadzi ich do marksowskiego komunizmu, albo do geopolitycznej władzy nad światem. Nawet jeśli próbowali, okazywało się to naiwnym nieporo-

zumieniem. Rygorystycznie traktowano przygotowanie planów gospodarczych, lecz tej konsekwencji brakowało przy ich formowaniu, gdzie można było zapisać, co się chciało. Wszyscy wiedzieli, że plany muszą być wielokrotnie zmieniane w toku realizacji. Gdy wybiegali w przyszłość, to tylko w tę najbliższą – i nie stać ich było na stanowcze prognozy. Dlatego – choć sprzeciw społeczny w różnym stopniu występował przez całą historię PRL, a zorganizowana opozycja funkcjonowała przez jakieś 15 lat, nigdy nie byli w stanie przygotować całościowego planu likwidacji czy wygaszenia tego największego zagrożenia dla realizowanego totalitaryzmu. Wszystko przesłaniały potrzeby chwili. Do tego dochodziło słabe przygotowanie głównych decydentów. Zarówno Gomułka, jak Gierek skończyli po kilka klas podstawówki; pierwszy miał za sobą niższy szczebel szkolenia marksizmu-leninizmu w stalinowskim wydaniu, drugi był człowiekiem z nikąd⁴. Górował nad nimi kulturą i wykształceniem Jaruzelski – ale była to przewaga niewielka. Nie miał przygotowania politologicznego, był zawodowym wojskowym, niewątpliwie inteligentnym, lecz analizując prowadzone przez niego gry operacyjne i ćwiczenia sztabowe przewidujące użycie broni nuklearnych, z pewnym zdumieniem można zauważyć, że nie znał, albo nie rozumiał aktualnych zasad amerykańskiej doktryny wojennej. Widocznie była to wiedza tajemna, zastrzeżona dla sowieckich ekspertów. Członkami Biura Politycznego KC PZPR bywali z reguły również *towarzysze z inteligencji*, ale ich głos ważył znacznie mniej niż *klasowo czystych* – nieskalanych jakimiś studiami. Dodać do tego należy, że we wszystkich węzłowych kwestiach i tak rozstrzygały decyzje Moskwy, nie podlegające przecież dyskusji.

Inaczej przedstawiały się sprawy w opozycyjnym *mainstreamie*. Nie brakowało tam ludzi myślących i dobrze wykształconych; w dość sze-

⁴ Nikt nie słyszał o nim ani w KPP, ani w komunistycznych partiach francuskiej i belgijskiej. Gdy ambasada PRL otrzymała polecenie, aby postawić go na czele nowo-tworzonego Związku Polaków w Belgii (zapewne przykrywki jakiejś siatki szpiegowskiej), nikt nie wiedział, o kogo chodzi. Po wezwaniu to Polski i krótkim kursie posługiwania się językiem polskim w słowie i piśmie (przedstawia to w „Dziennikach” jego nauczyciel – Mieczysław F. Rakowski – wówczas odkomenderowany z wojska instruktor KC PZPR) został Sekretarzem KW PZPR w Katowicach, a na najbliższym Zjeździe członkiem Biura Politycznego.

rokiem zapleczu nurtu liberalno-demokratycznego było ich aż nadmiar. Rzecz w tym, że wszyscy chyba byli przekonani, że dwubiegunowy układ geopolityczny, a więc i zwierzchnictwo ZSRR nad środkowo-wschodnią Europą ma długą przyszłość. Jeśli tak, to wydarzenia międzynarodowe nie mogły mieć większego znaczenia na to, co dzieje się w Polsce; Amerykanie przecież nie przybędą tutaj, aby zmienić ustrój. W młodszej, aktywnej politycznie generacji np. początkowo nie rozumiano, czemu należy zwracać się do Berlinguera w sprawie represjonowania robotników – a to przecież okazało się kluczowym faktem. Po latach, podczas rozmów o utworzeniu koalicyjnego rządu w końcu 1991 r. jeden z wybitnych działaczy KOR, wówczas już działacz prawicowy, za moją wielką zasługę uznał zwrócenie uwagi na konflikt sowiecko-chiński. Rzeczywiście, wiosną 1977 r. na jakimś przypadkowym spotkaniu w Klubie Inteligencji Katolickiej przedstawiałem aktualną sytuację. Mniej więcej to, o czym mówiłem przed chwilą: ZSRR militarnie związany przez NATO i Chiny kieruje się na południe, co zapewnia nam czasowe bezpieczeństwo. Facet najwyraźniej nic nie rozumiał, a konflikt chińsko-sowiecki był dla niego takim zaskoczeniem, że go zapamiętał. Tyle, że konflikt ten trwał wówczas od dobrych dwudziestu lat – a jedynym wielkim wydarzeniem tego okresu, który mój rozmówca znał, była mikroskopijna ruchawka Che Guevary w głębi peruwiańskich Andów. Minimalistyczne ustawienie celu – demokratyzacja istniejącego systemu przy zachowaniu jego kanonów ideowych, powodowało, że wszystko miało się rozegrać w jakiejś izolowanej rzeczywistości pojedynczego kraju, a co najwyżej całego obozu. Ograniczenie było więc podwójne: zamknięty zakres celów, możliwych do osiągnięcia w zamkniętym obszarze. Wszystko, co mieściło się poza – było nieistotne. Dochodziło do tego przekonanie, typowe zarówno dla radykalnego klasowo socjalizmu jak i leninowskiego komunizmu, że samorzutne, masowe wystąpienia społeczne mogą być niebezpieczne, a nawet szkodliwe. Nigdy nie wiadomo, dokąd żywioł może doprowadzić. Przy ogromnej przewadze dyskursu ideologicznego nad prostą analizą mechanizmów prowadzących do autentycznych przemian społecznych i kształtujących nowy stosunek działających sił, takie

np. badania demograficzne były pozbawione celu. Decydowała wyższość ideologii, a nie jakieś zmiany ilościowe. Nawet w rozwiązywaniu najbliższych problemów. U progu epoki opozycyjnej Adam Michnik, zapewne najinteligentniejszy w całej młodszej generacji, wydał książkę trafnie postulującą połączenie wysiłków lewicowej inteligencji laickiej oraz progresywnych katolików. Była to doskonała koncepcja dla środowisk dysydenckich. Mogła być zrealizowana jednak tylko wysoko ponad społeczeństwem – bo na dole dominowali rewindykacyjni para-socjaliści oraz tradycyjni katolicy.

Wracając do przerwane go tematu – eksplozji społecznej, to w owym czasie sporo mówiło się o możliwości robotniczego buntu na wzór grudnia 1970 r. Uważano to jednak za kwestię teoretyczną. Wiele osób, w tym wybitnych opozycjonistów było przeciwko, gdyż obawiali się, że podobny wybuch wywoła natychmiastową reakcję sowiecką i wszystko skończy się równie krwawo, jak na Węgrzech. Mówiono to głośno, choć na pewno występowały i nie ujawniane źródła niepokoju. Ale na ogół panowało przekonanie, że takie masowe wystąpienia społeczna są nie-realne. Wyprowadzano to z zachowania władz, które czyniły wiele, aby jakimś niebacznym krokiem nie spowodować robotniczych protestów. Tylko, że padająca gospodarka żądała podjęcia bardziej stanowczych działań. Dodajmy do tego, że niemal powszechnie nie dostrzegano czy niedoceniano przeobrażeń, następujących w postawach społecznych Polaków. Nawet „Kultura” paryska, która dla licznych środowisk polskich, zwłaszcza opozycyjnych, była rzeczywistym przewodnikiem intelektualnym, w podwójnym numerze datowanym na lipiec-sierpień 1980 opublikowała dwa artykuły zapewniające, że w PRL panuje całkowita stabilizacja i tylko Moczulski awanturniczo fantazjuje o jakiejś rzekomo nadciągającej eksplozji społecznej. Muszę przyznać, że we wrześniu 1980 r. – kiedy ten numer dotarł do Kraju, czytałem te zapewnienia z dużą satysfakcją.

Na czym oni opierali takie przekonania? Mogli się powoływać na jakieś fakty?

Nie wiem. Podawana argumentacja była wąta. Formuła KSS KOR wyczerpała się, co zmniejszało napływ wolontariuszy – ale to trudno było uznać za postępujące uspokojenie społeczne. To zresztą dość typowa sytuacja, gdy politycy tak bardzo zasklepiają się w swoich taktycznych rozgrywkach i problemach chwili, że przestają dostrzegać rzeczywistość. W tym przypadku być może interesowało ich coś innego. Rzeczywiście, czas był przełomowy – i tworzył najrozmaitsze możliwości. ZSRR po inwazji na Afganistan wchodził w decydującą fazę swej globalnej polityki. Potrzebne mu było uspokojenie sytuacji w Polsce – i to niewymuszone siłą, tylko zaprowadzone pokojowo. Z drugiej strony opozycja w Polsce przestała już być traktowana, jako grupka utopijnych naiwniaków czy marzycieli i stawała się ważnym faktorem polityki, brany już pod uwagę na płaszczyźnie międzynarodowej. Otwierały się szanse dla różnych gier politycznych. Gdybym dążył do reformy PRL, na pewno wykorzystałbym taką sytuację dla osiągnięcia jakiś doraźnych celów.

Jednak to eksplozja społeczna, a nie jakieś taktyczne zagrania odgrywały w naszej doktrynie politycznej kluczową rolę. To miała być forma niezbrojnego powstanie narodowego. Jak pisałem w „Rewolucji bez rewolucji”, wybuch społeczny należało *przekształcić w masowe działania oparte na trzech zasadach: strajk okupacyjny zamiast konfrontacji ulicznej, powszechność strajku we wszystkich regionach i dziedzinach gospodarki, samoorganizacja*. Prowadziło to do obezwładnienia władzy i otwierało drogę do realizacji pięcioletniego programu dojścia do niepodległości. W istniejących warunkach stał się on realny – jakkolwiek nie natychmiastowo. Rosja, przynajmniej w dość krótkim terminie, nie była w stanie zrezygnować ze swojego wielkiego planu, opisanego wyżej, co zapewniało nam bezpieczeństwo zewnętrzne. Z kolei nadchodzące apogeum przyrostu energii społecznej dawało siłę, zdolną w tym krótkim czasie zdruzgotać totalitarny system. Liczyliśmy się z przeciwdziałaniem, wprawdzie spóźnionym, ale mocnym. Tworzyło to sytuację dwufazową. Komunistyczny kontratak miał zresztą również i swoje ogromne zalety, gdyż demaskował czynami, że rządzący to tylko antypolskie narzędzie Moskwy. Za przewidywanie tej dwufazowości byłem ostro krytykowa-

ny podczas tzw. festiwalu „Solidarności”, który zresztą obserwowałem z więzienia. W każdym razie eksplozja była dla nas najważniejsza, trzeba było tylko dobrze ją poprowadzić.

Dlatego w decydującym momencie, we wrześniu 1980 r. – tylko ty, znalazłeś się w więzieniu.

Nie przeszkodziło to, że wybuch społeczny i powstanie „Solidarności” rzeczywiście zdruzgotały system, a ZSRR stracił możliwość kontynuowania w kategoriach globalnych polityki agresywnej ekspansji. To był decydujący krok w całej rewolucji bez rewolucji. Inna rzecz, że późniejsze wydarzenia mogły przebiec szybciej i znacznie mniejszym kosztem.

KPN jako jedyne ugrupowanie głosiła również, że odzyskanie niepodległości, rozumiane jako czynne wyzwolenie się spod sowieckiej hegemonii, jest tym bardziej realne, że ZSRR ulegnie kompletnemu załamaniu.

Wynikało to już z analiz, prowadzonych na początku lat 60. Punktem wyjścia była istniejąca na przełomie tych dekad, krótkotrwała przewaga ZSRR nad USA w konstruowaniu rakiet kosmicznych (*Missile Gap*). Zadawaliśmy sobie pytanie, jakim kosztem kraj słabiej rozwinięty gospodarczo i dość zacofany technologicznie wyprzedził mocarstwo produjące w obu tych dziedzinach. Nie wchodząc w szczegóły dotyczące naszych, coraz szerzej zakreślanych badań, głęboko przeanalizowaliśmy i szczegółowo uzasadniliśmy intuicyjnie przyjmowaną tezę, że ZSRR rozwija zbrojenia i prowadzi agresywną politykę zagraniczną nie w oparciu i posiadany potencjał dyspozycyjny, tylko kosztem substancji – tj. ogółu posiadanych zasobów, od ludzi poczynając. Mówiąc prościej, podstawowa wartość, jaką jest potencjał geopolityczny, żywiła ekspansję nie z uzyskiwanych nadwyżek, tylko zżerając samą siebie. Względnie szybko potwierdzały to kolejnymi zjawiska. W latach '60 ZSRR ogromnym wysiłkiem budował potęgę nuklearno-rakietową – ale wyścig technologiczny z USA jawnie przegrał, Unaoczniono to w 1969 r. lądowanie Amerykanów na księżycu. Co gorsza, w wyniku tego krańcowego wysił-

ku, obóz sowiecki na przełomie dekad '60/70 znów znalazł się w dołku ekonomicznym. Wydostał się z niego przy pomocy kredytów zachodnich, ale nie przerwał kontynuowania samobójczej polityki ekspansji – co musiało prowadzić do katastrofy. ZSRR był po prostu zbyt słaby, aby rywalizować z USA.

Decydowały potencjały gospodarcze.

Wysuwały się niewątpliwie na plan pierwszy. Propagowaliśmy przez wiele lat bardzo proste rozumowanie. Istniejąca równowaga zbrojeń między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim pozwala założyć, nakłady na zbrojenia obu mocarstw można w przybliżeniu uznać za równe. Jednak, przynajmniej w latach 1950–1970 dochód narodowy (PKB) USA był w przybliżeniu cztery razy większy od sowieckiego. Jeśli więc przyjmiemy, że Sowieci wydawali na zbrojenia 50% PKB, to Amerykanie tylko 12,5%. Oznaczało to, że Rosjanie nie są w stanie uzyskać przewagi, gdyż koszty zbrojeń – czy w ogóle agresywnej polityki wywindowali tak wysoko, że dalej już iść nie mogli. Natomiast Amerykanie mieli duży zapas i mogli łatwo zwiększyć zbrojenia. Przy czym obciążenie zbrojeniami, dławiące Sowiety, dla amerykańskiej gospodarki okazywało się pozytywne. Zbrojenia, badania kosmiczne itp. oparte były o długoterminowe umowy pomiędzy państwem a bardzo licznymi przedsiębiorstwami, co po prostu stanowiło gwarantowany popyt. Nie ulegał on wahaniom koniunkturalnym i był czynnikiem stabilizującym całą gospodarkę. Słowem, nie były to obciążenia, tylko czynnik stymulujący wzrost. Natomiast w Rosji sytuacja była inna. Tam rozbuchany przemysł zbrojeniowy pochłaniał większość środków i nawet substancję, co dławiło całą gospodarkę.

Mówiąc systemowo, działały dwa mechanizmy. Sowieci, utrzymując tak wysoki poziom zbrojeń nie tylko hamowali własny rozwój gospodarczy, lecz równocześnie bezpowrotnie zużywali część swojego potencjału geopolitycznego. Nieuchronnie prowadziło to do katastrofy potencjałowej, a wzrost ekspansywności tylko takie zagrożenie przyspieszał. Natomiast mechanizm amerykański działał stymulująco na gospodarkę, przy

czym pozostawała spora rezerwa na intensyfikację zbrojeń. Gdy Sowieci rozwiną ekspansję – do czego przecież zmierzali, tym samym zaostrożając zimną wojnę, a Amerykanie będą musieli zareagować, m.in. zwiększając zbrojenia, to doprowadzi do wyścigu w warunkach, gdy Rosjanie wyśrubowali swoje wydatki ponad realne granice. Taką politykę zastosował później Reagan, co szybko doprowadziło do katastrofy potencjałowej ZSRR.

Od początku zakładając, że tak będzie, z radością odnotowywaliśmy, jak w następstwie Helsinek Sowieci przegrupowali swoje siły i rozpoczęli potężniejszą presję na południe. Fakty nie kazały długo na siebie czekać. Wiosną 1977 r. władzę w Afganistanie przejęli komuniści, a niespełna trzy lata później, pod osłoną krwawej wymiany rządzącej ekipy, kraj zaczął być okupowany przez wojska sowieckie. Iran, przy pewnej pomocy Moskwy, ogarnęła islamska rewolucja, w Iraku władzę przejął coraz bardziej pro-moskiewski Saddam Hussain, w Pakistanie czasowo doszła do władzy partia szukająca m.in. wsparcia sowieckiego. W drugiej połowie lat siedemdziesiątych Środkowy Wschód dezintegrował się gwałtownie, otwierając drogę dla sowieckiej ekspansji – to musiało doprowadzić do czynnej reakcji USA. Amerykanie zresztą wstępnie przygotowywali się do tego, m.in. prezydent Carter i Brzeziński doprowadzili do poważnego uspokojenia sytuacji wokół Izraela.

W tym samym czasie w Polsce kolejne roczniki wyższe przekraczały próg dorosłości. Ostatni, trzynasty z rzędu, czynił to w 1980 r. Tym samym najbardziej dynamiczna część społeczeństwa wzrosła do ponad jednej czwartej całej dorosłej populacji. Był to stan, który w Europie pojawiał się rzadko, a niósł z sobą ogromne zmiany. Taki zasób energii społecznej potrafiono w XVIII w. w Wielkiej Brytanii konstruktywnie zagospodarować – i przeprowadzona rewolucja przemysłowa zapewniła Zjednoczonemu Królestwu dominację na następne 200 lat. W pozostałych przypadkach dochodziło do udanych rewolucji. Otóż, komuniści udowodnili czynami, że nawet przy pełnym zatrudnieniu nie potrafią zagospodarować gwałtownie rosnącej energii społecznej – a ponieważ nie daje się ona magazynować, musi dojść do wybuchu, najprawdopodob-

niej już w 1980 r. Zgodnie z taką prognozą planowaliśmy nasze zadania. Koncepcja *góry lodowej* przewidywała nie tylko stopniowe wynurzanie się struktur, lecz również zaostanie tonu politycznego i stopniowe ujawnianie naszych celów. Pierwszą jawną strukturą był nie zcentralizowany formalnie ruch o charakterze ponad-politycznym, skupiający ludzi o różnych przekonaniach, wysuwający żądania teoretycznie zgodne z konstytucją PRL. Pod bezpośrednim wpływem Aktu Końcowego KBWE skonkretyzowaliśmy je jako żądanie przywrócenia i przestrzegania praw człowieka i obywatela. Obok tego posługiwaliśmy się projektem szerszym, ogłoszonym w sierpniu 1976 r. jako „Program 44”. W kolejności doprowadzaliśmy do politycznego samookreślenia się poszczególnych grup politycznych – a tym samym tworzenia niezbędnego dla przyszłej demokracji i pluralizmu politycznego. Następnie przedstawiliśmy program niepodległości – czyli uwolnienia się spod hegemonialnej władzy ZSRR oraz szczegółowy doktryny działania politycznego. Kończącą fazą tego procesu wynurzania było powstanie partii niepodległościowej – czyli KPN. Wedle wcześniej przygotowanego planu miało to nastąpić 11 listopada 1978 r. Sprowokowany przez SB rozłam w Ruchu Obrony spowodował, że datę tę przesunęliśmy o rok, ale następnie – aby zgrać czasowo z przygotowywanym w Londynie Kongresem Polski Walczącej, ustaliliśmy na 1 września 1979 r. Względnie szybkie tempo wynurzania wynikało z presji czasu. Liczyliśmy się z tym, że władze PRL – z własnej inicjatywy i pod naciskiem Moskwy, dążyć będą do stopniowanego rozbicia KPN, co są w stanie dokonać w ciągu roku czy półtora. Wynikało z tego, że partia niepodległościowa musi powstać z takim wyprzedzeniem wobec spodziewanego wybuchu, aby zdążyć utrwalić się w społecznej świadomości i przetrwać, jako działająca w skali kraju struktura.

Słowem, liczyliśmy na eksplozję społeczną, jako na czynnik decydujący, lecz decyzję o rozpoczęciu operacji „Góra lodowa” podjęliśmy we wrześniu 1975 r., gdy ZSRR podpisał układ helsiński, ograniczający swobodę działania Moskwy w Europie.

Rozmawiałem niedawno z jakimś amerykańskim profesorem, który zbiera materiały do pracy o formowaniu się opozycji w krajach obozu

sowieckiego. Gdy powiedziałem, że dla nas sygnałem był traktat w Helsinkach, aż podskoczył i wykrzyknął: *Pan jest pierwszym moim rozmówcą w Polsce, który to przyznał. Jak rozmawiam o punkcie zwrotnym z Niemcami, to mówią – Helsinki, jak z Czechami, to – Helsinki, z Węgrami również – tylko w Polsce, gdy pytam, jak wpłynęło na was porozumienie w Helsinkach to machają ręką: nie, nie, wszystko zaczęło się od „Solidarności”, albo od KOR, a Helsinki na nic nie miały wpływu.*

W tym okresie raczej powszechna była postawa niemożności, bezsilności. Mało kto wierzył w odzyskanie przez Polskę niepodległości w dającej się przewidzieć perspektywie.

Tak, przed 1981 r. niewielu uznawało taki program za realny. Nawet gorzej: ludzie często uważali niepodległość za zbędną – bo nie pasującą do ówczesnego dwubiegunowego świata, a nawet szkodliwą. W początkach 1981 r., gdy trwał festiwal „Solidarności”, a ja siedziałem na Mokotowie, wybitna i bardzo zasłużona działaczka opozycji powiedziała mojej żonie, że domaganie się niepodległości *śmierdzi faszyzmem*. Nawet jeden z czołowych *nieprawomyślnych* – Tadeusz Kisielewski, który przez cały czas istnienia PRL nie ukrywał swych opozycyjnych poglądów, w „Alfabcie „Kisiela” – wydanym w 1988 r. (!), tak wyjaśnił hasło *Moczulski Leszek – wariat, ale sympatyczny, wierzy, że Polska może odzyskać niepodległość*. Cóż więc mogli uważać inni, mniej inteligentni i przenikliwi? Trudno się temu dziwić. Potężny ZSRR trwał – i nie pojawiło się żadne mocarstwo, zdolne go obalić. Świadomość społeczna przyjmowała to za pewnik. Po 30-tu latach działania edukacji peerelowskiej i przejęcia jej przez nową inteligencję, skutki indoktrynacji politycznej były widoczne gołym okiem. To, że ludzie buntowali się przeciwko systemowi, który traktował ich jak narzędzia produkcji (definicja marksistowska!), mniej ważne niż maszyny, nie przeszkadzało, że dostrzegali rzeczywistość tak, jak ich nauczono w szkole i przez środki masowego przekazu. W różnych dziedzinach następowały zmiany na lepsze, demograficzne były wielce obiecujące, lecz w zakresie świadomości społecznej wyraźnie na gorsze. W latach 70. katedry uniwersyteckie i posady nauczycielskie

w szkołach w całości już znalazły się w rękach nowej inteligencji, wychowanej całkowicie w PRL. Poprzednia generacja nauczycielska łączyła osoby o pewnym autorytecie społecznym, o ukończonych studiach wyższych, często z tytułem doktora, ale także o wyrobionych przekonaniach politycznych, traktujące nauczanie, jako misję. Od lat 50. szkoły zaczęły przyjmować ludzi przyuczeni do zawodu, głównie po upartyjnionych liceach pedagogicznych, którzy z w lwiej części przypadków wybierali ten kierunek, bo na kształcenie się w innych byli zbyt słabi, a zawód nauczyciela zapewniał im spokojną pracę aż do emerytury. Co może ważniejsze, to nowe środowisko poddawane było bardzo silnej indoktrynacji ideologicznej i wychowywane już w przekonaniu, że głoszona im wiedza jest jedynie słuszna – a wszystkie inne wrogie, fałszywe i, co liczyło się najbardziej, zakazane. Nikt nie chciał wpaść w kłopoty. Nic dziwnego, że jeszcze w latach 60. obiegowym żartem było pytanie, dlaczego w PRL nie ma ministerstwa propagandy. Prawidłowa odpowiedź brzmiała: jest zbędne, gdyż mamy ministerstwo oświaty. Nie było rzeczą przypadku, że środowisko nauczycielskie stało się z czasem może najważniejszym zapleczem doboru aparaczków PZPR. Proces wymiany kadr na wyższych uczelniach był wolniejszy i nie tak kompletny jak w szkołach, lecz prowadził do podobnych skutków. Nominacje polityczne zaczęły się bardzo wcześniej i gdy w 1948 r. rozpoczęłam studia na Uniwersytecie Warszawskim, mieliśmy już dwu czy trzech takich profesorów. Jeden z nich początkowo chwalił się, że jest uczonym komunistycznym – i to nie było jakim, bo zrobił doktorat w instytucie marksizmu-leninizmu-stalinizmu w Wyższej Szkole Przemysłu Bawełnianego w Taszkencie, a tematem jego dysertacji była Stalinowska Konstytucja Kraju Rad. Na egzaminie zadał nam tylko jedno pytanie: jak brzmiał podtytuł książki Engelsa „O pochodzeniu rodziny, własności prywatnej i państwa”. Zdałem, bo jako jedyny z grupy znałem odpowiedź („W związku z badaniami Lewisa H. Morgana”), ale dostałem tylko trójkę, gdyż zamiast *ha* powiedziałem z angielska *eidź*. Zresztą później okazał się całkiem inteligentnym szefem katedry i wykształcił paru liczących się badaczy. W większości wypadków bardziej niż śmiać się, wypadało płakać. Bardzo szybko uru-

chomiono Wyższą Szkołę Partyjną, występującą pod zmieniającymi się dumnymi nazwami⁵ i posiadającą prawo nadawania stopni naukowych. To ułatwiło dość taśmowe nadawanie stopni szczególnie grupom osób. Byli więc w latach 50. *doktorzy z awansu społecznego*, którzy nie mieli matury, po 1968 r. *marcowi docenci* bez habilitacji, ale także *profesorowie z odzysku* (wystarczyło pisemne potwierdzenie jednego świadka, że dana osoba przed albo podczas wojny była profesorem sowieckiej uczelni – np. (to fakt autentyczny!) Szkoły Przodowników Pracy im. Kujbyszewa w Kujbyszewie. Kategorii było więcej: *z litości* (dobry towarzysz, ale przytrafiło mu się siedzieć w łagrze, albo przeżyć oblężenie Leningradu – co trzeba jakoś wynagrodzić), *za zasługi* (np. w walce z reakcyjnym podziemiem), *z potrzeby służbowej*. Tą ostatnią kategorię najlepiej obrazuje dowcip. W celu ideowego wzmocnienia kadr, na placówką dyplomatyczną wyznaczony został towarzysz, który sprawdził się przy organizacji uspołecznionej sieci handlowej. Ponieważ wymagane były kwalifikacje, odbył paromiesięczny kurs przygotowawczy, obejmujący m. in. naukę angielskiego. Komisja egzaminacyjna domagała się tylko jednego: żeby powiedział jakieś zdanie po angielsku. Egzaminowany milczy. Komisja redukuje żądanie: niech powie cztery słowa. Egzaminowany milczy, milczy i nagle błysk w oku: Metro, Goldwin, Mayer – wykrzykuje radośnie. – Dobrze, dobrze – cieszy się komisja. – Jeszcze jedno słowo, drogi towarzyszu! – Chwila namysłu i egzaminowany zaryczał niczym lew: – Auuu! – Brawo, gratulujemy – radośnie oceniła komisja. Dlaczego nazywano to *z potrzeby służbowej*? Powodu były dwa. Po pierwsze: pełnienie ważnej funkcji dyplomatycznej, podobnie jak np. kontrolnej w ministerstwie szkolnictwa wyższego wymagało posiadania odpowiedniego dyplomu, a po drugie wydawanie takich dyplomów było obowiązkiem komisji (z nie wydania, czyli złego nauczania trzeba było tłumaczyć się na piśmie).

Zostawmy już takie praktyki na boku, choć zjawisko nie było wcale marginalne. Kluczową kwestią była degradacja nauczania, a co za tym

⁵ Najpierw Instytut Czerwonej Profesury, następnie Instytut Kształcenia Kadr Naukowych, Instytut Nauk Społecznych. Wyższa Szkoła Nauk Społecznych i in. – ale wszystkie z dodatkiem przy KC PZPR.

idzie nauki – przynajmniej szeroko pojętych dyscyplin humanistycznych. Obecność starszej kadry dydaktycznej i naukowej, a także studentów, którzy uzyskali maturę przed latami 50., była równoznaczna ze znajomością innych poglądów i innych ustaleń naukowych niż wbijane do głów – i dawała możliwość ich przeciwstawiania, choćby w duchu, głoszonym oficjalnie tezom. Dawało to dość szeroki margines intelektualny, pozwalało wybierać. Powolna początkowo zmiana, bardzo szybko dobiegająca finiszu w latach 70., polegała na tym, że z czasem zastępowali ich młodszy – czy to nauczyciele akademicki względnie szkolni, czy też studenci i uczniowie, od początku edukowani w *jedynie słusznej ideologii*. Ogromna ich większość po prostu nie знаła alternatywnych tez czy wersji – i bez wewnętrznego sprzeciwu przyswajała sobie każdą bzdurę, którą następnie można było upowszechniać wszędzie, także z katedr uniwersyteckich. Stąd takie, do dziś szeroko rozpowszechnione poglądy, że Pierwsza Rzeczpospolita była tylko narzędziem niewolenia chłopów – co doprowadziło do jej upadku. Z kolei Druga Rzeczpospolita miała być państwem skrajnie faszystowskim, a co najmniej wyróżniała się autorytaryzmem w całej Europie. Z kolei inicjatorzy i wodzowie wielkich powstań narodowych, z warszawskim włącznie, mieli tylko jeden *romantyczny* cel – aby milionami ofiar uwiarygodnić mit o Polsce – Chrystusie narodów, który swoim cierpieniem odkupuje świat (to najbardziej szlachetna wersja). Odwołuje się tutaj do historii, lecz taka prymitywna indoktrynacja dotyczyła wszystkiego, co wedle rządzących mogło mieć znaczenie polityczne – i to w maksymalnie szerokim rozmiarze. Nie wszyscy w takie nonsensy wierzyli, ale bardziej łagodne wersje przyjmowali bez większego oporu. Nie brakowało również ludzi, którzy sięgali głębiej, szukali na własną rękę, wyzwalali się sporym wysiłkiem spod ogłupiającej – ale i głupiej presji. Obroniły się niektóre ośrodki naukowe, lecz przeważała podstawowa masa, która najpierw chciała skończyć szkoły czy studia wyższe, a potem troszczyła się jedynie o własną karierę zawodową oraz wysokość uzyskiwanych zarobków.

Jeśli dodamy do tego środki przekazu, prasę i radio, a później najbardziej szkodliwą telewizję, łatwiej zrozumieć, że edukacja społeczna prze-

ciętnego Polaka stawała się coraz bardziej prymitywna, a znajomość świata ograniczona. Przed 1970 szczyty popularności osiągał zmuszający do myślenia, a co najmniej zadumy Kabaret Starszych Panów, po 1974 r. – rubaszny „Czterdziestolatek”, apoteoza bezmyślności. W latach 60. publicystyka w PRL osiągnęła poziom niespotykany w innych krajach obozu, gdyż dość krytyczne uwagi przedstawiała aluzyjnie – i zrozumiale dla wytrawnych czytelników. Po 1968 r. zaostorzono cenzurę, ale wkrótce okazało się to niezbyt konieczne, gdyż do masowej świadomości aluzje przestały trafiać. W latach 70. łatwiej było dostać paszport zagraniczny, ale lawinowo malało rozumienie zewnętrznego świata. Dlatego, wraz z wymianą pokoleń, każdą bzdurę łatwiej było wciskać do głów. Świadomość społeczna uległa istotnym przemianom. Dotyczyło to również tych młodych ludzi, którzy trafiali do opozycji. Hasła generalnej reformy PRL trafiały do wyobraźni, bo każdy widział, jak to państwo źle funkcjonuje i podle traktuje swych obywateli. Postulat odzyskania niepodległości dla większości był już niezrozumiały: jakże to, przywrócić przedwojenne kapitalistyczne państwo, w którym małorolni chłopcy żywili się sianem, aby nie umrzeć z głodu?

Te ujemne przeobrażenia świadomościowe coraz bardziej utrudniały rozumienie istotnych problemów polskich, a cóż dopiero międzynarodowych. Skoro Helsinki okrzyczane zostały wielkim zwycięstwem ZSRR, jakże mogły być impulsem do tworzenia ruchów, domagających się respektowania praw człowieka?

Trafnie odczytując konsekwencje porozumienia w Helsinkach, potraktowaliście go jak sygnał do tworzenia jawnej i zorganizowanej opozycji.

Tak. Bezpośrednie tworzenie struktur opozycyjnych zajęło nam trochę czasu. Zgodnie z koncepcją *góry lodowej* powinny one jednoczyć różne grupy opozycyjne i rozwijać się na dwóch poziomach: jawnym oraz tajnym – stanowiącym bazę kadrową i techniczną dla pierwszego. Pewne opóźnienie spowodował protest konstytucyjny: zabezpieczając się po Helsinkach, ZSRR narzucił krajom satelickim zapisy konstytucyj-

ne, gwarantują kierowniczą rolę partii komunistycznych oraz wieczysty sojusz z ZSRR. Środowiska socjal-demo-liberalne organizowały protest tylko przeciwko tej pierwszej poprawce. Przyłączyły się do niego nasze środowiska, ale uzupełniły sprzeciw, występując stanowczo przeciw drugiej. Tak bardzo, że czołowy przywódca nn, jakim był gen. Abraham, wraz z innym członkiem nurtu – gen. Borutą-Spiechowiczem wysłali list protestacyjny do premiera Jaroszewicza – skądinąd też generała. Teoretycznie nie mieli oni prawa przedwcześnie ujawniać się politycznie – lecz uznano, że sprawa jest zbyt ważna. W końcu zimy 1975/76 doszło do programowo-organizacyjnego spotkania przedstawicieli bodajże pięciu grup konspiracyjnych; postanowiliśmy powołać wspólną organizację i uchwaliliśmy dokument programowy, zatytułowany „U progę”. Z mojej inicjatywy nowa struktura została nazwana Nurtem Niepodległościowym (z dużych liter). Ponieważ były oznaki, że SB trafiła na trop nn, powołanie NN – którego przyszła aktywność była nie do ukrycia, musiało im całkowicie w głowach. Wiosną powołaliśmy czteroosobowe kierownictwo NN (Czuma, Dworak, Grzywaczewski, Moczulski) o kryptonimie „Romb”, w sierpniu kolportowaliśmy na akademickiej pielgrzymce na Jasną górę „Program 44” – traktowany jako podstawa działania jawnej struktury – czyli Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Powtórzono tę nazwę w podziemnym miesięczniku „U progę”, wydawanym od początku jesieni.

Ale środowiska demo-liberalne zaktywizowały się również – powstał KOR.

KOR był następstwem wydarzeń w Radomiu i Ursusie. Te środowiska były cały czas bardzo aktywne, tylko dość długo nie stworzyły formuły organizacyjnej, pozwalającej na prowadzenie jawnych działań politycznych. Jednostkowo byli o tyle jawni, że nie ukrywali specjalnie ani swoich poglądów, ani spotkań czy dyskusji. W porównaniu z żelazną konspiracją nn były to wolnościowe występy chóralne na patelni. Oglądał je każdy, kto tylko chciał. Dobrze oddaje to ironiczny tytuł Szpotańskiego: „Cisi i gęgacze”. Taka półjawność miała zresztą swoje ogromne

zalety, gdyż w środowiskach inteligenckich upowszechniała zachowania dysydenckie. Po strajkach czerwcowych rozwijająca się bardzo pomoc dla represjonowanych robotników i ich rodzin wymagała stworzenia jakiejś struktury organizacyjnej, lecz nikt nie wiedział, jakiej. Wojtek Ziemiński, który brał udział w tych dyskusjach i był członkiem założycielem KOR, opowiadał mi, że Jerzy Andrzejewski wysunął nawet projekt utworzenia organizacji na wzór AK! Te majaczenia przeciął dopiero Jacek Kuroń, gdy wrócił z przymusowego pobytu w wojsku. Mimo, że sam był zwolennikiem formowania luźnych ruchów społecznych, tj. grup nieorganizowanych ludzi, łączących się tylko dla przeprowadzenia jakiejś jednej akcji, to doprowadził do powołania regularnego Komitetu, zdolnego do kierowania rozwiniętymi strukturami opozycyjnymi. Sam KOR był przede wszystkim organizacją humanitarną, udzielającą pomocy represjonowanym. Dopiero po roku przekształcił się w Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”, ale dość długo zaprzeczał, że ma charakter polityczny. Od samego początku rozwinął dynamiczną, wielokierunkową działalność. Dysponował bardzo szerokim zapleczem w środowiskach nowej inteligencji, zwłaszcza na uczelniach. Miał też znaczne możliwości finansowe, w tym pomoc zagraniczną. Udzielał mu jej również Rząd londyński.

Tym mnie zaskoczyłeś. Dlaczego nie wam, przecież go uznawaliście, a środowiska socjal-demo-liberalne raczej go wyśmiewały.

To bardzo skomplikowana sprawa. Pamiętaj, że utworzony w 1939 r. rząd emigracyjny był bardzo ostro antysanacyjny. Dopiero po śmierci gen. Sikorskiego ten wewnątrz-polski konflikt został z grubsza zażegnany, ale utworzona w 1945 r. Liga Niepodległości Polski dość długo pozostawała w opozycji. Później to się zmieniało, lecz piłsudczycy, jako rzekomo winni klęskę wrześniowej, nadal byli traktowali dość podejrzliwie. W latach 70. doszło do zmiany pokoleniowej, kierownictwo rządu przejęli ludzie, którzy przez poprzednie kilka dziesiątków lat przewodzili ZHP na Obczyźnie i programowo dystansowali się od polityki. Gdy do nie weszli niejako z musu, bo z obywatelskiego obowiązku – nie bardzo

orientowali się w tym pogmatwanym świadku. Ponieważ Stronnictwo Narodowe i PSL znalazły się poza ośrodkiem rządowym, prym przejęła PPS – bardzo antypiłsudczykowska. Gdy więc po ujawnieniu się opozycji w Polsce powołano w Londynie – pod egidą rządu, lecz od niego całkiem niezależny Komitet Pomocy dla Opozycji w Kraju, dominującą rolę odgrywała w nim PPS – przyjaźnie oceniająca program humanizacji real socjalizmu w Kraju. Nie bez znaczenia było, że wcześniej w środowisku powojennej emigracji politycznej zaaklimatyzowała się również emigracja pomarcowa – bardzo silnie powiązana z krajowym środowiskiem socjal-demo-liberalnym.

Wróćmy do głównego tematu. Mieliście cztery lata, aby z podziemia wyrwać się na powierzchnię, przejść przez kolejne formy organizacyjne, stopniowo ujawniać cały program polityczny, obronić się przed zmasowanymi atakami bezpieki i zapewne KGB, aby stworzyć coś, co w totalitarnym systemie komunistycznym było absolutnie nieprawdopodobne, wręcz niemożliwe do wyobrażenia: powołać jawną partię polityczną, która głośno oznajmi, że jej celem jest wyrwać Polskę z niewoli sowieckiej, obalić panujący w PRL ustrój i utworzyć niepodległą i demokratyczną Trzecią Rzeczpospolitą.

Rzeczywiście, czasu nie było zbyt wiele. Ale tempo wydarzeń w Polsce i na świecie w drugiej połowie lat 70. gwałtownie zaczęło przyspieszać, a my mieliśmy za sobą ponad 15 lat przygotowań. Opracowaliśmy, przedyskutowaliśmy, przećwiczyliśmy wszystko, co było możliwe. I to na obie przewidziane fazy działania. Pierwsza obejmowała okres do wybuchu społecznego – dla nas specyficznej formy powstania narodowego, druga do odzyskanie niepodległości i zbudowania podstaw Trzeciej Rzeczypospolitej.

Skupmy się na tej pierwszej fazie.

Proszę bardzo. W części prognostycznej opracowaliśmy warunki krajowe i międzynarodowe, jakie muszą powstać, abyśmy mogli przejść na kolejny, wyższy stopień eskalacji politycznej i organizacyjnej. Najważ-

niejsze dla nas było to, co dzieje się w Polsce, ale doszło wówczas do specyficznej sytuacji, w której to wydarzenia międzynarodowe decydowały o powstaniu korzystnych warunków dla rozpoczęcia jawnego działania. Przemiany demograficzne, prowadzące do powstania rekordowo wysokiej nadwyżki niewykorzystanej energii społecznej przebiegały automatycznie i ani nie mogliśmy, ani nie chcieliśmy na nie wpływać. Na politykę mocarstw również. Pozostało czekanie, aż ZSRR zwiąże się przez podjęcie pozaeuropejskiej ekspansji i wywoływanych przez nią konfliktów. Początkowo myśleliśmy tylko o Chinach, w podstawowej prognozie sporządzonej jeszcze w latach 60. sprawom dalekowschodnim przyznawaliśmy priorytet również ze względu na wzrastającą tam systematycznie aktywność USA. Dopiero pod koniec dekady dostrzegliśmy kluczową rolę kierunku południowego; wskazywałem na to w mojej książce „Dylematy”, wydanej w 1971 r. Po kryzysie dyplomatycznym (równoległym do naftowego) nie była to już prognoza, lecz rzeczywistość, śledzona przez nas bardzo uważnie. Oczekiwana przez nas korzystna sytuacja nadeszła latem 1975 r.; potwierdzały to Helsinki. To był pierwszy stopień, pozwalający na podjęcie jawnej działalności. Drugi stopień osiągnęliśmy wraz z powołaniem jawnej, ponad-politycznej (czyli łączącej grupy różno-programowe) organizacji, trzeci z powstaniem partii niepodległościowej. Czwartym był wybuch społeczny; zakładaliśmy, że dojdzie do niego po wejściu w życie dorosłe wszystkich roczników wyżowych (1948–1961) – czyli w 1980 r., ale braliśmy pod uwagę, że do eksplozji może dojść rok wcześniej. Począwszy od Helsinek zmieniły się też priorytety w naszych prognozach: sprawy międzynarodowe spadały drugi, choć nadal bardzo ważny plan, a na czoło wychodziły trzy kluczowe zagadnienia: zmiany w nastrojach politycznych Polaków; aktywność polityczna środowisk opozycyjnych; zachowanie władz PRL wobec formującej się opozycji. Termin pierwszego i czwartego stopnia od nas nie zależał, co do drugiego i trzeciego, podejmowaliśmy decyzje w zależności od istniejącej sytuacji. Był dość długi katalog czynników, które należało uwzględnić przy podejmowaniu decyzji; w praktyce znacznie go zredukowaliśmy. Każdy stopień obejmował kilka szczebli,

wymagających całościowej oceny sytuacji, ale w tym przypadku decyzje były podejmowane w znacznym stopniu intuicyjnie.

Prognozowanie i planowanie działań rozłożonych na etapy wydaje się dzisiaj oczywiste. Czemu nie czynili tego inni?

W odniesieniu do całego okresu 1976–1989 odpowiedź jest dość oczywista. Ogromna większość grup opozycyjnych powstawała spontanicznie, pod wpływem wydarzeń. Poszczególni ludzie mogli mieć jakieś przemyślenia, ale struktury powstawały z marszu, bez większych przygotowań. Chyba tylko trzy środowiska zdolne były do myślenia perspektywicznego. Na pewno narodowi oraz chrześcijańscy demokraci. Dość długo ulegali oni jednak teoriom neopozytywistycznym, stąd cele nie wybiegające poza istniejącą sytuację geopolityczną. Dla *twardych* endeków tezę Dmowskiego sprzed 1914 r., że mocarstwowość rosyjska jest czynnikiem trwałym i Polacy muszą ten fakt uznać, potwierdzała krótkotrwałość *sezonowej niepodległości* 1918–39. Pewne nadzieje – i chyba konkretne przygotowania, wiązali oni z odtworzeniem Stronnictwa Pracy przez połączenie istniejących organizacji katolickich; Kisiel ten postulowany twór złośliwie nazwał Chrześcijańską Unią Jedności. Bez wątplenia myślano perspektywicznie – i to na wysokim poziomie, w środowiskach socjal-demo-liberalnych, ale były to przede wszystkim rozważania ideologiczne. Samo życie wymagało działań politycznych – i takie podejmowano, ale nie doprowadziło to u nich do stworzenia doktryny politycznej, ani nawet precyzyjnego określenia celu. Dla nas niepodległość była aksjomatem, nigdy nie podjęliśmy dyskusji, do czego zmierzamy, bo to było oczywiste. Podobnie bezdyskusyjna tezą było, że najważniejszy jest własny polski wysiłek, a nie hołubienie nadziei, że inni – w tym przypadku mocarstwa zachodnie, wywalczą i подарują nam niepodległość, co nie przeszkadzało, że musieliśmy rozstrzygać inne kluczowe kwestie. Takim problemem, podjętym na samym początku, była kwestia walki zbrojnej. Piłsudski *ekspresis verbis* stwierdzał, że jest to główne, a nawet jedyne narzędzie odzyskania niepodległości. Czy piłsudczycy mogą to odrzucić? Czy rezygnacja z walki zbrojnej wynika

ze zmian technologicznych, czy ze zwykłego oportunistu? Trwało parę lat, nim zwyciężyła teza, że wystąpienia zbrojne przeżyły się, a kluczowym zadaniem stało się blokowanie fizycznej przemocy uzurpatorskiej władzy. Odpowiedni fragment, zawarty w mojej broszurze „Rewolucja bez rewolucji” był tylko powtórzeniem decyzji, przyjętej ostatecznie ok. 1965 r. bez mojego udziału. Inne dyskusje nie były tak dramatyczne, choć często ogniste.

Obradowaliście w dużych zespołach?

Nigdy. W każdym razie ja rzadko uczestniczyłem w spotkaniach więcej niż trój-osobowych. W takim składzie można było przedyskutować daną kwestię czy jej jakiś fragment, a wnioski, do których doszliśmy jeden z nas przedstawiał na wyższym szczeblu w równie małym gronie. Rzadko korzystaliśmy z notatek pisemnych, chyba tylko wówczas, gdy potrzebę napisania takiego tekstu można było wytłumaczyć innymi powodami, np. pisaniem artykułu. Zupełnie wyjątkowo postępowaliśmy z zespołem pracującym nad modernizacją Konstytucji Kwietniowej. Tutaj z reguły przygotowywaliśmy na piśmie własne propozycje zapisów oraz opinie o innych – tylko, że zawsze zaopatrywaliśmy je jakąś datą z lat 30. W razie wpadki, łatwo było wykazać, że to oryginały czy odpisy materiałów sporządzonych przed wojną.

Siłą nn był liczący się zespół profesjonalistów, którzy w większości kontynuowali prace rozpoczęte wcześniej. Punktem wyjścia naszych analiz demograficznych były studia nad możliwościami mobilizacyjnymi Polski i kilku innych państw europejskich, rozpoczęte jeszcze przed wojną. Wykorzystanie możliwości cybernetyki – która w drugiej połowie lat 50. była bardzo modna, doprowadziło nas dość szybko do rozpatrywania rzeczywistości ludnościowej jako systemu energetycznego. Przy prognozowaniu gospodarczym ważną rolę odegrał Stefan Kurowski, a zwłaszcza jego książka o trendach rozwojowych produkcji żelaza i stali⁶. Wykazał on matematycznie, że proces industrializacji w ZSRR

⁶ S. Kurowski,

rozwijał się dokładnie wedle tego samego wzorca, co w Rosji carskiej przed wybuchem I wojny światowej. Ponieważ był on wolniejszy, niż w krajach o najwyższej technologii, łatwo było wyprowadzić wniosek, że w podobnym tempie narastać będzie dysproporcja pomiędzy USA i ZSRR. Nieco później udało się pozyskać pomoc prof. Jana Drewnowskiego, przebywającego już poza krajem. U niego miałem pisać pracę magisterską o problemach odbudowy Europy w oparciu o teorię Keynesa – ale nic z tego nie wyszło, gdyż wkrótce komuniści wprowadzili zakaz badań ekonomicznych innych, niż w ramach marksistowskiej ekonomii politycznej. Teraz profesor dostarczał nam zarówno ekspertyzy własne, jak wybitniejsze publikacje innych ekonomistów. Zresztą dopływ publikacji zachodnich mieliśmy duży, ja sam zgromadziłem niezłą kolekcję. Spora część przepadła później podczas rewizji (w tym komplet kwartalnika „Foreign Affairs” z 5 czy 6 lat), ale do dzisiaj pozostała mi większość rocznych almanachów informacyjno-statystycznych, odnotowujących wszystko, co istotne w danym roku miało miejsce. Korzystaliśmy również ze źródeł krajowych, ogólnie dostępnych jak biblioteka GUS, zawierająca aktualne publikacje statystyczne ONZ, sowieckie i zachodnie, czy też publikacji reglamentowanych, np. tłumaczeń ważniejszych dokumentów programowych i prac naukowych polityków i politologów zachodnich, głównie amerykańskich. Dysponowaliśmy również comiesięcznym (okresowo cotygodniowym) przeglądem głównych tytułów prasy światowej. Otóż w kilku Klubach Książki i Prasy, np. w Warszawie przy ul. Bagatela, można było je czytać z parodniowym opóźnieniem. Zglądałem tam dość często; zawsze można było zobaczyć paru starszych, nobliwych panów, studiujących „NY Times” czy „Le Figaro”. Domyślałem się, że jeden – a może więcej, pracował dla nn. Biuletyny omawiały pozycje potrzebne dla sporządzania analiz; to z nich, a także z Dokumentacji Prasowej, sporządzanej przez RSW „Prasa” korzystałem szeroko przy pisaniu „Dylematów”.

Trudno opisać wszystko, posłużę się ważnym dla mnie przykładem. W początku lat 60. dotarły do nas różnymi kanałami – i to bodajże w dwu czy trzech egzemplarzach, kluczowe książki Kissingera o strate-

gii nuklearnej i polityce zagranicznej. Za te prace autor zyskał miano *Clausewitza ery atomowej*. Zwłaszcza druga z nich – *The Necessity for Choice* oceniała bardzo krytycznie możliwości Amerykanów w warunkach powstałej luki raketowej (*missile gap*). Chodziło o to, że począwszy od wystrzelenia sputnika w 1957 r. Sowieci górowali w budowie pojazdów kosmicznych – co oznaczało, że są zdolni do produkcji rakiet między-kontynentalnych. Ponadto dokonali kilku prób z bombami wodorowymi wielkiej mocy (do 50 MT). Wiadomo było wprawdzie, że sukcesy w budowie pojazdów kosmicznych Sowieci uzyskali dzięki pomocy przetrzymywanych hitlerowskich specjalistów, ale to nie zmieniało istoty rzeczy. Amerykanie zostali zepchnięci na drugą pozycję – i mieli wyrównać swoje możliwości z sowieckimi dopiero w 1966 r. – a i to pod warunkiem, że Sowieci nie dokonają nowego skoku technologicznego. Kwestie strategiczne, zwłaszcza dotyczące broni nuklearnych, były kluczowe dla naszych prognoz. W warunkach nuklearnej przewagi ZSRR nad Zachodem wszystkie nasze projekty niepodległościowe stawały się absolutnie nierealne. Dlatego z ogromnym napięciem śledziliśmy przebieg kryzysu kubańskiego w 1962 r. Sowieci instalowali tam w tajemnicy rakiety, zdolne do przenoszenia głowic atomowych, a gdy sprawa się wydała, Amerykanie zagrozili interwencją zbrojną i zajęciem całej wyspy. Była to najdalej posunięta próba sił obu supermocarstw w całej zimnej wojnie. Chruszczow ostatecznie ustąpił (za co zapłacił, tracąc dwa lata później przywództwo ZSRR). Było to przyznanie, że militarna luka raketowa nie istnieje, a co najwyżej technologiczna. Ale ogólnie sprawa przedstawiała się niejasno. Pamiętam, że wówczas miałem długą, wielogodzinną rozmowę z płk Józefem Szostakiem. W latach 1936–1939 kierował on pracami nad obronnym planem wojny z ZSRR („Plan „W””) – o czym wówczas jeszcze nie wiedziałem, i był doskonałym znawcą nie tylko sił zbrojnych ZSRR, lecz generalnie możliwości militarnych Sowietów. Analizował je na bieżąco, wykorzystując m. in. oficjalne wydawnictwo Ministerstwa Obrony USA, przedstawiające aktualny stan Armii Czerwonej – które pozyskiwaliśmy dość regularnie (dwa takie opracowania z lat 80. zachowały się w moich zbiorach, wcze-

śniejsze po wykorzystaniu musieliśmy niszczyć). Otóż Szostak m. in. wyjaśnił powody różnicy pomiędzy obiegowym a rzeczywistym obrazem sowieckich sił zbrojnych. Przypomniał, że w początku lat 30. zaczęły docierać do polskiego Sztabu Głównego informacje o ogromnym skoku sowieckiej produkcji zbrojeniowej, m.in. o idących w tysiące dostawach czołgów i samolotów. Sprawa była kluczowa, jej rozpoznanie i analizy stały się przedmiotem stałych badań, przeprowadzanych w Oddziale III (Operacyjnym) SG. Wnioski dotyczyły głównie realiów, ale m.in. ustalono, że występuje trwała, sięgająca jeszcze carskich czasów, dysproporcja pomiędzy konstrukcjami (własnymi czy kopiowanymi) a gotowymi produktami, oraz pomiędzy ich poziomem technicznym, a poziomem obsługi. Inaczej mówiąc, konstrukcje i ich prototypy były na ogół dobre czy dostateczne, lecz produkcja masowa bez porównania gorsza, często złomowa, a należyte wyszkolenie personelu prawie niemożliwe ze względu na zerową świadomość techniczną poborowych. Sytuacja była wówczas nawet gorsza, niż przed rewolucją, bo kadry inteligencji technicznej zostały w znacznej mierze wybite podczas *Czerwonego Terroru* oraz kolejnych czystek. Obecnie (tj. w latach 60.), ten stan rzeczy nadal trwał, w małym stopniu złagodzony. Trudno w zacofanym społeczeństwie szkolić specjalistów najnowocześniejszej technologii. Zdaniem Szostaka, Sowieci wyprzedzili Amerykanów w tworzeniu konstrukcji rakiet, lecz ze względu na słabość technologiczną mają ogromne trudności z uruchomieniem produkcji seryjnej, a także wyszkoleniem zarówno pracowników produkcyjnych, jak personelu obsługującego rakiety. Amerykanie – nie wyłączając Kissingera, tego nie doceniali, a dzisiaj wiemy, że ocena polskiego eksperta była trafna. Wówczas zapoczątkowała ważny kierunek naszych prac analitycznych dotyczących rozwoju sytuacji strategicznej. Nie poszliśmy tropem wspomnianego Kissingera, który pracował nad najlepszymi dla USA rozwiązaniami strategiczno-politycznymi w warunkach wzajemnego zagrożenia nuklearnego (*all-out war*), tylko skupiliśmy się nad geopolityczną istotą zimnej wojny, w dodatku traktowanej, jako narzędzie prognostyczne. Tezy, do których doszliśmy, były proste. ZSRR jest potęgą militarną, ale pod wszystkimi

innymi względami – cywilizacyjnym, ekonomicznym, kulturowym zalicza się do drugiej ligi. Może utrzymać pozycję supermocarstwa jedynie wówczas, jeśli czynnik militarny będzie górował nad innymi. Taka sytuacja występuje jednak tylko w dwu przypadkach: podczas wojny, lub gdy powstała realna groźba jej wybuchu. Otóż cała sowiecka strategia zimnej wojny polegała na tym, aby utrzymać konflikt Wschód-Zachód na maksymalnie wysokim poziomie – lecz nie przekraczać granicy, poza którą gorąca wojna jest nie do uniknięcia. Stąd falowanie napięcia: gdy zbliżało się do tej rzeczywistej *dead line* – linii śmierci, Moskwa cofała się; gdy odprężenie szło za daleko – a inne faktory, zwłaszcza ekonomiczne, wysuwały się na plan pierwszy, napięcie znów rosło. Moskwa niewątpliwie dążyła do militarnego rozstrzygnięcia o losach świata, lecz wymagało to uzyskania dostatecznej przewagi. Nie osiągnęła tego nigdy, gdyż wysiłek niezbędny dla utrzymania konfliktu na krawędzi wojny był tak wielki, że przekraczał możliwości potencjałowe Sowietów. Z kolei Moskwa nie mogła się zgodzić na głębsze i długotrwałe odprężenie, gdyż prowadziło ono do degradacji czynnika militarnego, a tym samym ZSRR przestawał być supermocarstwem. Było to w istocie działanie samobójcze, prowadzące do głębokiego załamania potencjałowego, lecz Sowietci przeceniali swe możliwości, a przede wszystkim liczyli, że zgodnie z teorią Marksa, kapitalistyczna gospodarka z każdym dniem zbliża się do wielkiego światowego kryzysu. Najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy – o czym już wspominałem, jako o jednej z głównych podstaw naszego rozumowania, że wydatki zbrojeniowe dla krajów rozwiniętych ekonomicznie stanowią gwarantowany popyt – czyli stabilizują gospodarkę.

Zrozumienie tej mechaniki zimnej wojny dla naszych prac prognozy stycznych miało duże znaczenie. Postępujący wzrost zagrożenia międzynarodowego prowadził do skupienia wysiłków sowieckich wymuszonym powiększaniu potencjału dyspozycyjnego, co siłą rzeczy, przy ograniczeniach płynących z niedostatku całkowitego potencjału geopolitycznego musiała osłabiać potencjał ruchu – czyli m.in. kontrolę nad społeczeństwem. Następstwem czasowego apogeum napięcia były zawsze poważne perturbacje gospodarcze. Przed wiele lat obserwacja tych zmieniają-

cych się zjawisk i przewidywanie następnych było dla nas fascynującą przygodą intelektualną. To wspaniałe uczucie, gdy można obserwować, jak odczytane wcześniej zimno-wojenne mechanizmy procesów strategicznych, politycznych, ekonomicznych, ale także demograficznych czy kulturowo-społecznych sprawdzają się w rzeczywistości. Dopiero w latach 70. zmieniło się wszystko: wkroczyliśmy w okres, gdy na podstawie tychże obserwacji i prognoz trzeba było podejmować decyzje o kluczowym dla przyszłości Polski znaczeniu, rozpocząć Wielką Grę.

Ubocznym, ujemnym skutkiem przygotowań intelektualnych, jakie prowadziły trzy najaktywniejsze środowiska polityczne, stało się wzajemne niezrozumienie. Przyczyniło się ono do wielu późniejszych kłopotów. W ustroju totalitarnym nie ma autentycznej opinii publicznej: myśleć trzeba samotnie i w ukryciu. Brak wymiany poglądów doprowadził do wzajemnej izolacji. Ze względów konspiracyjnych zaczęliśmy z sobą rozmawiać dopiero w okresie bezpośrednio poprzedzającym powstanie opozycji demokratycznej – i nie rozumieliśmy się całkowicie. Gdy ja opowiadałem o kryzysie potencjałowym, mechanizmach zimnej wojny, rosnącym zaangażowaniem ZSRR na południu – wzruszano ramionami; co to ma wspólnego ze zmianami w PRL? Od jednych słyszałem, że najważniejsza jest obrona tożsamości narodu przez przestrzeganie tradycyjnych wartości w rodzinie, drudzy opowiadali o ponadczasowej wartości humanistycznego socjalizmu, potrzebie swobód twórczych oraz wyzwolenia robotników. Nie trafiały do przekonania argumenty, że w warunkach ekonomicznego przymusu pracy rodziców trudno mówić o rodzinnym wychowaniu, ani skromne uwagi, że doktryna socjalistyczna, nawet w jej najszlachetniejszym kształcie, jest bezradna wobec komunistycznego superkoncernu. Ta ostatnia teoria (opisałem ją w wspomnianej książce „Moloch”, przygotowanej w 1985 r. w więzieniu) budziła oburzenie: tak daleko nie posunęli się w swej reakcyjności nawet najbardziej prawicowi socjaldemokraci zachodni. Radzono mi, przecież szczerze, abym dla rozjaśnienia umysłu poczytał Kołakowskiego. Ceniłem go – i cenię, ale ratowanie marksowskiego socjalizmu nigdy nie było moja pasją życiową.

Teoretyczne studia i prognozy nie były jednak jedynym przedmiotem waszych przygotowań.

Oczywiście, że nie. Ale czynna polityka wymaga stworzenia koncepcji własnych działań oraz ich możliwych konsekwencji. Przygotowywaliśmy się do tego, korzystając z bardzo bogatego dorobku myśli politologicznej, geopolitycznej, strategicznej, ekonomicznej, socjologicznej czy historycznej. Działaliśmy jednak w zupełnie nowej, specyficznej sytuacji, gdy ta wiedza nie wystarczała. Stąd konieczność własnych poszukiwań. Konieczne było stworzenie modelu działania, w pełni adekwatnego do rzeczywistości. To samo robili i inni, lecz przyjmowali drogowskazy ideologiczne – socjalistyczne względnie nacjonalistyczne. Walka o niepodległość – jak kiedyś sprecyzował myśl Piłsudskiego Adam Skwarczyński – to czyn bez ideologii. Nie ważne, jakie reprezentujesz poglądy, wystarczy, abyś brał czynny udział w działaniach na rzecz odzyskania niepodległości. Ta różnica determinowała nie tylko cele, lecz również metody działania. Potrzebny był model praktyczny – który nie miał nic wspólnego ani z ideologicznymi poszukiwaniami, ani z naprawą grzechów realsocjalizmu.

Punktem wyjścia naszych poszukiwań była ocena realnych możliwości oraz prawdopodobnych zachowań przeciwnika: traktowanych łącznie totalitarnego państwa i sowieckiego obozu. Od 1939 r. byliśmy w konflikcie ze Związkiem Radzieckim, przez ostatnie dziesiątki lat niewołującym Polskę za pośrednictwem totalitarnej dyktatury komunistycznej. Konieczne było opracowanie strategiczno-operacyjnego planu rozegrania konfliktu. Stąd sztabowe traktowanie problematyki. Tym łatwiejsze, że nn skupiało w większości ludzi, którzy byli do tego przygotowani i mieli doświadczenie wojskowe. Naszym zadaniem było rozstrzygnięcie konfliktu o charakterze międzypaństwowym, przy czym nasze państwo jeszcze nie istniało a istotne ograniczenie wymagało wstrzymania się przed stosowanej bezpośredniej przemocy zbrojnej.

Pierwszym zadaniem stało się zapewnienie możliwości realizacji koncepcji góry lodowej – czyli osłona eskalacji organizacyjnej i politycznej. Osiągnąć ją mogliśmy jedynie metodą faktów dokonanych (*fait d'ac-*

compli). Przeciwnik dysponował jednak wszelkimi możliwościami, aby każde takie działania natychmiast zdławić. Szukając rozwiązań, wykorzystaliśmy ówczesną amerykańską doktrynę powstrzymywania (*containment*) sowieckiej agresji – czyli niedopuszczenia do wybuchu wojny. Jeśli Sowieci rozpoczną wojnę, USA przeprowadzi nuklearne uderzenie odwetowe (*massive retaliation*). Uzupełniono to następnie doktryną odstraszenia (*deterrence*), zmierzającą do powstrzymania wybuchu konfliktu militarnego. Otóż Rosjanie musieli się liczyć z tym, że w odwecie na podjęte przez nich działania wojenne nastąpi natychmiastowa riposta, która całkowicie przekreśli sens ich zdobyczy. Zagrożenie sowieckie występowało na dwu poziomach: globalnym – czyli strategicznym uderzeniem nuklearno-rakietowym, oraz lokalnym – określanym jako taktyczny i sprowadzającym się głównie do szantażu militarnego wobec mniejszych państw. W pierwszym przypadku groziło wzajemne samobójstwo; wystarczało zachować równowagę technologiczną, aby nie dopuścić do wybuchy nuklearnej wojny powszechnej. W drugim przypadku sprawy się komplikowały. Pojawiła się natychmiast wątpliwość, czy riposta militarna nastąpi również w wątpliwej sytuacji, gdy np. Rosjanie ograniczą się do zajęcia jakiegoś mało ważnego z punktu widzenia USA obszaru, czy nieoficjalnie wesprą w jakimś państwie przewrót polityczny. Ktoś zadał konkretne pytanie: czy USA mogło rozpocząć wojnę nuklearną w odwet za zduśnienie powstania węgierskiego? Odpowiedź była oczywista: nie, gdyż taka wojna powodowała wielokrotnie większe ofiary, niż najbardziej brutalne zdławienie powstania w Budapeszcie. Aby uniknąć takiej sytuacji, doktryna odstraszenia została uzupełniona przez działania na szczeblu pośrednim. Gdy Sowieci w swojej ekspansji polityczno-militarnej posuną się za daleko – spotkają się nie ze strategicznym uderzeniem nuklearnym, tylko z karnym ciosem wykonanym przez siły zbrojne, dysponujące taktyczną bronią atomową, zdolną do niszczenia jednostek wojskowych, a nie miast czy ośrodków przemysłowych i komunikacyjnych przeciwnika.

Tu dodatkowe wyjaśnienie, niezbędne dla zrozumienia naszej ówczesnej sytuacji. Celem politycznym USA i krajów NATO było niedopusz-

czenie do wywołania wojny przez ZSRR. Nie chodziło ani o wygranie wojny, ani o totalne zniszczenie przeciwnika. Taki rezultat mógł okazać się nadmiernie kosztowny, gdyż wówczas na Amerykanach spocząłby obowiązek całkowitej organizacji i odbudowy zdewastowanego obszaru praktycznie na własny koszt. Po doświadczeniach ze zrujnowaną Europą, a zwłaszcza z pokonanymi Niemcami i Japonią, Stany Zjednoczone nie dążyły do bezwarunkowej kapitulacji przeciwnika, lecz do wymuszenia na nim rezygnacji z agresywnych planów i podjęcia pokojowej współpracy z resztą świata. Do tego potrzebna była globalna stabilizacja, a za jej część, obejmującą wschodnią Europę i północną Azję, odpowiadał ZSRR. Jakakolwiek irredenta, naruszająca panujący tam porządek polityczny, uznana została za sprzeczną z interesami Ameryki i całego Zachodu.

Wróćmy do naszej doktryny działania. Otóż, przetwarzając amerykański model rozegrania konfliktu, za cel bezpośredni uznaliśmy politykę, polegającą na odstraszeniu władz PRL przed podejmowaniem zbyt brutalnych kroków przeciwko opozycji. Brzmi to absurdalnie, nie dysponowaliśmy przecież żadnymi środkami odwetowymi. Przypomnę jednak, że już na początku przyjęliśmy żelazną zasadę: rozpoczynamy bezpośrednio i jawne działania na rzecz niepodległości wyłącznie w sprzyjającej, szczególnie przez nas zdefiniowanej sytuacji międzynarodowej. Jednym z najważniejszych kryteriów było takie zaangażowanie zewnętrzne ZSRR, które wymagać będzie zachowania w miarę dobrych stosunków z Zachodem. Niewątpliwym prymatem polityki sowieckiej, której bezdyskusyjnie musiały przestrzegać państwa satelickie, była agresywna ekspansja zewnętrzna. Aby ją prowadzić, nie powodując otwartego konfliktu z USA i NATO, Sowieci i ich satelici musieli czasowo zachowywać pozory, m. in. wstrzymując się od represji. Naszym instrumentem zastraszania stawała się groźba, że prowokując represje, doprowadzamy do zaostрения stosunków Wschód-Zachód. Trwała przecież zimna wojna, a porzucenie polityki *detente* w podobnych sytuacjach następowało niemalże automatycznie. Efektem stawały się poważne utrudnienia dla sowieckiej ekspansji regionalnej czy lokalnej; dodatkowe szkody powo-

dowały związane z tym sankcje ekonomiczne. Tworzyło to czasową sytuację, w której Moskwa nie miała wyboru: ewentualne represje w PRL mogły zaszkodzić polityce sowieckiej, mającej przecież priorytet nad rozwiązywaniem kłopotów wewnętrznych satelitów. Mechanizm taki działał jednak tylko do pewnego stopnia. I to w dwu wymiarach. Po osiągnięciu celu, wyznaczonego dla tej fazy ekspansji, ZSRR z reguły zabierał się za porządkowanie spraw wewnętrznych – a wznowiane represje mogły być głębsze i ostrzejsze. Wymagało to z naszej strony optymalnego wykorzystania względnie krótkiego odcinka czasu: doprowadzenia zmian rzeczywistości politycznej na tyle daleko, że w swych podstawowych elementach prawie niemożliwych do szybkiego cofnięcia. Drugi wymiar był jeszcze groźniejszy. Otóż – inaczej niż w stosunkach międzynarodowych, eskalacja działań opozycyjnych powyżej pewnego poziomu politycznego powodowała, że Zachód, zamiast zwiększać swoją presję na ZSRR, natychmiast ją minimalizował. Wynikało to ze wspomnianych wyżej generalnych założeń polityki USA czy generalnie Zachodu. Zbyt daleko idąca aktywność opozycji mogła prowadzić do destabilizacji danego satelity, a taka utrata kontroli nad wydarzeniami groziła nieobliczalnymi konsekwencjami, nie wyłączając niechcianego wybuchu wojny globalnej. W Departamencie Stanu w początkach lat 70. opracowano nawet koncepcję sugerującą, że w interesie USA leży tzw. *organiczne wcielenie* państw satelickich do ZSRR. Napięcie społeczne w tych krajach rośnie i może doprowadzić do wybuchu; gdy będą one częścią ZSRR, dotyczyć to będzie spraw wewnętrznych Związku Radzieckiego, co zwolni USA od konieczności jakiegokolwiek interwencji i nie naruzy stabilizacji światowej. Dość łatwo było przewidzieć, gdzie przebiega granica, po której przekroczeniu przez zorganizowane siły opozycyjne, Waszyngton przyjmie postawę neutralną, a Moskwa zezwoli czy nakaże władzom PRL na przeprowadzenie masowych represji. Strategicznych, a nie taktycznych – czyli indywidualnych. Sowietom nie mogli zresztą postąpić inaczej, gdyż spistość obozu była dla nich ważniejsza, niż sukces ekspansji regionalnej. Rozumieliśmy to doskonale, jednak, dążąc do odzyskania niepodległości, w pewnym momencie musieliśmy przekro-

czyć tę *dead line*. Szukając rozwiązania, przygotowaliśmy dwa warianty działania. Główny przewidywał spotęgowanie i przyspieszenie samego przebiegu eksplozji społecznej, aby stworzyć stan rzeczy doprowadzający do nowej stabilizacji politycznej i uniemożliwiający władzom PRL przeprowadzenie siłowego rozwiązania. W takich warunkach ewentualna zbrojna interwencja sowiecka nie była już uzasadnionym przywracaniem stabilizacji – lecz wręcz przeciwnie, destabilizowała ją i wymuszała reakcje Zachodu. Jak silną – zależało od konkretnej polityki, jaką w tym czasie prowadziły USA i główne państwa zachodniej Europy.

Przy takich uwarunkowaniach międzynarodowych, szukając optymalnej strategii działania, nie mieliśmy zbyt wielkiego wyboru. Bezpośrednim zagrożeniem dla naszych planów były represyjne działania władz PRL, a te mogły nastąpić na dwu poziomach: masowym lub indywidualnym. Cała organizacja bezpieczeństwa wewnętrznego i utrzymania stabilizacji politycznej PRL była nastawiona jedynie na takie działania. Na wyższym – strategicznym poziomie służby MSW i ewentualnie wojsko były w stanie dość szybko zdławić spontaniczne wystąpienia zbiorowe, ogólnokrajowe czy regionalne. Jednak, w geopolitycznej sytuacji lat 70. zduszenie takiego masowego działania oznaczało gwałtowne zaostrenie stosunków Wschód-Zachód, co – jak mówiłem, w istocie uniemożliwiało kontynuowanie ograniczonej ekspansji sowieckiej. Dlatego radykalne przeciwdziałania, podjęte przez władze miejscowe, czy też zbrojna interwencja sowiecka w tym konkretnym okresie były możliwe jedynie w wypadku zagrożenia całości obozu sowieckiego. Jeśli do tego nie dochodziło, lepiej było ścierpieć czasowe trudności, niż przerywać rozpoczęte już operacje ekspansywne. Na poziomie indywidualnym – taktycznym, sytuacja była krańcowo inna. SB mogła w każdej chwili aresztować każdego, likwidować wszelkie próby organizowania grupowej aktywności. Jeśli jednak chodziło o osobę publicznie znaną, zwłaszcza jawnie podejmującej działania opozycyjne, sytuacja ulegała pewnej zmianie – gdyż działała konieczność zachowania pozorów. Inaczej niż podczas wojny czy w powojennym dziesięcioleciu, kiedy obowiązywała zasada, że im większa konspiracja, tym większe bezpieczeństwo, w połowie lat 70.

zaczęły tworzyć się czasowe warunki, w których wyjście z konspiracji zapewniało większe bezpieczeństwo. Ukierunkowanie bezpieczeństwa wewnętrznego tylko na dwa szczeble – strategiczny i taktyczny, pozostawiało dość szeroką lukę. Dawała ona przestrzeń, w której mogły tworzyć się organizacje ruchu oporu wyrastające ponad szczebel indywidualny – poszczególnych ludzi czy małych grup, ale znajdujące się poniżej szczebla strategicznego. Władzę PRL najwyraźniej uważały te luki za pozorną. Opierały się na własnych doświadczeniach oraz na istniejącej sytuacji. W pierwszych latach powojennych opór Polski łamano, prowadząc działania totalne; miały one charakter strategiczny, a taktyczny – indywidualne represje, był tylko jego częścią składowa. W latach 50. dla rozbicia podziemia politycznego wystarczały same represje indywidualne – i to głównie prewencyjne. W gorącym okresie 1956 r., pomiędzy poznańskim czerwcem a szczecińskim grudniem najpierw dokonano uderzenia strategicznego, a później wystarczały represje indywidualne. W popaździernikowym dwudziestoleciu spontaniczne wystąpienia studentów czy robotników rozbijano przez działania strategiczne⁷, a próby podejmowania grupowej konspiracji, skądinąd rzadkie, likwidowano przez represje indywidualne. Wytworzyło to przekonanie, że represje indywidualne wystarczą, aby nie wytworzyły się trwalsze struktury opozycyjne powyżej szczebla taktycznego.

Otóż tę lukę postanowiliśmy wykorzystać. Dostosowując doktrynę odstraszenia do polskich warunków i idąc bezpośrednio za amerykańskim wzorem, za najważniejsze uznaliśmy operowanie na szczeblu pośrednim. Działać strategicznie – czyli zainspirować masowy, spontaniczny i czynny sprzeciw – żadna grupa opozycyjna w PRL nie była w stanie. Tworzenie samotnej, jednostkowej grupy opozycyjnej narażało ją na likwidację, w zasadzie natychmiast po wykryciu. Pewną obroną

⁷ W przypadku marca 1968 r. Zachód wstrzymał się od interwencji, traktując je jako część powszechnego buntu młodzieży i studentów, w USA czy Francji przecież znacznie silniejszego niż w Polsce. W przypadku grudnia 1970 i czerwca 1976 r. nie zdążono interweniować, bo władze szybko się cofały (błyskawiczna zmiana rządzącej ekipy, natychmiastowe cofnięcie podwyżki cen).

mogło być jej głośne ujawnienie, ale przygotowanie tego wymagało czasu i zachowania tajemnicy. To ostatnie w warunkach funkcjonowania masowej sieci informatorów SB, było bardzo trudne i wymagało skrajnie rygorystycznej, powiedziałbym profesjonalnej konspiracji – takiej, jaka obowiązywała w nn. Natomiast tworzenie systemu licznych, chociażby drobnych i mało aktywnych grupek opozycyjnych, powiązanych tylko programowo, względnie powołanie struktury silnie zróżnicowanej wewnątrz, będącej w istocie tylko formalnym związkiem całkowicie samodzielnych organizacji, uniemożliwiało przeciwnikowi podjęcie skutecznego przeciwdziałania. Indywidualne uderzenie w pojedyncze osoby czy grupy w takiej sytuacji niewiele dawało, gdyż pozostawała zbiorowa struktura. Uderzenie w całą taką strukturę, funkcjonującą na szczeblu pośrednim, a nie indywidualnym, oznaczało natomiast przeniesienie konfliktu na poziom strategiczny, atak totalitarnych władz na aktywność masową, a nie indywidualną. Koszt polityczny takiej operacji był znaczny. Natomiast sprzeciw, organizowany na szczebli pośrednim, nie powodował złamania systemu. W sytuacji, gdy nie była zagrożona ani jedność, ani spójność obozu sowieckiego, represje – siłą rzeczy dość masowe, stawały się politycznie szkodliwe, gdyż bardzo utrudniało postępy ekspansji sowieckiej. Z kolei jawność zwiększała ogromnie prawdopodobieństwo pozytywnej dla nas reakcji Zachodu – zarówno opinii publicznej, jak rządów.

Cała działalność opozycji, świadomie czy nie, sprowadzała się do występowania z kolejnymi inicjatywami, czyli do nieprzerwanej eskalacji politycznej. Sukcesywnie tworzyliśmy nowe fakty dokonane. Mogły one przyjmować postać niejako ponad-materialną (wywiady, protesty, postulaty, żądania, programy, dyskusje itd.), względnie materialną (tworzenie nowych struktur, organizowanie wszelkiego rodzaju akcji – poczynając od zbiórki podpisów, a także manifestacji politycznych, tworzenie bazy redakcyjnej i poligraficznej itd.) Szybko okazało się, że w zależności od charakteru i celów politycznych, obie części uformowanej w latach 1976–77 opozycji demokratycznej przyjęły inne modele działania. Dla nas ilościowy i jakościowy rozwój struktur organizacyjnych miał

znaczenie kluczowe, gdyż doprowadzał do powstania partii niepodległościowej. Inaczej było w środowisku KOR, gdzie sam Komitet potraktowany został jako struktura nie-rozwojowa oraz nie sformalizowana organizacyjnie. Niejako pod jego egidą, lecz także kontrolą polityczną, powstawały inne luźne inicjatywy, lecz chyba tylko w istocie całkiem autonomiczne Towarzystwo Kursów Naukowych musiało przybrać kształt zorganizowany, gdyż inaczej nie byłoby w stanie prowadzić działalności edukacyjnej. Jedyna inicjatywa o charakterze otwarcie politycznym, a mianowicie powołanie *ruchu demokratycznego* ugrzęzła już na etapie, czy nazwa ta powinna być pisana z dużych, czy z małych liter. Spór nie miał jednak charakteru ortograficznego, tylko polityczny – duże litery dowodziłyby, że jest to organizacja polityczna, a nie spontaniczne działanie niezorganizowanych osób.

Opisane różnice występowały jednak tylko w odmiennym politycznie podejściu do całościowego kształtu opozycji. Nie było ich natomiast w bazie technicznej. Może najważniejszym narzędziem opozycji były wydawnictwa drugiego obiegu, a poligrafia nie mogła się opierać na działaniach podejmowanych spontanicznie, podobnie jak łączność wewnętrzna, finanse itp.

W istniejącej sytuacji i przy tak zakrojonych działaniach opozycji, przeciwdziałanie SB było w zasadzie ograniczone do powstrzymywania względnie likwidacji przedsięwzięć tworzących nowe fakty dokonane istniejące materialnie. Założenie było proste: gdy tego rodzaju struktury zostaną rozbite najprostszymi represjami, polityczna działalność opozycji straci wszelkie podstawy i zacznie zanikać.

Niebezpieczeństwo było realne – i dobrze znane od dawna. W toku prac przygotowawczych poświęciliśmy mu dużo uwagi. Przyjęliśmy dość oczywistą zasadę. Każdy nowy fakt dokonany powinien oznaczać postęp polityczny i być szeroko nagłośniony, ale nie przekraczać granicy ostrożności. Reakcja władz będzie wynikać raczej z decyzji politycznych, a nie policyjnych. Jeśli koszt represji będzie wyższy, niż szkoda wywołana tym konkretnym działaniem opozycji, bezpośrednich i natychmiastowych reakcji nie będzie. Takie określenie ryzyka wymagało, aby każdy fakt

dokonany był starannie przygotowany oraz poprzedzony drobniejszymi przedsięwzięciami, sugerującymi iż podjęte przez nasze środowiska inicjatywy nie będą aż tak groźne, jakby się mogły na pierwszy rzut oka wydawać. Granica ostrożności mogła być obniżona rozmaitymi wcześniejszymi manewrami, odwracającymi uwagę na bezpieczeństwo. Największe zagrożenie występowało nie po przeprowadzeniu, lecz przed samym faktem dokonaniem. Taki wyprzedzający atak SB był tym bardziej prawdopodobny, że nie powodował większych szkód politycznych dla rządzących, gdyż likwidował inicjatywę nieujawnioną. Przykładowo, zbiórka podpisów uwiarygodniających mogła być łatwo przerwana przez SB przez zastraszenie poszczególnych osób, co dławiło całą inicjatywę. Aresztowania można było ukryć, albo zinterpretować po swojemu (czyny kryminalne, terrorizm). Inna sytuacja powstawała, gdy inicjatywa była już znana publicznie, a spóźnione uderzenie SB jedynie ją nagłaśniało. Analizując teoretycznie różne ewentualności, dość szczegółowo opracowaliśmy dwa skrajne warianty. Pierwszy przewidywał, że sam *fait d'accompli* zostanie przeprowadzony błyskawicznie i przy zachowaniu pełnej tajemnicy – tak, aby władze nie zdążyły podjąć przeciwdziałania. Zastosowaliśmy go, z pewnymi koniecznymi modyfikacjami, przy ogłaszaniu Ruchu Obrony. Decyzja o przeprowadzeniu tej akcji zapadła w piątek między godziną 2 a 3 po południu – a więc już, gdy rozpoczynał się *weekend*, wszystkie czynności przygotowawcze o charakterze bezpośrednim wykonane zostały do wieczora, w sobotę o 9. 00 zawiadomiono dziennikarzy zagranicznych i redakcje niektórych dzienników cenzurowanych o miejscu i godzinie konferencji prasowej, na której zostanie ogłoszone powstanie Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce. Nim ta konferencja się rozpoczęła o godz. 17.00 w mieszkaniu osoby znanej nie tylko opinii publicznej w Polsce, lecz i na Zachodzie – a mianowicie Antoniego Pajdaka, jednego z głównych przywódców PPS, skazanego w procesie moskiewskim w 1945 r., radiostacje zachodnie już nadały sensacyjną wiadomość. Najszybsze działanie SB byłoby spóźnione, gdyż wkroczenie na teren bezpieczeństwa i uniemożliwienie przeprowadzenia konferencji prasowej jedynie nagłośniłoby jeszcze bardziej całą sprawę.

Drugi wariant był wprost przeciwny. Po zakończeniu przygotowań, decyzja o czasie i miejscu ujawnienia inicjatywy powinna zapaść z wyprzedzeniem kilkutygodniowym. Okres ten miał być wykorzystany, aby przez stopniowe ujawnianie informacji i dezinformacji przyzwyczajać władze do tego, co miało nastąpić. Wykluczało to nagłą i spontaniczną reakcję na sam *fait d'accompli* – a taka była najgroźniejsza. Jeśli dawało się przeciwnikowi czas do namysłu, decyzje podejmowano kolektywnie i były one z reguły łagodniejsze. Takie oddziaływanie na władze składało się z kilku etapów: najpierw przez kontrolowane przecieki o samym zamiarze (tylko fakt, że została podjęta decyzja, oraz w jaki sposób będzie ogłoszona powinien być objęty ścisłą tajemnicą), następnie półjawne omawianie w różnych grupach szykowanego faktu dokonanego, wreszcie nieoficjalne potwierdzenie wraz z datą, kiedy ma nastąpić. W toku takiej gry należało wytworzyć wrażenie o słabości organizatorów, którzy nie są w stanie udźwignąć własnej inicjatywy. Sama ogłoszenie faktu dokonanego powinno być przeprowadzone przez zespół działający poza istniejącymi strukturami i nie mający z nimi kontaktu – najlepiej przez ludzi z nn, nie uczestniczących bezpośrednio w działaniach opozycyjnych. Ten wariant, z dość istotnymi modyfikacjami, wykorzystaliśmy przy powstaniu KPN. Zagrożenie było znaczne. Ogłoszenie samego celu: wyzwolenie spod sowieckiej hegemonii przez obalenie rządów PZPR mogło wywołać bardzo ostrą reakcję, odruchowe przeciwdziałanie – i to podjęte bez względu na jej uboczne skutki. Bez wchodzenia w szczególności wspomnę tylko o głównym manewrze dezinformującym. Dość przypadkowo udało się nam pozyskać dużą łódź żaglową, co pozwoliło zorganizować obóz szkoleniowy nad Zalewem Zegrzyńskim. Miała to być wielodniowa narada, przygotowująca program KPN, który zostanie ogłoszony wraz z informacją o powstaniu tej partii. Przewidywana była obecność całej liczącej się kadry przyszłej Konfederacji, zaproszeni zostali również ludzie ze współpracujących z nami grup. Wbrew buńczuczным zapowiedziom, na obóz przybyło tylko kilku najbardziej znanych działaczy niepodległościowych, parę osób absolutnie nieważnych, a wśród nich rozpoznany TW. Całymi dniami żeglłowaliśmy po Zalewie,

początek dyskusji nad programem KPN odkładając *na jutro*; ostatecznie skończyło się na paru drętwych pogaduszkach. Z zaproszonych gości przyjechali jedynie przedstawiciele jakiejś grupy studenckiej z Krakowa: mieli szczegółowe pytania, na które odpowiadaliśmy tak mętnie, że wyjechali z wrażeniem, że cała impreza jest niepoważna. Bezpieka i tak wykonała uderzenie wyprzedzające: poprzedniego dnia przed planowanym ogłoszeniem KPN zamknęła wszystkich warszawskich i przybywających do Warszawy działaczy centralnych, a pozostałych w Polsce zablokowano bezpośrednią tzw. obserwacją SB. Nie powstrzymało to ogłoszenia powstania KPN równoległe w dwu miejscach: w Warszawie na manifestacji 1-wrześniowej przed Grobem Nieznanego Żołnierza, oraz w Londynie na zbranym tam Kongresie Polski Walczącej. Całą operacją ogłoszenia i związanej z tym łączności (trzeba było skoordynować poczynania warszawskie i londyńskie) przeprowadziła grupa około dziesięciu osób, z których każda wypełniała swoje zadania, nic nie wiedząc o innych. Każdy element wykonania był co najmniej dublowany przez nie mających z sobą kontaktu ludzi. Część tych osób nie miała jawnych kontaktów z opozycją, pozostali zostali wcześniej wyłączeni z bieżących działań; nikt z nich, rzecz jasna, nie uczestniczył w obozie żeglarskim. Drugiego uderzenia bezpieka już nie wykonała. Nie miała w kogo: rozpoznani centralni działacze ze mną na czele albo już siedzieli w aresztach, albo byli pod ścisłą obserwacją. Wprawdzie można było nas dłużej przetrzymać, a także dokonać aresztowań konfederatów z niższych szczebli – lecz poza rozgłosem nic to nie dawało. A rozgłos – w Kraju i na Zachodzie, i tak był duży: ostatecznie, KPN był nie tylko pierwszą partią niezależną w całym obozie komunistycznym, lecz jeszcze jawnie głosił zamiar wyzwolenia Polski spod sowieckiej hegemonii i obalenia totalitarnej władzy. Bardziej maksymalistycznego programu nie można było stworzyć.

Odwołałem się do wydarzeń kluczowych. Ale wszystkie one mieściły się w tej samej koncepcji ogólnej. Część działań podejmowaliśmy pod wpływem wydarzeń, często nagle, bez jakichkolwiek przygotowań. Inne mieliśmy dokładnie opracowane, lecz okazywało się, że trzeba gwałtow-

nie przyspieszyć realizację, a nawet improwizować poszczególne posunięcia. Tak było np. z powołaniem Wolnych Związków Zawodowych. Większość jednak rozgrywaliliśmy zgodnie z planem, metodycznie i bez zbędnego pośpiechu – a wszystkie wynikały z przyjętej grubo wcześniej jednolitej metody działania i przygotowanych szczegółowych rozwiązań.

Ważnym zakresem przygotowań było tworzenie modeli planowanych struktur opozycyjnych i ćwiczebne przegranie możliwości ich działania. Przyjeliśmy dwa główne kryteria: formalne przystosowanie do warunków prawnych PRL oraz zapewnienie maksymalnej skuteczności kierowania i prowadzenia akcji. Przykładowo, koncepcja organizacji politycznej – przyszłego Ruchu Obrony (RO), przewidywała, że nie będzie on miał formalnej struktury, członkostwa ani kierownictwa. Uczestnikiem RO mógł być każdy, kto chciał w niej uczestniczyć i tak długo, jak chciał. Mogła jednak tworzyć własne biura terenowe (Punkty Konsultacyjno-Informacyjne), a na zewnątrz reprezentowali ją rzecznicy. Był to dokładnie odwzorowany model Ruchu Obrońców Pokoju – skupiającego rzekomo miliony Polaków, mającej własne biura – lecz nie podlegającej rejestracji. Z kolei model formacji politycznej, która miała kierować walką o niepodległość, przybrał postać partii politycznej – gdyż prawo PRL nie przewidywało ich rejestracji, ani nie dopuszczało jakichkolwiek prawnych środków nadzoru. Po prostu wszystkie takie przepisy usunięto, bo PZPR nie godził się, aby jego działalność w jakikolwiek sposób mogła być nadzorowana przez sądy i administrację. Jawne konferencje prasowe nie były zabronione przez prawo; w pisaniu skarg i wniosków obywatelskich oraz ich doręczaniu każdy mógł pomagać, powielane biuletyny wewnętrzne, gazetki szkolne i ścienne nie były cenzurowane – a skoro naszych wydawnictw nie kolportowaliśmy przez „Ruch”, były one tym samym wewnętrzne. Tworzenia tajnych związków prawo zabraniało, ale skoro miały one jawne władze, czy choćby rzeczników, trudno je było uznać za tajne. Takich pomysłów przygotowaliśmy dobrze ponad setkę; nie wiem, czy w praktyce wykorzystaliśmy więcej niż połowę. W każdym razie, gdy później ludzie mówili: dobrze, podejmiemy działania – ale jakie, zdolny byłem sypnąć pomysłami. Pozwalały

one pchać sprawę do przodu, rozwijać jawną działalność opozycyjną, a władze były bezradne albo łamały ustanowione przed siebie prawo. Wszystko to układało się w jednolity system działania, a drobne przedsięwzięcia prawie niedostrzegalnie zmieniały polityczną rzeczywistość.

Skuteczność naszej doktryny, łączącej w sobie zarówno powstrzymanie jak odstraszenie, została potwierdzona już w początkowym okresie funkcjonowania demokratycznej opozycji. Był to wprawdzie czas wyjątkowo sprzyjający. Trwały zaawansowane przygotowania do rozpoczęcia sowieckiej ekspansji na południe i związane z tym wysiłki neutralizacji Europy zachodniej, do czego wstępem mogło być wejście komunistów do rządu włoskiego. Działy nie tylko Helsinki, lecz również przywracanie pozorowanej liberalizacji w PRL po represjach czerwcowych. Sprzyjające warunki międzynarodowe, kluczowy punkt naszej doktryny politycznej, zostały znacznie wzmocnione przez wyraźne złagodzenie represyjnego systemu PRL. Wszystko to otwierało drogę do tworzenia jawnie działającej opozycji. Lecz przecież naszym podstawowym założeniem było, że możemy rozpocząć realizację przygotowywanych od dawna planów tylko w takich sprzyjających warunkach. To nie korzystna sytuacja stała się zapłonem działania, tylko świadoma decyzja polityczna jej wykorzystania, podjęta w zbliżonym czasie przez dwa środowiska polityczne: niepodległościowe oraz socjal-demo-liberalne. Nie wiem, kiedy oni zdecydowali się przejść do jawnej działalności; przypuszczam, że nastąpiło to przed rozpoczęciem pisania przez Adama Michnika jego programowej książki. My, jak wspominałem, decyzję podjęliśmy w połowie września 1975 r.

Korzystna sytuacja została w pełni wykorzystana. Powstał Komitet Obrony Robotników, otwierając nowy, końcowy już okres historii PRL. Pół roku później doszło do ogłoszenia Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce – jak brzmiała jego pełna nazwa. Był to kolejny punkt zwrotny, powstawała nowa jakość, tym razem już wyraźnie polityczna. Proklamowany charakter KOR ograniczał się do prowadzenia działalności humanitarnej – pomocy represjonowanym robotnikom. W rzeczywistości Komitet prowadził działania znacznie szersze, lecz ofi-

cialnie taki charakter przyjął dopiero po roku, przekształcając się w Komitet Samoobrony Społecznej KSS KOR. Ruch Obrony (RO)⁸ powstał jako formacja ponad-polityczna – to znaczy, jak natychmiast wyjaśniliśmy, skupiająca grupy o różnych przekonaniach politycznych. Kilka miesięcy później skryształowaliśmy naszą orientację polityczną, przyjmując na I Ogólnokrajowym Spotkaniu Uczestników RO rezolucję odrzucającą decyzje jałtańskie; w grudniu 1977 r. przedstawiliśmy na konferencji prasowej przedstawicieli czterech opcji politycznych istniejących w Ruchu Obrony. Było to możliwe z racji sprzyjającej sytuacji – która ciągle trwała, ale głównie dlatego, że struktura wewnętrzna RO była tak pomyślana, aby mogła przetrwać wszystkie indywidualne (taktyczne) uderzenia SB. Organizacyjnie niesformalizowana, choć centralnie kierowana, łączyła osoby, które spontanicznie uczestniczyły w poszczególnych przedsięwzięciach RO oraz przedstawicieli różnych środowisk politycznych i grup terytorialnych. Te ostatnie zachowywały nie tylko całkowitą samodzielność, lecz również względnie były odizolowane od Ruchu Obrony. Do tego dochodził elastyczny i ciągle przesuwający się podział na poziom *wynurzony* i *podwodny* (konspiracyjny), a w ramach tego ostatniego działały obok organizacji NN również utajnione komórki funkcjonalne, zwłaszcza techniczne, oraz grupy zadaniowe. W dodatku całość tej góry lodowej, ustawicznie powiększającej się, w zależności od zmiany sytuacji mogła wynurzać się lub kryć pod wodą.

Sądząc po tej terminologii, powstała ona pod wpływem twojego zamiłowania do żeglarstwa morskiego.

Nie da się ukryć, że tak – choć zamiłowanym żeglarzem był również Janek Dworak, który odegrał bardzo ważną rolę przy tworzeniu jawnej opozycji i formowaniu zarówno NN jak Ruchu Obrony. Nawiasem mówiąc, przez pewien czas, jeszcze w okresie konspiracyjnym, zasłoną dla naszej współpracy było wspólne uczestnictwo w zarządzie sekcji że-

⁸ Używaliśmy takiej krótkiej nazwy, aby kojarzyła się z określeniem *ruch oporu* i pochodzącego od niej skrótu literowego. Tak jest we wszystkich dokumentach RO oraz w „Opinii” aż do rozłamu latem 1978 r. Skróć ROPCiO prawdopodobnie wymyśliła безпеaka.

glarskiej klubu „Horyzont”. Posługiwaliśmy się językiem, nie całkiem zrozumiałym dla innych. Wracając do tematu, wobec tak pomyślanej organizacji, władze mogły represjonować uczestniczące w RO poszczególne osoby, blokować działania, konfiskować powielacze i maszyny do pisania – lecz nie były w stanie zlikwidować Ruchu Obrony jako osobnego bytu politycznego. Po największych ciosach zawsze coś zostawało, bo nawet przy maksymalnie ograniczonej aktywności, Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela ciągle istniał. Aby go wyplenić, rządcy PRL musieliby zastosować masowy terror wobec całego społeczeństwa. Byłoby to przeniesienie konfliktu z poziomu represji z indywidualnych na masowe – ze szczebla taktycznego na strategiczny, do czego Moskwa – nie dostrzegająca jeszcze zagrożenia spoistości obozu i przyzwyczajona do istnienia własnych dysydentów, w tym konkretnym okresie nie mogła dopuścić.

Podobnie było w przypadku KOR. Protesty po zamordowaniu Pyjasa doprowadziły do aresztowania kilkunastu członków Komitetu, lecz władze nie podjęły nawet próby jego likwidacji. Nieco później, na jakiejś wielkiej naradzie PZPR, jeden z szefów MSW wyśmiewał opozycje, że powołuje coraz to nowe grupy, złożone często z tych samych ludzi: taki Moczulski – wywodził – jest inicjatorem albo przywódcą co najmniej piętnastu. To ja mogłem się śmiać. Potężna bezpieka technicznie mogła wszystko, lecz rygory polityczne pozwalały jej stosować tylko represje indywidualne. Powodowało to pewne szkody również na szczeblu pośrednim, lecz nie przerywało formowania szerokiej struktury opozycyjnej w skali całego kraju – nowego i trwałego zjawiska politycznego w PRL. Rzekomo śmieszne grupki, które często nie były w stanie podjąć jakiegokolwiek konkretnej działalności, łącznie tworzyły zwarty system, wypełniający lukę pomiędzy szczeblem strategicznym a taktycznym, a tym samym zmieniały całkowicie krajobraz polityczny Polski. Były tym ważniejsze, że – uznane za nieszkodliwe, mogły bez większych przeszkód się rozwijać. Inne – silnie represjonowane, dzięki temu stawały się swoistymi drogowskazami. Tak było z pierwszą grupą Wolnych Związków Zawodowych – projektu, który wcześniej bardzo starannie opracowaliśmy.

Komitet Założycielski WZZ, prowadzony przez Kazimierza Świtania w Katowicach i skupiający tylko kilka osób, przyduszony nieprzerwanymi, bardzo brutalnymi represjami, początkowo nie był nawet w stanie dotrzeć do zakładów pracy. Ale każdy cios, który otrzymywał, każda rewizja czy zatrzymanie przez SB odbijały się inspirującym echem w kraju. Rychło powstał drugi Komitet WZZ w Szczecinie, założony głównie przez studentów z RO, w kolejności w Gdańsku – i temu przypadło wypełnienie wielkiej roli historycznej w sierpniu 1980 r. Uderzenie SB kierowano indywidualnie, co mogło spowodować rozpad czy zanik niektórych grup – lecz na szczeblu pośrednim opozycja rozwijała się nieprzerwanie – i gdy doszło do eksplozji społecznej, gotowe były struktury zdolne nadać jej zorganizowany charakter.

Nie wszystkie struktury do tego czasu przetrwały, w 1980 r. Ruch Obrony praktycznie już nie istniał.

To zrozumiałe, była to przecież organizacja przejściowa. Przeszliśmy na wyższy etap. Naszym pierwszym celem było przecież utworzenie jawnej partii niepodległościowej, a to wymagało tworzenia kolejnych, bardziej zaawansowanych organizacji. Była to droga od szczebla do szczebla, ciągła eskalacja polityczna i organizacyjna. Nazywaliśmy to metodą *małych kroków, wielkich skoków*. Wielkich skoków miało być trzy: powstanie organizacji ponad-politycznej i kierowanej centralnie, ale niesformalizowanej; wyłonienie z niej kilku osobnych, sformalizowanych ugrupowań politycznych, z których każdy reprezentował będzie samodzielną opcję programową (wielkość utrudniała uderzenie SB, zlikwidowanie jednego czy dwu nie zmieniało efektu politycznego); połączenie ich – wszystkich, czy niektórych, w jedną federacyjną partię, za cel główny uznającą odzyskanie niepodległości przez Polskę. W rzeczywistości przeprowadziliśmy tylko dwa takie wielkie skoki, planowane drugi i trzeci połączyliśmy pod presją czasu. Małe kroki, dość liczne, doprowadzały nas do tych wielkich skoków. Każdy z nich rozpoczynał inny etap działania. Otóż Ruch Obrony był zakończeniem fazy przygotowawczej do utworzenia jawnej struktury opozycyjnej oraz punktem startu do stworzenia

wyższej formy: opozycyjnego systemu partii politycznych. Tym samym eskalacyjne możliwości RO wyczerpywały się, nadchodził czas innych struktur, a przede wszystkim sprecyzowanych dokładnie programów politycznych. Zadanie przygotowania powstania partii niepodległościowej otrzymałem jeszcze w 1960 r., ale termin realizacji tego wielkiego skoku nie zależał od nas, tylko od zbliżającej się wielkimi krokami eksplozji społecznej. Częściowo z naszego nacisku na samookreślanie się poszczególnych środowisk politycznych, częściowo w wyniku rozwoju sytuacji w kraju (zwłaszcza szok spowodowany wyborem *polskiego papieża* – Jana Pawła II) przejściowa formuła Ruchu Obrony dobiegała kresu: wiosną i latem 1979 r. zaczęły wyrastać z RO faktyczne stronnictwa polityczne: Ruch Wolnych Demokratów, Ruch Młodej Polski oraz cztery niepodległościowe grupy polityczne, a zaraz potem ogłosiliśmy istnienie KPN. Miałem nadzieję, że z drugiej części RO, prowadzonej przez Andrzeja Czumę i Wojtka Ziemińskiego wyrośnie niepodległościowa chrześcijańska demokracja, jednak ani wówczas, ani podczas festiwalu „Solidarności” do tego nie doszło.

Obok przejściowego charakteru Ruchu Obrony, bardzo duży ujemny wpływ na osłabienie jego aktywności wywarła skuteczna operacja Służby Bezpieczeństwa przeprowadzona w pierwszej połowie 1978 r. Zastosowano starą metodę policji politycznej, szeroko wykorzystywaną przez carską Ochranę, a przejętą przez sowiecki aparat terroru. Polegała ona na wprowadzeniu agentury do organizacji rewolucyjnej czy opozycyjnej z zadaniem sprowokowania konfliktu wewnętrznego, a następnie rozbicia jej od środka. W przypadku Ruchu Obrony, agenci⁹ – podsycając emocje czy ambicje niektórych osób, inspirując rzekomo potwierdzone podejrzenia, najpierw zablokowali aktywność RO, a następnie na Ogólnokrajowym Spotkaniu w Zalesiu Górnym w czerwcu 1978 r. doprowadzili do rozłamu. Operacja udała się tylko połowicznie, gdyż struktura była dostatecznie obronna, lecz spowodowała poważne straty. Przede

⁹ Dwaj szczególnie byli groźni: „Lewandowski” – Paweł Mikłasz i „Warszawski”. – Marian Bogacz. Aferę bardziej szczegółowo relacjonuję w książce L. Moczulski, *Lustracja. Rzecz o teraźniejszości i przeszłości*, Warszawa 2001.

wszystkim Ruch Obrony nie wykorzystał olbrzymiego potencjału swych możliwości, który przyniosły mu liczne sukcesy w poprzednim roku. Tym razem, nim zdążył odbudować swoje siły, został zdystansowany przez procesy eskalacyjne: rozwój opozycji demokratycznej oraz szybkie zmiany sytuacji politycznej w kraju.

Inaczej kształtowała się aktywność opozycyjna środowisk socjal-demoliberalnych. Ze względu na swoją liczebność i materialnie możliwości, a także potężne poparcie radia Wolna Europa oraz daleki od maksymalizmu program działania, stanowiło ona główny nurt opozycji demokratycznej. Ponieważ chodziło o zmiany w ramach PLR, nie działała tu potrzeba eskalacji strukturalnej. KOR przetrwał bez większych strat uderzenie SB z wiosny–lata 1977 r., a po zwolnieniu z więzień represjonowanych robotników główną uwagę skupił na poszerzaniu zakresu wolności obywateli. Czyniono to również metodą faktów dokonanych, osiągając naprawdę wielkie efekty. Gnębieni przez cenzurę literaci wydawali własne czasopismo, publikujące niedopuszczone do druku teksty, ograniczani w swobodzie wypowiedzi profesorowie mogli głosić swe poglądy bez przeszkód na kursach samokształceniowych, ukazywały się nieocenzurowane książki, także tłumaczenia autorów zagranicznych, dość regularnie wychodziły czasopisma.

Ale tutaj pionierską rolę odegrała redagowana przez Ciebie „Opinia”.

Wcześniej zaczęły wychodzić dwa tytuły prasowe: z początkiem jesieni 1976 r. pojawiło się pismo NN – „U progu”, a niewiele później wydawany przez środowisko KOR „Biuletyn informacyjny”. Wydawcy nieświadomie – gdyż kultywowali inną tradycję, powtórzyli tytuł głównego pisma informacyjnego ZWZ-AK. Oba te wydawnictwa miały charakter anonimowy, a redakcje działały konspiracyjne. Odbijało się to na charakterze obu pism, rzeczywiście bardzo biuletynowym. „Opinia” była kolejnym naszym *fait d’accompli*. Chodziło o to, aby obok jawnie przeciwcież redagowanych i publikowanych gazet i czasopism wydawanych pod kontrolą totalitarnych władz,, wprowadzić równie jawne pisma niez-

leżne, podające nazwiska redaktorów i autorów. Tworzyliśmy w ten sposób dwa obiegi: pierwszy był rygorystycznie kontrolowany przez władze, drugi całkowicie niezależny. Wydawałem „Opinie” tak, jakby w PRL nie było cenzury. Mówię w pierwszej osobie, bo zdecydowałem o jej wydawaniu sam, z nikim się nie konsultując. O tym zamiarze wiedział tylko Andrzej Szomański z nn; to on wymyślił tytuł. Robiłem pismo sam, tylko niektóre artykuły wstępne konsultowałem z ks. Ludwikiem Wiśniewskim; szybko felieton historyczny w każdym numerze zaczął pisać Wojtek Ziemiński, a nieco później Adam Wojciechowski. Ponieważ comiesięczne przygotowanie numeru, co robiłem na marginesie właściwej działalności, zaczęło przekraczać moje możliwości fizyczne, po kilku miesiącach redagowanie części numeru przejął Janek Dworak – również profesjonalny dziennikarz. Formalnie pismo wydawało kolegium w składzie Leszek Moczulski, Wojciech Ziemiński i Kazimierz Janusz; obu powiadomiłem o tym już po fakcie, czyli po oddaniu 1 numeru do *techniki*; byli nieco zaskoczeni, ale zaakceptowali chętnie. Ponieważ Kazik prowadził już w swoim mieszkaniu jawne biuro RO – Punkt Konsultacyjno-Informacyjny, pod takim samym adresem podałem w stopce siedzibę „Opinii”. Ziemiński przejął łączność z poligrafia, Janusz przyjmował osoby zgłaszające się z jakimiś sprawami do redakcji, większość z nich kierując zresztą do biura skarg i interwencji RO, w tym samym lokalu prowadzonym przez Bogumiła Studzińskiego. Wpływ obu na redagowanie pisma był zerowy. Każdy numer przygotowywałem w ciągu jednego – dwu dni nieprzerwanego ślęczenia przy maszynie, nie było czasu na jakiegokolwiek konsultacje. „Opinia” była robiona profesjonalnie nie tylko tekstowo, lecz również w szacie graficznej. Stworzenie na maszynie do pisania podzielonych na szpalty kolumn czy różnego formatu tytułów okazało się bardzo pracochłonne, ale efekt był znaczny. Również charakterem tekstów wychodziliśmy znacznie poza konspiracyjno-biurokratyczne nawyki. Niewątpliwą bombą był wywiad, jaki prezydent Carter udzielił „Opinii” – był to zresztą pierwszy w historii wywiad, jaki prezydent USA udzielił polskiej gazecie. Pionierski charakter miał blok dwu artykułów – Wojciechowskiego i mojego, opowiadający się za

zjednoczeniem obu państw niemieckich. Wcześniej w polskiej publicystyce, nie wyłączając bardzo liberalnej w takich kwestiach "Kultury" paryskiej, nikt nie odważył się wysunąć takiego postulatu. Nic dziwnego, że „Opinia” okazała się sukcesem. I to nie tylko w kraju. Pierwsze dziesięć numerów przedrukowane zostały jako osobna książka w Londynie, i to przez wydawnictwo zbliżone do KOR, a nie do nas. Chodziło o ukazanie, jaki poziom osiągnęła już w Polsce opozycja.

Nic dziwnego, że wiele wysiłku włożono, aby wyrwać „Opinię” z Twoich rąk. Bezpieka potrafiła organizować różne prowokacje, ale kogo miała bardziej na celowniku, was czy KOR?

Powstaliśmy w jakimś stopniu pod osłoną KOR. Planowaliśmy wprawdzie powołanie Ruchu Obrony z początkiem jesieni 1976 r., ale KOR nas ubiegł. Byłem chyba pierwszą osobą spoza ścisłego grona sygnatariuszy Komitetu, który dowiedział się o tym – i to wcześniej, niż pismo powiadamiające dotarło do Sejmu PRL. Inauguracyjny dokument podpisano w mieszkaniu położonym bardzo blisko redakcji „Stolica”, gdzie tego popołudnia samotnie coś pisałem. Otóż, gdy prof. Edward Lipiński z kimś jeszcze udali się na Wiejską, bardzo podekscytowany Wojtek Ziemiński wpadł do mnie z wiadomością i kopią podpisanego „Apelu”. W naszych środowiskach dało się zauważyć pewne niezadowolenie, że straciliśmy pierwszeństwo, lecz ja osobiście byłem zadowolony. KOR skupiał prawie całą uwagę SB, co było dla nas bardzo korzystne. Nie zrezygnowaliśmy jednak z żadnych działań osłonowych, nawet je poszerzyliśmy, wykorzystując fakt, że ogłoszenie powstania RO musieliśmy opóźnić o pół roku. Władze zapewne nie wytrzymałyby tak szybkiego wzrostu opozycji. Mimo, że nasz wielki skok 25–26 marca 1977 r. był szokiem dla władz, główne zainteresowanie SB przez cały 1977 r. skupiało się na KOR. Sytuacja uległa zmianie w 1978 r., gdy my znaleźliśmy się na celowniku. Jak już wspominałem, prowokacja SB zakończyła się połowicznym, ale poważnym sukcesem. Podobną prowokację znacznie wcześniej zorganizowano przeciw KOR. Trudno mi wypowiadać się o szczegółach dotyczących innego politycznie i życiorysowo środowisku –

tym bardziej, że nie mogę odwoływać się do faktów, lecz na podstawie dobrej znajomości poszczególnych ludzi łatwo domniemywać, jakie mechanizmy zadziały. Zresztą najprostsze: rozpalanie emocji przed agentów wpływu. Pretekstem była nieopatrzna i mało precyzyjna w wymowie wypowiedź prasowa Jacka Kuronia z końca stycznia 1977 r. o *finlandyzacji* Polski. Wywołała ona bardzo gorącą reakcję niektórych członków KOR. Sprawa ciągnęła się dość długo i miała dramatyczne momenty, przyczyniła się później do pogorszenia stosunków KOR-RO. Znaczna spoistość ideowa i personalna środowiska socjal-demo-liberalnego uniemożliwiła szerszy zasięg afery, choć doszło do prób jej wznowienia, tym razem przez podważanie wiarygodności jakichś rozliczeń finansowych. Żałować jednak należy, że poza doraźnymi działaniami organizacyjnymi, nie doszło wówczas do dyskusji merytorycznej nad sugestią Kuronia. Termin *finlandyzacja* oznacza, że dane państwo przestrzega zobowiązań podjętych wobec ZSRR, lecz zachowuje system demokratyczny. Nie wchodząc w dywagacje, co kto mógł pod tym ostatnim określeniem rozumieć, osiągnięcie takiego stanu rzeczy w PRL byłoby ogromnym krokiem naprzód i znacznie zbliżyłoby nas do niepodległości. Nie jest to ocena, do której doszedłem dziś, bo sformułowałem ją na piśmie jeszcze w końcu 1976 r. W ramach przygotowań do ogłoszenia Ruchu Obrony potrzebny był dezinformujący manewr, sugerujący, iż w naszym środowisku przeważają tendencje ugodowe. Ponadto, ponieważ dawało się zauważyć nagłe zaostrzenie stanowiska władz, a uderzenie i rozbicie KOR byłoby klęską całej opozycji i opóźniłoby znacznie realizację naszych planów. Warto było wystąpić z niesprecyzowaną bliżej sugestią, że represje są niepotrzebne, bo wszystko da się ułożyć pokojowo. Taki był z grubsza ton „Memoriału”, który napisałem podczas świąt Bożego Narodzenia i parę dni później przez zaufaną osobę – a mianowicie przez Zbigniewa Załuskiego, członka komitetu doradczego przy Gierku, przekazałem do KC PZPR; kopię tekstu tego samego dnia dałem Kuroniowi¹⁰. Dość

¹⁰ Ten egzemplarz posłużył później Mirkowi Chojeckiemu do publikacji „Memoriału” jako bodajże pierwszej pozycji organizującej się dopiero NOW-ej.

obszerne wywody były krytyczne wobec polityki władz, ale z pozycji z troskanego obywatela. Podkreślając nieuchronność głębokich przemian, aby obniżyć ich olbrzymie koszty, sugerowałem porozumienie pomiędzy *biegunem reformy* – czyli dojrzewającą opozycją, a *biegunem zachowawczym* – władzami PRL. Był to w istocie taki sam pomysł, jak dwanaście lat później zaproponowany przez Kiszczaka Wałęsie, okrągły stół – tyle, że na początku kryzysu PRL, a nie pod jego koniec. Jako przynętę, zafiarowałem likwidację KOR, gdy ze swej strony władze cofną wszystkie represje i wypuszczą aresztowanych robotników. Nie było to nic nowego, gdyż sam KOR zapowiadał, że po zwolnieniu uwięzionych jego cel zostanie osiągnięty i dokona samo-rozwiązania. Działał jednak pewien szczególny moment. 15 grudnia spotkałem się potajemnie z Kuroniem, Lipskim i Macierewiczem, aby wstępnie omówić możliwości współpracy naszych środowisk. Zachowane były wszystkie rygory konspiracji: lokal, położony w pobliżu ruchliwego zbiegu Żłotej i Żelaznej był czysty, zgodnie z naszymi rygorami używany po raz pierwszy i ostatni, mieścił się w wielkiej, starej kamienicy o kilku klatkach schodowych, gdzie bardzo łatwo można było zgubić ogon. Przez okno, zza firanki, można było obserwować drogę dojścia. Widziałem, że za zdążającą do mnie trójką ciągnie się ogon, co bardziej szczegółowo rozpoznała nasza – tj. nn – obserwacja zewnętrzna. Przybysze już wewnątrz budynku wykonali kilka prostych manewrów, gubiąc tajniaków. Ponieważ bezpieczeństwa w ciągu następnych dwu miesięcy nie zainteresowała się lokalem spotkania, było oczywiste, że nie ustaliła konkretnego adresu mieszkania. Ja nikogo nie powiadomiłem o spotkaniu, poza absolutnie pewną komórka nn, zapewniającą obserwację zewnętrzną. Jednak, dwa dni później zostałem zatrzymany na ulicy i przewieziono do Pałacu Mostowskich, gdzie poddano mnie wielogodzinnej próbie przesłuchania. Prawdopodobnie moi rozmówcy omawiali przebieg spotkania, co przeciekło do SB. Otóż, kierując „Memoriał” do władz, założyłem, że adresaci natychmiast zażądadają od SB informacji o mojej aktywności w ostatnim czasie – i dowiedzą się o spotkaniu z czołowymi osobami z KOR. Sugerowało to, że propozycję o samo-rozwiązaniu KOR z nimi uzgodniłem. Przynę-

ta była duża: likwidacja jawnego ośrodka opozycji bez potrzeby podejmowania drastycznej akcji policyjnej. Znacznie później, bo dopiero ze wspomnień Jaruzelskiego, dowiedziałem się, że w początkach stycznia 1977 r. mój „Memoriał” powielono i rozdano członkom Biura Politycznego pod dyskusję. Jej wyników nie znam, wymowne są jednak fakty. Ani grożące na przełomie roku, ani spodziewane po ogłoszeniu Ruchu Obrony Represje nie nastąpiły.

„Memoriał” był elementem gry, w owym czasie doprowadzenie do jakichkolwiek negocjacji pomiędzy władzą a opozycją było mało realne. Można je było rozpatrywać raczej, jako ewentualność teoretyczną. Taki był zarówno pomysł Kuronia z *finlandyzacją*, jak moja propozycja porozumienia. Ale, prędzej czy później, do takiego porozumienia – czy też kolejnych porozumień, musiało dojść. *Porozumienie jest formą walki* – ten tytuł mojej późniejszej broszury programowej wyrażał jedną z podstawowych zasad naszej strategii. Osiągnięcie jakiegoś wielkiego celu w kategoriach ogólnonarodowych – tej rangi jak sierpniowy sukces strajkowy 1980 r., pochłaniało tak wiele energii społecznej, że potrzebny był okres wytchnienia. To samo zjawisko występowało po stronie naszych przeciwników. Otwierało to drogę do porozumienia, w istocie zwykłego zawieszenia broni (choć nie wszyscy to rozumieli). Opozycji dawało czas niezbędny do przeformowania struktur i ponownego zgromadzenia sił. Rządzący mogli liczyć, że podobnie jak w 1956 czy 1970 r. – uspokoją, obezwładnią i potrafią wessać protestujące środowiska, choć raczej należało przewidywać, że zdecydują się na rozwiązanie siłowe – i również potrzebują czasu na przygotowania. Przerwa w otwartym konflikcie była jednak znacznie korzystniejsza dla *bieguna reformy*, czy raczej *rewolucji*, niż dla totalitarnej władzy. W tym czasie siły *ancient régime* słabły; pamiętajmy, że nadmierny potencjał dyspozycyjny, niezbędny dla sowieckiej ekspansji, zżerał już substancję. Natomiast ruch sprzeciwu, choćby tylko motywowany najprostszymi potrzebami ekonomicznymi – wzmacniał się, w sposób przyspieszony zyskując poparcie społeczne. Gdyby taką przerwę pomiędzy aktywnym konfliktem udało się dostatecznie przedłużyć, uruchamiał się mechanizm *ruchomego balastu*. Taki

Warszawa 1990. Demonstracja KPN
(fot. Grzegorz Boguszewski)





WSTĄP

W

SZEREGI

**ZWIĄZKU
STRZELECKIEGO**

Komisja Werbunkowa:

Biuro KPN *ul. Nowy Świat 18/20*

codziennie 16⁰⁰ - 18⁰⁰



Lato 1990. Demonstracja KPN „Jaruzelski musi odejść”

(fot. Tomasz Gutry)



Lato 1990. Demonstracja KPN „Jaruzelski musi odejść”

(fot. Tomasz Gutry)



Lato 1990. Demonstracja KPN „Jaruzelski musi odejść”

(fot. Tomasz Gutry)



Lato 1990. Demonstracja KPN „Jaruzelski musi odejść”

(fot. Tomasz Gutry)



Lato 1990. Demonstracja KPN „Jaruzelski musi odejść”

(fot. Tomasz Gutry)



Sierpień 1990. Blokada przez KPN bazy wojsk radzieckich w Rembertowie

(fot. Mirosław Mikulski)



Sierpień 1990. Błokada przez KPN bazy wojsk radzieckich w Rembertowie

(fot. Mirosław Mikulski)



Sierpień 1990. Błokada przez KPN bazy wojsk radzieckich w Rembertowie

(fot. Mirosław Mikulski)



Sierpień 1990. Błokada przez KPN bazy wojsk radzieckich w Rembertowie

(fot. Mirosław Mikulski)



Sierpień 1990. Blokada przez KPN bazy wojsk radzieckich w Rembertowie

(fot. Mirosław Mikulski)



Sierpień 1990, Warszawa Rembertów. Krajobraz po bitwie

(fot. Mirosław Mikulski)

Wiosna 1993. Kolejna kampania wyborcza KPN

(fot. Grzegorz Boguszewski)



Lata '90. Pikieta KPN

(fot. Grzegorz Boguszewski)



Konferencja prasowa. Od lewej: Krzysztof Król,
Leszek Moczulski, Andrzej Mazurkiewicz
(fot. Grzegorz Boguszewski)



Kolejny Kongres KPN
(fot. Grzegorz Boguszewski)





Kongres KPN-OP. Od lewej: Janusz Koza, Michał Janiszewski, Adam Słomka, Janina Kraus
(fot. Grzegorz Boguszewski)



Kongres KPN-OP. Adam Słomka z gościem Romualdem Szeremietiewem
(fot. Grzegorz Boguszewski)



1 maja 2001 r. Pikieta

(fot. Tomasz Gutry)



Maj 2009 r. Inauguracja biura w Warszawie

(fot. Tomasz Gutry)

balast przesuwana się na tę burtę, na którą statek się przechyliła, przenosząc punkt ciężkości – i powoduje jego wywrotkę. W naszej sytuacji takim balastem byli bardzo liczni oportuniści, oraz osoby dotychczas nie zainteresowane polityczne. Przy przedłużającej się sytuacji patowej, gdy władze PRL nie mogły zdecydować się na podjęcie jakiegoś konkretnego działania, te środowiska stopniowo przesunęły się na stronę reformy/rewolucji. Mogły to czynić nawet bardzo powoli, bo i tak, po osiągnięciu punktu krytycznego, katastrofa następowała samoczynnie. Konieczna była tylko znajomość mechaniki takiego procesu, a także świadomość, że porozumienie ma charakter tymczasowy. Dlatego m.in. w „Rewolucji bez rewolucji” pisałem, że powszechny strajk okupacyjny musi się zakończyć porozumieniem, które zaakceptuje ruch powstały w toku wydarzeń – czyli Wolne Związki Zawodowe. Nie będzie to jednak finał, tylko start do kolejnej fazy walki o niepodległość.

Zarówno ja, jak i Kuroń zmierzaliśmy do osiągnięcia konkretnego skutku rzeczywistego, a odmienności w celach ostatecznych nie przeszkadzały, że obaj działaliśmy politycznie, wolni od jakiegokolwiek fundamentalizmu.

Skoro w tak kluczowej sprawie mieliście wspólne poglądy, czemu nie zdecydowaliście się na wspólne działania.

Sprawy nie były takie proste. Oba środowiska funkcjonowały w znacznej izolacji od siebie, w sposób wyraźny różniły się życiorysowo i politycznie. Odmiennie też ocenialiśmy się nawzajem. Dla nas KOR nie był ani konkurentem, ani przeciwnikiem, tylko nieświadomym sojusznikiem. Ocenialiśmy wszystko w granicach długiej perspektywy, sięgającej odzyskania niepodległości i formowania demokratycznej Trzeciej Rzeczypospolitej. Wszyscy, którzy występowali przeciwko totalitarnemu systemowi, byli naszymi sojusznikami, a ich osiągnięcia naszymi. Im bardziej PRL była zdemokratyzowana, tym łatwiej było nam działać; każdy sukces KOR był korzystny społecznie, a więc korzystny dla działań na rzecz odzyskania niepodległości. Wprawdzie świadomy byłem, że takie uwarunkowania mogą się skończyć. System totalitarny, niewo-

łący Polskę, oparty był na podwójnej dyktaturze: krajowej i sowieckiej. Gdyby nawet doszło do głębokiej demokratyzacji, dalszy postęp byłby zatrzymany albo przez dyktaturę krajową, albo przez Moskwę. Wspominałem już o odmiennym rozumieniu przez oba środowiska terminu *demokracja*. Dla nas była to decyzja obywateli, płynąca od dołu i decydująca o władzy oraz o jej działaniach. Dla nich bliżej niesprecyzowaną wartością, podobnie jak dla ogromnej większości społeczeństwa. Lepsze zaopatrzenie w sklepach uważano za zwiększenie demokracji. Szczytem byłoby, gdyby każdy mógł kupić, co chce. W takich warunkach *finlandyzacja* oznaczała coś więcej – była pozytywną zmianą polityczną – i mogła być doskonałym punktem startu do dalszej walki. Dopiero zatrzymanie się na tej pozycji oznaczało kres dalszego postępu. To znaczy akceptację komunistycznego totalitaryzmu. W takim ustroju liberalizacja jest zawsze czasowa, bo zatrzymanie demokratyzacji oznacza początek przywracania rygorów. W przeciwieństwie do Finlandii, wolnej od przymusu regulacji wedle nakazów Moskwy, PRL była państwem stanowiącym autonomiczną część obozu czy systemu sowieckiego, w którym suwerenem był Kreml. Jeśli nie dochodziło do katastrofy Sowietów – w co prawie powszechnie nie wierzono, ani władze ZSRR, ani PRL nie mogły zgodzić się na przekazanie decyzji obywatelom – czy raczej poddanym, gdyż byłby to koniec imperium real-socjalizmu. Zdawaliśmy sobie sprawę, że procesy liberalizacji w pewnym momencie dojdą do punktu krytycznego: podwójna dyktatura nie będzie mogła się już cofnąć, a środowisko socjal-demo-liberalne stanie przed koniecznością wyboru. Alternatywa była prosta: albo uzna dotychczasowy postęp demokratyzacji za wystarczający i opowie się za istniejącą władzą (jak to było w Październiku 1956 r.) – albo, kontynuując działania wolnościowe, będzie dążyć do obalenia totalitarnej dyktatury. Byłoby to niemalże przejście na pozycje niepodległościowe, gdyż przywrócenie demokracji przedstawicielskiej oznaczało koniec systemu despotycznego rządzenia ze szczytów władzy. Jednak, przynajmniej w zapleczu lewicowego skrzydła *mainstreamu* opozycji, można było znaleźć ludzi, którzy obawiali się wybuchu społecznego z zupełnie innego powodu; eksplozja wysuwała

na plan pierwszy społeczeństwo – a było one prymitywne politycznie, nienawykłe do rządzenia, w większej części związane z tradycyjnym Kościołem, być może żądne odwetu (zjawiska takie, choć w ograniczonym stopniu, rzeczywiście wystąpiły podczas *festiwalu* „Solidarności”). Przypuszczaliśmy, że w takiej sytuacji środowisko socjal-demo-liberalne podzieli się, a nam zależało, aby jak największa jego część kontynuowała walkę z totalitaryzmem. W ramach naszej strategii działań pośrednich – o czym za chwilę, dążyliśmy aby KOR zajął w tych sprawach jasne stanowisko, przy czym równocześnie wytwarzaliśmy sytuację, utrudniającą opowiedzenie się za pierwszym z alternatywnych.

Do starcia na tym tle doszło po raz pierwszy w 1979 r. Był to mój jedyny publiczny atak na Kuroń przed 1981 r. (do drugiego – i ostatniego doszło w 1988 r.). Otóż Jacek w numerze 1-szo majowym „Biuletynu Informacyjnego” zamieścił artykuł o niebezpieczeństwie ewentualnej eksplozji, której skutkiem będzie interwencja sowiecka i całkowite zniewolenie Polski na następne pół wieku. Zarysował dylemat, przed którym jego zdaniem stoi demokratyczna opozycja: powinna przeciwstawić się wybuchowi społecznemu – bo to katastrofa, ale nie może tego uczynić, gdyż wówczas współdziałałaby z niedemokratyczną władzą. Nie wiem, które rozwiązanie Kuroń uważał za słuszniejsze, lecz wymowa takiego postawienia sprawy mogła być prosta: znacznie większym niebezpieczeństwem jest przecież półwiekowe zniewolenie Polski, połączone zapewne z inkorporacją do ZSRR¹¹, niż czasowe współdziałanie z władzami PRL, aby nie dopuścić do takiej katastrofy.

¹¹ Takie rozwiązanie zaczęto publicznie postulować w połowie lat '70. W czerwcu 1976 r. sekretarz generalny KP Bułgarii Żiwkow w referacie na statutowym Zjeździe zapowiedział, że utworzenie jednego państwa socjalistycznego od Oceanu Spokojnego do Łaby staje się konieczne; przedrukowała to „Trybuna Ludu”. W ZSRR zaczęły się ukazywać publikacje, wprawdzie tylko w niskonakładowych wydawnictwach akademickich, że formuje się już jeden naród socjalistyczny, obejmujący cały obóz sowiecki. W naszych ocenach, oficjalna zapowiedź takiej integracji politycznej mogła nastąpić dopiero po pomyślnym zakończeniu rozwijającej się ekspansji na południe. Dotarcie do ropodajnych terenów Bliskiego Wschodu i położenie łapy na niektórych z nich dawało ZSRR ogromny wzrost potęgi i całkowitą swobodę w sprawach wewnętrznych obozu. Amerykanie przewidywali takie *zjednoczenie* i – jak wspomniałem wyżej, przynajmniej niektórzy uważali go za korzystny.

Eksplozja społeczna była najważniejszym elementem naszego planu działania; bez niej odzyskanie niepodległości stawało się niemożliwe. W dodatku, aby nie zamieniła się w chaotyczne, nieskoordynowane, a często sprzeczne działania, wymagała aktywnego poparcia głównych struktur opozycji. Wystąpienie Kuronia wymagało zdecydowanej riposty. Ponieważ w ramach przygotowań do ujawnienia KPN konieczne było opublikowanie założeń naszego programu działania, połączyłem je z polemiką z Kuroniem. Taka była geneza „Rewolucji bez rewolucji”, którą napisałem pośpiesznie w maju 1979 r., aby można było rozpocząć kolportaż podczas pielgrzymki Jana Pawła II¹². W pierwszej części tekstu bardzo ostro – i świadomie przesadnie zaatakowałem Kuronia. Zasugerowałem tworzenie się szczególnego frontu przeciwników wybuchu społecznego, wymieniając kilka specjalnie dobranych nazwisk, począwszy od moczarskiego propagandzisty, znanego z ataków na ruch studencki w 1968 r., a kończąc na Jacku; wszystkich ich łączyła przynależność do komunistycznego Związku Młodzieży Polskiej w latach stalinowskich. Pozostała część tekstu utrzymana była w normalnym, spokojnym tonie, dalekim od jakiegokolwiek polemiki. Po prostu przedstawiłem nasz program dotyczący zarówno rozegrania eksplozji społecznej, jak kilkupunktowy plan fazowego dojścia do niepodległości. Wszystkie te działania były tak pomyślane, aby nie dopuszczać do starć fizycznych, typowych dla większości rewolucji. Wynikało z tego, że wieszczona przez Kuronia katastrofa nie jest jedyną, ani najbardziej prawdopodobną alternatywą, gdyż możliwy był bez-siłowy przebieg wybuchu społecznego – pod warunkiem, że wesprze go i pomoże zorganizować opozycja.

¹² Formy kolportażu „Rewolucji bez rewolucji” podczas ogromnych zgromadzeń ludzi witających Ojca Świętego mogły budzić fałszywe podejrzenia, że działamy w porozumieniu z Kościołem. Dlatego w bardzo demagogicznej replice na „Rewolucję bez rewolucji” Autor tekstu opublikowanego w „Biuletynie informacyjnym” zaatakował nie tyle mnie, co ks. Prymasa Stefana Wyszyńskiego, nazywając go ajatollahem i winiąc za wszystko. Chyba dziś nikt nie ma wątpliwości, że działania nasze nie były inspirowane przez Kościół, jakkolwiek staraliśmy się o nich informować również Prymasa. W tym czasie kontakt nie był utrzymywany bezpośrednio przez nas, tylko kanałem nn; wiem, że „Rewolucję bez rewolucji” przekazano Prymasowi dopiero po zakończeniu pielgrzymki papieża,

Ostrość początkowego, polemicznego fragmentu miała wykazać, że na wszelkie próby publicznego kontynuowania anty-eksplozywnej koncepcji Kuronia będziemy reagować wszelkimi możliwymi środkami, również odwołując się do przeszłości, czego z zasady nie robiliśmy. Rzeczywiście, podobne teksty, ostrzegające przed wybuchem, nie były już publikowane, a mogły narobić wiele szkody. Przeciwników wsparcia eksplozji – a ściślej mówiąc, masowych strajków nie brakowało, i to w różnych środowiskach. KOR początkowo wstrzymywał się od poparcia akcji strajkowej, podobnie jak większość gdańskiego RMP. Najostrzej wystąpił Wojtek Ziemiński. W swym fundamentalistycznym, czy wręcz fanatycznym wystąpieniu na opozycyjnej manifestacji przed Grobem Nieznanego Żołnierza 15 sierpnia, dzień po rozpoczęciu strajku w Stoczni Gdańskiej, ostro potępił to wydarzenie i inne podobne, określając je jako prowokacyjne i nie patriotyczne; dziś trzeba walczyć o niepodległość najjaśniejszej Rzeczypospolitej – krzyczał – a nie o obniżkę cen kielbasy. Polemizowałem z nim ostro, ale po twarzach widziałem, że nie przekonałem wszystkich. Dokonała tego sama rzeczywistość; parę dni później już cała opozycja wspierała strajki.

Spieraliśmy się o spawy najważniejsze, decydujące o losie Polski. Byliśmy przekonani, każdy z osobna, o słuszności własnych programów, ale przecież mogliśmy się mylić. Przyszłość zawsze jest nieznaną, proces dziejowy w każdej chwili może skrócić w całkowicie innym kierunku. Szukanie innych, mniej popularnych dróg nadawało fundamentalny charakter naszym poczynaniom. W takich warunkach niemożliwe stało się wytworzenie wspólnej polityki. Do tego dochodził zupełnie inny zakres wyobraźni. Nawet coś, co powinno być wspólne – wizję demokratycznej opozycji, kształtowaliśmy w oparciu o zupełnie inne źródła i doświadczenie.

My mieliśmy przed oczami system, który od dawna funkcjonował w Polsce. Także w XX wieku. Scena polityczna zawsze była podzielona, występowały na niej w zmieniających się układach różne partie i stronnictwa polityczne. Również poziomy system polityczny w latach okupacji niemieckiej oraz formującego się totalitaryzmu PRL był plurali-

styczny. Nie wyobrażaliśmy sobie, że przyszła opozycja demokratyczna może być inna, a gdy zaczęła się formować, samo życie wykazywało, że musi być różnorodna, gdyż dołączali do niej ludzie różnych przekonań.

Środowisko socjal-demo-liberalne, a przynajmniej jego główna część, wyrosło w PRL i innych rozwiązaniach ustrojowych nie znało, albo uważało za przestarzałe i nieaktualne. Była jedna siła rządząca – i powinna być jedna siła opozycyjna. Dodawano do tego pozornie racjonalny argument, że skoro władza jest zjednoczona w jednej wielkiej politycznej strukturze, to podzielona na różne opcje opozycja nie ma żadnych szans. Tyle tylko, że jedyną organizację można zniszczyć jednym uderzeniem taktycznym, gdy wielość zapewnia przetrwanie opozycji. Jednak przekonanie o przewadze monizmu politycznego nad pluralizmem było tak silnie, że nawet Bronisław Geremek – umysł o wszechstronnym, gruntownym wykształceniu, ulegał mu jeszcze latem 1989 r. Sam mi, raczej żartobliwie o tym po latach opowiadał. Delegację nowo-wybranego parlamentu pod Jego przewodnictwem przyjmowano w Senacie USA. Zapytani, czy w polskim Sejmie formują się już nowe partie polityczne, przybyli parlamentarzyści zgodnie odparli, że nie ma takiej potrzeby, gdyż stosują bardziej nowoczesną formę, a mianowicie jednolity ruch obywatelski. Przyjęcie tej informacji było raczej chłodne. Dopiero w części nieoficjalnej jeden z senatorów, bardzo życzliwy Polsce (rodzina jego wywodziła się z ziem historycznych Rzeczypospolitej), wziął na bok Geremka i tłumaczył mu, że istnienie partii politycznych jest niezbędne dla funkcjonowania demokracji – a w powszechnym przekonaniu zachodniej opinii publicznej jedyne i jednolite ruchy polityczne są typowe tylko dla państw totalitarnych. Przekonał zresztą rozmówcę bez trudu. Geremek opowiadał mi o tym, ilustrując wywód, jak bardzo nieprzygotowany pod względem technik politycznych i mechanizmów kierowania państwem demokratycznym byli ludzie, którzy wówczas, niespodziewanie dla siebie, przejmowali władzę – i musieli sobie z tym poradzić. Sam pamiętałem, jak pod koniec sierpnia 1989 r. Tadeusz Mazowiecki, już premier, ale jeszcze bez rządu, zaprosił Jana Józefa Lipskiego i mnie, jako szefów partii znajdujących się poza parlamentem (PPS i KPN). Wiedział

dobrze, że demokracja działa tylko wtedy, gdy funkcjonuje pluralizm; wcześniej odmówił kandydowania do parlamentu (identycznie postąpił Olek Hall), gdy okazało się, że na listach wyborczych przyznanych niezależnym kandydatom umieszczono przedstawicieli tylko jednej struktury opozycyjnej. Zaprosił nas, aby powiadomić, że jego głównym celem jest przywrócenie demokracji – i prosił o poparcie. Zapytałem go wówczas, od czego zacznie. Podniósł ręce do góry, jakby się chciał złapać za głowę, i wykrzyknął półgłosem: *Jezus Maria, żebym ja to wiedział!*

Otóż stosunek środowiska KOR do nas wynikał przede wszystkim z inaczej ukształtowanej wyobraźni. W skrajnej postaci przedstawiało się to nieomal karykaturalnie. Opozycja przeciwko totalitarnej władzy musi tworzyć jedną i jednolitą strukturę. Uformowała się jeszcze w ramach istniejących legalnie struktur politycznych i młodzieżowych, rozpoczynając od krytyki błędów socjalizmu i przeszła przez kolejne fazy aż powołania jawnego Komitetu, zwalczanego przez władze. Utworzenie innej struktury opozycyjnej stanowi zarazem prowokację i uzurpację. Prowokację, gdyż łamiąc jedność opozycji, tym samym działa na korzyść totalitarnych władz, a w szczególności jej nacjonalistycznego skrzydła. Uzurpację, gdyż to my byliśmy pierwsi: podjęliśmy czynną walkę już w marcu 1968 r., a teraz zorganizowaliśmy jawną demokratyczną opozycję.

Inna też była wyobraźnia historyczna. Dotyczyło to nie tylko przeszłości PRL. Opublikowałem konspiracyjne w 1976 r. broszurę „Geneza PRL”, w której nazwałem PPR *partią zdrady narodowej* – budującą przyszłą 17 republikę¹³. Dla niektórych było to faszystowskie oszczerstwo; komuniści pragnęli zaprowadzić w Polsce ustrój sprawiedliwości społecznej, lecz skręcili w złym kierunku pod stalinowskim przymusem. Bez porównania ważniejsza była wiedza wyniesiona ze szkół. Tych, którzy uczęszczali do nich w latach 50. nauczono, że historia Polski obejmuje trzy epoki: feudalną, zakończoną zniesieniem pańszczyzny przez

¹³ 16-tą była wówczas republika Karelii, później ze związkowej przekształcona w autonomiczną.

cara Aleksandra II w 1864 r.; kapitalistyczną – do ogłoszenia Manifestu Lipcowego przez PKWN w 1944 r. i obecną – socjalistyczną. Później takie bzdury odrzucono, lecz zachowano generalną postawę potępiającą, przy zmiennym nasilaniu krytyki. Najgorszy miał być okres międzywojenny: na wpół faszystowska dyktatora wojskowej junty, bliskie stosunki z Hitlerem, upadek gospodarki, gnębienie robotników i chłopów, brutalne represje wobec wszystkich środowisk postępowych. Przy takim obrazie historii, trudno się dziwić, że ugrupowanie polityczne, głoszące chęć przywrócenia przedwojennego systemu, traktowane było z największą podejrzliwością.

Przesadą byłoby przypisywanie takich poglądów wszystkim, lecz coś z tak określonej wyobraźni występowało prawie u każdego działacza ze środowiska socjal-demo-liberalnego. Budziło to zrozumiałe opory przeciwko konkurencyjnej formacji. Zwłaszcza, że ta, głosząc program maksymalistyczny (dla nich: awanturniczy), zmierzający nie do naprawy, a rozbitcia PRL, prowokowała władze do zaostrzenia represji przeciwko całej opozycji.

W sytuacjach dramatycznych mogło to prowadzić, zresztą po obu stronach, do jednostkowych wystąpień, których emocje przekreślały rozsądek. Posłużę się przykładem najbardziej jaskrawym. W czerwcu 1977 r., po aresztowaniu kilkunastu członków KOR – w tym ciężko chorego J.J. Lipskiego, na konferencji prasowej potępiliśmy represje i uznaliśmy, że najważniejszym aktualnie zadaniem całej opozycji jest domaganie się uwolnienia więzionych opozycjonistów. Dodatkowo Wojtek Ziemiński przedstawił dziennikarzom zagranicznym materiały, dowodzące poważnej choroby Lipskiego. Natychmiast po zakończeniu konferencji, Radio Wolna Europa nadało – i wielokrotnie powtórzyło obszerną informację o jej przebiegu, bardzo pozytywnie oceniając zaangażowanie Ruchu Obrony. Przez wieczorem komunikaty te nagle zamilkły. Okazało się, że dwie panie ze środowiska KOR, bardzo rozemocjonowane uwięzieniem ich przyjaciół i bliskich, przerażone możliwym, a najgorszym rozwojem wypadków, zareagowały histerycznie. Przez swoje kontakty powiadomiły RWE, że Ruch Obrony zasługuje na potępienie, gdyż obrzydliwe

moralnie jest żerowanie na cudzym nieszczęściu, aby promować siebie; a w ogóle jest to grupa o niejasnych zamiarach, bardzo podejrzana politycznie.

Występowały pomiędzy nami różnice fundamentalne. Szczęśliwie, dotyczyły one takiego szczebla ogólności, albo odnosiły się do różnic, które znaczenie polityczne mogły mieć dopiero w przyszłości. Byli w Ruchu Obrony ludzie, którzy emocjami odpowiadali na emocje, po rozłamie dokonanym w Zalesiu w większości znaleźli się w innej części RO. Ja osobiście nie dramatyzowałem różnic. Wokół KOR, identycznie jak u nas, skupiali się ludzie uczciwi, którzy z idealistycznych pobudek wystąpili przeciwko totalitarnemu systemowi, dążąc do poszerzenia wolności i obrony wartości humanitarnych. Działali z głębokim przekonaniem o słuszności własnych ideałów, ale w granicach istniejącej rzeczywistości. Wraz ze zmianą tej rzeczywistości, którą sami powodowaliśmy, zmieniała się optyka polityczna i bezpośrednie cele. Powodowało to ciągłą ewolucję struktur opozycyjnych. U nas mniejszą, gdyż taką ewolucję zaprogramowaliśmy i mieliśmy bardzo szczegółowo sprecyzowane cele; w środowisku socjal-demo-liberalnym bardziej żywiołową, ale chyba i bardziej istotną. Byłem przekonany – i tak rzeczywiście następowało, że wraz z upływem czasu, pod przemożną presją zmieniających się warunków, różnice pomiędzy nami będą się zmniejszać, a emocje słabnąć. Zwłaszcza, że sprzeczne czy odmienne cele i zamiary występowały najsilniej na szczytach grup opozycyjnych, a bardzo słabo na dole. Nic dziwnego. Najbliższe cele w całym okresie przed-sierpniowym były z reguły identyczne, formy działania takie same, albo bardzo podobne. Prowadziło to często do samorzutnej współpracy, a w bazie wspierającej granica pomiędzy poparciem jednego czy drugiego kierunku stawała się niewidoczna.

Wytworzyła się sytuacja, całkowicie przeciwna niż obecnie. Współcześnie dominują w polityce polskiej (choć to zjawisko typowe dla całego Zachodu) partie władzy – realne i *in spe*. Wszystkie są niemal takie same: Pragną rządzić, choć na ogół nie wyjaśniają, po co. Deklarują cele bardzo podobne, lecz w swej ogólności bliżej nie sprecyzowane; tylko niektóre

zamierzenia doraźne bywają klarowne. Wyolbrzymianą natomiast różnicę, które zresztą dotyczą wyłącznie kwestii pozornych, albo drugo- czy trzecioplanowych. Skutecznie budują tylko wzajemną wrogość. W czasach opozycji wszystko było odwrotne. Obie główne opcje różniły się od siebie bardzo wyraźnie: życiorysowo, społecznie, politycznie, ideowo, miały odmienne wyobraźnie i zupełnie inne cele ostateczne. W praktyce współdziałały w osiągnięciu tych samych kolejnych celów bieżących, wspólnie przekształcały rzeczywistość. Nie czyniły tego, aby realizować swoje własne interesy, lecz realizowały kolejne potrzeby społeczne, narodowe – w ostatecznym wyrazie potrzeby Polski. Łączył je nie tylko wspólny przeciwnik – jeszcze bardziej wspólne, choć tylko równoległe działanie. Wraz z upływem czasu, starały się zacierać sprzeczności i hamować konflikty wynikające z odmiennych wizerunków, charakterów i postaw. Nigdy nie stworzyły takiego stanu wrogości, jaki obserwujemy dzisiaj.

Nie chcę zacierać politycznych różnic, rywalizacji, ani stopnia możliwości. To wszystko występowało. Naszym walorem było myślenie perspektywiczne i staranne przygotowanie – co liczyło się na przyszłość. Formacja skupiona wokół KOR cieszyła się większym poparciem społecznym i możliwościami materialnymi, co dawało jej silną pozycję w danej chwili.

Ostatecznie zwyciężył jednak program niepodległościowy, powstała Trzecia Rzeczpospolita. Jak do tego doszło, skoro KPN był znacznie słabszy, niż główny nurt opozycji?

Wytworzona została sytuacja, w której inna ewentualność była niemożliwa. Co do siły, dysponował nią przede wszystkim sam PRL, za którym ponadto stała potęga sowiecka. To był jeden z głównych problemów, który musieliśmy przeanalizować i rozwiązać grubo wcześniej. Skorzystaliśmy tutaj zwłaszcza z koncepcji Liddel Harta, brytyjskiego badacza konfliktów zbrojnych. Opracował on szeroko koncepcje działań pośrednich, pozwalających słabszemu toczyć przewlekły konflikt z silniejszym. Zobrazować to można na przykładzie gry w bilard. Grający uderza

kijkiem w bilę, która tocząc się prosto, uderza w inna, po czym obie zmieniają kierunek i każda dociera do zamierzonego punktu. Niektórzy potrafią uderzyć tak, że druga bila uderza w trzecią, a nawet w czwartą – a te posłusznie trafiają na wyznaczone miejsce. Uderzenie w kierunku powoduje, że uruchomiona siła przesuwana w zupełnie inne strony, lecz zgodnie z zamierzonym planem. Realne konflikty są o wiele bardziej skomplikowane, niż bilardowe rozgrywki, m.in. dlatego, że równoległe działają dwie – a nawet więcej, przeciwne siły. Działanie pośrednie zmierza do tego, aby pod jego wpływem przeciwnik zaangażował swoją siłę – względnie jej część, w wyznaczonym przez nas kierunku – czyli bezwiednie realizował nasz cel. Nieraz, zwłaszcza w warunkach bardzo skomplikowanych, można osiągnąć całkowite odwrócenie siły przeciwnej: zamiast uderzyć w nas, atakuje siebie. Otóż, z braku dostatecznych sił, działania wyłącznie bezpośrednio stosowaliśmy rzadko. Głównie posługiwaliśmy się pośrednimi, aby siłę totalitarnego państwa, ale także innych formacji kierować w wybranym przez nas kierunku. Dotyczyło to przedsięwzięć zarówno wielkich, jak małych. Posłużę się przykładem, do którego już nawiązywałam. Jacek Kuroń przestrzegał przed wywołaniem eksplozji społecznej, gdyż spowoduje to brutalny kontratak, który nie tylko rozbije opozycję, lecz doprowadzi do długotrwałego zniewolenia. Rozpatrywał konflikt jako działanie bezpośrednio, w którym wielokrotnie silniejszy miałby przeciwnika. W naszych planach operacyjnych zakładaliśmy zarówno możliwość powstrzymania takiego uderzenia, jak też ewentualność dwukrotnej eksplozji społecznej, przy czym dopiero ta druga przyniesie ostateczny sukces. Oczywiście, kontruderzenie przeciwnika musiało powodować poważne straty i mogło doprowadzić do wielkich tragedii, lecz miało również stronę pozytywną. Władza, zarówno polska, jak nadrzędna sowiecka, przez taki brutalny zamach na swoich obywateli, w pełni i manifestacyjnie ujawniała swoje oblicze: nawet na ograniczone zmiany w Polsce nie ma zgody, a wszystkie obietnice i zobowiązania okazały się oszustwem. Pozwalało to zrozumieć poważnej części Polaków, że przeważające dotychczas poglądy, iż wystarczą zmiany w samym PRL okażą się złudą, a w ślad za tym przyjdzie zrozumienie,

że bez niepodległości państwowej konkretne cele, do których zmierzały różne grupy społeczne, nie mogą zostać osiągnięte. Przy ówczesnym stanie umysłów, w znacznym stopniu zniewolonych czy oglupionych działkami lat propagandy, trudno było zakładać, że ludzie sami dojdą do tego, a jeśli nawet – to upowszechnią to odkrycie. W bezpośrednim działaniu przekonywaliśmy konkretnych ludzi o słuszności naszego programu; w pośrednim staraliśmy się przekonać całe społeczeństwo, że tylko niepodległość gwarantuje dokonanie oczekiwanych zmian i zapewni ich trwałość. Ponieważ nie mieliśmy narzędzi masowego oddziaływania – ani radia, ani telewizji...

Wolna Europa traktowała wasz program jako nacjonalistyczny...

Najchętniej nic o nim nie mówiła. Trudno się dziwić: była amerykańskim radiem rządowym. USA nie wspierały działań wywrotowych w obozie sowieckim, a my chcieliśmy obalić ustrój i, rozbić obóz. Polityka amerykańska wynikała z własnych interesów tego mocarstwa, a nie z polskich. To normalne. Otóż, ponieważ nie mieliśmy bezpośrednich środków masowego przykazu, stosowaliśmy pośrednie. Były to nie tylko nasze wypowiedzi, którym po utworzeniu KPN nadawaliśmy bardzo zaczepny, wręcz prowokacyjny charakter, podnoszenie najbardziej drażliwych kwestii, np. niepodległości Ukrainy (co musiało pobudzić uwagę Moskwy), lecz także rozwijanie struktur organizacyjnych, których skomplikowane nieraz formy, a nawet nazwy budziły niepokój SB. Tak proste działania, jak zgłoszenie kandydatów KPN w wiosennych wyborach 1980 r. do Sejmu PRL, publiczne noszenie znaczków KPN, czy jawne podważanie legalności władz wywoływały silną reakcję. W planach działania zakładaliśmy, że jeszcze przed eksplozją (przypominam, że KPN powstał, gdy oczekiwany wybuch społeczny już wzbierał) dojdzie do aresztowań. Najwyraźniej krytyczny moment rozpoczęcia bezpośredniej ekspansji społecznej¹⁴ opóźnił tę akcję, lecz trzy tygodnie po

¹⁴ W grudniu 1979 r. Sowieci okupowali Afganistan i pośpiesznie budowali tam *place d'armes*, skąd miał ruszyć dalszy atak. Iran był ogarnięty rewolucją islamską, a Saddam Hussein – dyktator Iraku, już pozyskany przez Moskwę.

podpisaniu Porozumień Gdańskich byłem już w celi na Rakowieckiej. Cała fala rozpoczętych tym represji, aresztowań, wielki proces sądowy, ogromny, obejmujący dziesiątki tysięcy ludzi ruch obrony więzionych za przekonania – wszystko to pracowało dla nas. Komunistyczne władze bardzo głośno i wielokrotnie powiadomiły społeczeństwo, że istnieje program odzyskania niepodległości przez Polskę, a także partia polityczna KPN, która go realizuje. Ponieważ program ten potraktowano jako groźny, tym samym potwierdzono, że jest realny. Gdy więc doszło do grudniowego uderzenia władz, co rozwiało wszelkie iluzje, że totalitarna władza zgodzi się na demokratyzację: ludzie coraz bardziej masowo zaczęli rozumieć, że odzyskanie niepodległości jest absolutnym warunkiem zaprowadzenia demokracji i poprawy bytu. Dalej proces zaczął się toczyć sam, choć wpływaliśmy na jego przyśpieszenie i konsekwentne utrzymywanie kierunku.

Działaniami pośrednimi planowaliśmy też rozegrać eksplozję społeczną. Liczyłem, że zostanę aresztowany jeszcze przed pierwszymi symptomami wybuchu, a zwolniony w następstwie porozumienia, które zakończy jego wstępną fazę. ZSRR zaczął już realizować swój wielki plan dotarcia do Środkowego Wschodu – i żadna inna awantura nie była mu potrzebna. Zdławienie siłą rozwijającego się strajku powszechnego obracało całą zachodnią opinię publiczną, a za nią rządy przeciwko Moskwie. Trwała przecież zimna wojna, a cenę Sowieci płaciliby nie w Polsce, lecz na południu. Niestety, aresztowano mnie zbyt późno – cały okres jawnej „Solidarności” przesiedziałem w więzieniu, a nasze projekty działań pośrednich pozostały na papierze. Przygotowaliśmy je jeszcze we wczesnych latach ’70 w dwu wariantach. Pierwszy przewidywał niedopuszczenie do starcia przez brak obrony. Jak już mówiłem główna siłą polskiej rewolucji bez rewolucji byli robotnicy wielkich zakładów przemysłowych, bronią strajki okupacyjne, twierdzami fabryki. Otóż w następstwie uderzenia, które mogło nastąpić tylko w nocy z soboty na niedzielę, pracownicy powinni pozostać w domu, a pracujący bez sprzeciwu opuścić zakład pracy. Wszystko, co niezbędne, wraz z kadrą „Solidarności”, powinno zejść do podziemia. W takiej sytuacji uderzenie

ZOMO i wojska trafiało w próżnię, a utrzymywanie zmobilizowanych sił nie mogło być długotrwałe, gdyż groziło załamaniem finansowym. Drugi wariant przewidywał przyjęcie uderzenia na tak przygotowanych pozycjach, aby przeciwnik dla samej osłony swych działań musiał rozproszyc swoje siły. Działania strajkowe, a w istocie rewolucyjne, miały iść dalej, niż w strajku powszechnym szykowanym wiosną 1981 r. Ponieważ większość wielkich zakładów nie mogła być przedmiotem ataku wojskowo-milicyjnego z braku sił, ich pracownicy – unikając starcia fizycznego, powinni blokować inne obiekty, w szczególności przerywając linie komunikacyjne i łączności. Celem nie było zdobycie i obrona tych obiektów, lecz odciągnięcie oddziałów skierowanych do zdławienia strajku w wybranych fabrykach. Każda aktywność odciągająca była dobra, np. budowa barykady w poprzek ulicy, czy obwieszenie pustego urzędu flagami i transparentami. Chodziło o wykorzystanie przewagi liczebnej; każda aktywność, także pozbawiona większego sensu, odciągała część sił przeciwnika od metodycznie zaplanowanych działań. Jeśli udało się doprowadzić do pata – było to już nasze zwycięstwo.

Przygotowań do takiego rozegrania konfliktu nie można było ukryć, ale i nie występowała taka potrzeba. Sam ich fakt wymuszał na przeciwniku ostrożność i opóźniał podjęcie decyzji. Jeśli jednak formujący się stan dwuwładzy udało się przedłużyć, po przekroczeniu punktu krytycznego, siłowe kontruderzenie traciło sens i przekształcało się w presję ekonomiczno-polityczną.

Oba warianty wymagały dłuższych i starannych przygotowań. Pomiędzy innymi, w gruncie rzeczy najważniejsze, ale to temat na zupełnie inną, wielogodzinną rozmowę. Zwrócę uwagę tylko na jeden: określenie momentu kontruderzenia przeciwnika. Działał on w zgodzie z pewną doktryną, zresztą opisaną dokładnie w książce marszałka Sokołowskiego „Strategia wojenna”, tylko przystosowaną do konfliktu wewnętrznego. Inaczej zresztą nie umieli. Nasze przypuszczenia w tej mierze zostały później w pełni potwierdzone. Otóż ostatnie czynności przed uderzeniem trzeba było siłą rzeczy przeprowadzać jawnie. Takim *rozpoznanie* *walką* było wysłanie do każdej gminy tzw. grup operacyjnych. Ich od-

wołanie oznaczało, że zaczęło się już odliczanie dni do wyznaczonej daty uderzenia. Ostateczne potwierdzenie decyzji mogło nastąpić w ostatniej chwili – jeśli wcześniej wykonano wszystkie zaplanowane działania przygotowawcze. Wprawdzie z więzienia, ale śledziłem to wówczas bardzo uważnie. Gdy grupy operacyjne wycofano, złożyłem przed sądem (trwał proces KPN) oświadczenie, że w takich warunkach stan nadzwyczajny (wojenny) zostanie ogłoszony w nocy na 13 względnie 20 stycznia. Sąd mi nie przerwał, oświadczenia ogłoszono w sieci „Solidarności”, ale najwyraźniej nikt nie potraktował go poważnie. Z kolei ja, w najczarniejszych przewidywaniach, nie domyśliłem się, że do tak jawnie widocznej groźnej sytuacji Związek nie podjął żadnych przygotowań.

A jednak, wbrew obawom Kuronia, udane uderzenie reżymu 13 grudnia nie przyniosło półwiecza niewoli, tylko całkiem przekreśliło możliwość przetrwania satelickiej PRL.

POLITYKA TO JEST BARDZO RACJONALNE ZAJĘCIE

Z LESZKIEM MOCZULSKIM
ROZMAWIA MACIEJ SZUMOWSKI

Zamieszczony poniżej zapis rozmowy to niemal wierna kopia tekstu, który został opublikowany przez krakowską KPN w 1985 roku.

Rozmowę w lutym 1985 roku (a więc na miesiąc przed wyborem Gorbaczowa na genseka w Związku Sowieckim) przeprowadził znany wówczas dziennikarz, były redaktor naczelny wydawanej przez KW PZPR w Krakowie „Gazety Krakowskiej”. Gazeta ta w okresie Karnawału Solidarności była uważana za jeden z nielicznych rzetelnych dzienników ukazujących się oficjalnie (choć prezentujących – oczywiście – lewicowy punkt widzenia, tożsamy z tzw. nurtem reformatorskim w PZPR). Po 13 grudnia redakcję „Gazety” zwolniono i Szumowski znalazł się poza prasą oficjalną. Związał się wówczas z drugim obiegiem kultury i – m.in. – w ośrodku ks. Kazimierza Jancarza w Mistrzejowicach w Nowej Hucie przeprowadzał długie rozmowy, rodzaj notacji, z działaczami opozycji. Zapisy filmowe tych rozmów były następnie kolportowane niezależnymi kanałami i emitowane, np. w salkach katechetycznych.

Po drugiej stronie mikrofonu mamy Leszka Moczulskiego. Kilka miesięcy wcześniej wyszedł z więzienia, w którym spędził niemal 4 lata (z krótkimi przerwami – od 23 września 1980 r. do sierpnia 1984 r.). Niemal natychmiast po znalezieniu się na wolności Moczulski zwołał w swoim mieszkaniu konferencję prasową i zapowiedział kontynuowanie działalności Konfederacji Polski Niepodległej. W grudniu 1984 roku odbył się II Kongres tej partii. Doszło do rozłamu – odeszła grupa Romualda Szeremietiewa oraz Tadeusza Stańskiego (która wkrótce utwo-

rzyła ugrupowanie – Polską Partię Niepodległościową, PPN). W uchwale politycznej II Kongresu KPN czytamy: „Weszliśmy w decydujący okres polskiej rewolucji niepodległościowej. Społeczeństwo w obecnym stanie świadomości coraz pełniej rozumie nasz generalny cel, jakim jest Niepodległa i Demokratyczna Rzeczypospolita”.

Stwierdzenie, że społeczeństwo rozumie przedstawiony wyżej cel było nieco na wyrost. Spora część społeczeństwa (zdecydowana większość) nadal uważała ten cel za nierealny. Rzecznikiem tej grupy w przytoczonej tu rozmowie był Maciej Szumowski.

Pamiętam, że gdy w połowie lat 80. widziałem po raz pierwszy to nagranie, większość widzów, którzy oglądali film razem ze mną, uważała Szumowskiego za realistę a Moczulskiego – za (niebezpiecznego) marzyciela. Nie będę także przekonywał, że sam miałem wtedy pewność realizacji tego celu. Słowa Mirosława Hermaszewskiego, który po powrocie z lotu w kosmos miał powiedzieć, że łatwiej jest człowiekowi oderwać się do Ziemi niż Polsce od ZSRR, wyrażały powszechne w latach 80. przekonanie. Przekonanie to wkrótce uległo wzmocnieniu – w marcu 1985 r. Moczulski i inni przywódcy KPN zostali aresztowani a na początku 1986 r. w drugim procesie KPN skazani na kary więzienia. Wydawało się, że Opatrzność w krótkim czasie napisała pointę do tej rozmowy przyznając rację argumentom Szumowskiego. Wiemy co było dalej...

To zabawne, jak dziś, po 32 latach od tej rozmowy, role się odwróciły. Dzisiaj to Moczulski zdaje się nam realistą a Szumowskiego postrzegamy jako człowieka małej wiary, oderwanego od rzeczywistości.

Dziś, gdy większość osób zaangażowanych w latach 80. w działalność niezależną, twierdzi, że walczyła o niepodległość (i być może nawet sama w to dzisiaj wierzy) – a przecież była to znikoma część społeczeństwa, która w ogóle angażowała się w działania antysystemowe – warto przypomnieć, jaki był rzeczywisty stan ducha aktywnej części społeczeństwa na 4 lata przed pamiętnym rokiem 1989. Dlatego zachęcam do uważnej lektury nie tylko słów Moczulskiego, ale także (niekiedy bardzo obszernych) pytań i wywodów Szumowskiego. Pamiętajmy o kontekście historycznym tej rozmowy.

A poza wszystkim innym jest to przykład fascynującej intelektualnej szermierki na argumenty na bardzo wysokim poziomie merytorycznym i erystycznym (z obu stron). A także przykład wielkiej kultury politycznej rozmówców, którzy mimo dzielących ich głębokich różnic, potrafili przeprowadzić długą i ciekawą dyskusję, okazując sobie wzajemnie szacunek.

Można zapytać, gdzie się to zgubiliśmy?

Mirosław Lewandowski

MACIEJ SZUMOWSKI: Przyznam, że jestem bardzo poruszony, a nawet wzruszony, że mam okazję po raz pierwszy w życiu z Panem rozmawiać. Wszak jest Pan człowiekiem o charakterze niezłomnym, człowiekiem, który bardzo wiele wycierpiał w obronie nie tylko swojej przecież sprawy, swoich idei. To nie jest stwierdzenie kurtuazyjne. Ono wyznacza podstawową płaszczyznę naszej rozmowy. Mam głęboki szacunek dla Pana, dla Pańskich osobistych przeżyć, dla Pańskiej woli walki. Byłbym fałszywy, gdybym w dalszym ciągu rozmowy starał się uprawiać jakąś fałszywą kurtuazję. To moje wzruszenie powinno być tak wykorzystane, byśmy mogli szczerze porozmawiać, nie kryjąc nawet ewentualnych różnic poglądów. Sądzę, że na tym polega kultura polityczna. Chciałbym z tej rozmowy coś wynieść, chciałbym zadać pytania, które mnie nieraz nurtowały w sprawie Pańskich poglądów czy poglądów KPN. Sądzę, że w tej atmosferze zaufania, przyjaźni, pewnego nawet mojego wzruszenia, szczerze i normalnie będą brzmiały pytania, które w innej sytuacji może wydałyby się drastyczne.

Czy nastąpiła jakaś ewolucja poglądów Pańskich, założmy od stanu wojennego, pobytu w więzieniu, amnestii? [...].

LESZEK MOCZULSKI: Nie, zupełnie nie. Może jakieś drobne zmiany w poglądach na jakichś ludzi... Przyznam, że w pewnym, niewielkim wprawdzie stopniu, zmieniłem pogląd na Dobraczyńskiego, bo nigdy go specjalnie nie ceniłem (jakkolwiek to niezły pisarz). Natomiast w sprawach zasadniczych to stan wojenny był tylko potwierdzeniem

tego co my mówiliśmy cały czas i nic dla nas nie zmienił. To był tylko dowód naszej racji.

Rozumiem, że to nawet łatwo tak przyjąć w kategoriach ogólnej ideologii. Ale czy w sferze pewnej strategii, którą Pan proponuje, strategii ruchu oporu, czy nawet walki, czy w tej politycznej płaszczyźnie nic się nie zmieniło?

Ja przewidywałem wcześniej, jeszcze do lata 1980 roku, że w momencie kiedy się w Polsce rozpocznie rewolucja – bo te zjawiska trwające od roku 1980 to dla mnie rewolucja – przewidywałem, że ta rewolucja, tak jak każda, będzie miała kilka kolejnych wierzchołków, kilka kolejnych apogeów i że po każdym takim silnym uderzeniu społeczeństwa będzie następowała jakaś reakcja władzy. Pewnym zaskoczeniem dla mnie było to, że siła tego społecznego wybuchu latem 1980 roku i jego bezpośrednie następstwa były większe niż przypuszczałem. W pewnym momencie latem 1980 roku zacząłem się zastanawiać, że może ta cała historia ograniczy się tylko do jednej eksplozji. Ale w zasadzie moje wcześniejsze przekonania polegały na tym, że sądziłem, iż nastąpi wybuch społeczny – reakcja władz – uspokojenie, przyduszenie tego – następny wybuch. I tak dalej. Jestem zresztą przekonany, że w jakimś względnie nieodległym czasie, nie później chyba niż w ciągu kilkunastu miesięcy dojdzie w kraju do kolejnej eksplozji społecznej. I wcale nie twierdzę, że będzie ona ostatnią.

Czyli przewiduje Pan niejako permanentne wybuchy?

Każda rewolucja idzie przez swoje etapy. Rewolucja – cóż to jest? Pewien układ stracił równowagę i ten układ się wali. Inaczej w przypadku ewolucji. Gdy dochodzi do ewolucji, to układ tracąc równowagę przekształca się i jakąś równowagę jednak cały czas zachowuje. Natomiast jeśli równowaga w układzie jest utrzymywana dość sztucznie, to po pewnym czasie brak ewolucji powoduje katastrofę, bo rewolucja to katastrofa, to jest stan chorobowy. Z tego stanu chorobowego wyrasta zawsze nowa równowaga. Pytanie tylko – jak to przebiega? W historii,

także w tej, w której my uczestniczymy i w jakiejś mierze ją przecież tworzymy, przebiega tak, że jest z reguły więcej niż jeden wstrząs, zwłaszcza w takiej sytuacji jak w Polsce, kiedy to wzbierało od tak długiego czasu. Jest wiele czynników, które trzeba wziąć pod uwagę: charakter społeczeństwa, jego strukturę demograficzną, zmiany świadomości i masę, masę innych. Powodują one, że jest to wielka rewolucja, czy jak ktoś inny by wolał – ciąg, zespół po sobie kolejno następujących rewolucji, który musi mieć swoje punkty kulminacyjne.

W Wielkiej Rewolucji Francuskiej, tej najbardziej znanej, mieliśmy po kolei: wybuch lipca, następnie drugi wielki wybuch sierpnia kiedy obalono monarchię. Potem właściwie trzeci wybuch, który postępował w okresie pełnego już terroru robespierrrowskiego. Ale w istocie mieliśmy następnie jeszcze jeden wybuch, inaczej wyrażony, który rewolucję przekształcił w dyktaturę wojskową. Cały ten czas zamykał się w kilku takich eksplozjach.

Ponieważ nasza rewolucja w której uczestniczymy należy do gatunku tych wielkich z racji energii, która w niej działa, tej energii społecznej która występuje w ogromnym rozmiarze, to zakładam, że będzie pewna ilość kolejnych eksplozji, przy czym po pierwszej władza opanuje sytuację. Tak wielki był rozmiar ruchu sierpniowego, tak potężna i wspaniała była i jest, tak wspaniałą okazała się „Solidarność”, że w pewnej chwili zacząłem, siedząc w więzieniu, myśleć sobie, że może to pójdzie troszeczkę inaczej, że w jednym ciągu ta cała sytuacja zostanie opanowana. Niestety tak się nie stało. Odbędzie się więc to w kilku wybuchach. To wybuchy stworzą nową równowagę. Jestem przekonany, że wiem jaka to będzie równowaga. Będzie to równowaga Polski Niepodległej.

Oczywiście jest to dość teoretyczny wywód i bardzo potrzebny. Natomiast my rozmawiamy między innymi dla potrzeb ludzi, którzy niekoniecznie interesują się aż tak głęboko historią. Aby przybliżyć im Pańskie poglądy chciałbym zadać Panu kilka być może prostych pytań, ale według mnie ważnych dla każdego z nas. Jaki jest Pana stosunek do strategii Wałęsy?

Bardzo trudno jest odpowiedzieć na to pytanie, bo musielibyśmy zdefiniować strategię Wałęsy. Każdy z nas prowadząc jakieś działania opiera je częściowo na świadomym wyborze, ale bardzo często występują elementy, które nie zawsze wynikają ze świadomego wyboru. Ja nie chciałbym określać jak to jest u Wałęsy. Rozmawiałem z nim ostatnio dwukrotnie czy trzykrotnie. Jego strategia jest ostrożna, pełna wątpliwości. Sądzę, że on sobie zdaje sprawę z trudności sytuacji i ciężaru odpowiedzialności, która na nim spoczywa. Przypuszczam, że Wałęsa sądzi, że błędny krok może być bardzo kosztowny. Myślę, że nie ma on wyraźnej, skonkretyzowanej wizji przyszłości i to mu przeszkadza. Jest i jeszcze długo będzie atakowany ze wszystkich stron.

Ale sądzę, że Wałęsa chce osiągnąć cel, który widzi i który w pełni popieram. Celem tym jest odbudowa „Solidarności” jako jawnej, w pełni uznanej legalnej struktury. Moim zdaniem „Solidarność” – zakazana czy nie – jest strukturą legalną, ponieważ tak stanowi prawo. Chodzi o przepisy wynikające z Konwencji Wiedeńskiej (która stwierdza, że konwencje międzynarodowe mają pierwszeństwo przed aktami krajowymi) oraz z konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy (NSZZ „Solidarność” jest jej członkiem), która mówi, że związki zawodowe nie wymagają rejestracji. Biorąc więc pod uwagę PRL-owskie ustawodawstwo należy stwierdzić, że zgoda „Solidarności” na rejestrację była gestem politycznym, który wychodził poza obowiązki prawne. „Solidarność” jest obecnie dla mnie strukturą legalną. Legalność ta nie jest obecnie uznawana przez władze i dlatego nie jest ona jeszcze w stanie działać jawnie. Sądzę, że Wałęsa dąży do tego żeby z powrotem została uznana legalność „Solidarności”. Jest to obecnie bardzo ważny cel.

Ale czy cel ten jest obecnie realny?

Na pewno. Z mojego punktu widzenia ten cel, to jest jedna trzecia drogi którą mamy do przebycia. Ten cel, który dla Wałęsy być może jest celem zasadniczym, dla mnie jest także celem, ale jest to cel pośredni, który prowadzi nas do celów naprawdę zasadniczych.

Zadam bardzo proste pytanie; czy KPN istnieje?

Tak. Konfederacja Polski Niepodległej istnieje. Jest wielotysięczną strukturą obejmującą cały kraj. W grudniu (1984 rok) mieliśmy II Kongres KPN, zostały na nowo wybrane władze naczelne, zostały dokonane rozmaite zmiany statutowe i inne. Trwa przebudowa organizacyjna struktur. Jesteśmy gdzieś na półmetku pracy. W najbliższych dniach będą ogłoszone przynajmniej najważniejsze dokumenty Kongresu, a przede wszystkim nasza uchwała polityczna, programowa, dość obszerna bo zajmuje 10-15 stron gęstego maszynopisu¹.

Czy w związku z tym dałoby się wydzielić jakieś różnice w ideologii, taktyce, strategii walki między KPN a linią, którą z grubsza możemy nazwać „linią Wałęsy”?

Wałęsa jest przywódcą „Solidarności”. „Solidarność” jest przede wszystkim związkiem zawodowym, choć możemy powiedzieć, że ten związek przekształcił się w ruch społeczny. Sądzę, że byłoby nieszczęściem gdyby był on partią polityczną. Zresztą „Solidarność” jako związek, czyli najbardziej masowa forma organizacji społecznej, obejmująca teoretycznie całość pracujących musi być wewnątrz i politycznie zróżnicowana. Z góry możemy przyjąć, że w każdym związku zawodowym większość członków nie musi być w ogóle ani politycznie zaangażowana, ani nawet mieć wybranych jakichś wyraźnych opcji politycznych (w znaczeniu, że opowiadają się za tą czy za inną linią polityczną). Ponieważ „Solidarność” jest związkiem zawodowym a my partią polityczną o bardzo zaostrzonym charakterze politycznym, to jesteśmy zupełnie inną strukturą, zwartą, zdyscyplinowaną i kadrową. Zadaniem Konfederacji jest skupiać tych ludzi, którzy w sensie politycznym mogą być przywódcami innych, którzy w okresie burzy i naporu będą w stanie zorganizować i poprowadzić innych. To są zupełnie inne materie społeczne. Wiadomo o co walczą związki zawodowe. Bronią one interesu pracujących i to jest ich podstawowe zadanie. Chodzi o każdy in-

¹ Zob. http://www.earchiwumkpn.pl/dokumenty_kpn/uchwala_polityczna_II_kongresu.pdf

teres pracowniczy, przede wszystkim moralny (sądzę bowiem, że jest to ważne bardziej niż obrona interesów ekonomicznych). W sytuacji, gdy ogromna większość dorosłych Polaków pracuje to można powiedzieć, że „Solidarność” i „Solidarność” Wiejska bronią interesów większości społeczeństwa. Konfederacja natomiast jest radykalną partią polityczną która dąży do Polski niepodległej, to znaczy do stworzenia na tych ziemiach nad Wisłą, Bugiem, Odrą – Niepodległej Trzeciej Rzeczypospolitej.

Czy uważa Pan, że jest to realny cel w okresie jednego pokolenia? W okresie naszego życia?

Jest to cel realny w granicach tego dziesięciolecia.

Ale czy uwzględnia Pan w tym rozumowaniu to, co często jest określane jako straszak psychologiczny, jako szantaż polityczny a mianowicie układ geopolityczny?

Każdy kraj znajduje się zawsze w jakimś układzie geopolitycznym. Układ geopolityczny jest taką samą wartością zmienną jak wszystkie inne. Jak ja bym Panu powiedział dzisiaj, że Polska znajduje się w tragicznym układzie geopolitycznym ponieważ znajduje się między ekspansją z północy i z południa; z południa grożą nam Turcy a z północy Szwedzi, to dzisiaj Pan by mnie wyśmiał. Otóż jeżeli u nas tak się mówi – a czyni to wielu ludzi którzy tak się lubią posługiwać geopolityką – że Polska jest w tragicznym położeniu ponieważ z jednej strony Rosjanie a z drugiej Niemcy, to jest to proszę Pana taka sama prawda historyczna jak z Turcją i Szwecją. Tak kiedyś było! Na pewno tak było w okresie II wojny światowej. Przed wybuchem II wojny Polska znalazła się w niesłychanie niekorzystnym układzie geopolitycznym. Parcie dwustronne zniszczyło II Rzeczpospolitą. Ale jest to historia. Natomiast stereotyp rzekomo tragicznego naszego układu geopolitycznego wiąże ludziom ręce. Ja nie chcę wdawać się w długi i teoretyczny wywód, ale nie ma już tego układu geopolitycznego, który był w okresie II wojny światowej.

No wie Pan, ale Związek Radziecki istnieje cały czas jako ogromna potęga...

Tak. Związek Radziecki istnieje cały czas, ale spójrzmy na to, jak na pewne siły działające w przestrzeni. Czym się zajmuje geopolityka? Pokazuje przestrzenne rozmieszczenie sił. W tym przestrzennym rozmieszczeniu sił jest wskazany ruch, w którym te siły działają. I jeżeli weźmiemy ten przykład z XVII wieku to widzimy, że w tym układzie przestrzennym jest parcie na Polskę z północy i z południa. Ale jeżeli weźmiemy okres od połowy XV wieku do połowy wieku XVI to zobaczymy, że nie ma parcia zewnętrznego na Polskę, natomiast jest parcie Polski w różnych kierunkach, na przykład w kierunku rozchodzenia się domu Jagiellonów na Czechy i Węgry, parcie Polski na wschód czy południowy wschód. Jest to zupełnie inny układ geopolityczny. W obecnym układzie geopolitycznym, choć może historycy zobaczą to dopiero za 50 lat, mamy od dawna ruch takiej wartości geopolitycznej: Niemcy – ruch na zachód a Rosja – na wschód. Mówiąc inaczej – są to ruchy odśrodkowe, od Polski. Jesteśmy właśnie w takiej sytuacji. Parcie z zachodu, przynajmniej w kontekście parcia niemieckiego, w kategoriach geopolitycznych nie istnieje. Natomiast parcie wschodnie zostało zahamowane.

Być może, że strywalizuję ten cały Pański efektowny wywód, ale nie sądzi Pan chyba, że 13 grudnia 1981 roku w Polsce, to był wynik złej woli tylko polskiej ekipy? Czy to nie był dowód na istnienie pewnego układu geopolitycznego?

Jeżeli już mówimy o geopolityce to sprowadźmy to z teorii do praktyki. Jestem głęboko przekonany, iż interwencja radziecka w Polsce w bieżącym dziesięcioleciu (a także w dziesięcioleciu które minęło) jest (i była) mało prawdopodobna. Nigdy nic w polityce wykluczyć nie można, dlatego nie powiem, że jest całkowicie nieprawdopodobna. 13 Grudnia wszyscy doskonale pamiętamy. Ja się zgadzam, że stan wojenny był co najmniej zaakceptowany w Moskwie, a więc możemy w tym sensie powiedzieć, że to była też decyzja radziecka. Tylko, że pa-

miętamy 13 Grudnia a nie pamiętamy o drugiej decyzji, którą w tym samym czasie podjęto w Moskwie. Została ona ogłoszona i pisała o tym nawet „Trybuna Ludu”. Postanowiono, aby biegnące przez Polskę radzieckie trasy tranzytowe wschód – zachód usunąć z Polski i przenieść na Bałtyk. Przed sierpniem 1981 roku w ciągu lat infrastruktura obozu socjalistycznego (linie przesyłowe wysokiego napięcia, rurociągi i gazociągi itp.) konsekwentnie przenoszone były do Czechosłowacji. Czechosłowacja jest korytarzem, który łączy Związek Radziecki z Europą Zachodnią ale także z NRD. Jedyna część infrastruktury obozowej, która pozostała w Polsce i była łącznikiem pomiędzy Wschodem a Zachodem, to były linie kolejowe. Otóż w tym samym czasie, kiedy podjęto decyzję o stanie wojennym w Polsce, podjęto decyzję, żeby ten cały transport kolejowy przerzucić na Bałtyk. W tej chwili, w 1985 roku, kończy się pierwsza faza budowy wielkiej linii promowej między Kłajpedą a jakimś nowo wybudowanym portem na Rugii. Będą tam pływały ciężkie promy, z których każdy bierze 30 pociągów w tempie prom co 8 godzin. W pierwszym etapie budowy, który właśnie się kończy, promy w ciągu doby będą przerzucały 120 pociągów. 120 pociągów żeby przejechało przez Polskę potrzebnych jest 5 kolejowych linii tranzytowych. Czy Pan sądzi, że Rosjanie są szaleńcami, którzy wyrzucają pieniądze w błoto a raczej w Bałtyk?

Pan sądzi, że Rosjanie przygotowują się do tego, aby Polskę oddać jako Polskę niepodległą? Oddać ją Zachodowi czy oddać ją samej sobie?

Rosjanie nic nie lubią oddawać ale co muszą, to oddają. Oni nie mają ochoty Polski oddać i zrobią wszystko żeby nie oddawać. Twierdzą natomiast, że Rosjanie przygotowują się do tego, że jeśli Polskę stracą (bo tego nie mogą wykluczyć), to żeby skutki utraty zminimalizować. Nie od Rosjan zależy czy oni Polskę oddadzą. To zależy od Polaków. Natomiast Rosjanie przygotowują się w tej chwili do sytuacji, w której być może Polskę utracą.

Pan tak to optymistycznie powiedział, że z tego wynika, iż Rosjanie już się nas boją i przerzucają swoje linie strategiczne poza Polskę.

Rozumiem, że Pan chce powiedzieć, że utrata Polski dla Rosjan byłaby wielką szkodą...

Ja nie sądzę żeby była aż tak wielką szkodą w skali tak ogromnego kraju. Natomiast nie sądzę, żeby oni byli skłonni cokolwiek oddawać a szczególnie nam niepodległość.

Proszę Pana wyobraźmy sobie taką teoretyczną historię. To jest całkowita abstrakcja. Przyjmijmy, że możemy narzucić całemu światu wolę. Gdyby Pan zaproponował Rosjanom żeby oddali wszystkie europejskie kraje obozu socjalistycznego a w zamian za to dostaną jako satelitę Chin. Jak Pan myśli zgodziliby się? Dobry to byłby dla nich interes?

W teoretycznej zupełnie grze jaką Pan tutaj zaproponował można przyjąć, że na pewno byłby to dla nich jakiś handel.

Otóż o to właśnie chodzi. Niech Pan zwróci uwagę, że przecież Rosjanie mieli Chiny i je stracili. A jeżeli stracili taką wartość jak Chiny i pogodzili się z tym – bo się pogodzili – to może mogą też stracić wielokrotnie mniejszą wartość – Polskę. Ja wprawdzie nie twierdzę, że stosunek wartości Polski do Chin to jest 37 milionów do miliarda, bo ja sądzę, że wartość Polski dla Rosji jest znacznie wyższa. Ale co do jednego musimy się zgodzić – Chiny są znacznie ważniejsze dla Rosji niż Polska.

Tylko jakim sposobem ma się to według Pana odbyć? Bo na przykład ideolog uważany przez nasze władze za największego ideologa antykomunizmu, czyli Zbigniew Brzeziński, wygłosił tuż po amnestii bardzo charakterystyczne przemówienie, czy też wywiad dziennikarski, w którym powiedział, że Polska powinna zabiegać wszelkimi sposobami o przyjaźń ze Związkiem Radzieckim na takich zasadach, że Związek Radziecki będzie szanował specyfikę polską. W drugiej swojej wypowiedzi na temat Jałty Brzeziński twierdzi, że nie jest możliwe prawne zanegowanie Jałty, natomiast twierdzi, że

cała nadzieja w jakiejś ewolucji Europy niezależnej. W jakiejś delikatnej długofalowej grze Europy Zachodniej, która zechciałaby po prostu wesprzeć Europę Wschodnią. Brzeziński wręcz twierdzi, że Stany Zjednoczone powinny się wycofać z pierwszoplanowej roli obrońcy Europy Wschodniej, bo jest to sytuacja niewygodna, niezręczna i drażniąca Związek Radziecki. Natomiast tę funkcję, którą pełnią obecnie Stany Zjednoczone, powinny przejąć kraje Europy Zachodniej. Czyli – widzi daleki i odległy niuansowy plan. Z tym, że jest to jego teoretyczny pomysł, bo nie wiadomo jak by się to miało politycznie realizować. W każdym razie jednoznacznie stwierdził, że w interesie Polski jest docenianie siły Związku Radzieckiego. Wręcz użył on słów – „zabieganie o tę przyjaźń na warunkach szacunku dla specyfiki polskiej”. I to mówi ten pierwszy antykomunista! Natomiast Pan twierdzi, że przewaga Związku Radzieckiego – tego ogromnego przecież mocarstwa w stosunku do nas – jest abstrakcyjna, znikoma, no i taka, która daje szansę sama z siebie, że uzyskamy niepodległość i niezależność. Jakim sposobem ma to się stać?

Ja wcale nie twierdzę, że Związek Radziecki jest słaby. Jest potężnym mocarstwem, tylko ma swoje uwarunkowania – przede wszystkim swoje uwarunkowania wewnętrzne, które powodują, że gros radzieckiej energii w najbliższych co najmniej 20 latach zostanie skierowane na sprawy wewnętrzne. Po drugie – Związek Radziecki ma własną logikę rozwojową i ta logika, która go kiedyś pchała na zachód, teraz pcha go na wschód. Ja nie mówię, że Związek Radziecki jest słaby, że jest mały, że jest zniszczony, że jest to coś z czym się nie trzeba liczyć – bo jest to potężne państwo. Tylko, że to potężne państwo ma swoją przyszłość w Azji i ma ono tak wielkie problemy wewnętrzne, że na nich będzie musiało się skupić w najbliższych co najmniej 20 latach. To powoduje, że parcie rosyjskie, które w historii szło w różnych kierunkach, obecnie zwraca się w innym kierunku, nie na nas.

To znaczy, że Pan liczy na wewnętrzną ewolucję Związku Radzieckiego?

Ewolucja następuje wszędzie. Ja nie liczę na ewolucję. Ja po prostu wiem. A to jest coś innego – liczyć a wiedzieć. Ja wiem, że Związek Radziecki musi skupić się na problemach wewnętrznych i zabraknie mu sił i energii, żeby przeć w kierunku zachodnim. Będzie parł w innym kierunku.

Ja uważam, że Związek Radziecki potrzebuje coraz mniej energii, żeby nas trzymać w posłuszeństwie. Najlepszym tego dowodem było to, że stan wojenny został dokonany polskimi rękami. Coraz mniej wysiłku trzeba żeby nas opanowywać.

Przez całe lata 70., kiedy inni mówili, że nastąpi interwencja radziecka, mówiłem – po co interwencja radziecka? Po co czołgi? Wystarczy jeden telefon. Tylko, że ten telefon został już wykorzystany. To już historia. Może jeszcze będzie drugi, może trzeci, ale to się kończy. Natomiast wróćmy jeszcze do dwóch rzeczy. Związek Radziecki a właściwie Rosja, bo jest to państwo w dalszym ciągu głównie rosyjskie (może się to zmienić w przyszłości) jest potężnym mocarstwem. Kluczowym zagadnieniem dla Polaków jest ułożenie stosunków ze Związkiem Radzieckim. Jeżeli byśmy mogli sprowadzić do jednego zdania całą koncepcję Konfederacji Polski Niepodległej, czy moją, to jest to koncepcja ułożenia stosunków z ZSRR tak, jak kiedyś ułożył je Józef Piłsudski. To znaczy nie z pozycji radzieckiego funkcjonariusza, nie z pozycji bicia czołem o ziemię, nie z pozycji czołgania się w błocie – tylko z takiej pozycji, jak układał to w historii Piłsudski. Z pozycji, która będzie naszą polską pozycją. My te stosunki ułożymy prędzej czy później.

Taka szansa była przecież w okresie „Solidarności”. Na tą szansę strasznie liczone. Gdyby Związek Radziecki był skłonny w ogóle do takiego rozumowania, jak Pan, to by to mogło nastąpić w okresie „Solidarności” w sposób bardzo prosty...

Jeszcze tej szansy nie było. Polityka to jest relacja zwalczających się sił a polska w okresie „Solidarności” nie potrafiła wytworzyć tego rodzaju siły, także materialnej, która by pozwoliła na rozmowy ze Związku

Radzieckiego. A poza tym – nie były załatwione polskie sprawy wewnętrzne.

Powiedział Pan o Brzezińskim. Wracam do Brzezińskiego, bo to jest interesujące. O Ludwiku Mierosławskim mówiono, że to jest generał przegranych kampanii. Profesor Brzeziński jest bardzo inteligentnym człowiekiem, tak jak Mierosławski był bardzo dzielnym generałem. Ale Brzeziński jest człowiekiem przegranych koncepcji. Jego wszystkie koncepcje po kolei się nie sprawdziły. W czasie, kiedy Brzeziński był szefem doradców politycznych prezydenta Cartera, był faktycznym kierownikiem Krajowej Rady Bezpieczeństwa USA. Pod jego skrzydłami wychodziło pismo (wychodzi zresztą do dziś) wydawane przez Departament Stanu (on się nim zawsze interesował, bo to było w zakresie jego tematyki badawczej), a mianowicie „Problemy Komunizmu”. To bardzo interesujący dwumiesięcznik. Chyba w drugim numerze tego pisma (z 1980 roku) ukazał się obszerny, udokumentowany artykuł o sytuacji w Polsce, który odzwierciedlał poglądy, które akceptował Brzeziński. W tym obszernym studium pisanim przez jakiegoś utytułowanego profesora, w którym omówiona była kwestia opozycji w Polsce, doszli nawet do koncepcji Moczulskiego i KPN. I tam napisano, że wprowadzie są w Polsce tacy ludzie, którzy stworzyli KPN i uważają, że – po pierwsze – Polska jest u progu eksplozji społecznej, po drugie – ta eksplozja przybierze postać masowych strajków czy też strajku powszechnego i – po trzecie – efektem tych strajków będzie utworzenie szerokich struktur związkowych. Komentarz był następujący – „Jest to fantazja, jest to oderwana od życia spekulacja”. Brzeziński tak właśnie uważał. Uważał, że masowe strajki w Polsce to oderwana od życia spekulacja. Niech sobie tak uważa a rzeczywistość zadaje mu kłam.

Czy Pan rzeczywiście przewidział powstanie „Solidarności”?

Organizacji o nazwie „Solidarność” na pewno nie. Natomiast wystarczy przeczytać „Rewolucję bez rewolucji” żeby zauważyć zapowiedź eksplozji, odczytać tam wskazanie drogi (strajki, strajki i jeszcze raz strajki) i znaleźć tam wskazanie, jaki powinien być efekt tych strajków – sze-

roka organizacja społeczeństwa, w tym związkowa. Chodziło o to, żeby strajkujący, którzy muszą tworzyć struktury zorganizowane, zbudowali struktury obejmujące cały kraj. I to trzeba teraz przede wszystkim ocalić.

Być może Pan to przewidział, ale to była zasługa „Solidarności” a nie linii KPN. A działalność „Solidarności” była zupełnie inna niż KPN. Pana dywagacja ma znamiona bardzo teoretyczne a my obracamy się jednak w realiach politycznych. Mimo wszystko nawet „Solidarność” jest osadzona w realiach...

Powiem może inaczej. Nie było zasługą „Solidarności” to, co wydarzyło się w roku 1980, było to zasługą społeczeństwa polskiego. To społeczeństwo polskie wytworzyło „Solidarność”.

Tak, ale to główne uderzenie poszło nie po linii programu politycznego KPN, ale bardziej umiarkowanego.

Trzymajmy się konkretnie tematu – mówimy o Brzezińskim. Powołuje się Pan na niego w sprawach radzieckich. Brzeziński ma własną koncepcję. Przywołałem „Solidarność” i możemy wejść w dyskusję na temat „Solidarności”, bo to temat bardzo interesujący. Natomiast przywołałem tę sprawę tylko jako dowód, że Brzeziński, czy też jego ludzie, na parę miesięcy przed wybuchem społecznym w Polsce traktowali jego możliwość jako fantasmagorię.

Był Pan wyjątkiem dlatego, że Polacy sami w to nie wierzyli.

Oczywiście, że Polacy sami w to nie wierzyli! Ukazał się numer „Kultury” paryskiej (a ona doskonale zna się na sytuacji w Polsce) z datą lipiec-sierpień 1980 roku, gdzie w trzech kolejnych artykułach było wyśmiewanie się z niejakiego Leszka Moczulskiego i KPN, ponieważ ci wariaci uważają, że Polska jest w przededniu wybuchu społecznego i głoszą, że trzeba robić strajki. Było to według nich oczywistą bzdurą. Tak to napisali. Strajki wybuchły nim obeschła farba drukarska.

Ja nie chcę mówić, że KPN to przewidziała czy coś podobnego. My się tak samo mylimy jak inni. Rzecz nie na tym polega. Chodzi mi o to,

żebyśmy mieli odwagę myśleć. Miejmy odwagę uruchomić wyobraźnię. Jeżeli ktoś tak uważa, niech ma odwagę powiedzieć: „Związek Radziecki się nie cofnie, nie mamy żadnej szansy ani w tym ani w następnym pokoleniu”. Tak, jak my mamy odwagę wyobraźni i wyobrażamy sobie sytuację, w której jest możliwe, że się cofnie. A jeżeli sobie tę sytuację wyobrażamy, to róbmy tak, jak robi rzeźbiarz – stwórzmy z tej bezkształtnej masy kształt, który sobie wyobrażamy. My w Konfederacji próbujemy z tej bryły wykuć to, co sobie wyobraziliśmy. Może to się nam nie uda (choć ja wierzę, że nam się uda), ale próbujemy.

Takie wykuwanie z wyobraźni jest bardziej charakterystyczne dla twórczości artystycznej niż politycznej. A przecież wy jesteście partią polityczną.

Sądzę, że działalność polityczna może być o wiele bardziej twórcza niż tak zwana działalność artystyczna.

Oby. Natomiast mam takie pytanie. W tej naszej rozmowie, z Pana strony zresztą efektywnej, widzę pewną sprzeczność. Z jednej strony gwałtowny polityczny styl antyradziecki a z drugiej strony w pewnym momencie tej rozmowy padła taka wypowiedź – „My musimy się ugodzić z Rosją czy ze Związkiem Radzieckim (obojętnie jak to się będzie nazywało) musimy znaleźć wspólne porozumienie”. Tutaj widzę tę wąską ścieżkę, która łączy program KPN z programem obozu narodowego i Romana Dmowskiego. Czy tak jest czy też Pan temu zaprzeczy?

Zaprzeczę temu ponieważ ja zaprzeczam schematom geopolitycznym, które tworzył Dmowski. Sądzę, że one w znacznej mierze polegały na złych informacjach i podstawowym nieporozumieniu. Zaprzeczam przede wszystkim podstawowej koncepcji politycznej Dmowskiego, że należy oprzeć Polskę o Rosję. Taka koncepcja to jest śmierć dla Polski. Ja wreszcie zaprzeczam metodzie Dmowskiego, ponieważ on dążąc do swoich celów chciał stosować metody umiarkowane. My jesteśmy grupą radykalną. Ja jestem człowiekiem o radykalnych przekonaniach. Sądzę, że – tak jak na

początku obecnego wieku – w tej części życia politycznego Polski, która chciała zmian, było skrzydło radykalne i skrzydło umiarkowane. Skrzydło radykalne to był ruch piłsudczykowski a skrzydło umiarkowane to był Dmowski. W tej chwili, w szczególności w okresie ostatniego dziesięciolecia, w życiu politycznym naszego kraju wśród tych ugrupowań politycznych, które chcą zmian, też mamy skrzydło radykalne. Tym skrzydłem jest KPN i Moczulski. Oraz jest skrzydło, które też chce zasadniczych zmian i jest umiarkowane – to jest Jacek Kuroń. Tak to widzę.

Natomiast mówi Pan, że chcę ułożenia stosunków z ZSRR. Oczywiście, że chcę. Widząc absolutną konieczność wyrwania Polski spod hegemonii radzieckiej chcę ułożenia stosunków ze Związkiem Radzieckim. Kto ułożył stosunki ze Związkiem Radzieckim po odzyskaniu niepodległości? Przecież nie Dmowski, tylko Piłsudski.

Tak ale w zupełnie innej sytuacji politycznej Europy...

Tak, oczywiście! Co roku mamy inną sytuację polityczną Europy. Naszym celem jest doprowadzenie do ułożenia stosunków ze Związkiem Radzieckim.

Na jakiej zasadzie?

Na takiej zasadzie, że my decydujemy co u nas a oni się do tego nie mieszają.

Jak to osiągnąć? Bo tu dochodzimy do tego pytania, które trapi każdego Polaka dzisiaj – co robić dalej? Musimy zejść z ogromnej płaszczyzny historiozoficznej na płaszczyznę realiów politycznych.

Najprostsza odpowiedź, która z pewnością Pana nie zadowoli a którą mam dla wszystkich szukających odpowiedzi na pytanie – „Co robić dalej?” brzmi – zorganizować się w szeregach Konfederacji Polski Niepodległej! W momencie, gdy już będziemy mieli wystarczająco dużo ludzi, to już obalimy tamto. Jest to bardzo łatwa odpowiedź a Pan oczywiście chce odpowiedzi trudniejszej. Nasz marsz do Polski niepodległej widzimy przez osiągnięcie trzech kolejnych horyzontów.

Horyzont pierwszy i cel pośredni, to odbudowanie w Polsce pluralizmu związkowego. Z grubsza – to przywrócenie sytuacji sprzed grudnia 1980 roku. Oznacza to pełne i całkowite poparcie wysiłków „Solidarności” i uznanie, że w zakresie odbudowy życia związkowego. „Solidarność” jest w tym nie tylko najważniejsza, ale i sprawuje kierownictwo. My nie chcemy w tym przewodzić.

Po osiągnięciu tego pierwszego horyzontu czyli pluralizmu związkowego, przechodzimy do horyzontu drugiego – pluralizmu politycznego i zdemokratyzowania PRL-u. To jest ten etap, kiedy na pierwszy plan wysuną się wszystkie grupy polityczne. Sądzę, że jeśli zbudujemy dobre sojusznicze stosunki między tymi środowiskami, które nieprecyzyjnie nazywa się KOR-em i KPN to sądzą, że ten etap przebedziemy z powodzeniem.

Trzeci horyzont jest dopiero horyzontem dojścia do niepodległości. I wtedy dopiero Konfederacja będzie musiała wziąć na siebie najwięcej obowiązków. To będzie nasz czas.

Czy pluralizm polityczny chce Pan osiągnąć w konspiracji czy też legalnie?

Zgódźmy się z jedną rzeczą – w konspiracji można trwać. Fakt, że jesteśmy w konspiracji oznacza, że jesteśmy w obronie, że nas atakują. Nie da się wygrać tej wielkiej batalii politycznej będąc w konspiracji. Musimy wychodzić z konspiracji i budować jawne struktury, nie likwidując jednak konspiracji. Jestem przekonany, że olbrzymim błędem byłaby likwidacja tajnych struktur „Solidarności”. One mogą przestać istnieć dopiero w momencie przywrócenia pełnego pluralizmu związkowego. Natomiast płacić za amnestię likwidacją podziemia – to nonsens. Podziemie wynika z potrzeb obronnych i potrzeby przetrwania. Działanie do przodu – to jest budowa jawnych struktur i organizowanie społeczeństwa na powierzchni życia a nie w podziemiu.

W tym momencie podniosę najmocniejszą wątpliwość. Czy budowanie jawnych struktur na powierzchni życia osiągnąć można naj-

prostsza drogą poprzez zakładanie partii politycznych? Sądzi Pan, że jakakolwiek władza – póki ona jest jaką jest (tzn. ze Związkiem Radzieckim na czele) – zgodzi się na budowanie jawnych struktur politycznych?

Budowanie na powierzchni życia struktur politycznych to nie tylko zakładanie partii politycznych. Przede wszystkim oznacza wychodzenie nawet nie od struktur politycznych, ale od związkowych. Zgodnie z zasadą, że im łatwiej tym wcześniej. Posłużę się takim przykładem. W końcu października [1984 r.] po porwaniu i zamordowaniu księdza Jerzego [Popiełuszki] zrodziła się koncepcja powołania Komitetów Przeciw Przemocy, której byłem i jestem gorącym rzecznikiem. Konfederacja uczestniczy w ich formowaniu. Doszło wtedy do jakiegoś dżentelmeńskiego porozumienia pomiędzy nami a Jackiem Kuroniem i ludźmi KOR-u na zasadzie: my to robimy i oni to robią. Jest to dobry prognozyk na przyszłość. Wtedy w październiku i listopadzie [1984 r.] spotkał się z tysiącem zastrzeżeń, że za wcześnie, że to wywoła represje, że Bóg wie co będzie. Były to zastrzeżenia bardzo do tych, które Pan wysuwa odnośnie tworzenia innych struktur. Mimo zastrzeżeń okazało się, że koncepcja była słuszna². Okazało się, że przez tę pierwszą załączkową formę nastąpiło przekroczenie pewnej bariery i ominięcie pewnego zasadniczego progu politycznego. Jest tych Komitetów bardzo mało, one za mało jeszcze robią, ale to już jest coś. Mamy już załączkowe jawne struktury. Urban może sobie mówić, że one są nielegalne – to jest bzdura. Mogą straszyć, ale nie mogą jednak tego ugryźć. I teraz takie struktury powinny powstawać i to wcale nie znaczy, że pierwsze trzeba wyciągać na powierzchnię partii polityczne. Nie. Najpierw na powierzchnię życia społecznego trzeba wyciągnąć tego rodzaju struktury, które mają zadania

² 7 listopada 1984 r. powstała w Krakowie jawna Inicjatywa Obywatelska w Obronie Praw Człowieka „Przeciw Przemocy”, w której skład weszło aż 12 konfederatów lub osób, które w przeszłości należały do Konfederacji (na 22 uczestników ogółem). Rzecznikiem Inicjatywy był Zygmunt Łenyk z KPN. Była to pierwsza, po 13 Grudnia, jawna forma działalności o charakterze opozycyjnym – uczestnicy Inicjatywy sygnowali swoje dokumenty nazwiskami, podając także swoje adresy.

humanitarne³. Następnie będzie można bez czekania na zgodę władz, bo w polityce czekanie to śmierć, wyciągać i ujawniać struktury związkowe „Solidarności” w zakładach pracy. Ten czas jest już bardzo nieodległy, kiedy będzie to możliwe. Będą na pewno jakieś ofiary ale bez ofiar nic nie ma. Dopiero w następnej fazie będziemy ujawniali struktury partii politycznych.

Az do następnego stanu wojennego?

Może będzie następny stan wojenny, może nie. Ja Panu coś powiem. Może będzie to ważne w naszym kraju rozkładanym intelektualnie od 40 lat przez rozmaite staroświeckie XIX wieczne koncepcje w rodzaju marksizmu [...]. Może więc odwołanie się do jej twórcy Marksa będzie tutaj na miejscu. Marks powiedział zdanie, które możemy sparafrazować: stan wojenny za pierwszym razem – to jest tragedia, ale za drugim – to komedia. Proszę przeczytać przemówienie Jaruzelskiego. Jaruzelski wskazał cele, które chce osiągnąć poprzez stan wojenny. Po 4 latach obowiązywania stanu wojennego widać, że wszystkie te cele, jeśli nawet przejściowo wydawało mu się, że je osiągnął, to jednak wszystkie stracił.

Jaruzelski nie osiągnął swoich celów ale czy my jako społeczeństwo osiągnęliśmy swoje cele?

Stan wojenny nie był naszym celem. Stan wojenny był wielkim nieszczęściem. Ale jak każde nieszczęście ma swoje dobre strony. Z punktu widzenia rozwoju świadomości społecznej i narodowej przyniósł olbrzymie korzyści. Prawdą jest, że stan wojenny przedłużył okres dochodzenia do niepodległości i zwiększył koszty. Ważne jest to, że wzrosły koszty zarówno w życiu ludzkim – zginęło wielu ludzi, wiele osób straciło zdrowie, wielu ludzi opuściło kraj i to często na zawsze, ale również „rozpi-rzono” naszą gospodarkę. Będziemy przecież musieli ją kiedyś wyciągać

³ Przykładowo 14 kwietnia 1985 r. ogłoszono w Krakowie powstanie Ruchu „Wolność i Pokój”. Jego inicjatorem była Radosław Huget, wcześniej związany z KPN. Do WiP-u – oprócz Hugeta – przeszło też kilku innych krakowskich konfederatów (w sumie 4 osoby). WiP prowadził jawną działalność.

na odpowiedni poziom i będzie nam tym trudniej, im z gorszego poziomu będziemy to zaczynali. Najprawdopodobniej będziemy to czynili w sytuacji niedobrego otoczenia, bo będziemy mieli obóz radziecki ze wszystkich stron. Będzie bardzo ciężko. Tutaj stan wojenny bardzo pogorszył nasze położenie.

Czy więc według Pana następne takie silne zwarcie nie będzie jeszcze dalej oddalać celu, o którym Pan tak pięknie mówi?

Po pierwsze ja nie wiem i nie chcę, żeby Pan odniósł takie wrażenie, że sugeruję, iż będzie następny stan wyjątkowy. Nie, nie musi być. Historia się nie powtarza. To są sprawy pragmatyczne. My możemy z dużą dozą pewności mówić o przebiegu pewnych procesów, ale nie możemy z taką samą dozą pewności mówić, o układaniu scenariuszy wydarzeń. Nauczyłem się tego od dawna, że należy mieć przygotowaną pewną ilość scenariuszy, które – jako narzędzie prognozy – są bardzo pomocne. Opracowałem je ze świadomością, że żaden z nich może się nie spełnić. Na tym polega ciekawość życia. Jeżeli Pan mnie pyta jaki będzie scenariusz wydarzeń, to nie jestem w stanie na to odpowiedzieć, bo nie wróżę z fusów.

Ja nie spytałem w tym kontekście. Pytałem w kontekście następującym. Określił się Pan jako zwolennik radykalnego działania. Zarówno jeśli idzie o Pańską partię, jak też i innym radzi Pan radykalizm. Ja pytam, czy ta zbyt radykalna metoda nie powoduje ostrych wybuchów terroru (bo chyba tak trzeba nazwać stan wojenny). Zastanawiam się, czy tutaj nie występuje sprzężenie zwrotne, że im bardziej radykalny antyradziecki i antysocjalistyczny program, tym silniejsze zastosowanie terroru i cofnięcie nas w tył, jeśli idzie o cel, który Pan nazwał – Niepodległość. Pytam, czy radykalizm jest najlepszą metodą budowania polskiego oporu społecznego? To jest największa moja wątpliwość. I tutaj – mimo Pańskiej niewątpliwej błyskotliwości – jest moim zdaniem najsłabszy punkt Pańskiego programu.

Nieporozumienie polega na tym, że my jesteśmy radykalni w celach. To znaczy, chcemy w Polsce dokonać maksymalnie radykalnych zmian. Chcemy stworzyć zupełnie inne państwo. Natomiast jesteśmy pragmatyczni w środkach. Zwracam Panu uwagę, że ani KPN, ani ja nigdy nie nawoływaliśmy do powstania zbrojnego. My jesteśmy radykalni, bo my chcemy radykalnych zmian w naszym kraju. Na miejsce PRL-u chcemy zbudować III Rzeczpospolitą. Chcemy przebudować wszystko, chcemy więcej niż inni. Jesteśmy natomiast pragmatyczni w środkach, bo polityka to jest pragmatyzm. Byli ludzie, którzy wzywali do powstania zbrojnego ale to nie byłem ja ani Konfederacja. My uważamy, że należy toczyć walkę na tych polach, na których mamy przewagę a nie na tych, na których przeważa przeciwnik. Oni mają środki techniczne a my nie i dlatego nie będziemy nawoływali do konfliktu, w którym o przewadze będą decydowały środki techniczne. Nie jest też prawdą, że nasze działania będą wywoływały coraz silniejszą reakcję władz. To błędne założenie. Gdyby przyjąć Pańską zasadę, to okaże się, że każde działanie rozpoczynane z pozycji słabszego nie ma sensu. Bo my rozpoczynamy działanie z pozycji słabszego. Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat taką dyskusję jak dziś toczyłem wielokrotnie. Jak 10 lat temu mówiłem, że nadejdzie taki dzień, kiedy ludzie masowo zaczną upominać się o swoje prawa, to mi mówiono – wasza taktyka pobudzania ludzi w Polsce nic nie da. Was zamkną, innych też aresztują, powyrzucają z pracy i wszystko się uspokoi.

10 milionów Polaków poszło do „Solidarności” nie do KPN...

My nigdy nie chcemy mieć 10 milionów Polaków w Konfederacji. Mój Boże, a po co? Wcześniej mówiliśmy o programie trzech horyzontów. Czy Pan myśli, że my w tym pierwszym horyzoncie, czyli walki o związki zawodowe chcemy odegrać zasadniczą rolę? Nie chcemy! Czy Pan myśli, że my chcemy kiedykolwiek zdominować „Solidarność”? Nie chcemy! Natomiast na odcinku politycznym który dla mnie jest kluczowy i najważniejszy KPN chce odegrać zasadniczą rolę. Nas nie interesuje 10 milionów Polaków jako członków Konfederacji. Interesuje na-

tomiast bardzo aktywizacja takiej ilości Polaków, obojętnie przez kogo, byle w słusznym kierunku.

Wybaczy mi Pan pewną trywializację dziennikarską (taki to już zawód). Czy to znaczy, że Pan by chciał żeby „Solidarność” zrobiła to, co zrobiła, jeszcze raz, żeby zrobiła to jeszcze lepiej, a wy wówczas powiecie, że to jest program KPN?

Powiedzmy brutalnie, nie chcemy żeby „Solidarność” zrobiła to co zrobiła. „Solidarność” miała 16 miesięcy i wiemy, czym się one skończyły. Nie chcemy też, żeby zrobiła to drugi raz lepiej. Powtórzę to raz jeszcze – nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Polska jest dzisiaj inna niż w 1981 roku i wydarzenia, które nadchodzą, też będą inne. My chcemy, żeby społeczeństwo polskie przebyło pewną drogę, uporządkowaną choćby w te nasze trzy horyzonty czasowe, niekoniecznie będąc w KPN-nie czy popierając Konfederację. Taką drogę, na której społeczeństwo najpierw odbuduje pluralizm związkowy, potem polityczny i wreszcie dojdzie do niepodległości. Jeżeli w tej drodze ktokolwiek inny będzie siłą, która doprowadzi Polaków do niepodległości, to będziemy mu dziękowali. Jeżeli my będziemy musieli być w pewnym momencie tą siłą, która prowadzi innych, to będziemy starali się udźwignąć ten ciężar. To nie jest program dla KPN. To Konfederacja głosi pewien program dla Polaków.

To jest teoretycznie bardzo zwarte. Pytanie praktyczne brzmi tak – dysponujecie dość radykalnym programem politycznym, mówicie o wspólnym celu, natomiast nie wiem, czy ten radykalny program jest również do zastosowania dla „Solidarności”?

Nie. KPN powinna działać metodami partii politycznej, które są inne niż działalność związku zawodowego. „Solidarność” natomiast nie powinna nigdy stawać się partią polityczną.

Ale pytam czy powinna być radykalna?

Związek zawodowy nie będzie nigdy tak radykalny, jak partia polityczna. Jest to po prostu niemożliwe dlatego, że jeżeli jest taka struktu-

ra, która obejmuje 10 milionów ludzi, to nie może być tak radykalna, jak KPN, która w szczytowym okresie rozwoju liczyła 60 czy 80 tysięcy. Zresztą ja sądzę, że KPN liczy za dużo członków, bo w niektórych regionach niepotrzebnie przyjęto za dużo. W Konfederacji bardziej liczy się jakość niż ilość. Wiadomo, że partia polityczna będzie zawsze bardziej strukturalnie skryształizowana niż tak masowy ruch jak „Solidarność”.

Zdaje Pan sprawę ze swojej sugestywności. Zdaje Pan sobie sprawę z sugestywności hasła, które bardzo często ma w swoim programie antyradzieckość, która u was jest bardzo eksponowana a przynajmniej była. Zdaje Pan sobie sprawę, że ma Pan wpływ na działaczy „Solidarności”, to się nie dzieje mechanicznie. Działacze KPN mieli również wpływ na cele, sposób działania i na taktykę „Solidarności”, mieli przewagę w niektórych zakładach. Ja rozumiem co mi tutaj Pan tak bardzo niuansowo wyłożył, że radykalizm to jest ewentualnie dla was, a może nawet później w trzeciej fazie, że program i cel jest radykalny, nie środki... Natomiast sugestywność, antyradzieckość tego programu musi być elementem takim, że wśród 10 milionów, wśród tych bardzo sfrustrowanych nastrojów w czasie kryzysu, zwykli członkowie bez predyspozycji działaczy politycznych mogą nie rozróżniać tych niuansów, że to jest radykalizm celów a pragmatyzm w działaniu. Istnieje coś takiego, jak pewne zapatrzenie w wasze radykalne hasła, jak chociażby ten bardzo eksponowany antyradziecki sposób formułowania programu. A tu się okazuje, że wy byście sobie nie życzyli, ażeby zwykły szeregowy członek „Solidarności” te radykalne cele przyjmował i żeby nasiąkał tym programem. Ja to rozumiem, bo Pan to jasno przedstawił. Nie jestem natomiast pewien, czy w działalności KPN zwykły człowiek umie to tak wszystko niuansowo odróżnić. Pytanie dotyczy Waszej odpowiedzialności moralnej, wynikającej ze świadomości tego, że jesteście słuchani i możecie mieć wpływ na zwykłych działaczy „Solidarności”, na ludzi, którzy nie mają predyspozycji członków przyszłej partii niepodległościowej.

Mówi Pan, że nasz program i to co przedstawiam jest sugestywne. Tak to jest sugestywne...

Zarówno dzięki Wam, ale jeszcze bardziej dzięki nieudolności władzy, dzięki zastosowaniu terroru, dzięki stanowi wojennemu – te nastroje społeczne radykalizują się. Pytanie brzmi tak – czy należy podbijać bębenek radykalizmu czy nie?

Dlaczego to jest sugestywne? Przecież nie dlatego, że my wymyśliśmy sugestywne historie, albo, że my jesteśmy sugestywni, albo dlatego, że ja to przekonująco przedstawiam. To nie są wymyślane przez nas hasła. My tego programu nie wymyśliliśmy. To jest sugestywne, bo to jest ściągnięte z samych trzewi i serca narodu! To jest to co drzemie w Polakach. My to ujawniamy i dlatego to tak trafia do ludzi. Oczywiście możemy sobie postawić szereg barier. Od 1945 roku olbrzymia ilość Polaków stawia sobie wiele barier mówiąc – „Wystarczy, że będę przyzwoitym człowiekiem i zapomnijmy o Polsce”. Oczywiście, można stawiać bariery, ale KPN mówi – „Dość tych barier! Dość tego samoo graniczenia! Wyciągnijmy z serca to, co nasz Naród myśli i to co nasz Naród czuje!”. To jest właśnie nasz program. To, że ten program będzie przekonywujący dla coraz szerszych rzesz społeczeństwa – to oczywiste. Musi tak być, bo Polacy jeszcze są Polakami.

Ja bym powiedział, że nie program, ale ta wizja przyszłości, jest przekonywująca. A w pytaniu chodzi o program działania na dzisiaj.

Program działania na dzisiaj jest dla Konfederacji bardzo prosty – przygotowujemy się do nadchodzącej ekspansji społecznej. Program działania dla „Solidarności” powinien polegać na tym, ażeby przygotowywać budowę legalnych i jawnych struktur związku za zgodą lub bez zgody władz PRL-u. Nie chodzi o utworzenie tych struktur w ciągu jednego dnia, ale rozpatrywanie tego, jako procesu ciągłego. „Solidarność” musi stać się „Solidarnością”. „Solidarność” jest realną rzeczywistością i przyjmijmy to do wiadomości. Nie ograniczajmy się do mitu i legendy „Solidarności”, tylko stwórzmy ją na nowo jako wartość materialną.

Jesteśmy obecnie po stanie wojennym jak gdyby w punkcie zero. Jakie wnioski zostały wyciągnięte z wprowadzenia stanu wojennego?

Jest taka różnica, że przed 13 grudnia 1981 roku wierzono (tzn. ogromna część Polaków wierzyła), że Wałęsa z Rakowskim mogą rozmawiać jak Polak z Polakiem. Wałęsa z Rakowskim mógł rozmawiać tylko tak, jak przywódca związku zawodowego, który powstał wbrew i przeciwko władzy z funkcjonariuszem władzy komunistycznej, która szykowała likwidację tego ruchu. I to jest istota widzenia tych spraw. Jeżeli znowu X z Y usiądą przy wspólnym stole, to czy to będzie rozmowa jak Polak z Polakiem? To była taka rozmowa, jak ta między Maurycym Mochnackim a ks. Druckim-Lubeckim, kiedy to ksiądz był szambelanem Jęgo Carskiej i Królewskiej Mości Mikołaja I i nie wyobrażał sobie innej Polski niż pod berłem tegoż cara a Mochnacki chciał Polski wolnej i niepodległej. Czy była to rozmowa między Polakiem a Polakiem? Nie. Była to rozmowa wysokiego funkcjonariusza carskiego, wysokiego funkcjonariusza zaborcy z człowiekiem, który miał spojrzenie rewolucjonisty. Nauka 13 grudnia pokazuje, że nie należy wierzyć w mity i stereotypy.

Czyli Pan jakby nawołuje do realizmu.

Ja nie nawołuję do realizmu. Uważam natomiast, że poza realizm wyjść nie możemy. Tylko ja chcę mówić o prawdziwym realizmie. W Polsce mówi się o realizmie arealistycznie traktując stereotypy i biorąc fikcje jako rzeczywistość. Podstawowym elementem realizmu jest stan realny, w którym znajdują się Polacy i Polska i z tego należy wyciągać wnioski. Ten stan realny wygląda tak, że Polska jeśli chce istnieć, to musi odzyskać niepodległość. Powstała realna szansa, żeby ją odzyskać i mamy dość siły w narodzie, żeby to zrobić. Sprzyjają nam polityczne układy zewnętrzne. To jest właśnie realność. Jeżeli natomiast pójdziemy na wszelkiego rodzaju konstrukcje myślowe opierające się na mitach, stereotypach i staroświeckich przekonaniach, które niewarte są funta kłaków, to nie jest realizm, ale przepraszam za słowo, onanizowanie się słowem realizm.

A czy nie uważa Pan, że wizja Polski niepodległej w realiach stanu wojennego i przewagi w sensie materialnym (nie duchowym) państwa nad społeczeństwem, w tym kryzysie i w tym układzie sił na świecie, że Pańska wizja jest nierealna?

Przewaga tego państwa, przewaga tej władzy nad społeczeństwem polega tylko na micie. Ponieważ ludzie wierzą jeszcze, że ta władza jest czymś co jest zdolne utrzymać ich w ryzach...

Władza ma przewagę materialną, ma siłę!

Nieprawda! Te 37 milionów Polaków ma znacznie więcej siły, także fizycznej. Wystarczy 5 milionów na ulicach i zobaczy Pan, kto ma przewagę. No a do tego dojdzie.

Czyli Pan na to liczy?

Ja nie liczę. Ja to wiem!

Czyli Pan uważa, że ile milionów na ulicach zwycięży te czołgi? Nie dosłyszałem cyfry...

Jak wychodzą na ulice miliony ludzi, to nie ma czołgów. Pan wcześniej wspomniał, że mieliśmy wpływ na „Solidarność”. My takiego wpływu nie mieliśmy, no może w niektórych zakładach. Nie chcieliśmy się chronić pod skrzydła „Solidarności”. Natomiast nasze spojrzenie tuż przed 13 Grudnia było proste – Konfederacja wystąpiła z wezwaniem (nie ma powodu ukrywać, że ja to robiłem), żeby nie później niż 8 grudnia rozpocząć strajk powszechny. Był to jedyny ratunek i obrona przed stanem wojennym. Polityka to jest gra i walka...

Mogę podać Panu, jaka byłaby odpowiedź na strajk powszechny przed stanem wojennym – otoczenie zakładów pracy, odcięcie strajkującym wody, żywności, ciepła i czekanie...

Proszę Pana, to ładnie brzmi. Trzeba jeszcze mieć do tego siłę.

Ależ ta siła została zademonstrowana 13 Grudnia!

Nie. 13 Grudnia zostało zademonstrowane przede wszystkim zaskoczenie. Jeżeli „Solidarność” pozbawiono kierownictw od góry do samego dołu, jeżeli w tej „Solidarności”, jako strukturze zabrało – nazwijmy to tak – kilka tysięcy oficerów (w każdym zakładzie zabrano przywódców zostawiając masę pracowniczą nieprzygotowaną do niczego, która nie wie co robić), to większość zakładów nie zaczęła nawet strajkować. Jedna brygada ZOMO wystarczyła, żeby w ciągu kilku dni załatwić kolejno, jeden po drugim, wszystkie zakłady w Warszawie. Tych zakładów naprawdę strajkowało tylko kilka. Jeżeli strajki rozpoczęłyby się wcześniej, to ta brygada ZOMO nie byłaby w stanie otoczyć ich, odciąć wodę itd., bo musiałaby wtedy liczyć ze 100 tysięcy ludzi. I ta brygada nie wystarczyłaby nawet, żeby zapewnić łączników, którzy informowaliby centralę o tym, co się dzieje w poszczególnych zakładach. Nie zdaje Pan sobie sprawy z siły ruchów masowych.

W tym momencie rozmowy widzę dopiero Pańskie wizjonerstwo i jednak brak realizmu. A ile armia polska i wojsko liczy ludzi?

Pan sądzi, że to armia polska robiła stan wojenny? Ona oczywiście uczestniczyła w działaniach 13 Grudnia. Ona stwarzała wrażenie, że jest gotowa wystąpić jako druga linia ZOMO. Ja przypuszczam, że Jaruzelski bał się – przynajmniej większość jednostek – dopuścić, aby się bezpośrednio stykali z robotnikami. Wiemy przecież z historii doskonale, co się dzieje, jak pierwszy żołnierz przechodzi na drugą stronę.

Cały czas zachowywałem się jak dziennikarz, który prowokuje pytaniami. Poproszę obecnie o chwilę dla mojej wypowiedzi. Jesteśmy po prostu w tak ważnym momencie tej rozmowy, że muszę kilka zdań powiedzieć więcej.

Otóż Pan troszkę jakby się odsłonił. Wydaje mi się, że Pan chce zasugerować, że było możliwe fizyczne zwycięstwo ludzi pracy nad armią polską i oddziałami milicji. Jeżeli Pan takie coś zakłada, to zakłada Pan także ofiary w ludziach. Również przed chwilą powiedział Pan, że jak 5 milionów wyjdzie na ulice, to te 5 milionów wygra

ze wszystkimi czołgami. Czyli zakłada Pan ofiary w ludziach. Liczy Pan jednak na starcie fizyczne ludzi z tym systemem.

Jesteśmy w bardzo ważnym punkcie tej rozmowy. Dobrze, że ten punkt nadszedł w tej rozmowie. W tym momencie nie ma żartów. Jest to kwestia jasnego powiedzenia, że Pan zdaje sobie z tego sprawę, że liczy na zwarcie, że liczy na ofiary i uważa Pan, że poprzez te ofiary i poprzez krew zbliżymy się (a według mnie – cofniemy) do tego celu jakim jest niepodległość.

I trzecia uwaga – jaki jest Pana stosunek, w tym kontekście, do dyplomacji Kościoła?

To co Pan powiedział, to uproszczenia, uproszczenia i jeszcze raz uproszczenia. Pan zakłada, że rozwój ruchów społecznych musi koniecz- nie prowadzić do rozlewu krwi. To nieprawda! Musimy działać poprzez rozwój ruchów masowych. Musimy też ludzi wyprowadzać na ulice nie po to, żeby się łała krew, ale żeby się nie łała. W momencie, kiedy Pan wyprowadzi 5 milionów, to na ulice nie wyjedzie żadne ZOMO, aby tych ludzi pacyfikować! Pochowają się do mysich dziur! Nie wyjedzie żaden czołg. Ale jak Pan wyprowadzi 350 wyrostków, to się natychmiast pojawi 500 zomowców.

Ale mnie niepokoi Pana wizja zwarcia Polaków z siłami wojska i milicji.

Wróćmy do 13 Grudnia, ale tylko w kontekście politycznym. Polityka jest grą, polityka jest walką. W sytuacjach, kiedy mamy do czynienia z naprawdę masowymi zjawiskami a równocześnie konfrontacja jest bardzo silna (to jest prawie tak jak z bokserami wagi ciężkiej na ringu), otóż w takich sytuacjach ten, kto zada pierwszy cios, ten wygra. Stan wojenny został przez władzę wygrany nie dlatego, że władza była silna a „Solidarność” była słaba. Został on wygrany, bo władza pierwsza zadała skuteczny cios, który rzucił „Solidarność” na deski i ją sparaliżował. Od ZOMO i od czołgów skuteczniejszy był szok uderzenia. Gdyby ten cios wcześniej wykonała druga strona, to – być może – wynik byłby odwrotny. Nie sądzę, żeby efekt szokowy po stronie władzy był aż tak silny,

jak ten, który uderzył „Solidarność” i żeby nasze zwycięstwo było tak kompletne. Niemniej, gdyby związek wykonał cios strajkowy, to strona rządowa znalazłaby się na deskach. Może na krócej, może w lepszej formie, ale by się znalazła. To po pierwsze.

Druga sprawa, i ona jest zasadnicza, polega na tym, że jeżeli będziemy stawiali sprawę tak, że mamy wstrzymać się przed działaniem, to żadnej działalności podjąć nie można. Jeżeli boimy się ryzyka, jeżeli boimy się ofiar, to oczywiście nie robimy nic!

Proszę Pana, ja byłem pierwszym człowiekiem Konfederacji, który poszedł na długo do więzienia. Ja chciałem pójść pierwszy do więzienia między innymi dlatego, żebym mógł z czystym sumieniem wymagać od innych, ażeby też ryzykowali. Bo gdybym ja się schował z tyłu, to bym się głupio czuł domagając się od innych, żeby podejmowali ryzyko walki, za którą grozi więzienie. Mam ten moralny luksus, że mi nikt nie może powiedzieć, że wysyłam innych a sam się chowam. Być może ofiary mogą być większe, jesteśmy na to gotowi. Rozmawiałem z księdzem Jerzym Popiełuszką tuż przed jego męczeńską śmiercią. Był to człowiek, który naprawdę bał się męczeństwa, bo był tylko człowiekiem. Ale On miał świadomość, że męczennikiem będzie. On się bał, miał chwilami nadzieję, że może nie, ale w zasadzie, to On to robił świadomie. Straszna ofiara... Będą ofiary! I musimy ludziom mówić – „Bądźcie przygotowani, że będą ofiary! Może będzie krew”. Ktoś kiedyś powiedział, że koła Historii krwią są smarowane. Zadaniem przywódców politycznych jest dążyć do tego, ażeby tych ofiar było jak najmniej. Działalność Konfederacji, nasz program, to jest program, który szuka najbardziej optymalnej drogi. Gdybyśmy chcieli szukać drogi nie oszczędzającej ludzkich ofiar, to byśmy wezwali 13 Grudnia do strzelania, do krwi. My wiedzieliśmy, że będzie stan wojenny. Jeżeli parę dni przed 13 Grudnia nawoływaliśmy do strajku powszechnego, to tylko po to, żeby uniknąć większych ofiar a sprawę pchnąć do przodu. Cóż mi szkodziło napisać i we właściwym czasie ogłosić wezwanie KPN – „Polacy do broni!”

Myśli Pan, że posłuchaliby Pana?

Nie wiem czy by mnie posłuchali. Wiem, że Konfederacja tę drogę odrzuciła. Wiem, że nie poszliśmy tą drogą. Wiem, że taka droga spowodziłaby nas na manowce.

No ale mówi Pan o zwarciu 5 milionów z czołgami?

Nie, nie! Ja mówiłem – powtórzę – jak będzie 5 milionów ludzi na ulicy, to nie będzie czołgów. Siłą społeczeństwa w tym okresie i naszym mocnym narzędziem jest jego organizacja. Organizacja w różnych kształtach, przy pomocy różnych sposobów oraz różnych najbliższych celach. Taka organizacja polskiego społeczeństwa, gdzie są i wielkie związki zawodowe i partie polityczne, i to wszystko co da się zorganizować. Cały problem Polski polega na tym, żeby w miarę organizowania społeczeństwa dezorganizować tę władzę. Początek naszej „rewolucji” w 1980 roku polegał na tym, że naprzeciwko zorganizowanej władzy było zatomizowane społeczeństwo. Od tego czasu procesy organizacji społeczeństwa posuwały się i cofały, ale w sumie poszły do przodu a procesy dezorganizacji władzy też. Kiedy nastąpi nasze zwycięstwo? Wtedy, kiedy zorganizujemy jednocześnie cały wysiłek społeczny, na który stać Polaków a z drugiej strony zdezorganizujemy ich władzę. To jest droga do zwycięstwa.

Powie Pan, że to teoria. To jest teoria, ponieważ my rozmawiamy przy mikrofonie i wszystko, co mówimy, jest teorią. Najważniejsza rzecz jest taka, że my te nasze teorie sprawdzimy w życiu. Ja czuję się w tym sprawdzaniu mocny, ponieważ my wszyscy wiemy co było i co jest. Ja na pewno jestem jednym z głównych przeciwników tego ustroju i tego reżimu. Jestem jednym z tej grupy ludzi, z którymi oni walczą najmocniej. I jeżeli po iluś tam latach prześladowań możemy sobie tutaj takie rzeczy mówić i opowiadać, to kto tu jest zwycięzcą – ja czy Jaruzelski?

Gierek mnie zamknął. Gierka już nie ma. Potem był Kania, ale też już go nie ma. Jaruzelski jeszcze jest – nic mu złego nie życzę, bo jestem człowiekiem humanitarnym i chrześcijaninem. Jeżeli ja te wszystkie rzeczy mogę mówić powołując się na masowe ruchy społeczne, które już wystąpiły, to kto w tej grze wygrywa?

Jeżeli chodzi o pewną niezależność myślenia i o pewien margines swobody, to jest to zasługa nie tylko KPN czy opozycji, ale jest to zasługa pewnego umiarkowanego kursu władzy.

Człowiek o ogromnej niezależności myślenia, jakim był Traugutt, podjął walkę, która po dwóch latach skończyła się tak, jak się skończyła. I Traugutt mógł tylko powiedzieć – „Wierzę, że jeżeli zostanie choć jeden Polak, to Polska się odrodzi”. Była to wypowiedź optymistyczna, ale był to optymizm z samego dna tragedii. Ja natomiast mogę powiedzieć – „Cóż z tego, że nas zamykali, że nas zamykali tysiącami, że nas rozbijali? No i co z tego? My jesteśmy! My idziemy do przodu!” Jakież skok zrobiła Polska i każdy z nas w ciągu ostatnich kilku lat! Cóż oni są nam w stanie zrobić? Najwyżej nas znowu zamkną do więzień. Mój Boże, za nami przyjdą inni, zresztą my też z tych więzień wyjdziemy... Może zginiemy, a może wyjdziemy. Raczej nas wypuszczą.

To wszystko, co Pan mówi, jest prawdą. Ale moje pytanie brzmi tak – czy ten cały margines swobody, który mamy, to, że jest niezależna kultura, że jest niezależne myślenie, czy to wszystko osiągnęliśmy za pomocą radykalnych środków działania, czy też środków bardziej umiarkowanych?

Uzyskaliśmy to wskutek ciągłej presji społecznej i ciągłego procesu rozpadu władzy. Natomiast, jeśli idzie o pytanie, czy uzyskaliśmy to dzięki radykalnej polityce, czy też dzięki środkom bardziej umiarkowanym, to moim zdaniem polityka ugodowa oddaliła nas od celów, ku którym idziemy. Ustawiła nas w gorszej sytuacji. Polityka radykalna, aczkolwiek nigdy na początku nie osiąga swoich celów, to przynosi efekty. Może stanowią one 30 czy 10 procent tego, czego chcemy, ale to jest! I jest tego coraz więcej!

Skalą porównawczą dla mnie jest radykalizm „Solidarności” i radykalizm KPN.

Partia polityczna zawsze musi być bardziej radykalna niż ruch związkowy. Ludzie z KOR-u którzy weszli do „Solidarności” należeli do radykalnego skrzydła związku przez to, że byli działaczami politycznymi.

Oni twierdzą, że stopowali.

W pewnych sprawach mogli oczywiście stopować, dlatego, że niektóre rzeczy były stawiane radykalniej, bo my byliśmy jeszcze bardziej radykalni. Na przykład my uważaliśmy, że porozumienie zawarte na początku kwietnia 1981 roku było porozumieniem co najmniej niedoskonałym. Zresztą sądzę, że już w sierpniu 1980 roku można było uzyskać więcej. Polityka to też sztuka wykorzystywania możliwości. Jeżeli uda się wykorzystać coś blisko 100%, to jest bardzo dobrze. Jak się natomiast uda zdobyć 10%, to jest bardzo źle. Uważam, że w sierpniu 1980 udało się osiągnąć 75% możliwości, ale w kwietniu 1981 roku, to już w najlepszym wypadku tylko 45%. Była to po prostu polityka niedostatecznie skuteczna i dlatego musiał nastąpić potem 13 Grudnia.

Pytał Pan o postawę Kościoła. Chcę powiedzieć jedną rzecz. Kościół nie jest partią polityczną. Nie domagajmy się od niego by zachowywał się jak partia. On ma inne cele. Cele Kościoła, to są cele nie z tego świata i sprawy doczesne w obliczu spraw wiecznych są znikomymi.

Przepraszam nigdy nie zadaję takich pytań, ale spytam. Pan jest wierzący?

Tak! Jestem wierzący. Jestem praktykującym katolikiem.

Czy była to kwestia nawrócenia, jakiegoś powrotu?

Nie, nie była to kwestia nawrócenia. Całe życie byłem wierzącym katolikiem, natomiast obecnie jestem w praktykach religijnych o wiele bardziej gorliwy, niż jak miałem lat dwadzieścia kilka. To jest naturalne, choć jak miałem lat 8 czy 10, to być może byłem o wiele bardziej gorliwy, niż w tej chwili. Katolicyzm, Bóg, Opatrzność... wierzę w to.

Mówimy tu cały czas w kategoriach rozumowych i teoretycznych. W tych kategoriach, to co teraz powiem zabrzmi być może dziwnie. Polityka to jest bardzo racjonalne zajęcie. W polityce trzeba myśleć, myśleć i myśleć. Polityka to jest myśl, wola, decyzja i wykonanie. Chcę jednak powiedzieć, że mój optymizm, moja pewność, biorą się z takich rzeczy, które może nie dla każdego będą zrozumiałe. Żydzi w Starym

Testamencie czekali znaków przyjścia Mojżesza. Tomasz był niewierny i czekał znaku, że Chrystus zmartwychwstał. My też jesteśmy niewierni i też czekamy znaków. W każdym razie mogę to powiedzieć o sobie. Myślę, że Polska miała parę takich znaków. Znak wyboru Ojca Świętego. Wielki znak! Znak Jego prawie śmierci. Wielki znak! Dla mnie sierpień 1980 roku, który znam tylko z opowieści, bo spędziłem go w więzieniu – strajk i msza święta – to wielki znak. A 13 Grudnia? Czyż to nie jest jakieś ostrzeżenie Opatrzności? Czy my w tym wszystkim co robiliśmy przed stanem wojennym, czy my nie zasłużyliśmy na to, żeby Opatrzność zwróciła nam uwagę? Ja z tego czerpię główną siłę. Sądzę, że Opatrzność nie szczędzi nam znaków. A jeżeli tak – to nas prowadzi.

To nie znaczy, że zwalnia nas z odpowiedzialności. Mamy wielką odpowiedzialność za nasze decyzje i za nasze czyny. Ponosimy straszliwą odpowiedzialność. Nasz błąd może przerodzić w ogromne tragedie. Nasze niewykorzystane sposobności mogą skutkować, że na przykład Polacy nie ocaleją. Wstrzymanie się od działania jest bardzo często jeszcze większą odpowiedzialnością niż działalność. Wstrzymanie się od działalności może przynieść jeszcze większe straty. Ja czuję taką odpowiedzialność. Czuję się odpowiedzialny za ofiary ostatnich lat. Jeśli tutaj, w Nowej Hucie, zginął chłopak, jeśli zginęli górnicy w kopalni „Wujek”, jeżeli zamordowano księdza Jerzego, to ja się czuję odpowiedzialny za te śmierci. My, którzy zabieramy publicznie głos, którzy mamy pewien autorytet, my, którzy oddziaływaliśmy na tych ludzi tak czy inaczej, to my za to wszystko ponosimy odpowiedzialność. To co mówię jest dramatyczne bo jesteśmy w bardzo dramatycznym momencie historii. Czuję się współodpowiedzialny, bo wszedłem w tę koleinę i uzyskałem jakiś tam autorytet polityczny i są ludzie, którzy mnie słuchają. Mówię do społeczeństwa i do czegoś nawołuję, jak choćby w tym wywiadzie. Jeżeli żądam konsekwencji i odwagi od ludzi, to ja nie wiem, czy takie żądanie nie skończy się dla nich tragedią. Ja biorę na siebie odpowiedzialność i to ryzyko moralne. Ale równocześnie mogę być silniejszy i jest mi łatwiej – może to co powiem okaże się staroświeckie – ponieważ czuję,

że Opatrzność, nie zwalniając nas z odpowiedzialności, daje nam znaki i gdzieś prowadzi, i jakiś kierunek wskazuje...

Oczywiście wszyscy mamy wolny wybór.

Myślę, że coś dramatycznego i pięknego stało się w tej rozmowie poprzez Pańskie wyznanie, poprzez podjęcie wątku odpowiedzialności z całą świadomością dramatyzmu tego wątku. Myślę, że jest to bardzo dobry akcent na zakończenie tej rozmowy – właśnie ta refleksja o odpowiedzialności. Tej rozmowy nie można traktować jako recepty do działania bez zastanowienia. Myślę, że z Pańskich poglądów każdy własnym rozumem, z własną odpowiedzialnością, własnym wyborem będzie czerpał to, co będzie chciał wziąć. Nie jest to recepta. Jest wiele punktów kontrowersyjnych czego nie ukrywaliśmy. Szczególnie ten moment bardzo dramatyczny, w którym Pan mówi, że mogą być ofiary, że może być starcie. Ma Pan jednak nadzieję, że w takim starciu nie będzie ofiar, że nie będzie czołgów.

Musimy zrobić wszystko i to jest nasza odpowiedzialność, żeby było jak najmniej ofiar.

Ujawnił Pan również odpowiedzialność za radykalizm. Wybór programu działania pozostaje każdemu z nas. Najlepsza droga działania politycznego też pozostaje otwarta. Sądzę, że najwyższą wartością moralną obecnego społeczeństwa jest to, że istnieje autentyczny pluralizm poglądów i dróg. Sądzę, że nie jest tak, że jeden program może zbawić Polskę, że tych dróg dla Polski jest bardzo wiele – radykalnych i bardziej umiarkowanych. Sądzę, że jest wartością to, że możemy tak rozmawiać, to, że możemy Pańskie poglądy uczciwie i dogłębnie zaprezentować pod rozwagę i osąd naszych widzów. Myślę, że to, że możemy tak rozmawiać, że możemy prezentować różne poglądy w naszej maleńkiej, ale niezależnej telewizji – jest w tym jakiś głęboki optymizm

Dziękuję Panu serdecznie.

Dziękuję.

O POWSTANIU KPN

Z TADEUSZEM STAŃSKIM, DZIAŁACZEM
NIEPODLEGŁOŚCIOWYM, OPOZYCYJONISTĄ W CZASACH PRL-U,
ROZMAWIA KATARZYNA ŚNIADECKA

KATARZYNA ŚNIADECKA: Co skłoniło Ciebie do określonego zaangażowania politycznego, słowem dlaczego i jak znalazłeś się w polityce?

TADEUSZ STAŃSKI: Powinienem zacząć w ogóle od I rozdziału mojej książki, który nosi tytuł „Karcer”. Tam jest odpowiedź na to pytanie, bo pomysł tej książki jest taki, żeby zrobić sagę, czy też opis pokolenia, które obaliło komunę. Książka ma właśnie taki roboczy tytuł „Pokolenie, które obaliło komunę”. W tym pokoleniu ja jestem i spełniam jakąś rolę. Wtedy, gdy zaczynam od tego I rozdziału, tego „Karcera”, to w pewnym momencie zastanawiam się, dlaczego właśnie ja w tej sytuacji tam się znalazłem. Karcer to nazwa celi karnej, na którą za karę wsadzano więźniów. Byłem już po wyroku, który za próbę obalenia ustroju skazał mnie na 5 lat więzienia, i po rocznym pobycie w areszcie na Rakowieckiej, które spędziłem dzieląc cele z innymi. W karcerze człowiek siedzi sam i ma czas na myślenie. Wykorzystałem ten samotny pobyt na próbę odpowiedzi sobie na pytanie – dlaczego ja? I odpowiadam, że „brudny paluch losu” dosłownie wskazał na mnie „to ten”, ale mógł na wielu innych wskazać. Próbowałem sobie odpowiedzieć, dlaczego właśnie ja w wieku 32 lat szczęśliwy mąż, mający całe grono przyjaciół, trafiłem do więzienia na kilka lat. Zacząć trzeba od Podlasia. Podlasie zawsze dawało Rzeczypospolitej (co też później w sądzie powiedziałem) księży, żołnierzy i urzędników RP. I ja się czuję żołnierzem i to jest też zapisane w „Ostatnim słowie” spisany w sądzie. I to jest ta nasza podlaska tradycja. Urodziłem się w 1948 roku, a wtedy u nas to była nor-

malna wojna domowa [powstanie niepodległościowe przeciwko sowieckiemu okupantowi, przyp. KŚ]. Miałem kilka miesięcy, jak moi rodzice uciekając przed walkami przenieśli się do Warszawy. Mojego wujka Borychowskiego z Borychowa, to jest kilkanaście kilometrów od Błonia, gdzie ja się urodziłem, który współpracował z Brygadą Łupaszkii, dopadła bezpieka i zamordowała, zamęczyli go dosłownie na Rakowieckiej. Ciocia spędziła kilka lat w więzieniu w Fordonie, młodsze moje kuzynki wychowały się w domu dziecka jako „dzieci bandyty”. Teraz szukamy grobu wujka na „Łączce”. Prof. Krzysztof Szwaagrzyk pokazał mi mniej więcej, w którym miejscu leży. Kuzynki moje w tym roku założyły Stowarzyszenie „Dzieci Łączki” z Podlasia, a starsza kuzynka siedziała w Pałacu Mostowskich, do którego i ja trafiłem wielokrotnie spędzając swoje kolejne 48-godzinne aresztowanie być może w tych samych celach. Ja to wszystko opisuję w mojej książce. Jest też taki film, w którym ona pokazuje połamane kości ręki, pomimo, że ona miała wtedy szesnaście lat i do dzisiaj widać, jak ma je zgruchotane. Druga rzecz – to moja działalność tu w Warszawie. Pierwsze lata spędziłem na Nowym Mieście mieszkaliśmy przy ul Franciszkańskiej, tuż przy kościele Franciszkanów, gdzie wszyscy trzej bracia Stańscy byli ministrantami, a przyjaźń z niektórymi zakonnikami przetrwała wiele lat. W 1957 roku przeprowadziliśmy się na Muranów, gdzie szybko, bo już w 5 klasie, trafiłem do organizacji związanych z akowcami, konkretnie z Powstańczymi Oddziałami Specjalnymi „Jerzyki” – oni walczyli w Warszawie, a zwłaszcza była taka bitwa pod Pocięgą w Kampinosie, której rocznicę obchodzimy do dnia dzisiejszego. Ja się w tym gronie uczyłem idei samorządności. Hołubiśmy tych partyzantów – było ich dużo, dziś zostało ich tylko trzech. Ja tam nabrałem szlifów organizacyjno-młodzieżowych tzn. byłem wice-szefem ds. kontaktów zewnętrznych. Mieliśmy zorganizowane prawie 3000 dzieci i młodzieży na całym Muranowie. Stworzyliśmy kilka świetlic, zimą dwa olbrzymie lodowiska, na których byliśmy kierownikami, latem boiska – słowem całą strukturę. W 1966 roku, dwa miesiące przed moją maturą, bezpieka rozbiła nas. Nie chcieliśmy ani ZMS, ani innych państwowych lub partyjnych struktur. Ośmiu z nas traktowanych jako

szefów dostało wezwanie do Pałacu Mostowskich – czyli miałem przed maturą pierwsze przesłuchanie w Pałacu Mostowskich.

Byłeś tam wychowawcą, opiekunem, organizatorem – jaką funkcję pełniłeś w „Jerzykach”?

Na początku byłem uczestnikiem, a potem wychowawcą. Organizowaliśmy obozy, tu miałem status wychowawcy. W ramach tej całej struktury młodzieży byłem wiceprzewodniczącym ds. kontaktów – zapraszali mnie do telewizji, czy jak przyjeżdżali dziennikarze z radia, czy prasy to moim zadaniem było przedstawianie im naszych osiągnięć. Miałem dzięki temu załatwione, że tak powiem, studia pedagogiczne, za sprawą naszych wyczynów powstało wiele prac magisterskich i nawet doktorskich, bo to było coś nowego, tzw. idea samorządności.

To był pomysł nowatorski czy wzorowany na okresie międzywojennym?

To był pomysł prof. Łopatki, który miał przed wojną dom opieki nad dziećmi. Jerzy Strzałkowski, który był szefem „Jerzyków”, prowadził, podobny dom opieki w tamtym okresie. Oni wywodzili się w ogóle ze Związku Sybiraków, cała ta młodzież z Syberii, która się przed Rewolucją Październikową uchowała nie wróciła tutaj przez Europę. Oni pojechali aż przez Japonię, przez Los Angeles, statkami i wylądowali w Wejherowie. Stworzyli tam Związek Młodzieży Sybiru. Szefem ich był Walery Sławek, którego grób na Powązkach zawsze odwiedzaliśmy. Zastępcą jego był potem Jerzy Strzałkowski i oni mieli domy opieki dla dzieci, to była przed wojną znana akcja. Związek był bardzo ważny tutaj, w tej narracji patriotycznej, można powiedzieć. Z kolei od roku 1939 Jerzy Strzałkowski prowadził domy dziecka dla sierot wojennych, z których utworzono potem Powstańcze Oddziały Specjalne „Jerzyki”, których najsłynniejsza bitwa była pod Pociechą, nic dziwnego, że dla nas etos walki partyzanckiej był wzorem tylko do naśladowania. W naszej organizacji panowały nastroje patriotyczne.

Za co dostałeś się do Pałacu Mostowskich?

Tam była taka ciemnia fotograficzna, ja tam nigdy nie wchodziłem, bo dla mnie robienie zdjęć to była makabra i w ogóle nieinteresujące zajęcie. Ale oni powiedzieli [czyli bezpieka, przyp. KŚ], że chłopaki tam zrobili zdjęcia porno czy coś. Ale to nie chodziło o zdjęcia porno, bo przecież wiadomo było, że ja tam nie chodzę, wyselekcjonowano ośmiu szefów nazywano nas, bo takiej terminologii używał pan Jerzy Strzałkowski – „wodzirejami” i tyłu nas było wezwanych. Po 8 godzinach oczekiwania, które miały nas przestraszyć i spreparować do zeznań przyszedł podgolony na szlachcica facet i kazał mi usiąść naprzeciw swojego biurka – przesłuchanie rozpoczął wyraźnie zmęczony i bez specjalnego zaangażowania – „Stański powiedzcie wszystko, co wiecie, bo my i tak wszystko wiemy”. Zatkąło mnie i mówię: „Jak wszystko wiecie, to po co mnie tutaj ściągacie?” Dzisiaj wiem, że mieli rzeczywiście pełno informacji o mojej szkole, moich planach na studia od ówczesnego nauczyciela wf-u, Filipczuka, który był TW. Mieliśmy też w swoim gronie dwóch TW, potem oni poszli do milicji pracować, czyli też wiedzieli, co my robimy. To był 1966 rok, połowa rządów Gomułki, czas, kiedy bezpieka brała się za takie niezależne struktury jak np. ZHP. A tu raptem okazało się, że jest w centrum Warszawy 3000 młodzieży, która nie wiadomo co robi: ma świetlice, wyjeżdża na obozy. Bali się, że to jest poza kontrolą. Na tej zasadzie nas rozbili. Cały Muranów. Całą naszą grupę. To był kanał patriotyczny, który ja przeszedłem, łącznie z tymi wszystkimi szczeblami. Pieniądze na działalność dawało TPD, które było ateistyczne, ale co nam to przeszkadzało? Pieniądze na to były, zorganizowaliśmy 4-5 kolonii, kilka zimowisk. I potem nie dostałem się na pedagogikę specjalną – to tak żartobliwie mówiąc – przez Lenina i Stalina nie stałem się studentem UW. W strukturach muranowskich byłem jedynym taki działaczem, który był przygotowywany na studiowanie, a potem propagowanie idei samorządności w naszym stylu i metodzie. Oczywiście wiele moich koleżanek i kolegów pokończyło różne studia, ale tylko ja miałem być pedagogiem społecznym, bo w istocie reszta młodzieży pochodziła ze środowiska robotniczego i dla nich studia nie były naj-

ważniejsze. Muranów to była dzielnica, gdzie mieszkali budowniczowie Muranowa, milicjanci, wojskowi: enklawy wojska i milicji. Ponieważ ja ukończyłem ogólniak, jak wszyscy moi bracia, to te studia były dla mnie oczywistą sprawą. Miałem problem z językiem rosyjskim. Uczono mnie tego języka od piątej klasy szkoły podstawowej, czyli do matury przez siedem lat. Wtedy okazało się, że nie znam rosyjskich „bukw”. W szkole szok, bo potrafiłem w 3 i 4 klasie mieć z „ruska” 4 na świadectwach. Jak zdałem maturę z tego języka to już inny kabaret. Co innego egzamin na UW. Oczywiście pisemny oblałem, pomimo, że rzekomo miało mnie wspomagać kilka nowo poznanych dziewczyn, które ja wspierałem na egzaminach z polskiego. Okazały się z rosyjskiego większe „nogi” ode mnie. Czekał mnie więc egzamin poprawkowy z języka rosyjskiego. Asystentka prof. Woroczeńskiego, która zrobiła doktorat z Muranowa i chciała mieć takiego następcę jak ja powiadomiła mnie, że egzamin poprawkowy z rosyjskiego to będzie zwykła formalność i mogę się już czuć studentem Wydziału Pedagogiki Specjalnej. Na egzaminie przyjęła mnie pani lat około 80, uczesana w kok, jakie noszono przed rewolucją, w białym żabocie, cała bardzo schludnie ubrana, widać było, że to przedstawicielka starej rosyjskiej arystokracji, która na stare lata musiała dorabiać na życie wykładając rosyjski. Po zadaniu mi kilku pytań, na które nie byłem w stanie odpowiedzieć prawidłowo, trochę ubawiona moją ignorancją pani egzaminator w kwestionariuszu egzaminu wstawiła mi ocenę trzy. Byłem więc w tej chwili studentem UW. Widzę tą trójkę i podziwiam w duchu układy ludzi mnie promujących. Nic mi więcej nie potrzeba. Aż tu raptem egzaminatorka pomimo wystawienia już stopnia pyta mnie nagle. „Co wy czytali ostatnio po rusku?”. A mnie odbiło i mówię – „Leninu i Stalinu”. Nauczycielka spojrzała na mnie mniej sympatycznie i powiedziała – „Lenin i Stalin eto nie krasnyj ruskij jazyk, Lermontow i Puszkyn eto krasnyj ruskij jazyk”. Przeszedłem nad tymi naukami do porządku dziennego, bo przecież trójkę widziałem na własne oczy. Po godzinie dostaję telefon od mojej mentorki – „Coś ty narozrabiał?!” Okazało się, że po moim wyjściu, nota trzy została przekreślona i na niej nabazgrano bardzo wyraźnie dwóję.

I tak dzięki niechęci potomkini białogwardzistów nie dostałem się na pedagogikę na UW. Za rok poszedłem zdawać na prawo, ale znowu dzięki moim poglądom, zabrakło mi 2 punktów. Groziło mi wojsko, a całe wtedy pokolenie nie chciało służyć w komunistycznym wojsku. Pomogła mi moja rola, jako ministranta u franciszkanów. Podczas odwiedzin u nas jednego z braci dostałem informację, że na ATK otwierają wydział prawa kanonicznego i mogą mnie przyjąć z zaliczeniem egzaminów na UW. I tak zostałem studentem na ATK. Lepiej trafić nie mogłem. Było dużo filozofii, teologii, dużo wiedzy ogólnej i bardzo wysoki poziom studiów prawniczych. Magisterium robiłem u prof. Stommy, z art. 22 KK, czyli z nieznamości prawa, co wykorzystywałem podczas procesu KPN, gdzie udowadniałem, że władze nie znają i nie stosują prawa. Moi współoskarżeni w procesie KPN, czyli Romuald Szeremietiew i Leszek Moczulski też byli absolwentami wydziału prawa, ale w życiu zajmowali się historią. Prawo to była moja domena.

Czy w czasie studiów angażowałeś się w jakąś działalność polityczną?

Nie, w żadną, ponieważ po tym przesłuchaniu, gdzie spędziłem w Pałacu Mostowskich 8 godzin, nic nie wskazywało na jakikolwiek kryzys komunizmu. Na ATK założyliśmy AZS – gdzie graliśmy w piłkę i jeździliśmy na obozy. Byłem tam wiceprezesem, nie ubiegałem się o przywództwo. Zresztą w KPN i PPN takich ambicji politycznych też nie miałem. Chciałem jeszcze studiować filozofię na ATK, jako drugi fakultet. Utrzymywałem się z mycia okien w spółdzielni studenckiej. Przy dobrej organizacji można było dużo zarobić. Za prace w „Plastusiu” kupiłem sobie skuter. W końcu wyszło tak, że zacząłem pracować. Wtedy norma była, że po studiach zarabiał się 1500 złotych. Ja rozpuściłem wici w kategoriach zaporowych, że szukam pracy za 2500 złotych i w nienormowanym trybie czasu pracy. I jesienią 1973 roku przychodzi Zbyszek Morski i mówi, że taka praca jest w PAX-ie. Tylko musisz iść na rozmowę. O PAX-ie w ogóle niewiele wiedziałem, poza tym, że PAX nie jest organizacją lubianą w środowiskach akowskich i że Ko-

ściół ma zastrzeżenia do Piaseckiego. Jednocześnie PAX był przechowalnią dla ludzi z AK. Zarówno oni, jak i Piasecki przygotowywali się do obalenia komuny. Mój okres pobytu w PAX-ie przypadł od XII 1973 do IV 1978 roku. Piasecki bardzo dużo zrobił, stworzył system polityczny, a przede wszystkim finansowy, bo gdyby on nie utrzymał tych kilkudziesięciu tysięcy ludzi, którzy wyszli z więzień, to przecież oni by z głodu zginęli. To byli nie tylko Wyklęci, to byli ludzie po wyrokach, których on kierował na studia. Później, w tej bazie ekonomicznej, która była jakby koncernem gospodarczym – zatrudniał i utrzymywał. Przez PAX przeszło tak dużo ludzi młodych, bo on nas świadomie tam wychowywał. PAX ma też swojego Prezydenta – to jest Bronisław Komorowski, którego ojciec przyszedł z III Brygadą Łupaszki na Podlasie i potem pracował w Kierunkach. A Broniek pracował po studiach w „Słowie Powszechnym”. Ministrów było z PAX-u masę, Marszałek Sejmu Jan Król wywodzi się z PAX-u, ostatnia Pani Minister MSW też jest po PAX-ie, Pani Piotrowska, która nie ukrywa tego, przeciwnie, chwali się tym. „Czerwoni” przygotowywali się do obalenia komuny, ale i Piasecki się przygotowywał.

Jak to się udało zrobić?

Ja przygotowywałem młodzież. Zrobiliśmy klub polityczno – filozoficzny, bo były na to środki, któremu patronowała prof. Szyszkowska, wtedy doktorantka, obecnie działaczka lewicowa, specjalistka od Kanta i Heine Wrońskiego. Był też prof. Dąbrowski od pozytywnej integracji, zapraszaliśmy aktorów np. Daniela Olbrychskiego. Ja bardzo szybko tę młodzież w województwie warszawskim zintegrowałem. Robiliśmy to, co uważaliśmy za stosowne, czyli wychowanie patriotyczne i chrześcijańskie. Prowadziłem szkolenia polityczne, robiliśmy minimum, to, co było wytyczne, ale trzeci filar PaX-u, czyli wychowanie socjalistyczne „odpuściliśmy”. Bardzo szybko udało się zrobić to, co nazywa się znaczeniem, uznaniem, karierą, bo nas było bardzo dużo i byliśmy zorganizowani. Raz w miesiącu były spotkania z Piaseckim, w ramach Centralnego Ośrodka Szkoleniowego, którego przedstawiciele z całej Polski się

zjeżdżali. Piasecki bardzo stawiał na młodzież – stąd mówię, że to była jego zasługa. To były normalne szkolenia i na tych szkoleniach zawsze się z Piaseckim kłóciłem, aż raz go pogotowie zabrało, bo potrafiłem się z nim tak spierać.

Romuald Szeremietiew do PAX-u też się dostał na tej zasadzie. Romek z Wrocławia przyjeżdżał. Miał struktury we Wrocławiu i tak zaczęliśmy się kolegować. Na tej kanwie nauczyłem się następnej dziedziny, czyli dobrej organizacji, której podstawy nabyłem na Muranowie i realizowałem w Pax-ie i od tej pory wszyscy uważali, że ja taki dobry organizator jestem. Taka opinia ciągnie się za mną do dziś. Pomimo sukcesów byłem praktycznie wtedy na wylocie z organizacji, bo skonfliktowałem się z moim przewodniczącym od starej struktury, który nie tolerował mojego pojęcia walki młodych i na wiosnę 1975 roku miałem już odejść z PAX-u. I wtedy Gierek zrobił reformę administracyjną 49 województw, a ja na tej zasadzie wylądowałem w Siedlcach. W 1975 roku w maju była walka pokoleń, walka młodych ze starymi. Gierek miał podobnie, jak u nas w PAX-ie, ciśnienie od młodych i wtedy właśnie wypłynął Kwaśniewski, Miller, Oleksy. Gierek tym młodym nie mógł już dać zajęć i porobił 49 województw. I na tej zasadzie już będąc na wylocie z PAX-u, dowiaduję się, że mam się zameldować u Piaseckiego i w ciągu jednego dnia wszystko się zmienia wokół mnie. Konflikt się zaczął, kiedy były wybory na szefa PAX-u całego województwa warszawskiego i my, jako młodzi, przeprowadziliśmy swoją kampanię. Wybraliśmy swoich delegatów i my go skasowaliśmy. To tak, jakby w KC podczas wyborów usunąć I sekretarza. A my go usunęliśmy, no i wiadomo było, że ja już stamtąd muszę się ewakuować.

Za co wtedy odpowiadałeś w PAX-ie?

Za młodzież w całym województwie warszawskim. Nastąpiłem po takim człowieku, który nazywał się Sławomir Siwek i był potem szefem Radiokomitetu i do dzisiaj jest związany z Fundacją Solidarności i z PiS-em. Ja to zdynamizowałem, zrobiłem ruch w całym kraju. Miałem 27 lat, byłem 2 lata po studiach i raptem świat się wywraca...

Co dla Ciebie znaczyło to odwołanie z funkcji? Kim dla Ciebie był ten nowy szef?

Był uznawany przez nas za przedstawiciela starego pokolenia, który miał realizować linię współpracy z komunistami, spór był więc nie tylko pokoleniowy ale i polityczny. Miał zostać wybrany tak, jak sekretarz nominowany przez partię, bo to niby delegat z wyboru. Jego poprzednikiem był wuj Rafała Ziemkiewicza, dziennikarza, Kazimierz Ziemkiewicz, który przyjmował mnie do tej pracy. Aby nie przedłużać po tym wezwaniu do szefa PAX-u padła propozycja nominacji mnie na szefa całego nowego województwa siedleckiego. Piasecki mi powiedział: „Co do tego waszego zaangażowania socjalistycznego to dajmy sobie z tym spokój, natomiast nie ma wątpliwości co do waszego zaangażowania patriotycznego i katolickiego. I robię was przewodniczącym oddziału w Siedlcach”. Do gabinetu wchodziłem jako człowiek wylatujący, a wyszedłem jako samodzielny pracownik z budżetem i ze wszystkimi atrybutami. Raptem zmienia się wszystko w jeden dzień. Stało przede mną zadanie zorganizowania całej nowej struktury w Siedlcach, byłem pierwszym z licznych tzw. nowych województw, które zorganizowałem w oparciu o moje zaplecze młodzieżowe. Miałem do dyspozycji samochód służbowy, sekretariat, budżet – słowem zostałem PROMINENTEM. Co to znaczy? Możesz dawać ludziom wszystko, możesz pomagać, ja stworzyłem całą tę organizację błyskawicznie. I dzisiaj oni, ci moi pracownicy, założyli Stowarzyszenie „Judasze”, jak bezpieka zaczęła mnie rozpracowywać i na tej liście jest co najmniej jeden człowiek, który przejdzie do historii, Stanisław Oleksiak, który rok-dwa lata temu był szefem Światowego Związku Żołnierzy AK. I oni właśnie założyli Stowarzyszenie Rozpracowania Operacyjnego „Judasze”. 08.12.1977 – to data rozpoczęcie rozpracowania w ramach tej operacji, czyli było to półtora roku jak trafiłem do Siedlec. Szybko wzbudziliśmy zainteresowanie bezpieki. Mój kryptonim rozpracowania operacyjnego jest „Mecenas”, Leszka Moczulskiego – „Oszust”, Romek jest „Taktyk”, a Wiesiek Wysocki – „Poliglota”. W PAX-ie bardzo szybko dojrzałem, że to, co chce PAX, jest dla nas absolutnie nie do przyjęcia. W myśl

tego, że to pokolenie, które ma obalić komunę, nie może iść na jej pasku.

Od czego zacząłeś swoje działania na nowym odcinku, jaki Ci powierzono?

Zacząłem się od prostych rzeczy – ponieważ bardzo szybko zrobiłem tam strukturę, to zacząłem robić w tym PAX-ie takie rzeczy, że tam też się to nikomu nie śniło. Bo oni z jednej strony bali się czerwonych, a z drugiej byli blokowani w różnych sprawach, np. na terenie mojego województwa koło Wyszkowa był ośrodek kolonijny i ośrodek szkoleniowy w Halinowie koło Wyszkowa. Władze nie dawały zgody na remont tego ośrodka dla dzieci. To był bardzo ładny ośrodek kolonijny nad Liwcem, położony wśród lasów. Jak się zakolegowałem z szefami tych różnych wojewódzkich struktur, nie ma co ukrywać, że dzięki gorzale i innym bankietom – powiedziałem, że jest kłopot i że trzeba tam coś zrobić, no to oni, dobra, to my przyjdziemy, zobaczymy. I ja zadzwoniłem do szefowej tych wszystkich socjalnych rzeczy, do Marty Englert i pytam: „Marta, zrobisz bankiet? To my Ci załatwimy ten remont”. To już była ruina taka, że nawet sama szefowa nie wierzyła w sukces. I dzwonię do dyrektora administracyjnego i projektanta, który wydawał zgody na prace remontowo-budowlane. Umówiłem się z nimi. Marta zrobiła bankiet. Jedziemy zobaczyć ten obiekt, a to nawet nie ruina, bo tylko podmurówka została. Na to dyrektor: „No co się martwisz? Niech Marta występuje o remont i budujcie od nowa”. To było nie do pomyślenia, a jednak realnie się wydarzyło. Chcę przez to pokazać, co znaczyło być prominentem w tamtych czasach. Zadzwoniłem do tego głównego projektanta i zaproponowałem mu wczasy nad morzem w Międzywodziu. To był 1975 rok. Byłem już zaprzyjaźniony z dyrektorem transportu, zadzwoniłem do niego, on podstawił samochód po projektanta. Druga rzecz to już zaczęła się sprawa polityczna, zrobiliśmy taki olbrzymi materiał, wywiad z Prezydentem Siedlec. Zrobiłem, jako dziennikarz „Słowa Powszechnego”, całą szpalnę, zdjęcia – nakład 500 egzemplarzy na Siedlce – to rzadkość wtedy była. Prezydent dumny, duże to wrażenie na nim

zrobiło. Prezydent: „Panie Tadeuszu, co Pan chce? Mieszkanie w Siedlcach?” Ja na to: „Ja to nic nie chcę”. Miałem biuro w Siedlcach z lat 60-tych – na górze mieszkał dyrektor Veritasu, nazywał się Grot, który pokłócił się z Marią Michalską i nie chciał wyprowadzić się z tej willi, na dole mieliśmy biuro 50m², więc ja mówię: „Mieszkanie bym chciał dla faceta”. Prezydent do mnie: „A ma Pan pieniądze?”. Ja: „A ile trzeba?”. Prezydent: „500 tysięcy”. Ja: „Mam” nie wiedząc, czy tyle dostanę. Dzwonię do Marii Michalskiej, która była szefową Veritasu. A ona przez 10 lat walczyła z tym Grotą i nie mogła go wyrzucić. I powiedziałem jej o tym mieszkaniu i że trzeba zapłacić. Rok potem przychodzi do mnie jeden z moich współpracowników i mówi: „Tadek jest kamienica Moritza do kupienia. Kamienica przedwojenna, secesyjna, 3-piętrowa”. Dzwonię do Michalskiej: „Mamy kamienicę do kupienia. Na dole oddział zrobimy, mieszkanie dla pracowników, biuro”. Ona: „Dobra. Ile panu potrzeba?” – „5 milionów”. „OK. Panie Tadeuszu, dla Pana nie ma problemu”. Zacząłem chodzić za tą kamienicą. W Centrali – awantura. Co ten Stański narozrabiał! Z KC przyszedł monit: „W Siedlcach Stański chce kupić kamienicę większą od Komitetu Wojewódzkiego!” Piasecki: „Bardzo proszę, niech Pan tam tak nie rozrabia”. TW Mariusz znakował te pieniądze. 200 tysięcy – to była zaliczka, którą ja miałem wpłacić. Wtedy oni mnie zablokowali. Wówczas miałem pensję w wysokości 3500 + 2500 dodatku i to były wtedy olbrzymie pieniądze.

Dlaczego musiałeś odejść z PAX-u?

Bardzo szybko zorientowałem się, że to, co robi PAX jest dla nas absolutnie nie wystarczające, że oni powinni pracować na rzecz nowej jakości politycznej. I taką pierwszą próbą było zorganizowanie obozu w Serwach, na które Szeremietiew przywiózł Leszka Moczulskiego i grupę innych tam jeszcze działaczy. W tych Serwach to całą noc opowiadaliśmy kawały. I mogę powiedzieć, który kawał wygrał. Chcesz wiedzieć, jaki kawał wygrał?

Proszę opowiedz.

Wygrał kawał o Tadku niejadku. Tadek był straszny niejadek. Mama: może szyneczki, może schabiku? Tadek: nie będę jadł! Tata: może zupki, może kielbaski? Tadek: nie będę jadł! Babcia: Wnuczku, a co byś zjadł? Tadek się zastanawia i mówi: Glizdę. Tata przyniósł glizdę. Babcia: poczekaj zrobię w jajeczku. I zrobiła. A Tadek: nie będę jadł! Niech Tata połowę zje! Tata chcąc nie chcąc wziął połowę, popił szklanką wódki i zjadł. Babcia: No wnusiu, tata zjadł, teraz ty zjedz. Tadek: Nie będę jadł! Dlaczego? Bo tata moją połowę zjadł!

Dowcipnie. Co było dalej?

Jak się zaczęło ROPCiO (Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, przyp. KŚ) to Moczulski dostawał ode mnie pomoc materiałową. Na tym obozie w 1976 roku w Serwach Moczulski nie rzucał się w oczy, nie przedstawił żadnej koncepcji. Dysponowałem wtedy samodzielnie pieniędzmi i mogłem zapraszać wybranych ludzi na prelekcję do Siedlec. Płaciłem za to 800 złotych – to była duża suma. Jerzy Łojek, Tadeusz Pióro, szef sztabu generalnego – oni byli takimi prelegentami. Z Jerzym Łojkiem byliśmy zakolegowani, on mieszkał na Nowym Świecie i co miesiąc jeździliśmy do Siedlec. On wtedy wydał książkę „Przyczyny upadku Powstania Listopadowego”. Jak mnie kiedyś Andrzej Anusz zapytał, co by było jakby Moczulski nie napisał „Rewolucji bez rewolucji”, to ja odpowiedziałem, że mielibyśmy „Przyczyny upadku Powstania Listopadowego” Jerzego Łojka i toby była nasza szkoła myślenia politycznego – bo przemyślenia prof. Łojka pasowały do ówczesnej sytuacji. Rozmawialiśmy o historii, on mnie traktował jak młodego, bo miałem 27 lat, ale byłem szefem i miałem potencjał i możliwości z tym związane. Łojek był na indeksie wtedy za swoją książkę i wykładów nawet chyba nie miał, słowem miał ciężko. Z Pióro robiłem sprawy wojskowe.

Z jakiego środowiska wywodził się generał Pióro?

Jego podejrzewali, że został wyrzucony na bazie czystek semickich w 1968 roku, bo ujął się za Żydami wtedy. Piasecki go przyjął. Pracował przy „Słowie Powszechnym”, dawał mi analizy wojskowe i materiały

np. Rocznik Instytutu Badań Strategicznych z Londynu, gdzie były wszystkie armie z uzbrojeniem. On mi to ściągał z Londynu za 15 funtów, to było wtedy kilkaset złotych, dysponowałem nimi do analiz. Zajmowałem się z nim potencjałem wojskowym Rosji i Polski. Ja tak z nim pracowałem nie dogadując, ale miałem inne spojrzenie i inną wiedzę. I stąd ta moja analiza o nieuchronności rozpadu Związku Radzieckiego. Doszło do tego, że jeździłem po szkoleniach ze zwariowaną skądinąd prelekcją „Czy ZSRR może interweniować w Polsce?” – istny „crazy man”! Ale to wszystko z potrzeby analizy wynikało. Zacząłem w Siedlcach wydawać „Przegląd” redagowany przeze mnie, poprawiany przez moich pracowników „Judasze”, przepisywany po nocach przez moją sekretarkę, Anię Dutkiewicz, liczył 30–40 stron. Wydaliśmy go 3–4 egzemplarze. Moczulski uważał tę analizę za bardzo wartościową. Miałem dostęp do tzw. biuletynu papowskiego. Tam były informacje, których nie było w gazetach, np. ile dzieci rodzi uzbecka kobieta, a ile Rosjanka, ile musi być Rosjan na tzw. zagrożonych kierunkach, problem muzułmański, ile muszą kupić rur do gazociągu i rurowciągów – to wszystko tam było, ja to mogłem pisać, dlaczego? Bo nikt się wtedy nie zajmował Rosją. Wszystkim wydawało się, że to jest coś stałego, że nie ma co się Rosją zajmować. A ja byłem pierwszym „zwariowanym” człowiekiem, który uważał, że trzeba tę Rosję przepracować intelektualnie, mieć wiedzę o niej. I stąd np. jak wprowadzali stan wojenny i ci wszyscy z Solidarności się trzęśli, że białe niedźwiedzie czekają, to ja spałem spokojnie, w więzieniu na Rakowieckiej, bo wiedziałem, że oni nie wkroczą, że nie mają potencjału. To jest szkoła właśnie z jednej strony Łojka, żeby wiedzieć, że przywódca to jest człowiek, który wie, jaka jest wizja, jak to się będzie rozwijać, a z drugiej podobna wiedza od generała Pióro, że tak naprawdę to my zostaniemy tylko jeden na jeden z tymi czerwonymi komunistami, którzy już komunistami nie byli, ale aparatczykami i wcześniej czy później my ich załatwimy. Ten mój materiał o Rosji zrobił w kręgach opozycyjnych i korowskich bardzo duże wrażenie, oni byli nawet przekonani, że to Moczulski napisał.

Pisałś pod pseudonimem?

Tak, i używałem przy pisaniu dwóch pseudonimów: pierwszy, którym podpisałem analizę o Rosji to Zdzisław Błoński od mojej rodowej miejscowości i Marek Siedlecki jako kontynuacja więzi z Podlasiem. Myślę, że wasza „Opinia” jest dobrym miejscem, aby po trzydziestu pięciu latach przypomnieć mój materiał, który, jeszcze raz podkreślam, był wtedy nie tylko pierwszy, ale i jedyny. W tym okresie Romek napisał „Historię KPP” jako Natalia Naruszewicz, a Moczulski robił „Rewolucję bez rewolucji”, którą sygnował swoim nazwiskiem. Ja robiłem tę Rosję i robiłem broszurę – ocenę krajowej sytuacji politycznej – co do dzisiaj robię. Robiłem to zaczynając od PZPR-u, po kolei wszystkie struktury jawne i podziemne. I to wszystko jeszcze na pierwszej rewizji mi zabrali. Nie wiedziałem, że tak szybko przyjdą i wyciągnęli mi owoc kilku miesięcy pisania. W moich teczkach z IPN-u też tego nie ma. Moja koncepcja jest taka, że ta nasza część jest gdzieś zamurowana i schowana przez przezornych ubeków. Ale również robiłem „Przeglądy”, których ukazało się 3-4. To trwało kilka miesięcy. Dostawali je ludzie z grupy rewolucyjnej młodych z PAX-u, no i ewentualnie z zewnątrz, jak np. Leszek Moczulski. Po tych 3-4 numerach, jak zacząłem jeździć z tym referatem „Czy ZSRR będzie interweniować?” to prawdopodobnie już było w Kielcach, był jakiś kapuś wśród lokalnych Pax-owców. No i wezwał mnie w kwietniu 1978 roku Reiff i rzucił mi na stół jeden z moich numerów „Przeglądu” i pyta co to jest? A ja myślę, kto mu to dał? Mówię: „Ale o co panu chodzi? Bardzo dobry przegląd, analiza”. Wtedy jego zamurowało, myślał, że będę płakał, kajał się. Wiadomo, że robić biuletyn antyrosyjski i antypartyjny wewnątrz struktury paxowskiej to głupota była albo i nie była. Potem, jak dostałem teczkę dowiedziałem się, kto to przekazał Reiffowi – to był Tadek Swat udający mojego przyjaciela, szef struktur w Płocku. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, dlatego, że oprócz tej formacyjnej pracy zaczęliśmy przygotowywać coraz więcej ludzi podobnie myślących, co zaczęło budzić podejrzenia w tych starych z PAX-u, jak Reiff. Dziś wiadomo że mój „Przegląd” Reiff dostał od Kani, wtedy szefa bezpieczeństwa, który otrzymał je poprzez TW Ta-

deusz lub TW Krzyżak, bo takich dwóch pseudonimów używał Tadeusz Swat. Wtedy Reiff nie ujawnił mi, czy wie o wiele groźniejszej dla PAX naszej inicjatywie. Latem 1977 roku w naszej grupie młodych szefów wojewódzkich dojrzała myśl o potrzebie znalezienia nowej formuły działania. Tak się złożyło, że staliśmy się z Romkiem Szeremietiewem przywódcami grupy przy zachowaniu klarownego podziału terytorialnego. Romek kierował częścią zachodnią, a ja centrum i wschodem Polski. Pomysł był wspólny – na gruzach PAX-u, czyli po próbie przejścia organizacji, mieliśmy zbudować partię polityczną oczywiście przeciwną PRL. Jeśli pomysł by się nie udało zrealizować, mieliśmy wyprowadzić nasze struktury wojewódzkie z PAX-u, a sami zrezygnować z pełnionych funkcji. Ideowo było oczywiste, że nasza partia będzie partią chadecką opartą o chrześcijaństwo i o patriotyzm. Podjąłem się przygotowania nowego pierwszego takiego pomysłu w całym układzie komunistycznym. Pierwszy kłopot miałem przy próbie opisu założeń ideowych chadecji. W dostępnych bibliotekach nic nie znalazłem, oprócz zbioru artykułów red. Stefanowicza o włoskiej chadecji. Musiało to wystarczyć. O wiele ważniejsze były prawne aspekty naszej inicjatywy. Otóż wtedy po raz pierwszy musieliśmy się zmierzyć z problemem legalizmu nowej partii. Z naszej analizy prawnej wynikało, że każda nowa partia nie musi mieć zgody żadnej władzy. To było najważniejsze. Legalizm. W późniejszych czasach tezę tę, jako własną, głosił Leszek Moczulski uważając się za jej autora, kreując się na twórcę pomysłu, który rzekomo wykorzystał przy powołaniu KPN-u. Prawda była inna.

Czyli jaka?

W 1977 roku to my przy próbie powołania partii chadeckiej pracowaliśmy wariant legalizmu, który zrealizowaliśmy przy powołaniu KPN-u. Dowód na potwierdzenie naszego stwierdzenia jest dowodem materialnym i znajduje się w moich teczkach IPN-u. Lepszego i pewniejszego dowodu nie potrzeba. Otóż pierwsze zebranie organizacyjne odbyło się 27 stycznia w moim mieszkaniu na Stegnach. Wśród obecnych był także Tadeusz Swat który wyposażony przez SB w specjalny

mały magnetofon nagrał całe nasze obrady, które następnie zostały spisane i są na karcie nr 113 moich teczek. Jak widać i z kapusiów może być pożytek. Mówię dlatego o tym podczas tego wywiadu dla zachowania prawdy historycznej. Chyba także tutaj jest po raz pierwszy ujawniana idea powołania partii politycznej, która wyprzedzała powstanie KPN. Dla zachowania czystości historycznej muszę przypomnieć, że o naszej idei lojalnie uprzedziliśmy Leszka Moczulskiego. W rozmowie z Romkiem i ze mną był wyraźnie zaskoczony naszą ideą. Można powiedzieć, że próbował nam wylać na głowy kubel zimnej wody. Po pierwsze stwierdził, że jak można powoływać chadecję w kraju, gdzie 90% populacji jest katolikami. Po drugie nigdy nie dostaniemy poparcia polskiego Episkopatu. Pomimo zastrzeżeń Leszka doprowadziliśmy do pierwszego zebrania. Niestety drugie już się nie odbyło. W kwietniu odbyła się moja rozmowa z Reiffem. Czy wiedział on o naszej inicjatywie politycznej nie wiem do dzisiaj. Było oczywiste, że nie mamy możliwości przejęcia PAX-u i że pozostaje nam drugi wariant, czyli rozbitcie organizacji. Telefonicznie umówiliśmy się u Maćka Pstrąga w Poznaniu. Już na dworcu zobaczyliśmy, że jesteśmy inwigilowani i że ubecy robią nam zdjęcia. Nie sądziliśmy, żeby groziło nam aresztowanie, ale trochę emocji było. Potwierdziliśmy, że bez walki się nie poddamy. Niestety okazało się to wielkim niewypałem. Bo gdy ja poszedłem na pierwszy ogień i zgodnie z ustaleniami nie złożyłem rezygnacji, a odwołałem się do swoich wyborców, z którymi byłem zaprzyjaźniony, doznałem pierwszej klęski, którą pamiętam do dziś. Jako młody człowiek nie wziąłem pod uwagę że większość moich członków to ludzie zatrudnieni w PAX-ie, że dla nich poparcie mnie oznaczać będzie utratę pracy. Był kwiecień 1978 roku i odwaga wtedy była szaleństwem. Cóż, ja musiałem to zrobić i podałem się do dymisji – zrezygnowałem z pracy w PAX-ie. Niestety druga klęska spotkała mnie od moich organizacyjnych kolegów, z których nikt nawet nie spróbował iść moim śladem, pomimo wcześniejszych zobowiązań. Można powiedzieć, że zostałem sam ze swoimi problemami. Gwoli prawdy szef PAX-u, Bolesław Piasecki, nie pozwolił mnie skrzywdzić. Moja postawa musiała mu się podobać, bo jeszcze po kilku miesiącach

przychodziły do mnie listy z propozycjami pozostania w organizacji z pensją 6000 zł. Byłem konsekwentny – nie po to zrobiłem, to co zrobiłem, aby teraz się sprzedawać. Jak czytam swoje teczki z IPN to jednak jest miłe, że moja jakże krótka działalność w PAX-ie tak była wysoko oceniana, zarówno przez moich szefów, jak i przez SB.

Rozumiem, że mimo tych wydarzeń nie żałujesz powziętej decyzji i nie uznajesz jej teraz np. za błąd?

Oczywiście, że nie. W moim życiu skończył się etap pracy, jedynej mojej pracy w PRL-u. Już do końca istnienia PRL nie pracowałem. Za to blisko cztery lata spędziłem w więzieniu. I myślę, że chociaż częściowo odpowiedziałem na twoje podstawowe pytanie zadane na początku wywiadu. Ktoś to musiał zrobić i może dlatego „brudny paluch losu” wskazał – to ten.

Jak doszło do powstania i założenia KPN-u? Jakie były jej struktury, budowa, założenia?

W 1975 roku Gierek zrobił reformę administracyjną tworząc 49 województw. Dzięki temu i w PAX-ie trzeba było zagospodarować nowe struktury. Kilku młodych takich, jak ja czy Romek Szeremietiew otrzymało szansę bycia szefami struktur wojewódzkich. Byliśmy intelektualnie i organizacyjnie sprawni: to wyszło przy tym, co robiliśmy, jako jedni z niewielu w wieku dwudziestu, trzydziestu kilku lat mieliśmy samodzielne jednostki terytorialne, za które odpowiadaliśmy. Musieliśmy stworzyć zarówno zespoły ludzkie, jak i pilnować finansów, mieliśmy własne budżety, mieliśmy po prostu doświadczenie, które mało kto wtedy miał. Po intensywnej pracy organizacyjnej w pierwszym okresie w naturalny sposób stanęły przed nami problemy ideowe i polityczne, gdyż idee PAX-u były dla nas niewystarczające. Spotykaliśmy się w kilka osób właściwie tworząc wewnątrz organizacji konspirację pokoleniową. Od kwietnia 1977 roku wydawałem w Siedlcach „Przegląd” przepisywany przez moją sekretarkę na maszynie. W sumie ukazało się cztery numery w nakładzie 30–40 stronicowym. Była to jedna z pierwszych

tego typu inicjatyw – bardzo wysoko oceniał ich poziom Leszek Moczulski. Także w tym okresie rozpoczęliśmy prace nad stworzeniem na gruzach PAX-u partii politycznej. Mało kto wie, że istniała taka inicjatywa w styczniu 1978 roku, mamy jako dowód, że to była pierwsza próba przed KPN w postaci nagrania, jakiego dokonał na tajnym magnetofonie jeden z uczestników spotkania u mnie w domu. Był to Tadeusz Swat z Płocka, czyli TW „Tadeusz” i „Krzyżak”. Jak widać i kapusie do czegoś się przydawali i ten dokument wyraźnie pokazuje, dlaczego przy powołaniu KPN-u byliśmy dobrze przygotowani. Trzeba tu od razu powiedzieć, że gdy o naszej inicjatywie powiedzieliśmy Moczulskiemu „oblań nas zimną wodą” twierdząc ku naszemu zdziwieniu, że nie dostaniemy poparcia ze strony episkopatu i że nie robi się partii chadeckiej w kraju gdzie 90 proc. jest katolikami. W tym okresie, jako jedyny chyba w kraju zajmowałem się problemem Rosji, uważając, że to Rosja jest naszym głównym wrogiem i jest naszym najważniejszym problemem. Wiedza o problemach Rosji, którą w formie artykułu umieściłem w 2 numerze „Drogi”, jako jedyny z całej opozycji, pozwoliła mi spokojnie czekać na upadek rodzimej komuny, co według mnie z powodu braku możliwości czynnego działania ZSRR było kwestią czasu. Jak się okazało, trzeba było 10 lat aby to się sprawdziło. Po tych moich wyjazdach i szkoleniach na temat tego, czy Sowieci są w stanie wkroczyć do Polski, czy nie, w ramach PAX-u, no i już wiadomo było, że zaczęło się obserwowanie nas, czyli całej tej grupy młodych podobnych do mnie, ale może nie tak dynamicznie działających. „Zajmowanie się” Rosją było tylko w Siedlcach, no i jakby przez to, że mieszkalem w Warszawie, to też „centrum” ciążyło do Warszawy. W kwietniu wezwał mnie wiceszef, Reiff i rzucił mi przed nos „Przegląd”, co dla nas było z jednej strony szokiem, bo tego pisma było wydrukowanych 16 albo 24 egzemplarzy, więc ktoś z tych ludzi był kapusiem. Reiff dostał to z Płocka od Stanisława Kani, I sekretarza, szefa bezpieczeństwa. Moje dni w PAX-ie były policzone. No, a jeżeli moje to i też, można powiedzieć, całego zespołu 5–7 przewodniczących oddziałów – z Gorzowa, Konina, Płocka, Łomży. Było wiadomo, że Centrala wie o inicjatywie, wie o aktywności, wie, czym jej to grozi.

No i w tej rozmowie z Reiffem już wiadomo było, że jestem na straconej pozycji – po prostu do wyrzucenia. Zwołaliśmy w trybie nagłym całą grupę inicjatywną, która była przy robieniu partii i spotkaliśmy się w Poznaniu, bo część ludzi była z Gorzowa. To był Romek Szeremietiew, Tadeusz Jandziszak – „Pablo”. Ustaliliśmy, że spotkamy się w Poznaniu i po wyjściu z peronu zobaczyłem, że facet stoi z taką małą portmoneką w kształcie podkówki na brzuchu i naciska na nią robiąc zdjęcia. Wtedy ważniejsze od tego, że bezpieka nas pilnuje było coś innego, co ustaliliśmy w Poznaniu w mieszkaniu Macieja Pstrąga Bieleńskiego, że idziemy na wojnę tzn. każda próba odwołania kogokolwiek z nas powoduje reakcję pozostałych i wszyscy wychodzimy demonstracyjnie i robimy własną organizację. Moje odwołanie odbyło się w ten sposób, że już wcześniej w centrali powiedziałem, że ja się absolutnie nie zgadzam na rezygnację, że nie centrala mnie mianowała, ale zostałem wybrany głosami członków i jak chcą to możemy odwołać się do wyborców, czyli członków organizacji wojewódzkiej w Siedlcach, licząc, że pozostali koledzy zrobią to samo. To wszystko działo się w kwietniu, Reiff zwołał zebranie do Siedlec – zarządu, bo to zarząd jest władny w tych etapach wyborczych, no i przejechał się tam po mnie porządnie, bo ja tam byłem jeszcze jako gospodarz. Miałem 30 lat. Zostałem usunięty. W wieku 30 lat to człowiek jeszcze się tak nie przejmuje, tym bardziej, że jest przekonany o słuszności tego, co robi. No i stało się tak, że musiałem oddać to województwo, czyli straciłem apanaże, sekretariat, samochód służbowy, kontrolę, władzę, ale takie było założenie, że idziemy dalej. Ja poniosłem w tych Siedlcach porażkę, mam nauczkę do dnia dzisiejszego, bo ja z wieloma tymi ludźmi byłem autentycznie zaprzyjaźniony. I oni w trakcie tego głosowania byli przeciwko mnie.

Czyli to był taki pierwszy poważny zawód na ludziach, z którymi się współpracuje?

Tak i dopiero potem zacząłem sam ich rozgrzeszać. To byli w większości pracownicy INCO albo etatowi pracownicy PAX-u. I tak jak ja mogłem z dnia na dzień odejść, bo uważałem, że trzeba to zrobić,

tn. się postawić, to oni nie byli w stanie tego zrobić. Dzisiaj wiem z moich teczek, że bezpieka zaczęła mnie rozpracowywać w grudniu 1977 roku, gdzie nadano mi kryptonim „Mecenas”, natomiast w tym samym okresie zaczęto też rozpracowywać 3 osoby, które w PAX-ie były znaczące: Stanisław Oleksiak – prezes Światowego Związku Żołnierzy AK; Ryszard Jednorowski, aktualnie jeden z szefów Stowarzyszenia Fundacji; Janusz Sikorski, który został szefem Spółdzielni PAX-owskiej. W Siedlcach istniała szansa, że jako szef mogłem wysyłać ludzi na studia. I ja wysłałem w 1976 roku na studia 4 czy 5 osób, firma płaciła za te studia, za tzw. „sołtysówki” – 3-letnie studia administracji i zarządzania. Złożyłem rezygnację z członkostwa i z funkcji, natomiast ci moi pozostali koledzy, którzy mieli zrobić to samo tego nie zrobili i zostali w PAX-ie. Między innymi został Romek Szeremietiew, jeszcze 1,5 roku zatrudniony w Instytucie PAX-owskim – tym literackim. A ja zacząłem sobie szukać miejsca w życiu.

Czy traktując to jako porażkę, dziś zrobiłbyś coś inaczej? Czy to był błąd w Twojej ocenie?

Nie. W wieku 30 lat to po pierwsze człowiek jest po prostu młody, a po drugie, to był normalny błąd, który mógł się przytrafić każdemu, bo łatwiej było objąć problem rosyjski, niż obręb psychologii ludzi. A to prosta sprawa. Dzisiaj bym wiedział, mając po drodze kilka firm i instytucji, którymi kierowałem, jak ludzie reagują. Wtedy nie przewidziałem, jak ludzie zareagują, uważałem, że przyjaźń i więź ideowa są ważniejsze. Nie było na to niestety szans. Władze PAX-u mnie usunęły, natomiast wkroczył Piasecki, który zaczął mnie bronić. Dostałem propozycję zostania w PAX-ie, ale ponieważ była zasada, że odchodzimy z kolegami i robimy własną inicjatywę polityczną to ja konsekwentnie odszedłem, mimo wielu jeszcze prób pozostawienia mnie. Myślę, że Piasecki doceniał mimo wszystko to, co zrobiłem w tych Siedlcach, bo to było na skalę PAX-u duże moje osiągnięcie. W każdym razie ja odszedłem, a moi koledzy zostali, w związku z tym nie miałem zaplecza. Cały czas w orbicie był Leszek Moczulski. Ja Leszka Moczulskiego spotkałem

w 1977 roku w czasie mojego obozu w Serwach, który prowadziłem dla młodzieży z Siedlec. Przywiózł go Romuald Szeremietiew. Nie zrobił wrażenia, nie miał referatu ideowego, nie miał referatu prognozującego, nie miał referatu taktycznego. Pływaliśmy po prostu na żaglówce „Omega”. Szeremietiew był w tym czasie w nn (nurcie niepodległościowym), nie ujawniał tego, bo to było zakonspirowane. Wyszło dopiero na procesie (proces I kierownictwa KPN). On był w tym nn od 1973 roku i współpracował ściśle, czyli od momentu wydania przez Moczulskiego książki „Wojna polska” i na tej zasadzie Szeremietiew odnalazł Moczulskiego, zaczęli się spotykać, zrobili nn. Na tej również zasadzie po tym obozie Romek przywiózł do mnie Moczulskiego na Stegny, gdzie wtedy mieszkałem. Zaczął często przyjeżdżać: widać było, że odpoczywa w tym domu, no i graliśmy też w szachy. Wynik był tak „fifty-fifty”. Ja wtedy pomagałem mu załatwiać papier i materiały do druku dla ROP-CiO w latach 1977–1978. Jest to w aktach. Jeden z tych TW „Mariusz” pisał, że my popieramy KOR, jemu się myliło, nie wiedział zbytnio, co to jest ROPCiO. Inny TW, których wielu było w tym okresie wewnątrz PAX-u, zatrudniony był jako kierownik administracyjny, który donosił w czasach Tygodnika Powszechnego 1946-47, z piękną kartą WIN-owską w Krakowie na biskupa Karola Wojtyłę. Potem donosił na mnie jako TW „Pióro”. Znalazłem jego pseudonim i mogę być dumny, że miałem wspólnego kapusia z papieżem! To jest nobilitacja! Moczulski przyjeżdżał coraz częściej na Stegny, bardzo skromny, bardzo dużo palący, z bardzo złym uzębieniem, źle ubrany: spodnie odry, koszulka z wypaloną dziurą po papierosie na brzuchu. Zasada była, że zaczęliśmy coraz częściej gadać o polityce, a ja nie jeżdżę do niego, żeby nie przyciągać „ogonów”. I ta więź z Moczulskim zaczęła rosnąć przy tych szachach, polityce, ROPCiO, które było już w dezintegracji. W 1978 roku na wiosnę uaktywnił się Szeremietiew i zrobił konferencję prasową na temat ROPCiO w Warszawie. Ja w międzyczasie zebrałem gremia swoich przyjaciół i zaczęliśmy robić interesy, np. szycie ubrań, takich spódniczek w szkocką kratę.

No bo przecież trzeba było się też z czegoś utrzymać.

Żona, co prawda, była w ministerstwie i źle nie zarabiała, ale już, zawsze to głupio. I tak doszło do daty krytycznej. Datą krytyczną w historii Polski, polskiej opozycji i nas wszystkich z formacji niepodległościowej był 17 kwietnia 1979 rok. W tym dniu w Nowej Hucie próbowano wysadzić pomnik Lenina. Później Leszek twierdził, że to ludzie z KPN-u ze Śląska chcieli tego Lenina rozwalić. Tam błąd był polegający na tym, że dwa lonty, które były i dwie spłonki i dwa ładunki nie miały połączonego czynnika wybuchu, czyli spłonki, ale tylko spłonki mieli górnicze, bo to zresztą górnicy byli. Jeden przyznał się, że to on zrobił; w pierwszym rzucie to nogę temu pomnikowi wyrwało i to wybuch spowodował, że ta druga się ostała wyrzucona siłą podmuchu. Ładunek wyleciał, jedną nogę mu tylko wyrwało, właśnie 17 kwietnia 1979 roku i oni potem przez kilka dni, bo to Breżniew miał przyjechać do Nowej Huty, sklejali mu tę nogę. Testem dla wszystkich opozycjonistów jest 18 kwietnia 1979 roku – pytanie zasadnicze, czy miał ten ktoś rewizję, dlatego, że tak to wściekło „czerwonych”, że on wszystkie informacje, jakie mieli, wykorzystali i zrobili około 200 rewizji w całym kraju, czyli z naszej strony patrząc ujawnili swoje zasoby wiedzy o ludziach. I w ten sposób 18 kwietnia przyszli do mnie. Wtedy oni przyszli do Leszka, u Leszka były już wtedy rewizje, do Romka, do mnie i do ludzi, którzy byli związani z ruchem. I ponieważ my mieliśmy gotową koncepcję partii chadeckiej, założenia prawne, ideowe to po 18 kwietnia 1979 roku Romek stwierdził, że został przekroczony pewien próg dekonspiracji. ROPCiO stracił już wtedy swoją dynamikę i był już wewnętrznie skłócony także i przez bezpieczeńkę, która tam miała agentów wpływu, no to my z Romkiem ustaliliśmy, że startujemy i poprosiliśmy Leszka na rozmowę. Rozmowa odbyła się u mnie na Stegnach na XII piętrze. Powiedzieliśmy Leszkowi od razu, że my się decydujemy i zakładamy partię polityczną i tu się zaczęła pierwsza zapora, bo Leszek tego nie chciał. Według niego było za wcześnie na partię polityczną, że raczej powinniśmy włączyć się w ROPCiO i wzmocnić go. My czuliśmy zaś, że ROPCiO jest już tak wielkie i skłócone, że nie jest do obrony, że wejdziemy w konflikty per-

sonalne, kłótnie o agenturalność i pieniądze i że będziemy w „bagnie”. I ta zasada, którą ja później sformułowałem to zasada „strzały”, tzn., że w momencie, że jest jakiś duży „smród”, to nie należy wchodzić w to, ale uciekać do przodu, tak, jak właśnie strzała. Rozmowa miała bardzo ostry przebieg, dlatego, że po jakimś czasie, Leszek próbował nas do tego ROPCiO namówić. Mówił, że w ROPCiO ma całą grupę PAX-owców, że to bardzo wysoki poziom intelektualny, bo tak było rzeczywiście – rekomendował, że to jego grupa. Po 20 minutach stwierdziliśmy zgodnie z Romkiem, że jeśli Leszek nie chce, to zrobimy tę partię bez niego. I on zaczął się tu wycofywać. Propozycja nasza była dla niego, żeby to on objął przewodnictwo, dlatego, że 2 dni wcześniej rozważaliśmy też inną alternatywę, bo Moczulski nie był jedyną alternatywą. Drugą alternatywą był Andrzej Czuma, Wojtko Ziemińskiego nie braliśmy wtedy pod uwagę. Ale wtedy zdecydował Romek Szeremietiew, który mówił, że Czuma ma to, co my, czyli dobrą organizację, zdolności organizacyjne, natomiast nam potrzeba ideologa, który będzie prezentował nasze i moje koncepcje. I to zdecydowało, że 3-go maja 1979 roku ofertę złożyliśmy Moczulskiemu. Wykluczaliśmy absolutnie wspieranie ROPCiO, ja nic nie wiedziałem o nn, a nasza koncepcją było sformułowanie, że głównym wrogiem jest Rosja, a kiedy Rosja nie może działać, to bijemy się z naszymi czerwonymi, a z czerwonymi to my sobie damy radę w Polsce. Natomiast, żeby to zacząć to nie możemy założyć ruchu obrony ani jakiejś enigmatycznej organizacji, ale scentralizowaną organizację polityczną, jaką jest tylko partia. Wobec sytuacji, że nie było podziemnych czy jawnych partii opozycyjnych stwierdziliśmy, że ta partia będzie jawna, bo żeśmy już to rozpracowali rok wcześniej przy zakładaniu partii chadeckiej. Strukturalnie, mentalnie byliśmy przygotowani, a fakt, że bezpieczeństwa o nas wie, utwierdziła nas tylko w przekonaniu, że jak spadać to z wysokiego konia. Po 20 minutach Moczulski załamał się i zgodził. Zaproponował nazwę „Obóz Polski Niepodległej”. Ja zaproponowałem „Konfederację”, bo „Obóz” wydawał mi się endecką nazwą, a Polacy zawsze w stanach zagrożenia przeciw konfederacje zawiązywali. Nazwa „Konfederacja Polski Niepodległej” została 3 maja zatwierdzona przez

Leszka i Romka, chociaż zakładaliśmy, że nazwą partii będzie wówczas PPN, ale taką partię dopiero jednak w 1985 roku założyliśmy. Romek wtedy stwierdził, że jest to „Polskie Porozumienie Niepodległościowe”, więc odstąpiliśmy od tej nazwy, żeby nie wchodzić w niczyje „buty” i aby nie być posądzonym o prowokację czy podejrzenie o ubeckie inicjatywy. Więc nazwę „Konfederacji” przypisuję sobie na zasadzie trafionego strzału. I od tego momentu zaczęliśmy przygotowywać partię polityczną. Były tej partii 2 wizje: raz – żeby to zrobić na zasadzie skonfederowanych grup politycznych, a ja dążyłem, żeby zrobić partię scentralizowaną. Z natury rzeczy każda partia powinna być scentralizowana, nie chcę powiedzieć typu bolszewickiego, ale to cytowałem często w tamtym okresie, że partia jest po to, żeby osiągnąć władzę i żeby zrealizować cele partii poprzez członków, którzy tam płacą składki i są posłuszni partii, bo to jest ta „definicja leninowska”. Ale nie udało się, dlatego, że z tego całego zespołu, który tworzył konfederację, jakby część była pod wpływem naszym, można powiedzieć, czyli tej formacji i była formuła ludzi od Leszka z Krakowa, gdzie był tzw. „Związek Socjalistów Polskich” Krzysztofa Gąsiorowskiego, jak się okazało później TW. I oni strasznie parli, że jest partia, ale są grupy skonfederowane i Leszek szedł w tym kierunku. Natomiast my założyliśmy naszą grupę podlaską ludową na bazie NSZ związaną ze mną i Zygmuntem Goławskim, żeby pokazać też ruch chadecki. „Pablo” Jandziszak i Romek założyli „Polski Związek Katolicki”. Na Dolnym Śląsku ta grupa była jako kontynuacja tej naszej „chadeckości”. Ja do KPN przystąpiłem jako członek bez żadnej grupy skonfederowanej, bo chciałem być konsekwentny i uważałem, że to powinno być właśnie na zasadzie scentralizowanej. Ale nie udało się. Skład kierownictwa był 3-osobowy tzn. Leszek jako szef, Romek od zadań ideowych, no i ja jako organizator. Latem 1979 roku zorganizowaliśmy obóz nad Zegrzem. Tam uczestnikiem był Apolinary Wilk – TW. W moich teczkach zachowało się jego sprawozdanie z tego obozu, jako TW „Zenon”. On raportuje, że dwóch ludzi dążyło do powołania partii – Stański i Szeremietiew. Pływaliśmy na „Omedze” sportowej i tam omawialiśmy plany powoływania partii. Przyjeżdżali ludzie z „Ruchu Młó-

dej Polski”, ludzie z Krakowa, do dziś związani z nami. Ludzie, którzy nie zaakceptowali wiarygodności Moczulskiego i wyjechali. Nie skonfederowali się. Dopiero przystąpili do nas do PPN. Do dziś w fundacji wszystko razem robimy. Przewodził tej grupie Marian Banaś. On zawsze wspomina, że wiarygodność, nierealność polityczna, a realność psychologiczna Moczulskiego była na dość niskim poziomie, bo bardzo się zapadał, „błądził w obłokach”. Mało tam było konkretów. Ta grupa krakowska wyjechała. Ale był inny mój kolega, Wiesław Wysocki, obecnie profesor, który też był tam na tym obozie i też do KPN się nie załapał na tej zasadzie. Ten obóz jest o tyle ważny, że potwierdza informację, że dążenie do powołania partii to było działanie Szeremietiewa i Stańskiego. Potem był 1 września, a 1 września, jak było to wszyscy wiedzą. Jest taka ciekawostka, gdzie nie jest nigdzie opisana, dlatego, że na 3 września przewidywaliśmy konferencję prasową. A Moczulski dalej chodził w „odrach”, sandałach i białej bluzeczce z wypaloną dziurą po papierosie. Ale przed powołaniem KPN pewnego dnia przyjechał i powiedział, że rzucił palenie, a palił 2 paczki dziennie „sportów”! Bardzo dużo palił. Mi to zaimponowało, że jednak potrafi taką decyzję podjąć i rzucił te papierosy. I więcej go z tymi papierosami nie widziałem.

To prawdziwa siła charakteru.!

Tak, chapeau bas. Ale ustaliliśmy z moją żoną, Alą, że trzeba go ubrać na tę konferencję prasową. I w piątek poszliśmy do Domów Centrum i wybraliśmy mu garnitur. Ala ustaliła, że będzie mu dobrze w niebieskiej koszuli. W tym garniturze występował jeszcze w Sejmie, taki jasny garnitur.

Ach, to ten jasny garnitur, pamiętam z któregoś zdjęcia.

Tak, jasny garnitur, bo był sierpień. Ciepło było wtedy. W tę sobotę miała być msza z okazji 1 września w kościele Św. Krzyża. I to było ustalone przeze mnie jako ostatni punkt rezerwowy. I byliśmy umówieni, że jeszcze kupimy mu buty i że o godzinie 16-tej przyjedziemy jeszcze do tego kościoła. No i minęła 15, 16 i ja dzwonię i odebrała Elka (Elżbieta

Król), pasierbica i mówi: „a u nas jest rewizja” i nas rozłączyli. Część z tych (ważniejszych osób), co przychodzili na Jaracza funkcjonariusze SB wywozili od razu do Pałacu Mostowskich, a część na dworce i wysyłała z powrotem do Wrocławia czy Lublina. Ja poszedłem do kościoła, tam był m.in. Andrzej Szomański, Stefan Melak, który był później szefem mojej struktury warszawskiej. Powiedziałem im, że jest „kocioł” u Leszka i że wszystko idzie dalej zgodnie z planem. Całe moje przygotowania organizacyjne polegały na tym, że ja musiałem uruchomić moje tajne struktury, gdzie ja nie dopuszczałem nikogo, nawet Leszka, a zwłaszcza ludzi, których on przyprowadził z ROPCiO, którzy byli TW, jak dzisiaj się okazało. Moczulski przyprowadził trzech ludzi ze sobą z ROPCiO, TW. Stąd tak dużo jest TW wśród przedstawicieli kierownictwa.

Właśnie to był duży problem, ale przecież nie tylko KPN-u.

Z moich obliczeń 30–50% to byli TW; na 50 założycieli 25 było prawdopodobnie TW. Wracając do 1 września 1979 roku wszystko szło zgodnie z planem i nam było potrzebne to, żeby nas zamknęli, bo wysłaliśmy informacje do Londynu – zawiadomienie o powstaniu KPN, a ja, jako organizacyjny poprzez swoje struktury, które jeszcze nigdy nie zostały wykryte przez cały stan wojenny, np. w Mińsku, czy moje grupy po PAX-ie – to oni mieli wydrukowane ulotki i te ulotki rozrzućli w czasie manifestacji. Ja 1 wrześniu pojechałem w garniturze na Jaracza i oczywiście późniejszy minister Anklewicz (oficer SB, Andrzej Anklewicz) powiedział: „O! Pan Stański, prosimy”. Zawieźli mnie na Pałac Mostowskich i na rewizję do mojego domu. Tam się przebrałem w ciuchy bardziej pasujące do więzienia. 1 września liczyliśmy na 48 h, ale nie przewidywaliśmy, że oni dadzą nam sankcje. Ze względu na to, co nazwalismy legalizmem KPN-u, wiedzieliśmy, że sytuacja jest już po „Helsinkiach” (konferencja OBWE w 1975 roku), po ratyfikacji Praw Człowieka i Obywatela, a Gierek kokietuje zachód, potrzebuje kredytów, więc wsadzać ludzi do więzienia, to tak jakoś niezręcznie, a w ogóle, że nie wolno zakładać partii politycznych, to już w ogóle głupota jakaś wychodziła. My wykorzystaliśmy absolutną lukę prawną, absolutną niemożność po-

litycznego działania przez bezpieczeństwo i przez władzę, przy czym bezpieczeństwo, jak każda policja jest do realizacji, ale decyzji politycznych i tych decyzji politycznych ostrych nie spodziewaliśmy się i mieliśmy rację, bo nic nas nie spotkało. Wsadzili nas: Romka i Leszka na noc, a mnie następnego dnia i o 23 w nocy przyszedł „klawisz” i kazał się pakować i wyrzucili mnie z więzienia. W nocy się zaczęło, bo wszyscy, co nie zostali wyrzuceni to wracali na Jaracza. Zrobiliśmy I posiedzenie Rady Politycznej. Statut był już przygotowany. Statut przygotował Leszek, o ile pamiętam. Deklarację również napisał Leszek i deklaracje o przystąpieniu do KPN złożył w nocy Wojtek Szostak z Łodzi, syn pułkownika Szostaka, pięknej postaci z powstania warszawskiego i później z walk z komuną. Leszek zapytał, czy go przyjąć na członka, ja zaproponowałem, żeby przypisać do założycieli, stąd różna liczba założycieli. Poza tym niektórzy zaczęli się wycofywać. Pierwsza wycofała się literatka z Powiśla współpracująca z Moczulskim, pani Chylińska. Byłem przy tej rozmowie, nieprzyjemna była ta rozmowa, bo ona zabroniła używać swojego nazwiska. Niektórzy występowali pod pseudonimami, jak Zygmunt Goławski, Andrzej Szomański, Stefan Kurowski – profesor.

Jaki był powód tej rezygnacji?

Naciski bezpieczeństwa. Pani Chylińska nie dała się przekonać i jej nazwiska nigdy już nie było. Rozmowa była nieprzyjemna, bo Moczulski też uniósł się, że co ona mu tu mówi o wolności i niepodległości, skoro on był aresztowany i miał połamane żebra w Pałacu Mostowskim. Ja się wtedy pierwszy raz dowiedziałem, że on został aresztowany i taka jego reakcja. Do dziś zastanawiam się, na ile to był z jego strony „teatr”, a na ile to było spontaniczne. Do dziś nie umiem na to odpowiedzieć, a mogło być i to, i to.

Jakie działania zostały podjęte później?

Ja zostałem szefem organizacyjnym i szefem obszaru nr I. Zrobiliśmy 4 obszary. Obszar centralny z Warszawą, obszar II – Kraków (Krzysztof Gąsiorowski, TW), III – Wrocław („Pablo” – Tadeusz Jandziszak), IV –

Szczecin, Wybrzeże, który prowadził Nowak, TW (jak się później okazało). Zaczęła się normalna działalność – zrobiliśmy, wydrukowaliśmy legitymacje – to był pomysł Leszka kodowanie tych legitymacji. Polegał na tym, że pierwsza liczba była cyfrą obszaru, druga liczba była przypisana ludziom mającym prawo wydawania legitymacji, np. ja miałem w Warszawie w okręgu centralnym nr 1, a później pięć cyfr było dowolnych. „1” znaczyło, że legitymacja jest wydawana przeze mnie i ja musiałem ją weryfikować. Ja przyjmowałem ludzi i wystawiałem legitymacje, taki był pomysł. Na początku było nas bardzo mało. Ta numeracja została wzięta z kodowania książeczek żeglarskich, ale o tym dowiedziałem się dopiero w latach 90. To jest prawdopodobne, bo Moczulski był żeglarzem. Bardzo szybko Nina Milewska przywiozła znaczki z Gdańska. My te znaczki zaczęliśmy nosić między innymi na procesach i za to zaczęli nam robić kolegia. 17 września jadąc ze Stegien na murze ambasady ZSRR był olbrzymi napis:” 17 września pamiętamy!”. Na mnie to zrobiło wrażenie i zaimponowało mi to, to miało miejsce oczywiście blisko ambasady sowieckiej – udany to był „mały sabotaż”. I mówię do Leszka o tym napisie i że my też musimy coś takiego robić: do moich zadań należało zrobienie młodzieżówki. I wtedy Leszek usiadł przy biurku i do napisu KPN dorysował znak kotwicy, jako nawiązanie do PW (Polski Walczącej). To poszło też na znaczki.

Trzeba przyznać, że to bardzo udany znaczek.

16 stycznia była, o ile pamiętam, I-sza rada polityczna, dotyczyła spraw statutowych typu np. jaki kolor. Ja zaproponowałem niebieski, bo reszta kolorów czerwony, czarny, biały były już zajęte. Dlatego w statucie jest kolor niebieski jako kolor organizacyjny. Na 17 września zrobiliśmy I-szą rezolucję dotyczącą deportacji – w związku z wkroczeniem Rosji w dniu 17.09.1939 roku. I-sza rezolucja dotyczy wojny polsko-rosyjskiej. W międzyczasie wydawaliśmy broszurę programową i ideową – czyli były legitymacje, członkostwo, były znaczki, był symbol KPN. Ale naboru i parcia na struktury dużego nie było. To nie było takie proste. Ludzie, którzy przychodzili, jak bracia Rosowie, od razu byli namierzani

i ja wtedy wprowadziłem taką zasadę, że jak ktoś już wpada to przechodzi do jawnej struktury. Leszek nie dbał o bezpieczeństwo ludzi. Ja natomiast starałem się jak najdłużej trzymać tych ludzi poza bezpieczeństwem w konspiracji. Stąd nie chciałem, żeby przychodzili do biura, bo tu było najłatwiej o „ogon”, dlatego ja pisałem pierwszą instrukcję jako prawnik, o tym, jak się zachowywać w razie kontaktu. Najważniejsza zasada: nie rozmawiać! Bo jak zaczniesz gadać to zaczną cię męczyć: przesłuchanie, 48 h... itd.

Jakie działania podjęli inni?

Leszek w tym czasie pisał „Rewolucję bez rewolucji”. Pisał to na przełomie zimy i wiosny. Pisał to na karteczkach, „maczkami”, na moich oczach, jak zawodowy dziennikarz. Ja miałem zakonspirowaną grupę mińską, oni przechowali kasety z nagraniami z procesu (proces I kierownictwa KPN). Leszek, jak typowy przywódca, nie cenił ludzi – ich bezpieczeństwa, żeby przechodzić do struktur jawnych w razie wykrycia. Nie dbał o to, bo zawsze przenosił zdobycie nowej grupy nad utratą starej. Dla grup młodzieżowych to było bardzo niebezpieczne, bo groziło im za to wyrzucenie ze szkoły. Były dziewczyny, bardzo bojowe – Jarka i Bożena z Liceum Pedagogicznego. Takich ludzi starałem się chronić. Szef młodzieżówki – Leszek Krajewski – wpadł bardzo wcześniej, przez Moczulskiego wpadł, mówi o tym w swojej książce „KPN”. Dał mi nawet 10 egzemplarzy tej książki, ale każdy, kto przychodzi to bierze, no to ma już po prostu pamiątkę o mnie, bo książka jest z dedykacją dla mnie. Czego ich uczyłem? – patriotyzmu ich uczyłem. To ważne jest, żeby pokazać, że to naprawdę myśmy robili, bo to wiesz, żeby teraz nikt nie zarzucił, jak z tymi powstańcami, że to sami bohaterowie. Tych bohaterów było wtedy bardzo mało, nie ma co ukrywać...

Ale te struktury, rozumiem, w jakiś sposób powiększały się jednak?

Wolno, ale powiększały się przede wszystkim przez młodzież i tę studentkę, i tę maturalną, choć formalnie przed maturą tj. przed 18 rokiem

życia nie mogli należeć, ale my żeśmy już nie wchodzili w to, wiesz... Dużo po drodze różnego rodzaju takich „lewych” ludzi się zdarzało, którzy byli przez bezpiekę nasyłani, tu były już takie próby, do celi na 48 h mnie wrzucali, dawali faceta, a on, twierdzi, że ma powielacz. To właśnie Staszak opisuje operacje ze złodziejem, który twierdzi, że ma powielacz, a my mamy w oczach to, co z Czumą zrobili, że za kradzież powielacza idzie się „siedzieć”. Potem ci ludzie spisywali tomy donosów na tej maszynie np. z rocznej działalności. Jeden tylko dostał zgodę od Kiszczaka na napisanie sprawozdania od razu na maszynie, to jedyny taki przypadek. I on napisał 12 tomów codziennych sprawozdań, bo codziennie był na Jaracza, oni byli na tzw. sekretariacie, którym ja kierowałem i to właśnie byli ludzie od Moczulskiego, on przyniósł tych wszystkich ludzi z ROPCiO. Za nim przyszli ludzie, połowa – $\frac{3}{4}$ tych agentów, dowodów nie ma, mówię o ich teczkach – po prostu łamali tych ludzi. Tych ludzi już obłamano, już byli kierowani, można powiedzieć do Moczulskiego pewnie pod takim hasłem. No bo jak na tym procesie i u niego dookoła mieli rozpracować całe to środowisko? Stąd ta koncepcja, że безпеka chciała mieć pod kontrolą środowiska niepodległościowców, a nie takich wariatów kilku, jakimi my byliśmy.

Wróćmy jednak do tego, dlaczego Moczulski został wodzem, bo to jest istotne, bo to zostało w historii przemielone, ale jak to było naprawdę, to nigdy jakby nie poszło. Otóż, zaczęło się to wszystko chyba we wrześniu 1979 roku, gdzie po powołaniu KPN-u bardzo ostry atak poszedł ze strony KOR-u. Wtedy właśnie ukazał się ten słynny materiał „Drogą podłości do niepodległości” Walca (Jan Walc, „Biuletyn Informacyjny KOR” nr 7/33, wrzesień – październik 1979 rok). Oni też zaczęli wtedy formować tezę, że Moczulski jest agentem i obok Moczulskiego zaczęli wymieniać nazwisko Gąsiorowskiego – szefa Krakowa, z tych „socjalistów pieprzonych”, jak myśmy to nazywali z Romkiem i na jednym z sekretariatów zaproponowałem przyjęcie modelu takiego, żeby dobrego imienia Moczulskiego bronić. Gąsiorowski wtedy nie był brany pod uwagę. Po prostu bronić na zasadzie takiej, jak jest u faszystów włoskich, czyli wódz ma zawsze rację: „Il Duce ha sempre ragione”. I to się

przyjęło, zaczęliśmy nazywać go „Wodzem” w kręgu sekretariatu i kilku tam osób. Normalnym jest, że zaczęło to wychodzić poza i zostało to bardzo źle przyjęte przez część środowiska, np. Romek miał bardzo duże pretensje do mnie, bo to było w ogóle nie do pomyślenia, żeby kogoś nazywać wodzem. A mi chodziło nie o samo to, że on jest tym wodzem, tylko, że należy go bronić przy tych pomówieniach – bo nikomu do głowy nie przyszło, że on jakkolwiek miał jakąś przeszłość „przechlapaną” i ewentualne kontakty z tym wszystkim. Mnie to do głowy nie przyszło, to było poza moją wyobraźnię. I najgorsze w tym wszystkim, zresztą to do dnia dzisiejszego jakoś trudno zrozumieć, po co człowiek by się dał zamykać na tyle lat w więzieniu? Po co to wszystko robił? Rdzeniem ideowo – organizacyjnym KPN-u było 7–10 osób, z czego 2 było TW z Krakowa niestety i ze Szczecina. Najgorsze to, co ja uważam z tego wszystkiego jest to, że on uwierzył, że jest wodzem i to nie przez zasługi, jakie zrobił, że walczył jak Cezar, Napoleon, czy nawet Hitler...

Czyli na zasadzie, „jeśli uważacie, że jestem wodzem to znaczy, że ja rzeczywiście nim jestem...”

...no to dobrze, to ja tą rolę będę” i to już mu dobrze wychodziło, ale źle mu wyszło w Barczewie (więzienie w Barczewie o surowym rygorze, w którym zostali osadzeni po procesie L. Moczulski, T. Stański i R. Szeremietiew). Ale to już jest ten następny etap. W każdym razie na tym pierwszym etapie w KPN-ie to najważniejsze są dwa wydarzenia polityczne. Pierwszym wydarzeniem na pewno był udział w wyborach do parlamentu – Sejmu w marcu 1980 roku. Wtedy ukazała się broszura Romka Szeremietiewa jako „Natalii Naruszewicz”, „Historia KPP” – i tam w trakcie omawiania historii KPP Romek pisze o zarzutach Stalina w stosunku do KPP, że oni nie wykorzystali sytuacji i w legalnych wyborach nie wystartowali; oni traktowali II Rzeczpospolitą jako państwo wrogie i im do głowy nie przyszło, żeby taką możliwość wykorzystać, jak im to Stalin zarzucał, to był ich błąd i jedna z przyczyn niepowodzeń, że właśnie nie startowali w wyborach w 1922 roku. Legalnej drogi nie wykorzystali, bo im do głowy to nie przyszło, ale jak dziś pamięć

tam ten fragment historii KPP, jak to w styczniu była Rada Polityczna i ja opracowałem taką koncepcję, że my jako legalna partia polityczna, żeby zaakcentować swój legalizm, swoje istnienie, ale także podmiotowość i znaczenie to powinniśmy wystartować w tych wyborach. Leszkowi Moczulskiemu od razu spodobała się ta koncepcja i powiedział że wystarczy 8-miu, bo osiem osób tworzy koło poselskie, czyli zgłaszamy 8-miu i zaczęliśmy przymierzać tych ludzi. To był mój pomysł, największy polityczny pomysł całego KPN-u.

Inspiracja z książki... ?

Tak, z tej książki Szeremietiewa, ale dla mnie jako dla prawnika to wychodziło, jako też dla organizatora, kiedy cały czas starałem się dynamizować i na członków mogliśmy czekać, natomiast cały czas mogliśmy podejmować działania, które by nas konstruowały i tworzyły jako partię polityczną, a jak partia polityczna, to i powinna konsekwencje tego, że jest nazywana partią, ponosić.

Startować w wyborach na przykład... ?

...wszystko robić, startować w wyborach i Leszek wtedy na tej radzie powiedział, że tych 8-miu trzeba wystawić, żeby było „Koło” i tych 8-miu wytypowaliśmy, ale mało tego – zrobiliśmy pierwszy ruch, czyli zaczęliśmy ich rejestrować jako kandydatów i zanim oni się zorientowali to zdaje się, że dwóch, a jeden na pewno w Lublinie zostali zarejestrowani. Potem zostali wykasowani, ale dwóch przeszło, a reszta już miała potem kłopoty, bo już oni (SB) zorientowali się.

Zorientowali się w tej całej grze?

Tak, ale im do głowy nie przyszło, że ktoś poza Frontem Jedności Narodu może jeszcze zgłaszać, a dla mnie to było normalne i logiczne, bo jeżeli jesteśmy legalni, jesteśmy partią, to i zgłaszamy kandydatów. Leszek napisał dla nich program. Wiązało się to z pewną sytuacją, bo ten program trzeba było przerzucić na Zachód i ja wymyśliłem, że próbujemy uruchomić coś, czego oni nie kontrolują. Wymyśliłem, że

bezpieka kontroluje telefony, ale nie kontroluje faksów, właściwie nie faksów, tylko dalekopisów. Dalekopis wtedy to był na Poczcie Głównej, ten nasz program był na 8-miu stronach, o ile dobrze pamiętam, no i ja wziąłem właśnie „Anioła”, czyli Staszka Rajskiego i poszliśmy z jednym egzemplarzem na ulicę Nowogrodzką na Poczta Główną. Poprosiliśmy o wysłanie tego do Kanady, do biura kanadyjskiego, do gazety, do tego człowieka, co potem startował na prezydenta Białorusi (chodzi o Aleksandra Pruszyńskiego: urodził się w 1934 roku z obwodzie grodzieńskim; do 1992 roku mieszkał w Kanadzie; po upadku Związku Radzieckiego podjął starania o odzyskanie rodzinnego majątku na Grodzieńszczyźnie, próbował też zaistnieć w życiu politycznym Białorusi, min. kandydując w wyborach prezydenckich w 1994 roku). Kobieta wzięła to w okienku, ponieważ dalekopisy były w osobnym pomieszczeniu i powiedziała coś takiego, że ma w tym momencie kłopoty z dalekopisem i że mamy przyjść za godzinę, więc poszliśmy na kawę.

To jest telex czy jeszcze coś innego ?

Dalekopis to jest telex, tylko, że jego się pisało, a ona musiała przepisywać, to nie było tak, że robiła ksero, bo to już wyższa jakość była.

To już jest jakby prototyp fax-u ?

Tak, a dalekopis to ona pisała na maszynie i to przechodziło specjalnymi łączami, kanałem podwodnym prawdopodobnie pod Atlantykiem, co byłoby bardzo dobre. Jak wróciliśmy ze Staszkiem, on to opisuje, że po godzinie to już bezpieka na nas czekała i nas wzięła, zwinęła i zawieźli nas na Malczewskiego: jego do jednej celi, mnie do drugiej i wtedy właśnie był ten śmieszny przypadek, można powiedzieć, gdzie „klawisze”, gliniarze latali po wódkę dla nas. Siedziałem właśnie też z jakimś podstawionym agentem i on się pyta czy wódkę chcę, ja na to: „jak to wódkę? Na dołku? A syf?” Bo to na komendzie straszny syf był już wtedy. „No a chcesz? Masz pieniądze? No mam, tylko w depozycie mam”, a to oni biorą pieniądze za to i przynoszą, mają swoją metę gliniarze i ja mówię, „jak to, zaraz poczekaj, jak masz w depozycie pieniądze to ja

zaraz załatwię” i zastukał, ten go wypuścił, poszedł, pogadał, to była już północ, a nas zwinęli gdzieś 7:00-8:00, później zanim nas tam zawieźli, przyjeźli, to nic nie gadali. Zasada była, że nigdy już nie miałem żadnych przesłuchań, oprócz tej, co jest napisane, jak mnie pierwszy raz złapali przy Papieżu, we wspomnieniach to jest zamieszczone. Więcej nie miałem żadnej rozmowy, no i gdzieś po 1:00 „klawisz” otwiera i woła mnie, a w dyżurce 0,5 litra stoi „Bałtyckiej” to ja mówię do „klawisza”: „Pan obudzi tego mojego kolegę”, Staszek wchodzi zaspany i ja się go pytam: „Chcesz się wódki napić?” A on zaszokowany „tak i nie”... Co mówisz? Co mówisz?”. No i wypiliśmy te 0,5 litra, co mnie bawiło, bo to wiesz, ja uważałem, że to my demoralizujemy policję, znaczy tych „klawiszy”, ale zdaje się, że to oni myśleli, że to oni nas zdemoralizują, bo w pewnym momencie mówi: „Mamy trzy dziewczynki może chcecie iść?”. Taka propozycja, no to już mówię, to za daleko posunięta demoralizacja...

Ale może rzeczywiście liczyli na jakąś taką waszą głupotę?

Głupotę, tak bardzo możliwe, no bo to zrobić zdjęcia albo oskarżenia o gwałt czy coś...

...łatwo się skompromitować ...

No tak, to tak jak z tą maszyną drukarską, ale wtedy trafiliśmy i mogę opowiadać, jak to w dołku piłem gorzałę – to jest prawda historyczna, bo tak Staszek też to opisuje w swojej książce. To nie poszło, więc przesłaliśmy ten program później, ale bardziej ciekawe było OBWE, zjazd wszystkich państw komitetu Obrony Praw Człowieka po Helsinkach, wtedy też Leszek napisał tekst wielostronicowy i to poszło już przez Zbyszka Wołyńskiego przez ambasadę amerykańską prawdopodobnie, bo on miał kontakt przez Amerykanów. Wiedzieliśmy, że dotarło i to była druga inicjatywa, a najważniejsze, żeby te wybory zrobić, no i udało się, bo to szum zrobiło. Leszek w czasie procesu, bo ja nie miałem takiej informacji, powiedział dosłownie, że na biurze politycznym stała sprawa, że tu KPN zgłosił ośmiu kandydatów i Gierek miał powiedzieć: „Dzisiaj się zgodzimy na ośmiu, a w następnych wyborach

będzie 8 tysięcy”. Druga sprawa była związana z Katyniem i w kwietniu już była struktura warszawska, był mianowany Stefan Melak, który nie przychodził na Jaracza, ja się z nim na mieście widywałem i prowadził konspirację, już wtedy robił Komitet Katyński. Wcześniej w grudniu 1979 roku na rocznicę wydarzeń stoczniowych tych z 1970 roku Antek Macierewicz chciał zrobić „zadymę” tu w Warszawie i wtedy oni nas wszystkich wsadzili na sankcje, ja w grudniu 1979 roku dostałem pierwszą sankcję, Moczulski zresztą też. Opisuje tę całą historię Kuroń, który nie wiedział, że ja poszedłem przez Antka siedznię, ale Kuroń to opisuje, że Macierewicz w ramach walki z Kuroniem i z Michnikiem chciał zrobić manifestację po mszy i zadymę w Warszawie i dlatego oni profilaktycznie nas wszystkich zamknęli i dostałem sankcje po raz pierwszy w grudniu, drugą sankcję i tu już dochodzimy do czasu, kiedy zaczynają się strajki na Wybrzeżu. Pierwsze strajki wybuchły w Świdniku i w Lublinie, a zwłaszcza w Świdniku. Szefową w Lublinie bardzo aktywną była sympatyczna Teresa Koprowska, patriotka, która studiowała na KUL-u. Ona się dowiedziała, przyjechała, bo już połączenia były... w telewizji nic nie było oczywiście na ten temat, ale że Świdnik stawał, że węzeł, kolej itd. i że zaczyna też Lublin. Teresa przywiozła nam pierwszą informację o Świdniku i potem już była ta „rewolucja bez rewolucji”, która narobiła jednak szumu i ustaliliśmy, że Radę Polityczną latem w lipcu robimy w Bydgoszczy u rodziców właśnie tej Tereski. Ja akurat byłem na wczasach koło Bydgoszczy nad Notecią koło Fordonu. Ala, moja żona, pracowała w Ministerstwie Sprawiedliwości i miała te wczasy wszystkie ministerialne, one były przy ośrodkach więziennych, no to jak np. potem siedzieliśmy w Barczewie, to Barczewo miało swój ośrodek w Kikitach, w których też byłem i Ci „klawisze” tam w tym ośrodku oczywiście, bo to tanie wszystko było. Jak wtedy żeśmy zdecydowali, że robimy Radę Polityczną w Bydgoszczy u rodziców Tereski i ja z tego ośrodka znad Brdy, co tam miałem 20 km, przyjechałem i wtedy Leszek zdawał sprawozdanie, to było na początku lipca w Gdańsku i między innymi rozmawiał z Wałęsą. Tak przedstawiał to Moczulski, który tam był prowadzany przez Ruch Młodej Polski i który to (Wałęsa) nie chciał się

afiliować do KPN-u i poszedł swoją drogą. Oni doprowadzili do spotkania z Wałęsą, no i według relacji Moczulskiego Wałęsa miał powiedzieć: „No, Panie Leszek, z Panem to tak szybko, porządnie się rozmawia i nie ma kontrowersji, a z tymi KOR-owcami to ja do ładu nie mogę dojść” i zostało dokonane ustalenie, że ja w sierpniu pojedę do Wałęsy i przyjmę go w tajny sposób do KPN-u, bo wtedy był finansowany przez KOR i nie chciał tego tracić. Wtedy mi przekazano po prostu takie ustalenia. Ale sierpień 1980 roku stworzył inną rzeczywistość i nigdy nie poznałem Wałęsy. Można powiedzieć miałem szczęście. To tak dla historii.

Dziękuję za rozmowę i już umawiam się na kontynuację.

WSPOMNIENIA (1978–1979)

Data 18 kwietnia dla większości ludzi jest bez znaczenia. Dla mnie i mojej żony jest to dzień wyjątkowy, który staramy się spędzać w sposób odmienny od innych szarych dat. W 1978 roku była to już nasza ósma rocznica ślubu.

Wróciliśmy do domu około godz. 18-ej i rozpoczęliśmy przygotowania do uroczystej kolacji. Czynności te przerwał nam sąsiad, który przyszedł z wiadomością, że był u mnie kuzyn i opis kuzyna nie odpowiadał wizerunkowi nikogo z rodziny. W trakcie kolacji około godziny 19-ej usłyszeliśmy dzwonek. Przez wizjer zobaczyłem mężczyznę w białym prochowcu. Był średniego wzrostu, gruby, lat około 45 i na pewno nie był moim kuzynem. Gdy otworzyłem, jego pierwszą czynnością było włożenie nogi pomiędzy próg a drzwi. Jednocześnie zobaczyłem, że na korytarzu stoi kilku innych ludzi. Serce zabiło mi szybciej. Mężczyzna w prochowcu przedstawił się: „Jestem kapitan Grad. Mamy nakaz przeszukania pana mieszkania. Pan Tadeusz Stański?”. Wpuściłem do środka pięciu mężczyzn ubranych po cywilnemu. Zapełnili cały przedpokój. – „Będziemy mieli rewizję” – powiedziałem do Ali, a odpowiedzią były jej przerażone oczy. Zażądałem od nich okazania legitymacji i nakazu rewizji. Nakaz dli mi do ręki, natomiast legitymacją machnęli tylko przed oczami. Potrzebowałem czasu na ochłonięcie; zacząłem im robić małą awanturę o legitymacje i jednocześnie uświadamiałem sobie ile trefnych rzeczy mam w domu. Ze służbowej legitymacji MSW, którą jednak otrzymałem, spisałem dane kpt. Grada – nie wyglądał na zadowolonego. – „Czy życzy pan sobie kogoś jako świadka przy przeszukaniu?” –

zapytał. Trzymając ich cały czas w przedpokoju poszedłem po Kodeks Postępowania Karnego. Szukałem artykułów dotyczących rewizji, ale nie znalazłem praktycznie niczego.

Rewizja dla Polaków to nic nowego. Od 200 lat jest tak samo. Zmieniają się tylko uniformy i nacje tych, którzy to robią. W moim przypadku było to przykre dlatego, że ci co przyszli 18.IV.1978r. na pierwszą w moim życiu rewizję byli Polakami. Wolałbym, aby to byli Rosjanie lub Niemcy – byłoby to zgodne z wielowiekową tradycją.

Funkcjonariusze SB przeprowadzali rewizję zagładając i szperając wszędzie. Robili to systematycznie i z widoczną wprawą. Niczego nie niszczyli i nie zostawiali po sobie bałaganu. Mam sporo książek, które strona po stronie zostały sprawdzone. Zajęło to kilka godzin, ale żadnej książki nie opuścili. Odkładali na stół te, które ich interesowały. Z żalem patrzyłem jak wśród nich znalazł się gruby tom „Przemówień, rozkazów, wystąpień” gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Prawdziwy rarytas dla koneserów w Polsce. W miarę upływu czasu na stole robiło się coraz ciśnień. Z mojego biurka trafiło tam kilka teczek notatek i opracowań na temat sytuacji międzynarodowej, sytuacji w Rosji i w Polsce. Całość była przygotowywana przez wiele miesięcy do druku i teraz leżała stracona na stole. SB-cy skrupulatnie zbierali wszystkie adresy, stare koperty, nawet luźne zapiski na skrawkach papieru. Z zadowoleniem wyciągnęli z szafy gruby pakiet angielskich matryc do powielacza. Na szczęście znaleźli tylko jedną paczkę. W miarę upływu czasu szukający byli coraz bardziej zmęczeni i mniej dokładni. Spisywanie konfiskowanych materiałów, które złożyły się na sto kilkadziesiąt pozycji zajęło im około godziny. Rewizja skończyła się po północy. Kpt. Grad oświadczył, że jadę z nimi, nie precyzując, czy jestem aresztowany, czy tylko zatrzymany. Ala przyjęła to dzielnie, ale jej oczy wyrażały ból. Trzech SB-ków i ja pojechalismy białym fiatem. Dwaj pozostali z kilkoma torbami zdobywszy wsiedli do drugiego samochodu. Szybko zorientowałem się, że wiozą mnie na komendę dzielnicową na ul. Malczewskiego. Wprowadzili mnie do pokoju na parterze i zamknęli na klucz. Przez kilkanaście minut byłem sam i mogłem spokojnie zastanowić się nad sytuacją. To, że znalazłem

się na komendzie nie robiło na mnie wrażenia. Już jako 17-letni chłopiec byłem przez 10 godzin przesłuchiwany w Pałacu Mostowskich. Wtedy interesował ich mój udział w założonej przez Jerzego Strzałkowskiego organizacji, której celem było wychowanie młodego pokolenia metodą samorządności. Jerzy Strzałkowski był w czasie wojny twórcą Powstańczych Oddziałów Specjalnych „Jerzyki” i dowodził oddziałem żołnierzy AK z Kampinosu idącym na odsiecz powstańczej Warszawie. Akcja się nie udała i doszło do bitwy na skraju Puszczy Kampinoskiej pod Pocięchą. Skromny partyzancki cmentarzyk stał się dla nas miejscem symbolicznym. W 1966 roku zostaliśmy spacyfikowani jako organizacja.

Rozmyślenia przerwał mi kpt. Grad, który przystąpił do formalnego przesłuchania do protokołu. Interesowało go co robiłem 17 kwietnia. Zgodnie z prawdą podałem, że rano pracowałem w domu, a potem cały dzień byłem z żoną. Na pytanie, czy nie należę do ROPCiO, odpowiedziałem odmownie. Zadał mi jeszcze kilka pytań; jakby mniej istotnych, i poprosił o podpisanie protokołu. Następnie radził mi, abym nie wiązał się z ROPCiO. Kiedy puścili mnie była druga w nocy, ale w całym gmachu komendy paliło się światło, co świadczyło o intensywnej pracy.

Mój powrót uspokoił zdenerwowaną żonę. Zrobiłem przegląd mieszkania i okazało się, że rewizji nie przeprowadzili najlepsi fachowcy. Nie znaleźli wielu cennych rzeczy, a maszyny do pisania nie chciało im się dźwigać.

Następnego dnia dowiedziałem się, co było przyczyną wizyty tajniaków w moim domu. Okazało się, że podobnych operacji przeprowadzono na terenie całego kraju bardzo dużo. W sumie, jak później obliczono, około 200. Praktycznie, aż do 13 grudnia 1981 r., było to największe jednorazowe uderzenie na rzeczywistych i potencjalnych opozycjonistów. Pretekstem stał się zamach na pomnik Lenina w Nowej Hucie. Uszkodzenia dokonano materiałem wybuchowym 17 kwietnia i zrozumiałem, dlaczego przesłuchujący pytał mnie co robiłem właśnie tego dnia. Lenin w czasie wybuchu stracił nogę. Przez kilka dni, dzień i noc, dorabiano mu protezę, aby był gotów na uroczystości związane z jakąś rocznicą. Efekty tych masowych rewizji były dla komunistów zaskocze-

niem. Wielu z tych, u których po raz pierwszy zjawili się SB-cy, przestało mieć opory przed jawnym włączeniem się do życia opozycyjnego. Dla mnie również ta pierwsza rewizja była pasowaniem na jawnego działacza antykomunistycznego.

Po rozbiciu organizacji Jerzego Strzałkowskiego, o czym wcześniej wspominałem, doszedłem do wniosku, że komuniści są jeszcze zbyt silni i trzeba poczekać. Przez okres studiów na Wydziale Prawa Kanonicznego Akademii Teologii Katolickiej nie udzielałem się politycznie. W 1973 r. podjąłem prace w PAX-ie, gdzie po gierkowskiej reformie administracji zostałem wybrany na przewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego PAX w Siedlcach. Szybko nawiązałem kontakty z ludźmi o podobnych poglądach. Praktycznie już w 1976r. zaczęła się tworzyć silna grupa młodych ludzi, dla których PAX ze swoimi koncepcjami był nie do przyjęcia. Wśród nich był Romuald Szeremietiew, Tadeusz Jandziszak i Maciej Pstrąg – Bieleński. Wydawałem wtedy w Siedlcach podziemny miesięcznik „Przeгляд”. Zaczęły się nasze stałe i systematyczne (Romka od 1972 r., a moje od 1977 r.) kontakty z Leszkiem Moczulskim – wtedy jednym z liderów ROPCiO. Na wiosnę 1978r. złożyłem rezygnację z pracy w PAX – ie i praktycznie zacząłem działać w niejawnej opozycji. Mieliśmy wtedy comiesięczne spotkania w mieszkaniu jednej z łączniczek AK na Żoliborzu. Uczestniczyli w nich Leszek, Romek i ja, a raz czy dwa Andrzej Szomański. W podziale kompetencji grupy miałem zajmować się techniką. W tym okresie wielokrotnie mogłem zaobserwować, że SB interesuje się mną. Nie sądziłem jednak, że istnieje jakieś zagrożenie, gdyż był to okres tzw. liberalizmu gierkowskiego, gdy w PRL działała opozycja, funkcjonująca przy stosunkowo małych represjach ze strony władz. Poza tym, do pierwszej rewizji czy zatrzymania, wszyscy ludzą się, że to nie oni są na celowniku SB.

Teraz po rewizji sięgnąłem do swoich książek, aby przypomnieć sobie zasady prawne obowiązujące w PRL przy zakładaniu partii politycznych. Dwuletnia działalność KOR-u i ROPCiO wykazała słabnącą dynamikę, a ROPCiO znajdował się w stanie ostrej walki wewnętrznej. Nie było sensu wchodzić w jakieś podziały, trzeba było stworzyć nową jakość.

Taka szansą było wg mnie powołanie pierwszej – nie tylko w PRL, ale całym imperium rosyjskim – niepodległościowej partii politycznej.

Następnego dnia przyjechał do mnie z Leszna Wielkopolskiego Romek Szeremietiew. Oczywiście też miał rewizję. Okazało się, że i on myślał o założeniu partii politycznej. Po raz kolejny zrobiliśmy analizę prawną. Rozchodziliśmy się mówiąc: „Jak spadać to z wysokiego konia”.

Do nowej idei trzeba było przekonać Leszka Moczulskiego. Leszek był zdania, że ROPCiO stracił już swoją dynamikę, jest jednak znaną organizacją. Zaproponował, aby stworzyć płaszczyznę integracyjną dla wszystkich grup niepodległościowych, istniejących w kraju. Romek i ja byliśmy za powołaniem partii politycznej. W trakcie dyskusji nasze argumenty przeważały: należy otwarcie powiedzieć, że nadszedł czas, by podnieść wśród Polaków problem odzyskania niepodległości. Leszek zaproponował nazwę – Obóz Polski Niepodległościowej (OPN). Nazwa, która mówiłaby wszystko – Polska Partia Niepodległościowa (PPN), miała niestety skrót przypisany już do utajnionej struktury – Polskie Porozumienie Niepodległościowe, działającej od 1976 r. Zaproponowałem, aby zamiast „obóz” użyć tradycyjnej polskiej nazwy – Konfederacja. Dwa pozostałe człony nazwy były bezdyskusyjne.

Tak więc na początku maja 1978 r. uzgodniliśmy, że zakładamy partię polityczną od nazwą KPN, a data jej ogłoszenia będzie związana z ważną dla Polaków rocznicą. Wybraliśmy datę 1 września 1979 r.

Tymczasem w kraju trwały przygotowania do pierwszej wizyty Papieża. Okres poprzedzający wizytę był okresem cichej wojny SB ze strukturami opozycyjnymi. Chodziło o to, aby poza cenzurą nie ukazało się nic, co miałoby jakikolwiek związek z Papieżem Polakiem. Na tydzień przed wizytą SB odniosła duże sukcesy: większość publikacji wpadła w łapy tajniaków. Wszyscy mieliśmy cały czas obstawę. Naszą ambicją było jednak pokazać się publicznie, wykorzystując fakt wizyty Papieża. Oprócz przygotowania transparentów, które mieli rozwinąć nasi sympatycy podczas uroczystości, chcieliśmy wydać numer „Drogi”, poświęcony Papieżowi i ulotki też z tej okazji. Nie dysponowaliśmy wtedy żadną techniką drukarską i ulotki mogłem zamówić w mieście oddalonym kilkadziesiąt km

od Warszawy. Wizyta Ojca Świętego rozpoczynała się w niedzielę. W środę miałem odebrać ulotki i nakład „Drogi”. Tego dnia od rana miałem obstawę SB. Odwiozłem żonę do pracy, a potem wykorzystując dobrą znajomość stolicy, uciekłem śledzącym mnie tajniakom na osi Chopina i Pięknej poprzez teren ambasady rumuńskiej. Koło południa przekazałem naszym ludziom około 3 tys. ulotek. Wieczorem czekało mnie o wiele trudniejsze zadanie: odebrać nakład „Drogi”. Musiałem niestety wrócić w pole widzenia tajniaków, gdyż czekałem na wiadomość, gdzie będzie odbiór nakładu i pieniędzy na jego opłacenie. Uznałem, że jest szansa oszukania moich prześladowców. Z okien klatki schodowej z wysokości XI piętra widziałem białego SB-owskiego fiata 125p. w środku jak zwykle zarysy trzech sylwetek. Zjechałem windą na dół i szybko poszedłem do kolegi z sąsiedniej klatki. Liczyłem, że wprowadzę bezpiekę w błąd, jeżeli uwagę skupili tylko na moim samochodzie. Powiedziałem Andrzejowi o co mi chodzi, a on wyraził dużą ochotę wzięcia udziału w akcji. Wyszliśmy z klatki schodowej i wsiedliśmy do jego fiata. Przejechaliśmy kilkaset metrów i zatrzymaliśmy się w osiedlowej uliczce. Schowani między innymi samochodami odczekaliśmy kilkanaście minut. Uspokoił nas fakt, że nie przejechał obok nas żaden samochód z tajniakami. Ul. Bonifacego dojechaliśmy do Wisłostrady, a nią w kierunku Mostu Łazienkowskiego. Pierwszym sygnałem niebezpieczeństwa było to, że na Rozbrat przez pewien czas jechał równoległe z nami samochód, z którego pilnie nam się przyglądano. Po chwili samochód skręcił w ulicę Ludną, a my wjechaliśmy na parking przy Cyrku i stanęliśmy z tyłu budynku. Przy wjeździe z ul. Solec stała zaparkowana czerwona Skoda. Numery się zgadzały. To od jej właściciela, który markował jakąś naprawę, mieliśmy odebrać 500 sztuk nakładu naszego ideowo-politycznego miesięcznika „Droga”. W zamian nieznajomy miał otrzymać 80 tys. zł. Druk był wykonany nielegalnie w państwowej instytucji, na państwowych maszynach i w godzinach pracy opłacanych przez PZPR – agentów PRL. Pieniądze miałem otrzymać na peronie dworca Powiśle. Zostawiłem Andrzeja w samochodzie i nie podchodząc do Skody udałem się na peron dworca. Cały czas miałem paskudne uczucie, że jestem obserwowany. Zauważyłem pijanego

mężczyznę ubranego po robociarsku, ściskającego przy piersiach teczkę. Wydawało mi się, że do niej mówił. Gdy mnie mijał miałem wrażenie, że wcale nie jest pijany. Odebrałem kopertę z pieniędzmi. Zastanawiałem się, co robić. To, że byliśmy cały czas namierzani nie uległo już wątpliwości i szanse odbioru bibuły były minimalne. Postanowiłem jednak zaryzykować. Szybko podjechaliśmy do czerwonej Skody. Wymieniliśmy hasło i przekazałem kopertę. Przełożenie kilku ryz papieru do „malucha” musiało chwilę potrwać. Już po chwili jazdy zorientowaliśmy się, że podąża za nami jakiś samochód. Mimo prób nie udało nam się ich zgubić. Po kilkuminutowym kluczeniu dojechaliśmy do stromej uliczki, którą z Powiśla wjeżdża się na Stare Miasto. I tam, na ulicy Bednarskiej dwa samochody wypełnione tajnikami zepchnęły nas do krawężnika i zablokowały. Funkcjonariusze byli mocno zdenerwowani. Pobieźnie lustrowali zawartość naszego pojazdu, w którym na tylnym siedzeniu leżały stosy ryz papieru. W tym czasie mijały nas inne samochody z siedzącymi w nich tajnikami. Miałem satysfakcję, że aż tyle siły musieli użyć, aby złapać w sieć kilkaset gazet. Pojechaliśmy do Pałacu Mostowskich. Moja aktywność skończyła się z chwilą naszego zatrzymania. Byłem w ich rękach i to oni decydowali o moim losie. Po dwugodzinnym czekaniu zaprowadzono mnie do jednego z pokoi. Długi, wąski i wysoki korytarz sprawiał ponure wrażenie. Zimna, pancerna szafa, małe politurowane biurka. Na ścianie godło i kalendarz z rozebraną panienką. Za biurkiem elegancki, z idealnie uczesaniem przedziałkiem, szpakowaty, szczupły towarzysz mjr Henryk Przybyszewski, szef brygady antyopozycyjnej. Nie byłem formalnie przesłuchiwany. Była to raczej próba rozmowy w celu odwołania się do mojego rozsądku. – No i co, wpadł pan, panie Stański – zaczął. Nie odzywałem się, czekając na dalszy ciąg. – Mało tego, wpakował pan w kabałę swojego kolecę. – On o niczym nie wiedział – starałem się bronić Andrzeja. – No i na co to panu. Po co ta znajomość z Moczulskim. Pan siedzi, a on teraz kawkę sobie popija. My tu znamy takich jak on. Zawsze znajdą kilku młodych i niedoświadczonych, żeby ich wykorzystać. Tylko po to, aby pokazać siebie, bo przecież i tak nie są w stanie nic zmienić.

Kiedy skończył, odpowiedziałem mu spokojnie: za to, co wiozłem,

w czasach stalinowskich dostałbym czapę, za Gomułki poszedłbym na kilka lat do więzienia, a dziś możecie mnie przetrzymać 48 godzin i to wszystko.

Mjr Przybyszewski sięgnął po telefon i po chwili młody tajniak poprowadził mnie do celi. Starał się być bardzo uprzejmy. Przekazał mi, że żona wie, iż nie wrócę do domu, że zrobili u mnie rewizję, ale nic nie znaleźli.

W małej celi obok dyżurki musiałem się rozebrać do naga. Moja odzież została dokładnie obmacana i zwrócona. Musiałem jeszcze podpisać depozyt. Milicjant oznajmił mi, że od tej chwili jestem nr 9. Straciłem więc na jakiś czas nawet nazwisko i stałem się cyfrą.

Długim korytarzem doszliśmy do zielonozgniłych, metalowych drzwi, zabezpieczonych dwoma solidnymi sztabami. Dostałem cieniuteczki materacyk, szary koc, miskę, kubek metalowy i łyżkę, co stanowiło cały smutny sprzęt więźnia. Gdy wszedłem do celi zobaczyłem rząd ludzi leżących na długiej pryczy i na podłodze. Kilka głów podniosło się i kilkoro par oczu uważnie zaczęło mi się przypatrywać.

Usłyszałem za sobą szcęk kluczy. Po raz pierwszy znalazłem się w areszcie. Cella nr 19 była duża, piwniczna. Obok drzwi kibel, stół i ława. Okno przesłonięte, od wewnątrz siatka. Jedna z leżących postaci podniosła się. Starszy łysy mężczyzna przedstawił się:

- Adam.
- Tadeusz – odpowiedziałem.
- Za co cię wsadzili?
- Za działalność polityczną.
- Który raz wpadłeś?
- Pierwszy raz – odpowiedziałem.
- Daj, to ci pomogę postać, bo zaraz zgaszą światło.

Wśliznąłem się pod prześcieradło. Teraz dopiero poczułem zapach charakterystyczny dla piwnic. Zmieszany był z innym, kwaśnym. To pot ludzki gromadzony przez wiele pokoleń uwięzionych daje uczucie kwaśności w ustach. Byłem byt zmęczony, aby jeszcze o czymś myśleć. Zasnąłem.

Ruch w celi, światło i metaliczny dźwięk odsuwanych zasuw wyrwały mnie ze snu. Dopiero po chwili doszło do mnie gdzie jestem. Moi współtowarzysze ubierali się i załatwiali swoje potrzeby fizjologiczne na oczach innych. Zasałem swoje legowisko, ubrałem się i kuląc z zimna siedziałem na materacyku.

– Apel – usłyszałem wrzask z korytarza – apel!

Wszyscy stawali o kilka kroków przed drzwiami. Było nas tak dużo, że utworzyliśmy dwuszereg. Szczęknęły zasuwki i w drzwiach stanęło dwóch strażników. Jeden z więźniów zameldował:

– Obywatelu sierzancie, melduję stan celi 19. 15.

Po zamknięciu drzwi część położyła się ponownie, inni zaczęli „spacerować” pokonując przestrzeń kilkoma szybkimi krokami, a przed ścianą robiąc obrót o 180°. Kiedy drzwi się ponownie otworzyły jeden z więźniów poszedł po wodę. Dwa wiadra miały starczyć do umycia całej gromady ludzi i naczyń po śniadaniu. Adam, który był szefem celi powiedział mi, abym dobrze umył swój kubek. – Nigdy nie wiadomo, kto używał go przed tobą! Dowiedziałem się, że budzą nas o 6 rano, a śniadanie około 7-ej jest rozwożone „Batorym”. Był to wózek ciągniony przez dwóch więźniów. Stały na nim, jak co dzień, dwa olbrzymie kotły z czarną kawą i miski ze smalcem. Pierwszy raz miałem pić czarną więzienną kawę i jeść czarny więzienny chleb.

Po śniadaniu zacząłem zawierać znajomości z towarzyszami więziennej niedoli. Byli ciekawi co się dzieje za murami. Siedzieli od kilku tygodni do kilku lat. Wiedzieli, że coś się dzieje, gdyż od 1976 r. do aresztu coraz częściej trafiali ludzie z opozycji. Zamykano ich w celach zajmowanych przez kryminalistów, bo być może władze liczyły na powtórzenie się sytuacji więźniów politycznych w Rosji, którzy byli tradycyjnie prześladowani przez złodziei i bandytów, często gorszych od władzy. Ale w Polsce jest inaczej. Sympatia kryminalnych wobec politycznych wyraża się we wszystkim: w dzieleniu się żywnością, w wyłączeniu ze sprzątanania, a przede wszystkim – w zaufaniu. Zapoznałem współwięźniów z koncepcją polityczną mojej grupy – słuchali z ogromnym zainteresowaniem. Później opowiadali o sobie, a ja udzielałem im porad prawnych

na ile potrafiłem. Większość więźniów była ofiarami systemu komunistycznego – w państwie o demokratycznym ustroju nie przyszłoby im do głowy wchodzić na drogę przestępstwa. Tylko w sytuacji gospodarczego dna zdobywanie dóbr powoduje kolizję z prawem. Adam fałszował świadectwa szkolne. Janusza, pracując jako kierowca CPN-ie ukradł 25 tys. litrów benzyny. Inni chodzili „na włam” lub kradli materiały w swoich miejscach pracy, inni brali pieniądze za obietnice załatwienia jakiegoś dobra, którego komunizm nie był w stanie w wystarczającej ilości wyprodukować, np. samochodu czy mieszkania.

Na obiad dostaliśmy miche zupy. Przy okazji dowiedziałem się, że PRL dziennie wydaje na mnie 4 zł 60 gr.; gdybym musiał dłużej pozostać na wikcie więziennym mogłoby być ciężko, bo 4,60 zł wtedy to była równowartość małej kostki sera topionego (bochenek chleba kosztował 3,60 zł, kostka margaryny – 8,50 zł). Nic dziwnego, że więźniowie, którzy nie mieli pomocy z domu cierpieli głód.

Myśliśmy miski, gdy strażnik polecił nam przygotować się do spaceru. Eskortowani przez dwóch milicjantów długimi korytarzami, a potem schodkami w górę wyszliśmy na słońce. Spacernikiem była duża klatka z siatki postawiona w zamkniętym wyasfaltowanym czworoboku Pałacu Mostowskich. Czułem się jak zwierzę w ZOO. Podczas spaceru nie wolno było rozmawiać, ale i tak usłyszałem od więźniów kilka historii ucieczek. Podobno wszystkie skończyły się tragicznie. Po około 30 min. wróciliśmy do celi. Zobaczyłem w kącie nieduży stos książek. Nie okazały się dla mnie ciekawe, ale był wśród nich jeden prawdziwy biały kruk: stenogram z procesu IV Komendy WIN-u, organizacji, która zbrojnie walczyła z komunistami aż do 1953 r. Wśród skazanych był znany mi płk Kwieciński. Przeczytałem książkę szybko i pomimo, że był to produkt epoki stalinowskiej, znalazłem w niej wiele rzeczy ciekawych.

Po kolacji i po identycznym jak rano apelu, około 21 zgaszono światło. Leżałem na materacu rozłożonym na podłodze i myślałem, że to druga noc spędzona w areszcie. Byłem spokojny o swój dalszy los. Musiałoby wydarzyć się coś nadzwyczajnego, abym pozostał tu dłużej niż 48 godz. Przecież za dwa dni przyjeżdża Papież, a niezbyt zręcznym posu-

nięciem ze strony władz byłoby aresztowanie w tym czasie ludzi z opozycji, która oficjalnie nie istnieje.

Następnego dnia po obiedzie zostałem zaproszony na górę. Funkcjonariusz poprosił abym usiadł i zaczął uprzejmie:

– Panie Stański, to co znalezione przy panu wczoraj, nie interesuje mnie, to są sprawy moich kolegów. Ja mam do pana dwa pytania. Podczas przeszukiwania zakwestionowano dużą teczkę materiałów dotyczących terroryzmu. Mnie interesuje, czy zajmuje się pan tym problemem praktycznie, czy teoretycznie? I druga sprawa. Ukazała się publikacja złożona z dokumentów w Ministerstwie Sprawiedliwości i nie ma dostępu do żadnych ważnych akt. Zresztą materiał został wydany przez ludzi, z którymi nie jestem związany, a wy wiecie, kto go opublikował.

SB-ek aprobująco pokiwał głową.

– Ważniejszy jest drugi problem – stwierdził. – Czy zajmuje się pan terroryzmem praktycznie, czy teoretycznie? – powtórzył.

– Czy można sobie wyobrazić, aby ktoś kogo nazwisko, adres, znajomości są powszechnie znane, zajmował się terrorem praktycznie? To czysty nonsens. Chyba na samobójcę nie wyglądam. Nawiasem mówiąc, zbierając materiały i próbując stworzyć sobie jakiś obraz współczesnego terroryzmu, łatwo można stwierdzić, że brak rozwiązań politycznych zawsze – wcześniej, czy później – wywołuje chęć podjęcia działań bardziej zdecydowanych. W komunistycznej prasie można spotkać tak dużo opisów działań, np. grupy Bader-Meinhoff czy Czerwonych Brygad, że właściwie robi to wrażenie kreowania ich bohaterów.

– Czyli, że zajmuje się pan terroryzmem w celu przestrzeżenia rządu – przerwał mi SB-ek.

– Tak, chociaż właściwie bardziej chodzi mi o wyjaśnienie istoty zjawiska, np. kim jest Carlos, uznawany za szefa międzynarodówki terrorystycznej. Zbieram materiały, gdyż chciałbym napisać książkę na ten temat.

Zostałem sprowadzony do celi. Po kolacji, gdy już zaczynałem się lekko denerwować, kazali mi się pakować. Szybko złożyłem to, co 40 godzin wcześniej dostałem jako aresztowany. Po dokładnej rewizji, podczas któ-

rej nic nie znaleźli, zwrócili mi dowód osobisty i przekroczyłem bramę więzienia.

Był ciepły czerwcowy wieczór. Ulica Nowotki i Świerczewskiego kursowały tramwaje, jeździły samochody. Na chodnikach spacerujący i spieszący się ludzie, którzy nie zwracali na mnie uwagi. Byłem jednym z nich. Wyczuwałem specyficzną atmosferę miasta, nastrój oczekiwania, bo przecież już następnego dnia rano miał wylądować Jan Paweł II, pierwszy Papież-Polak, nasza nadzieja na zmiany.

Po powrocie do domu dowiedziałem się, że rewizja była bardzo pobieżna i przeprowadzona elegancko. Nic nie zostało zabrane. Andrzeja wypuścili już następnego dnia po zatrzymaniu.

Nazajutrz, w sobotę, Papież wylądował na Okęciu. Byłem szczęśliwy, że mogłem być na trasie przejazdu Papieża, w barwnym rozśpiewanym tłumie, wiwatującym na Jego cześć. To ogromne przeżycie, będące udziałem wszystkich Polaków, dało nam siłę, której owocem był także sierpień 1980 roku.

W okresie wizyty Jana Pawła II Leszek Moczulski skończył pisać „Rewolucję bez rewolucji”, którą wydaliśmy w lipcu. Od razu przystąpiliśmy do przygotowań związanych z ogłoszeniem powstania KPN. Odbyliśmy bardzo pracowity dwutygodniowy obóz nad Zalewem Zegrzyńskim. Służba Bezpieczeństwa użyła aż helikoptera, aby nas wytropić. Gdy jej się to udało, cały czas obok naszych namiotów kilku panów łowiło ryby. Pod koniec lipca mieliśmy już gotowe podstawowe dokumenty. Na początku sierpnia pojechaliśmy do Siedlec na rozmowy z Zygmuntem Goławskim i jego przyjaciółmi, którzy zgłosili akces do naszej partii. Odbyliśmy też spotkanie z byłymi AK-owcami. Ponieważ ideą partii miała być jej legalność, trzeba było zrobić sprawdzian: Jak komuniści zareagują na pierwszy w dziejach powojennej Polski, a i całego obozu komunistycznego, akt polityczny.

Ustaliliśmy, że spotkanie członków KPN w Lublinie będzie sondażowe. Miało się odbyć w mieszkaniu Zdzisława Jamrożka, który mimo poważnego kalectwa od kilku lat prowadził punkt ROPCiO. O spotkaniu mówiliśmy przez telefony na podsłuchu, aby SB mogło przejąć mate-

riały m.in. statut KPN, Deklarację Ideową, Akt Założycielski. Zgodnie z umową pojechałem do Lublina. Około 17-ej do mieszkania Zdzisława zaczęli się schodzić ludzie. Wśród kilkunastu mężczyzn i kobiet zobaczyłem również młode twarze. Ponieważ moi koledzy nie dojechali ja poprowadziłem spotkanie. Omówiłem sytuację międzynarodową, przedstawiłem ocenę sytuacji w Rosji, scharakteryzowałem mapę polityczną w Polsce, kładąc nacisk na układ w opozycji. Przeprowadzona analiza dawała podstawę do wyciągnięcia wniosku, że w działalności opozycyjnej konieczny jest krok naprzód. Tym krokiem powinno być naszym zdaniem powołanie partii politycznej. Obawiałem się negatywnej reakcji, ale ku mojej radości zdecydowana większość, pomimo zaskoczenia, entuzjastycznie odniosła się do tej propozycji. Lapidarnie ujął to jeden z robotników:

– Oni mają swoją partię, dlaczego my nie mamy mieć swojej?

Musiałem odpowiedzieć na wiele pytań, ale dotyczyły one szczegółów, a nie samej idei. Po spotkaniu podeszła do mnie starsza kobieta. Jej dwóch synów uczęszczało na spotkania w punkcie ROPCiO. Chciała się przekonać, czy jej synowie mogą spotykać się z ludźmi z opozycji. Po dzisiejszym spotkaniu nie miała już żadnych obaw o swoich synów (obaj byli w ostatnich klasach liceum, ich dalsze losy były podobne do losów całego pokolenia – w okresie naszego procesu wydawali w Lublinie pismo dla młodzieży „Szaniec”, byli internowani 13 grudnia 1981 r., zwolnieni nie zaprzestali działalności, za którą przesiedzieli w więzieniu po 1,5 i 2 lata).

Rano dowiedziałem się, że operacja powiadamiania władzy o naszych zamiarach powiodła się: Leszek i Romek zostali zatrzymani pod Lublinem. Zabrano im wszystkie dokumenty KPN i przetrzymano do godz. 22-ej, a więc do czasu zakończenia mojego spotkania i wyjazdu z Lublina. Na to, że będzie trzeci prelegent władze nie były przygotowane.

Około 10 sierpnia 1979 r. odbyło się w Gdańsku nasze spotkanie z tamtejszą grupą niepodległościową. Następnie w Krakowie w Domu Studenckim „Żaczek” odbyliśmy dyskusję u Krzysztofa Gąsiorowskiego z Krakusami. Był Krzysztof Bzdyl, Roma Kahl-Stachniewicz i inni. Ge-

neralnie zgadzali się z naszą ideą. Chcieli jednak zachować autonomię i powołać Ruch Porozumienia Polskich Socjalistów, skonfederowany w ramach KPN. Cały czas wyobrażałem sobie KPN jako monolit o tendencjach centro prawicowych, a tutaj raptem wyskakuje problem grupy o orientacji socjalistycznej. Przecież na Polaka hasło socjalizm działa jak płachta na byka!

Następny tydzień należał do bardzo pracowitych. Ruszyliśmy w turę po Polsce. Znowu Kraków, gdzie w podobnym, jak przed tygodniem składzie, uzgodniliśmy formułę skonfederowania RPPS z KPN oraz nazwiska osób z tego terenu, które będą umieszczone na liście założycieli KPN. Nazajutrz ruszyliśmy do Częstochowy, gdzie trafiliśmy akurat na pierwsze grupy Warszawskiej Pielgrzymki wchodzące na Jasną Górę.

Wieczorem po załatwieniu naszych spraw wyruszyliśmy w podróż do Kotliny Kłodzkiej. Miejskowa organizacja opozycyjna pod nazwą Dolnośląska Grupa Ludowa, była kolejną, która zgłosiła akces do KPN. Następnym punktem naszego objazdu był Wrocław. Obecni na spotkaniu członkowie Związku Narodowego Katolików ustanowili w KPN grupę o zapatrywaniach chadeckich.

Po dniu odpoczynku znowu ruszyliśmy w teren. Tym razem bliżej do Lublina i do Siedlec. W Lublinie powstała Lubelska Grupa Ludowa, a w Siedlcach – Podlaska Grupa Narodowo – Ludowa. Z tym momentem proces tworzenia Konfederacji Polski Niepodległej został zakończony. Mogliśmy przystąpić do ustalenia listy założycieli i rozpocząć intensywne przygotowania do ogłoszenia powstania naszej partii. Czasu było niewiele – tylko kilkanaście dni.

W ciągu ostatniego tygodnia, jaki dzielił nas od dnia 1 września 1979 r. wydrukowaliśmy kilka tysięcy ulotek, w których zawarte były tezy ideowe, zasady dotyczące legalizmu KPN, statut i kilkanaście nazwisk z adresami mieszkań lub biur KPN-u na terenie całego kraju. Oprawa propagandowa musiała być maksymalnie duża, w czym powinni byli pomóc nam komuniści poprzez liczne aresztowania. Zakładając, że to nastąpi, kilka osób przygotowało się, aby bez względu na okoliczności dotrzeć do Grobu Nieznanego Żołnierza, gdzie tradycyjnie kończyły się wszystkie

patriotyczne manifestacje i ogłosić powstanie KPN. Duża grupa członków naszej partii miała za zadanie rozrzucenie ulotek. Zależało nam na tym aby ogłoszenia dokonała Nina Milewska z Gdańska. Na tydzień przed 1 września 1979 r. Nina przyjechała do Warszawy i ukryła się w jednym z naszych lokali. Otrzymałem zadanie dostarczenia jej tuby, gdyż spodziewaliśmy się kilku tysięcy ludzi. Przygotowałem tubę żeglarską, którą z kawałka blachy zespawaliśmy w zaprzyjaźnionym warsztacie samochodowym. Na trzy dni przed akcją byliśmy gotowi ze wszystkim.

Reakcja władz była zgodna z naszymi przewidywaniami. Jej celem było policyjne uderzenia w nas, aby uniemożliwić nam ogłoszenie powstania KPN. Kiedy w sobotę 31 sierpnia 1979r. elegancko ubrany ze względu na mającą się odbyć uroczystość pojechałem na Jaracza zastałem tam kilku zapracowanych funkcjonariuszy SB, a wśród nich mjr Henryka Przybyszewskiego, który oficjalnie nie był szefem rewizji, ale którego polecenia wykonywano natychmiast.

Żona Leszka powiedziała, że rewizja trwa od piątku, od godz. 15-ej z przerwą nocną od 23-ej do 6-ej rano. Leszka i Romka zabrali do Pałacu Mostowskich już w piątek. Tych co przychodzą na Jaracza albo aresztują, albo siłą wsadzają do pociągów jadących do ich miejsca zamieszkania. W ten sposób Tadeusz Jandziszak został wyekspediowany do Wrocławia, a Zdzisław Jamrożek do Lublina. – Ciebie też zaraz zabiorą – powiedziała Majka. – Napij się kawy jeśli zdążysz.

Rzeczywiście chwilę później SB-kiabrały mi dowód i wsadził do samochodu – kierunek Pałac Mostowskich. Byłem spokojny, a całą sytuacja bawiła mnie, gdyż nasze szanse na ogłoszenie powstania KPN-u wcale nie malały. Martwiło mnie tylko to, że w jedynym swoim garniturze, białej koszuli i krawacie idę do aresztu.

Na komendzie kazano mi czekać na korytarzu. Pilnowany przez dwóch młodych tajniaków mogłem obserwować nerwową krzątanicę SB-ków. Po pewnym czasie zostałem poinformowany, że jedziemy do mnie na rewizję. Przeszukanie nie przyniosło im żadnych sukcesów, zresztą nie wyglądali na takich, którzy byliby tym faktem zmartwiłeni. Około 13-ej wróciliśmy do Pałacu Mostowskich.

Trafiłem do celi 29 o powierzchni 5m² z małym oknem i pryczą zajmującą $\frac{3}{4}$ powierzchni. Stojący w rogu kibel dotykał prawie stołu. Miejsca było tak mało, że trudna sobie wyobrazić chodzenie po celi. Siedziało tam już dwóch więźniów; pierwszy z nich był jednym z najślawniejszych kierowców rajdowych Polski, drugi – jednym z najlepszych złodziei.

Spaliśmy już gdy drzwi zostały otwarte i milicjant kazał mi się pakować. Wychodząc za mną wypuszczali Andrzeja Czumę, którego zatrzymano po manifestacji. Powiedział, że aresztowań było dużo, ale wszystko się udało i Nina Milewska świetnie spełniła swoje zadanie.

Pojechałem na Jaracza – a tam całe mieszkanie ludzi. Co chwila ktoś z wypuszczonych dzwonił do drzwi. Ci, co byli na manifestacji, zdawali relację, jak się wszystko odbyło. Nina dotarła z pochodem pod Grób, ogłosiła powstanie KPN i poinformowała o aresztowaniach. Chłopcy zgodnie z planem sypnęli ulotkami.

Na dzień następny na godz. 12 wyznaczaliśmy sobie pierwsze posiedzenie Rady Politycznej KPN.

Przez śpiącą Warszawę wracałem do domu pełen euforii. Chciałem się podzielić radością z Alą, która ucieszyła się, że wróciłem, ale oblała mnie kubłem zimnej wody: u mamy była rewizja. Skamieniałem. Pobiegłem do aparatu telefonicznego. Z ulgą odetchnąłem, gdy po chwili usłyszałem zaspany głos mamy.

– Nic się nie stało, nagadałam im jeszcze – mówi moja dzielna mama. – Wiesz, powiedzieli mi, że przystąpiłeś do bandy, a szukali ulotek i gazetek. Tata też zdrowy i nie martw się o nas – skończyła rozmowę mama.

Tej nocy zasypiałem ze świadomością, że od 1 września 1979 r. zaczął się nowy rozdział mojego życia.

BYLIŚMY OPTYMISTAMI

ROZMOWA MACIEJA SZUMOWSKIEGO Z ROMUALDEM SZEREMIETIEWEM Z 1985 ROKU

MACIEJ SZUMOWSKI: Na wstępie naszej rozmowy proszę, aby przedstawił pan swój życiorys, nie tylko polityczny, swoje dojście do opozycji, swoją dotychczasową działalność.

ROMUALD SZEREMIETIEW: Sprawa jest typowa. Myślę, że chyba wszyscy opozycjoniści dochodzili do opozycji w podobny sposób. Mam za sobą tak zwane trudne dzieciństwo i trudną młodość, bo wychowywałem się bez ojca, a to zawsze jakoś rzutuje. Mój ojciec był oficerem Wojska Polskiego i w 1945 roku, 2 tygodnie po moim urodzeniu, został przez Rosjan zabrany i słuch o nim zaginął. Ten fakt chyba w jakimś sensie tak mnie zorientował...

Wychowałem się w Legnicy. To jest miasto dość specyficzne. Kto nie wie co to jest PRL, to radzę mu, niech pojedzie do Legnicy, bo tam się traci złudzenia. Chodziłem do szkoły zawodowej, pracowałem w fabryce. Nazywała się imieniem Hanki Sawickiej, a po 1968 roku już tylko Hanki (a huta Waleckiego – już tylko huta, bo – jak wiadomo – Walecki był Horowitz, więc w 1968 roku zmieniano nazwy). Tam zetknąłem się z duszpasterstwem akademickim. Nie byłem wprawdzie studentem, ale uczestniczyłem. Potem było wojsko – 2 lata służby wojskowej. W wojsku zdałem maturę. Poszedłem na studia. Wybierając się na studia, wybierałem się już z pewnym konkretnym zamiarem – to znaczy szukałem takiego kierunku studiów, który pozwoli mi zorientować się w tym, co mnie otacza i – być może – pokaże mi miejsca, w których można tę sytuację zmienić, bo ona mi się bardzo nie podobała. Rok 1968 przeżyłem w Legnicy – były demonstracje, ludzi bito. To, co widziałem, było

naprawdę straszne (oberwałem zresztą wtedy pałowanie, ale mniejsza z tym). Ten 1968 rok był jakimś przełomem w moim myśleniu o całej sytuacji.

A co w Legnicy było w 1968 roku, jeśli tam nie było środowiska studenckiego? Bo utarło się mówić, że to były tylko starcia milicji ze studentami.

Okazało się właśnie, że nie tylko studentów. Tam przez 2 dni pod rząd były demonstracje i były bijatyki na ulicach, potem przyleciała szkoła milicyjna ze Słupska i przez tydzień pacyfikowano miasto. Zaczęło się od wiecu na Placu Wilsona, z próbą przemarszu. Włączyli się w to robotnicy, bodajże z huty miedzi. Pamiętam, że opowiadał mi ktoś, że cięli kable koncentryczne, żeby bronić się przed milicją. A studentów nie było. Tam było tylko studium nauczycielskie...

Dominowała młodzież, czy nie?

Tak, dominowała młodzież. Pamiętam jak dziś widok dziewczyny smarkatej ze sztandarem biało-czerwonym pod ratuszem w Legnicy. Rosjanie się nie pokazywali, mieli rozkaz, żeby nie wyłazić na ulice w tym czasie.

To także nietypowa sprawa, że robotnicy cięli kable, ale nie na studentów, tylko żeby się bronić, bo w innych miastach bywało inaczej.

Myślę, że w Legnicy sytuacja, w jakiej ludzie tam żyją, mieszkają, jakoś ich ustawia. Bo jak są 2 pochody pierwszomajowe oddzielnie (bo towarzysze radzieccy mają tam własny pochód pierwszomajowy, własną trybunę, a towarzysze, że tak powiem, po polskiej stronie, mają własny) to już najlepiej świadczy, że brak jest kontaktu między tymi społecznościami.

No i zdarza się widzieć czasami klęczącego radzieckiego żołnierza w kościele, w wielkiej tajemnicy i z zagrożeniem, że pojedzie na Syberię.

Były takie sytuacje?

Tak. Są i Polacy w wojsku sowieckim...

Zacząłem mówić o studiach. Otóż jako kierunek studiów wybrałem prawo, dlatego że chciałem zobaczyć, co ono jest warte. Przy okazji miałem też zamiar, żeby – można powiedzieć brzydko – uzbroić się na walkę przyszłą. Już byłem taki mądry, ponieważ spotkałem kilku ludzi, którzy mi pomogli przygotować się do studiów. Jednocześnie robiliśmy jakąś robotę polityczną. To było takie maleństwo – to znaczy samokształcenie. Wtedy zacząłem czytać pierwszy raz Piłsudskiego. To było to dla mnie odkrycie! Od tego czasu uważam się za piłsudczyka.

Po wojsku były studia we Wrocławiu, na Uniwersytecie Bolesława Bieruta. Były to studia akurat po Marcu, a więc wszystko było jeszcze żywe. Poza wiedzą, która wydawała mi się użyteczna, chciałem zdobyć również przygotowanie organizacyjne. Niestety, to co było, to były wszystkie organizacje, jak byśmy dziś powiedzieli, reżimowe. Z drugiej strony – nie chciałem wstępować do partii, a chciałem się pewnych rzeczy nauczyć. Jeżeli człowiek nie potrafi prowadzić samochodu, nie ma prawa jazdy, to jak się go posadzi za kierownicą, to nie pojedzie, raczej ten samochód rozwali. Ja sobie wyobrażałem też, że jeżeli nie będę miał pewnych zdolności natury organizacyjnej, nie będę umiał kierować, organizować roboty, to w sytuacji, kiedy coś trzeba będzie zrobić, nie będę tego potrafił.

Ale rozumiem, podsumowując ten wątek rozmowy, że z całą jak gdyby konsekwencją szedł pan na studia po to, żeby próbować opozycyjnej pracy?

Tak. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, jak to będzie wyglądało. Przypominam, że w tym czasie pojawiły się te inicjatywy, które były po Marcu. Był słynny list otwarty do partii Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego. Zastanawiałem się, dlaczego tylko oni mogą coś robić i coś robią? Denerwowało mnie to. Czy nie należy się w to włączyć? A z drugiej strony nie wiedziałem jak.

Ale do nich nie myślał pan przystąpić?

Nie, dlatego że istniała różnica ideowa. Żeby nie było wątpliwości – z Adamem Michnikiem i Jackiem Kuroniem, uważamy się za przyjaciół, to znaczy spotykamy się i bardzo dużo ze sobą rozmawiamy, ale istnieje różnica ideowa między nami. Różnica ideowa, która polega na tym, że oni są zwolennikami koncepcji bardziej lewicowych, rozumianych w tych kategoriach socjaldemokratycznych, natomiast ja jestem zwolennikiem kategorii bardziej prawicowych. Nie rozumianych endecko, tylko rozumianych w kategoriach konserwatyzmu, ale nowoczesnego konserwatyzmu. Dla mnie są ważne również pewne symbole, są ważne takie wartości jak rodzina, jak Kościół, jak wiara, no i to wszystko, co się kojarzy ze współczesnym konserwatyzmem. Więc tutaj była różnica.

Już od początku?

Tak. Ja się po prostu wychowywałem politycznie pod wpływem tego, co robił Piłsudski i w związku z tym szukałem różnego rodzaju lektur. Umacniałem się w tym przekonaniu, że tędy jest droga. Ale uważam, że ludziom, którzy rozpoczęli wówczas robotę opozycyjną, należy się szacunek. To jest ich ogromna zasługa, że oni to zaczęli, bo na przykład ja nie byłem w stanie, dopiero później do tego dochodziłem.

I teraz kwestia następną. Otóż, jak powiedziałem, szukałem możliwości organizacyjnych i wydawało mi się na przykład, że taką możliwością będzie Stronnictwo Demokratyczne. Byłem przez pewien czas w tym stronnictwie, byłem nawet, powiedziałbym, tak dość wysoko jako aparatczyk, bo byłem sekretarzem komitetu uczelnianego i członkiem plenum komitetu wojewódzkiego SD we Wrocławiu. Rozstaliśmy się po grudniu 1970 roku. Po pierwsze, dlatego że okazało się, że władze SD są całkowicie zależne od PZPR-u, wręcz mi to powiedziano. Zrobiłem organizację SD na wydziale prawa, która była 3 razy większa od organizacji partyjnej i za to dostałem po głowie. Poza tym nie podobało mi się i moim przyjaciołom stanowisko, jakie zajęło SD wobec wydarzeń grudniowych. Myśmy tam ich trochę potarłosili i żeśmy się rozstali. Ale nie uważam tego okresu za zmarnowany, ponieważ nabrałem tych pewnych umiejętności, które są w działalności potrzebne.

Po prostu gdzieś w pracy społecznej, publicznej, walki nawet, dyskusji, gdzieś trzeba się uczyć.

Otóż to. A takich miejsc wtedy nie było dużo. Teraz mamy te miejsca, ale zapominamy czasem o tym, że po drodze była Solidarność, był ten wielki społeczny zryw, i otworzyło się wiele środowisk, wiele inicjatyw, wiele możliwości. Wtedy takiej możliwości nie było. Przypomnijmy sobie w jakich warunkach działała oświata niezależna, TKN. Przecież to były najścia! Kilka osób się zbierało i od razu przychodziła kupa ubeków, tarmosili ludzi i tak dalej. A wcześniej było trochę inaczej...

Po rozstaniu z SD zacząłem działać w Zrzeszeniu Studentów Polskich. Było to jeszcze przed tak zwanym zjednoczeniem. To ZSP nie było już tym, czym było wcześniej, ponieważ po 1968 roku wprowadzono w ZSP czynnik polityczny, a przedtem to była organizacja związkowa, studencka. Więc zajmowaliśmy się sprawami takimi bytowymi, kulturą i tak dalej.

Były możliwości.

Tak. I tu nie można było odstawiać lipy. Polityka położyła to zrzeszenie, bo dopóki jeden człowiek zajmował się akademikiem, a drugi kulturą – to były konkretne rzeczy. On musiał to robić dobrze. Jeżeli źle robił, to odpadał. Natomiast w momencie, kiedy wpuścili politykierów, to oni bili pianę, jak się mówi, fachowo, i byli dobrze oceniani, nie można ich było wyrzucić za nic, bo byli zawsze dobrzy i awansowali. To zaczęło rozkładać zrzeszenie. Więc w tym schyłkowym okresie ZSP byłem sekretarzem uczelnianym, byłem przewodniczącym rady mieszkańców... Różne rzeczy tam robiłem, ale nie w polityce.

W robocie społecznej, która jest cenna, bo ja się też przyznaję do tego okresu, że był cenny.

Myślę, że ci, którzy pamiętają mnie z okresu studiów, to wiedzą, jak to wyglądało. Nie chcę opowiadać o tym (mógłby ktoś pomyśleć, że się chwale), ale rzeczywiście coś można było zrobić.

Potem był koniec studiów. Wyleciałem ze stypendium na studiach

doktoranckich, miałem być asystentem – już nie mogłem być. Zablokowano mnie, ponieważ postawiono przede mną warunek: albo wstąpię do PZPR-u, albo nie będę na uczelni. No i ja wybrałem, jak wiadomo, ten drugi wariant, to znaczy nie wstąpiłem i wyleciałem z uczelni. Byłem przez jakiś czas bez pracy. No i pojawił się PAX. Byłem w PAX-ie przez dłuższy okres czasu, przez około 4 lata (1974–1978).

Dlaczego PAX? Otóż kiedy mnie rozrabiano, to między innymi postawiono mi zarzut, że jestem katolik. Szukałem instytucji takiej, która by – po pierwsze, spłaciła moje stypendium, które brałem, bo groził mi przymus pracy. Po drugie – szukałem instytucji, w której nie stawiano by mi zarzutu, że jestem katolikiem. A po trzecie – która dawałaby jakieś możliwości samodzielnej roboty. Pamiętam, że szukałem wtedy w różnego rodzaju instytucjach katolickich. KUL niestety nie mógł mi niczego zaoferować. KIK pod tym względem był najbliższy w sensie wewnętrznym, ale nie miał znowu żadnych możliwości. Potrzebowałem żyć, potrzebowałem z czegoś się utrzymać. A ci mieli pieniądze...

Pamiętam, że kolega, który tam był zorientowany w sprawach PAX-u, mówił, że oni nie mają ludzi. „Przy twoich zdolnościach możesz coś tam zrobić”. Wszedłem w to, przyznaję, z takim zamiarem – jak by to powiedzieć – rewindykacji na narodowej demokracji. Otóż kiedyś, kiedyś, bardzo, bardzo dawno temu powstała Liga Polska, organizacja niepodległościowa, do której wszedł niejaki Roman Dmowski i zrobił z niej Ligę Narodową, coś wręcz odwrotnego od tego, co zamierzał szacowny pułkownik Jeź Miłkowski. Ponieważ Bolek Piasecki uważał się za spadkobiercę Romana Dmowskiego, więc sobie pomyślałem: „A gdyby tak zebrać ludzi i zrobić coś odwrotnego, to znaczy zrobić organizację z endeckiej (endekoidalnej) – niepodległościową? Spróbujmy! Pójdę, zobaczę. Jeżeli są ludzie, z którymi można coś zrobić, to spróbujemy to zrobić”.

No i spróbowaliśmy! Znalazłem kilku przyjaciół (oni zresztą znaleźli się później ze mną w opozycji): Tadek Stański, Tadek Jandziszak, Maciek Pstrąg-Bieleński (który jest za granicą, przeciwko któremu też się toczy postępowanie). Myśmy stworzyli taką grupę w PAX-ie. Zostałem, dzie-

ki reformie administracji, przewodniczącym oddziału wojewódzkiego. Mieliśmy kilkunastoosobową grupę młodych przewodniczących, którzy zaczęli już działać wspólnie. Nawiązaliśmy wtedy kontakty z Ruchem Obrony Praw Człowieka i Obywatela, mieliśmy bezpośredni kontakt z Leszkiem Moczulskim.

Ja się z Leszkiem poznałem w 1972 roku, po książce „Wojna polska 1939”. Ta książka bardzo przypadła mi do gustu. Oczywiście po tych kontaktach poszła Służba Bezpieczeństwa i przed zgonem Bolka Piaseckiego zostaliśmy w PAX-ie rozwaleni. Przykro powiedzieć, główną rolę w tym rozwalaniu odegrał Ryszard Reiff, późniejszy przewodniczący PAX-u, i człowiek, który zrobił znaczne postępy. Nie poznawałem go w okresie Solidarności. Nie wiem, może wtedy grał o stołek przewodniczącego?

A może działał na polecenie Piaseckiego?

Nie, na polecenie Piaseckiego to niemożliwe, bo już Piasecki był tak ciężko chory, że nie kontaktował. Miałem do wyboru, albo się ugiąć i siedzieć cicho, albo huknąć i spróbować jawnej roboty opozycyjnej. Zresztą bezpieczeństwa nie miała wątpliwości co ja robię. No i zdecydowałem się. Przyjechałem do domu, porozmawiałem z żoną. Muszę powiedzieć, że mieliśmy bardzo dobrą sytuację finansową: mieszkanie, pieniądze, samochód... Żona miała pracę w PAX-ie jako tłumacz (jest filologiem rosyjskim), więc miała taką synekurkę, ja miałem bardzo dobre zarobki. Powiedziałem jej, że powinienem zacząć. Zapytała czy muszę. Powiedziałem, że muszę. „A co będzie?”. Powiedziałem, że stracimy wszystko, potem będziemy mieli ciężko. „Ty się musisz zająć domem, a ja pewnie będę po aresztach i w więzieniach się tłukł”. Jeżeli musisz, no to musisz – zgodziła się na to, bidula. Zresztą zaowocowało to 13. Grudnia, kiedy ją zamknęli dzielni chłopcy generała Kiszczaka.

A co dzisiaj mówi o tym pańskim wyborze?

Żona jest moją żoną. Na szczęście mam w rodzinie taką sytuację, że wszyscy rozumieją, że to jest konieczne i celowe. Akceptują w pełni to,

co robię, godząc się również na wszystkie dolegliwości, które z tym się wiążą.

No i zaczęło się! Pamiętam, że uczestniczyłem od dłuższego czasu w zebraniach ludzi, którzy później, w przyszłości, powołali KPN. Był oczywiście Leszek [Moczulski], był Tadek [Stański] i jeszcze kilka innych osób. Był Andrzej Czuma, który do KPN-u nie wszedł. Po drodze był ten rozłam w Ruchu [rozłam w ROPCiO miał miejsce w czerwcu 1978 r.]. W samym Ruchu Obrony Praw Człowieka nie byłem, ani nikt z moich kolegów, o których wspomniałem, ale wiedzieliśmy o tym, że istnieje zamiar powołania partii politycznej. I pamiętam, że w pewnym momencie, to było właśnie w 1978 roku, powiedziałem – „Czas to zrobić”. Zaczęliśmy to organizować. Przygotowania trwały około roku.

1 września 1979 roku powołaliśmy Konfederację Polski Niepodległej. No i zaczęła się już zabawa taka, jak pan zna. Najpierw drobne szczypanki pod tytułem 48 godzin. Dzięki temu poznawałem różnych ludzi. Kiedyś w takiej brudnej, zapluskwionej celi spotkałem Zbyszka Romaszewskiego. To było nasze pierwsze spotkanie, i nawiązała się bliższa znajomość, która trwa do dzisiaj. Spotykaliśmy się jeszcze w czasie Solidarności, jak na krótko wyszedłem na wolność. Potem spotykałem się z nim, gdy przychodził na salę sądową, jak trwał nasz proces KPN. A potem spotykałem się z nim na Rakowieckiej, przez przypadek zresztą, jak go złapano w stanie wojennym.

W zasadzie to chyba w największym skrócie wszystko, co można powiedzieć o tym okresie, zanim stałem się opozycjonistą. Zostałem nim z wyboru i chcę zajmować się tą sprawą jak fachowiec. Przygotowywałem się do tego. Sądziłem i sądzę nadal, że istnieje sposobność, że Polska zdoła odzyskać to, co jej się słusznie należy. Myślę, że mogę odegrać w tym procesie jakąś rolę, mogę w czymś ludziom pomóc. Powiem tak, choć to może zabrzmie trochę patetycznie – uważam, że mam wobec społeczeństwa, wobec ludzi, pewien dług do spłacenia. W tym społeczeństwie się wychowałem, pośród tych ludzi, przeszedłem drogę od robotnika fabrycznego, poprzez żołnierza służby czynnej, do studenta, jakiegoś tam aparaczyka, bo to tak można powiedzieć, w tym systemie.

Następnie poszedłem do więzienia, do opozycji, za kraty... Po drodze zdobywałem doświadczenie, zdobywałem wiedzę. Sądzę, że mogłem ją zdobywać również dlatego, że ludzie po prostu pracowali. To, że funkcjonował uniwersytet i była biblioteka, to jest zasługa tego społeczeństwa. Niezależnie od tego, co komuniści chcieli z uniwersytetem z biblioteką zrobić, byli profesorowie, którzy chcieli uczyć i są książki, które można przeczytać. Uważałem, że ludzie są oszukiwani, są nabijani w butelkę, ale robotnik nie ma czasu, żeby zastanawiać się nad tym systemem, nad tym, co tu można zmienić, on po prostu wie, że jest krzywdzony. Otóż ja uważałem, że mam dług wobec tych ludzi, że mogę im pomóc. Po to się uczyłem, żeby z tymi ludźmi być razem. Mogłem się spokojnie urządzić jako ten paxowiec i żyć. Doszedłem do wniosku, że muszę to rzucić, przeciąć, że dalej iść nie mogę, bo dalej to czeka mnie skundlenie. W którymś momencie człowiek się musi skundlić, żeby się utrzymać. Otóż powiedziałem nie... Po prostu tak myślę.

Jest to taka motywacja moralno-duchowa, ale teraz jest pan prawnikiem, próbował pan działalności realnej, społecznej, czy obywatelskiej...

Tak. Wszystko, co cały czas robiłem, było realne. Szukałem realnych narzędzi.

Ta szlachetna motywacja moralno-duchowa nie musi być wcale w sprzeczności z jakąś, to może brzydkie słowo, ale kalkulacją tego typu, że my jednak (opozycja), mamy realną szansę przejąć władzę, zmienić ten kraj.

Oczywiście, że tak.

Na ile działając w opozycji, myślał pan, że skutki mogą być dość szybkie, że próba przejścia pewnych sfer wpływów społecznych, czy politycznych, w Polsce jest możliwa, że jest realna, a na ile pan tu się zawiódł?

Nie, nie zawiódłem się. Gdybym się zawiódł, to bym spakował wa-

lizki i wyjechał. Gdybym się zawiódł, to bym przestał działać. Gdybym się zawiódł, to pewnie bym się nie uśmiechał dzisiaj, kiedy słyszę tego typu pytanie. To nie jest tylko wpływ tego, że byłem na mszy na dole w kościele...

Moje pytanie nie jest takie abstrakcyjne. Chodzi o to, że jest wiele ścieżek, które poszerzają nasze inspiracje społeczne, czy narodowe, przez wiele lat. Natomiast stan wojenny w sferze nagich, fizycznych faktów, przeciął znaczną część tych realnych kroków do przodu. Ja nie mówię o stanie duszy społecznej, tylko mówię o możliwościach.

W mojej świadomości troszkę to inaczej układu. Otóż przed pójściem do więzienia było naprawdę bardzo trudno, kiedy przed Sierpniem robiło się robotę opozycyjną, niezależną, to liczyło się ludzi na palcach, jeżeli się człowieka gdzieś znalazło do czegoś, już się było szczęśliwym. Jeżeli to był jeszcze człowiek solidny, taki, który chciał pracować, miał jakieś znaczenie w środowisku, to było cudownie. Ale często robiło się z ludźmi takimi, z którymi dzisiaj na przykład nie chciałbym współpracować. To były również takie sytuacje. Bo pracuje się tym, czym się ma. Otóż po drodze byłem w więzieniu, wyszedłem, i jestem zaskoczony, bardzo mile i przyjemnie, że jest nas tak dużo. Widzi pan, to jest naprawdę bardzo dużo. Bo jest masę tych inicjatyw, wydawnictwa, oni praktycznie już chyba nie mają nadziei, że te wydawnictwa zlikwidują, jakkolwiek robią różne usiłowania. A więc jest prasa niezależna, są wydawnictwa, są ugrupowania różnego rodzaju, jest Solidarność, jako fakt polityczny, co więcej, jest ewenement, bo jest podziemie. My możemy mieć krytyczny stosunek do tego wszystkiego, my możemy to różnie oceniać, ale to jest. To znaczy, że od 1 września 1979 r., kiedy Szeremietiew stał się opozycjonistą, do dnia dzisiejszego, jest naprawdę potężny, ogromny postęp.

Postęp, jeśli bierzemy, że tak powiem, pod obserwację pole poszerzające się niewątpliwie, pole niezależnego społeczeństwa, choć moglibyśmy dyskutować o tym terminie.

Oczywiście, tak.

Natomiast ja o czym innym mówiłem, mianowicie nie wiem, czy pan zna tę dyskusję, w której Walicki zdaje się w „Aneksie” dyskutuje z KOR-em...

Słyszałem, tak.

Oczywiście tam jest wiele bałamutnych tez, ale jedna z nich jest szalenie sugestywna, mianowicie ona mówi o tym, że po prostu działalność opozycji nie trafiona w odpowiedni moment polityczny, często paraliżuje jak gdyby polską władzę i zmusza ją do usztywniania się. Że istnieje takie sprzężenie (tutaj trochę mogę niedokładnie streszczać – z tej pozycji w każdym razie idzie atak), że nasilająca się działalność opozycyjna, taka dość jednoznaczna, czy powiedzmy nawet skrajna, jak gdyby usztywnia to drugie skrzydło, to znaczy polską władzę i zaczyna się spirala represji zacieśniać. Co pan na ten temat? Ja nie mówię, że to jest mój pogląd, ale są takie zarzuty. Bo realnie rzecz biorąc po 13 grudnia oczywiście poszerza się pole działania społecznej myśli niezależnej, to jest oczywiste. Dobrze pan to powiedział, bo to nie dość tego przypominać. Natomiast w sferze zewnętrznej faktów, posunięć władzy, w sensie swobód, które władza sama limituje czy daje, to następuje ich cofnięcie, zaczyna być cofanie.

Oczywiście.

No i już wcale nie jest jakąś metaforą porównywanie z okresem stalinizmu. Więc tu jak gdyby z jednej strony poszerza się ta niezależność społeczna, ale z drugiej strony zwęża się jak gdyby zakres swobód, tych dawanych oficjalnie, tych, którymi zwykły obywatel żyje, nie tylko opozycjonista. Żebyśmy nie utknęli tylko w tym punkcie, że tak powiem, to może zbyt brutalny epitet, ale zawodowego opozycjonisty. W końcu mamy w Polsce ileś tam milionów zwykłych ludzi, którzy myślą tak jak my, tylko że jak gdyby nie mogą, albo nie mają możliwości, muszą żyć w tych strukturach, które są, są narażeni na to prawo wciąż usztywniane, i karne i polityczne. Tak że jak

gdymy można jasno powiedzieć, że zakres tych swobód oficjalnych się kurczy. Co pan myśli o tym sprzężeniu?

Problem jest szerszy i polega on na tym, czy przy pomocy metod policyjnych można zatrzymać proces historyczny, i to jest pierwszy problem. A drugi to jest taki, że ta władza uświadomiła sobie wreszcie czym naprawdę jest. Ona chce oczywiście przetrwać, i żeby przetrwać, to ona wykonuje różnego rodzaju działania, między innymi te, o których pan wspomniał. To znaczy zaostrza, stosuje represje, przykręca śrubę, zawęża zakres swobód i tak dalej, i tak dalej...

Niszczy oficjalne wydawnictwa...

Tak. Dlaczego to robi? Robi to z bardzo prostej przyczyny – wie, że poszerzanie swobód spowoduje jedno – usunięcie jej. Mnie tam czasami bawi to, że ludzie uważają, przynajmniej niektórzy, że jeżeli się nie będzie mówić Czerwonym, że to chodzi o niepodległe państwo polskie i o zrzucenie tego jarzma, które nas krępuje, to oni nam na coś pozwolą. Oni na nic nie pozwalają. Oni pozwalają wtedy, kiedy muszą. Pozwalają, wtedy, kiedy społeczeństwo sobie to wywalczy, kiedy da sobie radę. W Sierpniu dało sobie radę, w Grudniu nie dało sobie rady. O ile 13 grudnia to na pewno nie było nasze zwycięstwo, to była nasza przegrana, nasza porażka, to 13 grudnia też nie był ich zwycięstwem. Oni zresztą nie mówią, że to było ich zwycięstwo.

Nie.

Nie mówią. Otóż sytuacja jest ciągle nierozstrzygnięta, kto kogo. Sierpień nam wszystkim uzmysłowił, że zaczął się pewien proces historyczny. Ja sądzę, że ten proces historyczny polega na tym, że Polacy dążą do niepodległości, nawet ci, którzy nie mówią tego głośno, ale w podświadomości gdzieś u nich to tkwi. Jest kwestią taktyki, czy się te rzeczy mówi, czy się nie mówi. Uważam, że trzeba mówić. Ktoś może uważa, że nie trzeba – jego sprawa. Ale to się tak skończy. Ten system, który bankrutuje, w duszach Polaków już zbankrutował, w świadomości ludzkiej już zbankrutował. On się trzyma dzięki temu, że ma w rękę system

represyjny, że ma pieniądze, że może jeszcze jakichś ludzi podkupywać, że się ludzie go boją. Ale ludzie się go boją i go nienawidzą. Otóż tego procesu zatrzymać nie można. Można go opóźnić, można go hamować, ale ludzie już łyknęli ten haust wolności. Niech pan popatrzy co się dzieje z młodym pokoleniem. Zdaje się Jacek Fedorowicz powiedział, że przedszkolaki są już nasze. Nigdy jeszcze w oczach Polaków system nie był tak skompromitowany jak jest obecnie. To jest ogromna rzecz. Uważam, że ludzie, którzy podjęli decyzję 13 grudnia, mam na myśli aparat władzy, powinni przeklinać ten dzień i ten pomysł. Bo przy umiejętnej ich polityce, i stosownej taktyce, mogli bardzo dużo wygrać bez stanu wojennego.

Podsunę panu przykład. To jest dla mnie komplement, tak że nie wstydę się powiedzieć. Dość powszechna akceptacja „Gazety Krakowskiej”...

Tak, pamiętam to, oczywiście.

... była jak gdyby jakąś taką ścieżynką, którą można było pójść.
Oczywiście.

To znaczy można się było próbować dogadać. Być może, że potem złe siły w partii by mogły jeszcze raz nas wymanipulować, to niewykluczone, ale szanse były.

Były, natomiast ich zawiodły nerwy. Chwała im za to, że ich nerwy zawiodły, bo przez to oni się po prostu totalnie skompromitowali. To znaczy od dnia 13 grudnia 1981 r. oni nie mogą liczyć już na ludzi, którzy by chcieli dla nich coś zrobić z własnej nieprzymuszonej woli, z jakichś głębszych pobudek. Zostali tylko tacy, którzy albo są kompletnie wystraszeni i wiedzą, że się boją, albo kanalie, albo tacy jacyś tam...

Z konieczności życiowej.

Tak. I to wszystko. Natomiast ideowców...

Jeden, może pół procenta.

Ładosz może. Więc to jest sytuacja tego typu.

Nie, co do tego to ja powiedziałbym, że po tylu rozmowach, któreśmy tu przeprowadzali, to jak gdyby wszyscy się zgadzamy. Tu się trudno spierać. Dobrze, że w pańskiej argumentacji jeszcze raz to padło. Natomiast na ile teraz można znaleźć jakąś przekładnię, jakiś tryb, który by sprawił, że ta powszechna świadomość negacji, odejścia...

Stanie się faktem, w sensie politycznym jakimś, społecznym?

Tak, zaczniesz się zamieniać w fakty realne, społeczne, polityczne. Stąd też było to moje pytanie o spirale, że z jednej strony jest bardzo dobrze, ale z drugiej strony jest bardzo źle.

Bo zawsze tak jest, zawsze jest bardzo dobrze i bardzo źle, problem po prostu polega na tym, jak te proporcje się układają i jaki skutek ma to, co dobre, na to, co jest bardzo źle. To znaczy na przykład czy przykręcanie represji z ich strony spowoduje wzrost posłuszeństwa społeczeństwa i strach, czy odwrotnie, wściekłość, mnożenie się jakichś inicjatyw, jakichś działań, determinację ludzi.

Tak, ale ja myślę, że ten system operuje jeszcze bardziej subtelną skalą terroru, mniej widoczną, i jak gdyby w ostatnim czasie to widać.

Tak, tak.

Przejdźcie na krótkotrwałe kary, szukanie u Bratkowskiego nie przede wszystkim człowieka, który mówi co innego, tylko człowieka, który miał jakieś tam dolary. Represjonowanie robotnika, na 3 miesiące wsadzanie go, wypuszczanie, systematyczne krzywdzenie go w pracy w sprawach premii, w sprawach pensji. Jest to szalenie uciążliwe. Ten system znakomicie umie tym manipulować.

Niech oni sobie to robią. Otóż powiem tak. Nam do szczęścia są potrzebne 3 elementy. Nam jest potrzebne paliwo, potrzebny jest lont i potrzebny jest do tego ten ogieniek, który po tym loncie do tego paliwa

dojdzie i zapłonie ten gniew, który w narodzie jest. Bo tylko z tego można coś konstruktywnego zrobić, jak to dowiódł Sierpień. Polska dziś jest beczką prochu. Władza swoimi działaniami, zwłaszcza po 13 grudnia, ten proch ładuje. Ten proch jest różny, to jest sytuacja krzywdy, niesprawiedliwości, to jest każda łza, każdy człowiek zamknięty niesłusznie, wyrzucony z pracy, każda niesprawiedliwość, która jest kojarzona z tym systemem, każde łajdactwo. To są te odrobinki prochu, które wpadają do tej beczki. Ta beczka wybuchła w różnych momentach. Raz w 1956 roku zapłonęła, ale nie spłonęła, wypaliła się. Znowu ta władza naładowała prochem, w grudniu 1970 roku wybuchła, też zapłonęła i zgasła. „Pomożecie?” – „Pomożemy”. W Sierpniu wybuchła, zapłonęła, i coś z tego stało się...

Przed wszystkim stało się w sferze świadomości.

Nie tylko, są rzeczy znacznie ważniejsze, świadomość jest podstawowa.

To przejdźmy do tych.

Mianowicie od Sierpnia ta beczka ma lont. Co to znaczy? To oznacza, że istnieją grupy, istnieją ludzie, którzy w świadomości społecznej będą wiedzieli co zrobić z sytuacją, kiedy ona wybuchnie. Sierpień, jeżeli był konstruktywny, w przeciwieństwie do Grudnia, to dlatego, że społeczeństwo tak czy inaczej wiedziało, że jest jakaś opozycja. Ludzie w 1970 roku byli bezradni. No bo co? Wyjść na ulice, spalić komitet i co dalej? Nic. Natomiast tu wiedzieli, że jest ktoś, kto myśli, że może być jakiś program, że są jakieś możliwe działania, są jakieś zorganizowane siły. To nieważne, że te siły były słabe i małe, to nieważne, że ci ludzie mogli nie sprostać temu zadaniu, ale w świadomości społecznej to było. KOR istnieje, jakieś ROPCiO, jacyś tam ludzie działają. I to w momencie Sierpnia zaowocowało. Otóż niech pan popatrzy, że w tej chwili istnieje powszechna świadomość, że istnieje TKK, jest Bujak, jest Wałęsa, jest Kuroń, jest Moczulski, jest tam jeszcze ktoś. Myślę, że jest tam gdzieś jeszcze Szeremietiew, bo trzeba też własny ogonek chwalić, jak każda pliszka to robi. Otóż ludzie o tym wiedzą, i to jest ten lont. I teraz

co nam potrzeba, nam jest potrzebna oczywiście iskra. Jest naiwnością zawodowych rewolucjonistów, którzy myślą, że można coś takiego wywołać, sprowokować, spowodować. Nie, my nie możemy tego wywołać. Z tej prostej przyczyny, że po pierwsze mechanika procesów społecznych jest ciągle zagadką, najmądrzejszym socjologom się nie udało tego problemu rozwikłać. Bo jak to się dzieje, że było spokojnie a nagle coś wybucha? Albo było podminowane i nic. Nie wiadomo. Otóż tu się coś stanie. Nie jestem pewien, kiedy się stanie, gdzie się stanie, czy to będzie w Katowicach, czy to będzie w Gdańsku, czy to będzie w Warszawie, czy to będzie w Lubinie, czy w Dzierżonowie – nie wiem. Ale gdzieś się to stanie, ten początek od którego ruszy lawina. I wtedy okaże się, że można. Ludzie wiele razy uważali, że nie można, nie udawało im się, a naraz okazuje się, że można, że możemy, że możemy robić niezależny związek.

Twierdzą, że my w tej chwili mamy wszystkie warunki, aby przewidywać, że nastąpi kolejny wybuch społeczny. Musi on nastąpić, z tej prostej przyczyny, że ta władza nie zdołała rozwiązać żadnego z istotnych problemów, które spowodowały Sierpień 1980. Mało tego, pogłębiła to wszystko, skompromitowała ten system, odrzuciła ludzi, którzy mogli być dla tego systemu pomostem między nią a społeczeństwem. Mało tego, obeszała się z nimi powiedziałbym nawet dość brutalnie, aż jestem zdziwiony, że można coś takiego zrobić. Bo nie dziwię się, że mnie, tak zwanego ekstremistę tak potraktowano. Ale na przykład padło tutaj nazwisko Stefana Bratkowskiego. Przecież to człowiek, który dla nich był idealny. W tym sensie, że był komunikatywny społecznie, inteligentny, bystry. Jest fachowcem, a poza tym jest o przekonaniach socjalistycznych. A więc u diabła – dlaczego to zrobiono? Okazało się, że lepszym specem od socjalizmu jest Urban niż Bratkowski, proszę bardzo, jak ktoś chce się tak bawić, to niech się bawi. Natomiast oni niczego nie rozwiązali. Społeczeństwo czeka, społeczeństwo chce. To prawda, że na co dzień mamy tych ludzi zagonionych, szarych, przestraszonych...

I co możemy im zaferować?

W tej chwili nic

Jaki program?

Żaden. Musimy dążyć do niepodległości. Kiedy mnie pytają, w jaki sposób odzyskać niepodległość, to ja mówię, że wszystkie drogi prowadzą do niepodległości. Pod warunkiem, że wiemy, że idziemy do niepodległości, że po drodze tej niepodległości nie rozmienimy na jakieś rokowania, które spowodują następny 13 grudnia. Bo trzeba pamiętać o bajce towarzysza Stalina o sojusznikach, nie wiem, czy pan pamięta?

Nie bardzo.

Była taka bajeczka. Towarzysz Stalin powiedział, że partii bolszewickiej są bardzo potrzebni sojusznicy. Przy czym ci sojusznicy to powinny być takie garneczki gliniane, a nasza partia bolszewicka garnek żelazny. My te garnki wszystkie wkładamy do worka, potrząsamy tym workiem. I co mamy? Skorupki i żelazny garnek. Otóż trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że rokowania z bolszewikami, z komunistami, z tą władzą PZPR, z jej strony mają na celu uczynienie z nas glinianego garnka. Glinianym garnkiem zrobiono kiedyś PSL, Stronnictwo Pracy, Caritas. Usiłowano Kościół zrobić glinianym garnkiem – nie udało się. Usiłowano zrobić gliniany garnek z Solidarności. Proszę bardzo, rozmawiajmy, jak to mówił Rakowski. Chcieliśmy robotników, chcieliśmy się z nimi dogadać, a oni nie. Otóż nie udało się zrobić ze związku glinianego garnka. Trzasnęli nim, niby coś się posypało, ale ten garnek jest poobijany ale cały. Okazało się, że on nie jest gliniany, cholera.

Otóż chwilę temu mówiłem, że idziemy do niepodległości. Każda działalność jest formą zdobywania niepodległości. Bo w momencie, kiedy człowiek ma odwagę powiedzieć jakie ma poglądy, to on już jest o jakiś milimetr bliżej tej niepodległości, bo następny, drugi i trzeci będzie to robił. Jeżeli się ukazuje gazetka, czy druk, to też jest element, który nas przybliża do niepodległości, jeżeli jest niezależna demonstracja, jeżeli jest uroczystość, przypomnienie rocznicy. Jeżeli budujemy dużą instytucję społeczną o nazwie związek zawodowy, jeżeli tworzymy partię polityczną, to są wszystko elementy, które w którymś momencie pozwolą nam powiedzieć, Polska już jest niepodległa. Bo mamy własny rząd, mamy własny parlament, mamy tak urządzone nasze państwo, jak sobie

tego społeczeństwo życzy. Otóż czy jest program... Właśnie, pytanie o program...

Ja już je postawiłem wcześniej, tak że nie powtarzam się.

Jakiej odpowiedzi oczekuje zwykle ten, który stawia pytanie? Powinna być odpowiedź taka: należy zrobić a, b, c i d. To znaczy, jeżeli w dniu powiedzmy tym i tym wyjdzie nas pięciu, to do nich się przyłączy dziesięciu, będzie nas dziesięciu, już wiadomo, następnego dnia jeszcze, i teraz to się wszystko będzie sprawdzać. Otóż takiego programu nie ma. Dlaczego? Dlatego że nie wiemy jak się potoczą wypadki, nie wiemy jaka będzie sytuacja, nie wiemy ilu ludzi będzie zdecydowanych na jakieś działania, i tak dalej, i tak dalej.

Moczulski w takim momencie powiedział, że wyjdzie 5 milionów robotników na ulice i nikt im nie da rady.

Może tak będzie, nie wiem. Wiem jedno. Założyłem sobie w mojej koncepcji, że przed nami ciągle stoi szansa, sposobność zwycięstwa. Ja nie chcę być taki pewien, że jest, ja mówię, że jest duża szansa, i że tę szansę zdołamy wykorzystać. Być może przy najbliższej okazji i postaramy się wykorzystać ją dobrze, mamy doświadczenia sierpniowe, grudniowe, to co się działo później, wiemy z kim mamy do czynienia już w tej chwili na pewno. Po cichu powiem – od początku nie miałem złudzeń co do tego, jakkolwiek mam oczywiście pod własnym adresem również pretensje o to moje zachowanie, które było między Sierpniem a Grudniem. Na pewno można było inaczej i coś więcej. No ale trudno, na błędach się ludzie uczą. Ktoś mówił uczta się na uniwersytetach, nie na błędach. Więc tutaj na pewno można było coś więcej zrobić. Ale myślę, że wykorzystamy naszą szansę, mamy doświadczenie, mamy kadrę, mamy ludzi, mamy również struktury, mamy niezależną myśl i mamy ogromne pokłady społecznego zniecierpliwienia, które tak czy inaczej muszą znaleźć swój wyraz.

Ja to wszystko rozumiem, tylko powiem brutalnie...

A co teraz?

Kto na to pozwoli?

Kto na to pozwoli?

Ta logika wewnętrzna polskiego społeczeństwa, tych działań, to wszystko ja akceptuję, zgadzam się. Jest wielki potencjał ku temu, jeszcze w tej wizji, że krok po kroku. Nie mam żadnych zastrzeżeń.

Krok po kroku albo będzie skok.

Albo jakiś skok, prawda. Tylko pytam się (to według mnie jest mimo wszystko przyzwołe pytanie), co na to blok socjalistyczny, co na to Związek Radziecki?

O, a to jest pogawędka, że tak powiem, na parę dni, jeżeli byśmy chcieli ten problem jakoś wyraźnie rozstrzygać. Oczywiście, że planujemy nasze zachowania, nasze działania i planuje się politykę...

Jak gdyby tego nie było.

Nie, polityka to jest pewne ryzyko. Jak powiedziałem, chcę być w polityce fachowcem. Ale z drugiej strony...

Muszę być wizjonerem.

Może wizjonerem to takie za górnołotne. Chciałbym po prostu powiedzieć, że trzeba mieć pewne wewnętrzne przekonanie do tego, co się robi. Założyłem sobie pewną koncepcję. Uważam, że ją będzie można zrealizować. Mogę się pomylić oczywiście, może się nie udać. Po prostu przygotowuję się na sytuację, w której będę mógł tę koncepcję realizować. W tym oczywiście spoglądam z ogromną uwagą na Związek Radziecki, ostoję pokoju i socjalizmu, i tę władzę, która w tym kraju jest. Nie bagatelizuję jej. Wręcz odwrotnie, wydaje mi się, że przeceniam jej możliwości. Twierdzę, że przeciwnika należy raczej przeceniać niż nie doceniać, bo potem mogą być przykre rozczarowania. Otóż ta władza oczywiście ma pewne możliwości manewru, na szczęście manewruje dla siebie ciągle głupio i źle, i ona może jakoś tam przez jakiś czas, to repre-

sjami, to strachem, to tym, to tamtym, to owym... Ale przypominam to, co ja powiedziałem przedtem – w którymś momencie gdzieś się zacznie. Po prostu liczę na to. Liczę na to, że oni gdzieś popełnią błąd...

Liczy pan na to, że po prostu w pewnym momencie Związek Radziecki jak gdyby uzna tę naszą wewnętrzną polską specyfikę, to nasze dążenie i zaakceptuje. Bo innej logiki jak gdyby nie ma. Chyba, że logika taka, że to się rozpadnie, to imperium.

Można i o tym myśleć, ale nie myślmy o takich wielkich rzeczach. To byłby oczywiście ideał. Jeżeli założyć, że Rosjanie nie idą na rozwiązania typu wojennego, jeżeli idzie o Zachód, że im zależy na jakimś dogadaniu się z Zachodem i jeżeli wybuch, który będzie miał miejsce w Polsce, będzie stosunkowo krótki, i w czasie tego wybuchu uda się społeczeństwu jak najwięcej zdobyć... Na przykład ideałem byłoby, gdyby siły niezależne w Polsce zdobyły władzę. To ja myślę, że wówczas Rosjanie będą mieli do wyboru albo interweniować albo rokować.

I co pan myśli, że co wybiorą?

Ja myślę, że wybiorą rokowania.

Jeszcze ani razu tak nie zdarzyło się w historii stosunków z sojusznikami.

Bo ani razu jeszcze nie było takiej sytuacji, żeby ktoś opanował powstanie. Ja nie proponuję posługiwania się tu przykładem węgierskim i czeskim. Z bardzo prostej przyczyny. Otóż między Węgrami i Czechami a nami jest taka różnica, że tam na czele tych procesów, które się działy, stała jakaś światlejsza część partii komunistycznej. I w związku z tym wystarczyło zamknąć kierownictwo partii, to znaczy Nagya i innych w Budapeszcie, czy Dubčeka i innych w Pradze, i kończyło się wszystko. Otóż u nas niech zamkną kierownictwo partii, proszę bardzo...

Ale Jacek Kuroń mówił, oczywiście, że się pomylił, i on mówił to przecież w końcu, że władza jest nasza, że na ulicy, tylko my jej nie

bierzemy, bo nie chcemy prowokować. Były takie buńczuczne fragmenty wypowiedzi Jacka Kuronia.

Jak władzę można brać, to trzeba ją brać.

Były takie. Okazało się, że po prostu ta władza moralnie jest słaba. Według mnie to i tak był cud polityczny, myśmy byli strasznie daleko z tą Solidarnością, jeśli idzie o zbliżenie się do władzy.

Proszę pana, to my byliśmy słabi. Tę władzę można było oczywiście wziąć, tylko nie było nikogo, kto by się na to odważył. I w rezultacie ta władza została w rękach tych facetów z czerwoną czapeczką, zdaje się tak się mówiło, że zostawimy czerwoną czapeczkę. Otóż ja nie radzę zostawiać czerwonej czapeczki, bo dzięki czerwonej czapeczce zawsze się można utrzymać przy władzy.

Nie sądzi pan, że gdyby doszło do takiego szybkiego przejścia władzy przez Solidarność, już realnego, to że byłaby po prostu zwykła interwencja?

Myślę, że nie. To jest wróżenie z fusów. To jest kwestia taka, że operacja przeciwko Polsce to jest sprawa bardzo kosztowna, to nie jest Czechosłowacja. Przypomnijmy, że przeciw Czechosłowacji, która wiadomo było, że się nie będzie bronić, wojska czeskie były...

Lechu Wałęsa też mówił, że jak czołgi przyjadą, to kwiat się włoży...

Oczywiście, kwiat i tak dalej. Wiadomo, że kwiaty nie zatrzymują czołgów.

Inni mówili, że butelki. Tylko że butelki się nie imają tych nowoczesnych czołgów, wie pan.

Nawet butelki. Ja panu powiem, że być może towarzysze z naprzeciwka inaczej by się zachowywali, gdyby wiedzieli, że to nie jest tylko gadanie, że rzeczywiście przygotowane są butelki. Nikt tych butelek nie przygotował.

Ale wie pan, że one się nie imają tych czołgów nowoczesnych?

Może, nie wiem, to coś innego może się da, na wszystko jest sposób. Wie pan, nie o to chodzi. Chodzi o pewien symbol. To znaczy dużo się co prawda mówiło różnych rzeczy i często głupstw, ale przeciwnik doskonale wiedział, że Solidarność, że opozycja się do czegoś takiego nie pali, nie przygotowuje. Widzi pan, kiedy oni atakowali zakłady 13 grudnia, to oni wiedzieli, że ludzie się nie będą bronić, że będą siedzieć...

Powiem panu więcej, z tego co ja domniemuję, to spodziewali się większych ofiar.

Otóż to, oni się spodziewali czegoś znacznie gorszego. Otóż widzi pan...

Ale ofiar o wiele większych.

Tak.

Nie tego, że przegrają, ale o wiele większych ofiar po stronie nas, społeczeństwa.

Tak, no i po stronie ich.

Z tym się tak bardzo nie liczyli.

Ja nie wiem. To jest kwestia tego rodzaju, że nie jesteśmy w stanie powiedzieć, czy Rosjanie by nie interweniowali, czy nie, możemy kalkulować, polityka to jest kalkulacja i przekonanie.

Pańska kalkulacja jest taka, że oni by nie weszli, że zostawiliby Polskę dla nas?

Sądzę, że trudno byłoby im wejść. Po pierwsze oni są tutaj...

Po pierwsze dlaczego.

Po drugie to musiałyby być bardzo duża operacja.

Wojskowa, techniczna?

Wojskowa, techniczna. To znaczy przeciwko Czechom skierowano 800 tysięcy wojska, Czechy, jak wiadomo, są 2 razy mniejsze niż Polska, i jak wiadomo czeska armia z rozładowaną bronią siedziała w koszarach. Otóż stosunek sił był... tam 200 tysięcy chyba jest tych Czechów, a więc 4:1. Żeby być pewnym zwycięstwa trzeba mieć 3:1 (przy założeniu, że nie będzie oporu). Przy założeniu, że jakiś opór w Polsce by był, a gdyby była rzeczywiście determinacja i wola oporu w społeczeństwie polskim, gdyby oni wiedzieli o tym, że są takie przygotowania, że jesteśmy na to gotowi po prostu, to wówczas musieliby zakładać ten stosunek przynajmniej 4:1. Biorąc pod uwagę, że siły Ludowego Wojska Polskiego, podają źródła zachodnie, liczą 300 tysięcy, myślę, że trochę więcej, no to trzeba półtora miliona żołdatów do takiej operacji. To jest duża operacja.

Nie znam się na tym, ale jak pan przewiduje, ile to by dni zajęło sojusznikom, żeby opanować wojsko polskie?

Jeżeli by tylko jechali, no to około dwóch tygodni.

Aż tak długo?

Tak. Bo trzeba pamiętać, że nowoczesna armia musi mieć zaopatrzenie, muszą się skoncentrować wojska, poza tym nie można ogołocić z wojsk NRD myślę, przynajmniej tak dokładnie, trzeba przeprowadzić mobilizację, i tak dalej, i tak dalej

Ale zdaje pan sobie sprawę, że w tym momencie jesteśmy jakby już w najbardziej delikatnym i najsłabszym punkcie pańskiej argumentacji. Bo to, co pan mówi, opiera się tylko na tym – „Ja myślę, że by nie wkroczyli”. Ale doświadczenia historyczne wskazują, że wkraczali.

Wszędzie?

Wkraczali.

Do Jugosławii nie wkraczali. Do Albanii, do Chin też nie wkroczyli. Bo duże, a Jugosławia była daleko? A Albania, która była taka malutka?

Nie, co tam Albania.

A w Egipcie też nie interweniowali, jak sobie przypominam

Ale czy zgadza się pan, że tutaj jest słaby punkt...

Nie, nie zgadzam się.

Czyli liczymy na to, że Związek Radziecki po prostu nie kiwnie palcem i pozwoli ukształtować polską władzę?

Tak nie powiedziałem.

Ja panu powiem, gdyby takie były intencje, to po pierwsze – nie sądzę, żeby Jaruzelski interweniował w sprawie Solidarności, a po drugie – byłoby bardzo blisko tego jakiegoś porozumienia, tej władzy solidarnościowej.

Dlaczego interweniował?

Interweniowali tylko dlatego, poprzez Jaruzelskiego, bo po co mieli sami.

Ależ oczywiście.

Doszli do takiego wspólnego opanowania Polski, że nie muszą sami interweniować.

Oczywiście, nie muszą sami. Ale pytanie, czy mogliby sami...

Dlatego tu jest taki słaby punkt w tym rozumowaniu.

On jest równie słaby w pańskim zarzucie. Bo pan nie ma również żadnych argumentów na to, żeby powiedzieć, że oni są w stanie interweniować. Ja nie powiedziałem, że oni nie będą interweniować, ja powiedziałem, że z tego, co przypuszczam, oni nie powinni interweniować, albo że nie będą mieli okazji do interwencji, możliwości interwencji.

Ale będą chcieli.

Chcieć to oni może by i chcieli, tylko w polityce się robi to, co można, a nie to, co się chce.

Jeśli by się znaleźli w takim układzie jakimś międzynarodowym...

No właśnie, przecież wiele rzeczy wpływa na tę Rosję. Pamiętajmy, że między 1968 rokiem a 1980 którymś wiele rzeczy się zdarzyło, ta Rosja też się zmienia, jeśli idzie o konfigurację, układ sił i jej możliwości. Raz ona może, raz nie może.

Już żeśmy poszli bardzo daleko. Streszczając to, zgodzi się pan, że w pańskim rozumowaniu, które jest bardzo efektowne, które akceptuję, na końcu jest moment tego typu, że po prostu rozstrzygnięcie siłowe, konfrontacja siłowa między społeczeństwem a blokiem – jawna konfrontacja z blokiem.

My tego nie unikniemy.

Ale zgadza się pan, że u końca rozumowania tego jest to?

Tak, Polska będzie wtedy wolna, kiedy odzyska niepodległość, a na pewno odzyskanie niepodległości przez Polskę nie będzie w smak temu blokowi. Otóż jeżeli uznamy, że program niepodległościowy jest nierealny i nie warto o to strzępić jęzora, to ta zabawa w ogóle jest bez sensu. Bo wtedy największe możliwości jakies tam wynegocjowane, wymanewrowane jakies wolności, oni panu po sezonie politycznym odbiorą, jak się umocnią, i będzie pan znowu siedział w tym samym. Ich już było tak dużo, proszę, przyjechały czołgi i guzik, nic nie ma.

Czyli nasze rozumowanie, czy nasza największa nadzieja opiera się na tej konfrontacji siłowej. Ale z kolei jak popatrzymy na mapę, jak popatrzymy na wypowiedzi na przykład polityków zachodnich, weźmy Brzezińskiego, to nikt rozsądny z Zachodu nie wierzy w siłową wygraną Polski...

Mój Boże, a któż w 1914 roku wierzył, że Polska będzie niepodległa? Czytałem taki list chyba z 1913 roku. Pisze facet o różnych rzeczach

(w Zakopanem się to dzieje)... i pisze jest tu taki facet, komendant Piłsudski, z takimi chłopakami, co wystrugane karabiny mają i bawią się w wojsko, to jest rzecz niepoważna i śmieszna. Oczywiście, wtedy to mogło wyglądać niepoważnie i śmiesznie, kto przypuszczał, że będzie...

Nikt nie przypuszczał, że będzie Solidarność.

O właśnie, jesteśmy w domu!

Muszę rozmówcom czasami pomagać.

Na tym polega współdziałanie różnych kierunków i odłamów, które w wolnej Polsce musi zakończyć się w parlamencie jakimś wspólnym głosowaniem nad ważnymi sprawami. Studenci w maju 1968 roku w Paryżu, pisali takie hasła „Bądźcie realistami, żądajcie rzeczy niemożliwych”. Ja myślę, że...

Wprowadź teraz obrośli tłuszczem...

Bo zawsze się obrasta tłuszczem.

Prowadzą te swoje manufaktury.

Tak, na szczęście oni nie muszą odzyskiwać niepodległości. My nie możemy prowadzić manufaktur, pan gdyby nawet chciał...

Nie dam rady.

Nie da rady, nie zrobi pan dziennika, który będą kupowali, ni cholery. Ja żebym nie wiem jak chciał, to prawnikiem w tym interesie nie będę, bo to prawo jest takie, że Jezus Maria, lepiej nie mówić. Więc co ja mogę. Czy ja mógłbym być na przykład prokuratorem? Nie. Czy ja mógłbym być sędzią? Nie. Radcą prawnym, co, oszukiwać innych? Więc nie. Otóż my jesteśmy w innej sytuacji, oczywiście, nami kierują jakieś nadzieje, my przekonałiśmy się na własnej skórze, że rzeczy niemożliwe stają się rzeczami możliwymi. Co to było do ciężkiej cholery, przepraszam, to był sen złoty? Tak jakoś przeleciało i nie ma nic. Nie, są fakty na to. Jeżeli ktoś nie wierzy, niech pojedzie do Gdańska albo

do Poznania, popatrz sobie na pomnik. On jest! To stanęło wbrew tej władzy! I popatrzcie jaka ona jest słaba, ona ten pomnik by chętnie zniszczyła, ale nie może, a on stoi. Otóż myślę, że taki pomnik gdański jest w każdym z nas, i tego ta władza już nie może ruszyć. A skoro on jest w każdym z nas, to któregoś dnia w tej Polsce stanie pomnik znacznie większy, którego też nie będzie można ruszyć. Głęboko w to wierzę, ja myślę, że oni nie będą w stanie tego ruszyć. Powiedziałem, polityka to jest kwestia siły. Oni muszą wiedzieć, że my jesteśmy zdeterminowani, że my się ich nie boimy. Oni muszą wiedzieć, że my jesteśmy gotowi na wszystko. Piłsudski powiedział: ludzie by chcieli, żeby niepodległość Polski była możliwa za parę kopiejek, tak jakoś tanio. Wielkich rzeczy, proszę pana, nie kupuje się małą ceną.

Tak, ale był jednak, powiedzmy sobie szczerze, poza tym, nie negując absolutnie, był układ, gdzie nasi...

układ, układ, zawsze jest jakiś układ.

Układ międzynarodowy, był wspaniały.

Wspaniały, wspaniały, wspaniały. A gdyby w tym wspaniałym układzie Francuzi się nie zachowali?

Jeśli na Jałtę teraz popatrzymy, na stosunek zachodu do Jałty. Czy widzi pan nadzieję?

Widzę nadzieję, oczywiście.

Czy po prostu upchnięcie nas w konieczności geopolitycznej?

Nie, nie. Myślę, że Zachód też się już zorientował na czym ta zabawa polega. Z tym, że Rosjanie nie dotrzymują układów.

I tu jesteśmy znowu przy bardziej realnym nurcie rozmowy.

Otóż to. Nasze zwycięstwo, jeżeli ono nastąpi, ja twierdzę, że ono nastąpi, będzie wtedy, kiedy my, po pierwsze – pozbedziemy się złudzeń co do tego, że można znaleźć jakiś *modus vivendi* z tym interesem,

który nas otacza, i że można... pamiętam, były jakieś takie pomysły, że to jakaś taka Finlandia, czy coś tam może być. Niestety, to wszystko jest niemożliwe. Ja powiedziałem, że jestem moralistą, że chcę politykę traktować realnie, otóż kiedy pada słowo realista, to się Polakom na ogół źle kojarzy. Dlatego, że u nas, nie wiem dlaczego, słowo realizm zostało przychepione do ludzi, którzy nigdy nie byli realistami.

Do oportunistów.

Można uważać oportunizm za metodę na załatwienie czegoś, ale ja mówię o tych tak zwanych realistach sztandarowych, Wielopolski margrabia, czy w innym układzie Roman Dmowski, jako ci realiści. Otóż okazuje się, że ci realiści są realni, kiedy oceniają te wszystkie zewnętrzne uwarunkowania i w swojej polityce starają się tak tę koncepcję konstruować, żeby ona te realia uwzględniała. Sympatyczny i przeuroczy Stefan Kisielewski zdaje się miał taką koncepcję, żeby rozmawiać z Rosjanami za plecami partii komunistycznej. He, he, he...

Już się spieszą. To już by rozmawiali z Wałęsą.

A po co? Oni będą gadać wtedy, jak nie będzie komu odbierać telefonów w Warszawie, a dopóki jest komu odbierać, to oni będą rozmawiali z kimś, który słucha telefonu. Otóż ten realizm jest tak realistyczny, że myśli o wszystkich realiach, tylko zapomina o jednym podstawowym – mianowicie o Polakach. Jeżeli chce się prowadzić politykę realistyczną i chce się być realistycznym politykiem w naszym kraju, to trzeba pamiętać kim są Polacy, jakie są ich emocje i nastroje. To w polityce wbrew pozorom jest bardzo realny element. Po co Piłsudski mówił o imponderabiliach? Są to rzeczy takie, których zważyć, zmierzyć nie można, a stoją faceci i „wyciągają zajączka” wszyscy, „Boże Ojczyznę wróć nam Panie wolną” śpiewają. Jak wolno było, to się okazało, że i Matka Boska się pojawiła na sztandarach, Bóg, Honor, Ojczyzna i krzyż, i orzeł w koronie, i tak dalej, i tak dalej. Otóż można sobie z tego dowcipkować, ale nie można tego lekceważyć. To jest realne. Jeżeli w koncepcji politycznej zapomina się o tym, to się nie jest realistą. Margrabia Wielopolski o tym

zapomniał. Zastanawiał się jaki jest układ kamaryli na dworze carskim, co car może, i z którym trzeba wypić ministrem, z którym pogadać, a zapomniał o tym, że jak zrobi brankę, to mu powstanie wybuchnie.

To co pana łączy z tym nurtem jak gdyby narodowym, jeśli tak pan trzeźwo ocenia na przykład Dmowskiego.

Z nurtem narodowym? Zależy co pan rozumie przez nurt narodowy?

Bo w pewnym momencie pan powiedział, że KOR to nie była ta ścieżka, która pana interesowała politycznie. Więc jak by pan się usytuował między tym skrótem, którym w Polsce się posługuje jak wytrychem, obóz narodowy, nacjonalistyczny a KOR...

Panu chodzi o to, jak by to zrobić, żeby z tej przeszłości takie te...

Jakieś wątki do wzięcia.

Uważam się za konserwatystę w nowoczesnym rozumieniu tego słowa. Czuję się takim konserwatystą, powiedzmy, jak amerykańscy republikanie, czy brytyjscy konserwatyści. Uważam, że należy iść naprzód, nie zapominając o tym skąd się wyszło i co się ze sobą niesie. Nie jestem zwolennikiem koncepcji endeckiej, dlatego że Roman Dmowski dla mnie, jak powiedziałem, nie był politykiem realistycznym. Niech pan zauważy, że on co pewien czas wygłaszał pewne poglądy i zmieniał je, natomiast cała droga życiowa Romana Dmowskiego jest usiana jego zwolennikami, którzy zostali na jakimś etapie jego poglądów. Była tak zwana stara endecja, potem była młoda endecja, potem była jeszcze młodsza, i tak dalej, i tak dalej. Było takie skrzydło, które poszło w kierunku sanacji i było takie skrzydło, które poszło w kierunku wręcz odwrotnym, i nawet PAX jakoś się z tego wzięł po drodze. Nie jestem zwolennikiem koncepcji endeckiej, również i dlatego, że koncepcja endecka, jak wiadomo, w gruncie rzeczy przekreśla to, co było w Polsce naprawdę wielkie. Powiem rzecz straszną dla Narodowych Demokratów, ale rzeczą wielką w naszej przeszłości była wielonarodowa Rzeczpospolita. Otóż koncepcja endecka to przekreśla. Weźmy antysemityzm – jeżeli Dmow-

ski coś takiego w ogóle zacząć poważnie rozpatrywać w kategoriach jakichś koncepcji politycznych, to jest dla mnie paranoja.

Oczywiście.

Mam w sobie, w swoich żyłach, sporo krwi rosyjskiej. Czy z tego powodu ja mam się czuć gorszym Polakiem? Czy mam prawo odmawiać polskości, czy podejrzewać kogoś o gorszy gatunek polskości dlatego, że ma inną krew w żyłach? Artur Oppman piękny wiersz kiedyś napisał – tam się powtarzał taki motyw, za kroplę niemieckiej krwi w moich żyłach powinienem bardziej stać w bitwach. On czuł dziedzictwo niemieckie a jednocześnie czuł się Polakiem. Ktoś inny może czuć dziedzictwo żydowskie i też czuć się Polakiem. Ktoś inny może czuć dziedzictwo ukraińskie i też może być Polakiem. Ktoś inny może być po prostu Ukraińcem, Żydem, Niemcem i jednocześnie być lojalny wobec Rzeczypospolitej, bo u nas tak było.

Było tak.

To zostało zniszczone. Przecież to nacjonalizmy po I wojnie światowej (polski nacjonalizm, ukraiński nacjonalizm, litewski) spowodowały, że nie odrodziła się Rzeczpospolita. A gdyby się Rzeczpospolita odrodziła, to nie byłoby tego co mamy, bo byłoby to państwo nie do ugryzienia. Józef Piłsudski – ciągle się na niego powołuję, bo jest to człowiek dla mnie najbliższy ideowo, czuję się z nim najmocniej związany i uważam, że to nie jest tylko sentyment do historycznej postaci, uważam, że to jest koncepcja aktualna i słuszna politycznie – otóż Józef Piłsudski powiedział w pewnym momencie: ja przegrałem swoje życie, bo nie udało mi się stworzyć federacji. Dlatego powiedziałem, że jestem przeciwny koncepcji endeckiej, bo ona przekreśla to, co było wielkie. My jesteśmy narodem zbyt małym, aby można było na zasadach nacjonalistycznych egzystować. My możemy tylko wtedy być wielkim narodem, jeżeli będziemy otwarci, jeżeli będziemy przyjmować od innych, jeżeli nie będziemy zamknięci w sobie, nie będziemy się bali po prostu. Rzeczpospolita taką była. Chciałbym, jeżeli tutaj

już o tym mowa, żeby nam się to ziściło. Dlatego dużo rzeczy się stało złych, my wiemy doskonale, że wyrzynaliśmy się nawzajem z Ukraińcami, ale o ile dobrze pamiętamy to, że Ukraińcy piłami tam gdzie naszych rodaków przycinali, to słabiej już pamiętamy, że w 1921 roku, podpisując układ pokojowy z Rosją radziecką, zdradziliśmy naszego sojusznika ukraińskiego. Zdradziliśmy. Ukraińcy zostali wystawieni do wiatru. Nie było ich wielu, można powiedzieć, ale walczyli po polskiej stronie i wystawiliśmy ich do wiatru. Oczywiście, że można powiedzieć, że żydowska mniejszość w okresie międzywojennym była w swojej masie państwu polskiemu niechętna. Był to potężny problem. Trudno powiedzieć jak on by się rozwiązał. Wiadomo było, że komuniści, partia komunistyczna w głównej mierze czerpała swój aktyw z szeregów ludzi, którzy byli pochodzenia żydowskiego. Wiadomo, że po wojnie w szeregach MBP było bardzo wielu Żydów. Ale z drugiej strony pamiętamy, że w getcie warszawskim wisiały dwie flagi: polska i żydowska. I pamiętamy, że wśród obrońców getta byli Żydzi, żołnierze polscy, była Żydowska Organizacja Bojowa, ale był też Żydowski Związek Wojskowy związany z Armią Krajową. I ci ludzie pod flagami Rzeczypospolitej walczyli, pamiętamy o tym. Musimy pamiętać również i o Niemcach. Byli Niemcy, którzy zdradzili, byli piątą kolumną. Miałem taką przykrą sytuację sam, bo ulegałem temu schematowi. Byłem gdzieś w Wielkopolsce w jakimś miasteczku i w pewnym momencie patrzę, że jest grobowiec i jest tam Niemiec pochowany. Coś tam powiedziałem. „Niech pan tak nie mówi”. „Dlaczego?”. „Dlatego, że on w 1939 roku przeciwstawił się Niemcom, powiedział, że jest Polakiem i został rozstrzelany, ten Niemiec”. Czy ja mam o takim człowieku zapomnieć? Otóż mnie te wszystkie sytuacje przecina koncepcja endeccka. Dlatego powiedziałem, że nie mogę się na nią zgodzić. Z drugiej strony nie jestem socjalistą, nie mam przekonań lewicowych i dlatego mogę z Jackiem Kuroniem rozmawiać sympatycznie, lubię go, to jest inteligentny człowiek, ma ogromne zasługi, ale jednocześnie nie będę, że tak powiem, w jego ekipie. Z tej prostej przyczyny, że po prostu to nie jest moja parafia.

Jakie słabości pan widzi tego nurtu lewicowego, socjalistycznego?

Podstawowa słabość jest chyba taka, że socjaliści w Polsce dali się komunistom ograbić z socjalizmu. W związku z tym, jak ktoś mówi „socjalizm”, to musi mówić – „Ale to prawdziwy socjalizm”. I już w tym momencie to jest przegrana dla mnie. Bo jeżeli tłumaczę swoje przekonania, że są prawdziwe, bo tamte są nieprawdziwe, to jestem już przegrany. Druga kwestia – sądzę, że współcześnie socjalizm jako pewna koncepcja się nie sprawdza.

Socjalizm ten na Zachodzie, tak?

Tak! Tak czy inaczej te koncepcje socjalistyczne powodują pewną degradację w społeczeństwie. Opieka społeczna, to wszystko, to są rzeczy dobre, ale z drugiej strony jeżeli pójdzie się w te kwestie za daleko, to staje się to, co się staje. To znaczy, na przykład, to jest ochrona wałkoni i leniów. Nie ma tego impulsu, żeby człowiek chciał coś zdobywać. Bo są tacy, którzy zadowolają się minimum i wałkonią się po prostu. Te zjawiska wystąpiły w skali masowej na Zachodzie, one u nas nie występują. Dlaczego? Dlatego że u nas ci ludzie są po prostu biedni. Dlatego gdybym powiedział, że w tej chwili trzeba zrobić jakieś tam cięcia socjalne, to bym wyszedł na wariata. Oczywiście, że nie wolno takich rzeczy robić, bo nasze społeczeństwo jest biedne. Ono się musi najpierw wzbogacić, musi dojść do jakiegoś poziomu dobrobytu, a dopiero potem trzeba zastanowić się, jak te kwestie rozwiązać. Droga jest do tego daleka. Dlatego nie czuję się psychicznie zdolny do tego, żeby być w koncepcjach, które Jacek Kuroń reprezentuje, one są po prostu inne. Natomiast chcę ten wątek zakończyć takim małym kalamburem, jeżeli pan pozwoli. Otóż przed laty, pamiętam, zostałem aresztowany na 48 godzin, i wieziono mnie do jakiegoś aresztu na Pradze. Funkcjonariusz Służby Bezpieczeństwa, który mnie wiozł powiedział mi: „No, proszę pana, wy tu na nas narzekacie, i tak dalej, ale przecież my będziemy wam potrzebni”. Tu mnie zaskoczył, pytam – „Dlaczego?”. „Bo proszę pana, bo jeżeli wy dojdziecie do władzy, to trzeba będzie Kuronia zamknąć”. „Dlaczego?” „Dlatego, że to jest wasz przeciwnik polityczny”.

„Owszem, to jest nasz przeciwnik polityczny, ma inną koncepcję oczywiście, tylko wie pan, do tego policja nie będzie w ogóle potrzebna”. „Dlaczego nie będzie potrzebna?” „Bo widzi pan, w demokratycznych krajach to jest tak, że jest parę partii politycznych i powiedzmy pan Kuroń będzie miał swój program, pan Moczulski swój, my będziemy mieli swój program, jeszcze ktoś inny program, i my te programy przedstawimy społeczeństwu, wyborcy będą wybierać, i jeżeli wybiorą program Jacka Kuronia, to on sformuje rząd, a my będziemy siedzieli na ławach opozycji i głosowali przeciw. A jeżeli my wygramy, to my sformujemy rząd, a Jacek Kuroń będzie siedział na ławach opozycji i głosował przeciw. A do tego nie będzie w ogóle potrzebna policja”. Ten człowiek tego nie zrozumiał. Ale myślę, że czas, żebyśmy to my rozumieli.

Czym się różni pan od koncepcji Leszka Moczulskiego? Bo słyszeliśmy, że jak gdyby się wasze drogi trochę rozeszły.

Nie różnię się, jeżeli idzie o przekonanie niepodległościowe. Na pewno nie różnię się jeżeli idzie o koncepcję. Sądzę, że nastąpił czas, aby koncepcje polityczne były bardziej zdefiniowane ideologicznie. Jak powiedziałem, że uważam się za człowieka prawicy, za konserwatystę, myślę, że dość jasno wytłumaczyłem za jaką prawicę się uważam. Usiłuję coś w tym zakresie robić i myślę, że jest czas w tej chwili na to, aby siły polityczne, jeżeli takowe istnieją w Polsce, nawet zarodki tych sił, żeby formułowały takie wyraźne programy, bo być może społeczeństwo będzie mogło do nich w przyszłości sięgnąć, to trzeba robić. Konfederacja Polski Niepodległej w mojej opinii jest zjawiskiem innym, ponieważ tam jak wiadomo założono pewien pluralizm, że tam faktycznie od narodowej demokracji do socjalizmu, mieszczą się wszyscy, którzy są za niepodległością. A więc jest to partia polityczna wielonurtowa. W praktyce okazało się, że nie bardzo nam to wyszło. To znaczy, że te różnice ideologiczne, o których ja mówię, one zaczęły schodzić jakby na dalszy plan, zaczęła zwyciężać jedność organizacyjna. I Konfederacja akcentując w swoim statucie, w swoich dokumentach, tą wielonurtowość, de facto tak jakby w praktyce ją gubiła. Sądzę, że nie bez powodu tak się działo, bo zawsze pewne więzy

organizacyjne z czasem zaczynają wytwarzać taką wspólnotę, że zaczyna się również upodabniać sposób myślenia i to staje się jakoś jednolite. Myślę, że Konfederacja stoi w obliczu jakiejś takiej definicji własnej ideologii, poza niepodległościową, bo niepodległościowców to w tej chwili jest wielu, a tu chodzi o skonkretyzowany program. My żeśmy taką koncepcję już wybrali, mówię ja i moi przyjaciele...

Czyli poza KPN-em?

Tak, poza KPN-em. Jeżeli nie powiem, co żeśmy wybrali i jak żeśmy to wybrali, to dlatego, że jest to odpowiedź na pytanie, które mi może postawić pan prokurator, a ja nie chcę panu prokuratorowi odpowiadać na pytania, korzystam z możliwości, które przewiduje kodeks postępowania karnego

Ja nie pytam.

Oczywiście ta koncepcja nie będzie tajemnicą, ona się tam pojawi. Jak powiedziałem, nie chcę odpowiadać na pytania pana prokuratora przy okazji tego, co robię, jeżeli coś robię. Druga kwestia...

W każdym razie wasze drogi jakby definitywnie się rozeszły?

Tak. To znaczy obaj jesteśmy niepodległościowcami i sądzę, że widzimy się jako sojusznicy na pewno, natomiast mamy odmienne koncepcje jeżeli idzie o formułę pracy organizacyjnej. Powiem tak, że zaniepokoiło mnie również trochę to, że wokół Leszka zaczęła się tworzyć atmosfera wodzowska. Chcę być dobrze zrozumiany, oczywiście, że przywódcy są wszędzie potrzebni i zawsze, tylko boję się sytuacji, w której przywódca staje się wodzem. Bo jak wiadomo z wodzem się nie dyskutuje, wodza się słucha. Otóż Józef Piłsudski też był wodzem, ale pamiętamy, że był wodzem w wygranej wojnie. W polskich warunkach wodzowie, którzy się ogłaszali wcześniej, zwykle kończyło to się smutno. Przypominam karierę Ludwika Mierosławskiego, to był dyktator, któremu nic się nie udało. Otóż Józef Piłsudski odwrotnie, nie ogłaszał się wodzem, ogłaszali go wodzem jego podkomendni. Powiedziałbym nawet, że jemu to tak

nie bardzo i pasowało, on tam się bronił z tym, w ostatnim okresie życia był dość zgrzybliwy i nieprzyjemny, bo mówił, że wszy go oblażyły. Tak nazywał tych wszystkich, którzy mu kadzili i którzy to jego wodzostwo wynosili pod niebiosa. Niemniej jednak mówię, Józef Piłsudski został wodzem po wygranej wojnie. I ja myślę, że my też będziemy mieli wodzów, że będzie w Polsce wódz na pewno po wygranej wojnie. Myśmy tej wojny jeszcze nie wygrali i nie wiemy kto tym wodzem będzie. Otóż to mnie troszkę tak, muszę powiedzieć w moich kontaktach z Leszkiem, zaczęło jakoś tak dźwięczeć inaczej.

To znaczy poszedł pan do opozycji na znak protestu przeciwko totalitaryzmowi, nie dyktaturze, nie chciał pan być pod dyktatorem w opozycji, tak?

Coś takiego. Widzi pan, istnieje na ogół przekonanie dość powszechne, że dyktatura jest sprawną formą rządów, natomiast demokracja to takie jest rozmemłanie, takie to, takie tamto. Otóż to po pierwsze jest nieprawda, bo istnieją systemy demokratyczne, które są bardzo sprawne. A po drugie – dyktatura może jest i sprawna na krótki okres czasu, ale dyktatura ma to do siebie, że chce mieć podwładnych, a podwładni myślą tylko na rozkaz. Natomiast demokracja mając ludzi wolnych, pozwala im myśleć, i demokracja naprawdę tworzy prawdziwe wartości. I w ciągłości historycznej widać, że to systemy demokratyczne zwyciężają, a nie dyktatorskie. Dyktatury trwają dłużej, krócej, ale zwykle muszą błagać demokrację o pomoc. Przykład sytuacji Związku Radzieckiego, technologii, i tak dalej, i tak dalej. Przypomnijmy sobie sytuację, Polska międzywojenna po dwudziestu latach była w stanie produkować i tworzyć nowoczesną myśl techniczną, nie było tej luki, jeżeli idzie o czołówkę światową. Przypomnijmy, że była telewizja przed wojną w Polsce, w warunkach eksperymentalnych, ale była, przecież to była ogromna nowość. A jakość produkowanych polskich samochodów? To wszystko było bardzo nowoczesne. Natomiast po czterdziestu latach w Polsce Ludowej trzeba było sięgnąć po licencje do krajów demokratycznych. Dlatego mówię, że jestem zwolennikiem silnych, sprawnych rządów, jestem zwo-

lennikiem władzy, która ma kompetencje. Ale jednocześnie uważam, że tylko demokracja jest w stanie tworzyć trwałe wartości. Chciałbym, żeby Polska tworzyła trwałe wartości i w związku z tym tylko demokracja, moim zdaniem, jest rozwiązaniem i skutecznym sposobem na rządzenie Polakami. Polacy ze swojej natury są antydyktatorscy. Piłsudski jeżeli coś w swojej opinii stracił, to wtedy, kiedy czynił takie gesty dyktatorskie. Jego wielkość w tej chwili jest niekwestionowana, ale były okresy, kiedy był krytykowany. Otóż poszedłem do opozycji dlatego że nie godziłem się na to, żeby dyktatura mną, moimi współrodakami rządziła. I wcale nie sądzę, żeby można było dzumą leczyć cholera. Nie twierdzę, że coś takiego stało się w przypadku Leszka Moczulskiego, twierdzę tylko, że zarysowało się w moich oczach pewne niebezpieczeństwo. My byliśmy w więzieniu, razem robiliśmy różne rzeczy, byliśmy bardzo ze sobą zaprzyjaźnieni. Myślę, że to wytrzyma próbę czasu, chciałbym zresztą, żeby tak było. Ale nie przysięgaliśmy sobie dozgonnej miłości, każdy ma własne poglądy, demokracja polega między innymi na tym...

W każdym razie nie przysięgaliście sobie posłuszeństwa ślepego.

Tak, oczywiście, na pewno nie.

Kończąc tą szalenie interesującą rozmowę, to jeszcze takie pytanie – jak pan widzi przyszłość Solidarności, jak ocenia pan realną siłę Solidarności obecnie?

Solidarność – po pierwsze – istnieje. Po drugie – jestem przekonany, że Solidarność będzie. Przy czym Solidarność będzie jako duży związek. Natomiast, jeżeli to będzie tylko związek, to będzie wielkim nieszczęściem. Dlatego że, jak to ktoś mądry mówił, wszystko jest polityką, ale na szczęście polityka nie jest wszystkim. My musimy mieć świadomość, że bez polityki my naszych problemów nie rozwiążemy. Nie rozwiążemy tego przy pomocy jakichś takich zabiegów związkowych. Żeby zakończyć to, o czym mówimy, to przedstawię może panu mój własny pogląd na to jak klasyfikuję siły polityczne w Polsce, które funkcjonują, i co z tego wynika dla nas.

Bardzo interesujące, tym bardziej, że wielu ludzi już w tym się troszeczkę gubi.

Istnieją generalnie 3 koncepcje, i tym koncepcjom podporządkowują się, czy w ramach ich działają różnego rodzaju ugrupowania, mniejsze, większe, zespoły ludzi, czy pojedynczy ludzie. Wszystkie te koncepcje w jakimś sensie chciałyby niepodległości. Przy czym jedna koncepcja (do niej należę), jest wyraźnie niepodległościowa i mówi, że to wszystko zależy od tego, czy odzyskamy niepodległość. W związku z tym trzeba wszystkimi drogami zmierzać do niepodległości. Niepodległość już teraz. Mówimy o tym, bo to jest nam potrzebne.

Natomiast dwie pozostałe koncepcje mają trochę inny wymiar.

Najważniejsza z nich i bardzo wpływowa, to jest koncepcja, którą bym nazwał tak, to jest koncepcja poszukiwania *modus vivendi* z władzą, albo też lojalnej współpracy niezależnej struktury z władzą. Co przez to rozumiem? Otóż ludzie, którzy mają doświadczenie głównie poprzez swoją współpracę z Kościołem, mam tu na myśli działaczy KIK-u, mam tu na myśli ludzi, którzy tak czy inaczej nazywamy inteligencją katolicką, w tym bardzo wąskim rozumieniu tego słowa, czyli publicyści i tak dalej, otóż oni obserwując sytuację Kościoła w Polsce powojennej wysnuli wniosek, że skoro uchowała się struktura niezależna, jaką jest Kościół, o której wiadomo, że do władzy się nie miesza, bo nie zamierza władzy odbierać, ale jednocześnie ma własne zdanie, to prawdopodobnie istnieje też możliwość, jeżeli taką lojalną współpracę, w dobrze rozumianym tego słowa znaczeniu... Wiadomo, że to jest lojalny partner i że nie oszuka, to co mówi, to robi, bo na tym polega lojalność, a nie na lojalizmie, to znaczy, że trzymam się klamki. Lojalizm polega na tym, że ja mówię kontrpartnerowi: zrobię to i to, jeżeli ty to i to. Więc ludzie ci prawdopodobnie uważają, że można inną instytucję stworzyć, oni uważali, że taką instytucją będzie NSZZ „Solidarność”. Że związek nie miesza się do polityki, nie chce władzy, natomiast walczy o interesy świata pracy, jest niezależną instytucją, kierowaną przez ludzi, którzy są demokratycznie wybrani, ale jednocześnie jest lojalny wobec tej władzy. I ja myślę, że Lech Wałęsa tej koncepcji w jakimś sensie uległ, może

nawet ulega nadal. No i oczywiście skutkiem tego byłyby jakieś rozmowy, to znaczy tamta strona musi zagwarantować, że będzie respektować niezależność, a ta strona z kolei zagwarantuje, że tę niezależności nie wykorzysta w złym kierunku.

Drugi kierunek to jest kierunek, który rozumuje w ten sposób, że można opanowując różnego rodzaju sfery życia społecznego stworzyć taką siłę, że zmusi się władzę do oddania części imperium, części swojego władztwa. I to się wyraziło w koncepcji – zostawimy im czerwoną czapkę, to znaczy MSW, MON i MSZ, a reszta będzie nasza. Gospodarkę, dlaczego, dlatego że my tą gospodarką będziemy lepiej zarządzać, w interesie tego państwa i żeby gospodarka dobrze funkcjonowała, w interesie społeczeństwa. Dlatego, że jeżeli my będziemy tym zarządzać, to i zachód będzie inaczej reagował, będzie większa swoboda, większa liberalizacja związku, i tak dalej, i tak dalej. A więc trzeba was zmusić do tego, żeście część tej władzy oddali, bo to jest w waszym interesie. Chyba Jacek Kuroń taką koncepcję w jakimś sensie formułował.

No i ta trzecia koncepcja, o której mówiłem, to jest koncepcja niepodległościowa. To znaczy w sytuacji sprzyjającej, przy pomocy masowego wybuchu, przy pomocy zorganizowanego społeczeństwa po prostu odebrać towarzyszom władzę. To oczywiście ta koncepcja jest najtrudniejsza.

I najbardziej ryzykowna, powiedzmy sobie szczerze.

Tak. Natomiast te dwie są nierealistyczne. To jest moje stanowisko, ja tak uważam, że one są nierealistyczne. Dlaczego są nierealistyczne? Dlatego że po pierwsze mieliśmy 13 Grudnia i stan wojenny i właściwie mógłbym już nic nie mówić. A po drugie – żyjemy w państwie totalitarnym, wprawdzie ten totalitaryzm dość kuleje, i wprawdzie on jest dość bałaganiarski, ale jest to jednak totalitaryzm. Naturą totalitaryzmu jest to, co mówił towarzysz Stalin o garnkach, naturą totalitaryzmu jest kontrolowanie wszystkiego i panowanie nad wszystkim. Ten totalitaryzm może się chwiać i on coś może wypuścić z pyska, ale on będzie się starał to szybko w pysk pochwyć. I zauważmy, że oni wprawdzie nie opano-

wali dziś Kościoła, ale oni nadal to czynią, oni się z tym nie pogodzili. Oni musieli się wycofać z odcinka kolektywizacji wsi, ale oni z tego nie zrezygnowali. Oni zgodzili się na stworzenie Solidarności...

Na krótko.

Na krótko. Otóż te dwie koncepcje, mam na myśli tę koncepcję lojalnej, nie lojalistycznej, współpracy niezależnych struktur z władzą, i przy pomocy zorganizowanej części społeczeństwa i odebranie części władzy komunistom są – moim zdaniem – de facto winne 13 grudnia. Dlaczego? Dlatego że stworzyły pewną mityczną sytuację. Jakaś część społeczeństwa liczyła na to, że można będzie Solidarność zachować za cenę takich właśnie ustępstw, to znaczy nie mieszania się do polityki, a jakaś część społeczeństwa uwierzyła, że jesteśmy już tak mocni, że możemy od nich żądać, że możemy im więcej zabrać. Natomiast my byliśmy słabi, zresztą jesteśmy nadal słabi, w tym sensie, że – jak pan powiedział – nasza koncepcja jest ryzykowna. Otóż to, ona jest ryzykowna, sytuacja jest ryzykowna, wszystko co robimy jest ryzykowne. Tylko powstaje pytanie, co w tym wypadku jest bardziej ryzykowne, czy koncepcja niepodległościowa jest ryzykowna, czy koncepcja, zostawiania czerwonej czapczki?

Znaczy koncepcja niepodległościowa ma swoją logikę wewnętrzną. Tylko że wiemy o tym dobrze, że intelektualiści często ulegają tej swojej wewnętrznej, intelektualnej logice, a życie jak gdyby idzie troszeczkę środkiem.

Tak, oczywiście, życie idzie środkiem.

A jakie są konkretne działania pańskiego programu, które przybliżają rzeczywiście ten cel? Praktycznie już mówiąc, pominiawszy tę ogólną koncepcję, którą tutaj cały czas posługujemy się w rozmowie. Jak w praktyce opór, jaki opór, jaka organizacja, jaka to ścieżka, jak ona ma wyglądać dla człowieka, który nas czyta, zwykłego obywatela?

Niestety muszę tego człowieka, który nas będzie słuchał, rozczarować. Nie dlatego, że nie jestem w stanie odpowiedzieć na pańskie pytanie. Po prostu korzystam z artykułu 175 kodeksu postępowania karnego. Niestety jesteśmy w warunkach, jak by to powiedzieć, jesteśmy na wolnym terytorium, ale funkcjonujemy nie w takich warunkach, kiedy można wszystko mówić.

Rozumiem, ale wróć raz jeszcze do tego, że po prostu niepodległość jest wspaniałym hasłem oczywiście i działa na każdego z Polaków. Tylko że w obecnej sytuacji politycznej świata...

Jest to nierealne...

Czy ekonomicznej, w układzie sił między Wschodem a Zachodem, ten moment jest po prostu, tak jak powiedziałem zawieszony, jak gdyby w przestrzeni i w czasie. Każdy sobie pięknie z Polaków umie tę niepodległość wyobrazić...

Nie widzieli a uwierzyli...

Ale jak ją osadzić w konkretnym czasie, w przestrzeni, to pańska koncepcja jest również pod tym względem trochę nierealistyczna jak te dwie.

Nie, nie powiedziałem, że one są nierealistyczne. Źle mnie pan rozumiał. One są inne i uważam, że one są w swoich założeniach nieskuteczne. A czy one są nierealistyczne? 13 grudnia dowiedział, że one są nierealistyczne, 13 grudnia nie dowiedział, że moja koncepcja jest nierealistyczna.

No wie pan, gdybyśmy tak prosto zmierzali do niepodległości i gdyby takie możliwości były, mówi pan, że każdy Polak jej chce...

Chce, pan pewnie też?

Ależ oczywiście.

To dobrze, bo już się przestraszyłem...

Każdy jej chce, wie pan. To jeśliby taka sprzyjająca sytuacja, o której nawet mówimy, że jest cudem politycznym, czasy Solidarności z jednej strony, gdzie pokojowo można było brać tę władzę i tę niepodległość a z drugiej strony był 13 grudnia gdzie tutaj pan stawia wyraźnie na pewną konfrontację, gdzie właściwie to społeczeństwo, które tak chce tej niepodległości, mogło jak gdyby, mówił pan nawet o tym, że mogło stawić opór, mogło podjąć walkę i jakoś nie podjęło. Więc ja odwracam pańską sytuację, że jednak i okres Solidarności i 13 grudnia są przeciwko pańskiej koncepcji, bo nikt jej nie wziął.

Nikt jej nie wziął, oczywiście.

Była blisko, nikt nawet 13 Grudnia nie stawiał tego oporu, o którym się rozmawia na przykład z Leszkiem Moczulskim, który mówił, że w pewnym momencie nastąpi taki opór, taka konfrontacja, że po prostu będziemy mieć niepodległość. Ale jak to osiągniemy, to... Całe szczęście, że ma pan tę możliwość, że nie można ujawniać szczegółów, ale w sensie zwartości myślowej, to również wydaje się przeciętnemu myślącemu Polakowi bardzo bliska ta idea niepodległości, ale szalenie jakaś odległa, zawieszona gdzieś nie wiadomo gdzie, w przestrzeni i w czasie. Czy w tym pokoleniu, czy w tamtym, czy w następnym.

Widzi pan, ja nie zdołam pana przekonać o tym, że coś jest realne dopóty, dopóki to nie zaistnieje, więc to jest pierwsze założenie. Po drugie – niepodległość mogła zaistnieć, twierdzą, nie zaistniała, ponieważ było szereg przyczyn, które to spowodowały...

Ponieważ była zła koncepcja Solidarności, Kościoła, tych klubów katolickich?

Między innymi.

A jakby była trochę lepsza, to byśmy wtedy odzyskali niepodległość?

Niewykluczone

Jak? Doszlibyśmy do tego?

Myślę, że to są zbyt drobiazgowy rzeczy, wbrew pozorom. Sądzę, że... nie schodźmy do tego, bo my się w tych drobiazgach, w szczegółach, zgubimy i okaże się potem, że nie wiadomo o co chodzi, wracajmy raczej do generalnych spraw.

Ale jeśli mogę panu przerwać, jeśli mogę jeszcze chwileczkę.

Może pan przerwać.

Jeśli nie było realne stworzenie zwykłego związku zawodowego, który się wyklarował, że nie jest partią polityczną, tylko związku zawodowego, wydawało się, że to już, już jest możliwe. Jeśli nawet to było nierealne, to jak pan uważa, że mogło być realne odzyskanie niepodległości?

Jakżeż nierealne, kiedy to było realne, bo ten związek egzystował, istniał, co znaczy nierealne?

Nierealne w kontekście 13 grudnia.

Dlaczego?

Dlatego, że 13 grudzień rozwałił te porozumienia.

13 grudnia wcale nie rozwałił Solidarności. Chodziło panu o to, że przewodniczącym Solidarności wysuwano fotele spod tyłków, a to rzeczywiście. Władek Frasyniuk zamiast siedzieć na wygodnym fotelu jako przewodniczący, siedział ze mną w Barczewie, a to racja. Ale przez to Władek Frasyniuk nie przestał być przewodniczącym Solidarności.

Dobra, ale mówmy poważnie. Jeśli nie było możliwe zachowanie Solidarności jako oficjalnie akceptowanej struktury przez blok socjalistyczny, związki zawodowe w ogóle okazały się... niezależne związki zawodowe okazały się w ogóle faktem społecznym nietolerowanym przez ten system, przez tę część świata, do której my przynależymy. Jak by mi pan mógł, bo przecież mamy tutaj dokładne fakty,

te 16 miesięcy dość dobrze znamy, jak by pan wskazał, jak można było odzyskać w czasie tych szesnastu miesięcy niepodległość? Jeśli to nie było akceptowane przez blok socjalistyczny, jak by była niepodległość w ogóle polityczna, niezależność społeczna, akceptowana przez tą część świata, przez ten blok, w którym my żyjemy.

Dlaczego pan się zastanawia jak by to było akceptowane?

W sposób oczywisty, bo mówię panu, że nie była Solidarność zaakceptowana jako związek...

Ale istniała

Więc jak by pan chciał, żeby była zaakceptowana niepełna jej zależność i suwerenność...

Wszystko zależy od tego, proszę pana...

Operujemy w konkretnych faktach, w szesnastu miesiącach, i niech mi pan pokaże ruchy, które sprawiłyby, że odzyskalibyśmy niepodległość...

Już panu mówię

... wtedy będę usatysfakcjonowany.

Nie będzie pan nigdy usatysfakcjonowany, dlatego że my się różnimy, jeżeli chodzi o nasz sposób widzenia tego, co być może.

Sposób widzenia, to może panu się wydawać, że wcale nie jest taki różny mój wewnętrzny od pana, natomiast ja bardziej liczę się z rzeczywistością.

Pan chce być bardziej realistą.

No nie, bo w pewnym momencie pan powiedział bardzo mądrze, że koncepcje to nie tak wiele znowu znaczą, bo ta iskra, o której pan w pewnym momencie mówił, to nie zależy od tego, czy trzech, czy pięciu intelektualistów wymyśli zwartą, wewnętrznie logiczną

koncepcję. To jest niekontrolowane, to jest nie do wymyślenia, to jest po prostu kwestia reakcji społecznej, ogromnego mechanizmu społecznego. Ale tu, przy niepodległości, upiera się pan tylko przy koncepcji, a już jak gdyby nie myśli pan o realnych możliwościach.

Widzi pan, bo ja myślę o kilku rzeczach, o których nie można zapominać. Wprawdzie powiedziałem to, co pan mówi, to jest prawda. Ale co będzie z tego wybuchu, i czy to będzie konstruktywne, czy to zwycięży, to bardzo wiele zależy od tego, jak ten lont się zachowa i jaka koncepcja będzie organizowała działanie Polaków. Otóż założmy, powstanie znowu Solidarność, jako fakt, w tym sensie, że Władek Frasyniuk wróci na swój fotel, daj mu panie Boże, bo ja tego chłopca lubię, i inni tam, Zbyszek Bujak będzie znowu w Mazowszu urzędował, założmy, że to się stanie. I powiedzmy będzie koncepcja numer jeden, lojalnej współpracy z władzą niezależnej struktury. I usiądą znowu chłopcy do rozmów. Gwarantuje mi pan, że ten związek przetrwa?

Nie.

Nie. No to będzie powiedzmy ta następna koncepcja, to zrobmy tę następną koncepcję. Powiedzmy, że będzie ta siła zorganizowana na tyle, że władze powiedzą zgoda, to my zatrzymujemy sobie Służbę Bezpieczeństwa, Milicję Obywatelską, Ministerstwo Obrony Narodowej, a wy bierzcie się za gospodarkę, róbcie to. Dostaniemy kredyty, licencje napłyną, coś tam nam pomogą, i tak dalej, fajnie będzie. Sądzi pan, że to przetrwa?

Nie, bo 13 grudnia, jak pan powiedział, pokazał, że...

A więc jeżeli będzie siła zorganizowana, to trzeba zabrać im wszystko, taka jest prawda. Albo się to nam uda, albo nie.

Wie pan, jak brzmi pytanie?

Zaraz, zaraz, daj mi pan skończyć. „Jak?”. Proszę pana, „Jak?”, to zobaczy się w praniu. Bo pan by chciał, żeby powiedział teraz „Jak?”. Teraz panu nie odpowiem.

Nie, nie, nie chodzi o szczegóły.

Nawet o ogóły. Proszę pana, Jerzy Łojek, który zajmuje się historią, napisał kiedyś taką fajną rzecz, mianowicie, że dla niego nie jest fenomenem 200 lat walki Polski o niepodległość. Dla niego jest fenomenem, że my 200 lat byliśmy w niewoli. Tak duży naród, z taką kulturą, z taką tradycją, z tysiącletnim państwem, 200 lat nie był w stanie wyrwać się z tego kotła. Dlaczego? Otóż dlatego, że obok koncepcji niepodległościowej, za którą się brało zawsze niewielu, bardzo wielu chciało się dogadywać, albo sądziło, że można będzie jakoś tam wymanewrować tego przeciwnika. I efekt był tego taki, że politykę polską robili chłopcy podchorążowie, którzy biegli, krzyczeli do broni, a towarzystwo zamykało okiennice i zastanawiało się, żeby przypadkiem nie skrócić łba Konstantemu, bo z carem nie będzie się można dogadać. Albo było paru szczeniaków, którzy z karabinkami starymi wchodziło do Kielc, a towarzystwo zamykało okiennice, bo co ci gówniarze nasi, przyjdą Ruscy i zrobią porządek, przecież to potęga. I widzi pan, sytuacja analogiczna, podobna, chociaż inna. Na czym polega mój optymizm i z czego on się bierze? Otóż bierze się on z tego, że w przeciwieństwie do '14 roku, do 1863, '30, a nawet chyba i okupacji, obecnie mamy znacznie więcej zwolenników i ludzi zdecydowanych, którzy chcieliby ten program niepodległościowy robić. I nie ma realnej drogi w tej chwili na odzyskanie niepodległości. Gdybym miał 5 dywizji pancernych, to może bym panu powiedział – „Mam realny program, jutro moje czołgi ruszają na Warszawę, tu zablokujemy wyjście Rosjanom z Legnicy, żeby nie mogli się ruszyć, na Bugu się zarwie mosty”. To jest realny program. Ale nic takiego nie mam.

Wewnętrzne przekonanie.

Wewnętrzne przekonanie i tych na dole, którzy śpiewają „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie”. Ci ludzie nie śpiewają „Wróć nam samorządy” i „Podnieś nam pensję”. Zacząłem mówić o realizmie i na tym realizmie skończyć. Otóż panie Macieju, pan i bardzo wielu ludzi w naszym kraju, którzy kształtują opinię publiczną, którzy są od tego,

żeby wyrażać jakoś opinię, intelektualiści, artyści, i tak dalej, wy wszyscy macie to w sobie, wyście dużo zrozumieli, ale jeszcze nie wszystko...

Kiedy pan źle mnie traktuje. Te moje kontry, które wynikają... to nie są moje poglądy...

A to fe. To nieładnie, to trzeba własne poglądy tutaj prezentować.

Ale bardzo blisko jest moich poglądów, ale ja mam jako dziennikarz obowiązek reprezentować, wie pan, również opinie powszechne.

Dobrze, dobrze, nie bądź pan taki społeczny. Co to znaczy powszechne opinie?

Ale oczywiście, że nikt po prostu nie pójdzie, tak jak pan w pewnym momencie powiedział... nie ma takich tendencji.

Być może trzeba będzie pójść i będziemy szli, być może spotkam pana.

Być może.

Nie daj Boże.

Oczywiście.

Ale po pierwsze – radzę panu, niech pan będzie sobą, będzie pan ciekawszym dziennikarzem. Po drugie tu naprawdę się dużo zmieniło. Ja panu opowiem jeszcze jedną anegdotkę z mojego życia, dobrze? Otóż przed wielu laty byłem w Londynie, raz mi się zdarzyło, wyjechałem, udało mi się. I spotkałem tam Juliusza Mieroszewskiego. Nie muszę panu mówić, kto to był. Wiadomo, że to człowiek, który był kośćcem ideowym „Kultury” paryskiej. Z tym Mieroszewskim spędziłem 2 dni na rozmowach. Byłem wtedy studentem, skończyłem właśnie studia, miałem pewne doświadczenie, bo byłem po wojsku, nie byłem szczeniakiem. Przywiozłem mu takiego małego orzełka z koroną, w Krakowie sprzedawano po złotówce studentom, i to jemu przywiozłem w prezencie. On jest Krakus, on się rozczulił strasznie. A potem po latach prze-

czytałem jego artykuł taki, poświęcony tej mojej wizycie, wszystko tam wskazywało na to, że to chodziło o mnie. I pisze tak, że był zdziwiony, bo odwiedził go młody człowiek z kraju, który posługiwał się językiem, mówił o rzeczach, które są zrozumiałe tylko dla jego pokolenia. Bo pisze, gdyby nie te długie włosy, ja wtedy miałem taką długą plerezę, to ten człowiek mógłby siedzieć razem ze mną na UJ-ocie w 1924 czy w którymś roku. I zastanowiłem się, pisze, czy można być epigonem w wieku dwudziestu paru lat. Ten młody człowiek dowiódł, że można. Bo przecież ta Polska, pisze, jest już inna, tę Polskę, podoba się to nam, czy nie, przeorał socjalizm, i w związku z tym ten orzełek, który on przywiózł, to są już rzeczy, które już przeszły, minęły. Ja mu mówiłem o tym, że Piłsudski, że niepodległość, że to, że tamto wśród młodzieży. „To minęło” – mówi. Dlatego polska szansa to są rewizjoniści. Nam się to może nie podobać, ale to społeczeństwo zrozumie wtedy tylko program opozycji, jeżeli ta opozycja będzie się posługiwała pojęciami z zakresu socjalizmu. Rozumie pan? Naszą szansą są rewizjoniści. Dlatego Jacek Kuroń i jego koncepcja, przy całej mojej sympatii dla tego chłopaka, miała zawsze bardzo dobrą prasę na Zachodzie, ponieważ tam mu wierzone, że to społeczeństwo tak, za przeproszeniem, ten socjalizm przeorał, że tutaj mają szansę tylko rewizjoniści. A taki facet, przepraszam za wyrażenie, nacjonalista polski, co to i orzeł w koronie i Matka Boska, i w ogóle, no to on nie ma szans, to jest epigon, mocium panie. Otóż pan Mieroszewski, który od 1939 roku nie był w Polsce, wiedział lepiej ode mnie jaka jest polska młodzież i jaka jest Polska. A ja twierdzę, że wiem lepiej, i mam na to rozliczne dowody. Ja powiedziałem w sądzie, jeżeli pan jest socjalistą, to będzie panu przykro, ale bardzo przepraszam, niech i tak będzie. Otóż ja powiedziałem w sądzie, że czerwony sztandar nie jest symbolem polskiego świata pracy, dlatego że polski świat pracy wyszedł i na swoich sztandarach umieścił Matkę Boską Częstochowską i orzełka w koronie, i woli kolor biało-czerwony.

Nie, wie pan, jakbyśmy się przekonywali co do rzeczy oczywistych. Ja się zgadzam, że po 13 grudnia nastąpił absolutny renesans

tego typu pojęć, jak niepodległość, symboliki i tak dalej, tutaj nie mamy co się przekonywać, ja tu nie jestem przeciw. Tylko moje zastrzeżenia, czy moje drażnienie, czy prowokowanie pana, jest moim obowiązkiem.

Trzeba, oczywiście, że tak.

Po pierwsze – to jest moim obowiązkiem. A po drugie – zawsze jest tutaj mój zupełnie prywatny niepokój. Po prostu ja wciąż zadaję to pytanie – „jak?”. I nie to pytanie, które mogłoby być kwalifikowane do jakiegoś tam artykułu karnego, jak pan stanie przed prokuratorem. Ale uważam, że nie ma takiej recepty czy takiej tajemnicy konspiracyjnej, tak wspaniale opracowanej, której pan nie może ujawnić, a która mogłaby być receptą na odzyskanie niepodległości.

Pan oczekuje ode mnie, że mam... albo mam, albo powiem panu, że mam kamień filozoficzny.

Nie, po prostu wątpię.

Oczywiście, że nie mam. Wszyscy jesteśmy ludźmi bardzo niedoskonałymi i każdy próbuje.

I to, co bym powiedział, żeby jak gdyby skończyć, że tak powiem, we właściwym tonie, w takim, o jaki chodzi, tę rozmowę, to jest taka sprawa, o której pan mówił zresztą. To jest kwestia zmierzania różnymi drogami, uczenia się kultury politycznej na tyle, żeby różnymi drogami iść do jednego celu. Umiejętność dyskusowania, uczenia się demokracji w takiej dyskusji jak nasza.

Ależ oczywiście.

Uczenie się, uczenie się kultury politycznej, demokracji, formułowania swoich poglądów...

Wie pan, ja bym sobie życzył, żeby doszło do sytuacji, żeby ludzie sobie skakali do oczu a potem mogli sobie dalej rozmawiać normalnie i spokojnie.

A potem wielowątkowo, że tak pracować na tę niepodległość, według mnie bardzo symboliczną, wspaniałą, ale symboliczną...

A według mnie realną, dostępną, i to w bliskim czasie.

Ale co nie znaczy, że tu jest taka zasadnicza różnica między nami.
Nie, różnica nie.

Bo sądzę, że ci, którzy budują samorzady, w jakiś sposób pracują na ewentualną wizję tej niepodległości. Ci, co uczą demokracji, też na tę niepodległość, czy bliższą, czy dalszą, pracują. I tacy dwaj jak my, którzy rozmawiają, a nawet się kłócą, też na tę niepodległość pracują. Kwestia jest tylko, żeby te programy nie były sprzeczne, żeby sobie nawzajem nie przeszkadzały

Tak, to prawda.

I to jest zadanie, sądzę, dla polskiej opozycji, dla polskich intelektualistów. Nikt nie ma, nikt nie może powiedzieć „Mam w kieszeni receptę: odzyskamy niepodległość, czy zrobimy socjalizm według Kuronia, czy zrobimy samorządność”. Nikt tego nie ma. Próbuje my. Ale wydaje mi się, że ten proces dyskusowania, rozmawiania, uczenia się demokracji, kultury, samorządności nawet, o której pan powiedział, że nie jest pierwszym celem, to wszystko, według mnie, dość optymistycznie wygląda, bo nie jest ze sobą sprzeczne.

Tak, oczywiście.

Uważam, że na totalitarny system musi być wielość dróg drażenia tego systemu.

Oczywiście, to jest nasza siła.

To jest nasza siła i sądzę, że tutaj absolutnie pod tym względem jesteśmy zgodni.

Niestety, jesteśmy zgodni pod tym względem.

I ten element tej rozmowy również pracuje na tę niepodległość, dla pana bardzo bliską, dla mnie trochę symboliczną, trochę dalszą, ale tu nie ma wbrew pozorom zasadniczej różnicy.

Oczywiście. W każdym bądź razie na pierwszym, że tak powiem, takim zlocie niepodległościowców, już w wolnej Polsce, dostanie pan zaproszenie, ale będzie pan w ostatnich rządach...

W ostatnich, ale w łoży prasowej?

No właśnie zobaczymy. Zobaczymy, czy pan poprzestanie na tym, żeby być dziennikarzem, czy też będzie pan miał jakieś inne działania. Bo niewątpliwie jakaś partia socjalistyczna pewnie powstanie, tego się nie uniknie.

Nie wiem, mnie żadna partia już nie podnieca. Tak jak nie podnieca mnie jakaś zbyt jednoznaczna, zwarta ideologia. Dlatego że według mnie jednak kryzys ideologii jest wyraźny. Dlatego wtłaczanie się w jakąś wyraźną koncepcję ideologiczną opozycji – uważam, że to nie jest aż taka najsensowniejsza metoda.

Pan jest w dobrej sytuacji, bo pan może na ten luksus sobie pozwolić. Pan mówi tak: „Jak się chłopcom uda, to będzie dobrze, bo będę dziennikarzem niezależnym i tam będę coś robił. Jak się nie uda, to będę nagrywał w Mistrzejowicach dopóki będzie można i robił coś tam jeszcze”. A, widzi pan, ja mam taką sytuację, że albo wygram, albo...

Przegram.

Otóż mówię, że ja wygram.

Ale nawet jakby pan przegrał, będziemy pana szanowali, jako przyszli dziennikarze niezależnej prasy, i będzie pan nie w ostatnim rządzie.

Nie wiadomo, tak się mówi, a potem zobaczymy.

Ale jeszcze na koniec, poważnie co do roli dziennikarza. Uważam, że dziennikarz nie powinien występować, nawet w takiej roz-

mowie... Pan być może sobie przez moment myśli, że dziennikarz to jest facet z jakiejś innej partii, z jakiegoś innego stronnictwa. Moje pojęcie dziennikarstwa, zresztą które realizowałem nawet w tamtej gazecie, polega na tym, że dziennikarz powinien unikać wtłoczenia się w jakiś jeden określony system ideologiczny, bo wtedy staje się przeciwnikiem politycznym pana.

Tak, ma pan rację.

W tym momencie traci podstawową swoją umiejętność moralną i warsztatową, a mianowicie obiektywizm. Dlatego też jestem za tym, że prawdziwe dziennikarstwo, dziennikarstwo przyszłości, o czym zresztą nawet papież Jan Paweł II często się wypowiada do środków masowego przekazu, polega na tym, że dziennikarz się powinien starać, o ile to możliwe oczywiście we współczesnym świecie, uwalniać od przynależności do jednej koncepcji ideologicznej. Powinność dziennikarska jest powinnością bardziej może moralną niż polityczną.

Powinien pan jeszcze nad tym popracować, bo to jednak zdaje się tak trochę jeszcze nie bardzo wychodzi.

Bardzo dobrze, żeby pan zrozumiał z jakiej pozycji były zadawane te sceptyczne pytania. Nie z pozycji politycznego obozu jakiegoś przeciwnika, tylko z pozycji dziennikarza, rozmawiającego z człowiekiem, którego to człowieka trzeba sprowokować, którego trzeba zahaczyć o słabe punkty jego rozumowania...

Nie ma takich.

Dziękuję bardzo.

POLITYKA I UCZCIWOŚĆ

Dnia 1 września 1980 r. minie 12 miesięcy od chwili powołania Konfederacji Polski Niepodległej – jawnej, legalnej partii politycznej. KPN opiera swój program na stwierdzeniu, że główną bolączką nękającą Polskę, jest dominacja Związku Sowieckiego, wyrazem której są rządy komunistycznej PZPR. Bez usunięcia komunistów popieranym przez moskiewskich mocodawców – wszelkie programy naprawy Rzeczypospolitej nie mają szans powodzenia.

Środowiska opozycyjne przyjęły powstanie KPN z mieszanymi uczuciami.

W tym samym czasie, gdy osoby podejrzewane przez Służbę Bezpieczeństwa o założenie niepodległościowej partii przebywały w aresztach jeden z działaczy Ruchu Obrony (środowiska Rady Sygnatariuszy¹) tłumaczył zagranicznym korespondentom, że zakładanie partii politycznych jest przedwczesne i należy z tym poczekać aż do wyzwolenia Polski.

W tym samym duchu wypowiedział się niedawno prof. Edward Lipiński¹¹: „Według mnie czasy nie dojrzały do tworzenia partii politycznych, posiadających własne, zdefiniowane programy polityczne. Je-

¹ Chodzi o tę część ROPCiO, która w wyniku konfliktu Moczulski-Czuma w 1978 r. opowiedziała się przy Czumie.

¹¹ Edward Lipiński (1888-1986) – ekonomista, socjalista (do 1918 – PPS-lewica, po 1946 – PPS, potem PZPR), działacz państwowy w PRL (w latach 1956–62 wiceprzewodniczący Rady Ekonomicznej przy Prezesie Rady Ministrów), uczestnik opozycji demokratycznej (jeden z 14 sygnatariusz Apelu do społeczeństwa i władz PRL z 22 września 1976, który był aktem założycielskim KOR).

dynym bowiem programem w obecnej sytuacji politycznej jest walka o demokrację i suwerenność kraju. Inne sprawy odłożymy na później, kiedy kraj będzie mógł się sam rządzić, ustanie panowanie jednej partii i zależność od obecnego mocarstwa.¹ Wypowiedź E. Lipińskiego spotkała się z polemiką ze strony Leszka Moczulskiego².

Ruch Wolnych Demokratów^{III} w „Oświadczeniu” stwierdził, że powołanie KPN było „sprawą osobistą” tych działaczy Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela, którzy znaleźli się w Konfederacji. RWD akcentując swą odmienność ideową stwierdzeniem, iż uważa PRL za państwo niepodległe, chociaż nie w pełni suwerenne, odmawiał uczestnikom Ruchu Obrony a zarazem działaczom KPN, prawa do wykorzystania Ruchu Obrony jako osłony działalności politycznej³.

Pozostający wówczas w kręgu RWD Marek M. Skuza^{IV} oskarżał KPN o zamiar urządzenia „honorowego pogrzebu” idei Ruchu Obrony a fakt powstania partii oceniał jako niebezpieczny⁴.

¹ Norbert Żaba, wywiad z prof. E. Lipińskim, *Kultura* (Paryż) nr 4 z 1980 r., s. 54–55.

² *Przegląd Krajowy KPN* nr 1 z 1980; por. też omówienie wywiadu w *Przeglądzie Socjalistycznym*, nr 2, s. 33–36.

^{III} Ruch Wolnych Demokratów niewielkie liczebnie (kilkanaście osób), ale silne intelektualnie środowisko, które ukształtowało się w ramach ROPCiO. Wywodziło się ze Związku Młodych Demokratów, który wyrósł na fali Października w l. 1956–57 (Karol Głogowski i Adam Pleśnar z Wrocławia oraz Andrzej Kern, Andrzej Ostoja-Owsiany z Łodzi). W 2. połowie 1978 z RWD związali się także Adam Wojciechowski i Marek Skuza z Warszawy oraz Tadeusz Szczudłowski i Stanisław Załuski z Gdańska. Uczestnicy RWD stali na stanowisku, że PRL jest państwem niepodległym, ale nie jest państwem suwerennym. W ramach ROPCiO środowisko RWD popierało Moczulskiego, ale po powstaniu KPN odcięło się od niego. Wyjątkiem był Andrzej Ostoja-Owsiany, który przystąpił do KPN.

³ *Oświadczenie Ruchu Wolnych Demokratów w związku z powstaniem partii politycznej pn. Konfederacja Polski Niepodległej oraz udziałem w niej niektórych uczestników Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce z dnia 30.09.1979*, tekst powielony.

^{IV} Marek Skuza (1916) – więzień obozu koncentracyjnego, więzień stalinowski, uczestnik ROPCiO (po rozłamie w 1978 opowiedział się za Leszkiem Moczulskim).

⁴ Marek Skuza, *Odwrotna strona medalu*, tekst powielony. Pisał: „Przypieszone cokolwiek narodziny skonfederowanych w KPN twórców politycznych, wywołują przede wszystkim zdziwienie. W krótkim okresie czasu, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej powstają mnogie ugrupowania, z wymaginowanym programem działalności, opartym rzekomo na historycznej tradycji partii socjalistycznej, ludowej, chadeckiej. W początkowym okresie napełniania tych twórców życiem i treścią, ich rzekoma spistość pokrywana jest taną frazeologią (...). Nie mogąc

Nieprzyjazny, a często napastliwy komentarz zamieściły pisma związane ze środowiskiem określanym jako lewica laicka z KSS „KOR” (do tych komentarzy nie zaliczam rozbrajającego poziomem tekstu Walca pt. „Drogą podłości do niepodległości” zamieszczonego w *Biuletynie Informacyjnym KSS „KOR”*^v a nazwanym później przez redakcję *BI* „pamfletem”) [...]. Najbardziej znanym stał się tekst Mieczysława Książczaka⁵. Autor stwierdził, że w skład Konfederacji weszły ugrupowania, o których przedtem nie słyszał. Zapewnił, że nie ma „obiektywnie” środków pozwalających walczyć o niepodległość. „Zatem funkcjonowanie Konfederacji musi ograniczyć się do hałaśliwych deklaracji. Ich skuteczność jest wątpliwa”. Książczak oskarżył założycieli KPN o „obniżanie prestiżu opozycji demokratycznej” i zakończył gromkim zapewnieniem: „Nie weźmiemy udziału w kłamstwie”. Artykuł ten ogłosiło Radio Wolna Europa (RWE) – był to pierwszy chyba przypadek ogłoszenia tak napastliwego ataku na jedno z ugrupowań opozycyjnych⁶.

kierować się w swojej działalności ani zasadami, ani prozelityzmem, żadna z tych grup nie może liczyć na spontaniczną rekrutację zwolenników i w prostej konsekwencji działalność każdej z nich musi się sprowadzać do reprezentowania określonej płaszczyzny interesów”.

^v Jan Walc, „Drogą podłości do niepodległości”, *Biuletyn Informacyjny KOR* nr 7/33, wrzesień – październik 1979.

⁵ M. Książczak, „Iść krzycząc Polska”, *Robotnik* nr 40 z 1.11.1979.

⁶ *Przemiany* nr 2–3/1980, s. 7. Generalnie RWE dość wstrzemięźliwie podaje wiadomości o działalności KPN. Wytlumaczeniem tego może stanowić fakt, że jednym z redaktorów spraw krajowych jest tam p. Tadeusz Podgórski, będący ponadto działaczem tej grupy PPS na obczyźnie, której przewodzi p. Lidia Ciołkoszowa, sympatyzująca z lewicą laicką w KSS „KOR”. W redagowanym przez T. Podgórskiego piśmie *Przemiany* (wyd. RFN) Konfederacja jest ciągle atakowana. Oto przykłady: „Oddzielnie trzeba nadmienić o licznych ostatnio zatrzymaniach przeprowadzonych wśród działaczy KPN, których deklaratywna raczej akcja nie powinna władz aż do tego stopnia niepokoić. M.in. zatrzymano ich wodza Leszka Moczulskiego, ale – najwidoczniej przez »uszanowanie« z reguły tylko na parę godzin”. (w ciągu pierwszego półrocza br. SB zatrzymała Moczulskiego 17 razy na ogół na 48 godzin, choć także i na 36 godzin – R.Sz.). W tym samym numerze na s. 23: „Tak – jesteśmy po prostu mocno zdziwieni, że w oficjalnym organie władz RP na Obczyźnie (patrz *Rzeczpospolita Polska* nr 2/294 z lutego 1980) zaprezentowano na całej pierwszej stronie – z przeniesieniem na drugą – marginesowe naszym zdaniem i w oczywisty sposób pretensjonalne wystąpienie p. Leszka Moczulskiego”. Z numeru 4 *Przemian*, s. 9 dowiadujemy się, że KPN to „hałaśliwe ugrupowanie p. Leszka Moczulskiego używające pretensjonalnej nazwy”. W końcu artykułiku organ p. Podgórskiego radzi, aby KPN zamiast orła w koronie, obrała „symbol kreta”. Teksty, jak widać, nie odbiegają

Podobnie, choć łagodniej w tonie pisze publicysta *Biuletynu Dolnośląskiego*^{VI}, pisma związanego z Klubem Samoobrony Społecznej we Wrocławiu⁷. Autor ten nazwał założenie Konfederacji „decyzją rozłamową”.

Niechętnie KPN stanowisko części KSS „KOR” identyfikowanego z lewicą laicką potwierdzały liczne ataki na Konfederację tak z kraju, jak i w środowiskach emigracyjnych. W Warszawie krąży plotka, że gremium KSS „KOR” postanowiło nie używać nazwy KPN na łamach wydawanych przez siebie pism – i nie używa. Czyżby więc była to postawa taka sama, jak władz PRL? Prokurator wojewódzki w Warszawie przekonywał mnie, że KPN „nie istnieje”. To „nieistnienie” nie przeszkodziło dokonać kilkuset zatrzymań konfederatów tylko w tym roku. Wprawdzie wykaz represji KSS „KOR” też ich nie dostrzega...

Prezentację niechętnych Konfederacji stanowisk można by jeszcze poszerzyć. Nie wszystkie one zasługują na uwagę⁸. Tak czy inaczej część środowisk opozycyjnych przyjęła KPN niechętnie.

Czy powołanie KPN było rzeczywiście tak nagłe i nieprzemyślane? Jest sprawą oczywistą, że organizacyjne szczegóły tego przedsięwzięcia musiałby być ukrywane. Chodziło przecież o skuteczność. Ale przygotowania, początkowo tylko koncepcyjne, trwały od wielu lat. Pamiętam jeszcze rok 1974 – uczestniczyłem w skonkretyzowanych już dyskusjach nad możliwościami i warunkami założenia jawnej partii opozycyjnej o programie

poziomem od pamfletu *Walca*, ale tłumaczą dlaczego p. Podgórski uznał za stosowne ogłosić artykuł *Książczaka*.

^{VI} *Biuletyn Dolnośląski* – wydawnictwo podziemne wychodzące we Wrocławiu w latach 1979-1990. Redakcję tworzyli Henryk Lis, Janusz Łojek (zmarł w listopadzie 1979), Piotr Starzyński i Jan Waszkiewicz. Od grudnia 1979 z *BD* współpracował Kornel Morawiecki – późniejszy wieloletni redaktor naczelny. Pod pseudonimem „Omikron” w *BD* publikował Michał Wodziński.

⁷ Omikron, „Którędy do niepodległości (rzecz o KPN)”, *Biuletyn Dolnośląski* nr 4-11 z kwietnia 1980.

⁸ Leszek Skonka w artykule „Fetysz niepodległości” wywodzi, że reprezentantami idei niepodległości we współczesnej Polsce są... Bolesław Piasecki, Mieczysław Moczar, a wraz z nimi... L. Moczulski, zaś powstanie KPN było na rękę PZPR. Patrz: „Refleksje, propozycje działania”, *Zeszyt 4*, Wrocław, marzec 1980, s. 9. Natomiast kierownictwo PAX twierdzi, że KPN jest dywersją sowiecką przeciwko Polsce. Działalność Konfederacji ma stworzyć Kremlowi alibi do zbrojnej interwencji (moja rozmowa z jednym z członków Prezydium PAX – R.Sz.).

niepodległościowym. O sprawie tej dyskutowaliśmy też w trakcie przygotowań do ogłoszenia „Programu 44”^{vii} w czerwcu i lipcu 1976 r. Na kanwie tych dyskusji został opracowany materiał, w którym zarysowano polityczne i organizacyjne warunki powołania partii w końcu 1976 r.⁹ Początkowo sądziliśmy, że uda się to uczynić w oparciu o kilka środowisk, działających w Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Powołując Ruch Obrony w marcu 1977 byliśmy świadomi, że ta forma działania będzie uzupełniona przez powołanie partii. Co gorętsi z nas sugerowali nawet termin ogłoszenia o powstaniu partii na 11 listopada 1977 r. Nie byliśmy jednak jeszcze do tego przygotowani. Niebawem rozłam (inspirowany po części z zewnątrz) do jakiego doszło w Ruchu Obrony – opóźnił nasze plany. Pracował jednak nadal wąski zespół problemowy. Od stycznia 1979 r. przeszliśmy do bezpośrednich przygotowań organizacyjnych, powołując załóżek przyszłego kierownictwa latem, kiedy zaczęła funkcjonować Rada Polityczna. Datę powołania partii wyznaczyliśmy na dzień 1 września – 40 rocznicę wybuchu II wojny światowej.

Jedną z wielu przesłanek wskazujących na potrzebę powołania partii – już w tym terminie – była ocena sytuacji w środowiskach opozycyjnych. Pierwociny jawnej działalności niezależnej w PRL ograniczyły się do płaszczyzny społecznej (pomoc prześladowanym). Zarówno „KOR” jak i Ruch Obrony dystansowały się do działalności politycznej i apelowały do władz o respektowanie obowiązującego prawa (zwłaszcza ratyfikowanych przez Radę Państwa PRL – Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka). Działalność ta pozwoliła ośrodkom opozycyjnym stworzyć ważne fakty dokonane i zyskać pewien rezonans społeczny. Wkrótce jednak wszyscy mogli się przekonać, że władze PRL nie tylko nie zamierzają przestrzegać ratyfikowanych Paktów Praw Człowieka, ale bez skrupułów łamią każdy przepis Konstytucji, Kodeksu Karnego czy Kodeksu Postę-

^{vii} Autorem „Programu 44” jest Leszek Moczulski, ale dokument ten powstał po konsultacji i dyskusjach z wieloma osobami.

⁹ Kopię tego tekstu pt. „Cele i wytyczne działania” skonfiskowała SB w trakcie rewizji mojego mieszkania w Lesznie dn. 20 kwietnia 1979 r.; patrz pokwitowanie KWMO w Lesznie wystawione przez por. Wł. Stachowskiego – pozycja nr 23.

powania Karnego, jeżeli przepis taki daje jakieś uprawnienia prześladowanym. Przeciwny obywatel, zwracając się o pomoc do ośrodków niezależnych w miarę upływu czasu miał coraz mniejsze szanse na załatwienie swojej sprawy. Aparat represyjny PRL traktuje szczególnie brutalnie osoby z kręgów robotniczych i chłopskich. W tej sytuacji działalność opozycji – pomoc społeczna – traciła coraz bardziej na wiarygodności, skoro brakowało widocznych w każdym środowisku sukcesów. Dodatkowym czynnikiem „straszącym” ludzi stały się programy RWE, w których wiele miejsca poświęcano represjom spadającym na opozycjonistów, a zbyt mało mówiono o programach i osiągnięciach konkretnych grup. W tej sytuacji – grupy opozycyjne stawały się coraz bardziej zamknięte, ograniczając się do działalności wydawniczej i dyskusji wewnętrznej. Powodowało to rozliczne ujemne następstwa. Jedni działacze opozycji obrażali się na „bierne” społeczeństwo, inni obciążali winą za impas współtowarzyszy działania. Zaczęły rodzić się spory i animozje na tle personalnym, skwapliwie podsycane przez agentury. Różnym siłom zależy, aby środowiska niezależne były izolowaną garstką szaleńców, żyjącą własnymi problemami. Skłócone i podzielone wewnętrznie środowisko odstrasza potencjalnych sympatyków. Skierowanie energii na wewnętrzne kłótnie bardzo ułatwiło poczynania SB. W tym zakresie policja odniosła spore sukcesy. Tworzyło się swoiste opozycyjne getto. Aluzje, docinki, napaści pojawiające się na łamach czasopism stanowiły zapowiedź powstawania języka getta, niejasnego dla społeczeństwa i drażniącego osoby spoza kręgu wtajemniczonych. Było dla nas oczywiste, że dalsze wikłanie się w spory i walka o wpływy w mniejszych i większych grupach opozycjonistów nie ma sensu. Należało znaleźć wyjście z zamykającego się kręgu.

Uznaliśmy, że jednym ze sposobów może być wkroczenie z działalnością niezależną na teren polityki. Korespondowało to z naszym planem powołania partii niepodległościowej (choć zasadnicze przesłanki jej powołania były ważniejsze), dawało szansę większej skuteczności. Działalność polityczna polega m.in. na formułowaniu programów, propagowaniu ich i jednaniu zwolenników. Wokół takich zadań można stworzyć zorganizowaną strukturę i skupiać ludzi w działaniu. Represje

spadające na ludzi skupionych wokół programu politycznego są jednym z dowodów, że działalność taka jest dla przeciwnika groźna. Co więcej, represjonowanie ludzi uznających pewien program polityczny uodparnia i cementuje grupę. Mamy tu oczywiście taki rodzaj represji, jaki mogą aktualnie stosować władze PRL. Są one mało skuteczne wobec takiej organizacji jak KPN.

Po wielu dyskusjach, spotkaniach, rozmowach uznaliśmy, że powoływana partia będzie miała kształt konfederacji. Przeważało w tej sprawie stanowisko środowiska krakowskiego, które od dłuższego czasu nosiło się z zamiarem powołania Ruchu Porozumienia Polskich Socjalistów^{VIII}. Spowodowało to potrzebę sformalizowania innych środowisk. Istniało przecież nie tylko RPPS. Działał zespół skupiony wokół pisma Ruchu Obrony *Droga*. Związek Narodowych Katolików^{IX} formował się w oparciu o ludzi czynnie zwalczających prokomunistyczną linię kierownictwa PAX-u^X. O istnieniu grup ludowych np. na

^{VIII} Ruch Porozumienia Polskich Socjalistów (RPPS) – grupa utworzona 25 lipca 1979 r. przez uczestników ROPCiO z Krakowa. Byli to: Krzysztof Bzdyl, Krzysztof Gąsiorowski, Stanisław Janik-Palczewski, Romana Kahl-Stachniewicz, Mieczysław Majdzik i Stanisław Tor. RPPS miał być zalążkiem odrodzonej Polskiej Partii Socjalistycznej. Inicjatorem RPPS oraz autorem jej dokumentów programowych był Krzysztof Gąsiorowski. Wszyscy założyciele, jako grupa skonfederowana, 1 września 1979 r. weszli w skład Konfederacji Polski Niepodległej i prowadzili aktywną działalność w ramach tej partii politycznej. Pod szyldem RPPS wymienione wyżej osoby wydały jedynie kilka oświadczeń. W okresie zawieszenia działalności II Obszaru KPN, tj. od listopada 1980 r. do lipca 1981 r. (z uwagi na represje wobec działaczy KPN ze strony władz) *Opinia Krakowska* była wydawana jako pismo RPPS.

^{IX} Związek Narodowy Katolików został utworzony we Wrocławiu 15 sierpnia 1979 r. przez byłych działaczy Stowarzyszenia PAX (usuniętych w 1978 r. za próbę przejścia władzy w PAXie i przekształcenia go w partię polityczną): Tadeusza Jandziszaka (z Wrocławia), Romualda Szeremietiewa (z Leszna) i Macieja Pstrąg-Bieleńskiego (z Poznania). 1 września 1979 ZNK wszedł, jako grupa skonfederowana, w skład KPN.

^X W końcu lat 60. i początku 70. do PAX-u trafiło grono osób o przekonaniach niepodległościowych. Grupa ta z czasem objęła różne funkcje w aparacie etatowym, głównie na odcinku młodzieżowym. Prowadziła też intensywną działalność propagującą kwestie niepodległości, szans wyzwolenia. M.in. organizowano spotkania w klubach PAX Leszkowi Moczulskiemu. W latach 1976–1977 grupa dysponowała znacznymi wpływami na terenie 18 oddziałów wojewódzkich PAX-u. Kierownictwo PAX-u ostrzeżone przez władze PRL i dzięki współdziałaniu z SB zdołało rozbić tę działalność, wyrzucając kierownictwo grupy z PAX-u. Osobą organizującą i przeprowadzającą „czystkę” był ówczesny wiceprzewodniczący Ryszard Reiff,

Podlasiu^{XI} nie trzeba nikogo przekonywać. Świadczą o tym chociażby represje i aresztowania na terenie Siedlec. Skąd więc zdziwienia wśród niektórych działaczy opozycji? Czyżby postępowano według zasady: „To, o czym nie wiem – nie istnieje”?

Dla jasności obrazu trzeba dodać, że jedno środowisko niepodległościowe (Ruch Młodej Polski) nie zdecydowało się na wstąpienie do KPN, mimo, że było informowane i zapraszane do współdziałania. Ponadto o naszych przygotowaniach byli informowani działacze RWD i Komitetu Porozumienia na Rzecz Samostanowienia Narodu^{XII}. KPSN mimo niepodległościowego charakteru nie był przewidywany jako uczestnik Konfederacji, chociaż współpraca z tym ośrodkiem układała się dobrze¹¹.

który po śmierci B. Piaseckiego w nagrodę został szefem PAX-u. Jest sprawą charakterystyczną, że uderzenie w grupę niepodległościową w PAX-ie rozpoczęło się w tym samym czasie, co zapoczątkowanie rozłamu w Ruchu Obrony, a także inne jeszcze akcje ofensywne SB. Cel za każdym razem był ten sam – rozbić grupy o przekonaniach niepodległościowym, grupujące się wokół Leszka Moczulskiego, uważanego przez PZPR za szczególnie groźnego przeciwnika.

^X Więcej na ten temat – zob. B. Waligóra, „Romuald Szeremietiew – opozycjonista w PAX”, *Pamięć i Sprawiedliwość* nr 2 (6) z 2004 r., s. 329–339.

^{XI} Siedlecko-Podlaska Grupa Ludowo-Narodowa została założona w Siedlcach w 1977 r. przez Zygmunta Goławskiego seniora oraz Jana Mizikowskiego. Organizowała w Siedlcach spotkania z działaczami opozycji przedsierpniowej (m. in. z Wiesławem Chrzanowskim, Aleksandrem Hallem, Leszkiem Moczulskim, Janem Olszewskim, Władysławem Siłą-Nowickim i Wojciechem Ziemińskim). Członkowie grupy kolportowali w Siedlcach i na Podlasiu wydawnictwa niezależne KSS KOR oraz ROPCiO a potem KPN. Prowadzili także własną działalność wydawniczą (ulotki, przedruk „Opinii”). W 1978 r. przeprowadzili w Siedlcach i w okolicach akcję ulotkową, wzywającą do bojkotu wyborów do rad narodowych. Współorganizowali rocznicowe demonstracje patriotyczne w Warszawie (np. 1 września 1979 r.). W 1979 r. grupa weszła w skład Konfederacji Polski Niepodległej a pod Aktem Założycielskim KPN z 1 września 1979 r. widnieją nazwiska lub pseudonimy trzech członków grupy: Ryszarda Piekarta (pod pseudonimem „Ryszard Kossowski”), Romana Kraszewskiego oraz Zygmunta Goławskiego (pod pseudonimem „Zygmunt Marowski”).

^{XII} Komitet Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu został założony 10 lutego 1979 r. przez Wojciecha Ziemińskiego. Utworzyła go część uczestników ROPCiO, którzy w czasie rozłamu w 1978 r. poparli Andrzeja Czumę. Członkami komitetu byli m.in. gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz, Jerzy Brykczyński, Władysław Kaufman-Borowski, Władysław Liniarski, Andrzej Nastula, Marian Piłka i Edward Staniewski.

¹¹ Wcześniejsze sondaże wskazywały, że KPSN chce zachować swoją odrębność a jego działacze nie są przekonani do idei założenia partii politycznej.

W czerwcu 1979 r. w *Drodze* ukazał się programowy artykuł Leszka Moczulskiego „Rewolucja bez rewolucji”¹². Zarysowano w nim jeden z najprawdopodobniejszych scenariuszy działania, mającego na celu niepodległą i demokratyczną Polskę i zapowiedziano rychłe utworzenie partii niepodległościowej. W tym samym czasie opracowaliśmy Deklarację Ideową i Tymczasowy Statut KPN.

W końcu sierpnia 1979 r. dobiegały końca prace organizacyjne. Piętrzyły się trudności, dyskutowano ostatecznie szczegóły programu i statutu. Niektórych działaczy niepodległościowych nie udawało się przekonać. Inni – nieliczni – odeszli już po powołaniu Konfederacji. Mimo to partia powstała i szybko okrzepła. Na tyle szybko, aby dać sobie radę z wielomiesięczną, energiczną ofensywą SB, której przejawami są setki zatrzymań i rewizji. Żadna z działających obecnie grup opozycyjnych nie znalazła się w pierwszych miesiącach swego istnienia pod takim uderzeniem SB. Na dobitkę, KPN była i jest atakowana nie tylko przez SB...

Ciągle jeszcze spotykamy się z opiniami, że KPN nie jest partią. Pewien lektor z PZPR przekonywał w trakcie jakiegoś zebrania, że Konfederacja nie jest partia ponieważ nie ma... miliona członków¹³. Taki warunek jest oczywiście bezsensowny. Zarówno w rzeczywistości, jak i na gruncie obowiązujących w PRL przepisów prawnych KPN jest partią i powinna korzystać ze wszystkich uprawnień, z których korzysta partia

¹² *Droga* nr 7/1979. Charakterystyczne, że RWE do dziś nie podała treści tego artykułu, chociaż dla działalności opozycji w Polsce ma on zasadnicze znaczenie. Dodajmy, że podobnie postąpiono w tym radio z Platformą Wyborczą KPN. RWE podało wstęp i zakończenie Platformy i nie przedstawiło ani jednego punktu z naszego programu wyborczego.

¹³ Liczebność nie może być kryterium warunkującym status partyjny. PPS zakładały 4 osoby, Ligę Polską – 7. Podobnie rzecz się miała z SKDPiL, Socjaldemokracją Rosyjską czy PPR-em. Nikomu nie przyszło do głowy, aby twierdzić, że te organizacje nie były partiami w chwili założenia. Statusu partii odmawia nam również RWE, nazywają Konfederację „ugrupowaniem o nazwie KPN”. T. Podgórski występujący jako specjalista na posiedzeniu Polskiej Rady Narodowej w RFN dnia 9 grudnia 1979 r. nazwał KPN „rodzajem opozycyjnego stronnictwa politycznego” – co nie miało większego znaczenia (wg. T. Podgóskiego). Patrz T. Podgórski, „Opozycja demokratyczna w Polsce – jej podłoże, charakter, stan i różnorodność”. *Komunikat PRN* nr 1, grudzień 1979, s. 12.

rzządzająca, m.in. z ochrony prawnej, określonej przez Kodeks Karny¹⁴. Zdajemy sobie sprawę jednak, że płaszczyzna prawna nie wyczerpuje całokształtu zagadnienia. Powinniśmy zastanowić się nad tą kwestią przywołując pojęcia socjologiczne. Joachim Bartoszewicz w „Podręczniku politycznym” wydanym jeszcze w 1922 r. pisał: „Stronnictwo (partia – R. Sz.) jest to zorganizowany zespół ludzi wyznających ten sam program polityczny i zgrupowanych dla politycznej akcji”. Prof. Stanisław Stroński uważał za partie „grupy obywateli zrzeszonych poza urządzeniami prawa państwowego – w imię wspólnych poglądów na rzecz wspólnego działania politycznego”¹⁵.

Autorzy „Wielkiej Encyklopedii Powszechnej” (t. 8) nazywają partiami politycznymi „organizacje społeczne jednoczące swoich członków na podstawie programu politycznego (...) wyrażającego interesy określonych grup społecznych i dążące do realizacji tego programu przez zdobycie i sprawowanie władzy państwowej”. Wreszcie Marek Sobolewski stwierdza, że partią polityczną jest każda dobrowolna organizacja dysponująca „szeroką bazą społeczną” i programem działania opartym na określonej ideologii¹⁶. Sprawę „bazy członkowskiej” omawia Sobolewski następująco: „Nie należy przez to rozumieć koniecznie wielomilionowej czy nawet parusettyśięcnej rzeszy członków. Wystarczy, jeśli liczba jest na tyle duża, aby wykluczone było utrzymywanie między nimi więzi tylko osobistych”. W szeregi KPN na terenie kraju w ciągu pierwszych 6 miesięcy przyjęto ponad 600 nowych członków.

Konfederacja jest niewątpliwie dobrowolną organizacją. Jej strukturę wewnętrzną określił Tymczasowy Statut. Rozdział IV określa zasady członkowstwa, prawa i obowiązki członków. Rozdział V mówi o władzach naczelnych Konfederacji a rozdział VI ustala strukturę terenową

¹⁴ Analizę aspektów prawnych zawiera artykuł Adama Lewina „Partie a prawo”, *Droga* nr 8 z 1980.

¹⁵ Patrz hasło „Partie polityczne” w „Encyklopedii Nauk Politycznych, t. 4, Warszawa 1939, s. 229.

¹⁶ Marek Sobolewski, „Partie i systemy partyjne świata kapitalistycznego”, Warszawa 1974, s. 5–59.

KPN. Struktura organizacyjna istnieje i działa. Program KPN zawarty jest w Deklaracji Ideowej i Platformie Wyborczej KPN, poszczególne fragmenty programu są rozwijane i interpretowane przez rezolucje i oświadczenia Rady Politycznej KPN i Kierownictwa Akcji Bieżącej KPN¹⁷.

Twierdzi się, że KPN nie jest niczym nowym w zakresie metod działania opozycyjnego. Formułą skuteczną i jedyną – nie negowana przez inne grupy – mają być „ruchy społeczne”, koncepcję których sformułował Jacek Kuroń¹⁸. Stwierdza on: „Za ruchy społeczne uważam tu takie współdziałanie wszelkich zbiorowości ludzkich, w których każdy uczestnik realizuje swoje dążenia, działając w małej grupie samotnej (podkreślenie R. Sz.). Takie małe samotne grupy mają wg. J. Kuronia powoływać pewne formy przedstawicielskie („komitety”), które organizować będą współdziałanie grup za pomocą „apelii”. Autor sądzi, że ruchy społeczne nie wkraczając w obszar polityki z czasem mogą niepostrzeżenie „dokonać zasadniczej reformy systemu”. „Dopóki nie zmienimy władzy (a ruchy społeczne nie aspirują do tego – R. Sz.), dopóty będziemy żyli we wspólnym kraju z tymi władzami, które mamy. Dlatego konieczny jest dialog między władzą a społeczeństwem” – podkreśla autor „Myśli...”.

Zagadnienie ruchów i dialog z władzą J. Kuroń rozwinął szerzej w artykule polemicznym „Drogi i podziały”¹⁹. Czytamy tam, że wśród opozycjonistów toczy się spór o alternatywy działania – przekształcać system stopniowo czy na drodze jednego aktu rewolucyjnego? Działać jawnie czy w konspiracji? J. Kuroń opowiada się za jawnym i stopniowym przekształcaniem systemu. Uważa, że rozwój ruchów społecznych wzmocni tendencje demokratyzacyjne w PZPR, co powinno wynikać z „pragmatyki ludzi władzy”. Ma temu służyć dialog, rozumiany przez działacza lewicy laickiej następująco: „Dialogiem są bowiem wszelkie żą-

¹⁷ Często spotykamy się z twierdzeniem, że KPN nie ma programu. Być może dlatego, że żaden z dokumentów programowych nie ma nazwy „Program KPN”. Określenie „program wyborczy” pada tylko jako tytuł rozdziału Platformy Wyborczej KPN.

¹⁸ Jacek Kuroń, „Myśli o programie działania”, wydawnictwo NOWA.

¹⁹ Patrz *Kultura*, nr 1/2 z 1979 r.

dania i postulaty stawiane władzom, jako władzom, bez względu na to, czy strony porozumiewają się ze sobą za pośrednictwem delegacji (...), czy też petycji, rewolucji, działań strajkowych itp.”. Kuroń przestrzega przed wysuwaniem takich żądań, których władze nie mogą zrealizować (?). Prowadzi to bowiem do „paraliżu władz” i dezorganizacji życia społecznego, na czym skorzysta najsilniejszy (kto?). Dlatego J. Kuroń chce – poprzez ograniczony program reform – „wmontować w system (podkreślenie R. Sz.) autentyczną reprezentację interesów zawodowych, samorządów lokalnych oraz grupowych interesów załóg, wyrażanych w pewnym stopniu przez przedsiębiorstwa”. Konkretną formą takiego poparcia była koncepcja „ruchu rewindykacyjnego” zawarta w artykule J. Kuronia „Sytuacja w kraju a program opozycji”²⁰.

KPN także postuluje samoorganizację społeczeństwa, ale jej rezultatem powinny być nie „ruchy społeczne”, „małe grupy” kierowane za pomocą „apeli”, lecz duże struktury polityczne ogarniające swym zasięgiem cały kraj. Takie organizmy działają w imię celu nadrzędnego i jemu podporządkowują czynności doraźne. Podobnie jak zwolennicy Kuronia opowiadamy się za stopniowym przekształceniem rzeczywistości (nie spotykaliśmy dotąd chętnych do osiągnięcia celów na drodze eksplozji społecznej). Jednak naszej działalności nie zamierzamy „wmontowywać w system”. Konfederacja tworzy struktury i działania wskazujące, czym jest PRL i jak się go pozbyć. Jeżeli opowiadamy się za działaniem jawnym i legalnym, to nie dlatego, abyśmy wierzyli, że władze PRL zaczną w końcu przestrzegać ratyfikowanych Praw Człowieka. Działamy jawnie i legalnie, ponieważ są ku temu warunki. Gdyby ich nie było działalibyśmy w konspiracji. W państwie bierutów, gomulków czy gierków prawo będzie zawsze jedynie atrapą, służącą do maskowania bezprawia. Komuniści raz zachowują więcej, innym razem mniej pozorów – istota pozostaje bez zmian. „Liberalizm” obecnego Politbiura wynika z kłopotów

²⁰ Patrz *Biuletyn Informacyjny KSS „KOR”* nr 3/1979 s. 15–19 a także artykuł „Teorie i spory” Socjusza w *Kulturze* nr 11/1979 s. 51–70. Zasadnicza krytyka też zawartych w artykule Kuronia została dokonana przez Leszka Moczulskiego w powołanej już pozycji „Rewolucja bez rewolucji”.

gospodarczych i politycznych „obozu pokoju”. Kiedy PZPR takich kłopotów nie miała, wówczas przeciwników politycznych po prostu mordowano lub zamykano w więzieniach. Dziś, kiedy komunistom zależy, aby uchodzić w oczach Zachodu za demokratów, domagamy się przestrzegania ustanowionych praw, demaskując komunistyczną dyktaturę^{21XIII}. Innymi słowy, Konfederacja używa prawa ustanowionego w PRL przeciwko rządzącej monopartii tak, jak w początkach PRL ruch oporu używał broni – PZPR chcąc utrzymać się u władzy musi albo ustępować, albo ustanowione przez siebie prawo łamać i kompromitować się w oczach opinii publicznej. Ma to wpływ na losy PRL. Nie obawiamy się stawiania postulatów, których władze PRL nie będą mogły zrealizować. Paraliż władzy, przed którym przestrzega J. Kuroń, jest spowodowany nie tyle żądaniem opozycji, ile strukturalną niewydolnością systemu. A więc ten paraliż chcemy przyspieszyć. Nie zależy nam na demokratyzacji dyktatury, ale na jej obaleniu. Demokratyzacja systemu totalitarnego nie jest dla nas celem, ale środkiem prowadzącym do odrodzenia demokratycznej i niepodległej Rzeczypospolitej. Szanse naszego działania rosną w miarę, jak niewydolność systemu PRL się pogłębia. Gdyby władze PRL odzyskały swobodę działania, wówczas zlikwidują nie tylko KPN, ale również apolityczne ruchy społeczne. koncepcja działania za pomocą ruchów społecznych, tak, jak to widzi Kuroń, wydaje się prowadzić nie tylko do wątpliwych celów, lecz także być dość ryzykowna. Działania opierające się na lokalnych interesach, reprezentowanych przez małe grupy – ależ

²¹ Taki charakter miało np. zgłoszenie kandydatów KPN na posłów w tzw. wyborach do Sejmu PRL. W Platformie Wyborczej Rada Polityczna KPN stwierdziła, że występuje „przeciwko systemowi i linii politycznej PZPR. Ponieważ komunistyczne władze nie dopuszczają do prawdziwych wolnych wyborów, KPN symbolicznie zgłasza tylko kilku kandydatów. Reprezentować oni będą przedstawiony niżej program wyborczy KPN, zawierający ograniczone cele, możliwe do realizacji w warunkach PRL a przybliżające Polskę do celu zasadniczego, jakim jest utworzenie niepodległej Rzeczypospolitej”.

^{XIII} W przypisie 21 Romuald Szeremietiew odnosi się do podjętej między 21 a 25 lutego 1980 r. próby zarejestrowania w czterech okręgowych komisjach wyborczych 8 kandydatów KPN w wyborach do Sejmu PRL VIII kadencji. Byli to: Leszek Moczulski i Tadeusz Stański w Warszawie, Roman Kściuczek w Katowicach, Krzysztof Gąsiorowski i Stanisław Tor w Krakowie, Stanisław Franczak, Zdzisław Jamrożek i Janusz Piotrowski w Lublinie.

to wymienita okazja do manipulowania takimi tworamii przez władze! Wystarczy, że gdzieś się trochę ustąpi, komuś coś przyzna, dowiedzie do sklepów towary z rejonów, gdzie nie ma oporu – i tak można bez końca. Ograniczanie działalności do sfery społecznej oznacza pozostawienie polityki w rękach PZPR²². Jesteśmy jak najgorszej myśli, gdy zastanawiamy się nad „pragmatyzmem” towarzyszy z PZPR. Ma on zdaniem Kuronia, skłonić ich ku demokratyzacji. Demokratyzacja konsekwentnie przeprowadzona oznacza w naszych warunkach koniec rządów PZPR. Komuniści doskonale zdają sobie sprawę, czym grozi złagodzenie cenzury, dopuszczenie Kościoła do środków masowego przekazu i przyzwolenie na „wmontowanie autentycznej reprezentacji grup społecznych”. Nie ludźmy się, „pragmatyzm” w PZPR reprezentują towarzysze usadowieni w pasożytniczym aparacie biurokratycznym. Dlatego będą z przekonaniem głosować na Gierka czy innego aparatczyka ze swego grona – nigdy nie poprą towarzyszy z „Doświadczenia i Przyszłości”^{XIV} (zabawnie nawiąna jest ekscytacja RWE każdym dokumentem DiP). Program reform demokratycznych miałby może szansę w szeregach „siły kierowniczej”, gdyby istniały gwarancje, że ta demokracja nie pójdzie „za daleko”. Ale takich gwarancji nikt PZPR nie udzieli. Koniec towarzysza Dubczeka odstrasza, a zamordyzm *à la* towarzysz Ceausescu jest niemożliwy...

Program lewicy laickiej sformułowany w tekstach Kuronia jest nie-realny. Jego zwolennicy obrażają się, gdy się im mówi, że chcą naprawy PRL²³. Rzetelna analiza tekstów pisanych przez ludzi z kręgu J. Kuro-

²² Na tej podstawie Janusz Zabłocki („Tożsamość i siły narodu”, wyd. *Odnova*, Londyn 1978) odmawia grupom niezależnym miana opozycji. „Mamy więc do czynienia nie z żadną opozycją, ale z typową funkcją grupy nacisku...”, patrz s. 26.

^{XIV} Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” nieformalny klub dyskusyjny utworzony 1978 z inicjatywy Stefana Bratkowskiego i Bogdana Gotowskiego. W jego pracach uczestniczyli m.in.: Kazimierz Dziewanowski, Jan Górski, Andrzej Krasieński, Jan Małanowski, Klemens Szaniawski, Andrzej Wielowieyski, Andrzej Zakrzewski, Witold Zalewski a także Wojciech Adamiecki, Jan Strzelecki, Kazimierz Długokęcki, Jerzy Zieleński, Jerzy Stembrowicz i Lech Tomaszewski, Jerzy Szacki i Andrzej Stelmachowski. DiP działał do 1982 r. W 1989 r. wielu jego uczestników brało udział w rozmowach Okrągłego Stołu.

²³ Cytowany już Książczak pisze: „Na łamach wydawanych przez Leszka Moczulskiego *Drogi* i *Gazety Polskiej* pojawiały się niejednokrotnie głosy przeciwstawiające tzw. »niepodległościowość«

nia świadczy, że chcą oni reformować system. Nie oznacza to, abyśmy uważali zwolenników takich planów za agentów Moskwy. Sądzę, że może i powinna istnieć grupa polityczna, która będzie chciała uczynić życie w PRL znośniejszym. Jest to działanie sensowne, mogące liczyć na wsparcie społeczeństwa. My również apelujemy o to poparcie – bo program reformy PRL ma znaczenie również dla Konfederacji i jest ujęty w programie KPN. My nie chcemy tylko na reformie systemu się zatrzymać, lecz iść dalej, ku niepodległości. Wreszcie nie jest sprawą obojętną, czy wolna Polska powstanie na drodze przekształceń, z zastosowaniem środków walki politycznej, czy drogą krwawych przewrotów i zaburzeń. Jak dotąd PZPR raczej zmierza ku temu drugiemu rozwiązaniu.

KPN jest przekonana, że naprawianie PRL jako cel końcowy, jest zajęciem bezpłodnym i będzie zwalczać zwolenników takiego poglądu. Ale w tym, że ktoś chce naprawiać system nie ma nic wstydliwego. Taki pogląd można mieć. W wolnej Polsce będzie miejsce również dla partii komunistycznej, oczywiście, jeżeli znajdą się chętni do należenia do takiej partii. Trzeba jednak jasno powiedzieć, ku jakim celom i jaką drogą się zmierza. Nie można propagować „dialogu”²⁴ z władzą i deklarować celu: niepodległość. J. Kuroń nawołuje w *Kulturze* do programowego określenia się. Konfederacja to uczyniła. Środowisko lewicy laickiej – milczy. Nie można przecież uznać za program wypowiedzi Kuronia czy Michnika. Staną się one programem wówczas, gdy uzna je za własne formalna grupa. Jak dotąd są to jedynie poglądy, które nikogo do niczego nie zobowiązują, nawet Autorów – mają przecież prawo je zmienić i czynią to. W tym kontekście sytuacja KPN jest jasna. Wskazaliśmy ku

stanowisku tzw. »naprawiaczy systemu«, pod którą to nazwą rozumiano głównie ludzi związanych z KSS »KOR«. Takie przedstawienie sugeruje, że ci drudzy są co najmniej krypto-agentami Moskwy. Fakt stawiania programu cząstkowych posunięć, mających szansę stopniowej realizacji i mogących zahamować proces sowietyzacji społeczeństwa, nadać mu podmiotowość i niezależność, nie znalazł uznania »niepodległościowców« wybierających bujanie w obłokach wraz z orłami, niż – często nieefektywne – działanie. KPN jest zwieńczeniem takiej postawy”.

²⁴ J. Kuroń używa słowa „dialog” niezbyt precyzyjnie. Dialogiem jest spotkanie dwóch partnerów różniących się poglądami, ale nie pozycją i którzy kierują się dobrą wolą we wspólnym znalezieniu rozwiązania jakiegoś problemu. Gdzież tu mamy dialog z władzami PRL?

jakim celem zmierzamy, ogłosiliśmy program i poniesiemy odpowiedzialność za jego realizację. Zdajemy sobie sprawę, że musimy wygrać...

Deklaracja Ideowa KPN w punkcie 1 stwierdza: „Niepodległa Rzeczypospolita jest jedyną formą, jaką we współczesnym świecie zapewnia należyta egzystencję, możliwość rozwoju oraz spełnienie narodowych i indywidualnych aspiracji Polaków”. Punkt 4 Deklaracji mówi, że „podstawą powszechnego ustroju demokratycznego są niezbywalne prawa człowieka i obywatela, wzajemna tolerancja oraz poszanowanie praw innych ludzi. Powszechny ustrój demokratyczny wyraża się w sformułowaniu władz państwowych wyłącznie w oparciu o społeczny mandat zaufania oraz w działalności tych władz w nieprzekraczalnych granicach danego mandatu i tak długo, jak długo posiadają zaufanie społeczne”. Dalej określamy się wyraźnie jako zwolennicy budowy państwa, będącego dobrem wspólnym, którego obywatele mają równe prawa i obowiązki „wobec samych siebie, wobec ludzi innych, wobec społeczeństwa i narodu, wobec bratnich narodów, z którymi złączyła nas historia i wspólny byt na tej samej ziemi, wobec Rzeczypospolitej, wobec ludzkości”. Wydaje się, że słowa te brzmią wystarczająco precyzyjnie, aby określić nasz stosunek do jednostki i demokracji. Mimo to słyszemy często zarzut, że mówiąc o niepodległości zapominamy o demokracji. Sugeruje się, że jesteśmy reprezentantami nacjonalizmu w jego skrajnych postaciach (porównanie z ONR – Falangą). A zwolennicy takiego nacjonalizmu (według Kuronia) chcą zbudować państwo totalitarne. Nacjonalizm totalitarny został uznany za najgroźniejszego przeciwnika opozycji demokratycznej, groźniejszego od komunizmu. W sytuacji, gdy nie określa się, co pod tym „totalitarnym nacjonalizmem” rozumiemy – pozostaje wrażenie, że jest nim ugrupowanie zwalczane przez lewicę laicką – a więc KPN. Idąc dalej, można by z tego wysnuć wniosek, że KPN jest nie tylko poza opozycją demokratyczną, ale jest tej opozycji najgorszym wrogiem. Rzekomemu nacjonalizmowi KPN przeciwstawia się argumenty znajdujące się w innym tekście J. Kuronia²⁵.

²⁵ „Zasady ideowe”, wyd. NOWA – wszystkie cytaty z tego wydania.

Autor „Zasad Ideowych”, czerpiąc z tradycji liberalnej, deklaruje, że nadrzędną wartością jest dla niego „dobro, suwerenność i twórczość każdego człowieka”. Jednocześnie stwierdza, iż perspektywicznym celem działania powinna być „suwerenność pluralistycznego społeczeństwa i państwa polskiego”. Problem dobra i suwerenności jednostki uwikłanej w różnego rodzaju wspólnoty, rodzi gąszcz konfliktów, które rozwiązuje przemoc (słowo to, obok suwerenności pojawia się w tekście najczęściej). W tej sytuacji Autor „Zasad Ideowych” musi przyznać, że dobro jednostki powinno niekiedy ustępować przed dobrem wspólnoty, co jest ograniczeniem suwerenności człowieka. Jednak nie może on egzystować poza społeczeństwem. Dlatego Kuroń godzi się na takie ograniczenie. W tym celu powołano państwo, będące złem koniecznym. Państwo – pisze Kuroń – „to taka nadrzędna wobec innych organizacja wspólnoty społecznej, która jest wyposażona w środki i uprawnienia niezbędne do narzucania przemocą wszystkim uczestnikom współpracy jej celów i zasad”. W świetle takiej marksistowskiej definicji państwa staje się zrozumiałym pęd Kuronia do tworzenia ruchów społecznych. Te małe wspólnoty mają po prostu bronić suwerenności jednostek przed roszczeniami państwa dysponującego przemocą. Mają one uchronić jednostkę przed roszczeniami polityków, którym się zdaje, że lepiej od innych rozumieją interes wspólnoty. W tym kontekście postulat niepodległości (nie ma go w „Zasadach...”) staje się niezrozumiały. Skoro to niepodległe państwo będzie nadal ograniczać suwerenność jednostek (może być nawet totalitarne), to czyż nie lepiej demokratyzując spróchniały PRL poszerzyć suwerenność jednostek i nie gonić za chimerami?

W tekście Kuronia bardzo często jest mowa o suwerenności. Słowo niepodległość pada tylko przy okazji polemiki z „Memoriałem” Leszka Moczulskiego. Dlaczego tak się dzieje? Czyżby suwerenność i niepodległość były sobie równoważne?

Pozornie oba pojęcia są tym samym. Chodzi o niezależność od innych. W rzeczywistości jest jednak inaczej. Suwerenność ma różne podmioty i różne zakresy. W tym samym państwie mogą być dziedziny, w których obywatel korzysta z pełnej suwerenności będąc jednocześnie w innych –

skrępowanym. Zajmując się malarstwem abstrakcyjnym – będziemy całkowicie suwerenni. Podejmując działalność polityczną – podlegamy dotkliwym ograniczeniom. Podobnie jest ze wspólnotami. Związki literatów mogą mieć znaczną suwerenność wewnętrzną, ale tracą ją, gdy wchodzi w kontakt z czytelnikami. Naród fiński za całkowitą suwerenność w sprawach wewnętrznych jest jej pozbawiony w polityce zagranicznej. Rumuni wywalczyli znaczny stopień suwerenności zewnętrznej, są jej całkowicie pozbawieni w narzuconym im ustroju państwowym. Suwerenność jest pojęciem, którego zakres bywa rozciągliwy.

Inaczej jest z niepodległością. Jej podmiotem jest państwo, a zakres obejmuje całość życia państwowego, wszelkie jego przejawy. Niepodległe państwo jest rezultatem suwerennej decyzji, ale w przeciwieństwie do suwerenności – jest lub jej nie ma. Nie może być trochę niepodległości. Nie można jej zdobywać po trochu. Zwykle jest to jeden akt, od którego państwo staje się niepodległe (np. 11 listopada 1918 roku).

Suwerenność – jak pisaliśmy wyżej – może występować w warunkach zależności i niewoli. Ludzie mogą być pozbawieni suwerenności również w państwach niepodległych. W przeciwieństwie do krajów zależnych – może to nastąpić jedynie na mocy ich własnej decyzji (np. wprowadzenie stanu wyjątkowego w obliczu agresji z zewnątrz). Niekiedy decyzje ograniczające własną suwerenność idą tak daleko, jak u Rosjan (poparcie udzielone przewrotowi bolszewickiemu), czy Niemców (wybór Hitlera na kanclerza). są to jednak przykłady dowodzące istnienia aberacji w życiu społeczeństwa. Zwykle obywatele potrafią bronić swych praw przed roszczeniami grup dążących do dyktatury, jeżeli grupy te nie korzystają z pomocy z zewnątrz.

Konkludując, niepodległość jest rezultatem suwerenności narodu i jedyną gwarancją suwerenności jednostek. W kraju pozbawionym niepodległości społeczeństwo nie ma możliwości podejmowania suwerennych decyzji w kwestiach go dotyczących. Może cieszyć się pozorami suwerenności, decydować w sprawach drobnych, lokalnych. Władza realizująca obce dyrektywy, może nawet godzić się na istnienie takich enklaw suwerennych decyzji, byle nie przekraczały one granic, gwaran-

tujących utrzymanie kraju w niewoli (np. „kierownicza rola PZPR” i sojusz z ZSRR). W interesie władzy sprawującej rządu z obcego mandatu – będzie więc reagowanie na wszelkie przejawy suwerennych działań, które mogą prowadzić do ujawnienia woli narodu w kwestiach dotyczących wszystkich jego członków. PZPR utrzymująca się przy władzy bardziej dzięki obecności sowieckich garnizonów na ziemiach polskich – zdaje sobie sprawę, że suwerenne decyzje Polaków mogą jej zagrozić. Jeżeli komuniści mając nawet szanse wygrania wyborów, nie decydują się na przeprowadzenie tej próby – to czynią tak dlatego, by nie uzależnić się od suwerennej decyzji Polaków. Wiedząc, że będąc dziś wybrani, jutro mogą być tak samo pozbawieni władzy. Dlatego uniemożliwiają społeczeństwu wyrażenie woli. Lepszym dla PZPR rozwiązaniem jest determinacja i rozruchy (Poznań 1956, Wybrzeże 1970, Radom – Ursus 1976) niż dobrowolne poddanie się decyzji obywateli, wyrażonej w akcie wyborczym. Dlatego uważamy, że koncepcja ruchów społecznych jest wątpliwą nie tylko dla sprawy niepodległości Polski, ale również dla suwerenności Polaków.

Niepodległe państwo jest również warunkiem podstawowym do dobrowolnego rozstrzygnięcia konfliktów jednostka – wspólnota. Można sądzić, że działacze lewicy laickiej – za Marksem i Leninem traktując państwo jako twór charakteryzujący się przemocą – zapomnieli, że to samo państwo może być dobrem wspólnym obywateli. Obywatele tworząc aparat władzy ustalają zasady współdziałania respektując ich prawa. Na straży tych zasad staje wówczas nie przemoc, ale prawo. Państwo stosuje przemoc z upoważnienia obywateli i w ich interesie wobec tych, którzy chcą naruszyć zasady współdziałania łączące ogół obywateli. Władze PRL stosują przemoc przeciwko prawom obywateli nie dlatego, iż PRL jest państwem, ale dlatego, że jest to państwo ustanowione przez obcych, wbrew woli Polaków. Kiedy porządek prawny jest ustanowiony zgodnie z wolą obywateli, wówczas sędzia, prokurator, policjant stają się stróżami prawa i cieszą się uznaniem społecznym. Jeżeli „stróże prawa” PRL nie cieszą się takim uznaniem, to dzieje się tak dlatego, że służą obcej władzy i swoją działalnością chronią jej bezprawne rządy.

Dobro człowieka nie jest pojęciem abstrakcyjnym i wyizolowanym, jak to przedstawiono na kartach „Zasad Ideowych”. Istnieje hierarchia wartości i dóbr. Człowiek często musi wybierać między tym, co służy jemu i innym. Ojciec rodziny, który porzuca żonę i dzieci dla innej kobiety – postępuje ze swoiście rozumianym dobrem. Kobieta usuwająca ciążę – również postępuje w imię takiego dobra. Jeżeli potępimy takie osoby, czy wówczas ograniczymy ich suwerenność? Mówimy przecież o kimś, że jest egoistą, że kieruje się egoistycznym interesem. Czy ludzie, którzy cierpieli niedostatek w Drugiej Rzeczypospolitej mieli odmówić udziału w walce o jej wolność? Tak uważali komuniści, ale dziś pytania takie są retoryczne. Ludzkość dawno na nie odpowiedziała. Okazało się też, że bezkrytyczni obrońcy konsumpcyjnie pojmowanych praw człowieka zapominali często o obowiązkach ciążyących na jednostce wobec wspólnoty. Rezultatem tego był kryzys instytucji parlamentarnych i usadowienie się dyktatur totalitarnych, komunistycznych i faszystowskich w niektórych krajach. Przed wojną Polska uniknęła takiego losu dzięki przewrotowi majowemu w 1926 r. W podobnej sytuacji znalazła się, już po wojnie, Francja. Dzięki generałowi de Gaulle Francuzi uporali się z kryzysem. Z niepokojem obserwujemy dziś rozwój sytuacji we Włoszech, którym może grozić dyktatura komunistyczna. Dlatego tak będziemy bacznie obserwować ruchy społeczne w Polsce. Zbyt często demokrację skazywali na śmierć jej najgłośniejsi obrońcy.

Jawna działalność polityczna w warunkach PRL ma skromne tradycje. Ludzie, programy i działania skrywane przez tyle lat dopiero się ujawniają. Rok 1976 był nie tak dawno. Nie oznacza to jednak, że wszystko co dzieje się w życiu politycznym kraju jest takie młodziutkie. W opozycji działają ludzie od kilkudziesięciu lat walczący z narzuconym Polsce reżimem. Swoją obecnością dowodzą, że opór trwa od 1939 r. Swoją żywotność okazują idee, których rodowód sięga dalej, niż marzec 1968 r., idee, uważane nie tak dawno za przeżytek, anachronizm. Konfederacja łączy zwolenników idei niepodległościowej, przewijającej się przez całe dzieje nowożytnego Polski.

Spory i animozje pojawiające się w łonie opozycji, wbrew poz-

rom, nie mają charakteru jedynie personalnego. Stoją za nimi zasadnicze kontrowersje ideowe. To, że nie znajdują one pełnej egzemplifikacji na łamach niezależnych czasopism nie oznacza, że ich nie ma. One są i wszyscy bezpośrednio zainteresowani wiedzą o nich. Jediną drogą pozwalającą uniknąć niejasności w odbiorze społecznym będzie spreycyzowanie celów politycznego działania. Precyzowania odważnego, bez kunktatorstwa, taktycznych uników i grymasów pod publiczność w kraju czy zagranicą. Naród ma prawo wiedzieć, ku czemu zmierzają udzie, podejmujący działalność publiczną, aspirujący do roli reprezentowania interesu narodowego. Wymaga tego zwykła uczciwość – kategoria, której władze PRL nie stosowały. Czas chyba, aby zastosowała ją opozycja. Jest to jedyna droga do polskich serc i sumień.

Romuald Szeremietiew

Droga nr 10 z 1980 (październik 1980), s. 49–60.

PS.

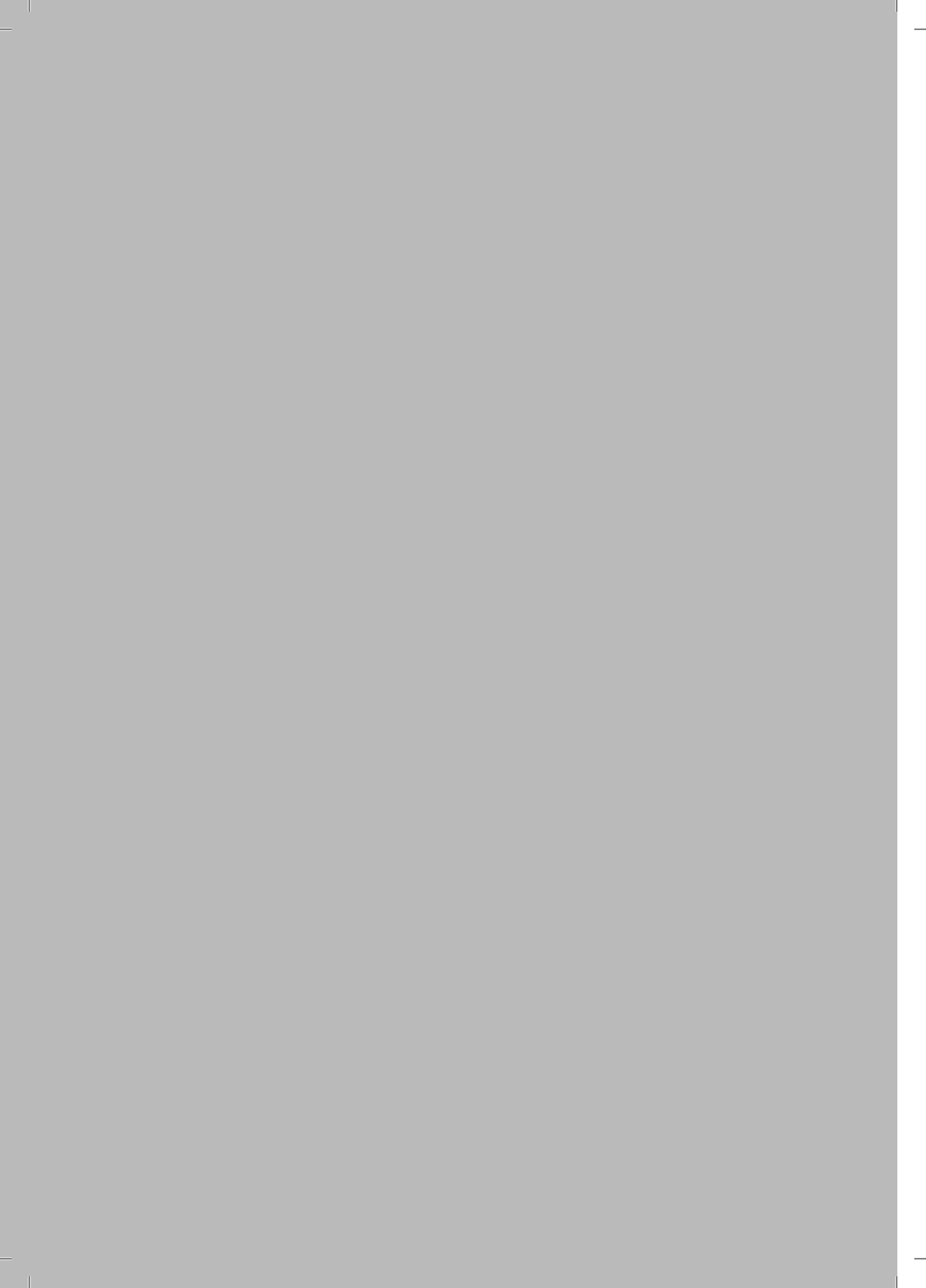
Artykuł pisałem w czerwcu 1980 r. Od tego czasu doszło w Polsce do wielu istotnych zmian. Powstały wolne związki zawodowe, upadło kierownictwo Gierka, proklamowano „odnowę” życia społecznego. Jednocześnie propaganda i policja PRL rozpoczęły wściekły atak na Konfederację Polski Niepodległej^{xv}. Kampanii tej sekundują (mniej lub bardziej wyraźnie) ośrodki niechętne KPN. A więc mimo istotnych zmian treść artykułu jest nadal aktualna.

R. Sz.

^{xv} Od 23 września 1980 Leszek Moczulski przebywał w areszcie. Mimo iż trwał Karnawał Solidarności w ciągu kolejnych miesięcy do aresztów trafiło 6 kolejnych działaczy KPN: Zygmunt Goławski, Tadeusz Stański (obaj w listopadzie 1980 r.), Krzysztof Bzdyl, Tadeusz Jandziszak, Jerzy Sychut (wszyscy w grudniu 1980 r.) oraz Romuald Szeremietiew (w styczniu 1981 r.). Zwolniono ich w czerwcu 1981, ale po kilku tygodniach ponownie aresztowano Moczulskiego, Stańskiego i Szeremietiewa. Wyszli na wolność dopiero latem 1984 r.



LUDZIE I STRUKTURY



NIE CIERPIĘ FANATYZMU

Z MARIĄ MOCZULSKĄ
ROZMAWIA KATARZYNA ŚNIADECKA

Obecnie historycy coraz bardziej dostrzegają rolę kobiet w opozycji, bo przecież rola kobiet, mimo że trochę w cieniu, była bardzo istotna. Czy według Pani, Służba Bezpieczeństwa też „doceniała” rolę kobiet?

To nie zależy i nie jest związane z płcią, a raczej z indywidualnością. Były kobiety, które się w sposób znaczący angażowały w działania swoich mężów, bo na ogół tak było, że to były małżeństwa, *vide* Gajka i Jacek Kuroniowie, Romaszewscy, Moczulscy. Natomiast były panie, które nie życzyły sobie wręcz tej działalności swoich mężów. Były to panie, które spowodowały, że prędzej czy później oni musieli się wycofać. Poparcie kobiety w tamtym czasie było absolutnie konieczne. Nie ze względu na działanie samej kobiety, które było ważne, ale ze względu na to, że człowiek, który się angażował w działalność potrzebował, aby wiedzieć, że jego żona i rodzina stoją za nim murem, niezależnie od tego, czym się ryzyko działania dla niego skończy. A mogło się skończyć różnie. Znamy wypadki, kiedy kończyło się bardzo źle, ale tam, gdzie kobieta stała za swoim mężem, czy za swoim chłopakiem, tam on był oczywiście dwa razy silniejszy. Mój mąż nie musiał nigdy martwić się z czego będziemy żyli. Nie martwił się, czy ma jeszcze żonę, dom czy swoje zaplecze, to jest istotna rzecz, która wzmacnia determinację, wzmacnia działanie i widzimy to do dzisiejszego dnia, że takie pary współdziałające ze sobą stanowią o wiele większą siłę, niż każdy z nich pojedynczo. Myślę, że jest grono kobiet opozycji, które się znacząco w naszej historii zapisały.

Czy SB kiedykolwiek nękało Panią lub szantażowało? Czy funkcjonariusze dali Pani odczuć, na ile jest Pani przez swoje wpływy i działania dla systemu niebezpieczna?

Oczywiście, że tak. Nękało, starało się obrzydzić życie, męża i wszystko inne. Szantaż polegał przede wszystkim na tym, że bałam się o córkę Elżbietkę, bo była to młoda dziewczyna. Natomiast mnie nie bili, żadnych tego typu fizycznych dolegliwości nigdy nie miałam, ale oczywiście unie możliwiali normalne życie. Uniemożliwiali mi pracę, co jest podstawową rzeczą. Zniszczyli u podstaw moją karierę naukową, ale myślę, że nie były to tak strasznie dolegliwe doznania, żeby tego nie można było znieść.

Jestem Warszawianką. Mieszkałam na ul. Szpitalnej 12 – dziś nie ma tego domu, ani tych domów i do dzisiejszego dnia pamiętam, jak matka żegnała swojego syna, który szedł do poczty powstańczej. Wtedy matki żegnały swoje dzieci, które szły walczyć i wiedziały o tym, że będą walczyć niemalże gołymi rękami z uzbrojonym po zęby, okrutnym i bezwzględnym wrogiem. Taką wielką ofiarę gotowe były ponieść bez szemrania. To, co my mogłyśmy ofiarować, było cieniem tamtej daniny dla Polski.

W jakich okolicznościach poznała Pani Leszka Moczulskiego?

Jako studentka przychodziłam robić zastrzyki jego psom i wtedy go poznałam. Jak byliśmy wolni to się pobraliśmy.

Pani pobierała nauki w Warszawie? Jakie to były studia?

Ja jestem Warszawianką od wielu pokoleń. Groby mojej rodziny są z dawien dawna na Cmentarzu Bródnowskim. Najpierw studiowałam na Politechnice – elektronikę, ale przerwałam studia i poszłam na weterynarię. Wtedy poznałam Leszka Moczulskiego.

A jak Pani poznała Leszka Moczulskiego to była Pani zaangażowana w jakąś działalność polityczną, społeczną?

Wtedy nie. On działał, ja nie. Ja chciałam przebudowy warunków na moim wydziale i razem z kolegami wstąpiłam do PZPR. Byłam wtedy

pod koniec V roku, już po praktykach dyplomowych. Mieliśmy postulaty, żeby na uczelnię przyjmowano z konkursu świadectw, a nie według znajomości i innych kryteriów politycznych. Drugi postulat dotyczył transparentnych zasad obsadzania stypendiów za granicą. To były nasze główne dążenia. Dużo udało nam się zrobić. W przeciągu roku opanowaliśmy na tyle nasz wydział, że postanowiono rozwiązać młodzieżową podstawową organizację partyjną na wydziale.

Wyrzucili mnie z partii. Nie rozbiłam co prawda PZPR-u, ale parę razy PZPR próbował rozbić mnie. Nie wyszło im to na dobre.

Skończyłam studia i wszyscy się rozpiechli.

A jak Pani pamięta początek opozycyjnej działalności politycznej, jaki to był moment?

To mąż mnie wciągnął. To było niezależne ode mnie, bo tam, gdzie on był, tam przyjeżdżali ludzie, tam były spotkania, nocowali u nas, tworzyła się swoista centrala. I tak to się rozwijało. Jak Ojciec Święty przyjechał po raz pierwszy do Polski, to u nas w mieszkaniu koczowało 30 osób. Każdy musiał się umyć, zjeść, przespać. Ja się z nimi wszystkimi zżyłam osobiście. Opozycja dziś, to brzmi, jakby to były legiony. A naprawdę my wszyscy w Polsce znaliśmy się, bo była nas garstka. Kapeownicy i korowcy – to były dwa główne skrzydła opozycji. My byliśmy piłsudczycy, oni lewica laicka, co wcale nie oznaczało, że oni byli areligijni. Tak jedni, jak i drudzy mieli znakomite stosunki z przedstawicielami Kościoła.

Co Pani pamięta z aresztowania męża 23 września 1980 r.? Czy to było zaskoczeniem dla Pani?

Nie. O tym, że w tym dniu zostanie aresztowany, to było niewiadome, ale to, że będzie siedział, to było wiadome, bo ciągle w naszym mieszkaniu odbywały się dziesiątki rewizji całodziennych, dziesiątki zatrzymań na 48 godzin, które się przedłużały, niektóre nawet do 2 tygodni. SB robiła to w ten sposób, że przewożono ich z komendy na komendę i zaczynało się od nowa – 48 godzin. Zaskoczenia nie było.

Kiedy w 1980 r. mój mąż zachorował na zapalenie płuc w zimie, bo ma taki zwyczaj, to powiedziałam, że nie będę go leczyć, tylko zwołam lekarza z przychodni, o ile nie rzuci palenia papierosów. Ponieważ palił odpalając jednego papierosa od drugiego do 5 paczek dziennie, a jak już kończyło się 5 paczek, to przerzucał się na fajkę, a jak już gaśła, to powracał do papierosów i wszystko w domu śmierdziało dymem, było żółte, przesiąknięte nikotyną a on był chudy jak szczapa, skóra typowa dla palacza. Kiedy zachorował powiedziałam mu: – „Kochany, jak pójdziesz siedzieć, bo mówisz o tym bez przerwy, to co zrobisz w więzieniu? Oddasz, ojca, matkę, żarcie, wszystko za papierosa, a na widzenie nie przyniosę, bo nie wolno po prostu! Więc, jeśli chcesz być twardy w więzieniu, jak jesteś w rzeczywistości, to musisz rzucić palenie”.

A że był tak ciężko chory przyszło mu to w pierwszym momencie lekko, potem było ciężko, bo to był głęboki nałóg nikotynowy, jadł cukierki toffi cały dzień, w samochodzie stała torba, aż dziw, że nie dostał cukrzycy. To było w 1979 r., kiedy Ojciec Święty przyjechał do Polski. Ja rzuciłam palenie po nim, jak Ojciec Święty był na Błoniach.

Ale nie paliła Pani tak dużo, jak mąż?

Nie. Ja paliłam paczkę dziennie. Pracowałam w Instytucie Gruźlicy, gdzie ludzie umierali na raka płuc lub krtani. To rodzaj umierania świadomego do ostatniego dnia, kiedy chory się dusi. Nic mnie to nie nauczyło. Trzeba się uczyć na własnej skórze, a nie cudzej.

Ale kiedy Ojciec Święty poprosił nas... To było zupełnie niezwykle! Staliśmy się zupełnie innymi ludźmi, zupełnie inaczej zmotywowanymi, nawet niż jesteśmy dzisiaj. Powiedział mianowicie, że wie o tym, że pragniemy walczyć o dobro Polski, o dobro ojczyzny i że trzeba tę walkę zaczynać od siebie. Prosił, aby rzucić mocne alkohole – w Polsce piło się wtedy spirytus i wódkę – i papierosy. „Jeżeli to zrobicie – mówił – to będzie pierwszy wasz krok, pierwszy czyn dla ojczyzny”. I wie pani, że zostałam na tych Błoniach w Krakowie paczkę papierosów i nigdy już więcej nie zapaliłam. To było dla mnie tak bardzo przemawiające, bo On wszedł z konkretem w naszą wspólną walkę, bo to była wspólna z Nim walka.

Przemyciliśmy tam na Błonia dwa wielkie balony meteorologiczne wypełnione lekkim gazem, a do tych balonów, kiedy Ojciec Święty wjeżdżał na Błonia był przyczepiony na 2 prześcieradłach namalowany orzeł w koronie (wtedy orzeł w koronie był w ogóle poza obiegiem). I jak Ojciec Święty wjeżdżał na Błonia, to te balony zostały wypuszczone. Jeszcze ksiądz prowadzący celebrę mówi: „Macie takie piękne balony, puście je dla Ojca Świętego!”. Pomyśleliśmy wtedy, że jednak Bóg czuwa nad wariatami. W tym momencie balony zaczęły się unosić, a Ojciec Święty aż ręce wyciągnął, jak zobaczył z daleka tego wielkiego orła w koronie. To był wzruszający widok.

A pamięta Pani okoliczności tego aresztowania męża w 1980 r.?

Nie, bo to się odbyło poza domem. Zgarnęli go poza mieszkaniem i przyjechali już bez niego. Poza tym nie wiadomo było, czy to na 48 godzin, czy na 3 miesiące. Wyobrażałam sobie, że w najgorszym wypadku na 3 miesiące. I nagle straszliwa nagonka prasowa, bo to był po Porozumieniach Gdańskich pierwszy opozycjonista, który poszedł siedzieć. „Konfederacja politycznej prowokacji” – tak pisali tacy panowie od propagandy. Nagle stwierdziłam, że lista moich przyjaciół i znajomych, częściowo i rodziny, strasznie się skróciła. Ale byłam na tyle zawziętym i dorosłym człowiekiem, że postanowiłam, że ci, którzy wtedy zniknęli, to już na tę moją listę nie wrócą. Nie wrócili do dzisiaj. Bardzo dużo osób wtedy bało się po prostu. Mieliliśmy opinię ogromnie radykalnych.

Może i tak było, może byliśmy radykalni? Dlaczego? – Dlatego, że mój mąż twierdził i uczył nas wszystkich tego, że nie wolno w polityce oszukiwać mocniejszego przeciwnika. Mówił, że jeśli będziemy prowokować ZSRR fałszywymi opowiadaniem, to oni dla swojego międzynarodowego prestiżu będą musieli w nas uderzyć. My mamy mówić od razu, jaki jest nasz cel, bo być może oni tak ułożą te sprawy, że my będziemy mogli od razu ten cel najważniejszy osiągnąć. Twierdził, że ZSRR jest zbyt zdeintegrowany, za słaby wewnętrznie, żeby uderzyć na Polskę zbrojnie, tak jak na Węgry w 1956 r. czy na Czechosłowację

w 1968 r. Natomiast być może da nam kawałek przestrzeni do działania. Wszystko to się sprawdziło.

Ja i Leszek wiedzieliśmy, że będzie siedział. To było wliczone w koszty, tylko nie było wiadomo jak długo i jak dotkliwie. Siedział długo.

Początkowo chciano mu zrobić proces kapturowy, ale nie dopuściliśmy do tego. Wszyscy wiedzieli, że Moczulski i czołówka KPN-u siedzi w więzieniu. A nie było łatwo tę wiadomość rozprzestrzenić, bo było szaleństwo Solidarności, która nie chciała konkurencji.

Czy działania w Komitecie Obrony Więzionych za Przekonania były potrzebne i jak Pani ocenia swoje zaangażowanie w tę działalność?

Zorganizowanie KOWzaP-ów było przede wszystkim konieczne. Oczywiście, znalazły się strasznie „mądre” osoby, które na naradach dyskutowały nad tym, że tak, oczywiście, trzeba będzie ostrożnie zacząć bronić tych uwięzionych, np. robiąc konkurs na plakat w obronie więźniów, podzielić obronę na etapy, rok pierwszy, kolejny i... zamknąć sprawę, bo będzie już po wyroku.

No więc ja byłam wobec nich bardzo niegrzeczna, niemiła. Powiedziałam im, że mogą sobie swój plakat... A to były nazwiska! Znane i eksponowane do dnia dzisiejszego... Jedyna rzecz, którą udało mi się zrobić, to pozwolono mi powiedzieć kilka słów, miałam tam może 2 minuty, na zjeździe „Solidarności” Mazowska w Teatrze Wielkim czy Sali Kongresowej (już nie pamiętam). Powiedziałam, że będę starała się uchronić i uratować mojego męża przed sądem kapturowym i złapałam tam pierwsze kontakty. Jak nawiązałam kontakty z zakładami pracy, to mogli mi „posypać sól na ogon”, jak się mówiło kiedyś, bo ja już sobie poradziłam. Jeździłam wtedy po całej Polsce, od świtu do nocy i spotykałam się z ludźmi.

„Solidarność” mi nie pomagała. „Solidarność” była zajęta organizowaniem związku. Bardzo słusznie!

Czy „Solidarność” mogła liczyć na lepszą pozycję w rozmowach z władzami za cenę „nieupominania się” o uwięzionych?

Nie jestem o tym przekonana. Zawsze mówiłam, że nie będziemy chować się ani za portki Wałęsy, ani sutannę Ojca Świętego, to nieuczciwie walczyć z za cudzych pleców. My mieliśmy odwagę mówić, jakie są nasze cele, marzenia, pragnienia i o co walczymy. Nie musieliśmy mieć do tego ani osłony Kościoła, który byśmy narażali, bo my sami jesteśmy katolikami, ani Solidarności, która była jeszcze za młoda, jeszcze ząbkowała. Myśleliśmy jak się ukształtuje, to wtedy będzie nam mogła pomóc. Koniec. Takie było moje zdanie. I to było słuszne. Chowanie się za czyjś autorytet, za czyjeś zasługi jest nieuczciwie. Każdy powinien ponosić odpowiedzialność za swoje czyny. Nie da się żyć na cudze konto. Po prostu.

Ja już nie pracowałam w Instytucie, musiałam na prowincję uciekać, ale dzięki temu miałam większą swobodę. W tych wielkich zakładach pracy, gdzie jeździłam, najbardziej zapadł mi w serce Śląsk. Śląsk wspominam bardzo ciepło. Tam były spotkania z górnikami, ogromne sale, ogromna ilość ludzi, oni świetnie rozumieli, co ja mówię, byłam taką „ciotką rewolucji” w najgorszym znaczeniu. To, co mówiłam było bardzo populistyczne, nie byłam przygotowana do tego ani politycznie, ani naukowo, jako historyk czy politolog. Ale nie było źle!

W KOWzaP-ach pod koniec było do 100 tysięcy ludzi. Zaangażowani byli do tego stopnia, że chcieli wyrzucać podstawowe organizacje partyjne ze swych lokali w zakładach pracy, mówiąc, że jeśli nie dostaną pokoju na działalność KOWzaP-u, to partia też żadnego lokum nie będzie miała. Dużo ludzi było w KOWzaP-ach w Radomiu, Białymstoku. Był to trudny czas nienormalnej pracy, bo to była praca propagandzisty, ale były widoczne efekty.

W tym czasie toczył się już proces Konfederacji Polski Niepodległej, sala była pełna. Trzeba było mieć przepustkę. Przepustki wydawał znany dziś sędzia Kryże. Ja wtedy do Warszawy jedynie wpadałam, ale nie mieszkałam w Warszawie. Klucz do mojego mieszkania mieli górnicy i nie wiem, kto jeszcze, podawali sobie jedni drugim, to był wtedy darmowy hotelik. Tempo życia było takie, że się nie liczyło dni, godzin, to nie było ważne.

Jedną z trudności był brak benzyny. Dla osoby, która jeździła samochodem, problemem nie był brak jedzenia, ale brak benzyny właśnie. Chłopaki na stacjach benzynowych tak mnie już znali i byli tacy fajni, że jak podjeżdżałam dużym fiatem, miałam zamontowany drugi bak od żuka w bagażniku, który niebezpiecznie obciążał samochód, ale nie miało to dla mnie większego znaczenia, panowie ze stacji lali do tego drugiego baku. Jak oczekujący klienci się niecierpliwi, to oni mówili – „Chwilę, mam dziewczynę...”.

Chciałam zapytać o najciekawsze, najsilniejsze wspomnienia związane z procesem 1981–1982?

Ja z samego procesu mam mało wspomnień, ponieważ w tym czasie cały czas pracowałam. Wpadałam na proces, wieszłam się mężowi na szyi, o ile mogłam do niego dojść i jechałam dalej. Byłam w trasie. Gdybym siedziała sobie na procesie, to byłoby to bardzo niekorzystne.

Walczyłam o dwie sprawy: żeby proces Leszka i jego kolegów był jawny oraz by oni odpowiadali z wolnej stopy, co też osiągnęłam. Tylko mnie oszukano, bo w momencie kiedy prowadziłam głódówkę w Katowicach i wylądowałam w szpitalu, to go ponownie aresztowali, jak ode mnie jechał z odwiedzin. Ale ta dwutygodniowa przerwa też była ważna, bo on się wtedy odbudował fizycznie i psychicznie.

Nie walczyłam tylko o mojego męża – ale o wszystkich więzionych za przekonania, bez rozróżniania ich przynależności partyjnej czy politycznej. Przyjechał do mnie trzeci z braci Kowalczyków – Narcyz. Powiedział, że nikt nic w ich sprawie nie robi.

– „Czy ja mogę dołączyć?”

– „Może pan ze mną jechać, proszę bardzo”.

Ale wizerunkowo nie było to korzystne, żeby ze mną on z ojcem jeździli. Płacząca kobieta, której zabrano męża, wygląda inaczej niż ekipa i to w męskiej obsadzie. Ja dołączyłam i bardzo uczciwie do końca walczyłam o sprawę Kowalczyków z pozytywnym efektem zresztą. Moim zadaniem było przedstawić sprawę Kowalczyków w prawdziwym świetle, bo oni byli traktowani jak terroryści, a skazani zostali jako politycz-

ni. Za zwykłe zburzenie budynku można było dostać 8 lat maksymalnie, natomiast ich chciano załatwić: jeden dostał karę śmierci, drugi – dożywocie. Później to zostało zmienione, na skutek interwencji Kościoła zostali wypuszczeni.

Uważam, że postąpiłam słusznie, bo gdybym tylko i wyłącznie walczyła o ludzi z KPN-u, którzy siedzieli w więzieniu, to moja motywacja i odczucia moralne byłyby o wiele niższe. Tymczasem, gdy przywódcy KPN poszli na wolną stopę, ja dalej głodowałam, ponieważ siedzieli Kowalczykowie. To dało mi siłę na następne lata – wtedy, gdy mój mąż przebywał w więzieniu. Przetrwałam to bez uszczerbku na psychice. A trzeba wiedzieć, że osoby bliskie więźniowi też są w więzieniu...

A więc to walka dała Pani siłę?!

O tak, oczywiście. Uświadomiła mi, kim jestem, ile człowieczeństwa jest w człowieku i jak dalece trzeba o to dbać. To było bardzo ważne doświadczenie.

Jak Pani wspomina lata uwięzienia męża? Jak wyglądała codzienność po procesie? Czy opresje trwały dalej?

Tak. Ale wie pani, kiedyś nazywano mnie „wańką–wstańką”. Ja mam taką naturę, że jak się otrząsnę, to wstaję i idę dalej. Mam wewnętrzną pogodę ducha, takie specyficzne poczucie humoru w stosunku do rzeczywistości. Poza tym mam cudowną córkę, mąż też ją uwielbia, która stanowiła dla mnie wartość pierwszą.

Jak wygląda życie osoby, która ma bliskiego w więzieniu? Od widzenia do widzenia, od spotkania z adwokatem do spotkania z adwokatem, od paczki do paczki... Ja przeczesalam szlak, Leszek siedział jako pierwszy.

Po 13 Grudnia uczyłam dziewczyny, jak konstruować paczkę. Paczka mogła się składać z opakowania i zawartości maksymalnie do 3 kg na miesiąc, czyli 10 dekagramów na dzień. Paczka mogła zawierać owoce krajowe, wyroby piekarnicze, cukier i inne tego typu. Nie wolno ani papierosów, ani czekolady, ani żadnych im podobnych. Opakowanie

musiało być takie, żeby można było sprawdzić ich zawartość – nie szkło czy metal...

Otóż śliwki suszone, te amerykańskie, są świetnym magazynem na czekoladę, bo do każdej śliwki można wsadzić co najmniej pół kostki czekolady. Można było podać wędlinę czy mięso – to ja dawałam salami. Chodziło o dostarczenie białka. Połędwicę i smalec pakowaliśmy w plastikowe pudełka, które składały się głównie z pokrojonej szynki zalanej gorącym smalcem. Poza tym zupy w proszku. Ja podawałam purée z grochu, zupy, które dostawali w więzieniu to były takie „berbeluchy”, więc dodawali do nich ten groch – to było pożywniejsze. Chodziło o to, żeby przetrwali w jak najlepszej kondycji fizycznej. To, że Leszek przetrwa dobrze psychicznie, to ja dobrze wiedziałam...

Proszę powiedzieć, jaka była rola kobiet w tym procesie po tej drugiej stronie krat? Czy była jakaś współpraca między paniami? Jakie wypracowane zostały praktyki oporu kobiet, jakie przybrały formy?

Przed stanem wojennym adwokaci załatwili, że można im było przynieść posiłek, więc mieli solidne posiłki w trakcie procesu w sądzie cywilnym. Ludzie z Polski przywozili mięso, kilka pań gotowało, smażyło, pichciło obiady, bo oskarżeni byli od rana do wieczora na sali sądowej i nie otrzymywali jedzenia w więzieniu. Te panie współpracowały ze sobą, ja jestem trudna w kontaktach i niemiła, ale one ze sobą dobrze współpracowały i panowie mieli dobrą opiekę cały czas. Była tam Janina Moczulska – matka Leszka – żołnierz Armii Krajowej, szalenie twarda i mocna kobieta. Ona się nimi opiekowała.

W stanie wojennym Leszek i koledzy z Rady Politycznej zostali postawieni przed sądem wojskowym, został sprowadzony sędzia Marcha ze Szczecina, bo uznano, że dotychczasowy Aleksandrow jest zbyt łagodny, a tu trzeba szybko i już. Wtedy już nie pozwolono na dokarmianie oskarżonych w sądzie.

Wyrok na KPN został wydany w dniu, w którym zostało ogłoszone zdelegalizowanie Solidarności (8 października 1982 r.). Moim zdaniem

chodziło o to, żeby milicja, wojsko pojechało do Katowic, Gdańska czy Krakowa, gdzie się spodziewano strajków, a tutaj tej „bandzie” z KPN mieli zamiar zaproponować broń, żeby zrobili grupę i próbowali odbić swoich przywódców. Była taka prowokacja SB... Dwa razy w tym czasie proponowano mi broń: raz po aresztowaniu a drugi raz, jak miał zapaść wyrok.

W stanie wojennym podrzucono mi też przez prowokatora mikrofilmy, które rzekomo zostały przerzucone z zagranicy. Materiały te bez żadnych osłonek sugerowały podjęcie zorganizowanej walki zbrojnej. Ale sobie poradziłam, żeby ich nie znaleźli. Po te materiały, które przyniosła do mnie podstawiona osoba, SB przysłała nazajutrz rano. Ja byłam w pracy i jak wróciłam, to już byłam „pod opieką”, pani funkcjonariusz, która przeprowadziła kontrolę osobistą. Materiały te schowałam poprzedniego dnia wieczorem w mojej sypialni. Poprosiłam więc, że pójdę do sypialni i się przebiorę, bo przecież jestem prosto z pracy. Pozwolili. Weszłam, drzwi zamknęłam, włożyłam na siebie podomkę, biustonosz i te trefne slajdy wepchałam pod biustonosz. Wyszłam i pytam – Czy jeszcze chce pani coś sprawdzić? „Nie, nie – to wystarczy” – odpowiedziała pani funkcjonariusz.

Co było na mikrofilmach?

Plany zorganizowania akcji zbrojnych. Gorący materiał. Jak się okazało ten materiał w jakiś sposób wypłynął na procesie KPN – przekazał go „jakiś uczciwy znalazca” do ambasady polskiej w Szwecji, no bo tutaj się nie udało. Ale sprawa została już spalona.

Proszę powiedzieć, czy miała Pani stosowne wsparcie, pomoc od obrońców, adwokatów?

Tak. Mieliśmy wspinających adwokatów – naszą „stajnię” firmował adwokat de Virion – wspinały prawnik, pierwszy po odzyskaniu niepodległości ambasador polski w Londynie. Był jego przyjaciel Edward Wende, potem był śp. Jerzy Woźniak, który był członkiem KPN – wspinały chłopak. Piotr Andrzejewski, który został senatorem PiS-u, odda-

ny i odważny człowiek. Leszek Piotrowski z Katowic, Krzysztof Piesiewicz – czołówka palestry, Siła-Nowicki...

Prezes Izby Adwokackiej – Dubois bronił *pro bono*, było 10 adwokatów, naprawdę byli wspañali. Wiadomo, że byli podsłuchiwani w rozmowach ze swoimi oskarżonymi, starali się przemyścić im trochę jedzenia, czy jakieś wiadomości z domu czy spoza domu. Nie brali od nas pieniędzy, tylko zespoły adwokackie brały podstawowe kwoty.

Klawisz, który mnie lubił, przyjmował moje paczki dla Leszka, które ważyły 4,5 kg. Jak już mąż wychodził z więzienia, to mnie zapytał:

– Czy pani wie, pani Moczulska, dlaczego ja zawsze panią tak faworyzowałem?

– Zastanawiałam się? – odpowiedziałam. – Ze względu na wiek ani wpływ mojej przekonującej urody – chyba nie.

– Bo ja panią znam. Poznałem panią, jak pani prowadziła manifestację 100 tysięcy ludzi 11 listopada w 1980 r. przy Grobie Nieznanego Żołnierza. Pani szła na czele tej manifestacji w takim białym krótkim futerku z wiązanką biało czerwonych kwiatów i takiej pięknej czapce z takim wielkim tutaj klejnotem. Wyglądała pani, jak królowna. I wie pani co, ja panią potem ochraniałem, bo wiedziałem, że ubecy chcą dać pani łomot. Wtedy panią zapamiętałem i kiedy panią zobaczyłem teraz, to pomyślałem: „O jest ta mała”.

A był to bardzo ostry funkcjonariusz, mówili na niego „Hitlerek”. Ludzie nie są płascy, są wielowymiarowi i nieraz można odkryć takie oblicze człowieka, którego nawet nie podejrzewamy...

Jak oceniłaby Pani działania żon, matek, siostr aresztowanych i uwięzionych w tym procesie? Czy to było współdziałanie i solidarność, czy raczej działania na własną rękę? Czy były jakieś ustalone działania, których się trzymałyście?

Brak współdziałania.

Co by Pani powiedziała dziś tym wszystkim Pani krytykom, utrzymującym, że Pani zbyt mocno ingerowała w sprawę kierownictwa KPN?

A kto miał to robić, jak nie ja? Dostawałam dyrektywy od męża, Leszek w dalszym ciągu był szefem, nie było zastępców i następców w KPN. Mąż był szefem. Po prostu. Kobieta nie jest, w środowisku tak twardej ludzi jak w Konfederacji, obdarzona takim autorytetem, jaki był potrzebny przy kierowaniu, wydawaniu dyspozycji organizacyjnych. I dlatego później Krzysztof Król, który był bardzo młodym, ale mężczyzną, przekazywał strukturom polecenia Przewodniczącego. Krzysztof przekazywał i działał. A że ktoś krytykował i krytykuje?... Roboty było i jest tyle, że każdy coś może zrobić.

Leszka aresztowano, ja drukuję na cudzych maszynach ulotki o uwolnienie mojego męża i tych, których z nim wzięto. A tu nagle oświadcza mi jeden z tzw. przywódców, czyli kolegów mojego męża mu podległych, że będę sądzona. Mówi mi:

– Staniesz przed sądem partyjnym za to, co robisz, bo zamiast wydawać teksty i ulotki na temat KPN-u, ty drukujesz o więźniach politycznych, odwracasz uwagę od sprawy.

Ja mu odpowiedziałam

– Dla mnie sprawa to jest mój mąż, a chciałabym ten sąd partyjny zobaczyć!.

Do dzisiaj się nie pojawił. Każdy powinien działać, jak tylko potrafi w danym momencie zagrożenia. Mnie nie interesowało, co oni robią. Ponieważ nie robili tego, co ja robiłam, więc nie wchodziliśmy sobie w drogę.

Później żony nie pozwoliły im działać. Powiedziały, że jeszcze jedno aresztowanie i won! Dlatego oni założyli tajną organizację z pensjami! Mój mąż też miał pensję – moją. Ja miałam 3 posady – w Instytucie, w ośrodku przeciwgruźliczym na Czarnochoy i wywiady prowadziłam z dziedziny bakteriologii dla pomaturalnej szkoły pielęgniarskiej. Wszystkie moje pieniądze były w KPN, ale dla mnie to było normalne...

I o czym my tu rozmawiamy, o tym, że ja nie tak formułowałam ulotki? No dobrze, też sobie to wyrzucam...

Chodziło o inne zarzuty, raczej takie, że np. pan Szeremietiew uważał, że zastępowała Pani jego rolę.

Nie chcę rozmawiać na ten temat. Niech mi to pani daruje. Nie będę wdawała się w szczegóły. Bo jest tych szczegółów za dużo.

Z perspektywy czasu, czy uważa Pani, że warto było przejść przez te czasy podziemne i walki?

Oczywiście!

Czy miała Pani w tamtym czasie poczucie strachu lub beznadziei? Czy raczej przeważały nadzieja i wiara w to, że wysiłki przyniosą kiedyś oczekiwane owoce?

Beznadziei – nigdy! Byłam związana z Leszkiem, nie mogłabym czuć beznadziei. To jest człowiek, który był i jest wizjonerem politycznym. Potrafił wszystko przewidzieć, ustawić w czasie i przestrzeni. Wspaniały jako historyk, mimo wszystkich jego wad. Wspaniały jako mąż, jako partner, bo dawał mi zawsze poczucie tego, że mam koło siebie człowieka niepowtarzalnego.

Miałam jeden cel, szukając męża. Celem było spotkanie człowieka, który będzie inteligentny, o większej wiedzy niż ja i mój ojciec (mój ojciec był prawnikiem i to na bardzo wysokim poziomie intelektualnym). Chciałam mieć męża, który będzie mnie przewyższał pod tym względem, ale jakoś tak się zawsze okazywało, że ta inteligencja to jest tylko taka jakaś konsumpcyjna. Dopiero Leszek spełnia te wymagania, a ja mam poczucie, że mam jedyny egzemplarz takiego człowieka. To bardzo dużo.

A czy widzi Pani obecnie, że dziedzictwo KPN rezonuje w kolejnych pokoleniach?

Młode pokolenie zostało zdeprawowane przez polityków. Ci młodzi ludzie noszący znaki Polski Walczącej, to nie są ludzie źli. Są tylko wypaczeni i nienauczeni tego, czym jest Polska. Byłam zawsze bardzo dumna, że jestem Polką, tak jak jestem dumna, że jestem Warszawianką. Dopiero, jak przekraczam granicę wracając do Polski, to czuję, że jestem cała. Mnie wszędzie za granicą brakuje Polski, Polaków, Warszawy. Ci młodzi

ludzie nie zdają sobie sprawy, bo nie mieli szansy na to, żeby zrozumieć, jak wielką rzeczą jest nasza wspólnota narodowa. To nie jest wspólnota Polaków białych, żółtych, zielonych czy niebieskich. Nie! To jest Polska tych wszystkich, którzy utożsamiają się z dobrem tej części świata.

My po odzyskaniu niepodległości w 1918 r. stworzyliśmy najlepsze rozwiązania demokratyczne w Europie. O takich rozwiązaniach Niemcy, Francuzi, Anglicy mogli tylko marzyć: prawa wyborcze dla kobiet, silna rola związków zawodowych, prawa strajkowe, prawa człowieka itd. To wszystko zostało w pierwszych dwóch latach po odzyskaniu niepodległości zbudowane przez Polaków, którzy wcześniej mogli tylko i wyłącznie marzyć o niepodległości, o własnym państwie. Odzyskaliśmy niepodległość i nagle okazało się, jak pełne są głowy i szuflady pomysłów i rozwiązań.

A dzisiaj co? Nawet nie winię tych głupich szczeniaków... Tylko jest mi przykro. Dla mnie to jest świętokradztwo, jak widzę – wchodzi łysol do supermarketu, ma kurtkę dzinsową, nadruk AK, tutaj orzeł. Cały jest wielkim partyzantem. A ja nigdy nie ośmieliłam się założyć opaski akowskiej będąc na tyłu rozmaitych uroczystościach, mimo że moja cała rodzina była w Armii Krajowej...

Dzisiejsza Polska nie jest Polską Pani marzeń?

Polska jest Polską. Jest w Polsce ogromna ilość wspaniałych ludzi. Przede wszystkim ideowych, ale nie w sposób fanatyczny.

Nie cierpię fanatyzmu wszelkiego typu – to jest ograniczenie, to nie jest pójście w głąb, to jest zawężenie swoich możliwości, nie tylko swoich, ale naszego kraju.

Czerwiec 2018 r.

GRA NA DWÓCH FORTEPIANACH
PÓŁLEGALNA I CAŁKIEM NIELEGALNA
KONSPIRACJA NIEPODLEGŁOŚCIOWA W PRL

Z DOKTOREM BOHDANEM URBANKOWSKIM
ROZMAWIA MICHAŁ JANISZEWSKI

MICHAŁ JANISZEWSKI: Jestem pod ogromnym wrażeniem Twojej książki „Marzyciel i strateg”, czy da się jeszcze coś więcej napisać o Józefie Piłsudskim?

BOHDAN URBANKOWSKI: Piłsudski był człowiekiem działającym w wielu przestrzeniach, bo i w polityce – jawnej i podziemnej, i w wojskowości, i w literaturze jako autor wspomnień, a więc do opisanía tego wszystkiego trzeba by zatrudnić całe uczelnie. Mówię to metaforycznie, bo nasze uczelnie zostały skutecznie odmóždzone, często rządzi jeszcze profesura drugiego sortu, która karierę zawdzięczała nie wiedzy a usłużności i współpracy z SB. Może dlatego z kręgów uczelnianych wyszła przez kilkadziesiąt lat jedynie uboga w fakty, tendencyjna biografia, napisana przez byłego współpracownika służb, TW „Pedagoga”, czyli Andrzeja Garlickiego, który zrobił z Piłsudskiego nieudacznika i wariata. Ale to inny temat.

Wracając do trudności z pisaniem biografii Piłsudskiego: rekonstrukcja zakłada odtworzenie czegoś dokładnie w skali 1:1, dzień po dniu, minuta po minucie – to nie jest możliwe. Jest taka opowieść o uczonych chińskich, którzy robiąc idealną mapę przygnietli pół cesarstwa taką adekwatną mapą – na szczęście cesarz kazał ich połapać i powywieszać. Żeby dobrze opisać życie Piłsudskiego trzeba by jeździć jego śladami, po ziemiach Litwy, Białorusi, Rosji, wybrać się na Maderę i do Japonii, szukać w Anglii i w Ameryce – a i tak wszystkiego się nie znajdzie.

Bo przecież Piłsudski przez pół życia działał w konspiracji. Co więcej: był dobrym konspiratorem – to znaczy, że niewiele wiemy. Historia zna przeważnie złych konspiratorów – takich, którzy wpadli i składali długie zeznania. Piłsudski tylko w młodości popełnił błąd, wpadł w nieudany spisku na życie cara. Właściwie to nie on ten błąd popełnił, to brat Lenina notował różne daty, adresy w kalendarzyku. Błąd Piłsudskiego polegał na tym, że nie powinien był się zadawać z żadnym Uljanowem. Po tem to zrozumiał. I nie ma racji Zychowicz mówiąc o pakcie Piłsudski – Lenin. Piłsudski nie zawarł ani paktu przeciw Denikinowi z Leninem, ani z Denikinem przeciw Leninowi. On widział, że Rosja, każda Rosja jest antypolska, więc chciał żeby nawzajem się wykrwawiły, żeby potem tą drugą, wciąż silną ale jednak poranioną Polska mogła pokonać. Dokładnie tak się stało...

To co było pewne w sferze faktów zostało odnotowane przez Wacława Jędrzejewicza w „Kronice życia Józefa Piłsudskiego”. To co można podać jako prawdę, rozumianą jako zgodność z dokumentami, to jest i to przedstawiłem. Ale przecież już ta niby adekwatna prawda nie jest zgodna z rzeczywistością, już dokumenty nie są z nią zgodne. Więc taka prawda Arystotelesowska, adekwatna nie jest możliwa. Jest możliwa prawda, którą nazywam aksjologiczną. Chodzi o to, żeby zgadzały się wartości. Żeby ludzie dobrzy, odważni, uczciwi w rzeczywistości byli takimi w opowieści pisarza. I żeby źli i tchórzliwi – byli takimi w jego książce. Na temat Piłsudskiego zachowały się wspomnienia, listy pisane na bieżąco, gdy nie był jeszcze przywódcą, Naczelnikiem – nikt nie miał potrzeby takich świadectw fałszować. To pozwala odtworzyć te wartości, które wrosły w osobowość, zmieniły się w charakter. To nie mówi o rzeczach nieznanych, ale pozwala wykluczyć pewne rzeczy, nie pasujące do charakteru. Znając życiorysy Sikorskiego czy Zagórskiego wiemy, że pierwszy był człowiekiem małym i zawistnym, drugi, okazał się kręta-czem. Piłsudski miał rację, że żadnego z nich nie cenił. Ale jednocześnie z charakteru Piłsudskiego wynika, że nie zabił Zagórskiego, tak samo jak nie kazał zabić Sikorskiego – wystarczyło, że go odsunął. Płacono mu żołd, ale odsunięto od władzy. Znając inteligencję Piłsudskiego wiemy,

że gdyby chciał zlikwidować Zagórskiego, to zrobiłby to sprytniej. Było wiele okazji. Ale znając jego charakter – możemy mieć pewność, że tego nie zrobił. Mógł gardzić, mógł pomijać w awansach, ale nie mordować. Sikorski nie miał tej klasy. Już we Francji najpierw chciał stworzyć obóz koncentracyjny dla piłsudczykowskich oficerów w Maroku, potem stworzył taki obóz w Cerizay (siedział tam szef lotnictwa Ludomił Rayski, siedział Dąb – Biernacki, tylko dlatego, że byli piłsudczykami). Potem w Anglii wsadził swoich rywali na Wyspę Węży. Nie ta klasa, nie ten charakter. Czcimy go, bo zginął tragicznie, ale to nie zmienia faktu, że ten człowiek nie zasługuje na cześć, co najwyżej na pamięć. Jest jeszcze jeden problem. Biografie ludzi wielkich to już gotowe książki, tyle że jeszcze nie napisane. Biografie napisane – to odpowiedzi na pytania, które my zadaliśmy swoim bohaterom. Któryś z filozofów powiedział, że odpowiedzi są ważne dopóty, dopóki ważne są pytania. My dzisiaj wpisujemy w biografię Piłsudskiego, nasze pytania – okresu walki z PRL i początków III RP. Każde kolejne pokolenie, jeszcze przez wiele lat będzie go miało o co pytać. Wiedza o działalności spiskowej i organizacyjnej Piłsudskiego, wiedza o jego sztuce wojennej, dzięki której ocalił niepodległość nie tylko Polski, ale przynajmniej połowy Europy – to wszystko było w PRL a po części w III RP zakazane, nie zdawaliśmy sobie sprawy nawet z naszej niewiedzy. Moja książka to jakby wstępne rozpoznanie. W porównaniu do tego co powinienem wiedzieć ta książka powinna być dwa razy grubsza!

Jak na razie to nie spotkałem większego opracowania, a w dodatku nie spotkałem też polemiki z tym dziełem.

Dlatego, że ja właśnie starałem się odnotowywać to, co wiemy na pewno. Trudno z tym polemizować. A poza tym, jak już złośliwie wspominałem, aktualna kadra uczelniana jest za głupia. Mam nadzieję, że za parę lat zostanie jednak wykształcone pokolenie, które napisze swoją książkę o Piłsudskim, każde pokolenie musi mieć swoją. Ich sytuacja jest łatwiejsza. Nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej. Ja miałem i problemy z dostępem do źródeł i z publikowaniem badań. Najpierw szalała cenzura...

A drugi obieg? Kiedy zacząłeś pisać o Piłsudskim?

Zacząłem od wierszy, jeszcze w szkole. Miałem taki wieczór, dokładnie w 18 urodziny. Prowadził Jurek Hnatyszyn. Potem któryś z wierszy włączyłem do książki „Józef Piłsudski. Myśli, mowy i rozkazy”. Potem powstały dwa dramaty – „Czarny pierścień” i „Żelazne kwiaty”. A monografia powstawała niejako ponad, jako dopełnienie działalności podziemnej. W ramach akcji konfederackich, najpierw Konfederacji Nowego Romantyzmu, potem Konfederacji Polski Niepodległej

Z Konfederacji do Konfederacji... Jeździłem z tajnymi wykładami o Piłsudskim. Potem miałem cykl regularnych wykładów dla nauczycieli w Wałbrzychu, potem znów w Płocku, w Pabianicach i Łodzi. Tam organizatorem był płk Józef Szostak, „Filip”, do którego wozila mnie Lena Szatkowska. I po którymś wykładzie płk Szostak, namówił mnie na pisanie biografii Marszałka. Druk organizował Andrzej Ostoja-Owsiany. Parę rzeczy mi podpowiedział. On pisał wtedy, też dla podziemia o roku 1920. Przysiadłem fałdów i napisałem pierwszą książkę o Piłsudskim pod prostym tytułem „Józef Piłsudski”. Andrzej wydał mi to w 1984 roku. Niestety pułkownik nie doczekał, umarł na początku 1984. Był po 80-tce, spędził parę lat w PRL-owskim więzieniu... Wykładałem też o Piłsudskim w ramach naszego Uniwersytetu Lotnego, książka zaczęła się rozrastać, miała ukazać się w 1988 roku jako „Filozofia czynu” – ukażała się zmasakrowana przez cenzurę, bo cenzura wciąż jeszcze działała. Wtedy wpadliśmy na pomysł, by to, co cenzura zdjęła trochę zaokrąglić literacko i wydać w podziemiu przez KPN, ale tę historię znamy obaj – to ty wtedy wyszedłeś z pudła i zacząłeś odbudowywać wydawnictwo a ja się załapałem. Najpierw wyszedł wybór z pism Piłsudskiego a potem moja książka.

No, mieliśmy z nią trochę przygód.

Myślę, że warto o nich powiedzieć i przy okazji wyjaśnić ciągnące się już ponad 20 lat nieporozumienie. W różnych bibliografiach można znaleźć, że książka miała dwie części i dwa wydania. Podział na części był prosty. To co przeszło przez cenzurę ukazało się legalnie, pod

tytułem „Filozofia czynu”, a to, co zdjęła cenzura trochę zaokrągliłem i wyszło jako „Człowiek pośród legend” w takiej samej brązowej okładce. Na „Filozofii czynu” była rzeźba Wittiga, a na „Człowieku pośród legend” – rzeźba Laszczki. Po pewnym czasie zabrakło brązowej farby i resztę z Laszczką drukowano w czarnej okładce, stąd w bibliografiach piszą czasem o dwóch podziemnych wydaniach. Tymczasem było jedno wydanie, tylko w dwóch kolorach i z dwoma datami, bo w międzyczasie przyszedł nowy rok.

W 1989 wyszedł – dla odmiany legalnie – „Józef Piłsudski. Myśli, mowy i rozkazy”, w moim opracowaniu (nawet z wierszem „Śmierć Piłsudskiego”) w rekordowym nakładzie 170 000 egzemplarzy, słownie – sto siedemdziesiąt tysięcy! Rekord do dziś nie pobity. Od razu uprzedzam pytanie, dostałem tylko zwrot kosztów, także za maszynistkę, która pisała ekspresowo, dochód z tego wyboru miał iść w całości na dwie pozycje: na druk połączonej z obu części monografii „Marzyciel i strateg” i na druk mojej historii polskiej filozofii. Obie pozycje były gotowe, obie zapowiedziane. I to był błąd. Odsłoniliśmy się – więc cios padł. Do dziś nie wiem dokładnie jak to wszystko zostało rozbite, ale zostało. Pech chciał, że na krótko wyjechałem. Przez lata mnie nie wypuszczano na Zachód, więc jak zaproponowano mi stypendium – oczywiście pojechałem. Jak wróciłem, to już było pozamiatane – ani wydawnictwa, ani ludzi... Jakaś kafkowska sytuacja. Żadnej z tych książek nie wydałem. „Marzyciel i strateg” ukazał się dopiero w 1997 roku, no i teraz – prawie 20 lat później. A książka filozoficzna do dziś się nie ukazała, chociaż ...

Przejdźmy do „Marzyciela i stratega”. Stwierdzasz że wszystkie ruchy inicjowane przez Piłsudskiego miały podwójny, legalny, sformalizowany i nielegalny, jakby grał na dwóch fortepianach, jednym legalnym drugim nie.

Piłsudski wyznawał taką zasadę. Nie wiem czy to on sam wymyślił to określenie, ale o grze na dwóch fortepianach mówiono w Galicji przed I wojną. Piłsudski wykorzystywał legalny ruch strzelecki a pod spodem był już Związek Walki Czynnej. Wyjazd niby na spotkanie bractwa kur-

kowego – a zajęcia z wyzwalań Polski. Tak obydwie struktury służyły nauce niepodległości. Bo Polaków, po latach niewoli i uległości, trzeba było niepodległości uczyć.

Czy Ty uważasz, że to był ten moment, w którym powstał nurt niepodległościowy, albo nurt piłsudczykowski mówiąc inaczej?

Powiedzmy: nastąpił skok jakościowy. Nurt niepodległościowy, do którego i my potem nawiązywaliśmy, przypomnę nn i NN, dla nas sygnowany nazwiskami generała Abrahama, czy potem Leszka Moczulskiego, Ziemińskiego, Motyczyńskiego, a potem przecież pokolenie twoje i Słomki, i Krzysia Króla – ten nurt nie zaczął się w latach siedemdziesiątych. Ten nurt powstał już w czasach Konfederacji Barskiej. To była ta prawdziwa Polska, niesiona potem przez Legiony Dąbrowskiego, przez Powstanie Listopadowe, przez Powstanie Dembowskiego w Krakowie i przez walki w Poznańskim dwa lata później. Potem przyszło Powstanie Styczniowe, masakra młodego pokolenia szlachty i nurt niepodległościowy niemal wygasł. Piłsudski odbudował ruch niepodległościowy z popiołów, poszukiwał nowych sił, odbudowywał przez przedstawienie socjalizmu z toru marksowskiego, międzynarodowego i klasowego, w jakimś sensie roszczeniowego – na niepodległościowy (a więc zakładający nie roszczenia a poświęcenie). Piłsudski odwołał się do nowej siły społecznej jaką była – czy też w marzeniach ideologów socjalizmu miała być – klasa robotnicza. Mówię – w marzeniach, bo w rzeczywistości ruch socjalistyczny w Polsce został wymyślony przez szlachtę, która uważając się za oficerów szukała żołnierzy do kolejnego powstania. Spośród autentycznych robotników niewielu znalazło się w Legionach, ale już więcej w wojsku broniącym przed najazdem sowieckim.

Zmiana jakościowa wprowadzona przez Piłsudskiego polegała, po pierwsze – na zmianie socjologicznej, po drugie – na zmianie pokoleniowej. Więc po pierwsze Piłsudski od lat 90. XIX wieku próbował odwołać się nie do szlachty, a do klasy robotniczej. Skończyło się to fiaskiem w 1905 roku, ale podziemie złączyło obie klasy w ponadklasowym nurcie niepodległościowym, w idei służby. A zmiana pokoleniowa

– to odwołanie się do studentów, do młodzieży, do tych wszystkich kół PPS (potem „Strzelca”) na uczelniach, począwszy od Krakowa i Lwowa a na Szwajcarii skończywszy. To miało realny wykładnik: najwięcej składek płaciły koła studenckie, nie robotnicy. I ta strategia – stawiania na młode pokolenie – się sprawdziła. Jak popatrzymy na Strzelców, na Pierwszą Kadrową, a potem na kadre oficerską Drugiej Rzeczypospolitej, to jest tam wielu, bardzo wielu młodych ludzi, studentów, wychowanków Piłsudskiego. Ten konflikt młodych idealistów z zawodowcami z austriackiej Kriegsschule wypłyne w 1926 roku. Malczewski (czterodniowy minister Spraw Wojskowych u Witosa w maju 1926 roku), generał Rozwadowski, Zagórski to dawna kadra austriacka. Oni wcześniej służyli zaborcy. Nurt niepodległościowy to młodzi Strzelcy i ludzie z podziemia PPS. Ten wyznacznik pokoleniowy jest ważny. Ten nurt niepodległościowy, to potem młodzi chłopcy z Powstania Warszawskiego, „Sztuka i Naród”, WiN i Żołnierze Wyklęci. Ten nurt, mimo represji, przetrwał. Akowcy, którzy przeżyli stalinowskie więzienia nie przestali myśleć o Polsce. Działali na ile mogli. Działała ich legenda. Abraham to bohater 1939 roku, wcześniej obrońca Lwowa. Matuszczyk i Motyczyński – Kedyw. A trzeba dodać, że Motyczyński był też w kręgu Henryka Józefskiego, który w 1953 roku został skazany na dożywocie za konspirację antykomunistyczną. Wyszedł w 1956 roku i znowu odbudowywał konspirację antykomunistyczną. To byli wspaniali ludzie! „Żelazne kwiaty” jak nazywał piłsudczyków Kaden Bandrowski. My w pewnym momencie wstąpiliśmy do tej samej kolumny, wypełniliśmy opuszczone miejsca.

Na ile wiedza, którą zawarłeś w tej książce przydała Ci się w latach 70. kiedy ty zaczynałeś podobną grę jak to masz zwyczaj nazywać, na kilku fortepianach? – Współpracujesz z ludźmi z Armii Krajowej, ale i Związek Piłsudczyków, ale i nurt niepodległościowy. Na ile wówczas myślałeś, że to trzeba bardzo szeroko współdziałać, żeby w PRL coś zmienić?

Nawet nie wiesz ile pytań naraz zadałeś?

Tak?

Tak! Po pierwsze bezczelnością z mojej strony byłoby porównywać to, co ja robiłem, do tego, co zrobili dla Polski piłsudzczy. Inne warunki, o wiele mniejsze ryzyko, znacznie skromniejsze pole działania. Myśmy działali w ruchu studenckim, wśród nauczycieli i trochę jeździliśmy po Polsce z prelekcjami do szkół, ale głównie po województwie mazowieckim. To wszystko było ograniczone. Powiedzmy – młody Piłsudski na etapie „Spójni”, samokształcenia a potem zebrań PPS. Ale już nie Organizacja Bojowa. Natomiast to, co nazwałem grą na kilku fortepianach, było w pewnym sensie wymuszone. Ale było to także elementem kamuflażu. Zakładaliśmy, że jak coś robimy, to SB o tym wie (nie mieliśmy złudzeń co do rodaków). Stałym założeniem towarzyszącym nam było, że jesteśmy obserwowani, że na danej sali, gdzie przyszło nam występować, są entuzjaści, ale są też donosiciele. Więc od razu dzieliliśmy naszą działalność na spotkania oficjalne i tajne, u osób pewnych i sprawdzonych. Bardzo często udawaliśmy, że wyjeżdżamy. Wchodziliśmy niby do pociągu i wychodziliśmy drugimi drzwiami, ktoś doprowadzał nas do prywatnego mieszkania albo salki w jakimś kościele. Jak potem sprawdzałem dokumenty w IPN-ie to wyszło, że większość jawnych imprez była obserwowana – są donosy i ze spotkań ze studentami i w Klubie Pietrzaka, i oddziałach ZNP. Ale na tajne spotkania nikt się nie przedarł. Sprawdziły się struktury rodzinne jako baza konspiracji, także związki przyjaźni sięgające nawet czasu szkoły podstawowej.

Tu chciałbym dodać jedną rzecz. Działalność jawna dawała mimo wszystko większą liczbę odbiorców, większą siłę oddziaływania, pomimo, że to co przekazywaliśmy musiało być płytsze, jakoś tam zakamuflowane. Ale to inspirowało słuchaczy do przemyśleń, do poszukiwań. Nie mogliśmy z tego rezygnować. Na takich spotkaniach tworzyła się po prostu nowa elita, najlepsza – bo przyuczona do samouctwa. Część nastawionego opozycyjnie ruchu studenckiego wybierała taką jawną działalność, część tajną – a my obydwie.

Jesteś z rodziny akowskiej, ojciec walczył, zginął potem w obozie, matka też w akowskiej konspiracji, więc byłeś „swój”, to chyba otwierało wszystkie drzwi.

Do kręgu „Porawy” trafiłem jako syn chrzestny swojego ojca chrzestnego. Mogę podać jego nazwisko, choć w konspiracji (zarówno okupacyjnej, jak i potem – w antysowieckiej) występował on zawsze pod przybranym nazwiskiem. Naprawdę nazywał się Jan Wrzesiński. Robił prasę podziemną, powstańczą, ale jak trzeba było, to walczył. Na Starówce wszyscy mężczyźni w pewnym momencie musieli stać się wojakiem, a kobiety – sanitariuszkami. Przecież Powstanie Warszawskie to była II Rzeczpospolita, Rzeczpospolita Walcząca...

Ale przynależność do kręgu akowskiego nie dawała pewności, co do osoby. To nie było takie proste. Ci „starzy” bardzo się pilnowali. Wśród akowców też bywali zdrajcy, ludzie którzy się dali złamać... Sędzia, który skazywał Pileckiego, Jan Hryckowian, to dawny akowiec.

Punktem wyjścia była trochę nonszalancka, zaimprovizowana, konspiracja młodzieżowa – Klub Artystów Anarchistów i Konfederacja Nowego Romantyzmu. Esbecja miała na nas oko, ale starzy akowcy też nas obserwowali. I to oni się do nas zgłosili. Ta sprawa najpoważniejsza zaczęła się zupełnie niepoważnie. Zgłosił się do mnie redaktor z pisma „Żyjmy dłużej”. Uprawiałem kulturystykę, miałem dość wyrobione mięśnie, ale na zawodach nie nadymałem się jak balon tylko „grałem” z publicznością naśladując kilka rzeźb, sala miała zgadywać. Był tam ktoś z ich redakcji więc zamieścili moją fotografię. No i sypnęły się listy. Facet przyniósł tego całą torbę, przeważnie pederaci, w tym jeden malarz chyba Narodnyj Artist Sowieckiego Sojuza, czy nawet Gieroj. Zapraszał mnie gdzieś do Woroneża, że chce mnie malować. Zauważyłem, że z pewnością jest „seksotem”, bo jeśli mają na niego to, co obaj podejrzewamy a on może zapraszać do ZSRR, to... Ta uwaga zainteresowała redaktora. Przedstawił się jeszcze raz, wyraźniej – Stefan Matuszczyk. Po paru spotkaniach dopiero okazało się, że to kapitan „Porawa” z oddziału 993/W (tego, który wykonywał wyroki). Delikatny, wytworny facet po polonistycie. Gadaliśmy o poezji, pokazałem mu nawet swoje wiersze.

Od niego usłyszałem o sprawie Kalksteina, on na niego polował, miał też wykonać wyrok na Kaczorowskiej, ale zorientował się, że jest w ciąży – nie wykonał, dowództwo to zrozumiało. Etyka przed polityką, nawet przed prawem.

Kalkstein i Kaczorowska to ta para zdrajców, którzy wydali generała „Grotę”.

Tak, tu wchodzimy i w konspirację i legendę. Ostatnią łączniczką a chyba i ostatnią miłością generała „Grotę”, była Elżbieta Prądyńska-Zboińska, niezwykle piękna kobieta. Przyjaźniła się z córką generała, Ireną Rowecką-Mielczarską. Ich przyjaciółką była pani Zofia Idziakowska, która działała w AK w Puławach i Lublinie, była łączniczką pułkownika Kazimierza Tumidajskiego. Rosjanie zamordowali go w 1947 roku w obozie, podczas przymusowego karmienia, gdy podjął głodówkę protestacyjną. Wściekli się i zadławił go tym szlauchem. Dlaczego wymieniam te nazwiska? – Bo dzięki „Porawie” trafiłem do kręgu pani Prądyńskiej. Spotkania odbywały się u niej na ulicy Hynka, czasem u pani Zofii na Węgierskiej 5/9 m. 22 (do dziś pamiętam, tego się nie zapisywało). U pani Ireny spotkania były rzadziej, bo mieszkała na Rakowieckiej, poza tym często wyjeżdżała. Te trzy damy rządziły ówczesną konspiracją. Śmiałyśmy się, że warszawskim podziemiem rządzą trzy kobiety, złośliwsi mówili „trzy baby”... Bywali tam często ci sami ludzie, których potem spotkałem u generała Abrahama. Z tych najślawniejszych mignął, prof. Józef Rybicki – szef Kedywu, który współpracował też z KOR-em, harcmistrz Stanisław Orsza-Broniewski, major Leliwa-Roycewicz – zdobywca „Pasty”. To były autorytety, bo do bieżącej roboty się nie włączali. Jeszcze większym autorytetem był płk Ludwik Muzyczka, ale on mieszkał w Krakowie. Podobnie – Spiechowicz, który mieszkał w Zakopanem. To do nich się jeździło.

Generał Mieczysław Boruta-Spiechowicz był prezesem Związku Legionistów Polskich, honorowym prezesem, ale de facto on był najważniejszy. Gdy Moczulski organizował Ruch Obrony, to jeździł do Zakopanego. Śmiałyśmy się, że po błogosławieństwo. A on odpowiadał

z dumą – „Żebyście wiedzieli! I ja je dostanę!”. Podobno jego rozmowa z Borutą przypominała spowiedź Mickiewicza – słycać było ryki, jakby kto diabła wyganiał. Ale błogosławieństwo dostał. Wojtek Ziemiński też jeździł, jak zakładał swój Komitet Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu. Wojtek wcześniej był w KOR-ze, ale tam się zaczęły takie wewnętrzne rozgrywki – grupa Kuronia pozbywała się niepodległościowców Macierewicza. Więc Wojtek przeszedł do Ruchu Obrony, a potem – jak się mówiło – „poszedł na swoje”, to znaczy stworzył [10 lutego 1979 r.] ten Komitet Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu. Boruta też mu to błogosławił, wszedł nawet do Rady Sygnatariuszy. To było przekazywanie pałeczki sztafetowej, a może ładniej mówiąc: przekazywanie pochodni.

W Klubie „Grotołazów” też było to starsze pokolenie AK, trzy damy, „Porawa” – i kilkoro młodszych, właśnie takich czeladników jak ja...

W Klubie „Grotołazów”?

Tak żartobliwie nazywaliśmy środowisko skupione pod patronatem „Grotą” Roweckiego. Raczej żart, niż kamuflaż. Bo oficjalna nazwa była prawie tak skomplikowana, jakby wymyślał ją Wojtek Ziemiński. Oficjalnie to brzmiało – Stowarzyszenie dla Uczczenia Pamięci Generała „Grotą” Roweckiego i Jego Żołnierzy (że niby głównie chodzi o tablicę). Chyba w 1981 roku cenzura zaczęła przepuszczać nazwisko „Grotą”, w telewizji puścili nasz film, choć trochę namieszali w scenariuszu, (mnie wyrzucili zanim zdążyłem go skończyć, właśnie za ten film, więc wynajęli jakiegoś grafomana, który dopisał brakujące dialogi, i po drodze wyczyścił z nieprawomyślności). Jak widzisz poprawność polityczna, to wymysł komunistycznej cenzury.

Ale to było w roku 1981, a wcześniej, w 1979 był Wałbrzych. „Klub Grotołazów” spotykał się potajemnie po mieszkaniach, praca nastawiona na przypomnienie, żeby w ogóle ocalić historię AK. Czasem miałem jakiś wykład, mówiłem czy o Wrześniu, czy o konspiracji (to było doprowadzone aż do procesu szesnastu). Opowiadałem na spotkaniu, była dyskusja a ja potem miałem nową, lepszą wersję do filmu o AK.

Oczywiście wiedziałem, że procesu szesnastu to nam nie puszcza, ale chciałem to mieć napisane, a Królikiewicz – nakręcone. Taka pateczka sztafetowa (tyle, że nie wiedzieliśmy, czy do kogoś trafi i kiedy). Oprócz tego – „normalka”, to co zawsze i wszędzie: zakazane książki, jakieś ulotki, przeważnie na maszynie. Ja miałem nawet dwie maszyny, jedna do pokazywania, podczas rewizji, esbecy zawsze brali „próbki”, a druga schowana, ta na której moja żona pisała ulotki i artykuły. Potem się je nosiło na przykład po kościołach (takie bardziej rocznicowe do Płocka).

Potem, po przyjeździe Papieża, to ludzie nabrali odwagi, władze poluzowały. 1 sierpnia 1980 udało się odślonić tablicę na Spiskiej 14, skąd gestapo wyprowadziło Roweckiego. Potem były kolejne tablice, nawet most. Ale już wcześniej, z tego kręgu „Grotu” trafiłem do samego serca konspiracji, bo do kręgu generała Abrahama. Jeszcze zdążyłem go poznać. To było także tajne, choć z odrobiną nonszalancji. Na przykład przedstawiono mnie Generałowi po mszy u św. Jana [czyli po mszy w warszawskiej katedrze] – uścisk ręki. Wiedział już o mnie dość dużo. Potem byłem na kilku spotkaniach. Na jedno musiałem doholować Ostoję-Owsianego z Łodzi, właściwie z Centralnego – na Żoliborz. Niestety poznałem Generała za późno, niemal w ostatniej chwili, chyba rok czy półtora przed śmiercią. No i dalej byłem czeladnikiem. Byłem na spotkaniu, napisałem wiersz, który potem wręczyłem Generałowi, ale na przykład nie byłem na imieninach. Tam bywali najbliżsi, mistrzowie a nie czeladnicy.

Może dobrze, bo prócz mistrzów tam był także agent SB.

Może się zdziwisz, ale myśmy działali zakładając, że agenci są. Dlatego wymyślaliśmy różne szyfry, na przykład jawne umawianie się na godzinę i miejsce. Na sposób „godzina minus dwa” wpadliśmy sami w Bytomiu. W ramach Klubu Artystów Anarchistów wystawialiśmy, całkiem nielegalnie, bez uzgodnienia z cenzurą, mój „Poemat o nas”. Po pierwszym przedstawieniu zrobiła się awantura a my postanowiliśmy zrobić drugie. Wykorzystaliśmy scenę Domu Kultury przy Żeromskiego, oficjalnie wszyscy „anarchiści” byli tam aktorami lub współpracownikami

teatru kukiełek. Ogłosiliśmy na słupach, na legalnych afiszach, że „Pomemat o nas o 19-tej”. Ludzie wiedzieli gdzie, teraz dodaliśmy godzinę. Oczywiście za pięć siódma ubek przyleciał – i trafił na koniec dyskusji. Bo wszyscy wiedzieli, że trzeba przyjść dwie godziny wcześniej.

Zacząłeś mówić o profesorze Wójciku...

U trzech dam prawie nie bywał, raz wygłosił jakąś gawędę. Tworzył osobny krąg, raczej naukowy i do niego mnie wciągnął. Pożyczał mi nawet książki do pisania pierwszej wersji pracy o Piłsudskim, bo to wszystko były „prohibita”. Krótko używaliśmy nazwy Związek Piłsudczyków, potem działaliśmy jako Duszpasterstwo Rodzin Legionowych i Peowiaczkich, spotykaliśmy się w kościele za Halą Mirowską. Mniej więcej w tym samym czasie co Ruch Obrony i KOR powstał też, w pierwszym wcieleniu Związek Piłsudczyków. Prezesem wybraliśmy oczywiście Profesora. Śmiało się, że był nie do pobicia: siedział kiedyś u Piłsudskiego na kolanach. Nikt z nas nie siedział, nie mieliśmy szans. On był w przedszkolu belwederskim. Poza tym jego ojciec chodził w obstawie Marszałka. Zachowały się nawet zdjęcia z Alei Ujazdowskich; idzie Piłsudski a za nim... drugi Piłsudski, bo kapral Wójcik też zapuścił wąsy, z daleka można było ich pomylić. To oczywiście żarty, ale żartowaliśmy serdecznie. Zbigniew Wójcik był znakomitym historykiem, napisał monografię Sobieskiego. Tłumaczył nam, że Piłsudski narzekał, że Polacy za dużo obchodzą rocznic smutnych, obchodzą klęski. Żeby to odkręcić Piłsudski zrobił nawet na Błoniach obchody bitwy pod Wiedniem. – „No a ja napisałem tę książkę, właściwie napisałem ją na rozkaz Piłsudskiego” – tłumaczył. Dzięki niemu pojechałem potem do Instytutu Piłsudskiego, ale to późniejsza historia, bo i Giedroyc się do tego przyczynił i nasz KPN.

Ale to już III RP, do tego czasu wszystko się pozmieniało.

Tak, jak nauczyliśmy się porządnie konspirować to akurat się skończyło. Ta fala, która mnie porwała (pomijam okres studencki, mówię o tej poważniejszej konspiracji), zaczęła się od starych towarzyszy

broni, często już bardzo starych i oni wychowywali następców. Ruch lat siedemdziesiątych zaczyna się od struktur takich troszeczkę niesprecyzowanych, takiego nurtu niepodległościowego jak to potem mówiono przez małe „n”, że był to nurt bez nazwy. Abraham powtarzał, żeby nie robić żadnych struktur, zarządów, nazw, niczego za co mogliby się ubecy złapać. Potem, jakoś już niezależnie od nas zaczęło się pisanie Nurtu Niepodległościowego przez duże litery, jakby to była pierwsza organizacja – gdzieś powiedzmy około roku 1975–76. W każdym razie w 1976 roku wychodzi piśmko „U progę”. Tam była już dobra konspiracja – nikt nie znał nazwisk. Osobno redakcja, osobno wydawcy. To było pierwsze piśmko na powielaczu, a nie jak wcześniej na maszynie. Podobno przewieźli go od Giedroycia.

Kto?

Nie wiem, struktura była rozproszona. Nie wiem, czy ktoś, kto raz czy dwa coś napisał i raz czy dwa coś przekazał, to już był członkiem czy nie. Może tylko sympatykiem, ale do więzienia mógł trafić. Oczywiście nazwiska były tajemnicą, ale do czasu. Jak Krystian Brodacki działał też w Związku Piłsudczyków, czy w duszpasterstwie, to w końcu znaleźliśmy prawdziwe nazwiska. Charakterystyczny był Czuma z Łodzi ale o tym, że on kierował drukiem dowiedziałem się znacznie później. Był Jacek Wegner. Oczywiście był Emil Morgiewicz – bez niego żadna poważna konspiracja nie mogła się obejść. On i Czuma przedtem robili „Ruch”, potem Emil zawadził o KOR i wyładował w Ruchu Obrony. Był Adam Wojciechowski, mój rówieśnik – dość długo nikt go prawie nie znał a działał jednocześnie w KOR-ze i w Ruchu Obrony. I to jest już ten główny nurt, który prowadzi prosto do takich dużych inicjatyw jak Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela i KPN. Ale zauważ, jakby zgodnie ze wskazówkami Abrahama; żadnego zarządu, Moczulski i Czuma występują jako rzecznicy.

W 1979 roku powstała największa struktura – Konfederacja Polski Niepodległej. Ale ja tam też byłem tylko czeladnikiem. Konfederacja to ogromna praca Leszka Moczulskiego, Andrzeja Szomańskiego. Oni

mieli w swoim życiu jakieś takie niejasne próby gry ze Służbą Bezpieczeństwa i myślę, że to był dla nich dodatkowy motyw (nie mówiąc o złości, o chęci odegrania się, że zostali oszukani czy zmanipulowani). To w każdym razie były dodatkowe motywy. Poza tym myślę, że akurat w przypadku tych dwóch działaczy, obydwaj byli historykami, obydwaj mieli świetną wiedzę na temat narodowych powstań. Andrzej Szomański badając dokładniej lata 1830–31 jednocześnie układał antologię poezji i pieśni z tamtych czasów. Leszek Moczulski świetnie znał ruch niepodległościowy z czasów I Wojny Światowej. Napisał „Rewolucję bez rewolucji” – to jest znakomite, wciąż niedocenione dzieło. Moczulski wręcz naśladował Piłsudskiego. Myślę, że pozwalając sobie na rozmowy z SB, miał gdzieś z tyłu głowy rozmowy Piłsudskiego z wywiadem austriackim, inaczej tego nie potrafię wytłumaczyć. Doszli także wspaniali chłopcy, jak mówiliśmy „uciekiniery z PAX-u”: Szeremietiew, Stański, „Pablo”, czyli Tadzio Jandziszak. Leszek to była teoria, oni – znakomita praktyka, nauczyli się jej właśnie w PAX-ie. Jeszcze przed KPN myśmy się spotykali u Szeremietiewa w Lesznie.

To było jedno skrzydło. Na drugim powstawały też nurty konkurencyjne. Między innymi do pewnego nurtu marksistowskiego odwoływał się Komitet Obrony Robotników. Mówię do pewnego, bo to była mieszanina tradycji Trockiego jako tego dobrego marksisty przeciwstawiającego się Leninowi, czy Stalinowi jako złym marksistom. To taka trochę gra dobrego i złego ubeka, bo gdyby Trocki był w ZSRR, to by robił dokładnie to, co robił Lenin czy Stalin. Ale tak czy inaczej to był pewien mit w tym „dysydenckim” środowisku, tak samo jak i wśród marksistów legalnych. Wyłonili się tacy „leninowcy”, którzy mówili o powrocie do „norm leninowskich” i wierzył w nie (np. skądinąd inteligentny i dobry poeta Bogdan Drozdowski). Nie uwierzysz, ale byli nawet polscy „prochińczycy”, maoiści, czyli zwolennicy leczenia syfa tryprem (czy odwrotnie). I z tymi ludźmi trzeba było dyskutować, czasem prawie publicznie, w jakichś pełnych dymu i ludzi mieszkaniach, o któreś tam nad ranem. Jeżeli ktoś nie miał wiedzy historycznej, a jeszcze kondycji sportowca, to po prostu przegrywał. Dyskusje z reguły odbywały się w gronach osób

często wahających się, szukających tradycji, do których mogliby się potem odwołać. Te dyskusje były bardzo odpowiedzialne. Przygotowanie się nieomal naukowe było obowiązkiem moralnym i politycznym ażeby w takich dyskusjach dobrze wypaść.

W latach osiemdziesiątych niektóre takie spotkania mogły się odbywać, może nie tyle z aprobatą władzy, ale przy jej tolerancji. Nie zawsze byli w stanie temu zapobiec bądź to zniszczyć. Mam na myśli spotkania w kościołach, spotkania w warszawskim PAX-ie, w Klubie Pietrzaka, który w pewnym momencie stał się taką jakby „pepinierą młodych niepodległościowców” (tych z PAX-u). Byli tam m.in. Edek Kirpluk i Przemek Hniedziewicz, którzy po wprowadzeniu stanu wojennego wystąpili z PAX-u. Edek był nieoceniony jako wydawca publikacji podziemnych a Przemek poszedł potem w politykę, współorganizował PC. Zasługą PAX-u było to, że wychował świetnych buntowników: w literaturze – Bierezin i Sułkowski, w polityce – najpierw Szeremietiew i Stański, potem Kirpluk. Oderwali się od PAX-u tak trochę jak „drużyniaczy” od endecji. Im się nie podobała prorosyjskość która wśród naszych narodowców była autentyczna. Endecy już przed I wojną światową wiedzieli, że Niemiec to jest zły okupant, a Rosjanin to lepszy, bo Słowianin – z takim da się dogadać. I tak im zostało do dzisiaj. Ta nasza działalność na wielu polach w pewnym momencie sama zaczęła się od nas odrywać. Było to zjawisko, które Krzywicki nazwał „krażeniem idei”. Idee jak ptaki – wylatują z gniazda i krążą. Nie wiemy gdzie potem usiądą, w czyjej głowie znajdą miejsce. Moim zdaniem taka działalność niesformalizowana, według wskazówek Abrahama („żeby nie mieli za co złapać”), odegrała jeszcze przed „Solidarnością” ogromną rolę, jeśli chodzi o zmianę tego, co się nazywa nastrojem społecznym, świadomością społeczną. Ten ruch przygotował grunt pod „Solidarność”.

Ta gra na dwóch fortepianach też przyniosła owoce. Nie była tajna, ale była aluzyjna, więc popychała do myślenia i często była zaszyfrowana. Myśmy nauczyli się wtedy „języka Ezopowego” – zaczynały funkcjonować pewne określenia. Dopóty, dopóki cenzura się nie połapała, co naprawdę znaczą, mogły się pojawiać w wydawnictwach legalnych.

W pewnym momencie zamiast nazwiska Miłosza, które było zawsze skreślane (mimo, że Miłosz, raczej był po lewej stronie – tam gdzie oni powinni szukać sojuszników), pisało się tytuł jego książki np. „autor »Ocalenia«”, a gdy to zaczęli skreślać, to pisaliśmy „autor »Zniewolonego umysłu«”.

Działalność polityczną, zamaskowaną jako działalność literacka, myśmy uprawiali zresztą wcześniej, jeszcze w Bytomiu, potem w akademiku na Kickiego. Zorganizowaliśmy wieczór w setną rocznicę Powstania Styczniowego i potem – w sto pierwszą. Myśmy działali najpierw wśród studentów, a potem postanowiliśmy „uczyć nauczycieli”. Jednym z takich elementów, w który ja byłem mocno zaangażowany, to była ta zakazana literatura – literatura dwudziestolecia, ale i także literatura emigracyjna. Na indeksie był Wierzyński (no chyba, że to był wiersz o sporcie, z tych, za które Wierzyński dostał laur olimpijski), był wykreślany Lechoń. Nazwiska można mnożyć, ale właśnie stosując tego rodzaju chwyt, po prostu oszukując, można było prowadzić akcję pedagogiczną. Raz nawet udało się puścić tekst Piłsudskiego w pisemku Studium Dziennikarskiego tyle, że pod innym nazwiskiem a pocztą pantofflową puszczono informację, że to tekst Piłsudskiego. To nie był jakiś znany tekst, ale liczył się sam fakt – ośmieszony wróg przestaje być groźny. Myślę, że ta ówczesna nasza gra jest niedoceniona, bo nie była prowadzona z hukiem, trzaskiem, tylko niszczyliśmy ich ustrój dziurkaczem. Warto kiedyś poświęcić jej jakieś opracowanie. Zwłaszcza – i to jest moim zdaniem bardzo ważne – nurtowi kultury studenckiej. Przecież w większości studenci byli zbuntowani i z tym buntem potem szli do pracy, do szkół i odegrali w okresie przemian bardzo ważną rolę.

Rozumiem, że odpowiadaliście na wydarzenia bieżące, kontrolowaliście, czasem ośmieszaliście politykę partii. Ale skąd w programie romantyzm a właściwie „nowy romantyzm”? Czy uważaliście się za konserwatystów, za strażników pamięci?

Romantyzm narzucił nam się sam. Jeśli nie można oprzeć się o aktualną, rusefikującą ideologię, a nie można, to trzeba było do czegoś się

odwołać. Romantyzm był epoką największych osiągnięć i w literaturze, i w filozofii, i nawet w muzyce. Trzech wieszczów a w rezerwie jeszcze trzech – Krasiński, Norwid i Wyspiański. Ponadto: Sienkiewicz, który uciekł z transportu do pozytywizmu i zaczął pisać romantyczne powieści, w stylu Waltera Scotta, tylko lepsze i bliższe, Chopin, Moniuszko, Matejko... Wyliczankę można by ciągnąć i ciągnąć. Ale nowość naszego ujęcia romantyzmu polegała na włączeniu samoświadomości, sumienia filozoficznego. Jednym słowem – mówiliśmy o Nowym Romantyzmie (w dyskusjach filozoficznych używaliśmy też określenia „metafilozofia romantyczna”, albo krócej – „meta-romantyzm”). Oczywiście Nowy Romantyzm brzmiało najlepiej, ale chodziło też o to, żeby działać z pełnym rozeznaniem, wiedzieć: co się robi, dlaczego, w jakim celu, jakich narzędzi używać a kiedy je odkładać i brać nowe. Odwołanie do Romantyzmu, do epoki najwyższych osiągnięć i to pomimo braku wsparcia, jakie daje własne państwo, odwołanie do najwybitniejszych dzieł, wydawało się trampoliną. Program literacki okazał się najbardziej skuteczny. Odwoływaliśmy się do literatury zakazanej, czytaliśmy własne nieocenzurowane wiersze.

Z programem filozoficznym było gorzej. Jak w pewnym momencie próbowaliśmy ze Staszkiem Nawrockim i Elą Ćwik reaktywować Stowarzyszenie Autorów Polskich, to chcieliśmy wziąć Nowy Romantyzm za program. Na inauguracyjnym zebraniu (powiedzmy na jednym z inauguracyjnych zebrań, bo było ich kilka), mówiąc o programie, tłumaczyłem, że SAP to także Syntetyzm – Aktywizm – Praktycyzm. A to były hasła filozofii noworomantycznej – w skrócie SAP. Czasami jako trzecie „P” padało hasło Przyszłość, a na bardziej elitarnych seminariach – Prewidyzm (dla podkreślenia, że myślenie praktyczne musi być przewidujące). Stowarzyszenie Autorów wskrzesiliśmy, ale żadnego ruchu ideowego przy nim nie dało się zbudować. Bractwo było rozproszone po Polsce (największa grupa w Płocku). Z seminariów filozoficznych naprawdę, to udało się jedno – podczas Płockich Dni Romantyzmu. Było kilka przedstawień, wieczory poetyckie i taka filozoficzna dysputa – próba podsumowania Romantyzmu. Proponowałem patrzeć na filo-

zofię Romantyzmu poprzez pryzmat filozofii Brzozowskiego, potraktować Romantyzm jako pracę w kulturze doprowadzoną tak wysoko, że kontynuacja skazywała na sukces – a brak kontynuacji wydawał się marnotrawstwem i barbarzyństwem. W literaturze mieliśmy mistrzów – Pigoń, Górski, Kleiner... Marksiści przy nich wysiadali – Żółkiewski rozważania o „Sonetach Krymskich” Mickiewicza zaczynał od ekonomii i cen zboża na Krymie. W filozofii było jednak trudniej, na uczelni dominowali marksiści: Schaff, Kołakowski, Bauman. Tatarkiewicz był odsunięty, Walickiego trzymano w PAN-ie jak w lodówce i do studentów nie dopuszczano. Owszem było seminarium Sikory – przez kilka lat kilku leni, którzy wiedzieli, że Sikora i tak im zaliczy, bo jak nie będzie miał studentów, to zlikwidują mu seminarium. Polska filozofia nie była zakazana, bo to by budziło zainteresowanie. Było gorzej – ona była po prostu wymazana. Właściwie przez 10 lat Sikora wychował tylko jedną specjalistkę od Norwida i Brzozowskiego – Lidkę Wójcik, ale nie dał rady obsadzić jej nigdzie w Warszawie. Zginęła gdzieś w mrokach prowincji. Jak zakładałem Sekcję do Badań Filozofii Polskiej to skazani byliśmy na samouctwo. Byliśmy grupą samokształceniową – czeladnikami bez mistrzów. No i pełna blokada, bo od razu uznano nas za opozycję, tyle że w filozofii.

Używasz w stosunku do siebie nazwy czeladnik i w filozofii, i w polityce, z czym ja się oczywiście nie zgadzam. Dlatego, że czeladnik nie wykonuje zadań pierwszoplanowych na przykład redakcyjnych. Nie byłeś biernym uczniem na seminarium z filozofii polskiej, tylko sam takie zorganizowałeś. W polityce też nie byłeś biernym uczestnikiem Nurtu Niepodległościowego, tylko czynnym i to w kilku grupach.

I tu, i tu było nas zbyt mało. Musieliśmy to nadrabiać aktywnością. W podziemiu politycznym dochodził normalny strach, potrzebna była nie tylko wiedza, także jakaś ryzykancka żyłka. Ludzi mało, kolporterów często zwijają... Trzeba było wykonywać prace nie tylko redakcyjne, ale i kolporterskie – roznosić te pisemka z wolnym słowem do ludzi. To nie

był taki luksus, że ja sobie siedzę w mieszkaniu za zasłoniętymi firankami, nikt o mnie nie wie, a ja sobie te tajne pisemka piszę i chichoczę. Po prostu było nas za mało i trzeba było robić wszystko naraz. Zwłaszcza potem, jak już wszedłem w krąg ludzi KPN-u. A do tego jeszcze profesor Wójcik dogadał się na współpracę właściwie z dwoma organizacjami, bo nie tylko z KPN-em a jeszcze z Solidarnością Walczącą, która wówczas była słabsza. To byli fantastyczni ludzie, którzy opanowali Wrocław, opanowali Śląsk. Tam mieli mocne struktury, ale w Warszawie – słabszą, więc trzeba było ich wspierać. Pisałem i do naszych, i do ich pisemek a czasem je kolportowałem. Tak to było w praktyce, o czym w latach osiemdziesiątych sam się przekonałem. Do Restytuta Staniewicza do Poznania jeździłem z Leszkiem jako przedstawiciel KPN, czy może jeszcze Ruchu Obrony. Ale z Wójtkiem Ziemińskim jeździłem jako Komitet Porozumienia na rzecz Samostanowienia Narodu (to on mnie tak przedstawiał; ja nie mogłem: nazwa była za długa i w połowie zaczynałem się śmiać). Powiedziałem, że nie przyjmuję do wiadomości tego, że oni się kłócą. W rezultacie musiałem pisać i dla jednego, i dla drugiego. Potem z Wójtkiem jeździłem kilka razy do Krakowa. Tam towarzystwo też było „mieszane”, dominowali harcerze – ale to byli przedwojenni harcerze, tacy koło sześćdziesiątki.

Jak trafiłeś do Nurtu Niepodległościowego już z Leszkiem Moczulskim, Szeremietiewem, Stańskim? Od strony organizacji generała Abrahama czy w jakiś inny sposób?

– Moczulskiego poznałem zupełnie przypadkowo, choć podobno nie ma przypadków. Sam zresztą oceń. Wygrałem konkurs na dramat („Białe Ogrody” – o Polakach w Komunie Paryskiej, nawet przemyciłem to, co Piłsudski napisał o Dąbrowskim, a napisał dobrze i wzruszająco). Dramat mieli wystawić we Wrocławiu, ale Jarocki się przestraszył, odważył się Jan Paweł Gawlik w Krakowie [prapremiera odbyła się 17 grudnia 1975 r.]. Dyrektor Gawlik zaprosił mnie na spotkanie. Wsiadłem do przedziału – siedzi jakiś szczupły facet w okularach i coś czyta. Wyobraź sobie – czytał moje „Białe Ogrody”! Leszek Moczulski to był wtedy

najgłośniejszy historyk i Gawlik zaproponował mu tekst do programu. Ponieważ też kupował bilet w „Orbisie”, to los wsadził nas do jednego przedziału. A jeszcze Gawlik zarezerwował nam ten sam hotel. Spotkanie było nieuniknione. Leszek zaimponował mi wiedzą. Przeszliśmy na ty i nawet razem zrobiliśmy pielgrzymkę do Piłsudskiego na Wawel.

KPN był mi chyba przeznaczony, bo zaczął mnie do niego także wciągać Stefek Melak – kumpel, którego poznałem jeszcze przed Marcem w akademiku na Kickiego. Przychodził na nasze spotkania i tak mądrze zabierał głos, że braliśmy go za studenta albo asystenta historii. Z jego inicjatywy przez krótki okres działała taka pseudo rada polityczna, ale nie chodziło o władzę, tylko o to, że jak ktoś przyjeżdża z terenu, to żeby do kogoś się mógł zgłosić. A tu i Leszek, i Andrzej, a potem nawet Krzysio Król poszli siedzieć i te kontakty spadły na grupkę która została, głównie na Stefka. Znowu byłem czeladnikiem! Tadek i Romek poszli potem „na swoje” robili PPN. Stefek utrzymywał ze mną cały czas serdeczne stosunki, co przekładało się na to, że musiałem mu pisać artykuły, a czasem porywali mnie z domu i wywozili gdzieś, gdzie ludzie już czekali. Stefek wiedział, że o Piłsudskim mogłem mówić obudzony w środku nocy – więc czasem mnie budził i wywoził.

Potem był ożywiony okres na Ursynowie, gdy wykorzystaliśmy miejscowy punkt nauki języków. Kręciła tym córka pani Zofii Idziakowskiej i Andrzej Szomański. To już była hurtownia, bo w budynku można było chować nie tylko papier, lecz i ludzi. A po drugiej stronie ulicy mieszkał Kirpluk. Co jakiś czas cykaliśmy „Słowo Podziemne”, ale już nieregularnie, za to często wznawialiśmy antologię. To jakiś nowy wiersz Jurka Tomaszewicza, to Marty Berowskiej. Po śmierci Popiełuszki – coś Tadeusza Mocarckiego, oczywiście anonimowo. Mówiąc hurtownia mam na myśli też swoje mieszkanie. Kilkanaście numerów „Przyszłości Polski”, było też pismo „Konfederat” (czyli „Konfederata”, to było to samo, tylko chłopcy kłócili się o nazwę).

Graliśmy na dwóch fortepianach, bo nielegalna grupa „Grotolazów”, przetworzyła się w Społeczny Komitet Pamięci generała „Grotę” Roweckiego i Jego Żołnierzy. Spotkania (półlegalne) odbywały się w Klubie

Lekarza w Alejach Ujazdowskich, lecz te „prawdziwe” – dalej u pani Eli na Hynka, albo w jakichś jednorazowych lokalach. W Alejach odbywały się „opłatki” i „jajeczka”. Tam bywało więcej opozycjonistów, a właściwie pół i ćwierć opozycjonistów. Na przykład był Gieysztor, był Orsza-Broniewski, był sprawozdawca Bohdan Tomaszewski, ale na te najbardziej tajne go nie zapraszano – damy miały mu coś za złe (dopiero po latach dowiedziałem się, że był kiedyś TW „Guzikowskim”, potem starał się to odrobić, ale nie do końca mu ufały). Ten Komitet zrobił kilka pięknych i ważnych rzeczy, bo jeszcze kilka lat wcześniej postać „Grota” była wymazywana z historii przez cenzurę. Dziesięć lat po wyrzuceniu mnie z telewizji i brałem udział w odślanianiu tablicy na Spiskiej, w 38 rocznicę aresztowania Generała, potem udało nam się ochrzcić most przez Wisłę jego nazwiskiem (podniosłą uroczystość zakończyło przejście po raz pierwszy mostem na drugi brzeg).

Poza tym dzięki Tomaszewskiemu i Szomańskiemu (a tak naprawdę to dzięki naszym trzem damom) wznowiona została idea pomnika Powstania Warszawskiego. W 1983 roku ogłoszono konkurs, rok później rozstrzygnięto, działało oficjalne jury i nieoficjalne. Wygrał Piotr Rzeczkowski – młody geniusz (rocznik 1955). To było z rozmachem: dwie ściany odległe o 63 metry, zwykli ludzie, którzy wchodzą w pierwszą ścianę, wychodzą z niej jako żołnierze... Ale władze nie chciały zgodzić się na nazwę. My chcieliśmy pomnik Powstania i tego się trzymał Rzeczkowski a władze upierały się przy nazwie Żołnierzy Powstania (potem spuściły na Bohaterów Powstania). Chodziło im o to, aby nie czcić Powstania, które było niesłuszne, tylko ludzi, którzy czasami byli bohaterami. Rzeczkowski na takie machlojki się nie godził, powtórzono konkurs i ostatecznie wybrano projekt profesora Wincentego Kućmy – realistyczny, by nie powiedzieć socrealistyczny. Nasz udział był nieoficjalny. Mieliliśmy już przykazane, by nie dać się fotografować, nie pchać się z nazwiskami. W końcu zrobili Pomnik Bohaterów Powstania a kamień węgielny wmurowywał sam Jaruzelski – ohyda!

Pytałeś o środowiska. W mojej odpowiedzi jest bałagan, ale tak właśnie było. To był ruch spontaniczny, środowiska się przenikały, zwłaszcza

na poziomie głębszego zaufania, gdzie tworzyła się nieformalna elita. Bez względu na to, gdzie udzielał się Abraham, wszędzie się z nim licznono. Tak samo nasze trzy damy. Ja funkcjonowałem nie tylko jako syn akowca, ale jako młody opozycyjny poeta, co nie było takie powszechne. W pierwszym okresie Barańczak był w PZPR, Zagajewski wykladał marksizm-leninizm, Rymkiewicz w ogóle od nas się odciął i podpisał list 600 [powstały z inicjatywy egzekutywy POP PZPR Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich – kontrlist wobec „listu 34” z 1964 roku, który był protestem wobec cenzury PRL]. Opozycjoniści nie mieli oparcia nawet we własnym środowisku. My psuliśmy układy, jątrzyliśmy. Żuliński czy Kurylak pisali na mnie tajne donosy bo byli „tewulcami”, ale Barańczak atakował mnie jawnie, jako aktywista partyjny.

Tych grup i kótek było dużo, tylko przez lata były utajnione. W połowie lat 70-tych zaczęły się ożywiać. Radom był już skutkiem zmiany nastrojów. W Warszawie – jak już mówiłem – ogromną rolę odegrały wspomniane trzy damy. Miały autorytet, potrafiły godzić, ba, potrafiły rozkazywać! Trudno więc mówić o jednolitym, jednoliniowym, rozwoju Nurtu Niepodległościowego. I to bardzo dobrze, bo wtedy byłaby to tylko jedna struktura, którą esbecja łatwo mogła rozbić i społeczeństwo znów by zgąsło. Nastąpił sojusz pokoleń. Ludzie działali w różnych kręgach, na różnych poziomach, czasem byli skonfliktowani – na przykład córka generała „Grota” i jego brat, mecenas Stanisław Rowecki. W tym pokoju, na tych fotelach udało mi się ich posadzić i pogodzić. To jeden z moich największych sukcesów w Nurcie Niepodległościowym.

W telewizji też próbowaliśmy wykorzystać legalne struktury do nie całkiem legalnej działalności. Mistrzem był Grzegorz Królikiewicz, jeden z tych dobrych konspiratorów, o których zasługach się nie wie. A on nawet powiełał legalnie w telewizji nielegalne materiały. Próbowaliśmy zrealizować serial o Armii Krajowej, oczywiście o „Grocie” Roweckim, zdradzie Kalksteina, o Powstaniu (ale na kontrze do zbyt „czerwonych” Kolumbów). Wydawało się, że może się uda, akurat Polaka wybrali na papieża, ale to jednak „czerwoni” nie popuścili – prace nad serialem nam przerwali, zresztą po interwencji Jaroszewicza i wywalili mnie z telewizji.

Postanowiłem, że postawię na swoim i wyreżyseruję to w Wałbrzychu. Miałem pomoc dyrektora Andrzeja Marczewskiego, reżysera legendarnego widowiska „Mistrz i Małgorzata” (najlepsze widowisko w tamtych czasach). Na jedną z prób naszej sztuki o „Grocie” przyjechał nawet „Porawa” – jak potem się przyznał miał nadzieję, że przyjedzie też Kalkstein i on wreszcie wykona na nim wyrok. Kalkstein nie przyjechał, a sztukę w ostatniej chwili nam zdjęto. Wyobraź sobie, że znów po interwencji Jaroszewicza, który zadzwonił do wałbrzyskiego komitetu partii i opierdolił ich jak święty Michał diabła. Było to działanie nieformalne, bo co miał Jaroszewicz do teatru? My podpadaliśmy pod Ministerstwo Kultury, nie pod partię, zwłaszcza wałbrzyską. No więc nie było szans. Pomógł nam przyjaciel Szomańskiego, Janek Siekiera, który pracował w Ministerstwie.

Mówiliśmy o nim – „nasz człowiek w ministerstwie”. Byli razem z Andrzejem na polonistyce. Potem Andrzeja aresztowali (dla efektu wyprowadzili z wykładu), a Janek został, skończył studia i miał kompleksy. Wcześniej obaj załapywali się na resztki WiN-u i tzw. bitwę o gruzy w Warszawie. W nocy Warszawa do nich należała, ale w dzień wszystko wracało do normy, czyli rządzą „czerwoni”. Jankowi ja też sporo zawdzięczam, bo na przykład wpisał mnie kiedyś na listę stypendystów. Stypendium mi się należało, bo wygrałem ogólnopolski konkurs na dramat (zostałem w polu i Różewicza i Mrożka, co wiem od Janka), ale nie było odważnego, który by podpisał decyzję. Za mną już wtedy łąziła bezpieka, zaliczyłem pierwsze wyrzucenia z pracy (z dwóch uczelni i z dwóch redakcji). A Janek się odważył. Na końcu listy było miejsce, ja zgodnie z alfabetem byłbym ostatni. I Janek się nie obcyndalał tylko wpisał moje nazwisko. Ale nie o tym chciałem – to tylko dygresja, spleta długu wdzięczności.

Wracam do wystawienia „Grotą” w Wałbrzychu. Janek podpowiedział nam taki numer: sztuka została zdjęta nieformalnie, właściwie rozkaz wydała prowincjonalna organizacja partyjna. Więc poradził, żebyśmy się odwołali do ministerstwa w Warszawie, zaznaczyli, że jesteśmy otwarci na zmiany, że teatr wykosztował się na kostiumy. I oni przysłał komisję ministerialną..

I puszcza?

Nie, zdejną. Ale wcześniej wydadzą nam zgodę na próby wznowieniowe. Janek załatwił nam 10 takich prób. Trzy damy organizowały autokary z Warszawy i Wrocławia pełne starych akowców. Pani Rowecka, czyli Irena (tak mówię, bo tak myślę o niej, byliśmy już po imieniu, była częstym gościem w naszym domu, z córką chodziła na spacer), więc Irena nawet mieszkała kilka dni w Wałbrzychu.

„Porawa” też? I czekał na Kalksteina?

Nie. „Porawa” jakoś wtedy umarł, nie doczekał tych dodatkowych prób. Ktoś mówił, że Kalkstein jednak przyjechał, ale nie jestem pewien. W każdym razie przez te dziesięć prób sztuka szła kompletami. Kto miał widzieć – widział. Marczewskiego potem chcieli wyrzucić za straty, że wydał na kostiumy a szuka nie poszła, ale szybko wystawiliśmy moją „Balladę o Hubalu” i wszystkie kostiumy zagrały. Oczywiście i tak wiedzieliśmy, że partia nam nie daruje, że nasze dni w Wałbrzychu są policzone. Jak trafiła się okazja w Płocku, tamtejszy dyrektor Skotnicki chwycił jakiś wyjazd do Ameryki, pieprznał teatr i miasto ogłosiło rozpaczliwie konkurs – Marczewski się zgłosił i wygrał. To już był człowiek legenda. No i był rok 1980.

No właśnie, przychodzi rok 1980, jesteś jeszcze w Wałbrzychu i co robisz?

W Wałbrzychu pracowałem chyba od 1979 r. W 1980 r. już prowadziłem tajne wykłady dla nauczycieli, czasem nawet w swoim pokoju w teatrze. Tam potem organizowaliśmy wolne związki (jeszcze bez nazwy „Solidarność”), bo w gabinecie Marczewskiego się nie mieścili, a na głównej sali nie chcieliśmy. Zaczęliśmy też spotkania z młodzieżą, półlegalne. To znaczy spotkanie z „ludźmi teatru” były legalne, ale teksty – nielegalne. Zrobiliśmy z tego antologię poezji patriotycznej, która przydała się w Płocku, a nawet potem była bazą do wydania przez Edka Kirpluka pierwszej antologii stanu wojennego.

Po wakacjach 1980 r. zaczęli przyjeżdżać warszawiaczy z KORu, ludzie

Lityńskiego. „Grot”, „Hubal” – to nie była ich tradycja. Więc ta grupa najbardziej „umoczona” z Kaziem Tałajem (który grał w mojej sztuce majora Hubala i chodził recytować nielegalne wiersze), także Marek Zieliński (który był naszym delegatem na zjazd na Wybrzeże), znakomita Buba Zielińska (teraz babka czarownica w serialu „Ranczo”), Mazur (który grał Wolanda) i jeszcze parę osób przeniosło się do Płocka.

Zorganizowaliśmy tam Komitet Obrony Więzionych za Przekonania. To była właściwie filia KPN. Poza tym organizowałem (z pomocą Kazia Tałaja) Teatr Myśli Politycznej. To był pierwszy i jedyny w Polsce teatr „Solidarności”. Ostatecznie nazwaliśmy go „Scena '81”. Zdążyliśmy wystawić „Rozmowy z katem” Moczarskiego, a w przeddzień stanu wojennego – jedyne przedstawienie mojej sztuki o Piłsudskim „Czarny pierścień” (monodram, którego bohaterem był Piłsudski, a Bożena Mrowińska grała Aleksandrę Piłsudską; monodram, ale trochę uatrakcyjniony, bo dodatkowym aktorem był telefon). To było 12 grudnia 1981 roku, wieczór, przedstawienie dla uczestników zjazdu poetyckiego. Był Tałaj, była Ulka Ambroziewicz (szefowa solidarnościowej kultury, dla jej pisma także pisałem regularnie artykuły oczywiście przeważnie pod pseudonimem, albo nie podpisane). Nie to, żebyśmy przewidywali klęskę „Solidarności”, ale widzieliśmy, że bezpieka ma się dobrze. Premiera „Czarnego pierścienia” była wzruszająca, następnych przedstawień już nie było (do dziś zresztą – z wyjątkiem jednego kościoła i jakiegoś klubu). Bożena zagrała to na pożegnanie, zanim poszła do Domu Starego Aktora w Skolimowie, gdzie niedawno zmarła. A w stanie wojennym w Klubie Nauczycielskim u Leny Szatkowskiej odbyła się już zupełnie nielegalnie impreza poetycka. Pierwsza wolna impreza kulturalna w stanie wojennym. Na wniosek Leny zadedykowaliśmy ją Ulce Ambroziewicz, bo już wiedzieliśmy, że w nocy ją internowano. Wspaniałe dziewczyny! Nasza konspiracja w dużym stopniu była napędzana tym, że chcieliśmy im zaimponować.

A pierwsze druki?

– Jeszcze zanim się zaczął stan wojenny, to mieliśmy gotowe materiały. Wchodziliśmy z tym do szkół, wchodziliśmy do robotników straj-

kujących w zakładach Płocka. Działając w ten sposób mieliśmy jakby całą taką „wędrorną antologię poezji patriotycznej”. Jak stan wojenny wprowadzono, no to myśmy po prostu tę antologię wydali drukiem i to wydaliśmy dzięki działaczowi, który był blisko KPN-u. Mówiłem już, że wywodził się z PAX-u, a mieszkał tu na Pięciolinii, więc łatwo było konspirować i redagować – Edek Kirpluk. Oni zrobili rzecz znakomitą, weszli do podziemia, chyba za wiedzą i z poparciem Reiffa [Ryszard Reiff – ówczesny przewodniczący Stowarzyszenia PAX]. W każdym razie weszli do podziemia, chyba za wiedzą i z poparciem Reiffa [Ryszard Reiff – ówczesny przewodniczący Stowarzyszenia PAX]. W każdym razie weszli do podziemia, chyba za wiedzą i z poparciem Reiffa [Ryszard Reiff – ówczesny przewodniczący Stowarzyszenia PAX]. W każdym razie weszli do podziemia, chyba za wiedzą i z poparciem Reiffa [Ryszard Reiff – ówczesny przewodniczący Stowarzyszenia PAX]. W każdym razie weszli do podziemia, chyba za wiedzą i z poparciem Reiffa [Ryszard Reiff – ówczesny przewodniczący Stowarzyszenia PAX].

13 Grudnia. To było dla Ciebie wydarzenie spodziewane, czy to był szok?

– Spodziewane od samego początku. Odkąd Jaruzelski wpuścił w teren te grupy wojskowe, to było wiadomo. Jak oni zaczęli łączyć po domach, po podwórkach, to nie po to by staruszkom drewna narąbać, tylko żeby wszystko wyszpiclować. Od tej pory byliśmy nastawieni, że nas mogą zwinąć. Nie sypialiśmy w domu.

Akurat 13 Grudnia byłem w Płocku. Potem sąsiad w Warszawie powiedział, że rzeczywiście po mnie przyszli, no ale jak mnie nie zastali to sobie odpuścili. Im zależało na pierwszym efekcie, żeby złamać i zaszkokować, a potem dosłownie skończyło się na jednej, rozmowie ostrzegawczej na Rakowieckiej, w czasie której niczego im nie podpisałem, zresztą nawet mi nie proponowali żadnej współpracy. Jak już tyle razy im odmówiłem, to wiedzieli, że taka rozmowa to stracony czas.

Wiedząc, że w Warszawie może być różnie, zamelinowaliśmy się z żoną na krótko w Wyszogrodzie. Trochę przeczekaliśmy, potem wróciliśmy do Warszawy, do mieszkania na Ursynowie. Zaczynał się czas wypuszczania pierwszych aresztowanych (na święta). Ulkę zamknęli w nocy, po powrocie z „Czarnego pierścienia”, lecz na święta już ją wypuścili. Trzymali pod kontrolą, ale jakoś zorganizowaliśmy łączność. Można powiedzieć, że rządziła kultura z aresztu domowego. I ona, i my zdawaliśmy sobie sprawę, że mogła być wypuszczona na wabia. Spotkania w Płocku odbywały się po mieszkaniach. Dość daleko i bardzo określonymi drogami żeśmy się na nie dostawali. Myśmy wtedy już wpadali na najróżniejsze koncepty. Trochę moja ostrożność (a może niedobór odwagi w organizmie?) zdecydował, że starałem się zawsze być czysty. Jak przewodziłem jakiś – myśmy mówili „towar” – (gazetki, czasem książki), to starałem się nie mieć tego przy sobie. Zawsze były osoby towarzyszące, które nie siedziały koło mnie w pociągu. Były też takie do robienia rejewachu (bezpieka tego strasznie nie lubiła). Nawet jak bezpieka złapała mnie na dworcu i przewoziła na komisariat, to ja byłem czysty, a te osoby robiły co do nich należało. Potem myśmy wpadli na pomysł, żeby nie wozić tego aż tyle – woziliśmy jeden egzemplarz gazety bądź jakiejś książki, a na miejscu w Płocku oni to powielali i drukowali więcej. Tak samo było w Łodzi. Ten trójkąt Warszawa – Płock – Łódź bardzo dobrze funkcjonował. W Łodzi byli jeszcze ci starzy działacze Ruchu z tego pierwszego pokolenia Czumów i oni się wspaniale do tego włączyli. Oczywiście też mnóstwo działaczy „Solidarności”. To powinno się doczekać osobnej monografii. Niestety z góry wiem, że nie będzie ta monografia pełna. Po pierwsze ludzie się kamuflowali (w jednych środowiskach konspirowali, w drugich udawali legalistów), nie występowali pod nazwiskami (ja, spotykałem się z ludźmi, coś przekazywałem, a nawet nie wiedziałem jak się oni nazywają). Z tymi z Łodzi tak, po nazwiskach poznaliśmy się dopiero, gdy wręczano nam medale „Solidarności” o długiej, ale pięknej nazwie „Za zasługi w Walce o Niepodległość Polski i prawa człowieka 13 XII 1981–4 VI 1989”. I wywoływano nas po nazwiskach. Ale to już było koło roku 2000 i kil-

ku ze swoich „kontaktów” nie zdążyłem poznać, bo nie dożyli. „Trzeba się spieszyć”, jak mówił ksiądz poeta Twardowski...

Czy w czasie Karnawału Solidarności miałeś kontakty z Konfederacją bądź z Komitetami Pomocy Więzionym za Przekonania?

Z wszystkimi naraz. Byłem w strukturach „Solidarności” i KPN. Mówię w liczbie mnogiej, bo jedną nogą byłem jeszcze w Wałbrzychu, drugą – już w Płocku, trzecią – w Warszawie, a czwartą (trochę się zagałopowałem) w Bytomiu. Oczywiście nikt nie miał legitymacji, niektórzy składali przysięgę. Ode mnie nie wymagano. Zresztą początkowo funkcjonowałem raczej jako taki – jak to nazwał Szomański – „oficer kontaktowy” ze Związku Piłsudczyków. Związek chciał działać, Wójcik czy Motyczyński przeżywali kolejną młodość. Ale biologia jednak jest biologią. Poza tym nie byliśmy organizacją liczną a chcieliśmy coś zrobić – pomóc, doradzić, napisać. KPN wciągała powoli. Głównie przez związki przyjaźni z Leszkiem, Andrzejem, Stefką Melakiem.

Działaleś w „Uniwersytecie Lotnym”...

To szumna nazwa. W rzeczywistości to były serie wykładów po mieszkaniach. Andrzej Szomański organizował „Uniwersytet Lotny”. Chyba pomagał mu Manuel, ale nie jestem pewien, bo akcja była tajna. Nazwa od Oddziału Lotnego Wojska Polskiego z czasów walk o niepodległość Polski.

Myślałem, że konkurencja z „Uniwersytetem Latającym”?

Trochę też. „Uniwersytet Latający” był podwiązany pod KOR, jeszcze wtedy marksizowali, ich program to był komunizm o ludzkim obliczu i finlandyzacja Polski (słynne dwa aksjomaty Kuronia). A myśmy to organizowali jako rodzaj korepetycji z niepodległości (z myśli niepodległościowej, z poezji niepodległościowej), ale przede wszystkim były to korepetycje z optymizmu. To podstawa niepodległości. Wiara, że jak się upadnie dziesięć razy, to trzeba wstać jedenaście razy. To powtarzałem na zakończenie każdego spotkania. Przez tamte lata odbyłem kilkadziesiąt

spotkań zarówno na tym, jak i na tamtym brzegu Wisły! Dzisiaj nie byłbym w stanie wskazać żadnego adresu, nie mówiąc o tym, że myśmy wówczas chodzili bardzo okrężnymi drogami, podczas gdy były prostsze dojścia.

Pamiętam takie spotkanie, na którym trzeba było jakoś się przedstawić i ktoś kto mnie wprowadzał przedstawił mnie jako Wolskiego (nie wiedziałem wtedy, że to jest pseudonim Jaruzelskiego, ale widocznie sprawiedliwość wyższa wymagała, że jak u nich był zły Wolski, to u nas musiał się ten dobry pojawić, bo inaczej harmonia świata by ucierpiała). Miałem wykład o Piłsudskim i ustawiłem go pod takim kątem, że Piłsudski ponosił porażki (nie wyszło mu z PPS-em, nie wyszło w 1905 roku, wcześniej nie wyszło ze spiskiem na cara), ale wciąż był wytrwały, wciąż działał dalej i wciąż się z porażek podnosił. Kończę wykład, mówię, że trzeba wstać jedenaście razy. Mimo że to było mieszkanie w bloku na osiedlu, rozbrzmiały oklaski, ale potem ... Ustawia się kolejka, kilka osób ma moją książkę, „Myśl romantyczna” i mówią do mnie: „Panie Wolski niech Pan podpisze”. Byłem autentycznie wzruszony, ale to jest też ilustracja jak ta nasza konspiracja wyglądała. Nie do końca przestrzegane były reguły. Nasza konspiracja opierała się nie na technice a na etyce. Nikt z tych, którzy wiedzieli, że ten Wolski, to nie jest Wolski, nikomu nie doniósł. W dokumentach IPN-u nie ma na ten temat śladu. Nie ma ani jednego donosu o tych tajnych wykładach, gdy na przykład o wykładach w kościele – są. Więc to była jednak dobra konspiracja.

Może i ludzie się sami selekcjonowali?

Chyba tak. No nie mówiąc o tym, że jednak byli selekcjonowani przez szefów, to sami się też selekcjonowali. W latach 80-tych być w strukturze nielegalnej, to znaczyło, liczyć się z więzieniem. Na tym etapie już trzeba było pewne bariery lęku pokonać, a także i powziąć pewne zobowiązania. Zdarzało się czasem, że ktoś był łamany takimi właśnie argumentami jak, wie pan, żona, dzieci, niech pan to podpisze. Ci którzy do nas przystępowali, jak gdyby już w swoich duszach to przełamanie uczynili. Poza tym wiedzieli, że jak już zostaną uwięzieni, to ko-

ledzy ich nie opuszczą i pomogą. Nie słyszałem o żadnym przypadku, że ktoś siedzi a żona nie ma co jeść. Sam zanośłem ludziom różną pomoc, jakieś kostki masła, mąkę, czy cokolwiek. Z mięsem było trudniej. Mięso po kilku dniach by się zepsuło i wtedy najbardziej słynny z poświęceń działacz podziemia by tego nie zjadł. Na Ursynowie takim szefem podziemnego zaopatrzenia był Jurek Szczęsny, też jedną nogą w KPN, jedną u ursynowskich demokratów, jedną u Kirpluka. Oczywiście byliśmy obaj w podziemnej „Solidarności”.

Po 13 Grudnia Twoja sytuacja się zmienia. Byłeś zatrudniony w radiu?

Z radia mnie wywalili, jak wielu działaczy „Solidarności”. Postawili transporter i nie wpuszczali. Potem były rozmowy, nie takie jak na Rakowieckiej, ale też z udziałem SB. Proponowali pozostawienie w pracy, najpierw za współpracę z SB, potem już tylko za popieranie WRON-y. Odmówiłem i dostałem „zwolnienie ze służby w jednostce zmilitaryzowanej Polskie Radio”. Przekradłem się do Płocka, bo wtedy jeszcze trzeba było się przekradać (początek 1982 roku). Była szansa, żebym został kierownikiem artystycznym, po Marczewskim – a zarazem jakby jego namiestnikiem, bo on przechodził do Warszawy. Mieliśmy połączyć wysiłki i programy, byłoby taniej i na wyższym poziomie. Niestety, z Warszawy przyszedł donos. Ja załapałem się dopiero po wakacjach, na podrzędne stanowisko kierownika literackiego, ale na 30 lat. Właściwie wtedy urwał się kontakt z warszawskim środowiskiem naukowym, z bibliotekami – a przecież wtedy kończyłem swoją historię polskiej filozofii. Wpadałem przypomnieć się rodzinie i pokonspirować, a potem wracałem do Płocka. Tak przez 30 lat. Pozbyto się mnie dopiero, gdy byłem w szpitalu.

Do tego jeszcze dojdziemy. Na razie jest rok 1982, jesteś w Płocku i udało się jakoś Cię przechować.

To głównie zasługa mojego dyrektora teatru Andrzeja Marczewskiego, który po prostu nie uległ naciskom. Potem przeniósł się do Warszawy.

Potem go wygnali za próbę zrobienia „Termopil Polskich” Micińskiego. Niechlubną rolę odegrał konsultant SB, zresztą pisarz, Aleksander Nawrocki, który na ten spektakl i na Marczewskiego zakablował. Doniósł, że to jest takie antyradzieckie, że drobne ingerencje nic nie zmienia, trzeba by pisać od nowa. Przy warszawskiej, nieudanej zresztą realizacji kręcił się Maciek Bordowicz, poeta, aktor, reżyser a prywatnie przyjaciel Nawrockiego. Chłopcy dedykowali sobie wiersze. Matka Bordowicza i moja żona pracowały razem w „Rozmaitościach” – stąd znam trochę szczegółów. Bordowicz próbował zrobić „Termopile Polskie” w Łodzi.

Tak jak ty „Grotę” w Wałbrzychu?

I z takim samym skutkiem. Bo pochwalił się przyjacielowi Nawrockiemu, ten zakablował to esbecji i koniec końców pogonili Bordowicza z Łodzi razem z „Termopilami”. Ale szczegółów nie znam, bo siedziałem przeważnie w Płocku.

Darek Stolarski też pracował w waszym teatrze w Płocku.

Tak. Fantastyczny chłopak! Do tego uzdolniony. Pokazywał mi swoje wiersze. Był działaczem Federacji Młodzieży Walczącej, potem szefem Okręgu KPN. Pracował u mnie w teatrze, a potem ja u niego byłem przez pewien czas szefem kultury w KPN. Współpracowaliśmy z Ulką Ambroziewicz. Darek najprawdopodobniej został zamordowany przez służby. Prowadził biuro interwencji KPN i wpadł na ślady przekrętów w Petrochemii. To była jedna z ostatnich ofiar tamtego systemu. Zmarł w październiku 1993 roku, o ile pamiętam.

Tak. Noc z 16 na 17. Ja Darka poznałem na Rakowieckiej. Pod jedną celą byliśmy wspólnie prawie półtora miesiąca. Ja go też przekazałem pod opiekę prawną Piotrowi Andrzejewskiemu. On miał jakiegoś mecenasa z Płocka, tylko nie wyglądało na to, że ten pan adwokat się nim i jego sprawą przejmuje. Trzeba też przyznać, że Darek miał jeden z najpoważniejszych zarzutów z wszystkich więźniów na trzecim pawilonie MSW, bo on miał zarzut próby obalenia

ustroju PRL siłą. A wiemy obaj, że podpadł ubekom za podanie do publicznej wiadomości adresów zamieszkania funkcjonariuszy SB.

No i paru tajnych współpracowników im spalił. To był wspaniały chłopak, wysportowany – pływak, kajakarz i to w czołówce kraju, poza tym zrobił kurs pilotażu, zaczynał prowadzić helikopter (znajomy – też zresztą z KPN – miał firmę i latałem z nimi nad Płockiem). A poza tym Darek pisał wiersze. Dobrze – wiem, bo je oceniałem. Trochę jakby polska odmiana haiku.

Po jego śmierci była dramatyczna sytuacja, ale był też taki symboliczny moment. Darek miał na ścianie matę i miał zwyczaj wieszać na niej wierszyki – on w zasadzie pisał miniatury – nad którymi pracował przypinając je szpileczkami do tych mat. To był dla nas jeden z przekonujących dowodów, że esbecja wcześniej była w jego mieszkaniu. Jak myśmy przyszli [tj. Bohdan Urbankowski, Bożena Kosińska i Michał Tokarzewski] by komisyjnie otwarto mieszkanie, to ja zażądałem, żeby zebrano odciski palców. Musieliśmy poczekać, bo dopiero trzeba było posłać po specjalistę. Na drzwiach nie było – jakby ich nigdy nikt nie otwierał. Żadnych śladów w mieszkaniu. Dziwna rzecz, ale nie było także tych karteczek z wierszami. Tak, jakby gdzieś uleciały... Może esbecja je wzięła, bo myśleli, że to są jakieś szyfry czy notatki? To samo się powtórzyło w siedzibie KPN. Tam zresztą z szafy pancерnej zniknęły dokumenty biura interwencji i kilka czystych legitymacji. Bo to już był okres, gdy wprowadziliśmy legitymacje KPN, zwłaszcza na prowincji. Potem słyszałem, że jakieś wypląnęły we Francji i przynajmniej jedna w USA.

Wróćmy jeszcze do końcówki stanu wojennego. Ty ciągle współpracowałeś z grupami działającymi w podziemiu?

Tak, ale to już było KPN, „Solidarność” oraz ta grupa działaczy tu na Ursynowie – wszystko na raz. W tym samym bloku trzy podziemne redakcje. „Niepodległość”, „Orientacja na prawo”... Myśmy robili także pismo „Orzeł Biały”. Oczywiście tylko koncepcyjnie. Teksty zabierał Staszek Mazurkiewicz (wnuk „Radosława”), raz czy dwa Tomek Merta (jak wyszliśmy z podziemia, to Tomek pracował z nami w „Gazecie Pol-

skiej”, zginął w Smoleńsku). Szefową „Orła Białego” była Kasia Pietrzyk, też z wydziału prawa. Mazurkiewicz miał grupę na uniwerku „Organizację Akademicką Orzeł Biały” i to pismo musiało trzymać poziom. Oni wszyscy wstąpili do KPN.

W Płocku oczywiście byłem wciąż w „Solidarności” (przypuszczam, że nadal jestem, bo się przecież nie wypisałem). W Łodzi wspieraliśmy grupę „Przedświtu”. I oczywiście wspomagałem Bytom. Czasem jeździłem a nie zawsze mogłem nocować u własnej matki, w naszym dawnym mieszkaniu. Tam po mnie robotę przejął mój kuzyn, Janusz, mieszkał tuż pod Bytomiem, nikt nas nie kojarzył.

Działasz na polu słowa. Najkrócej mówiąc redakcja pism, redakcja publikacji?

Czasem to, co się napisało trzeba było potem rozkolportować, bo akurat kogoś wsadzili. Ale głównie zajmowałem się pisaniem i redagowaniem, publicznie miałem się nie pokazywać, bo byłem największym wytwórcą tekstów. W pionie organizacyjnym nie działałem, chyba że mnie ktoś zaprosił. Natomiast dorywczo współpracowałem z podziemnym radiem „Solidarności” i z „Jutrzenką” Andrzeja Cieleckiego. Pełna nazwa „Polskie Radio Armii Krajowej »Jutrzenka« im. gen. »Grotta« Stefana Roweckiego”. Zacząłem po wyrzuceniu z Myśliwieckiej, więc nie miałem przerwy w pracy w radio. Ale tu było trudniej, bo kazali mi zmieniać głos, myśmy przeważnie albo mówili przez nos, albo wsadzaliśmy coś do ust, stąd część audycji robiła się nieco bełkotliwa. Wołałem pisać, a odczytywał kto inny.

To były krótkie audycje – 15 minut i spieprzać. Była zasada, żeby z każdym razem nadawać i spieprzać z innego mieszkania no bo się bałiśmy namierzenia. Sytuacja jak w moim dramacie „Wyspa”. Cały czas musiałem się jeszcze dzielić z Płockiem, bo tam miałem stałe miejsce zatrudnienia. Chodziłem wciąż niewyspany, w dzień pracowałem jawnie, w nocy tajnie. Godzina policyjna, którą „czerwoni” wprowadzili po 13 Grudnia jednocześnie była czymś w rodzaju ochrony dla nas. Łatwiej było chodzić, przemykać się (jak ktoś wiedział którądy, to szedł niemal

bez ryzyka). Dużo spraw się załatwiało właśnie nocą, trafiając do konkretnych ludzi, oczywiście na piechotę. Poznałem Płock jak mało kto!

Miałeś porównanie Płocka z Warszawą. Jak działalność przeciwko stanowi wojennemu była w tych miastach widoczna?

Warszawa była bardziej widowiskowa z racji cyklicznych protestów ulicznych. Na przykład trzy damy prowadziły spacer podczas dziennika telewizyjnego, dookoła placu Narutowicza. Pani Zofia dała mi rozgrzeszenie z konspiracji tłumacząc, że jak mnie nigdzie nie będzie widać, to esbecja dopiero się tym zainteresuje i zacznie niuchać. Więc, żebym trochę manifestował, ale nie za bardzo. Tak na jakieś zatrzymanie, przesłuchanie, ale nie na dłuższe uwięzienie, bo kto będzie pisał? Rzeczywiście załapałem się na wezwanie i przesłuchanie, ale mnie nie wsadzili, więc mogłem pisać.

W Płocku manifestacje przeciwko zakłamanym mediom byłyby niezrozumiałe. Były poważne demonstracje, na przykład w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, dla uczczenia pomordowanych na kopalni „Wujek”. I to robili robotnicy. Inteligencja w większości się wystraszyła, a ci, którzy się nie bali – raczej zajmowali się gazetkami, tajnymi dyskusjami. To byli nauczyciele. No i nasz teatr oczywiście. Tutaj też grało się na dwóch fortepianach. Sesje poświęcone Witkacemu czy Fredrze to były kpiny z „czerwonych”. Płockie dni Romantyzmu, to był zjazd opozycji, próba wylansowania polskiej filozofii przeciwko marksizmowi. W tym trochę się zorientowali, ktoś doniósł, rok później nie dostaliśmy zgody. Lecz dostaliśmy zgodę na Płockie Dni Poezji Miłosnej i robiliśmy dalej swoje. Tu działał Staszek Nawrocki, który wtedy zbliżył się do KPN, potem nawet wstąpił formalnie. Także pod płaszczykiem Towarzystwa Naukowego Płockiego czasem dało się coś przemyścić, ale już rzadziej, bo Kuba Chojnacki, który był prezesem, był w PZPR i miał przetrącony kręgosłup. Czasem zgadzał się na jakąś imprezę, ale na wszelki wypadek wyjeżdżał. To był szczyt jego odwagi.

W Płocku elita była mała, wystraszona i to ją jednoczyło. W Warszawie elita była skłócona... Z jednej strony my – KPN, z drugiej strony

KOR, który miał dobre przełożenie na radio Wolną Europę, na emigrację z 68 roku, która była przecież w dużym stopniu emigracją ubecką. Nie sądzę, żeby chcieli dawne grzechy odpracować, raczej liczyli na to, że jak coś się zmieni to wrócą jako ci skrzywdzeni – i tak się stało.

Cofnijmy się do 1984 roku. Wielka Trójka Konfederacji wychodzi z więzienia i następuje podział KPN. Jak to przyjęłeś?

Nie chciałem się przyczyniać do podziału. Kiedy oni siedzieli byłem w strukturze, którą kierowali Andrzej Szomański i Stefek Melak. Taka zupełnie nieformalna i samowznająca Rada Polityczna. Broń Boże nie przejmowaliśmy żadnych funkcji, nie wydawaliśmy dokumentów. Chodziło o robienie czegoś i o ciągłość działalności. Koledzy poszli siedzieć, trzeba ich robotę wykonać. Ja w KPN nie sprawowałem żadnej funkcji, do Rady Politycznej zostałem wybrany dopiero na początku III RP, też raczej do roboty, bo część ludzi odpłynęła do organizacji, które mogły czymś płacić. Myśmy dalej pracowali za najcenniejszą walutę świata, czyli dla idei.

Ale to było docenione, jesteś jednym z niewielu, którzy zostali odznaczeni Srebrnym Krzyżem Zasłużony dla KPN.

Czasem czuję się zażenowany, ludzie bardziej zasłużeni nie doczekali, nawet ich nie znamy. Przypomnę jak wspaniale działał Ursus (rozkręcił ich Andrzej Szomański). Załatwiali sprawy organizacyjne i druk. Tam też można było melinować przyjezdnych. Nigdy ich nie wydali, co najwyżej któregoś upili. A dziś nawet nie znamy ich nazwisk.

To się potwierdza, że wówczas ludzie z niektórych terenów kraju brali Andrzeja i Stefcia, także ciebie za tych namaszczonych. Brali ich za władzę KPN-u.

Tak, ale wynikało to po prostu z faktu, że ktoś musiał to robić i myśmy traktowali jako taki obowiązek moralny. Jakoś podpieraliśmy na duchu Majkę a ona nas. Wspaniała, odważna. Tak zachowywały się żony powstańców...

A wracając do rozłamu w KPN, bardzo to przeżyłeś?

Po prostu boleśnie. Bo widzisz, tu przyjaciele i tu przyjaciele. Leszka uważałem za ogromny autorytet, ma imponującą wiedzę, w przeliczeniu to 10 Friszków i 20 Geremków. Ile ja się od niego dowiedziałem! Korepetycje na najwyższym poziomie! A jeśli chodzi o Romka i Tadzia Stańskiego, to nie było jakieś ordynarne zerwanie. Oni wcześniej mieli własną strukturę. To nie było tak, że oni stworzyli ją specjalnie. Oni wrócili do korzeni, do kolegów, z którymi jeszcze spiskowali w PAX-ie przeciw Piaseckiemu. Działali równolegle z nami, spotykaliśmy się już w latach 70-tych. Nieraz jeździłem z Leszkiem do Leszna (do Romka Szeremietiewa) małym samochodzikiem Leszka. On prowadził.

Teza, którą głoszą i Tadzium Stański, i Romek jest taka, że oni się rozstali ze względu na perspektywę działania. Leszek głosił, że trzeba iść na jawność w działaniu a oni uważali, że trzeba zejść jeszcze głębiej do podziemia i budować tajne struktury.

Wiesz, o ile ja pamiętam tamte spotkania (a pamiętam je z racji upływu czasu coraz bardziej mgliście), to nieomal na każdym pojawiały się nowe, dokładne odwrotne koncepcje niż na poprzednim. To, czy działać jawnie (i do jakiego stopnia), czy nie – to był problem nieomal codzienny. Dlatego, że była jednakowa ilość racji po obu stronach. Wspomniałem że była akcja bojkotu dziennika telewizyjnego. Brać w tym udział, czy nie? Jak brać to chcąc nie chcąc zwracamy na siebie uwagę i łatwiej nas namierzą. Jeżeli nie weźmiemy, to będzie, że się uchylamy, że może KPN nie ma nawet takiej odwagi. Bezpiekę, która przecież wiedziała o naszym istnieniu też by to zainteresowało. Te dwie koncepcje cały czas pulsowały. Leszek też się wahał. W pewnym momencie, na początku stanu wojennego on miał szansę, żeby się ukryć przed aresztowaniem. Znalazł się potem w więzieniu właściwie z własnej woli. To był gest. On chciał pokazać, że nie należy się bać, że można walczyć z otwartą przyłbicą. Romek i Tadek też się nie bali, ale oni uważali, że komuniści takich gestów nie docenią. Większość zsowietyzowanego społeczeństwa – też nie. Używając pojęć nam bliższych: komuniści nie mieli i nie mają

zdolności honorowej, to banda oszustów, cwaniaczków, gryzących się i donoszących jeden na drugiego, a nie żadni ludzie honoru. I przed kim tu manifestować? Odwołam się do innego przykładu – Pilecki. Jego pomyłka polegała na tym, że chciał traktować Różańskiego jako polskiego oficera, a to był mały oszust.

Co się zmieniło po 1989 roku?

Miałem takiego kolegę – myśmy się i kłócili, i lubili. Filozof, straszny cynik, musiałem się z kimś takim spotykać, bo na jego tle pomimo różnych grzechów czułem się czysty jak anioł. On po prostu przeszedł na drugą stronę i zaczął robić karierę w MSW. Tam dorobił się majora a w końcu nawet pułkownika. Był dumny, że z Kiszczakiem są po imieniu i jeżdżą na polowania. Ten kolega kiedyś mnie spotkał, chyba przypadkiem, bo stałem na przystanku. Zatrzymał się, wysiadł z samochodu i zaproponował mi udział w jakimś stole, czy „pod-stole” do spraw kultury. Powiedziałem mu: „Jeżeli to ma być uczciwe, jeżeli ma nastąpić wielkie zbratanie Polaków, to dlaczego nie poprosicie Moczulskiego, skoro zaprosiliście Kuronia, Geremka, Michnika? Przecież Moczulski nie jest mniej zasłużony w opozycji a KPN była największą partią opozycyjną”. A on tak jakoś się nadał, zamilkł, jakby szukał słowa. A potem powiedział – „On jest wrogiem”. Bez względu na to, co było kiedyś – wtedy Leszek był dla nich prawdziwym wrogiem. Z pozostałymi można było się dogadywać, kombinować...

Po 1989 roku wielu działaczy podziemia chciało robić kariery. A KPN nie była u władzy, nie mogła rozdawać stanowisk. ZChN już mogło coś tam dać, PC też kupowało ludzi stanowiskami. To zaowocowało stworzeniem systemu, który teraz tak trudno rozmontować. Oni ileś tam ludzi skorumpowali, zdemoralizowali. A jeżeli ktoś już jest w tym układzie przestępczym to swoją uczciwość może oglądać tylko w nocy, pod kołderką. Tam wszyscy na wszystkich mają haki. To ich wzmacnia...

Więc to takie, jak mówią, łże-elity?

Pod pewnymi względami to jednak są elity. Pod jakimi? Zacznę od

tego jakimi nie są. Trentowski mówiąc o elitach potrzebnych dla Polski wyliczał trzy grupy. Powiem to w jego języku. Pierwsza grupa, to ludzie najświetniejszej realności – posiadacze, wybitni przemysłowcy czy ziemianie. Druga grupa, to ludzie najświetniejszej idealności – pisarze, filozofowie, historycy, którzy swoją twórczością podtrzymują tożsamość narodu. I trzecia grupa, to ludzie najświetniejszej rzeczywistości, czyli ludzie czynu, działacze polityczni. On wymieniał Kościuszkę, my wymienilibyśmy Piłsudskiego. Oczywiście w PRL takich elit być nie mogło, nie było ich nawet w podziemiu, może trochę na emigracji, ale skoro nie mieli wpływu na Polskę, to jakie z nich elity? Co gorsze – nie ma takich elit w III RP. Przypomnijmy, ludzie najświetniejszej realności: Gawronik, Baksik, Gąsiorowski, Grobelny i jego „Becząca Kasa Oszczędności”, ostatnio głośny Marcin Plichta... Ludzie idealności: kiedyś Schaff, potem Bauman... Wreszcie ludzie rzeczywistości: Wałęsa, po drugiej stronie Kwaśniewski. Pamiętam takie wybory na prezydenta, gdy Polacy mieli do wyboru „Bolka”, „Alka” i „Musta”.

Pozwolę sobie na wspomnienie. Jest Marzec 1968 roku. Jest strajk. Najpierw byliśmy przed BUW-em, potem przeszliśmy pod gmach rektora wznosząc najśluszniejsze i najpiękniejsze hasła. Na balkon wyszedł rektor i powiedział, że nie może rozmawiać z tłumem, że to chała i żeby jakąś delegację wyłonić. No to my znowu włączymy i przemawiamy – włączymy, bo tam była taka przyzma narąbanego z chodnika lodu, więc nam się z tego zrobiła mównica. Ja też na tym stałem. Byłem za kandydaturą Miecia zwanego „Szafą”. On był szefem naszego klubu kulturystycznego, najsilniejszy facet na Kickiego. Zresztą bardzo się fajnie zachowywał. W każdym razie ja za nim przemawiałem, nagle ktoś do mnie krzyczy, żebym już zląził i przestał pieprzyć, bo „nasza” delegacja jest już na górze. Okazało się, że w międzyczasie paru cwaniaków z Wydziału Historii, ze skądinąd inteligentną Ireną Lasotą na czele, już poleźli do rektora jako „nasza” delegacja. A ja mogłem sobie przemawiać, ile chciałem. Słuchaj, to jest pewien symbol. Więcej – to jest klucz. Popatrz, co się dzieje w 1980 roku na stoczni w Gdańsku. Jest strajk, są robotnicy, są przywódcy protestujących, Ania Walentynowicz, Gwiazda, Wałęsa, przeciw-

ko niemu różna opozycja itd. Nagle przyjeżdżają „eksperci z Warszawy”. Oni potem przechycią władzę. Nie wiem czy w składzie nie było tych samych ludzi, co w marcu 1968 roku albo ktoś z ich rodziny.

To są elity samozwańcze, ale nie należy ich lekceważyć. Gdy masa jest bierna, skrępowana zasadami religii czy regułami demokracji – wystarczy paru tupeciarzy i oni narzucają się jako władza. Chwyty polegające na powoływaniu takich samozwańczych struktur po prostu się powtarzają. Taką elitę wynegocjowano i narzucono w Magdalence, gdy się zaczęła zużywać – pojawili się nowi samozwańcy. Ich siłą jest marazm naszego społeczeństwa, ale i obce interesy. Ja bym tego nie lekceważył. Ciśnie się cytaty z Piłsudskiego: „Podczas kryzysów – powtarzam – strzeżcie się agentur!” I dalszy ciąg, rzadziej cytowany: „Idźcie swoją drogą, służąc jedynie Polsce, miłując tylko Polskę i nienawidząc tych, co służą obcym”.

* * *

Aneks poetycki

**Boruta,
z opowieści Generała Abrahama**

*Nie jest prawdą,
że jego lanca
zakończona była widłami
z których wybuchał płomień –*

*Nie jest prawdą,
że wybiegł spod ziemi
na hasło Ojczyzna w potrzebie!
że przepalił wówczas podłogę
dworku, w którym werbowano ochotników –*

*Po prostu:
gdy utani
o zmierzchu stanęli do apelu
okazało się, że
– jak nie liczyć –
wciąż więcej o jednego... Więc wiedzieli:
jest już wśród nich.*

*Najbardziej lubił nocne
wypadki, zasadzki
gry rycerskie... W pobliżu Bielaw
jakby przefrunął rzekę
zniósł obóz pancерnej dywizji.
Przez łąki pod Łęczycą
– dzień później –
szarżował na kolumny
piechoty. W powietrzu
słyszano topot skrzydeł –
jakby rotę niewidzialnej husarii
pędziły, zmiotły wroga – lecz nie chichot
ale płacz ludzki
nieomal dziecięcy
słyszano w cichnącym wicherze.*

*Zginął –
nie,
nie w tej szarży.
Wkrótce potem:
w zwycięskiej bitwie pod Piątkiem.
Własną pierś zastonił utana,
młodego chłopca...*

Kiedy diabeł pomaga ludziom

*gdy kocha i rozpacza jak człowiek –
musi umrzeć jak człowiek. Nie pomogły
żadne leki i żadne modlitwy ułanów:*

Boruta

*zmarł, lecz znowu nie jest prawdą
że zniknął potem z trumny.*

Poświęcona

*ziemia przyjęła poszarpane ciało. Nad grobem
tej samej nocy*

nie kwiaty

nie wierzba wyrosła płacząca –

Wyrósł biały brzozowy krzyż.

Panu Generalowi

dziękując za wieczór wspomnień

1974 lub 1975

* * *

Kalendarium działalności Bohdana Urbankowskiego w okresie PRL:

- Choć urodził się w Warszawie, to w 1945 trafił do Bytomia i tutaj ukończył szkołę średnią. Tutaj w 1959 założył wraz z kolegami konspiracyjny Klub Artystów Anarchistów. Później utrzymywał kontakty z działaczami PAX z Bytomia.

- Po maturze wyjechał do Warszawy, gdzie studiował polonistykę oraz filozofię na UW (z filozofii zrobił doktorat – „Problemy humanizmu w twórczości Dostojewskiego”).

- W 1970 założył grupę poetycką – Konfederacja Nowego Romanizmu.

- W 1. połowie lat 70. podjął pracę naukową na warszawskim AWF (w katedrze filozofii).

- W pewnym momencie z Urbankowskim nawiązał kontakt Stefan Matuszczyk – kapitan „Porawa”. Poprzez „Porawę” Urbankowski wszedł do kręgu Elżbiety Prądzyńskiej (ostatniej miłości generała „Grota”) i zetknął się ze środowiskiem akowskim, m.in. z generałami: Abrahamem i Borutą-Spiechowiczem.

- Jesienią 1975 w Teatrze Starym w Krakowie wystawiono sztukę Urbankowskiego „W białych ogrodach”. W tym czasie Urbankowski nawiązał kontakt z Moczulskim.

- W grudniu 1977 Urbankowski podjął pracę w Naczelnej Redakcji Publicystyki Kulturalnej Telewizji – „Teatr Faktu” (kierownikiem redakcji był Grzegorz Królikiewicz)

- W 1979 Urbankowski został usunięty z Telewizji i podjął pracę w Redakcji Dramatu Naczelnej Redakcji Programów Literackich i Publicystyki Kulturalnej Polskiego Radia (do początków 1982).

- W latach 1979–1980 – pracował w teatrze w Wałbrzychu (jego dyrektorem był Andrzej Marczewski).

- W 1980 (po Sierpniu) przeniósł się z Wałbrzycha do Teatru im. Szaniawskiego w Płocku. Tutaj w 1981 działał w KOWzaP oraz założył Teatr Myśli Politycznej.

- Po 13 Grudnia pracował i w Płocku, i w Warszawie, współpracując z kilkoma podziemnymi pismami i różnymi organizacjami opozycji antysystemowej („S”, KPN, SW).

PODOPIECZNI NIEPOŚLUSZNI WŁADZY LUDOWEJ

Z KSIĘDZEM PRAŁATEM JÓZEFEM MAJEM
ROZMAWIA KATARZYNA ŚNIADECKA

KS. JÓZEF MAJ: Co ksiądz pamięta z aktywności w tamtych latach by uwolnić z aresztu czterech aresztowanych Konfederatów?

KATARZYNA ŚNIADECKA: Współpracowałem w tym czasie blisko z Księdzem Arcybiskupem Bronisławem Dąbrowskim, ówczesnym sekretarzem Konferencji Episkopatu Polski. W ramach tej współpracy byłem jakby łącznikiem, po prostu takim człowiekiem, który dla potrzeb Sekretariatu Episkopatu kontaktował się z różnymi osobami, tak z rządu, jaki i z opozycji. To był ważny wymiar mojego także osobistego zaangażowania w sprawy publiczne. Właśnie w takim charakterze uczestniczyłem w staraniach o uwolnienie „tych czterech”. Miałem z tym niemało kłopotów, bowiem Ci moi podopieczni byli po prostu nieposłuszni władzy ludowej. Dali mi na przykład słowo, że jak ja ich wyciągnę z tego więzienia to na ściśle określony czas zaprzestaną publicznej działalności politycznej. Taki bowiem był warunek ich uwolnienia ze strony Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a zaakceptowany przez Księdza Arcybiskupa. Gdzie tam! Nie wytrzymali, a mnie to wiele kosztowało u Pudysza, który był pułkownikiem w MSW, a do którego chodziłem regularnie z ramienia Sekretariatu Episkopatu, a w tym czasie także i Prymasowskiego Komitetu Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i Ich Rodzinom. Niejednokrotnie wypominał mi, że jestem niewiarygodny. Wiedziałem, że mówi to raczej taktycznie, ale nie było przyjemne tego słuchać pod swoim adresem, słów o całkowitym braku wiarygodności.

Formalnie – środowiskowo kontaktowałem się w sprawach KPN-u z panem Romualdem Szeremietiewem. Praktycznie kontakt bez-

pośredni i roboczy był przez osobę ks. Donata Manterysa, rektora kaplicy przy Królikarni. Pan Szeremietiew przyjaźnił się bowiem z księdzem Donatem Manterysiem, u którego w Królikarni była skrzynka kontaktowa. W sprawach KPN-u tam właśnie było miejsce naszych ważniejszych spotkań i wymiany informacji. W sprawach krótkich i związłych odwiedzały mnie w mieszkaniu umówione osoby, choć nieraz truchlałem, bo nie mało w tych kontaktach było żywiołowości i spontaniczności. Ksiądz Donat był moim dobrym kolegą z czasów seminarium, którego darzyłem zaufaniem, a to w sytuacji konspiracji ma zasadnicze znaczenie. Ponieważ trudno było kontaktować się ze wszystkimi zainteresowanymi KPN-owcami, poza wszystkim niosłoby to groźbę szybkiej i pełnej dekonspiracji, kontakty robocze musiały odbywać się w określonym łaździe. Tak więc ja zawsze miałem kontakt z nimi przez ks. Manterysa, a on zawsze przez pana Szeremietiewa, z którym nota bene serdecznie się przyjaźnili.

Ten wysiłek organizacyjny był pracą autentycznie konspiracyjną, czego obecnie wielu ludzi nie rozumie. Jak to bywa z tajną robotą, był to trudny i czasochłonny wysiłek. Towarzyszyło temu i napięcie nerwowe, i pewien wymiar ryzyka, bo często trudno było przewidzieć bieg wydarzeń i skutki podejmowanych działań oraz niebezpieczeństwa, na jakie można się w tym konkretnym działaniu natknąć. Osobiście uważam, że dzięki osiągniętej precyzji organizacyjnej, mieliśmy z księdzem Donatem to szczęście, że nie mieliśmy żadnej wpadki. Chciałbym podkreślić, że w zasadzie, jeśli idzie o KPN, nie kontaktowałem się ani z panem Leszkiem Moczulskim, ani z panem Tadeuszem Stańskim (choć oni oczywiście wszystko wiedzieli). Z ostrożności konspiracyjnej miałem czasami realny kontakt tylko z panem Szeremietiewem. To, co było ustalone z Szeremietiewem było wiążące tak między nami, jak i dla całej grupy przywódców KPN-u.

Do kogo należała inicjatywa tych kontaktów?

Generalnie inicjatywa tych kontaktów była naturalnym wynikiem mojej współpracy z Księdzem Arcybiskupem Dąbrowskim, który uży-

wał mnie do kontaktu z grupami opozycyjnymi. Inicjatywa konkretnych spotkań, wynikała najczęściej z potrzeb sytuacyjnych, wychodziła z obu stron w zależności od charakteru spraw. Jednym ze skutków takiej współpracy z Sekretariatem Episkopatu była dość duża rozpoznawalność mojej osoby w różnych środowiskach opozycyjnych. Z powodu ostrożności proceduralnych ks. Arcybiskup Dąbrowski tylko w sytuacji wyraźnej konieczności przyjmował grupy opozycyjne w siedzibie Sekretariatu. Z tych powodów kontakty robocze z opozycją były prowadzone przez współpracujących z Sekretariatem Księży, a ja miałem kontakt głównie ze środowiskami młodzieżowymi, wcześniej przedsolidarnościowymi, a później solidarnościowymi lub około solidarnościowymi na uczelniach. Ale też z robotnikami Ursusa, czy Huty Warszawa oraz z grupami związanymi z Wojciechem Ziemińskim, środowiskiem niepodległościowym i chadeckim. I tak wówczas funkcjonowałem. Chcę jednak podkreślić, że najczęściej kontakty te wynikały z potrzeby interwencji u władz na rzecz poszczególnych środowisk. Tak na przykład na rzecz KPN-u było ponad 20 – jeśli dobrze pamiętam – interwencji ze strony Sekretariatu Episkopatu i kilka ze strony Komitetu Prymasowskiego.

Z MSW miałem kontakt nieustanny – już nie pamiętam nazwisk funkcjonariuszy poza nazwiskiem pułkownika Pudysza, choć rozmówców miałem kilku. Ze struktur Służby Bezpieczeństwa też pamiętam jedynie jednego człowieka, który bezpośrednio się ze mną kontaktował, był moim „opiekunem” i nie wiem czy prawdziwie, czy nieprawdziwie nazywał się Majewski. Pamiętam go dobrze. Pamiętam też dobrze, pułkownika Pudysza. Był to bardzo surowy ale rzeczowy człowiek. Do dziś mi się wydaje, że choć zachowywał wobec mnie daleki dystans, to z jakiegoś powodu chronił mnie i osłaniał. Był mi życzliwy, choć nigdy tego nie okazał, ja to jednak czułem: milczącą akceptację mojej postawy z jego strony. Takie coś odczuwałem, ale czy było to prawdziwie? Nie wiem.

Oczywiście nie brakowało czasami wprost szalonych moich kontaktów osobistych z ludźmi opozycji, a z Szeremietiewem na przykład miałem kontakt także w więzieniu. W formie pisemnej w imieniu wszyst-

kich trzech przyrzekł, że podporządkują się warunkom zwolnienia wynegocjowanym przez ks. Arcybiskupa Dąbrowskiego ze stroną rządową. Nie dotrzykali słowa, za co oczywiście ja odpokutowałem tak od strony Księdza Arcybiskupa i księdza Orszulika, jak i Pudysza. Byłem też skrzynką kontaktową, krótki czas, ale byłem dla tego środowiska w razie koniecznej potrzeby. Stało się to na okoliczność, już nie pamiętam, choroby czy dłuższego wyjazdu ks. Manterysa. Nie wiem nawet z kim miałem wtedy kontakt. Znałem tylko hasło "Królikarnia". Jak mi powiedzieli hasło to działałem, jak miałem wątpliwości nawet co do formy przekazu – nie działałem. Pojawiali się różni ludzie, ale nie wiem kto. Jednego rozpoznawałem – to był Krzysztof Król. Rozpoznałem go jednak dopiero wtedy, gdy stał się zięciem Leszka Moczulskiego. Pamiętam, że go polubiłem.

Na ile ksiądz był wolny w tych kontaktach?

Byłem wolny ale i posłuszny Kościołowi. Trzymałem się wskazań i instrukcji Księdza Arcybiskupa, które otrzymywałem prawie na każde spotkanie, a generalnie znałem też dyspozycję zasadniczą daną przez Prymasa Polski Sekretariatowi Episkopatu na tą historyczną okoliczność. Sługa Boży Stefan Kardynał Wyszyński zmarł w maju 1981 roku. Praktycznie od grudnia 1980 roku nie funkcjonował już w pełni w życiu publicznym. Od połowy lutego 1981 roku był praktycznie ze względu na pogarszający się stan zdrowia z niego wyłączony. Trzeba jednak zdecydowanie podkreślić, że dyspozycje, jakie poczynił przed śmiercią były realizowane. Również dyspozycja dana Arcybiskupowi Dąbrowskiemu w 1979 roku, dwa lata przed śmiercią, była dyspozycją wiernie przez Sekretarza Episkopatu realizowaną.

Dyspozycja była jednoznaczna: „Kościół nie może bezpośrednio angażować się w działalność struktur opozycyjnych polskiej opozycji antykomunistycznej, ale należy działać wobec nich z życzliwą obecnością”. Ośmielę się powiedzieć, że w mojej opinii dyspozycja powyższa była wskazaniem godnym kapłana, męża stanu i patrioty polskiego, jakim bez wątplenia był Kardynał Wyszyński. To właśnie na podstawie tej dys-

pozycji zacząłem pełniej i pewniej funkcjonować, jako współpracownik Księdza Arcybiskupa Dąbrowskiego. Początkowo, czyli w latach 1974–1975 nie wiedzieliśmy, na czym ta współpraca ma polegać i dopiero z biegiem czasu wypracowaliśmy jej formy. Moją rolą było otwieranie się na środowiska opozycyjne, ale tak, by nie narażać Kościoła na zarzut współdziałania i formalnej współpracy z opozycją. Polska Rzeczpospolita Ludowa była państwem uznanym w całym świecie, respektowane musiały więc być przez Kościół nawet budzące sprzeciw struktury tego państwa. Kościół, jako instytucja musiał się poruszać w ramach praw regulujących stosunki państwo – kościół w układzie międzynarodowym. Z tych, a także z powodów taktycznych przyjętych przez Kościół w Polsce nie mógł zająć stanowiska formalnej współpracy z opozycją, ale życzliwą obecność mógł realizować. Szybko stał się nawet mediatorem wobec stron ówczesnego konfliktu społecznego w naszej Ojczyźnie.

Jaka była argumentacja wobec władz PRL?

Oczywiście, jakich argumentów używali dla realizacji tej zasady w rozmowach z władzami księża: ksiądz Biskup Władysław Miziołek, ksiądz Biskup Jerzy Dąbrowski, ksiądz Alojzy Orszulik, ksiądz Bronisław Dembowski czy ks. Wiesław Niewęglowski, tego nie wiem. Sam na różne sposoby starałem się używać jednego argumentu: „Nie znam powodów, dla których władza państwowa uczestniczy w tak intensywnym procesie wyobcowywania się z życia Narodu, może jest to zgodne z dyspozycjami międzynarodówki, Kościół jednak, mimo trudnych wyzwań, jakie niesie obecna sytuacja chce być integralną częścią Narodu, nie chce się dać z niego wyobcować”.

Przy realizacji tej generalnej argumentacji, argumenty szczegółowe były bardzo różne, zależne od problemów konkretnych środowisk. Jeśli idzie o młodzież, która była karana np. za udział w demonstracjach, za rozklejanie plakatów, rozrzucanie ulotek itp. szczęśliwie, jeśli była karana grzywnami, wtedy wystarczyło zgromadzić środki, aby spłacić te grzywny. Kiedy powstał „Prymasowski Komitet Pomocy Osobom Pozbawionym Wolności i ich Rodzinom” było nam bez porównania ła-

twiej sprostać temu problemowi, bo na ten cel były przeznaczane pieniądze komitetu. Środki, których gromadzeniem ja już się nie zajmowałem. Zupełnie inny rodzaj kłopotów, jaki mieliśmy ze studentami i uczniami, był wtedy gdy, np. za uczestnictwo w demonstracjach karani byli relegowaniem ze szkół i uczelni. To właśnie na taką okoliczność usłyszałem z ust pułkownika Pudysza „Oni robią co chcą i ksiądz robi co chce”. Przyznałem mu, że zachowania młodzieży mają wymiar nieco anarchizujący, ale też prosiłem o zrozumienie, że jest rzeczą istotną, by surowość w karaniu miała wymiar wychowawczy, a relegowanie ze szkół czy uczelni od razu przypominało młodzieży metody carskie o których głośno mówią. Spontanicznych i bardzo emocjonalnych zachowań młodzieży nie przewycięży się policyjnymi metodami, raczej drogami dialogu, a tu brak na każdym kroku. I Kościół, i państwo nie stworzy sobie innego społeczeństwa, musi prowadzić takie, jakie jest.

Jeśli idzie o ludzi pokroju Stańskiego, Moczulskiego, Szeremietiewa to trzeba było używać argumentów politycznych, niestety wchodzić na tematy par excellence polityczne. Szło też o zachowanie przez Kościół spójnej wewnętrznie taktyki wobec różnych środowisk opozycyjnych. Ale żeby było jasne, myśmy wypracowali w grupie ks. Arcybiskupa Dąbrowskiego taką postawę, taki standard postępowania, że nie pytaliśmy ludzi z opozycji, jakiej są narodowości, jakiego wyznania, jakie mają konotacje środowiskowe. Jacy byli, z takimi utrzymywaliśmy relacje, nie stawiając warunków. To nie była dla nas łatwa sytuacja. Wracając jednak do KPN-u. Na pytanie Pudysza, jaka jest przyczyna ciągłego zainteresowania Kościoła, KPN-em, odpowiedziałem, że intensywność interwencji Sekretariatu Episkopatu jest wprost zależna od intensywności działań danej organizacji, a Konfederacja przejawia bardzo żywą obecność w życiu publicznym. Kiedy naciskał, by Sekretariat okazał brak zainteresowania KPN-em broniłem dotychczasowej strategii Sekretariatu argumentując, że środowiska niepodległościowe mają bardzo żywy odbiór społeczny, że stworzyłyby to kłopot dla Kościoła w opinii publicznej, bo ludzie szybko zauważą taki brak zainteresowania. Zwracałem też uwagę na bardzo istotny wymiar obecności grup niepodległościowych w polskim życiu

publicznym, wynikającym stąd, że ludzie szukają alternatywnej formacji patriotycznej, a dla władz państwowych rozwój myśli niepodległościowej może okazać się potrzebny tak w wymiarze własnym, polskim, jak i szerszym, międzynarodowym, bo i w Związku Radzieckim szuka się dróg reinterpretacji pojęcia niepodległości odziedziczonego po Leninie i Stalinie.

Innej zupełnie argumentacji trzeba było użyć w sprawie Ursusa. Ta zaś była trudną sprawą. Ursus zajął stanowisko bardzo zdecydowanie przeciwne Lechowi Wałęsie i stronie rządowej, uważając, że powinna powstać jedna „Solidarność” dla całego kraju, a nie wiele autonomicznych „Solidarności” regionalnych. Wałęsa tego nie chciał, rząd tego nie chciał, ale jednej „Solidarności” chciał Śląsk. Mało kto wie, ile dobrego dla tej sprawy uczynił śląski kapelan „Solidarności”, ksiądz Bernard Czarnecki. Znalazł on zrozumienie u Janusza Krzyżewskiego, który był doradcą „Solidarności” na Śląsku i wypracował formalne stanowiska Regionu Śląskiego na ten temat. Ursus „murem” stanął za tą sprawą i za Śląskiem. To, że jest jedna „Solidarność” było autentycznym zwycięstwem ludzi, a nie władz „Solidarności”. To była trudna sprawa, były ofiary, ludzie tracili życie w jej obronie. Potrzeba licznych i szybkich interwencji w tych okolicznościach świadczy, jak zacięta była walka o jedną „Solidarność” w Polsce i jak bardzo trudna. Powodem trudności dla mojej misji była złożoność tej sprawy. Tak wewnątrz „Solidarności” były bardzo rozbieżne stanowiska, jak też w rządzie i w Kościele. W związku z powyższym ksiądz arcybiskup początkowo nie chciał zajmować stanowiska, zostawił mi swobodę w rozmowie z Pudyszem na ten temat, później poparł ideę jednolitego związku „Solidarności”. Ja zaś w rozmowach (bodaj trzech) z pułkownikiem interweniując w obronie już poszkodowanych ludzi z Ursusa, dążąc usilnie do ustaleń prewencyjnych używałem argumentacji nieopłacalności wywoływania napięcia społecznego w całym kraju jedynie z powodów wewnętrznych „Solidarności”. Podkreślałem, że po reakcjach różnych przedstawicieli władz widać, że w środowisku rządzących nie wypracowano jeszcze decyzji czy lepiej jest mieć do czynienia z jedną „Solidarnością”, czy z nieobliczalnym ruchem

zawodowym wielopodmiotowym. Argumentowałem tak przeciw potrzebie wzrostu działań represyjnych wobec ludzi „Ursusa”.

Zupełnie specyficzną była sprawa „Solidarności Rolników Indywidualnych”. Największe „zdrady” w tej organizacji szły od jej władzy centralnej. W związku z tym w rozmowach z władzą państwową człowiek był niepewny niczego, zostawiony tylko własnej intuicji i rozumieniu dziejącego się w Polsce procesu społeczno-politycznego. Przewaga mojego rozmówcy była w takiej sytuacji wyraźnie odczuwalna. To było trudne doświadczenie. Miałem kontakty z rodziną Bartoszcze, to mi dawało pewną orientację, jednak nie na tyle, by uwolnić mnie od dominującego poczucia samotności w rozmowach z Pudyszem na temat rolników. Taka sytuacja wymuszała w sposób oczywisty bardzo zindywidualizowaną argumentację i odnoszenie się do wartości ogólnoludzkich. Szło tu najczęściej o zwolnienie z aresztów, dlatego dominowały w rozmowach argumenty „ad personam”. Muszę przyznać, że miałem tu drobne sukcesy, ale myślę, że to dzięki temu, iż nigdy w rozmowach z Pudyszem nie wchodziłem na grunt „praw człowieka”, bo wiedziałem, że tego nie znosił. Tak więc argumentacja szczegółowa wobec strony rządzącej wynikała nie tyle z imponderabiliów, ile z charakteru konkretnej sprawy, jaka była do załatwienia, okoliczności w jakich funkcjonowali lub znajdowali się ludzie z opozycji oraz charakteru grupy, organizacji, do jakiej należeli.

Jak na tle tych grup wypada, w ocenie księdza, grupa niepodległościowców?

Na tle innych grup grupa niepodległościowców była chyba najbardziej zwartą grupą. Mówię to oczywiście w odniesieniu do omawianego okresu. Wiem dobrze, na jakie tematy kłócili się ze sobą, ale na zewnątrz byli razem, co mi się bardzo podobało. Nie słyszałem też, by w sytuacji konfrontacji, aresztowań wzajemnie się przed władzami oskarżali, co było dla mnie ważnym znakiem. Podobało mi się też to, że bliżsi koledzy zatrzymanych którzy zostali na wolności nie dawali mi spokoju, „przypominali”, przynaglali, choć próbowałem im tłumaczyć, że czas

rozmowy z władzami na temat ich kolegów zupełnie ode mnie nie zależy, zależy od MSW i Sekretariatu Episkopatu.

Ta ich natarczywość – choć mnie czasami denerwowała – w istocie mi się bardzo podobała. Imponowała mi się też w KPN-ie dbałość o świeżość myśli politycznej, było to de facto świadectwo o pracy intelektualnej na temat tego, co polskie, a to znaczyło też, że ruch ten potrafił wybronić się przez natłokiem spraw bieżących, nie chorował na „bieżączkę”, jak to zjawisko żartobliwie nazywaliśmy w Komitecie. Nie mam naturalnie wystarczającej wiedzy co do oceny informacji, że w 1981 roku w Moskwie brano pod uwagę scenariusz takich zmian w strukturach władzy w Polsce, by ludzie z KPN-u znaleźli się w środowisku władzy. Takie myśli chodziły wśród ludzi. Nie wykluczam, że władze komunistyczne mogły brać w rachubę taką grę polityczną z KPN-em. W 1982 roku, a więc podczas stanu wojennego, rozmawiałem z mocno zdenerwowanym na mnie (w czasie objazdu pielgrzymek) wysokiej rangi urzędnikiem Służby Bezpieczeństwa. Wiele przykrych słów od niego wtedy usłyszałem, ale też i ważną informację: od 1971 roku aż do stanu wojennego nie było jasnej klarownej koncepcji, (czytaj w Moskwie) co zrobić w Polsce. Mogły więc być różne scenariusze, wśród nich i taki, by dopuścić ruchy niepodległościowe do środowiska władzy. Ale to może być tylko moja i nie tylko moja nadinterpretacja. W każdym razie później do władzy dopuszczono środowiska okrągłostołowe, a nie niepodległościowców.

Jak wyglądały te rozmowy z Ubecją?

To zależało od osoby rozmówcy i od przedmiotu rozmowy. Jednej zasady przestrzegałem zawsze. Starłem się, by były to rozmowy oficjalne, nigdy prywatne. Unikałem jak tylko mogłem, rozmów poufnych. Nie było to łatwe, bowiem przez tyle lat takiej posługi oswoiłem się jakby z ich obecnością w moim życiu, stała się ona jakby naturalną częścią mojego życia. Trzeba się było pilnować. Nieoczekiwanie pomagała mi w tym trudna strona tych spotkań, nie mówiąc o tym, że każde z osobna wymagało dużego wysiłku intelektualnego i psychicznego. Mówię tu

przede wszystkim o spotkaniach z Pudyszem, który był zawsze bardzo rzeczowy i zwięzły. Moje rozmowy z nim na pewno zawsze były poprawne od strony merytorycznej, choć wnioski z opisywanej podobnie sytuacji wyciągaliśmy najczęściej różne. To oraz zaskakujące mnie najczęściej jego pytania było powodem stresu po każdorazowym spotkaniu.

Zupełnie innej natury były rozmowy z Majewskim (nie wiem czy tak się naprawdę nazywał, czy to był jego pseudonim), który był mim „opiekunem” ze strony SB. To on właśnie w rozmowach ciągle weksłował na prywatne, przyjacielskie tony. Myślę, że miałem z nim lżej niż inni księża, bo był przecież doskonale zorientowany co do mojej sytuacji w Sekretariacie Episkopatu i oficjalnej relacji z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych, a czego nie omieszkalem raz po raz mimochodem w rozmowie przypominać. Powiedziałem mu też oficjalnie, że na drugi dzień po jego pierwszej rozmowie ze mną poinformowałem o tym księdza Arcybiskupa Dąbrowskiego, który poinstruował mnie o sposobie postępowania w stworzonej przez niego sytuacji i tej instrukcji w kontaktach z nim będę się trzymał.

Zupełnie inna była „przypadkowa rozmowa z „Konradem”, pewno to było jego pseudo. To on właśnie przyłapał studentów przed św. Anną na rozprowadzaniu „bibuły” KPN-owskiej, a ci mu powiedzieli, że otrzymali ją ode mnie. W dwu kolejnych rozmowach oczekiwał ode mnie informacji, o których nie miałem żadnego pojęcia, np. skąd KPN bierze pieniądze na swoją działalność lub którzy biskupi popierają KPN. Innej natury było pytanie, skąd wziąłem „propagandę KPN-owską”. Oczywiście nie mogłem powiedzieć prawdy, że z drukarni, która nam drukowała „Młodzież Katolicką”, mi ją dostarczono, więc skłamałem mówiąc, że to do św. Anny przyniesiono mi oryginał „na moje potrzeby” i tu z niego odbiłem na ksero 10 egzemplarzy. Mogłem tak powiedzieć, bo na szczęście zarekwirował tylko resztówkę, 5 czy 6 sztuk, więc tylko modliłem się gorąco, by nie chciał oglądać tej kserokopiarki, na jakiej odbiłem bibułę, bo oczywiście takowej nie mieliśmy w Rektoracie. Wypytywał mnie, kto zapłacił kosztą powielania, odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie wziąłem od nikogo ani grosza za tę usługę.

Jaki był powód, księdza zdaniem, braku poparcia KPN ze strony innych struktur opozycji?

Do dnia dzisiejszego tego nie wiem. Dlaczego „Solidarność”, środowiska narodowe, także środowiska chadeckie miały spory dystans do KPN naprawdę nie wiem. KPN chodził własnymi drogami. Był bardzo dynamiczny, może bano się dominacji z jego strony w środowiskach opozycyjnych. Dlaczego zaistniały tego typu relacje międzysrodowiskowe w opozycji tego nie wiem, ale myśmy traktowali w Sekretariacie Episkopatu KPN życzliwie. Miałem kontakt z różnymi środowiskami dla potrzeb Sekretariatu i siłą rzeczy, jak się człowiek spotykał – rozmawiał. Czasami odnosiłem wrażenie, że wobec KPN-u w tych środowiskach istniało poczucie zagrażającej konkurencji. Nie umiem już dzisiaj odpowiedzieć precyzyjnie. Ze strony Sekretariatu Episkopatu nie dzieliliśmy ludzi opozycji, nie uważaliśmy, żeby ktoś nas upoważniał do ocen różnicujących lub wartościujących poszczególne środowiska. Dla nas istotny był konkretny człowiek będący w potrzebie. Wychodziliśmy życzliwie naprzeciw każdej grupie która zwracała się o pomoc, w tym z prawdziwą satysfakcją do KPN-u.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

ANDRZEJ SZOMAŃSKI (1930–1987)

Są ludzie, często nam bardzo bliscy, których cenimy a nawet i podziwiamy za ich wiedzę, aktywność, patriotyzm, nieugiętą postawę w działalności niepodległościowej i życzliwość jaką nas darzą. Jednak rzadko zastanawiamy się kim właściwie są dla nas, jakie miejsce zajmują w naszym życiu i jaką reprezentują osobowość, bo mimo uznania i szacunku właściwie niewiele o nich wiemy. Niewątpliwie najtrudniej ocenić ludzi skromnych, nie lubiących mówić o sobie, o swojej pracy, działalności, przeżyciach i osiągnięciach, cenionych sobie przede wszystkim rzetelną i ludzkie serce.

Bywa tak, że śmierć nagle odcina od nas takich ludzi, którzy mocno nieomal dotykalnie pozostają wśród nas. A nam nie sposób pogodzić się, że zabrakło Człowieka który w życiu wielu osób, znajomych i przyjaciół, zajmował wyjątkowe miejsce.

Takim zawsze był kolega i przyjaciel – Andrzej Feliks Szomański, dla tych, którzy Go znali i stykali się z nim w pracy dziennikarskiej i działalności niepodległościowej jak i tych wszystkich, których darzył przyjaźnią i życzliwością. Andrzej należał bowiem do ludzi, którzy surowi dla siebie nie żądają od innych zbyt wiele, albo nic. Ale tym, którzy przełamują często uprzedzenia, poznali Jego głęboką osobowość, życzliwość, rozległą wiedzę a przede wszystkim głęboki patriotyzm i dawali mu dowody lojalności – pozostawał wiernym przyjacielem.

Ten wnuk i syn oficerów zawodowych wojska II Rzeczypospolitej, uczestników walk o niepodległość (dziadek – Tadeusz był pułkownikiem, lekarzem a ojciec – Zdzisław –majorem dyplomowanym, delegatem Generalnego Kwatermistrza Naczelnego Wodza w Dowództwie Ar-

mii „Poznań”, uczestnikiem obrony Warszawy we wrześniu 1939 roku), pozostał wierny ideałom i tradycjom rodzinnym. Żył więc głęboki szacunek i cześć dla żołnierzy powstań narodowych, uczestników walk o niepodległość, wojska II Rzeczypospolitej i Armii Krajowej. Szczególnie sobie cenił czyn bojowy Legionów Polskich, osobowość i zasługi ich komendanta Józefa Piłsudskiego twórcy niepodległego państwa Polskiego. Fakt ten wynikał także z rzetelnej wiedzy historycznej i szacunku dla dziejów własnego narodu. Miał też on zasadniczy wpływ na postawę Andrzeja, na jego życiową drogę, na to co robił i tworzył.

Życie swoje od wczesnych lat młodości związał z ideą obrony niepodległości i wartości najwyższych dla narodu. Tak wielkiej sprawie służył wiernie nie uznając żadnych kompromisów i taktycznych uników. Andrzej żył z myślą o wolnej i niepodległej Polsce. Tym też marzeniom poświęcił się bez reszty.

Urodził się 6 czerwca 1930 roku w Warszawie gdzie uczęszczał do szkoły powszechnej. Podczas okupacji niemieckiej i sowieckiej ojciec Andrzeja przebywał w niemieckich obozach. Zginął tragicznie od bomby alianckiej 27 września 1944 roku w Oflagu VI B Dossel. Wychowany przez matkę uczył się na tajnych kompletach. W czerwcu 1944 roku wstąpił do tajnej organizacji Harcerstwo Polskie (kryptonim „Hufce Polskie”), skupiającej instruktorów, instruktorki i młodzież o nastawieniu narodowym. Podczas Powstania Warszawskiego 1944 roku jako łącznik harcerek Poczty Polowej wspierał w walce żołnierzy Armii Krajowej na terenie Śródmieścia Południe (Rejon IV). Ten okres służby Ojczyźnie przyniósł mu Krzyż Armii Krajowej i Medal Wojska Polskiego. Po kapitulacji Powstania znalazł się wraz z matką w obozie przejściowym w Pruszkowie skąd udał się do Zakopanego. Tam ukończył gimnazjum i liceum oraz wstąpił do związku Harcerstwa Polskiego. W 1948 roku otrzymał świadectwo maturalne i powrócił do ukochanej Warszawy. Rozpoczął studia na wydziale polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Były to lata ciężkich doświadczeń dla całego narodu, który znalazł się pod narzuconą mu władzą komunistów i sowieckiej dominacją. Andrzej nie pozostał bierny. Tym razem postanowił walczyć o wolną Polskę już

nie z bronią w rękę ale słowem, piórem i zmysłem organizacyjnym. Walkę z obcą przemocą podjął w ruchu oporu wspierającym antykomunistyczne podziemie. 11 października 1950 roku na trzecim roku studiów został aresztowany przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa. Wojskowy Sąd Rejonowy skazał Go na 7 lat więzienia i 3 lata pozbawienia praw politycznych. Przebywał w najcięższych więzieniach PRL w Strzelcach Opolskich i Rawiczu. Był bez wątpienia jednym z najmłodszych więźniów bezpieki i władzy ludowej. W więzieniu poznał wielu zasłużonych działaczy politycznych i żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego, Delegatury na Kraj i Armii Krajowej. Na mocy amnestii z 1952 roku wyszedł na wolność 30 kwietnia 1955 roku. Nie mógł jednak już podjąć brutalnie przerwanych studiów. Początkowo pracował w spółdzielczości pomagając samotnej matce. Wtedy też zadebiutował jako publicysta historyczny na łamach pisma „Dziś i jutro”. Od 1958 roku pracował w tygodniku „Za i Przeciw” a od 1974 roku kierował działem historycznym tygodnika „Stolica”. W latach 1975–1977 był kierownikiem działu historii najnowszej we Wrocławskim Tygodniku Katolików (WTK) oraz w „Kierunkach”, po czym powrócił do „Stolicy”.

Z chwilą powstania NSZZ „Solidarność” stał się aktywnym działaczem związku i rzecznikiem jego idei. Tuż przed tragicznym dniem 13 grudnia 1981 roku postanowił przejść do nowopowstałego tygodnika „Solidarność Mazowska”. Niestety pracy tej już nie podjął. Nastąpiły dni stanu wojennego, wojny władzy komunistycznej z narodem. Musiał więc się ukrywać ale nie zaprzestał działalności organizacyjnej, nawiązał zerwane kontakty i pisał do prasy podziemnej.

Publikacje Andrzeja Szomańskiego dotyczyły przede wszystkim powstań narodowych XIX wieku, wojska II Rzeczypospolitej, walk o niepodległość, Legionów Polskich, polskiej wojny obronnej 1939 roku, Podziemnego Państwa Polskiego i Armii Krajowej oraz Powstania Warszawskiego. W artykułach swoich przypominał często mało znane wydarzenia z dziejów Polski XIX i XX wieku. Ukazywał polakożercą działalność zaborców, upamiętniał zasłużonych dla kraju polityków i żołnierzy. Był autorem dwóch książek; „Wichrom naprzeciw” i „Walecznych ty-

siąc” zawiązanych z powstaniem narodowymi 1830–31 i 1863–64. Nie unikał nigdy tematów trudnych cenzuralnie, nie zważał na koniunkturę i trwożliwą postawę redaktorów naczelnych. Wiedział dobrze, że z dziejów ojczystych młode pokolenie Polaków powinno czerpać przykłady postaw i wzorców do działania. I dlatego też w ostatniej swojej publikacji – słowie wstępnym do wydanej w 1987 roku przez Wydawnictwo Polskie KPN książki pułk Józefa Szostaka z KG AK – „Moja służba Niepodległej, Wspomnienia 1897–1939” napisał; „I historia, która rzadko kiedy przyznaje rację w sposób jednoznaczny, tym razem przyznała ją i widzimy to coraz ostrzej, w miarę, jak lat coraz więcej upływa – Komendantowi i jego podkomendnym, którym dodawał sił wędrowki kres...”.

Nie wszystkie publikacje Andrzeja mogły ukazywać się na łamach prasy reżymowej ukazującej się oficjalnie. Od 1977 roku współpracował więc z pismami niezależnymi ukazującymi się w podziemiu; „Opinia”, „Droga”, „Gazeta Polska”. Był współorganizatorem Wydawnictwa Polskiego Konfederacji Polski Niepodległej a w latach 1978–1980 jego kierownikiem. W latach 1982–1985 redagował „Przyszłość Polski”.

We wstępie do cytowanej już książki pułkownika Szostaka pisał; „Niewiele żyje wśród nas ludzi, którym było dane podjąć w pamiętnym roku 1914 lub następnych latach Wielkiej Wojny uzbrojoną walkę o rzecz najcenniejszą dla Polski – wolność i niepodległość Ojczyzny. Ludzi którzy doznali później satysfakcji i dumy z jej odzyskania i walczyli o utrzymanie suwerenności młodej II Rzeczypospolitej a następnie wiernie Jej służyli przez czas międzywojenny, by podjąć ponownie walkę o te same wartości w latach 1939–1945”.

Andrzej poszedł ich drogą. Stał w szeregu tych Polaków, którzy od 1945 roku niestrudzenie przeciwstawiają się obcej przemocy i bezprawiu z myślą o wolnej i niepodległej ojczyźnie. Pracę zawodową dziennikarza łączył więc z działalnością niepodległościową. W 1961 roku został uczestnikiem nurtu niepodległościowego (nn), w latach 1965–1976 jest członkiem a następnie szefem Kierownictwa Akcji Historycznej nurtu niepodległościowego, w latach 1974–1977 członkiem Konwentu a od 1977 uczestnikiem Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywate-

la. W 1979 roku należy do współzałożycieli Konfederacji Polski Niepodległej i zostaje członkiem Rady Politycznej. W latach 1982–1985 jest Szefem Obszaru Centralnego KPN. Od 1980 aktywnie uczestniczy w działalności NSZZ „Solidarność”, w 1981 roku współorganizuje i przewodniczy Komitetowi Katyńskiemu, inicjując wiele publikacji ukazujących zbrodnię sowiecką dokonaną na polskich oficerach. Wówczas to na cmentarzu wojskowym na Powązkach w Warszawie stanął pomnik ku czci ofiar tej zbrodni, zlikwidowany przez Służbę Bezpieczeństwa. Jest także członkiem Komitetu Budowy Pomnika Powstania Warszawskiego oraz Uczczenia Pamięci generała „Grota”-Roweckiego i Żołnierzy Armii Krajowej.

9 marca 1985 roku podczas Zjazdu KPN w Warszawie zostaje wraz z przewodniczącym Konfederacji, Leszkiem Moczulskim i innymi kolegami aresztowany przez funkcjonariuszy SB. Po raz drugi trafia do więzienia PRL. Ciężkie warunki zgotowane więźniom politycznym III pawilonu więzienia mokotowskiego odbiły się na zdrowiu Andrzeja. Choruje, dolega mu nadciśnienie. Przez cały czas śledztwa, pobytu na Rakowieckiej i przed sądem zachował godność i nieugiętość, oskarżając system, władze PRL, sąd i tych którzy trzymają Polskę w niewoli. Skazany na 3,5 roku więzienia, 18 sierpnia 1986 roku na mocy amnestii, wychodzi na wolność. Znow natychmiast przystępuje do działalności niepodległościowej. Kieruje Obszarem Centralnym KPN, organizuje słowo drukowane służące sprawie walki o niepodległość Polski. Pisze artykuły, redaguje książki historyczne, organizuje spotkania z młodzieżą.

Andrzej był głęboko związany z Kościołem. Można było Go spotkać na wszystkich kościelnych uroczystościach patriotycznych przy okazji ważnych historycznych rocznic; 3 maja, 12 maja, 1 sierpnia, 1 września, 11 listopada, podczas pielgrzymek na Jasną Górę. Niejednokrotnie po Mszy św. szedł w pierwszym szeregu tych którzy przed Grobem Nieznanego Żołnierza na placu Józefa Piłsudskiego w Warszawie chcieli oddać cześć uczestnikom walk o niepodległość i uczcić tam pamięć zasłużonych Polaków. Pałki milicji i ZOMO (Zmechanizowane Oddziały Milicji Obywatelskiej) zazwyczaj przerywały taki pochód. Brał także udział

w licznych manifestacjach, zebraniach, spotkaniach niepodległościowych, wygłaszał prelekcje i odczyty. Uczestniczył również w działalności Duszpasterstwa Środowisk Twórczych.

Andrzej był świadom, że historia współczesna stawia przed Polakami wielkie wymagania a wiara i znajomość historii nie zakłamaney pozwoli lepiej przetrwać najtrudniejsze wydarzenia. Przez całe niemal życia towarzyszył mu w życiu Krzyż – symbol jego przeżyć i trudu, symbol hańby i poniżenia, który stał się symbolem odwagi, męstwa i braterstwa. W znaku Krzyża ujmujemy dzisiaj to co najbardziej piękne i wartościowe w człowieku. Przez Krzyż idzie się do Zmartwychwstania. I dlatego krzyże naszej Ojczyzny, nasze krzyże osobiste, naszych rodzin, także i Andrzeja muszą doprowadzić do zwycięstwa – do wolnej i niepodległej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Taki jest przecież testament Andrzeja, sens Jego życia zakończony nagle i bardzo niespodziewanie 19 października 1987 roku w Warszawie.

W tej intencji modliliśmy się 5 listopada 1987 roku w kościele św. Karola Boromeusza w Warszawie przy Jego trumnie. Mszy św. przewodniczył ks. Stefan Niedzielak, kapelan AK. Kont celebriansami byli; ojciec paulin Eustachy Rakoczy, honorowy kapelan Armii Krajowej ks. Stanisław Gadomski. W kościele licznie zgromadzili się jego przyjaciele, koledzy, żołnierze wojska II Rzeczypospolitej i Armii Krajowej, działacze niepodległościowi i opozycji antykomunistycznej, członkowie Konfederacji Polski Niepodległej z całej Polski – której tak wiernie służył, członkowie NSZZ „Solidarność”, dziennikarze, publicyści, przedstawiciele świata kultury i nauki, mieszkańcy Warszawy.

Przy trumnie stały poczty sztandarowe NSZZ „Solidarność” Huty Warszawa im. Ks. Jerzego Popiełuszki, Służby Porządkowej przy kościele Stanisława Kostki na Żoliborzu. Wartę honorową pełnili przedstawiciele KPN, przyjaciele i koledzy. Podczas Mszy św. homilię wygłosił ks. Niedzielak, który mówił o Andrzeju jako – człowieku dobrze służącemu Ojczyźnie, obrońcy godności ludzkiej, wielkiemu patriocie. Modlitwom księży i wiernych towarzyszyły słowa pieśni religijnych i wojskowych w wykonaniu Jerzego Michotka.

Na cmentarzu wojskowym na Powązkach kondukt pogrzebowy prowadzili; ks. Wiesław Niewęłowski, krajowy Duszpasterz Środowisk Twórczych o Eustachy Rakoczy, ks. Wacław Karłowicz, kapelan AK, ks. Stanisław Gadomski.

Za trumną niesioną aleją główną cmentarza przez najbliższych przyjaciół i kolegów Andrzeja przy najbliższej rodzinie – żonie i dwóch synach – szli wszyscy ci którym był tak bardzo bliski, którzy Go tak bardzo cenili. Nad grobem pożegnali Andrzeja; przewodniczący KPN Leszek Moczulski, który przedstawił Jego działalność niepodległościową jako nieugiętego rzecznika walki o niepodległą Polskę, wybitnego członka Konfederacji. Przemawiali także ks. Stanisław Gadomski, przedstawiciel NSZZ „Solidarność” Mazowska – Seweryn Jaworski, w imieniu żołnierzy AK Wojciech Ziemiński a w imieniu harcerzy z Szarych Szeregów i więźniów politycznych – Janusz Spory.

Na grobie złożono wieńce i wiązanki kwiatów, zapalono znicze – symbol naszej wiecznej pamięci o człowieku który dobrze zasłużył się Ojczyźnie.

Mrok zapadł już gdy na cmentarzu rozległy się słowa – „Jeszcze Polska nie zginęła...”.

Warszawa godnie pożegnała Andrzeja Szomańskiego.

Przedruk za pismem KPN „Droga” nr 28, luty – marzec 1989 roku.

„MICHAŁ, KTÓRY POGONIŁ ALBINA SIWAKA”

Pracowałem w Zakładzie Eksploatacji Dźwignic Budownictwa Warszawy, które było częścią Przedsiębiorstwa Gospodarki Maszynami. Pozycja pracowników tego zakładu w przedsiębiorstwie była szczególna. Większość załogi stanowili operatorzy żurawi wieżowych i samojezdnych. Były to stanowiska wyjątkowe i dawały dużą, jak na tamte czasy, swobodę (czasami nie widziałem własnego szefa przez miesiąc). Przedsiębiorstwo dawało i obsługiwało wszystkie maszyny, które pracowały na budowach warszawskich osiedli. Wykonywaliśmy usługę „na wynajęcie”, wedle zasady – „jeden dźwig, jeden człowiek”. Mieliśmy poczucie ogromnej niezależności, bo to operator na budowie, a nie brygadzista czy kierownik, dyktował tempo. Jak coś nie grało, to haki w górę i koniec pracy! A przepisy BHP w PRL-u były tak skonstruowane, że gdyby operator chciał je przestrzegać, to nie postawiłby ani jednej ściany bloku. O tym wiedzieli dyrektor, kierownik i pracownicy danej budowy. Wszystko opierało się więc na umowie międzyludzkiej. Operator przychodził do pracy pół godziny później niż inni (bo montażyści budowlani musieli najpierw zrobić zaprawę i wszystko przygotować) i kończył pracę 40 minut wcześniej (bo inni pracownicy musieli jeszcze znieść narzędzia, pomyć i posprzątać po sobie). Taki dźwig nigdy nie stał cały rok na jednej budowie – przeważnie zaliczał ich trzy (taki 10-piętrowy wieżowiec stawiało się w 4 miesiące). Ten dźwig potem trzeba było położyć, zdemontować, przewieźć na następne miejsce i postawić. Operator w tym czasie nie pracował. Między bezpośrednim kierownictwem zakładu a operatorami panowały specyficzne relacje, bo była wzajemna

zależność. Jak większość rzeczy w PRL-u nic tak naprawdę nie działało jak trzeba, była natomiast wieczna kompletna improwizacja.

Raz miałem taką przygodę na budowie przy ulicy Ostrobramskiej. To nie był mój żuraw, tylko kolegi, który zachorował. Wysłali mnie na tydzień czasu na zastępstwo. Było chyba 15 minut po 6-ej a tu idzie jakiś dziadek i drze się na mnie.

– Panie, dlaczego tak późno?

– Niech mi pan nie przeszkadza, bo będę włąził do kabiny pół godziny!

A kabina była położona 42 metry nad torowiskiem i wchodziło się do niej po prawie pionowych drabinkach. Wzajemnie wymieniliśmy sobie „uprzejmości”. Spytałem go:

– A gdzie jest kask, kamizelka? W dodatku włąził pan na torowisko a to zakazane!

Po dwóch godzinach przyjechał kierownik naszego zakładu i wrzeszczy do mnie.

– Schodź! Coś ty narobił?

– Co narobiłem? Jakiś dziadek mi tu wchodzi i miesza to go pogoniłem.

– Ten dziadek, to Albin Siwak z warszawskiej egzekutywy PZPR!

– Co mi tam egzekutywa? Przylazł, w torowisko włąził i się wydzierał, to co miałem robić?

Już nie wsiadałem więcej na tamten dźwig, bo szef przyjechał z innym operatorem na podmianę, żeby więcej nie było żadnego szumu. Doszło do małego skandalu, ale nie było z tego powodu żadnych konsekwencji. Chłopaki tylko potem opowiadali, jak to Michał Siwaka pogonił.

KARNAWAŁ SOLIDARNOŚCI

W życiu mam jedną zasadę wyniesioną jeszcze z domu – należy tak postępować, aby – jak to dziś mówi młodzież – „nie dać tyłów”, tzn. żeby nie musieć się za swoją robotę wstydzić. Trafiłem do „Solidarności”, chyba jak większość ludzi z mojego pokolenia. Zostałem wybrany do Komisji Zakładowej. 900-osobowa załoga – bo tyle osób z ok. 1200

pracowników należało do „Solidarności” – wybrała mnie jako swego przedstawiciela. To było dla mnie, młodego człowieka, duże wyróżnienie. Z jednej strony był to ogromny zaszczyt a z drugiej – ciężar odpowiedzialności. Mieszkiałem wówczas w hotelu robotniczym w Warszawie na Woli, na ul. Ciołka, nie obciążony na co dzień obowiązkami rodzinnymi i miałem sporo czasu, który mogłem poświęcić na pracę społeczną.

Pochłonęła mnie wówczas robota dla Związku, a szerzej mówiąc dla ruchu „Solidarność”. Trochę rozrabialiśmy, walcząc z dyrekcją przedsiębiorstwa i ze Zrzeszeniem Budownictwa Warszawy o różne rzeczy należne ludziom. W ten sposób szybko zdobyliśmy też wiedzę o systemie, w jakim żyliśmy.

12 grudnia 1981 roku akurat w naszym zakładzie decyzją „Solidarności” zarządono referendum załogi celem oderwania naszego zakładu od reszty przedsiębiorstwa. Referendum żeśmy wygrali a poparcie dla naszej koncepcji było miażdżące (jak 9:1). Skończyło się dość późno, wróciłem do hotelu. A rano 13 grudnia z kołchoźnika gdzieś ok. 9-tej słyszę sławetne przemówienie Jaruzelskiego, że wojna (kołchoźniki to były głośniki radiowe w każdym pokoju, obsługiwane z radiowęzła – przyszło to z władzą radziecką i było narzędziem propagandy w zakładach pracy i innych miejscach użytku publicznego; instalowano je też w takich miejscach jak hotele robotnicze czy więzienia – w więzieniu nazywano je „betoniarą”).

No więc ja tu wstaję z poczuciem, że wczoraj wygraliśmy referendum, a tu nagle jakiś generał nam wojnę robi! Ale trudno – wojna to wojna...

STAN WOJENNY

W 1981 roku poznałem Andrzeja Chyłka. Od tamtej pory przyjaźnimy się. Andrzej mieszkał wtedy przy ul. Rewolucji Październikowej (obecnie Prymasa Tysiąclecia).

13 grudnia rano autobusów nie było. Poczekałem chwilę – bo było dość mroźno – i na skróty pieszo przeszedłem do domu Andrzeja. Obudziłem go, bo jeszcze spał. Mówię – „Wstawaj, wojna!”. – „Jaka wojna?” – pyta jego mama. Nikt jeszcze niczego nie wiedział. Telewizor nie był

włączony. Zebraliśmy się i pojechaliśmy do siedziby Związku na ul. Bakalarską. Wywlekliśmy wszystko, co było można zabezpieczyć (pieczątki, teczki personalne, dokumenty). Po drodze rozpuściliśmy wici i jeszcze tego samego dnia, w niedzielę (13 grudnia), wieczorem spotkaliśmy się na ul. Siennej. Tam mieszkał przewodniczący Komisji Zakładowej „Solidarności” Zbyszek Ślesiński.

Pościgaliśmy przewodniczących z innych zakładów (bo w PGM-BW były cztery zakłady: trzy zakłady produkcji oraz dyrekcja). Nie pamiętam na tym spotkaniu osoby, dla której nie byłoby oczywiste, że podejmujemy walkę. Nikt z zebranych nie miał cienia wątpliwości, że tak trzeba. Wówczas bardzo szybko w oparciu o RKK (Regionalną Komisję Koordynacyjną koordynującą pracę Związku w zakładach budowlanych i transportowych) podjęto pracę organizacyjną i porządkującą działalność w warunkach stanu wojennego. Na bazie członków „Solidarności” z tych zakładów powstała grupa, która weszła w skład MRKS (Międzyzakładowej Robotniczej Komisji „Solidarności”). Łącznikiem z zarządem MRKS-u był Adam Borowski. No i w bardzo krótkim czasie, po Świętach Bożego Narodzenia, w naszym zakładzie pojawiły się pierwsze gazetki podziemne, zaczął się kolportaż i zbiórka pieniędzy dla represjonowanych.

Była też próba oporu w poniedziałek, 14-tego grudnia. Jak przyszedliśmy do pracy, to zebraliśmy załogę na hali produkcyjnej a w bramie postawiliśmy dwa samochody kamaz. Przesiedzieliśmy tak cały dzień, ale nikt się nami nie zainteresował, nikt nie chciał nas ani rozbijać, ani wsadzać. Przyjechał tylko dyrektor techniczny, który bodajże był mianowany komisarzem przedsiębiorstwa. Sam nie bardzo wiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Przyszedł pogadał z ludźmi i poszedł. A wieczorem ludzie powiedzieli – „Nie będziemy na tej hali siedzieć! Rozchodzimy się!”.

Po wybuchu stanu wojennego, zdjęto mnie z dźwigu na bazę i przeniesiono na takich samych warunkach finansowych na konserwatora. Miało to tę zaletę, że konserwator – w przeciwieństwie do operatora dźwigu, miał większe możliwości działania. Na bazę przyjeżdżali ludzie

z terenu (na przykład po wypłatę lub aby załatwić sprawy z kierownictwem). Kto tutaj pracował mógł to wszystko powiązać. Andrzej Chyłek często bywał na bazie, bo pracował na żurawiach samojezdnych. Organizacyjnie szybko zawiązaliśmy zupełnie sprawnie działającą siatkę kolportażu i pomocy ludziom prześladowanym. Siatka działała do końca stanu wojennego. Nie było wpadek.

I to jest jeden z dowodów na to, że brać budowlana, to byli przyzwyczajeni ludzie.

ARESztOWANIE I PROCES

5 lutego 1982 roku zostałem aresztowany. Cała sprawa to był niefortunny przypadek.

Miałem pomocnika, młodego chłopaka zaraz po szkole zawodowej. Nie ukrywałem przed nim tego, co robię (nie ukrywałem zresztą przed nikim – nosiłem gazetki i ulotki nawet sekretarzowi podstawowej organizacji partyjnej PZPR w naszym zakładzie; brał bez szemrania i zapewne czytał; a później, jak mnie wsadzili, to składkę na internowanych płacił po cichu, co miesiąc, do skarbnika). No więc ten chłopaczyna, który ze mną pracował, wziął 6 czy 7 ulotek (to był chyba trzeci numer „Przetrawianie”, które wydawał MRKS), żeby zabrać do domu. Mieszkał w jakiejś wsi pod Grójcem. Wracał z pracy autobusem i paru kolegom – tym, których lepiej znał – rozdał te ulotki w autobusie. Na nieszczęście jeden z jego kolegów był pijany (akurat wziął wypłatę), przyjechał do domu i zaczął bić żonę. Ona zadzwoniła po milicję. Milicja go zabrała na dołek i dopiero na dołku z kieszeni wyciągnęli mu tę gazetkę. Zrobiła się poruta. Jak go wzięli, to go pewnie poszturchali trochę (nie widziałem tego człowieka na oczy, ale czytałem jego zeznania). Ten ich zapewnił, że nie miał nic wspólnego z „Solidarnością” (sprawdzili – rzeczywiście nie miał) i powiedział, że dostał ulotki od tego młodzieńca – Sławka. No to aresztowali Sławka.

– Od kogo masz?

– Od Janiszewskiego!

W poniedziałek rano przyjechali po mnie na zakład. Kierownik mnie

weszał. Przyszedłem. Zobaczyłem dwóch panów, którzy oświadczyli, że mają nakaz mojego aresztowania. Jak nakaz, to co ja mogę?

– Pozwolicie się przebrać? – spytałem, bo byłem w kombinezonie roboczym. Jeden poszedł ze mną do szatni, ale nic nie mówił. Po drodze powiedziałem wszystkim na bazie, że mnie aresztowali i idę się przebrać.

Potem powiedzieli:

– Nie będziemy cię skuwać.

A ja na to powiedziałem, że trzeba mnie skuć.

– Niech widzą wszyscy, że idzie kajdaniarz!

No to mnie skuli.

Powiedzieli mi, że przyszedł rozkaz z Radomia, żeby mnie aresztować (bo milicyjnie Grójec podlegał pod Radom i śledztwo prowadziła Komenda Wojewódzka w Radomiu; z kolei wojskowo Radom podlegał pod Kielce, tak, że w końcu – za działalność w Warszawie – sądzony byłem przez sąd wojskowy w Kielcach).

Miałem w klapie kurtki znaczek „Solidarność”. Jeden z nich powiedział mi, że jemu to nie przeszkadza, ale kazał schować „bo inni mogą się czepiać” (znaczek znaleźli dopiero, jak mnie przewieźli do aresztu w Kielcach i wtedy mnie kompletnie przewiskali).

Po zatrzymaniu przewieźli mnie na Mostów [siedziba SUSW w Warszawie była w Pałacu Mostowskich]. Tam przygotowali dokumenty. Zostałem tymczasowo aresztowany.

Wsadzili mnie do samochodu i przewieźli na tzw. zamek do Radomia (strasznie paskudne więzienie, zdaje się jeszcze z carskich czasów). Tam przesiedziałem tydzień. Maglowali mnie przez trzy dni, strasząc między innymi pistoletem. Facet, który sprowadzał mnie na dołek, kopnął mnie wojskowym podkutym buciorem tak, że do dzisiaj mam kontuzję kolana. Chodziło im o to, żebym zasypał chociaż jedną osobę, bo jak były trzy osoby w sprawie, to – według przepisów stanu wojennego – była to już była grupa zorganizowana i startowało się od 3 lat więzienia. Ale nic nie wskórali.

Później przenieśli mnie do Kielc (tzw. Kielce-Piaski). Tam było zupełnie inaczej – warunki były dobre. Siedziałem na czwartym piętrze, razem z kryminalnymi.

Najpierw trafiłem na tzw. „przejściówkę” (jak trafia się do więzienia, to nim administracja więzienna ulokuje nowego więźnia, trafia on do dużej celi – ta miała akurat 16 łóżek – gdzie czekało się kilka dni na przydział). Potrzeba sprawiła, że na tej przejściówce założyłem „biuro” pisania pism. Ktoś potrzebował odwołanie od jakiejś decyzji, komuś paczka zaginęła, ktoś chciał zmienić zeznania w swojej sprawie. Ci ludzie często nie wiedzieli co i jak mają zrobić. To jak usłyszeli, że można coś zrobić, to przychodzili do mnie pytali. Ja, rach-ciach, pisałem pismo a oni swoim charakterem go przepisywali. Wieści w więzieniu szybko się rozchodzą. I o mnie poszła fama, że jest taki jeden gość z „Solidarności”, który pomógł temu czy owemu.

Najwięcej zadowolenia i pożytku miałem kiedyś z pewnego Cygana. Nie umiał pisać ani czytać po polsku i wrobili go w coś. Milicja go po prostu wzięła i wmówiła mu przestępstwo, żeby poprawić statystyki. Napisałem mu odwołanie i po miesiącu go puścili. Nie wiem jak, ale ci Cyganie mieli takie kontakty w kryminale, że przekazali informacje o mnie do ludzi z interny (internowani siedzieli na III piętrze – piętro niżej) i stamtąd przez kalifaktorów (więźniowie którzy pomagają administracji w obsłudze innych więźniów) i fryzjera otrzymałem paczki i papierosy.

Trafiłszy raz, że na dwa tygodnie pod celę wrzucili nam człowieka, który zabił siekierą własnego ojca. Takie różne rzeczy opowiadał, że gardła nam poderżnie, pobije itp. Więc trzymaliśmy się we trzech (z takim alimenciarzem, drobnym złodziejem i z kierowcą autobusu, który potrafił pieszego). Całe noce dyżurowaliśmy, aby nikomu nic nie zrobił. On był najgroźniejszy.

To były pierwsze miesiące stanu wojennego. Niektórzy siedzieli bez wieści tydzień, dwa, bez możliwości kontaktowania się ze światem zewnętrznym i to nie tylko dlatego, że władza postępowała złośliwie, ale dlatego, że technicznie było to trudne do wykonania. Rodzina, nawet jak się już dowiedziała, to musiała dostać od milicji przepustkę na przejazd. A na wyjazd do Radomia – to drugie województwo – to już problem piętrowy! Telefony przecież nie działały, wszędzie rogatki, nawet

adwokat bez przepustki nie dojechał. Żeby doszły pełnomocnictwa od mojej żony do mecenasa, to trwało tydzień, bo ona mieszkała pod Makowem.

Rozprawa sądowa była bardzo krótka, bo ten Sławek więcej nie mógł powiedzieć niż to, co już powiedział. Ja nic nie mówiłem – zastrzegłem, że nie składam wyjaśnień. Sąd w składzie trzech oficerów wojskowych nie naciskał. Pamiętam tylko prokuratora Jesionka. To był bardzo młody człowiek, pewnie zaraz po studiach w wojskowy mundur go ubrali. Bardzo mu nieskładnie szło to oskarżanie. Sławkowi zasądziła rok a mnie dali półtora roku.

Potem było odwołanie. Chłopaki wymyślili, żeby w II instancji bronił mnie mecenas Siła-Nowicki. Wytknął im mnóstwo błędów w całej procedurze dochodzeniowej. Sędziowie w Warszawie nie bardzo wiedzieli co z tym zrobić, więc postanowili moje 1,5 roku zawiesić na 4 lata a tego młodego chłopaka prosto „w kamasze” zabrali, czyli powołali go wojska. Siedziałem do maja 1982 roku i wtedy mi areszt uchylono.

W taki sposób z działacza społecznego – bo tak można nazwać tamten okres mojego zaangażowania w działalność NSZZ „Solidarność” – PRL zrobiła ze mnie działacza politycznego. Powoli do mnie dotarło, że musi się zmienić forma naszego działania, że od działań związkowych trzeba będzie pewnie przejść do działań politycznych.

MPS „UNIA”

Po wyjściu natychmiast zostałem wyrzucony z roboty z art. 52 Kodeksu Pracy (napisali, że za działalność antypaństwową i antysocjalistyczną w zakładzie). Odwołałem się do sądu pracy, gdzie przedstawiłem, że nawet sąd wojskowy nie stawiał mi takich zarzutów (a jedynie za łamanie przepisów o stanie wojennym). I sąd pracy w październiku czy listopadzie 1982 roku przywrócił mnie do pracy. Osuch, dyrektor naczelny przedsiębiorstwa, był przyzwoitym facetem (nie był w partii – czemu go zrobili dyrektorem, do dziś nie wiem, szczególnie, że był z akowskiej rodziny). Przyszedłem do niego z tym postanowieniem o przewrót a on;

– Z wyrokami sądu ja nie dyskutuję, powiedział. Chcieli cię wyrzucić, to wyrzucili. A teraz wracaj na zakład!

Wróciłem, ale już z pewną legendą. Ludzie patrzyli, czy się zmieniłem. Trzeba było dać przykład, że nie przestraszyłem się i działam dalej.

Cały czas miałem kontakt ze swoją strukturą podziemną i na jesieni powołaliśmy MPS (Międzyzakładowe Porozumienie „Solidarności”) „Unia” – do której należeli pracownicy z różnych zakładów budowlanych, między innymi: Ryszard Dąbrowski, Józef Ciemniowski, Andrzej Chyłek, Zbyszek Adamczyk czy Krzysztof Mętrak. Wtedy zaczęła się działalność na poważnie. MPS „Unia” wydawała kwartalnik „Unia”, tygodnik „Wolna Trybuna” i cały szereg gazetek zakładowych „Solidarności”.

Ja zostałem szefem techniki. Z Andrzejem Chyłkiem, Andrzejem Wiśniewskim (19 lat temu wyjechał do Kanady), Zenkiem Barejko czy Krzysztofem Lancmanem tworzyliśmy zręby techniki poligraficznej i wydawniczej. Uczyliśmy się techniki poligraficznej od podstaw. Udało się i wkrótce to my uczyliśmy innych.

Jako MPS „Unia” zawarliśmy parę intratnych – z naszego punktu widzenia – porozumień poziomych. Na przykład Tygodnik Mazowsze dał nam maszyny poligraficzne i nie interesował się co my na nich drukujemy, tylko mieliśmy im zrobić co tydzień 6 000 sztuk tygodnika. Zwracali koszty produkcji (wydatki na papier, farby), przynosili matryce, płacili (i jeszcze „z górką”) za energię. Były to dla nas duże pieniądze, które pozwalały się rozwijać. Liczyła się też swoboda dysponowania maszynami poligraficznymi. To samo zresztą robiło wydawnictwo NOWA, dla którego robiliśmy usługowo wydruki a przez resztę czasu (nie obliczali przecież, ile ta maszyna pracowała) była ona w naszej dyspozycji i wykonywała inną robotę. Na takiej zasadzie udało się później zbudować zasadniczą część poligrafii KPN-u...

Ponieważ powielacz do mieszkania się nie nadawał, bo za głośno pracował, trzeba było szukać domków jednorodzinnych, piwnic czyli takich miejsc, gdzie się nie przenosi echo. Zarówno powielacze, jaki maszyny

offsetowe (później mieliśmy mały offset) pracowały dość głośno i jednostajnie a w blokach taki dźwięk się niesie. W dodatku farby były strasznie śmierdzące, bo zawierały etylenowe rozpuszczalniki, które szybko schną, ale śmierdzą tak, jakby ktoś sobie wylakierował podłogę.

Sprzęt dostosowywaliśmy do warunków jakie mieliśmy. Część elektroniki z maszyn w ogóle żeśmy wyrzucali. Były zbyt nowoczesne, a u nas farba nie taka, papier nie ten... Czujniki to wyłapywały i robota stawała. Drukarnie mieliśmy nie tylko w samej Warszawie, ale także w Otwocku, Józefowie, Aninie, Wiązownej czy w Markach. W Warszawie najdłużej funkcjonowały w dwóch miejscach koło cmentarza Bródnowskiego. Tam hałas nie przeszkadzał, bo były zakłady kamieniarskie, warczały maszyny i nie było nas słyszać. Był tam natomiast inny problem – jak wywieźć wydruki? Dlatego często korzystaliśmy z zaprzyjaźnionych takśówkarzy. Im też należy się hołd. Mało się o tym mówi, ale oni odwalali bardzo ważną i niebezpieczną robotę.

Blokowiska były za to doskonałe do kolportażu. Miałem takie dwa miejsca na ul. Gwieździstej i na ul. Rembiszyńskiej, które nigdy nie wpadły. Ale to tylko dlatego, że mieszkała w nich głównie brać robotnicza i było po kilka mieszkań powiązanych ze sobą w siatkę kolporterską. Wydruk wrzucało się do jednego a odbierany był za dzień z innego mieszkania, 4 klatki dalej. W tych mrówkowcach (po 50 klatek schodowych) na samej górze jest przejście. Esbecy się w tym nie połapali. Wchodziło się do klatki, wjeżdżało windą na samą górę, przechodziło kilka klatek dalej i chodu! A oni nadal stali pod tamtą klatką (nie byli w stanie wszystkich obstawić)!

Tak samo nigdy nie wpadł mechanizm przewożenia maszyn poligraficznych karetką pogotowia. Robiła to taka dziewczyna od Zenka Barejki – Janina Fijas (nazywaliśmy ją Jagna), która pracowała wówczas jako kierowca karetki pogotowia. Nikomu nie przyszło do głowy zatrzymać do kontroli pogotowie ratunkowe!

Wydaje mi się, że najważniejszym elementem, który zaważył na sukcesie, był fakt, że SB nie miała rozpoznania środowisk robotniczych. Później, po okresie jawnej działalności „Solidarności”, było już za późno.

Ludzie zdążyli się poznać, obwąchać, zakolegować a nawet zaprzyjaźnić. Wprowadzić agenta z zewnątrz w taką strukturę, jak nasza było strasznie ciężko a przerobić kogoś z tych twardych ludzi im się nie udało.

WIELKA WSYPA

Był październik 1985 roku, przed wyborami. Wszystko się idealnie rozwijało. Mieliśmy w samej Warszawie 12–15 punktów kolportażu. Był to duży kolportaż, który obsługiwał, poza Warszawą, wiele miast Polski w gazety, książki i inne wytwory struktur podziemnych. I wtedy nastąpiło uderzenie SB w całą strukturę. W ciągu 24 godzin zostało zatrzymanych 56 osób a w 77 miejscach przeprowadzono rewizje! Wynikało z tego, że rozpoznanie mieli jednak bardzo dobre.

Po moim wyjściu w 1986 roku i analizie zdarzeń okazało się, że pozyskali agenta. Prawdopodobnie werbunek nastąpił poprzez ówczesnego wiceszefa wydawnictwa „Rytm” który – jak się nie tak dawno się okazało – był oficerem SB [chodzi o Mariana Kotarskiego – prawdziwe nazwisko – Pękalski, majora SB].

Wcześniej w sierpniu 1985 r. było uderzenie punktowe. Wpadł Andrzej Wiśniewski z maszyną i dwa magazyny z papierem. Później żeśmy się połapali, że ta maszyna była z takiego dużego transportu 80 maszyn przetrucanych ze Szwecji, gdzie w każdej SB zamontowała nadajnik. Jak się ją włączało, to nadajnik zaczynał nadawać. Prawdopodobnie to jedna z tych maszyn sprowadziła na nas nieszczęście. SB musiała ją mieć wcześniej namierzoną, bo ona nigdzie nie pracowała tylko była próbowana w magazynie.

Po całej akcji z tych 56 osób zatrzymanych do więzienia trafiło trzy. Reszta się jakoś wywinęła. Było idealnie, bo nikt nie sypał.

Mnie zgarnęli na drukarni w Konstancinie. Pojechałem wydrukować gazetkę zakładową „Solidarności” KIS-u – tygodnik „Instalator” (przed wyborami komisja nagle zapragnęła wydać własny numer gazetki nawołujący do bojkotu). To była bardzo ciekawa sytuacja, bo willa, w której mieliśmy lokal drukarni, stała obok rezydencji ambasadora ZSRR (obecnie – ambasadora Rosji) w Polsce. Jak tam wchodzili, to wszyst-

kiego się spodziewali, tylko nie tego, że jest tam maszyna drukarska. Myśleli raczej, że szykujemy zamach na ambasadora.

Usłyszałem pukanie. Krzyknąłem – „Zaraz!” i spokojnie myłem ręce z farby, bo myślałem, że to gospodarz przyszedł pogadać. Otworzyłem drzwi, a tu dwóch facetów z bronią! Przystawili mi ją prosto pod żebra. Wszedł trzeci i powiedział pokazując mi ładunek plastiku założony na zamek drzwi:

– Zobacz Misiu, jeszcze chwila i byłoby po tobie.

Tam była ściana równoległa do drzwi, (jak to na poddaszu) tak, że za drzwiami było niewiele przestrzeni. Gdyby te drzwi wysadzili (a były one solidne, dębowe) to ja bym został po prostu rozplaszczony na tej ścianie.

Skuli mi ręce. Przykuli za nogę do stołu, na którym stał jeszcze ciepły powielacz. Ten trzeci (widać było, że on tu dowodzi) spytał:

- Misiu, będziesz mówił?
- Jak mnie pan tak dobrze zna, to pan wie, że jestem gadatliwy.
- Ale na pewne pytania nie będziesz chyba znał odpowiedzi...
- Nie wykluczam.

I wymienia mi po kolei:

– O Gdańskiej to ty pewno nic nie wiesz (chodziło o ulicę w Warszawie, gdzie w sierpniu na drukarni aresztowali Andrzeja Wiśniewskiego)?

– Nie.

– A o ulicy Królowej Marysienki pewnie nie słyszałeś (tam w garażu wpadł nam w sierpniu magazyn z papierem, farbami i jeszcze nieużywanym powielaczem – po aresztowaniu Andrzeja postanowiliśmy zrobić przerwę, by się rozeznac w sytuacji i wyjechaliśmy na dwa tygodnie na Mazury; jak nam później opowiadano, na tym magazynie założyli kocioł i siedzieli tam ponad tydzień, ale nikt z naszych się nie zjawił, bo nas nie było)?

– Nie wiedziałem, że jest taka ulica.

– Tak myślałem, że nie będziesz o tym wiedział.

I tak po kolei wymieniał mi wszystkie punkty, gdzie były ostatnie wpadki. Pozwoliło mi to wstępnie zorientować się, co do skali strat i rozmiarach uderzenia.

Rozkazał innym (było ich w sumie ośmiu w trzech samochodach), by pozbiali wszystko a mnie skutego dwóch zabrało do samochodu.

Z Konstancina nie przewieźli mnie do żadnego milicyjnego czy esbeckiego budynku, tylko na ul. Okrzei w Warszawie. Tam był (stoi do dziś) nieoznakowany żadną tablicą informacyjną 10-piętrowy budynek podległy MSW.

Na górze (nie pamiętam piętra) odbyła się próba krótkiego przesłuchania a raczej rozmowy (bo nikt nie udawał nawet, że protokółuje). Prowadził ją facet dowodzący w Konstancinie, który przedstawił się jako major i który już nigdy w sprawie się nie pojawił (pomimo żądań moich i mecenasa Piotra Andrzejewskiego).

Na zakończenie spytał:

– No i co Misiak teraz będzie?

– Jak to, co będzie? Będą trzy lata – odpowiadam.

– Eee, najwyżej półtora, jak jakieś amnestii nie wykręcą.

I tak było! Z mecenasem Andrzejewskim przeciagaliśmy, jak tylko mogliśmy, śledztwo a potem proces sądowy – chodziło o to, że moja żona była w ciąży (urodziła 18 grudnia 1985 roku) i ciężko by jej było jeździć do Hrubieszowa czy Braniewa (bo tam po wyrokach przewozili naszych). W końcu sędzia Kołtuniak (wyjątkowa kanalia) ogłosił wyrok – półtora roku do odsiadki.

Jak później udało nam się ustalić, ci co mnie zwijali, to był oddział grupy z kontrwywiadu wojskowego do zadań specjalnych, którą Kiszczak przrzucił do MSW. Wcześniej rozpracowała ona i zwinęła Piniora, następnie Górnego na Śląsku. Później przeniosła się na Warszawę i zaczęło się od nas a w grudniu zwinęli Bujaka. Następnie przrzucili się do Gdańska i aresztowali Borusewicza. Oni zachowywali się przyzwoicie. Wyraźnie im się już nie chciało. Świadczy o tym chociażby fakt, że u mnie w domu nie przeszukali nawet piwnicy, gdzie były matryce i farba drukarska. Wyczuwało się u nich niechęć do tego, co robili. Nie było bicia, zastraszania. „Chcesz to mów! Jak nie to jeszcze lepiej – będzie mniej roboty!”

Jak mnie wyprowadzali, żeby przewieźć do aresztu, to jeden z prowadzących powiedział:

– Przez ciebie chuju przez trzy miesiące nie dostałem premii!

Odwrociłem się zdziwiony.

– Człowieku, przecież ja ci premii nie płacę!

Wtedy się zdenerwował i parę razy mnie walnął. Nie to, żeby mnie poturbował, ale parę razy po łbie dostałem. Ten miał osobistą pretensję i trudno mu się dziwić.

Podziemnie polityczne lat osiemdziesiątych podzieliłbym z grubsza na trzy warstwy. Pierwsza to liderzy tacy jak Moczulski, Kuroń i inni. Oni z zasady jak najgłośniej i jak najszerzej głosili swoje poglądy, programy i propozycje rozwiązania spraw Polski, przebijając się z tym do opinii publicznej. Wsadzali ich, wypuszczali a oni głosili swoje, bo takie brzemień na siebie wzięli i chwala im za to. Druga warstwa – to działacze zakładowi i dziennikarze. Ci z kolei też nie mogli milczeć kompletnie, bo jakby się komunikowali z ludźmi? Przeważnie ludzie wiedzieli, kto na danym zakładzie kieruje podziemną „Solidarnością”. I trzecia warstwa, nazwałbym ją – technika, to drukarze, kolporterzy czy ludzie z grup specjalnych (malujący po murach, wieszający transparenty czy plakaty). Tu obowiązała zasada, jak u kryminalistów. „Złapali cię za rękę? Mów, że to nie twoja ręka! Koniec. Amen. Nie mówisz nic!”

Jak nas wsadzali, to jedna i druga strona wiedziała za co. Nie było to żadne zaskoczenie i nie było pytania – „Co oni ode mnie chcą?”. Było tylko pytanie – „Co oni wiedzą?”. Odpowiedź z grubsza można było wydedukować w oparciu o próby przesłuchań. Żeby się czegoś dowiedzieć, to przesłuchujący musiał zadawać jakieś pytania i z nich można było wywnioskować, co wiedzą i kto wpadł. Nie trzeba było odpowiadać na pytania, wystarczyło je przemyśleć.

Przewieźli mnie na noc do aresztu na ulicy Cyryła i Metodego, chyba po to, abym zaznał twardego łóża. Cyryl i Metody to dwóch świętych; jednakże w Warszawie kojarzyli się z małą uliczką (zaraz za cerkwią przy Placu Wileńskim), gdzie była komenda dzielnicowa Praga – Północ (nie daleko bazaru Różyckiego). Bywalcy cenili tamtejszy areszt milicyjny najgorzej ze wszystkich. Stąd dowcip: „Cyryl jak Cyryl, ale te metody...”. Z tym, że to już dla mnie żadna nowość nie była. Bardzo się zdziwił

funkcjonariusz przyjmujący mnie na dołek, jak zobaczył, że w torbie mam dużą paczkę „Ekstra Mocnych”, szczoteczkę do zębów, pastę, skarpetki i majtki na zmianę. Takie wyposażenie wówczas nosiło wiele osób z techniki. Wiadomo było, że te rzeczy są w areszcie nieodzowne, bo najbliższy kontakt ze światem zewnętrznym będzie się miało najwcześniej za 2 tygodnie i te 2 tygodnie musiało się w więzieniu przetrwać. To też na tych esbeków działało psychologicznie, bo widzieli, że mają do czynienia z człowiekiem zdeterminowanym.

Po nocy na dołku, przewieźli mnie na Mostów, wprost na przesłuchanie do prokuratora. I tu znowu przygoda! Zacięły się kajdanki i nie mogli mi ich zdjąć. Jeden skądś przyniósł piłkę do cięcia metalu i chciał mi przecinać kajdanki, które miałem na rękach.

– Co chcecie mi ręce odciąć? Nie ma zgody!

Konsternacja. Jeden wziął Trybunę Ludu, zwinął ją i chciał podłożyć między kajdanki a rękę.

– Ładnie to tak organ traktować? Co pan na to, panie prokuratorze?

Prokurator Artur Kasyk (pomocnik słynnej Bardonowej) zrobił się purpurowy na twarzy. Stali we czterech i nie wiedzieli, co robić. W tym momencie wszedł starszy milicjant w mundurze, pytając w czym problem. Jak mu powiedzieli, to odpowiedział:

– Poczekajcie! Zejdę na dołek.

Wrócił po kilku chwilach z innym człowiekiem (na oko było widać, że to garownik, bo miał ręce całe w tatuażach). Ten wziął spinacz z biurka i powiedział:

– Odwrócić się, ale wszyscy!

Manipulował z minutę i zdjął mi te kajdanki. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Stary glina, który to załatwił, wychodząc rzucił:

– Jesteście mi winni paczkę papierosów dla niego!

Prokurator zachowywał się nadzwyczaj poprawnie. Spisał protokół przesłuchania składający się z danych personalnych i stwierdzeń „odmawiam odpowiedzi na to pytanie” i wypisał postanowienie o tymczasowym aresztowaniu. Następnie zawieźli mnie na Rakowiecką [więzienie MSW], na pawilon trzeci.

W ARESZCIE NA RAKOWIECKIEJ

Trafiłem na ten swoisty uniwersytet polityczny. Praktycznie byłem tam sam w naszej sprawie. Wprawdzie zatrzymali jeszcze taksówkarza Janka (który wpadł przez głupotę, bo woził w bagażniku 2 petardy), ale on przesiedział 3 miesiące na Rakowieckiej i go puścili. Wsadzili też szefa „Solidarności” w Bibliotece Narodowej, Maćka Bulińskiego, który był z nami związany, ale jego przytrzymali z innego względu (był oficerem milicji, którego wyrzucili po wydarzeniach 1976 roku, gdy odmówił wykonania rozkazu). Obaj (Janek i Maciek) nic nie zeznawali, więc ich spraw nie łączyli ze mną. Ponieważ byłem sam, to administracji więzienia pasowałem do każdego zestawu w celi. Na Rakowieckiej non stop byłem w ruchu, ale dzięki temu poznałem mnóstwo osób, których wcześniej nie znałem albo znałem je tylko ze słyszenia. Za poglądy nas nie mogli karać, więc toczyliśmy bardzo ciekawe i pouczające rozmowy i dyskusje. Przebywałem pod celą z takimi ludźmi jak: Marian Terlecki (późniejszy Szef Radiokomitetu), z Sewerynem Jaworskim, z Jackiem Szymanderskim, z Adamem Słomką i wieloma innymi. Trafił się taki moment, że w jednej celi siedzieliśmy z Darkiem Wójcikiem i byliśmy tylko we dwóch. Był to dla mnie decydujący moment, kiedy postanowiłem, że nie ma czego dalej szukać w rozwiązaniach politycznych, skoro jest Konfederacja Polski Niepodległej. Darek jest doskonałym rozmówcą. W krótkim czasie potrafił wyłożyć cele, program partii i odpowiedzieć mi na moje pytania i wątpliwości. Jemu głównie zawdzięczam, że swój dalszy los związałem KPN-nem.

To głupio zabrzmiało, ale jak już się znalazłem w więzieniu, to chciałem wypocząć. Takie dziwne odczucie – zrobiłem, co mogłem i teraz mogę już odpocząć, poszerzyć wiedzę i nie zmarnować tego czasu. Sporo książek czytałem.

SB miała z nami jeden główny problem – nie mogli nas w żaden sposób zmusić do tzw. poczucia winy. Bandyta kogoś pobił, złodziej okradł i trochę żałował, że to zrobił albo żałował, że wpadł – a u nas nie było żadnego poczucia winy. Wiedzieliśmy, że nie będą bić, bo taki fakt natychmiast przez adwokatów trafiłby do dziennikarzy zagranicznych.

Zaraz polskojęzyczne rozgłoszenie by o tym pyszczyły (jak mawiał Urban) i byłby skandal. A oni w tym czasie błagali Zachód o zniesienie sankcji i bali się wszelkich skandali. Królowało przekonanie – „Wsadzili – trudno. Kiedyś muszą wypuścić”.

Największym zmartwieniem była troska o nasze rodziny. To na nie spadał ciężar życia dnia codziennego i w dodatku godzinami czekały na widzenie bądź możliwość podania paczki. Nasze kobiety, żony, matki, córki w tej poczekalni na Rakowieckiej stworzyły swoisty salon polityczny. Tam przebywając knuły, radziły – jedna drugiej – jak postąpić, co zrobić, by to czy tamto osiągnąć. Królowała tam Majka Moczulska, która była dla innych kobiet skarbnicą wiedzy i chętnie się nią dzieliła. Poczekalnia w areszcie – to było miejsce niekontrolowane przez SB! Nie wpadali na to! A klawiszom nie starczyło wyobraźni, że coś takiego odbywa się pod ich nosem (tak na marginesie to warto by było zebrać relacje i niespotykane zjawisko opisać, póki żyją jeszcze uczestniczki).

Średnio raz na dwa miesiące przychodził na formalne przesłuchanie młody człowiek, porucznik o nazwisku Krótki. Szybko wypisywał jakiś protokół z końcowym wpisem, że odmawiam odpowiedzi i podpisania a następnie gadaliśmy o tym lub o tamtym (o budowie, o wędkowaniu). Widocznie musiał odbębnić godziny i szedł sobie. Kiedyś przyniósł jakąś gazetkę podziemną pokazał mi tylko i cytował fragmenty, jak to z nami jest źle. Na następne spotkanie ja przyszedłem z Trybuną Ludu (dostawaliśmy ją pod celę) cytując i tłumacząc mu, jak to nadchodzi ich koniec. On zawsze podkreślał, że nie jest po szkole ubeckiej, tylko skończył prawo na UW a w SB tylko się zatrudnił. Mówiłem mu:

– Widzi pan, a ja pracuję od 17-ego roku życia, jestem robotnikiem i musiałem łożyć na pana wykształcenie a pan przychodzi teraz i mnie gnębi. Za co?

Doprowadziłem go wówczas do furii, do tego stopnia, że zaczął krzyczeć;

– Ale pan pójdzie pod celę, będzie jadł chleb z margaryną a ja będę jadł na kolację kielbasę krakowską!

Powiedziałem mu, że poziom rozmowy sięgnął dna i niech każe mnie odprowadzić do celi. Więcej już się nie pojawił.

Potem po wyjściu jeszcze raz go spotkałem. W rocznicę śmierci ks. Jerzego była msza za Ojczyznę. Obstawili cały Żoliborz. Ja z żoną szedłem do kościoła św. Stanisława Kostki od dołu, od strony Wistostrady. Idziemy, a tu nagle ktoś mówi:

– Dzień dobry!

Patrzę, a tu obok patrolu milicji stoi Krótki.

– Co tam słyhać panie poruczniku?

– A nic specjalnego.

Kordon się rozstał, przeszliśmy i bez przeszkód dotarliśmy na mszę. Okazało się, że jako jedni z nielicznych z naszego grona.

Przesiedziałem 11 miesięcy. Wyszedłem w sierpniu 1986 roku, resztę konfederatów z Leszkiem na czele wypuścili we wrześniu tego roku. W międzyczasie w grudniu 1985 roku urodziła mi się córka Magdalena Anna. Pierwszy raz widziała ojca podczas rozprawy, na ławie oskarżonych.

GRUPA POLITYCZNA „NIEZAWISŁOŚĆ”

Po wyjściu na wolność szybko się zorientowałem, że dochodzi do tarć wewnątrz „Solidarności”. Była Grupa Robocza i była Komisja Krajowa z Wałęsą. Nie było wątpliwości, że dojdzie do rozstrzygnięć natury politycznej. Nasza grupa była w całości gotowa do działania. Dołączył do nas, chociaż nieformalnie, Seweryn Jaworski. Rozpatrywaliśmy dwa warianty dalszych działań.

Pierwszy – to powołanie ugrupowania o charakterze chadeckim z Sewerynem Jaworskim na czele. Seweryn bardzo ostro się temu sprzeciwił. Po jakimś czasie dowiedziałem się, że niektórzy późniejsi działacze ZChN byli już po rozmowach z Episkopatem i czekali na odpowiedni moment, by ogłosić powstanie partii chadeckiej. Seweryn bardziej chciał się zaangażować w tamtą grupę, ale nas do nich nie przeciągał. Druga możliwość – to powołanie własnej grupy.

I tak powstała Grupa Polityczna „Niezawisłość”. Wydawaliśmy pismo

„Niezawisłość” (którego wyszło 5 czy 6 numerów) i gazetki zakładowe „Solidarności”. Zintensyfikowaliśmy działania Związku w zakładach. Czuć już było ducha odwilży, więc robota nabiera rozmachu.

Grupa Polityczna „Niezawisłość” formalnie weszła w skład Konfederacji Polski Niepodległej pod koniec 1987 roku. Istniała ponad rok.

W KPN-IE

Nasza grupa wybrała mnie jako swego przedstawiciela do składu Rady Politycznej KPN. Była głupia sytuacja, bo ja byłem już rok wcześniej mianowany przez Leszka Moczulskiego szefem poligrafii KPN-u. Leszek postanowił, że będąc w Radzie występował incognito tzn. że byłem członkiem Rady Politycznej, ale nie bywałem na jej posiedzeniach, bo nie mogłem ujawnić swojej tożsamości.

Jako szef poligrafii KPN byłem koordynatorem i organizatorem wszystkich działań, które sprawiały, że wszelkie teksty od przekazania poprzez obróbkę i wydruk, trafiały do kolportażu. Zaraz po moim mianowaniu szybko rozpoczęliśmy proces budowy działu wydawniczego i reorganizacji kolportażu. Nieomal z marszu odbudowaliśmy poligrafię pod kątem potrzeb Konfederacji. Była to ciężka robota i bez takich ludzi jak Andrzej Chyłek (mój nieformalny zastępca), Zenek Barejko (druk powielaczowy, lokale składowe książek i broszur), Krzysztof Lancman (człowiek do wszystkiego typowy joker w organizacji) czy Jerzy Dobrowolski (technika przygotowawcza – matryce i sitodruk) i wielu innych, to by się to nie udało. Wtedy przez Jurka zdobyliśmy dojskie do profesjonalnego offsetu w Instytucie Gruzlicy w Warszawie na ul. Płockiej. Tam szefem drukarni zakładowej instytutu był Mieczysław Porowski – człowiek, który w usługach drukarskich oddał całemu warszawskiemu podziemiemu bezcenną pomoc. Od tego momentu mogła ukazywać się cyklicznie, jako tygodnik, „Gazeta Polska” (w formacie A3 i w bardzo przyzwoitej jakości) czy od 1988 roku krajowy reprint londyńskiego wydania „Rzeczypospolitej” (wszyscy zdają się zapominać, że KPN pierwszy po wojnie zaczął w kraju drukować to pismo). Mogliśmy drukować grube książki i wielonakładowe broszury.

W momentach natłoku zadań niektóre wydruki były wykonywane w drukarni wojewody warszawskiego. Mietek to załatwiał. I jeszcze – żeby było śmieszniej – urobek wywoził osobisty kierowca wicewojewody jego samochodem służbowym. Taki to nadszedł czas.

Lata 1986–1988 to lata ciężkiej roboty, ale też szybkiego i dynamicznego rozwoju konfederackiej infrastruktury wydawniczej. Szefem centralnego kolportażu KPN został Staszek Mazurkiewicz, który pełnił też równoległe funkcję szefa okręgu warszawskiego i prężnie działał w organizacji akademickiej KPN „Orzeł Biały”. Udało nam się wspólnie nawiązać współpracę kolportażową ze wszystkimi największymi sieciami dystrybucji podziemnej bibuły w kraju. Był to sukces nie do przecenienia, bo w ten sposób program KPN funkcjonował w obiegu najszerszym z możliwych. Nawiązaliśmy też kooperację poligraficzną z innymi wydawnictwami.

Pamiętam taką zabawną sytuację. Miałem nawiązać bezpośrednią współpracę z szefem technicznym wydawnictwa NOWA. Uruchomiono umawianie przez osoby trzecie, tajne miejsce, hasła. Przychodzę i kogo widzę? – Marek Kubin, z którym siedziałem na Rakowieckiej pod jedną celą ze dwa tygodnie (obecnie, jako ceniony lekarz hematolog pracuje w USA)! Uzgodnienia poszły błyskawicznie. Zresztą ten czas, to był też czas rozluźnienia środków bezpieczeństwa. Krzysztof Król, jako redaktor naczelny „Gazety Polskiej” i autor wielu tekstów, które ukazywały się pod szyldem KPN, przywoził je niejednokrotnie bezpośrednio do mnie do domu. Moja małżonka – Wiesława Magda (pseudonim Żaba) – była z zawodu plastykiem i pełniła funkcję redaktora technicznego prawie wszystkich wydawnictw, jakie wówczas centralnie wydawała Konfederacja. Stwarzało to niebezpieczeństwo, ale także usprawniało i przyspieszało działanie. To samo Staszek Mazurkiewicz – już nie przez tajne kanały, tylko często przyjeżdżał po bibułę do mnie do domu. A jak ja coś wiozłem, to po drodze przywoziłem do niego. U mnie też przeważnie odbywały się spotkania koordynacyjne z łódzką częścią Wydawnictwa Polskiego, którą kierował Marek Michalik.

Jeśli chodzi o działania polityczne Konfederacji, to przez ten okres

do 1989 roku znałem je tylko z przekazu (np. Krzysztofa Króla, Adama Słomki) bądź z tekstów które drukowaliśmy. Gdy był spór, co ma iść pierwsze do druku, to od Leszka przychodziła decyzja polityczna. Ja byłem tylko wykonawcą – na to się przecież pisałem.

Pamiętam dwie fale strajków w 1988 roku. Leszek [Moczulski] wtedy zdjął mi z maszyn dwie książki (w tym „Molocha”) i kazał całe moce przestawić na druk gazet i ulotek.

„Moloch” to książka, którą Leszek napisał w więzieniu. Jest jakby drugą, tym razem gospodarczą, częścią „Rewolucji bez rewolucji”. Przewodniczący opisuje w niej i analizuje system gospodarczy w realnym socjalizmie. Wydaliśmy ją dopiero w 2013 roku w Instytucie Historycznym NN im. Andrzeja Ostoja Owsianego. Polecam w niej mój wywiad z Leszkiem Moczulskim, w którym precyzyjnie wyjaśnił dlaczego podjął takie a nie inne decyzje po powrocie z wyjazdu zdrowotnego w 1987 roku do Anglii, USA i Kanady.

Dopiero od 1989 roku byłem jawnym członkiem Rady Politycznej KPN. Na swoim pierwszym posiedzeniu Rady byłem już w przydzielonym Konfederacji biurze w Pałacu Kultury (pierwszą oficjalnie przydzieloną przez władzę siedzibą KPN w Warszawie były dwa pokoje na XIII piętrze w Pałacu Kultury). Nie uczestniczyłem (i ludzie z techniki) w akcjach zajmowania budynków PZPR-owskich, ani w Kongresie KPN, ani w okupacji baz radzieckich – miałem zakaz od Leszka Moczulskiego. Musiałem trzymać w bezpieczeństwie technikę i poligrafię.

Leszek długo rozważał decyzję, kiedy technika ma wyjść z podziemia – mogło przecież jeszcze nastąpić kontruderzenie władz. Strata sprzętu i kadry technicznej to byłaby strata prawie nie do odrobienia. Ujawnienie nastąpiło dopiero po wyborach samorządowych [w maju 1990 roku], kiedy Konfederacja przeniosła swoją siedzibę do lokalu na Nowy Świat.

„TO BYŁ PIĘKNY CZAS!”

Nie było wtedy łatwo, ale to był piękny czas, intensywnie przeżywany. Poznałem szereg ciekawych ludzi o dużym kalibrze ducha i energii.

Łączyła nas wielka idea, w której spełnienie głęboko wierzyliśmy. Jednak dziś myślę, że nie tylko sama idea nas łączyła. Byliśmy młodzi i pełni energii, staraliśmy się też normalnie żyć. Były prywatki organizowane z różnych okazji, drinkowanie i zwykłe kontakty towarzyskie. Było szereg zdarzeń anegdotycznych bądź dramatycznych, które nie tylko hartowały ducha, ale i cementowały wzajemną więź. Kilka z nich przytoczę.

Było to na początku stycznia 1985 roku. Był do przerzucenia transport papieru gdzieś zza Otwocka. Jechaliśmy z Marianem Lemańskim, który miał takiego Mercedesa-busa (ze względu na obłe kształty nazywaliśmy go „cepelinkiem”). Marian wychował się i mieszkał w okolicach bazaru Różyckiego (taki chłopak z Pragi – jak w piosenkach Grzesiu). Wracaliśmy po ładunku, byliśmy już w Wawrze na takim odcinku, gdzie z obu stron jezdni, za chodnikami, ciągnie się wysoki betonowy płot. Z jednej strony była ogrodzona stacja pogotowia ratunkowego a po drugiej – ogrodzone tory kolejowe. I tam zatrzymał nas patrol drogówki. Poprosili Mariana do radiowozu, który stał po przeciwnej stronie jezdni. Po chwili wrócił po dokumenty samochodu. Spytał:

– Co robimy?

– Idź do nich a ja się postaram urwać. Jak zobaczysz, że mi się udało to zwalaj wszystko na mnie!

Wyszedłem spokojnie z samochodu i nie zaczepiany poszedłem na wiadukt, z którego mogłem obserwować akcję. Po parunastu minutach radiowóz ruszył a za nim Marian cepelinkiem, z milicjantem obok. Wróciłem do domu, ale miałem poważny problem, bo tego popołudnia odbywała się u mnie parapetówka a alkohol miał załatwić właśnie Marian (to, że może nas zasypać nie przyszło nam nawet do głowy). Jaka była nasza radość, gdy koło 17.00 zjawia się Maniuś ze stosownym ładunkiem. Opowiedział, co się wydarzyło.

Po sprawdzeniu papierów kazali mu otworzyć pakę. Zobaczył, że ja już znikłem. Otworzył. Oni spojrzeli i zapytali:

– Co to jest?

– Nie widzi władza – papier.

– Czyj to papier?

– Przecież nie mój. Zobacz pan jak ja wyglądam (ubrany był w drelichy i czapkę z bąblem na czubku). Na chuj mi papier. To tego faceta, co siedzi w szoferce.

Jeden z nich poszedł do szoferki. Wrócił i powiedział:

– Tam nie ma żadnego faceta!

– Ale przecież był! To ja go miałem pilnować? Przecież byłem cały czas z wami!

Nie wiedzieli, co z tym zrobić, więc zabrali go z całym majdanem do komendy na ul. Grenadierów, do oficera dyżurnego. Tam odbyło się formalne przesłuchanie.

– Co to za facet był z tobą?

Marian, zaciągając gwarą praską, opowiedział im następującą historię:

– Panie władzo nie będę ukrywał, było tak. Stoję na Kawęczyńskiej i grzebię w cepelinku. Stary już jest, to trzeba non stop coś poprawiać. Podchodzi facet i pyta: „Zrobisz pan kurs za Otwock i z powrotem?”. Patrząc, wygląda normalnie a w domu się nie przelewa, to mówię: „Czemu nie, ale dziś sobota, wie pan?”. Wtedy on wyciągnął pięć patoli. To co? Pan oficer by nie pojechał? Zajechaliśmy na jakąś wiochę za Otwock. Patrząc a oni ładują ryzy papieru. Ja do niego: „Panie na ten towar, to żeśmy się nie umawiali”. Ale on wyciągnął następnego piątaka, wręczył mi i mówi: „Nie martw się pan, wszystko legal. Papiery na przewóz mam w torbie”. Legal to legal – nie sprawdzałem. I niech pan oficer popatrz jaki oszust! A tak mu dobrze z oczu patrzyło!

Nie wiemy, czy mu uwierzyli, czy im się nie chciało działać, ale po zapewnieniach Mariana, że na pewno da im znać, jak mnie zobaczy, wypuścili go. Nawet mu dali wizytówkę z telefonami do tego oficera. Czasami, jak widać, wystarczyło zachować zimną krew.

Podobną przygodę przeżyliśmy z Zenkiem Barejko. Wieźliśmy maluchem wydruk książki z drukarni w Wiązownej na punkt składowy. Tylne siedzenia samochodu były załadowane po sufit. Przejechaliśmy tory kolejowe w Aninie i wpakowaliśmy się prosto na patrol milicji. Zatrzymali nas. Jeden z nich podszedł, Zenek uchylił szybę.

– Dokumenty do kontroli. O, widzę, że pasy nie zapięte! Będzie mandat!

Niezapinanie pasów to był patent – przeważnie brali stowę w łapę i puszczali. Gliniarz zajrzał dalej i spytał:

– A z tyłu co wieziecie?

– E tam takie graty, odpowiedział Zenek.

– To może obejrzymy te graty?

Nam wszystkie myśli przeleciały przez głowę. Co robić?

I w tym momencie ten drugi milicjant, który stał przy radiowozie, krzyknął:

– Puść ich! Zobacz! Zobacz!

Patrzyliśmy wszyscy. Przejeżdżała wywrotka „Ził”. W kabinie światło było zapalone. Widać było dwóch facetów i tyłem siedzącą na masce przedniej szyby nagą kobietę. Ten, co nas kontrolował, rzucił bez słowa dokumenty Zenkowi na kolana, wsiedli do radiowozu i na sygnale pogonili za tą wywrotką. Nam stres odebrał ruchy do tego stopnia, że Zenek ledwo uruchomił samochód. Nie jeździliśmy już tego wieczora nigdzie więcej tylko pojechaliśmy do jego domu do Otwocka. Na szczęście jego żona Ala miała połówkę „odstresowiacza”.

Pamiętam także taką scenę, gdy Leszek Moczulski trzymając na kolanach trzyletnie dziecko bawił się z nim wyraźnie ubawiony. Taki obrazek miał miejsce u mnie w domu, a tym dzieckiem była moja najmłodsza córka – Magdalena Anna.

Inne zdarzenie. Miałem dostarczyć wydruk Tygodnika Mazowsze na nowy adres, na ul. Koszykową (to jest ten blok, gdzie ul. Piękna wpada w Koszykową). Miałem na plecach dwie torby, wjechałem na któreś piętro do mieszkania nr 13. Zapukałem. Otworzyły się drzwi. Wszedłem bez zaproszenia prosto do salonu. Ładne mieszkanie, stare budownictwo, pięknie urządzonego salon, na środku fortepian (nie zdziwiło mnie to, bo wielu artystów – muzyków czy plastyków – współpracowało z podziemiem, udostępniając swoje mieszkania i domy na lokale). Skonsternowany starszy pan odezwał się:

– To pomyłka.

– Jak to? To przecież to mieszkanie numer 13.

– Widzi pan, w tej kamienicy są dwa mieszkania o numerze 13. Ta klatka należy do ul. Piękną a do Koszykowej ta druga. Nie pan jeden się pomylił.

Wyszedłem i zastanawiałem się, czy iść do tej drugiej klatki, czy nie iść. Pomyślałem – „Trudno!” i poszedłem. Gospodarze powitali mnie z radością. Ochrzaniłem ich, że mi nie przekazano precyzyjnych namiarów.

– Nie martw się! Ten pan to swój człowiek, pewnie by przyjął od ciebie towar i nam przekazał, ale wieczorem wyjeżdża na koncert.

Inny przypadek. W szpitalu Bielańskim chłopcy (chyba Zbyszek Adamczyk) załatwili mi dłuższe zwolnienie lekarskie, ale musiałem się zgłosić na dyżur. Wymyślili, że mam złamaną nogę. Załadowali mi prawą nogę w gips. Miałem do odbioru wydruk Tygodnika Mazowsze, który miałem dostarczyć na nowy adres, na ulicę Poznańską. Nie miałem czasu, by pojechać do domu i zdjąć ten gips. Pojechałem na drukarnię, zapakowałem wydruk w dwie torby (16 ryz papieru po 8 w każdą) i pojechałem na Poznańską. Tam są takie stare kamienice z podwórkami w środku. Dygałem przez to podwórze, gdy nagle z ławki podniósł się facet i powiedział:

– Pan chory, noga w gipsie i takie torby pan targasz – pomogę panu!

Wypłoszyłem się, ale co miałem zrobić? Wręczyłem mu jedną i poszliśmy do klatki. On zapytał:

– Na które piętro?

– Nie wiem – odpowiadam. – Mieszkanie numer taki a taki.

– Tak myślałem – odpowiada – to do mnie.

Odetchnąłem z ulgą. A on mi wyjaśnia:

– Bo widzi pan, jak jest nowy kurier, to ja wcześniej lubię sobie popatrzeć, czy się coś podejrzanego nie dzieje wokół.

Stara dobra szkoła, ale strachu mi napędził.

I jeszcze jedna przygoda. Miałem wrzucić torbę różnych wyrobów podziemnych (znaczki, książki, gazetki i inne gadzety) na adres w tym dużym wieżowcu za Rotundą, skąd miał odebrać ją kurier i stamtąd miał iść prosto na pociąg, na Dworzec Centralny. Zadzwoiłem. Otworzył

mi człowiek po trzydziestce. Wszedłem, a tu widzę, że w korytarzu stoi drugi. „Niedobrze” – myślę sobie – „pewnie wpadłem”.

– Milicja – przedstawił się ten co mnie wpuścił. Pokazał mi legitymację. – Dokumenty poproszę!

Co miałem robić? Podałem mu dowód. Ten drugi wziął ode mnie torbę i zaprosił do pokoju. Siadłem i czekałem, co będzie dalej. Zaczął grzebać w torbie, po czym zrobił dziwną minę. Podeszedł do niego ten pierwszy, zaglądnął do torby i zapytał:

– Możemy sobie wziąć po jednej sztuce?

Kompletnie zbaraniałem. Musiał to zauważyć, bo powiedział:

– Widzisz, my jesteśmy z wydziału narkotykowego i te rzeczy nas nie interesują – pokazał na torbę – ale chcielibyśmy sobie wziąć po jednej na pamiątkę, bo ładne.

Oddali mi dowód, torbę i kazali sobie iść. Do dziś nie bardzo wiem, jak stamtąd wyszedłem.

Czego jak czego, ale adrenaliny to nam w tamtych czasach nie brakowało!

Wspomnień wysłuchał

Piotr Plebanek

listopad 2015

WSPOMNIENIE O TADEUSZU BURAKOWSKIM

Dowiedziałem się o Jego istnieniu zanim spotkaliśmy się osobiście. Tadeusz był w roku 1981 uosobieniem istnego *diabła wcielonego* dla komunistycznej propagandy RTV i „Trybuny Robotniczej” w województwie Katowickim. Buranowski miał w zgodnym przekazie władz PRL-u „dowodzić bojówką ekstremistów z *Solidarności* i KPN” terroryzując spokojnych towarzyszy pracy socjalistycznej...

Dokładnie pamiętam reportaż w reżimowej Telewizji mówiący o nielegalnym plakowaniu i napaści cyt: *bojówki Buranowskiego* na... funkcjonariuszy MO! Prawda była rzecz jasna odmienna, faktów nie poznaliśmy ale to jedno było pewne: przywódca jawnej „antysocjalistycznej bojówki” musiał być człowiekiem bardzo, bardzo odważnym.

Zobaczyłem Tadeusza na katowickim rynku gdy podczas „karnawału *Solidarności*” uruchomił pierwszy publiczny tj. samochodowy punkt kolportażu prasy niezależnej m.in. rozdając broszury o sowieckiej zbrodni Katyńskiej. Szef regionu Śląsko – Dąbrowskiego NSZZ *Solidarność* Andrzej Rozpłochowski utworzył z pomocą niez mordowanych sióstr Kawalec szeroką sieć kolportażu prasy i książek po zakładach pracy. Tadeusz sięgnął jeszcze dalej w morze czerwonego kłamstwa, wystawił jawny punkt antykomunistycznej bibuły, „księgarnię na kółkach” w samym sercu strategicznego dla PRL-u województwa. Na odpowiedź pachołków Moskwy nie trzeba było długo czekać:

20 października 1981 roku liczni SB-mani oraz funkcjonariusze MO postanowili zlikwidować wyspę wolnego słowa i zaatakowali punkt kolportażu bibuły na katowickim rynku. Napadnięty Tadeusz Buranowski dziel-

nie się opierał, zamknięty w samochodzie, zyskał trochę na czasie tak by poprosić przechodniów o zawiadomienie Zarządu Regionu „Solidarności”. Został wywleczony przez tajniaków: skopany, skuty i zawieszony na komendę milicji. Wiść o jego zatrzymaniu lotem błyskawicy obiegła region i w kilkanaście minut wielu działaczy zostało powiadomionych „pocztą” alarmową opozycji i w ten sposób także ja, 16 letni uczestnik organizacji młodzieżowej KPN zostałem ściągnięty na katowicki rynek. Tu uformował się spontaniczny wiec ludzi oburzonych bandycką napaścią „nieznanych sprawców” i likwidacją „ruchomej księgarni opozycji”. Komunikacja w centrum miasta została sparaliżowana, w efekcie masowo dołączali się kolejni mieszkańcy. Zgromadziło się około trzech tysięcy ludzi, którzy w pochodzie przeszli pod komendę MO zlokalizowaną na pobliskiej ulicy Pocztowej. Tłum domagał się natychmiastowego uwolnienia Tadeusza Buranowskiego. Milicjanci nie chcieli rozmawiać i zabarykadowali się. Manifestanci zaczęli wznosić okrzyki „pachołki Moskwy”, uwolnić więźniów politycznych, dość cenzury! Doszło do pierwszych rozmów SB-manów z przedstawicielami Zarządu Regionu, jednak bez rezultatu, gdyż chodziło rzekomo o „*poważne przestępstwo kolportażu nielegalnych antyrządzieckich wydawnictw*”. Przyjechały milicyjne nyski ze wsparciem dla funkcjonariuszy. Zebrani zablokowali te samochody i przewrócili nyskę pod komisariatem gołymi rękami tak, że stanęła na dachu „kołami do góry”. Tłum zaczął się coraz bardziej niecierpliwieć i w ruch poszły kamienie, setki kamieni, kostki brukowej (zastanawiałem się zawsze skąd ludzie znaleźli tyle kamieni na tej całkowicie asfaltowej ulicy) w efekcie po 10 minutach w komendzie nie pozostała ani jedna cała szyba... Ktoś zapowiedział spuszczenie benzyny z milicyjnych radiowozów grożąc ich podpaleniem.

W efekcie spanikowani SB-mani wypuścili zatrzymanego na innej komendzie Tadeusza Buranowskiego. Tak dzięki pomysłowości, wytrwałości, determinacji i niezłomności Tadeusza stoczyliśmy tamtą zwycięską batalię o wolne słowo.

Wtedy uzmysłowiliśmy sobie w Katowicach jaką siłą dysponuje zorganizowane społeczeństwo w obliczu którego totalitarna władza jest bezradna.

Oczywiście Tadeusz Buranowski ma nie tylko tę osobistą historię.

Tadeusz urodził się na kresach wschodnich II Rzeczypospolitej, przyjechał z Borysławia do Gliwic w ramach ostatnich repatriacji. Pracował jako spawacz w Hutniczym Przedsiębiorstwie Remontowym w Gliwicach. W pamiętnym Sierpniu 1980 roku uczestniczył w zwycięskim strajku w Hucie Katowice. Założyciel i wiceprzewodniczący Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” w swoim HPR. Od 1981 roku szef Komisji Rewizyjnej Gliwickiej Delegatury MKZ Katowice. Dzięki nawiązaniu kontaktu z łódzką strukturą KPN (osobiście z Andrzejem Ostoja-Owsianym) wstąpił do Konfederacji Polski Niepodległej. W lipcu 1981 wybrany przez Walne Zebranie Delegatów NSZZ „S” Regionu Śląsko-Dąbrowskiego, do władz Zarządu Regionu na stanowisko członka Prezydium **odpowiedzialnego za informację**. Zorganizował najpierw zwyczajną grupę plakatującą miasta śląska i zagłębia z różnymi apelami Solidarności i opozycji. Przeszkolił również grupy działaczy KPN i Solidarności z innych regionów m.in. z Warszawy (z Komitetu Katyńskiego).

Mnie głębiej wryły się w pamięć wiszące na mieście w okresie „*karnawału Solidarności*” karykatury „niedźwiedzia” tj. Breżniewa z Wolnego Związkowca oraz liczne plakaty na 17 września i 11 listopada 1981 roku gdzie sierp i młot podawał sobie rękę ze swastyką. Władze systematycznie zrywały te plakaty ale nie bardzo mogły nadążyć a pomysły Tadek nakleił je dodatkowo na dworcach PKP na niezmywalne szkło wodne! Tysiące ludzi jadących pociągami czytało te strzępy gazetek ściennych i zamalowywane plakaty dosłownie z wypiekami na twarzy. Wściekłość SB-manów, PZPR-owców i ORMO-wców nie miała granic. Stąd wynikała właśnie ta intensywna kampania szkalowania „bojówki Buranowskiego” w oficjalnej propagandzie władz PRL. 4 grudnia 1981 roku w ogólnopolskiej TV PRL podano nawet, iż „grupa Buranowskiego” terroryzowała podczas plakatowania funkcjonariuszy MO i SOK-istów na dworcu PKP Chorzów-Batory. Reżimowy spiker poinformował naród, iż *terroryści z bojówki Buranowskiego* jednemu umundurowanemu funkcjonariuszowi władzy ludowej założyli nawet na głowę wiadro z kle-

jem... Osobiście wydawało mi się to bardzo przemawiające do wyobraźni i cokolwiek malownicze!

13 grudnia ten festiwal wolności został brutalnie przerwany stanem wojennym. Jedną z pierwszych osób pozbawionych wolności był właśnie Tadeusz Buranowski, przy okazji bestialsko pobity przez SB-ków i ZOMO-wców. Sam towarzysz Jaruzelski w swoim sławetnym przemówieniu powtarzanym w kółko w telewizji tłumaczył, iż musiał wypowiedzieć wojnę narodowi gdyż *stabilizacji PRL-u zagrażały grupy terrorystyczne ekstremistów z Solidarności i KPN-u...*

Tadeusz Buranowski został internowany w więzieniu Zabrze-Zaborze, a następnie osadzony do końca 1982 roku w Nowym Łupkowie, w celi z Tadeuszem Jedynakiem – sygnatariuszem porozumień sierpniowych z Jastrzębia. W czasie internowania funkcjonariuszka SB dokonała bezprecedensowej odmowy widzenia Tadeusza z małoletnią córką. Władza trzymała go pod kluczem jak długo się tylko dało, wyszedł na wolność jako jeden z ostatnich.

Dalej uczestniczył w pracy konspiracyjnej szkoląc m.in. drukarzy oraz w naszych demonstracjach: 3 majowych, 11 listopada czy 16 grudnia w rocznicę pacyfikacji KWK Wujek.

Na roku 1990 jego działalność niepodległościowa oczywiście się nie zakończyła. A mogła.

Tadeusza dopadła bowiem ciężka, śmiertelna choroba. Dzięki udanej operacji onkologicznej i wsparciu liczного grona przyjaciół, a przede wszystkim wspierałej żony Teresy był z nami jeszcze wiele lat. Nie uciekł w prywatność, nie wymawiał się ciężkim stanem własnego zdrowia i dramatyczną chorobą córki (co było następstwem jej traumatycznych przeżyć stanu wojennego). Zawsze gdy tylko mógł uczestniczył w okolicznościowych spotkaniach i pracach organizacji weteranów np. w IPN czy w stowarzyszeniu Eugeniusza Karasińskiego.

Często dzwonił, doradzał, żywo interesował się bieżącą walką.

Odmówił oczywiście przyjęcia odznaczenia państwowego od B. Komorowskiego, który na czele oddziałów ZOMO w 1989 r. osobiście pacyfikował w Katowicach akcję KPN pt. „sowieci do domu”.

Tadeusz doczekał na szczęście *dobrej zmiany* i odznaczenia Krzyżem Wolności i Solidarności od Prezydenta RP Andrzeja Dudy.

Buranowski stoczył też w ostatnich latach znamiennej batalię z sądami III RPRL o *rehabilitację* za przestępcze represje SB, MO, prokuratury, służby więziennej itp. komunistycznych zbrodniarzy. Byliśmy z liczną grupą Niezłomnych na Jego procesach rehabilitacyjnych i zapamiętałem jak prokurator naigrywała się z jego „*tamania ówczynie legalnego prawa Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej*”. Oczywiście żaden z jego oprawców nie został ukarany, a wręcz przeciwnie typy te nadal deprawują kolejne pokolenia funkcjonariuszy. Niestety nie-zdekomunizowani sędziowie z nieukrywaną pogardą i szyderstwem zasądzili mu także w ramach „re-kompensaty” 24 tysiące złotych zadośćuczynienia za bestialskie pobicie i za rok nielegalnego uwięzienia! Warto wspomnieć na marginesie, iż urzędnikowi z Częstochowy ten sam katowicki sąd za rok pozbawienia wolności w luksusowych warunkach III RP (adwokat, ciepła woda, uczciwy proces) przyznał ponad milion złotych zadośćuczynienia!

Są równi i równiejsi... Nie przypadkiem piszę tu o pieniądzech w kontekście postawy władz administracyjnych i sądowniczych III RP. Tadeusz potrzebował ich na leczenie. Typowe, niewygórowane cenowo leki. W ostatnich miesiącach Urząd ds. Kombatanów i Osób Represjonowanych przyznał mu wsparcie na opiekę zdrowotną. Dotacja przyznawana maksymalnie na cały rok starczyła tu za ledwie na miesiąc! Taki jest realny wymiar wsparcia pomimo art. 19 Konstytucji, który mówi o obowiązku roztaczania opieki państwa nad bojownikami zmagającymi się o Niepodległość.

*Śpij Kolego w ciemnym grobie,
Niech się Polska przysni Tobie!*

KPN NA TERENIE OBECNEGO PODKARPACIA W LATACH 1979–1990

W 1944 r. Armia Sowiecka gwałtem narzuciła Polsce rządy komunistyczne. System musiał zachować jednak pewne pozory legalności. Polska Rzeczpospolita Ludowa miała konstytucję gwarantującą minimum praw obywatelskich, lecz postanowień jej nie realizowano. Służba Bezpieczeństwa (SB), policja polityczna, działając poza ówczesnie obowiązującym prawem, strachem wymuszała posłuszeństwo szerokich mas społeczeństwa. Powstająca w latach 70. opozycja dążyła do demokratyzacji PRL i wymuszenia na władzach komunistycznych przestrzegania prawa.

Przemyslanin Stanisław Kusiński, wychowawca Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Laskach pod Warszawą, zetknął się tam z działalnością dysydencką. Pracował dla opozycji jako drukarz i wydawca. Po powstaniu Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela Leszek Moczulski zaproponował Stanisławowi Kusińskiemu utworzenie punktu konsultacyjno-informacyjnego w Przemyślu. Wspomniany punkt powstał w sierpniu 1977 r. Początkowo Kusiński działał samotnie. Dopiero w połowie 1978 r. wokół niego zawiązała się grupa opozycjonistów, uczestników Ruchu, do której weszli: Stanisław Sudoł, Stanisław Frydlewicz, Wit Siwiec i Jan Ekiert. W okresie rozłamu w ROPCiO przemyska grupa poparła frakcję Moczulskiego przeciw frakcji braci Andrzeja i Benedykta Czumów. Z powodu sporu wewnątrz ROPCiO pod koniec 1978 r. przemyska grupa zaczęła współpracować z Komitetem Samoobrony Społecznej „KOR”. Bliższy kontakt z Moczulskim utrzymywał nadal tylko Jan Ekiert.

1 września 1979 r. w Warszawie przed grobem nieznanego żołnierza ogłoszono powstanie Konfederacji Polski Niepodległej (KPN). Jej twórcą i liderem był Leszek Moczulski. KPN była pierwszą jawną niekomunistyczną opozycyjną partią polityczną w krajach bloku sowieckiego. Celem jej działania była obudowa niepodległego Państwa Polskiego. Moczulski pod koniec 1979 r. powierzył Janowi Ekiertowi utworzenie Okręgu Rzeszowsko–Przemyskiego KPN. Dla kierownictwa nowopowstałej partii ważna była zauważalna jej obecność w Przemyślu ze względu na osobę bp. Ignacego Tokarczuka, zasłużonego w walce o prawa obywatelskie. Audyencja u biskupa stanowiła formę nobilitacji w kręgach opozycyjnych. Ekiert został pierwszym szefem Okręgu Rzeszowsko-Przemyskiego. Nowo utworzony okręg wszedł w skład Obszaru II Krakowskiego.

Ekiert wokół swojej osoby próbował zbudować grupę ludzi, która mogłaby podjąć działalność dysydencką w ramach KPN. Początkowo zajmował się on głównie kolportowaniem literatury opozycyjnej przewożonej z Krakowa i Warszawy. Ludzie, z którymi kontaktował się nie wiedzieli nic o sobie wzajemnie. Konspiracyjny model działania został przyjęty ze względu na inwigilację przez SB.

Służba Bezpieczeństwa dowiedziała się o istnieniu Konfederacji w Przemyślu dopiero w maju 1980 r. W latach 1980–1981 KPN w Przemyślu była rozpracowywana przez SB w ramach sprawy operacyjnego rozpracowania pod kryptonimem „Olimp”, którą prowadził znany ze szczerego zaangażowania w zwalczanie działalności opozycyjnej kpt. Józef Kononiuk. Z czasem tajnemu współpracownikowi (TW) bezpieki ps. „Paweł”, Adamowi Szybiakowi, udało się pozyskać częściowe zaufanie Ekierta. Między innymi brał on udział w spotkaniach z Marią Moczulską, Romualdem Szeremietiewem i Krzysztofem Gąsiorowskim. Ponadto Szybiak przywoził z Krakowa do Przemyśla literaturę KPN, to pozwoliło bezpiece kontrolować tzw. kanał przerzutowy. Umieszczenie TW „Pawła” w Konfederacji doprowadziło do przejmowania przez SB znacznej części literatury przywożonej do Przemyśla, ponadto zapewniło dopływ informacji na temat działalności opozycyjnej.

Przemyscy dysydenci wywodzący się z dawnego ROPCiO pomimo późniejszych podziałów politycznych na sympatyków „KOR” i Konfederacji podejmowali w latach 1979-1980 wspólne akcje. Miejskowa SB nazywała ich „przemyską nieformalną grupą antysocjalistyczną”.

Wiosną 1980 r. Jan Ekiert planował zorganizowanie akcji w Przemyśle przypominającej o przypadającej wówczas 40. rocznicy mordu katyńskiego. W mieście zamierzano rozkolportować ulotki i malować napisy na murach. Kolportaż ulotek nie doszedł do skutku, gdyż nie udało się ich otrzymać od centrali KPN i KSS „KOR”. Akcje malowania napisów na murach uniemożliwili agenci SB. Jan Ekiert napisał własny artykuł na temat zbrodni w Katyniu chciał go powielić na terenie Przemyśla lub w Warszawie, lecz z powodu szczupłości środków materialnych oraz działalności SB wspomniany pomysł nie został niestety zrealizowany.

W sierpniu 1980 r. w Polsce wybuchły strajki o niespotykanej dotychczas sile. Robotnicy wspierani przez dysydentów wysunęli postulaty socjalne i polityczne. Ekiert chciał doprowadzić do strajków w suchym porcie w Medyce. Przez to nastąpiłby paraliż transportu towarów do ZSRR. Strajk na stacji przeładunkowej w Medyce zablokowałby produkcję w wielu zakładach Polski południowej. Ekiert zaplanował wspólnie ze Zbigniewem Szybiakiem akcję informacyjną w celu doprowadzenia do strajku. Nad ranem 29 sierpnia zamierzano na pociągach jadących do Medyki malować napisy „Kolejarze, Dokerzy suchego portu! Dla siebie i dobra Ojczyzny, solidaryzujcie się z robotnikami w całym kraju! Nie ufajcie przewrotnym komunistycznym uzurpatorom! KPN” i rozrzucić w nich ulotki, podpisane przez KPN. Niestety, Zbigniew Szybiak był zwerbowany przez SB, jako tajny współpracownik ps. „Lew” i zawczasu powiadomił przemyską bezpiekę o planowanej akcji. Oficerowie SB zamierzali pochwycić Ekierta na tzw. gorącym uczynku. Konfederaci rozrzucili część ulotek i namalowali jeden napis na pociągu jadącym w stronę Medyki. Po pojawieniu się milicjantów Ekiert zdołał uciec. Pomimo tego, że został on następnie zatrzymany, SB nie miała dowodów które można byłoby wykorzystać przed sądem w celu jego skazania. We wrześniu przemyska KPN planowała z pomocą Obszaru Karkowskiego

uruchościć własną poligrafię. Przeprowadzono także akcję informacyjną o rocznicy wkroczenia Armii Sowieckiej do Polski 17 września 1939 r.

W październiku 1980 r. Jan Ekiert z powodów osobistych wyjechał do Warszawy. Posiadaną przez siebie literaturę oraz prowadzenie dalszej działalności w ramach Konfederacji przekazał wspomnianemu wcześniej Zbigniewowi Szybiakowi. Przeniesienie się Ekierta do Warszawy i działania operacyjne SB doprowadziły do zaprzestania działalności Konfederacji w Przemyślu.

Uwięzienie przywódców KPN doprowadziło do wzrosty popularności tej partii w kraju. 25 maja 1981 r. Studencki Komitet Obrony Więzionych za Przekonania zorganizował w Rzeszowie wielką manifestację w obronie aresztowanych konfederatów. Rzeszowski MKZ rozpoczął druk książki Leszka Moczulskiego „Rewolucja bez rewolucji”. W tych warunkach w maju 1981 r. przemyska SB doszła do wniosku, że Konfederacja w mieście się odrodzi jako niekontrolowany ruch opozycyjny. Wobec tego postanowiono przedsięwziąć działania wyprzedzające i przechwycić kierownictwo nad lokalnymi strukturami KPN. Wykorzystano do tego Adama Szybiaka TW „Paweł”, któremu polecono odnowienie kontaktów z Marią Moczulską. W tym czasie Leszek Moczulski przebywał w więzieniu. Od lata 1981 r. TW „Paweł” rozpoczął tworzenie kontrolowanych przez SB struktur KPN na terenie obecnego Podkarpacia.

Lato i jesień 1981 r. to okres jawnej działalności NSZZ „Solidarności”. W tym czasie do Konfederacji zgłaszali się nowi członkowie. Wśród nich byli bracia Janusz i Mariusz Kurowscy -pracownicy Zarządu Regionalnego NSZZ „Solidarność w Przemyślu. 1 września 1981 r. z autentycznych pobudek patriotycznych akces do Konfederacji zgłosił Czesław Buksiński, major „ludowego” Wojska Polskiego. Wyrażenie chęci wstąpienia do Konfederacji wysokiego stopniem oficera wywołało w funkcjonariuszach SB niedowierzanie. Informacja została sprawdzona. Przystąpienie Buksińskiego do KPN zapewne uświadomiło esbekom, że w wojsku znajdują się oficerowie, którzy nie identyfikują się z państwem komunistycznym, a w razie konfrontacji ze społeczeństwem nie będzie można liczyć na część korpusu oficerskiego.

Jerzy Popowski sekretarz jarosławskiego MKZ w połowie 1981 r. utworzył ośrodek KPN w Jarosławiu, podporządkowany Okręgowi Przemyskiemu. Ponadto powstały grupy KPN w Strzyżowie i Leżajsku, ich działalność wymaga dalszych badań. Wg dokumentów SB pod koniec 1981 r. w Przemyślu było 16 członków Konfederacji, a w Jarosławiu pięciu. Nie znamy liczby członków KPN w Strzyżowie i Leżajsku. Ilość sympatyków KPN w regionie jest trudna do oszacowania.

Nieznana jest funkcja Adama Szybiaka w strukturach Konfederacji. Występował on w imieniu Kierownictwa Akcji Bieżącej KPN Okręgu Przemyskiego, oficjalne dokumenty podpisywał swoim imieniem i nazwiskiem. Członkom wydawał legitymacje i zbierał od nich składki. Okręg Przemyski drukował gazetę „Niepodległość”. Do stanu wojennego wyszły dwa numery.

W okresie stanu wojennego nastąpiło zawieszenie działalności KPN w regionie. Stało się tak za sprawą działalności agentury SB. Ponadto działacze utracili łączność z centralą w Warszawie. Zawieszenie działalności spowodowało uniknięcie przez członków KPN represji ze strony komunistycznego aparatu władzy.

Jan Ekiert mimo, że przez rok nie brał udziału w czynnej działalności opozycyjnej po ogłoszeniu stanu wojennego został internowany. W jego przypadku pozbawienie wolności odniosło wręcz odwrotny skutek od zamierzonego przez SB. W ośrodku odosobnienia Ekiert powrócił do działalności dysydenckiej, przy czym występował on jako niezależny członek KPN. W 1982 r. Ewa Ekiert, żona Jana została aresztowana i skazana za posiadanie ulotek. W procesie przeciw niej świadkiem oskarżenia był Adam Szybiak. Udział TW „Pawła” w sprawie sądowej doprowadził do jego dekonspiracji, jako tajnego współpracownika SB. Od tej pory dalsza działalność TW w KPN w Przemyślu była zdaniem oficerów prowadzących niemożliwa. Mimo tego w 1983 r. SB próbowała zbudować w oparciu o Adama Szybiaka pozorowaną grupę KPN w Przemyślu. Wspomniana kombinacja operacyjna nie odniosła skutku.

Po opuszczeniu internowania Jan Ekiert współpracował z Regionalną Komisją Wykonawczą podziemnej „Solidarności” w Przemyślu, wystę-

pował jako przedstawiciel niezależnego KPN. Wielokrotnie brał udział w manifestacjach opozycyjnych w Przemyślu, w czasie których przemawiał. Był zatrzymywany przez SB i karany wysokimi grzywnami przez Kolegium ds. Wykroczeń.

Na teren Polski południowo-wschodniej w połowie lat 80. XX w. literatura KPN trafiała z dwóch ośrodków krakowskiego i lubelskiego, za pośrednictwem studentów z regionu. Zaczęły się tworzyć ponownie nieformalne grupy KPN. Pierwsza powstała ok. 1985 r. w Jarosławiu wokół Andrzeja Mazurkiewicza, studenta prawa KUL w Lublinie. Wspomniana grupa zajmowała się kolportażem literatury głównie na terenie Jarosławia. Andrzej Mazurkiewicz, pod ps. Tadeusz Korab, nawiązał współpracę z RKW w Rzeszowie i „Solidarnością Walczącą”. Grupa Mazurkiewicza liczyła początkowo kilka osób później rozrosła się do 30. W 1988 r. występowała jako Okręg Rzeszowsko-Przemyski wchodzący w skład Obszaru IV z siedzibą w Lublinie.

Druga grupa powstała wokół Andrzeja Zapałowskiego w Przeworsku i Przemyślu. Zapałowski, wówczas student historii WSP w Krakowie, na uczelni zetknął się z działaczami KPN. Początkowo jego grupa miała nieformalny charakter i zajmowała się kolportażem literatury w Przeworsku i Przemyślu. W 1988 r. nastąpiło połączenie wspomnianych ośrodków. Przystąpiono do utworzenia Obszaru Rzeszowsko-Przemyskiego. Szefem został Andrzej Mazurkiewicz, który zorganizował ośrodek w Jarosławiu. Jego zastępcą był Zapałowski. 16 sierpnia tegoż roku konfederaci wyszli z ciekawą inicjatywą powołania Lokalnego Parlamentu Ugrupowań Niezależnych Ziemi Rzeszowskiej. W jego skład wchodziły: miejscowa KPN, Rzeszowski Oddział „Solidarności Walczącej”, Rzeszowski Komitet Oporu Rolników i NSZZ „Solidarność” Ziemi Jarosławskiej. Działania SB jesienią 1988 r. doprowadziły do zaprzestania przez Parlament działalności.

11 marca 1989 r. nastąpiła reorganizacja struktury terenowej KPN. W skali kraju zmniejszono liczbę obszarów z 12 do 6. Zlikwidowano Obszar Rzeszowsko-Przemyski, przywrócono Okręg Rzeszowsko-Przemyski podległy Obszarowi IV Lubelskiemu. Ujawnienie KPN w regio-

nie nastąpiło wiosną 1989 roku Członkowie partii na terenie obecnego Podkarpacia weszli w skład Komitetów Obywatelskich „Solidarność” jako działacze KPN. W wyborach parlamentarnych 1989 r. w regionie Konfederacja nie wystawiła własnych kandydatów, poparto listę Komitetu Obywatelskiego.

Po wyborach nastąpiło ożywienie działalności KPN w Polsce południowo-wschodniej. W czerwcu 1989 r. powstała grupa KPN w Krośnie, która podlegała pod Obszar Krakowski jej liderem był uczeń Tomasz Niepokój. W sierpniu powstały struktury KPN w Rzeszowie, które utworzyli Dariusz Baran student KUL w Lublinie, związany z Mazurkiewiczem i lekarz Krzysztof Woźniak. Od II połowy 1989 r. bardzo aktywnie działała grupa Ryszarda Skóry w Mielcu, powiązana ze strukturami KPN w Krakowie. Wspomniana grupa używała nazwy „KPN Rejonu Mieleckiego”. W listopadzie tegoż roku powstał Rejonowy Oddział KPN w Tarnobrzegu, szefem był kolejarz Tadeusz Mika. W 1989 r. nastąpiło otwarcie pierwszych biur KPN w Jarosławiu, Przemyślu i Tarnobrzegu następnie utworzono biura w innych miastach regionu. Po ujawnieniu się struktur KPN do partii powrócili dawni działacze w tym Czesław Buksiński.

W latach 1988-1990 Obszar następnie Okręg Rzeszowsko-Przemyski wydawał własną gazetkę „*Pobudkę*”. Redagowali ją Andrzej Mazurkiewicz, Zbigniew Piskorz i Andrzej Zapałowski. Wychodziła w zależności od możliwości finansowo-technicznych raz na kwartał lub raz na pół roku. Ukazało się co najmniej 17 numerów. Nakład wynosił 2–3 tys. egzemplarzy. Powielana była na ramce sitodrukowej. Niekiedy część nakładu kserowano. „*Pobudka*” drukowana była w Lublinie, Jarosławiu a niektóre numery w Przeworsku w domu Andrzeja Zapałowskiego. Rejon KPN Mielec pod koniec 1989 r. wydawał własne pismo „Przegląd”.

W styczniu 1990 r. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza przygotowała się do transformacji. Partię chciano przekształcić z komunistycznej w socjaldemokratyczną, zatrzymując jej mienie. Powszechnie uważano, że majątek PZPR jest zagrabiony i stanowi własność całego polskiego narodu. W styczniu Konfederacja podjęła ogólnopolską akcję zajmowania

i pikietowania siedzib PZPR. 23 stycznia 1990 r. akcję przeprowadzono w Mielcu, gdzie wspólnie z Federacją Młodzieży Walczącej pikietowano budynek Komitetu Miejskiego. Protest zakończył się podpisaniem porozumienia na mocy, którego o dalszym losie budynku miało zadecydować lokalne referendum. 26 stycznia w Rzeszowie podjęto nieudaną próbę zajęcia budynku Komitetu Wojewódzkiego PZPR wspólnie z NZS, Ruchem „Wolność i Pokój” i Federacją Anarchistyczną. Akcja nie powiodła się. Prawdopodobnie spodziewano się próby zajęcia gmachu KW, tylko grupce młodzieży udało się wdrzeć po drabinach na balkon budynku. Po interwencji służb porządkowych protest został zakończony. W Przemyśle grupa członków KPN i Federacji Młodzieży Walczącej na czele z Andrzejem Zapałowskim i Andrzejem Kowalczykiem zajęła budynek KW. Doszło do kilkugodzinnej okupacji gmachu. Andrzej Zapałowski zerwał czerwoną flagę z dachu. Okupacja zakończyła się porozumieniem na mocy którego budynek przeznaczono na cele publiczne, umieszczono w nim szkołę języków obcych.

Po wyborach czerwcowych 1989 r. KPN jako tzw. nie konstruktywna opozycja była nadal inwigilowana przez SB. Wydział III w Rzeszowie założył sprawę operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Konfederaci”. Z notatki z akt tej sprawy wynika, że 25 stycznia 1990 r. zniszczono 13 kart dokumentów rzekomo nie przedstawiających wartości operacyjnej ani historycznej. SOR „Konfederaci” zakończono dopiero 25 maja 1990 r. z powodu likwidacji Służby Bezpieczeństwa.

Od połowy 1990 r. Konfederacja rozpoczęła normalną działalność polityczną jako partia. W wyborach 1991 r. w Okręgu wyborczym Przemyśl wprowadziła do sejmu I kadencji odrodzonej Rzeczypospolitej posła Andrzeja Mazurkiewicza, do senatu II kadencji Stanisława Kostkę. Zygmunta Łenyka wybrano do sejmu I kadencji w Okręgu wyborczym Rzeszów.

NIEZWYKŁE PISMO MŁODZIEŻÓWKI KPN PIERWSZA PIĄTKA Z ORŁA BIAŁEGO

Wzięty adwokat, posłanka, dziennikarz „Wiadomości TVP”, „Wyborczej” i „Życia”, realizatorka wielkich projektów biznesowo-medialnych na Ukrainie oraz zmarły w Smoleńsku wiceminister kultury trzech rządów i dwóch koalicji – tak w nowej Polsce ułożyły się losy twórców drugoobiegowego „Orła Białego”. Ale – trawestując znany dowcip o Radiu Erewań – zaznaczyć wypada, że nie za to cenimy pismo. Było ciekawe nie z powodu przyszłych karier czy tragedii autorów. Stało się głosem pokolenia.

PRL jeszcze trwała, ale biegł przedostatni rok istnienia naszej byłej ojczyzny. Na wydziale historii UW Adam Michnik w trakcie otwartego spotkania opowiadał o Michaiile Gorbaczowie, na romanistyce – francuski korespondent Bernard Margueritte zastanawiał się nad przyszłością wspólnej Europy. Po wieczorze autorskim na socjologii studenci odprowadzili do domu prozaika Marka Nowakowskiego, żeby nie padł ofiarą „nieznanych sprawców”. Pamiętano niedawną zagadkową śmierć Jana Strzeleckiego, a w nazwanym jego imieniem klubie dyskusyjnym robotnicy Ursusa debatowali z wykładowcami UW. Na moim roku polonistyki do oficjalnego ZSP należało troje spośród prawie dwustu studentów. Zwykle nieszkodliwie z nich żartowaliśmy. Na dziedzińcu uniwersyteckim sprzedawano książki i prasę drugiego obiegu, KPN i PPS-Rewolucja Demokratyczna reklamowały się na ulotkach i plakatach.

– Dajemy na trzecią stronę – rzuciłem, gdy podczas kolegium redakcji w moim mieszkaniu roztrząsaliśmy, co zrobić z oświadczeniem Rady Politycznej KPN na temat przygotowań do Okrągłego Stołu. Przewod-

niczący organizacji akademickiej ani szefowa redakcji nie oponowali. Tak rodziła się praktyka, by na czołówkach „Orła Białego” umieszczać tematy interesujące czytelników, a nie działaczy. Upowszechnienie jej sprawiło, że akademickie pismo konfederatów stało się rychło jednym z najbarwniejszych i najciekawszych tytułów drugiego obiegu. Adresowaliśmy je do rówieśników, a nie partyjnych gremiów, zaś dokumenty KPN lokowaliśmy na 3 i 4 stronie, nie zmieniając nawet przecinka. Czołówki zaś mówiły same za siebie... głosem pokolenia.

MIEĆ 20 LAT W WARSZAWIE

Dylemat naszych roczników KPN-owicz Jerzy Jajte-Pachota w trakcie demonstracji w Krakowie ujął słowami: – *Emigrować lub strzelać*. Wkrótce stały się prawdą obiegową, ale to działacz od nas wypowiedział je pierwszy.

Też w Krakowie w czasie innego *demo* studenci nieśli pamiętny transparent: „Urodziliśmy się w 1968”. Chociaż w odróżnieniu od milicjantów nie legitymowaliśmy autorów „Orła Białego”, wiedzieliśmy, że wielu z nich ma w dowodzie wpisaną właśnie tę datę.

Kolumbów należy podziwiać za to, że walczyli o niepodległość, naszą generację podobnie jak pokolenie legionowe – za to, że ją odzyskaliśmy. A w sezonie 1988–89 to uczelnie, a nie fabryki okazały się głównym ośrodkiem pokojowej rewolucji. Nawet po pacyfikacji Nowej Huty załogi stołecznych zakładów nie rwały się do przerywania pracy, a rolę flagowego protestu odegrał całodzienny strajk na Uniwersytecie Warszawskim, podczas którego – na trawnikach, przy pięknej majowej pogodzie studenci przesiadywali z nielegalnymi publikacjami w rękę. Jednym z chętnie przeglądanych pism – obok „Kuriera Akademickiego” czy „Misia”, wydawanych przez NZS – okazał się konfederacki „Orzeł Biały”. Rozdawano go przy okazji wizyt Lecha Wałęsy czy Jacka Kuronia na uniwerku. Pierwsza piątka, tworząca jego redakcję, długo pracowała na stale wzmacniającą się markę tytułu.

W niezwykłym roku akademickim 1988\89 Katarzyna Pietrzyk przymierzała myśli Niccoli Machiavellego do sytuacji schyłkowego ko-

munizmu, nie podejrzewając jeszcze, że nim miną trzy lata – jej samej przyjdzie zamienić akademickie audytoria wydziału prawa na gmach parlamentu i studencki indeks na poselski mandat. Prognozowała dużo ostrożniej: „(..) nawet jeśli dany kandydat nie uzyska mandatu, sam fakt jego uczestnictwa w wyborach jest rzeczą bardzo ważną i potrzebną, gdyż stwarza na przyszłość dla grupy, z ramienia której kandydował przestrzeń działania”¹ – i przynajmniej jeśli o KPN chodzi tak rzeczywiście się stało. Wojciech Gawkowski odnosił zachowawczą tradycję do bieżących polemik, już w pierwszych słowach zapytując dramatycznie: „Czy w Polsce są jeszcze konserwatyści?”². Łukasz Perzyna raczej poddawał w wątpliwość ideowe podziały, aktualizując Zygmunta Krasińskiego jako autora politycznego: „Dzieło Krasińskiego nie da się zamknąć nawet w pojemnych kategoriach konserwatyzmu czy solidaryzmu społecznego. Wiele się dziś mówi o kulturze politycznej. Pisma Zygmunta Krasińskiego są jej wyjątkowo cennym świadectwem i wzorcem. (..) A ideałem Krasińskiego była Europa zjednoczona, jako zwieńczenie historiozofii <Przedświtu>”³. Wszystko pisane jeszcze przed Maastricht... Ten sam autor odkrywał też dla czytelników nieznanego wtedy nawet w drugim obiegu Eduarda Limonowa, fascynującego pisarza rosyjskiego o proletariackim rodowodzie, płomiennym talencie, dysydenckiej przeszłości i złowrogich nacjonalistyczno-bolszewickich zapatrywaniach⁴, cytując obficie – to znak czasu – pieriestrojkowe „Moskowskije Nowosti”. Zaś Grażyna Skibicka w trzecim roku rządów Michaiła Gorbaczowa zastanawiała się nad złożonością rosyjskiej psychiki⁵, przywołując w tekście artykułu Josepha Conrada i Nikołaja Bierdiajewa, Józefa Mackiewicza i Gustawa Herlinga-Grudzińskiego a także markiza de Custine’a. To-

¹ *Rocznica urodzin Machiavellego*. „Orzeł Biały” nr 13 z 26 kwietnia 1989.

² Wojciech Gawkowski. *Piekło i raj*. „Orzeł Biały” nr 11 z 20 lutego 1989.

³ Krzysztof Bauer [Łukasz Perzyna]. *Krasiński – tradycja i współczesność*. „Orzeł Biały” nr 10 z 23 grudnia 1988.

⁴ Por. Ł[ukasz] P[erzyna]. *Spowiedź dziecięcia wieku*. „Orzeł Biały” nr 16, 15 października – 5 listopada 1989.

⁵ Nina Englander [Grażyna Skibicka]. *Czy istnieje dusza rosyjska?* „Orzeł Biały” nr 16 z 15 października – 5 listopada 1989.

masz Merta przypominał, jak Leopold Tyrmand publicystyczną aktywnością emigracyjną wzmacniał taką Amerykę, która w dobie Ronalda Reagana wygrała wyścig zbrojeń ze Związkiem Radzieckim⁶.

W CHWILI PRZEMIANY I PRZEŁOMU

Molami książkowymi jednak nie zostaliśmy. Rzeczywistość wokół i żywi ludzie okazali się ciekawszy od przykurzonych bibliotecznych katalogów. Po latach marazmu czas jakby przyspieszył. Jedną z pierwszej piątki redagującej „Orła Białego” specjalistką od Europy Środkowo-Wschodniej Grażyna Skibicka ze wzruszeniem przywołuje cytata z Fiodora Tiutczewa, pozostający mottem krążącej wtedy po uczelni powieści Igora Newerlego „Zostało z uczty bogów”: *„Szczęśliwy, kto oglądał świat /w chwili przemiany i przełomu / Bogowie go do swego domu / Wezwali, by od uczty z nimi siadł”*.

„Pierwsza piątka” redagująca „Orła Białego” w niezwykłym czasie 1988–89 opisywała przełomowe wydarzenia historii. Masakrę na placu Tienanmen i pokojowego Nobla dla Dalaj-Lamy komentował przyszły wiceminister kultury Merta. Fenomen apodyktyczności Lecha Wałęsy analizował – w chwili powołania komitetu obywatelskiego lokowanego przy pokojowym nobliście – Perzyna, któremu to samo przyszło później robić dla „Gazety Wyborczej” i Wiadomości TVP. Kolejne lata – wbrew pozorom – nie przyniosły redaktorom ani jednego wyzwania, wobec którego nie stanęliby wcześniej w podziemnej prasie. Czasem tylko ktoś zażartował, trawestując Bismarcka, że kto przed trzydziestką nie był KPN-owcem, ten po trzydziestce może być tylko świnia...

Takie czasy... Choć wbrew dalszej części tytułu opublikowanej wtedy książki Adama Michnika, rzecz będzie nie o kompromisie, lecz pewnej rozumnej nieustępliwości, której uczyliśmy się od Leszka Moczulskiego⁷. Z kolei Krzysztofowi Kiesłowskiemu – którego „Bez końca” z Grażyną Szapołowską o stanie wojennym publiczność jedyne kina

⁶ Tomasz Merta. *Tyrmand w obronie Ameryki*. „Orzeł Biały” nr 15 z 1–15 października 1989.

⁷ Por. Adam Michnik. *Takie czasy. Rzecz o kompromisie*. Aneks, Londyn 1985.

„Wars”, gdzie obraz wyświetlano przyjmowała oklaskami po emisji – zawdzięczaliśmy świadomość roli przypadku w historii dzięki innemu jego filmowi o takim właśnie tytule.

PARTYZANTKA NA ŁAWCE POD BUW-EM

– Chłop podczas wojny szedł do tej partyzantki, która działała najbliżej jego wsi – oznajmiłem, wywołując wielkie zgorzsenie zebranych. Atmosfera stała się ciężka, że można było siekierę zawiesić. A przy socjalistycznym jeszcze z wyglądu stole zasiadało grono jedyne w swoim rodzaju. Guru młodej inteligencji prof. Ireneusz Krzemiński, ledwie trzy lata wcześniej wpisujący mi do indeksu ocenę z socjologii, teraz traktował mnie jak przedmiot swoich badań.

W roli królików doświadczalnych młodzi działacze Konfederacji Polski Niepodległej wystąpili jesienią 1989 r. za sprawą wizyty, jaką w biurze w Pałacu Kultury – miejscu symbolicznie odbitym proradzieckim komunistom – złożył im Krzemiński z grupą swoich studentów. Właśnie zmieniał się ustrój, chociaż państwo wciąż nosiło nazwę PRL, jego prezydentem był Jaruzelski, a ministrem spraw wewnętrznych Kiszczyk. Orzeł nosił koronę tylko w winiecie naszej redakcji, w urzędach państwowych nadal był jej pozbawiony.

Wcześniej co bystrzejsi dziennikarze podziemnych mediów posilkowali się badaniami opinii (przeprowadzano je również w podziemiu, sam tego próbowałem, zajmując się fenomenem drugiego obiegu), teraz stali się ich bohaterami. Mój wykładowca Ireneusz Krzemiński pewnie uznał, że trafia się wyjątkowa okazja, jakiej nie znali zainteresowani pokoleniem Kolumbów socjologowie powojenni, choć byli wśród nich analitycy wybitni jak Józef Chałasiński czy Stefan Nowak.

Młodzi z konspiracy zachowali jeszcze jej nawyki i sposoby myślenia, styl i slang – całą tę etnografię analizowałem w „Res Publica” w szkicu o „politycznym uniwersytecie”⁸ – ale już nie musieli się obawiać rozszyfrowania, chociaż nowa Polska nie zaoferowała zbyt wiele tym, co ją

⁸ Por. Łukasz Perzyna. *Idź się uczyć!* „Res Publica” nr 1 z 1991.

wywalczyli. Antropologiczny i kulturowy fenomen młodej opozycji lat 80. skupionej wokół UW zajmująco opisuje Andrzej Anusz w książce „Wokół Marszałka”⁹.

W Pałacu Kultury socjologowie poprosili KPN-owców o opisanie ich drogi do Konfederacji. A dalej szło jak w kółeczku przy ognisku. Stanisław Mazurkiewicz opowiadał o swoim dziadku, generale Radosławie, bohaterem dowódcy ruchu oporu i Powstania Warszawskiego. Wojciech Gawkowski też o Dziadku, ale nie własnym, lecz wszystkich Polaków: Józefie Piłsudskim, jego strategii i mądrości politycznej, Katarzyna Pietrzyk o wrażeniu z lektury „Rewolucji bez rewolucji” oraz trafności diagnoz Leszka Moczulskiego. I wtedy palnąłem to swoje o chłopie i partyzantach, burząc podniosły naukowo-badawczy nastrój skupienia i samozadowolenia w dawnej świątyni komuny, w której zasiedli teraz najbardziej radykalni spośród jej oponentów. Na tym polegała moja rola w młodym drugim obiegu: kwestionować autorytety, procedury i schematy. „Bohaterowie rodzą się niekiedy na kamieniu”¹⁰ – pisałem w „Orle Białym” o byłym PAX-owcu Reiffie, którego również ludzie rozumni jak Stefan Bratkowski zdążyli wykreować na postać pomnikową¹¹. „Ryszard Reiff nocy z 12 na 13 grudnia 1981 nie spędził w więzieniu, obozie ani kazamatach komendy policji. Spędził ją w gmachu Sejmu na posiedzeniu Rady Państwa, stalinowskiego tworu, którego nieadekwatność musiał uznać po latach nawet generał Jaruzelski. W tych szczególnych warunkach wieloletni beneficjent systemu Ryszard Reiff zdobył się – wreszcie – na heroizm odmowy, zgłaszając sprzeciw wobec proklamowania stanu wojennego” – drwiłem w tekście znacząco zatytułowanym „Widok z przedpokoju”¹². Niech nikt nie myśli, że coś do Reiffa miałem osobiście – trzy lata później w jego segmencie na Starym Mokotowie przegadaliśmy pasjonujące trzy godziny o okolicznościach wprowadzenia stanu wojennego.

⁹ Por. Andrzej Anusz. *Wokół Marszałka*. Akces, Warszawa 2010.

¹⁰ Łukasz Perzyna. *Widok z przedpokoju*. „Orzeł Biały” nr 16 z 15 października – 5 listopada 1989.

¹¹ Por. Stefan Bratkowski. *Reiff [w:] Trzy teatry*, Rytm, Warszawa 1987.

¹² Łukasz Perzyna. *Widok z przedpokoju*, op. cit.

Po tym wszystkim pozostało tylko opowiedzieć o własnym dukcie do tej naszej partyzantki i starać się nie popaść w poetykę dawnego kina jugosłowiańskiego, w którym jak w „Sutjesce” nadmiar efektów specjalnych maskować zwykły niedostatek psychologii i dramaturgii, a nostalgia kazała gloryfikować nawet (tytuł innego filmu) „Ten cudowny piasek partyzanckich dróg”.

Z Tomaszem Markowskim i jego kolegą Igorem z wydziału prawa w drugiej połowie lat 80 regularnie wymienialiśmy się bibułą. Dostawali ode mnie prasę regionalną, ja od nich tytuły z KPN. Pracowałem już wtedy dla podziemnego „Nurtu” z Kielecczyny (nie mylić z „Nurtem” NZS młodego Czumy, do którego też zresztą pisywałem) i „Ulotki Świętokrzyskiej”, coś mi się zdarzyło naskrobać do „Kultury Niezależnej”, coś innego przedrukowała „Baza”. W uczelnianym *samizdacie* krążył dramat mojego autorstwa „Drugie drzwi”: impresja o tym, jak inteligencka *konspira* staje się klasą średnią, czy po ludzku mówiąc – cyganeria mieszczańskie.

Wreszcie dosłownie w pół drogi między prawem a polonistyką, na ławce pod starą Biblioteką Uniwersytetu Warszawskiego spotkaliśmy się w szerszym gronie. Po wstępnym wypyтaniu, czy interesuje mnie działalność w Konfederacji, Markowski – któremu organizowanie spotkań do tego stopnia wejdzie w krew, że w dwie dekady później zostanie sekretarzem klubu parlamentarnego PiS – umówił mnie z Wojciechem Gawkowskim i Katarzyną Pietrzyk z KPN, a potem mnie z nimi zostawił. Zimno było pod tym BUW-em jak na Syberii, więc poczapaliśmy do kawiarni Harenda w Domu Turysty PTTK, miejsca kultowego dla studenckich konspiratorów podobnie jak dla uniwersyteckich literatów, lowelasów i opojów, o handlarzach walutą nie wspominając. Rozmowa nie kleiła się wcale, bo Kasia przynudzała o programie, choć później okazała się pasjonującą i wymagającą interlokutorką. Komicznie marszczyła czoło. Jakby chciała bóść – pomyślałem mimo woli. Przybierała niezbyt zachęcające pozy małomiasteczkowej nauczycielki. Lepsze wrażenie wywarł Wojtek, który raczej słuchał, a maniery miał wyszukane, jakby w ten sposób rzucał wyzwanie rządzącym jego krajem od ponad czterech dekad świniopasom. Odnosiłem wrażenie, że uprawianie polityki spr-

wia mu przyjemność, a takich ludzi po prostu lubiłem. Umówiliśmy się na kolejny raz. Młodzieżówka nosiła wtedy przydługą nazwę Organizacja Akademicka KPN „Orzeł Biały” – bo teoretycznie oprócz studentów mogli do niej należeć pracownicy uczelni, choć na razie zapisał się jeden tylko asystent z biologii. Kilka dni po zapoznawczym spotkaniu, już w mieszkaniu Wojtka na Bródnie złożyłem przysięgę konfederacką – do czego gospodarz i Kasia przywiązywali bez porównania większą wagę niż ja. Wkrótce większość kolegów „Orła Białego”, pisma akademickiej młodzieżówki, odbywała się u mnie w dwupoziomowym mieszkaniu profesorskiego domu przy Kopernika z oczywistych – bliskość Uniwersytetu i innych ważnych miejsc – względów. Dla „Orła” nie pracowały jednak wyłącznie profesorskie dzieci z bloków Polskiej Akademii Nauk ani przyszłe posłanki, jak Katarzyna Pietrzyk, sprawująca z listy Konfederacji mandat w pierwszym wolnym Sejmie 1991–1993.

Ponad rok minął, zanim mogliśmy spotkać się oficjalnie w odbitym „Pekinie” dawniej im. Józefa Stalina – bo w Pałacu Kultury dostała swoje biuro KPN. Jedną z dziennikarek Orła Białego Krzysztof Król znał od roku pod pseudonimem Nina Englender i był przekonany, że to prawdziwe nazwisko. Ale teraz zaproszono jakiś nowych, więc siedząc za stołem znów jak w kręgu przy ognisku przedstawialiśmy się po kolei.

– Nazywam się Grażyna Skibicka – oznajmiła domniemana Nina.

– Czym nas jeszcze zaskoczysz? – nie posiadał się ze zdumienia Krzysztof Król. Przebić wiceprzewodniczącego KPN w sztuce konspiracji to jednak osiągnięcie.

Ostatni japoński żołnierz w II wojnie światowej Shoichi Yokoi ukrywał się na wyspie Guam do stycznia 1972 r. Pojedynczy wyklęci trzymali się po lasach aż do lat 60. Nikt z kręgu „Orła...” nie walczył aż tak długo, ale jeszcze jesienią 1992 r. Skibicka odmówiła rozszyfrowania swojego pseudonimu na użytek powstającej wówczas w Instytucie Badań Literackich encyklopedii „Kto był kim w drugim obiegu”.¹³ Rozmowa nie

¹³ Por. *Kto był kim w drugim obiegu*. Słownik pseudonimów. opr. Cecylia Gajtkowska, Joanna Król, Irena Stemplowska, Dobrosława Świerczyńska. IBL PAN, Warszawa 1995.

toczyła się na atolu na Pacyfiku, ani w lasach janowskich, lecz na półpiętrze szpetnego niczym kosmodrom hangaru Agory przy Czerskiej, gdzie Grażyna redagowała zapomnianą już dziś Telefoniczną Opinię Publiczną – zdaniem wielu najciekawszą i najbardziej autentyczną część „Gazety Wyborczej”, a ja męczyłem się w publicystyce z Jarosławem Kurskim i Arturem Domosławskim, starając się dotrzeć do rozwiązania umowy za porozumieniem stron przed kolejnym transferem do telewizji.

Grażyna pochodzi ze Skępego na Kujawach, nie tyle daleko od szosy, co kilkadziesiąt kilometrów od Torunia. Wychowała się w internacie liceum w Lipnie, a nie bloku Polskiej Akademii Nauk, ale rozumieliśmy się doskonale. Zbliżyły nas literatura i idee, autorzy emigracyjni i rosyjscy dysydenci, protest-songi Jacka Kaczmarskiego i Jana Krzysztofa Kelusa. Łączyła niechęć do władzy. Nie dzieliliśmy się na *stoików* i *lemin-gi*, jak próbują poszatkować kolejne pokolenia zawistni nieudacznicy przedstawiający się jako dziennikarze, choć służący politykom za marne najczęściej pieniądze. Partyzantka tamta, miejska, ale i pokojowa, była inna, jeśli o kasę ktoś pytał – to na samym końcu i po robocie wzorowo wykonanej.

Ale też my, młodzi opozycjoniści z UW i okolic z 1988 r. mieliśmy niebywałe szczęście.

Znaleźliśmy się we właściwym miejscu i czasie, co nie wszystkim naszym rówieśnikom było dane.

ŚWIATŁO KSIĘŻYCA WE WŁOSACH

Ona wędruje po niebie / i ma światło księżycy we włosach / Słuchają jej motyle i zebry / Gotowe na jej głos / zmieniają swe powietrzne szlaki / zawracają z drogi do wodopoju / A ona idzie roztrzając obłoki / Mała czarodziejka(..) – pisała w wierszu dołączonym do listu datowanego „Los Angeles 26 lutego 1989” Joanna Borys. Pochodziła z Podlasia, a mieszkała wtedy w Hollywood, ale nie pracowała w przemyśle filmowym, tylko jako barmanka. Gdy my poszliśmy na studia, niektórzy – jak późniejszy wiceminister kultury w trzech rządach Tomasz Merta i ja – przyjęci bez egzaminu jako olimpijczycy, Aśka po roku wahania i wspierania narze-

czonego, punka o ksywie Heavy w ciężkiej walce o świadectwo maturalne, pojechała zarabiać pieniądze do Ameryki.

Ale niezależnie od życiowych wyborów prawie wszyscy sporo pisaliśmy i jeszcze więcej czytaliśmy. Prośbę Joanny o publikację wiersza z przyjemnością spełniam po 30 latach. Zwłaszcza, że nie powstał w łatwych warunkach. „Nie spałam ostatniej nocy w ogóle (...). Chyba trochę za wiele sobie pozwoliłam. A tu w kącie domu stoi sobie maszyna do pisania. Nigdy w życiu nie pisałam na maszynie i żeby się jakoś uspokoić, i skupić na czymś – wyciągnęłam ją, żeby zobaczyć jak pracuje” – relacjonowała znad Pacyfiku Joanna¹⁴, którą wcześniej poznaliśmy z wnikliwych i dowcipnych komentarzy do każdej niemal sytuacji w czasie jej wizyt w warszawskich kawiarniach i na imprezach w akademiku. Na kalifornijskie nastroje Aśki pewien wpływ wywarł *crystal*, odmiana koki i ostatnia, najwierniejsza pociecha emigrantów.

Nie musiał tak długo czekać ma druk wieczny prymus i olimpijczyk z dobrej i poukładanej rodziny, absolwent znakomitego choć noszącego imię komunistki Hanki Sawickiej liceum w Kielcach Tomasz Merta ze swoim wierszem „New Delhi”, stanowiącym połączenie egzotycznych fascynacji duchowych ówczesnego praktykującego buddysty z demokratycznymi odruchami przysłego zastępcy Kazimierza M. Ujazdowskiego i Bogdana Zdrojewskiego w trzech kolejnych rządach.

*obok ambasady Nepalu / jest rondo kilka riksż / czeka / policjant bije jednego z rikszarzy / w twarz / mocno / tamten tylko się zastania / pokorny bezradny / inni / sparaliżowani strach / patrzę / zmieniłem kontynent a przecież / nic nie zmieniłem*¹⁵ – tę impresję Tomka błyskawicznie opublikowaliśmy w „Orle Białym”. W prasie KPN oznaczało to swoistą rewolucję, wcześniej jeśli konfederackie tytuły drukowały poezje, to raczej patriotyczne rymowanki oparte na metrum zwanym zazwyczaj częstochowskim, bo ich autorom daleko było do Kazimierzy Iłakowiczówny, która piórem wspierała Marszałka, własny szlak skromnie nazywając ścieżką wokół jego drogi.

¹⁴ List Joanny Borys do Łukasza Perzyny z 26 lutego 1989, archiwum autora.

¹⁵ Tomasz Merta. *New Delhi*. „Orzeł Biały” nr 16, 15 października – 5 listopada 1989.

Komunizm nie obalił się sam, jego rozpadu nie wynegocjowali z władzami PZPR Lech Kaczyński w Magdalence ani Adam Michnik przy Okrągłym Stołem. Upaść pomogli mu przedstawiciele generacji, o której po latach Michał Kamiński powie, że *luksusem była dla niej puszka coca coli* – ale przy tym czupurnej i nieustępliwej. Nie zakulisowe manewry, ale wzmagająca się permanentna presja społeczna legły u podstaw zmiany ustrojowej. Młoda polityka, kultura i dziennikarstwo stały się niezmiernie ważną częścią tego nacisku już w chwili, gdy nikt nie rozróżniał braci Kaczyńskich ani nie miał pojęcia, która to posłanka Suchocka. Bez bliźniaków z Żoliborza czy prof. Geremka zmiana ustroju byłaby równie możliwa, natomiast bez studenckich barykad na ulicach Krakowa i majowego strajku na trawnikach UW – wykluczona, bo doszłoby co najwyżej do korekt w składzie biura politycznego partii rządzącej. Pamiętacie Państwo żart rysunkowy z lat 80? Obywatel wpatrzony w półlitrową flaszkę i podpis: *socjalizmu nie da się obalić...* Bez upiększeń, taka była ówczesna świadomość inteligencji żoliborskiej i elit korowskich. Dlatego też nie oglądaliśmy się na jednych, ani na drugich. Robiliśmy swoje. Ciekawie. I niebanalnie. Jeśli trzeba – gorszyliśmy.

Wiosną 1989 roku Auditorium Maximum UW naładowane było do ostatniego miejsca i przygotowane jak na akademię. Między Okrągłym Stołem a wyborami czerwcowymi Jacka Kuronia z równym namaszczeniem oklaskiwały „kółka różańcowe” wykładowczyń z polonistyki i nawróceni marksiści z dziennikarstwa i nauk politycznych. – Czy są pytania? Były.

– Nazywam się Ferreras, jestem z KPN-u. Dlaczego totalny Komitet Obywatelski wystawia swoich kandydatów w demokratycznych wyborach? – próbował się dowiedzieć nasz kolega z wydziału historii. Z formalnego punktu widzenia Manuel Ferreras-Tascon miał rację, członków KO nikt nie wybierał, mandat swój zawdzięczali wskazaniu palcem przez Wałęsę. Kuroń nie odpowiedział wprost, zaczął przynudzać, że pytanie głupie... A prymasowskie ciotki z polonistyki i nowa lewica z WDiNP mało apopleksji w tym dusznym *Audi-Maksie* nie podostawały. Fani solidarnościowej większości w odróżnieniu od obecnych *zakapiorów* z PiS

nie próbowali szarpać zadających niewygodne pytania, pod tym względem kultura polityczna sprzed 30 lat przewyższała obecną, a o dzisiejszych patriotach przez ryj pisanych nikt wtedy nie słyszał.

Za to młodzi z naszego pokolenia niepodległości wprawiali w zakłopotanie dyżurnych szamanów, pisywali wiersze po obu stronach Oceanu, a czasem sublimowali w literackie lub dziennikarskie świadectwo doświadczenia z pobytu na innych kontynentach. Wprawdzie mistrz pióra i wykładowca z dziennikarstwa Krzysztof Kąkolewski przestrzegał adeptów: „nie piszcie wspomnień z podróży, to nie jest prawdziwy reportaż”, ale ci go na szczęście nie słuchali i skrupulatnie notowali zwożone z kolejnych wyjazdów wrażenia. A byliśmy pokoleniem w drodze.

„Orzeł Biały” oczywiście nie stworzył żadnej z tych tendencji, tylko umiejętnie się w nie wpisał. I za to, a nie tylko za późniejsze kariery i dramaty jego redaktorów warto zapamiętać i szanować ten tytuł.

KONFEDERACI I BEZPARTYJNI

„Orzeł Biały” redagowali: Katarzyna Pietrzyk jako naczelna, Wojciech Gawkowski, Łukasz Perzyna, Grażyna Skibicka i Tomasz Merta. Dwoje pierwszych studiowało prawo, reszta z nas polonistykę. Troje pierwszych należało do KPN, dwoje pozostałych pozostało bezpartyjnymi. W biografii „Poeta na urzędzie” udowodniliśmy z Beatą Mikluszką, że pogłoska o przynależności Merty do KPN jest wyłącznie mitem, być może zawniesionym, zrodzonym już po Smoleńsku, gdzie Tomek zakończył tragicznie swoją ostatnią misję wiceministra rządu Donalda Tuska¹⁶. KPN potrzebowała Tomasza jako intelektualisty zainteresowanego polityką, a nie kolejnego numeru legitymacji członkowskiej. Bezpartyjna pozostała również wybitnie zdolna analityczka Grażyna Skibicka, już wtedy pasjonująca się kulturą Rosji i narodów b. ZSRR, za sprawą swej miękkiej charyzmy znajdująca przyjaciół pod wszystkimi długosciami i szerokościami geograficznymi. Z nią badacze pożałuj Boże, pracujący „na kwitach” mogą mieć pewien problem – gdy od początku 1989

¹⁶ Por. Beata Mikluszka, Łukasz Perzyna. *Poeta na urzędzie*. Akces, Warszawa 2011.

zaczęliśmy publikować skład redakcji, jej nazwisko się w stopce nie znalazło. Zdecydowała o tym ewangeliczna skromność Grażyny. Po prostu sobie tego nie życzyła, a my uszanowaliśmy jej obiekcje. Akademicka KPN nie była bowiem środowiskiem, w którym narzucano innym poglądy i rozwiązania. Szliśmy razem, ale wielobarwnie. Jeśli ktoś spyta, czym różniliśmy się od ZSP, jego paradujących od święta w czerwonych krawatach buraczanych aktywistów i ich nudnych niczym publicystyka Marka Króla biuletynów – to właśnie tym.

Hybrydowy – jak byśmy dzisiaj powiedzieli – skład redakcji „Orła..” stanowił efekt jednej z ożywionych debat, jakie w 1988 r. toczyliśmy w moim mieszkaniu przy Kopernika. Gdy Katarzyna i Wojciech skarżyli się na dotychczasowy poziom pisma, zaproponowałem wzmocnienie „Orła...” dwójką bezpartyjnych z mojej polonistyki, wyróżniających się kreatywnością i szczerym antykomunizmem oraz – co rzadkie na najbardziej bałaganiarskim z wydziałów – zmysłem organizacji wewnętrznej pozwalającym przypuszczać, że nie wysadzą w powietrze inicjatywy, do której zostaną wprowadzeni.

Miałem już wtedy za sobą szkołę milczących protestów przeciw stanowi wojennemu w Liceum Batorego, gdzie najokazalsza z cichych przerw odbyła się 16 lutego 1982 r, a opozycyjne działania inicjowali Ewa Bogaczyk z mojej klasy i Boguś Korzeniowski. Przyjezdni konspiracy uczyli się dopiero na studiach.

Nie za całą opozycją jeszcze wtedy chodzili smutni panowie, ale za KPN na pewno wciąż tak, wiadomo było bowiem, że Moczulski z Królem i Janiszewski ze Słomką nie zamierzają komunizmu ulepszać, reformować ani cywilizować tylko go obalić. Minimalnych reguł ostrożnościowych staraliśmy się więc dochować. Dlatego Skibicka ze zmieniającym parę razy po drodze autobusu Gawkowskim umówiła się pod kawiarnią „Gwiazdeczka” na Starówce. Jeśli wszystko byłoby OK, mieli wejść do środka. Spotkanie zapoznawcze zaczęli z lekkim opóźnieniem, bo Grażyna źle zapamiętała, że Wojtek nosi brodę. Parokrotnie minęła więc obojętnie studenciaka o wyglądzie cherubinka w okularach, bo tak prezentował się wtedy lider akademickiej KPN.

Brodę Gawkowski zapuści dopiero kilkadziesiąt lat później, już jako ceniony adwokat.

Ciężko pobity przez milicję podczas demonstracji 11 listopada 1988 r. na Krakowskim Przedmieściu Wojciech Gawkowski parę dni później awansował na przewodniczącego Organizacji Akademickiej KPN „Orzeł Biały”. Zwolnił dla niego tę funkcję sympatyczny grubas Stanisław Mazurkiewicz, który sam z kolei objął kierownictwo warszawskiej struktury Konfederatów. Stach, jak już wspominałem, był rodzonym wnukiem bohatera Armii Krajowej i Powstania Warszawskiego – generała Radosława. Nieżyjący już wtedy Jan Mazurkiewicz pozostał dla nas legendą, a mieszkanie jego wnuka przy Angorskiej – konfederacką instytucją. Gościło niezliczoną liczbę zebrań i debat, zaś abnegacja gospodarza sprawiała, że co bardziej kulturalni z gości nie musieli się frasować, że nabałaganili. Raz tylko słyszałem, żeby Stach u siebie posprzątał – przed moją wizytą na Saskiej Kępie wraz z ekipą telewizyjną już po zmianie ustrojowej. Na co dzień młody Mazurkiewicz chodził w starych swetrach co kiedyś były niebieskie, przez nie niekiedy prześwitywało nagie ciało – bo zajęty swoimi pomysłami budowy nowego, tym razem antykomunistycznego PAX-u lub dogadania się bezpośrednio z Wafęsą z pominięciem Moczulskiego nie miał czasu na zadbanie o garderobę. W grze frakcyjnej Mazurkiewicz i Gawkowski tworzyli grupę „Sanacja”, nazwaną tak od warszawskiego biuletynu KPN, niechętną „Familii” Króla: ta druga nazwa, z założenia pejoratywna, nie była zresztą obraźliwa, bo oznaczała przecież kiedyś obóz reform z XVIII wieku. Wtedy jednak wszyscy płynęliśmy wciąż na tym samym okręcie. Z pewnością fakt zasiadania w redakcji również szefa organizacji akademickiej przyczyniał się do faktycznej autonomii pisma. Podobnie jak niechęć Leszka Moczulskiego do wszelkich form cenzury oraz dostrzegalna u Krzysztofa Króla tendencja do zagospodarowania wokół nurtu niepodległościowego trustu najtęższych mózgów i piór z młodych roczników – znowu wzorem Legionów Piłsudskiego. Dlatego o przyszłości planety i jej zasobów w ujęciu globalnym pisywał do „Orła Białego” Zbigniew Maliński, wtedy magistrant z SGGW, teraz specjalista od środków ochrony roślin

w Ministerstwie Rolnictwa¹⁷. Recenzje zamawialiśmy u Tomasza Jopkiewicza, kinomana o wyglądzie taliba, później oceniającego filmy w chyba kilkunastu tytułach prasowych. Nie traktowaliśmy ich jako sztuki dla sztuki, analiza przejmującego *Krótkiego filmu o zabijaniu* Kiesłowskiego otwierała u nas dyskusję o karze śmierci.

Znajdowałem sposób na to, gdy ktoś zatrzymywał mi tekst, co zdarzyło się dwa razy. Pierwszy artykuł zdjął Król, który wściekł się, bo uznał za... antysemickie moje oburzenie powołaniem towarzystwa przyjacieli polsko-izraelskiej akurat w chwili, gdy żołnierze izraelscy strzelali do dzieci palestyńskich podczas pierwszej intifady, wojny kamieni, co dla mnie nie różniło się niczym od zakatowania Grzegorza Przemyska przez zomowców. Drugi felieton odrzucił mi Gawkowski, kiedy wziąłem... właśnie Żydów w obronę przed prymasem Józefem Glempem po jego niezręcznym wystąpieniu w sprawie oświęcimskiego klasztoru karmelitanek, stojącego na ziemi, uznawanej przez ocalonych z Holocaustu za uświęconą przez męczeństwo siostr i braci... Za każdym razem, gdy tak się działo, robiłem smutną minę i głośno frasowałem się, jak „Orzeł...” poradzi sobie bez tekstów mojego autorstwa lub przeze mnie zamawianych. Skutkowało na pewien czas, nie czepiali się więcej.

Nie byliśmy sektą, raczej gronem dobrych znajomych, których skupiał wspólny cel: zaszkodzenie komunie dopóki trwa i przybliżenie Polaków do tego, co po niej nastąpi. To nas łączyło, różniło wiele.

Katarzyna Pietrzyk pisała pracę magisterską o Józefie Piłsudskim i wyróżniające się ekspresją wiersze. Studiowała bardziej w czasie wolnym od działalności, zwykle mknęła z jednego spotkania na drugie. Raz zdarzyło się, że na zaplanowane w jej domku na Grochowie kolegium „Orła...” nie dotarła... sama gospodyni. Stanęli wtedy na wysokości zadania jej rodzice, wpuszczając nas do środka, podając kawę i herbatę, żebyśmy sobie podyskutowali. Kasia uwielbiała wielogodzinne posiedzenia, często zresztą były one koniecznością, jak u mnie na Kopernika, gdy do trzeciej

¹⁷ Por. Andrzej Wilkowicz [Zbigniew Maliński]. *Przebudzenie zielonej planety*. „Orzeł Biały” nr 15 z 1-15 października 1989.

nad ranem na podłodze kleiliśmy we dwoje makietę najnowszego „Orła Białego”. Nawet z użyciem świeżo przywiezionych przeze mnie z Bundesrepublik letrasetów (w papierniku w Hanowerze prostoduszni Sasi nie mogli się nadziwić, po co studenciakowi z Polski materiały piśmienne w takiej ilości, z początku podejrzewali, że władający lektoratową niemczyzną klient myli liczebniki) – musiało to potrwać. A ponieważ sporo przy tym się miotaliśmy, czasem coś spadło, stękaliśmy z wysiłku i jęczyliśmy, gdy coś się nie udało – sąsiedzi w mocno akustycznym bloku byli przekonani, że uprawiamy ostry seks w stylu modnego wtedy *Dziewięć i pół tygodnia* Adriana Lyne’a z pięknie rozebraną Kim Basinger. Ich zgodne przeświadczenie sprzyjało konspiracji.

Gdy swoją burzę mózgow i casting organizował Teatr Akademicki, wspierająca go Kasia, która na spotkanie przyjść nie mogła z powodu kolizji terminu z jakimś konfederackim capstrzykiem – dostarczyła mi jako kierownikowi literackiemu kasetę ze zgrabną prezentacją, w tym nagrania własnych wierszy. Dziś takie demo okazuje się standardem, ale wtedy wywołało zainteresowanie i podziw, bo regułą pozostawało pisanie życiorysów na papierze podaniowym z przepisowym marginesem. Dziewczyny z Bydgoskiego pragnące zostać amatorskimi na początek aktorkami rozdziwiały buzie, słuchając jak peweksowski kasetowiec Sony za 120 baksów trochę rżęząc interpretuje głosem nieobecnej Kasi jej niezwykle poezje. „Dobre wiersze, chłodne i intelektualne, w niczym nie przypominają standardowej poezji kobiecej. Kasia uznaje je za uboczną formę istnienia” – pisałem w „Res Publice”¹⁸.

Przyszła posłanka Pietrzyk miała dar przyciągania interesujących osobowości: to za jej pośrednictwem poznałem Jerzego Wawrowskiego, który z czasem stał się wnikliwym analitykiem nurtu niepodległościowego. Kasia zaprosiła na kolegium „Orła Białego” Pawła Mandaliana. Nie znał się na zasadach konspiracy, chociaż jego ojciec Andrzej Mandalian został autorem znakomitej groteski wyszydającej stan wojenny, wydanej w drugim obiegu powieści *Operacja Kartagina*, której głównym

¹⁸ Łukasz Perzyna. *Idź się uczyć!* „Res Publica” nr 1 z 1991, s. 74.

bohaterem był pułkownik dyplomowany docent Półpizdek. Syn jednak studiował iranistykę i bujał w obłokach, więc na długo przed Okrągłym Stołem nacisnął guzik domofonu i oznajmił mamie gospodarza, że on na zebranie KPN-u, ale nie wie, czy dobrze trafił. Młody Mandalian formalnie nie przystał do nas, ale udzielał bezcennych wskazówek, a zainteresowania miał renesansowe i wiedzę podobnie rozległą. Gdy w 1991 r. jako kierownik tworzyłem dział krajowy liberalno-demokratycznego dziennika „Obserwator Codzienny”, zaraz pomyślałem o Pawle i jego rozlicznych talentach. Komórek nie było, zadzwoniłem na telefon domowy Mandalianów.

– Paweł mieszka w Berlinie, ma tam żonę i dziecko – oznajmił mi ojciec pisarz, a w jego głosie wyczułem nutę smutku. Zmartwiłem się zresztą i ja, bo stolicą zjednoczonych Niemiec było jeszcze wtedy Bonn, więc w Berlinie nie potrzebowaliśmy korespondenta, zaś zanim nadeszła epoka siania artykułów przez internet musiało jeszcze upłynąć kilka lat.

Przyszły mecenas Gawkowski już wtedy lubował się w konserwatywnych strojach. Gdy ja chodziłem w skórzanej kurtce, Merta w dzinsowych wdziankach z Peweksu, a wielu kolegów w powyciąganych swetrach – Wojtką najczęściej widywało się w marynarce, zimą zaś nie w puchówce tylko w płaszczu w angielskim stylu. Dyskutował starannie dobierając słowa. Nigdy nie używał wulgaryzmów, a gdy ktoś się temu dziwił – przypominał rozmowę Wałęsy z bratem. W odróżnieniu od Katarzyny – niecierpliwił się zwykle, gdy w Harendzie czy na którejś z uniwersyteckich ławek rozmowa schodziła z polityki na inne tematy. Różniliśmy się, bo gdy ja upatrywałem sojusznika w licznych wtedy PPS-ach (działały trzy partie o tej nazwie), punkującym Ruchu Społeczeństwa Alternatywnego a nawet Międzymiastówce Anarchistycznej – on marzył o wspólnym froncie prawicy. Podśmiewaliśmy się trochę z Wojtką, że nie tylko ma skrajne poglądy, ale w dodatku jeszcze mieszka przy ulicy Skrajnej – taki rzeczywiście był jego adres na Bródnie. Gdy na Kopernika oblewaliśmy w osiemnaście osób mój dyplom – a było co czcić, bo ukończenie studiów w terminie stanowiło wtedy ewenement – Wojtek jako jedyny obok mnie, gospodarza, pił wino, a nie wódkę czy-

stą lub z colą i zamiast się beztrudno bawić wdał się w długą pogawędkę z Andrzejem Szozdą z mojego wydziału, *sophisticated*, jak mówią Amerykanie, na temat wzajemnych relacji NZS i KPN. Charakterystyczny tembr głosu Wojtka, sprawiający że przez telefon nie dało się go z nikim pomylić oraz staranna dykcja przesądzały już wtedy, że zostanie adwokatem – i tak się stało.

Tomasza Mertę równie często jak na wydziale polonistyki, gdzie razem studiowaliśmy, widywałem na elitarnych spotkaniach – w Kościele Wszystkich Świętych, gdzie w podziemiach pokazywano *Blaszany bębenek* Volkera Schloendorffa i *Miłość w Niemczech* Andrzeja Wajdy, na katakumbowych wieczorach pisarzy od Jana Polkowskiego po Ryszarda Krynickiego, dyskusjach w Klubach Inteligencji Katolickiej oraz debatach na socjologii czy historii. Zawsze był mózgowcem, nigdy liderem, przy niepozornym wyglądzie sprawiał wrażenie, że wszystko przeczytał i wie. Nawet uczestnicy spotkań spoza uniwersytetu doskonale kojarzyli „człowieka z Kielc”, bo stamtąd pochodził Tomek. Spotkaliśmy się więc w pół drogi i na pisanie do prasy KPN nie musiałem go namawiać. Najwyżej cenił Normana Podhoretza i innych konserwatystów amerykańskich, a za ich przykładem zgodził się również kształtować redakcję, jak przystało na ceniącego własne instytucje reprezentanta myśli zachowawczej. Nawet, gdy zajmował się tematami z pozoru egzotycznymi jak Tybet – spod jego pióra wychodziły eseje, stające się mocnymi czołówkami naszej bibuły¹⁹. Za swoich mistrzów uznawał Toqueville’a i Raymonda Arona.

Za to Grażyna Skibicka pochodziła ze skromnej rodziny i środowiska. Gdy już na naszych drugich studiach – dziennikarskich – jako „czynnik studencki” zasiadłem w komisji, rozdzielającej akademiki, szacowne gremium zamierzało wniosek o miejsce dla Grażyny w barakach na Jelonkach pozostałych po radzieckich budowniczych Pałacu Kultury uwalić bez rozpatrywania. Powód?

¹⁹ Por. Olaf Kalinowski [Tomasz Merta]. *Komunizm na dachu świata*. „Orzeł Biały nr 14 z 28 maja 1989.

– To niemożliwe, żeby w 45 lat po wojnie dochód na głowę w rodzinie był tak niski – argumentował jeden z młodych wykładowców, wyraźnie wczorajszy.

– Moment – usadziłem go zaraz. – Akurat tak się składa, że znam tę osobę. A poza tym proszę spojrzeć, panie adiunkcie, podanie poświadczony w gminie spełnia wszystkie wymogi formalne...

Dziewczyna akademik dostała.

Wcześniej Grażyna nie miała jednak lekko na polonistycę. Ubierała się skromnie, więc wydziałowe córki prominentów – zazdrosne o to, że w odróżnieniu od nich zdaje egzaminy – przezwwały ją „czarownicą z bagien”. Nie umiała się odwinąć. Cierpiała w milczeniu, póki dyskretnej opieki nad nią nie roztoczyły dzieci profesorskie – oprócz mnie również Olga, córka filozofa Jerzego Niecikowskiego, autora przejmującej powieści „Reguły gry” zainspirowanej sprawą zabójstwa ks. Jerzego. Nie porozumiewając się nawet nawzajem, milcząco uznaliśmy, że komuna może rządzić w kraju, taka jej mać... Ale na wydziale... jej niedoczekanie... I gest Kozakiewicza z olimpiady w Moskwie. Opinię o koleżance wyrabialiśmy sobie bez pomocy bywalców czerwonych Hybryd. Warto było. Szybko okazało się, że Grażyna jest osobą chłonną i obowiązkową, doskonałą rozmówczynią o niebanalnych zainteresowaniach. Dyplom przygotowała o Gustawie Herlingu-Grudzińskim. Napisała do niego list, w odpowiedzi dostała widokówkę z Neapolu. I coraz częściej dziewczucha z wielodzietnej rodziny z Włocławskiego pojawiała się w miejscach, do których jej prześladowczyń, potomstwa czerwonej burżuazji nikt by nie zaprosił. W „Wiacie”, piśmie Teatru Akademickiego ukazało się zdjęcie podpisane: „Gustaw Holoubek z zespołem”. Widniały na nim dwie osoby: wielki aktor i Grażyna. W Lipnie mieli o czym gadać i strasznie się dziwowali...

Dla „Orla Białego” okazała się Skibicka cenną analityczką, łączącą „czucie i wiarę” ze „szkiełkiem i okiem”. Podziwiano ją. Również kolejni jej pracodawcy w wolnej Polsce: Agora-Gazeta, Axel Springer, Uniwersytet Warszawski czy wielka firma medialna inwestująca na Ukrainie – mogli być z niej zadowoleni. Po zmianie ustroju Grażyna zjeżdżała niemal

cały świat, wybierała się do Australii na kurs językowy i do Azji Środkowo-Wschodniej na objazd z plecakiem, a przyjaźnie nawiązywała zarówno w Moskwie jak i w Brukseli, Uzbekistanie jak w Szwajcarii. Rezydowała przez trzy lata w Kijowie, gdzie wdrażała projekty dużej polskiej firmy i po rosyjsku komenderowała zespołem ze 20 *mołodyc* z tamtejszej klasy średniej. Kiedyś ciepło żartowaliśmy, że w każdym z niezliczonych wynajmowanych mieszkań Grażyna stara się zorganizować salon polityczno-literacki. Klimat rzeczywiście stwarzała wyjątkowy. Gdzie indziej chodziło się z obowiązku albo uklepywać jakieś *deale*, do niej zaś – z przyjemnością. Dziś ma świetną pracę w korporacji i urzędzone w stylu prowansalskim mieszkanie na Starych Bielanach. Często bywa w operze i wie wszystko o wydarzeniach kulturalnych dziejących się w promieniu kilkuset kilometrów od Warszawy. Ale żeby nie było jak w produkcyjniaku... Czarownica z bagien powraca wciąż w jednym wcieleniu: proszona o pomoc przez kogoś z dawnych protektorów, Grażyna głośno pomstuje i lamentuje, ale ostatecznie wyzaliwszy się, prośbę spełnia. Gdyby socjalizm nie upadł, życie większości spośród *pierwszej piątki* wyglądałoby nieco inaczej, ale robilibyśmy prawie to samo: Wojtek też zostałby adwokatem, Kasia pracowałaby dla Rzecznika Praw Obywatelskich, zaś ja zamiast biografii Andrzeja Ostoi-Owsianego i książek o KPN pisywałbym może o literatach emigracyjnych. Grażyna zmianie ustrojowej zawdzięcza wiele, ale też – na jednostkową miarę – mrówczo i twórczo na nią zapracowała.

CZYTELNIK NARĘCZNIE ZDOBYWANY

Każdy, kto dotknął polityki choćby w jednej kampanii wyborczej dowiedział się, że nie ma jak marketing bezpośredni. Osobiście zdobyłem przynajmniej dwóch zwolenników „Orła Białego”.

Na korytarzu polonistyki dopadł mnie Krzysztof Jaszczółt, jeden z najbystrzejszych na wydziale. Ceniony działacz samorządu studenckiego był tak rozeźlony, że z trudem dało się uwierzyć, że zalicza się do frakcji umiarkowanej. Wiedział, że działam w KPN. W ostrych słowach zarzucił nam, że przy okazji każdego mitingu na Uniwersytecie próbujemy wyprowadzać ludzi za bramę wprost pod pałki ZOMO. Rzeczywi-

ście ukazała się wtedy ulotka KPN „Spotkajmy się na ulicach”, o którą pretensję miały zarówno samorząd jak NZS. My zaś NZS uznawaliśmy za maminsynków i bojących dudków, obłudnych karierowiczów i taki trochę lepszy „zsymp”. Dzisiaj rano do sedesu wpadł mi znaczek en-zet-esu – deklamowało się złośliwie w gremiach konfederackich. A z samorządem się liczyliśmy, pamiętając, że gdyby nie pozytywiści i ich praca organiczna – legionieści Piłsudskiego po obaleniu słupa granicznego w Michałowicach wkrczaliby w sierpniu 1914 na tereny rosyjskojęzyczne i zamieszkałe przez ludność indyferentną narodowościowo. Uznałem, że skoro Jaszczółt we mnie kamieniem, to ja w niego chlebem.

– Napisz to, opublikujemy w „Orle Białym” – Zaproponowałem od razu.

– Akurat. I tak tego nie zamieścicie – Nie dowierzał samorządowiec.

– Napisz, co ci szkodzi, zobaczysz – Użyłem najrozsądniejszego z argumentów.

Parę dni później wręczył mi artykuł. Zaś ja jemu po tygodniu – KPN-owską gazetkę z wydrukowanym tekstem. Znalazł się i podziękował wylewnie. A ja zyskałem namacalny dowód na pluralizm konfederackiej prasy, ale też jednego jej na zawsze już życzliwego czytelnika. Jaszczółt politycznych zamiłowań nie porzucił, pracował potem dla Michała Boniego.

Drugiego zaprzysięgłego fana Orła zdobyłem drogą marketingu nie tylko bezpośrednio ale... naręcznego.

Rok akademicki 1987/88 kończył się dla opozycji na uczelni doskonale – wiecem na dwudziestolecie Marca i majowym strajkiem – ale zaczynał podle. Władza zmniejszyła represje, więc oburzenie nie wzrastało, a „Solidarność” sprawiała wrażenie pogubionej. Wielu studentów nie chciało prasy drugiego obiegu brać... nawet za darmo.

Wziąłem się wtedy na sposób i zabierałem plik „Orłów Białych” na studium wojskowe. Pomysł przyniósł świetny efekt. Wysłuchujący opowiadanych przez *trepów* bredni (politruk w stalowym mundurze lotnika, skacowany po weekendzie na działce, którego wtedy jeszcze nie nazywano grillowaniem, oznajmił w trakcie wykładu, że pierwszym królem

Polski był Bolesław Bierut, po czym sam zaczął się z tego śmiać) studenci zgrzytali zębami na komunę, a w przerwach chętnie wyciągali ręce po bibułę. Dotyczyło to jednak polonistyki. A na studium chodziliśmy z naukami politycznymi, wydziałem – niesłusznie, jak pokazały późniejsze strajki – identyfikowanym z kuźnią kadr czerwonych urzędników. Gdy w przerwie na korytarzu ostentacyjnie wyciągnąłem „Orła” w kierunku jednego z przyszłych politologów, zareagował nerwicowo niczym alumn seminarium duchownego na widok „Playboya”:

– Weź to schowaj.

Pod koniec dnia zajęć podszedł jednak i sam o bibułę poprosił, tyle że gdzieś w kącie przy kiblu. Na szczęście wszystkich egzemplarzy jeszcze nie rozdałem.

Po kilku tygodniach kolega z nauk politycznych, gdy tylko mnie spostrzegł, krzyczał już z daleka, nie bacząc na to, ilu przeszkolonych na wschodnich poligonach zielonych ludzików płacze się po korytarzu studium:

– Łukasz, masz nowego „Orła...”?

Do reklamy pisma przyczynił się wydatnie prof. Jerzy Bralczyk. Prowadząc zajęcia warsztatowe na podyplomowym dziennikarstwie UW przystał na to, żeby omawiać na nich odczytywane głośno artykuły z „Orła Białego”: mój o Ryszardzie Reiffie oraz Mirosława Harasima o Tadeuszu Mazowieckim. Zaś Harasim – wytrwały społecznik o imponującej wrażliwości – to kolejna postać z naszego środowiska, która wpłynęła na kształt nowej Polski, pełniąc kierownicze stanowiska w Polskiej Agencji Prasowej.

NETWORK ORŁA CZYLI WSZYSCY NASI PRZYJACIELE

„Orła...” jako pisma barwnego i inspirującego nie byłoby bez osób nas wspierających. Skupiliśmy wokół tytułu liczne i różnorodne grono. Z czasem okazywało się, że jeśli w akademickim piśmie mieliśmy więcej dobrych tekstów niż stron, by je pomieścić – za wiedzą autorów oferowaliśmy nadwyżki „Gazecie Polskiej”, pismu „dorosłej” KPN, niemającemu nic wspólnego z obecnym nienawistnym pisowskim przekaziorem

o tej samej nazwie, sporo za to – ze swoim imiennikiem doby sanacyjnej, tak dobrze wtedy służącym Polsce piórami swoich wybitnych redaktorów: Koca i Miedzińskiego, Wierzyńskiego i Kaden-Bandrowskiego .

Agata i Mirosław Reszewiczowie pojechali z rodzinną wizytą pod Gródek Jagielloński. Wtedy była to jeszcze Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka. W zgrabnym reportażu opisywali warunki życia rodaków za kordonem. Od życzliwych gospodarzy otrzymali przed powrotem żmudnie wystaną w wiejskim sklepie kielbasę jako prowiant na drogę. Wręczono im ją z dumą jak cenny rarytas. Po starannym obejrzeniu i obwąchaniu nie zaryzykowali konsumpcji nawet wygłodniali w ciągnącej się, jak to w tamtych czasach, podróży. Już w rodzinnym domu Agaty nakarmiony kielbasą z Ukrainy wiejski pies chorował po niej kilka dni. Anegdotę o wędlinie zza kordonu jako przyczynie niestrawności podłomżyńskiego Burka usłyszałem później na uniwersytecie i poza nim od czterech czy pięciu osób. Dla dziennikarza to lepszy niż miejsce w przeglądach prasy dowód, że pismo żyje naprawdę, bo jest czytane... To od ojca Agaty, hodowcy lisów z Brzózek-Falek pod Wysockiem Mazowieckim usłyszałem na jej weselu po raz pierwszy o Huzarze, lokalnym dowódcy żołnierzy wyklętych. Zналиśmy już wtedy z lektur Łupaszkę i Ognia.

KPN działała półjawnie, ale poligrafia i część kolportażu musiały być zadołowane, żeby przetrwać. Z półsłówek, rzucanych na kolegiach, zorientowałem się, że adres u Miśka na Tarchominie pozostaje jednym z najważniejszych dla naszego networku. Tajemnicze to było jak mityczna Centrala J-23 Hansa Klossa. Nazwisko Janiszewski – oraz samego Michała wraz z jego niepowtarzalnym poczuciem humoru poznałem dopiero w czasie, gdy zmieniał się ustrój, a dekadę później jako jedyny w mediach mainstreamu opublikowałem wywiad z nim o poselskiej lustracji jednego z liderów SLD, bo taki wniosek złożył Misiek w trakcie swojej drugiej – jak na razie ostatniej – sejmowej kadencji.

Oprócz starszych kolegów wspierali nas i młodszy. Ówczesny 19-latek Jerzy Woźniak z młodzieżówki „Świt Niepodległości” i liceum księgarskiego im. Żeromskiego tak zapamiętał burzliwą wiosnę 1988 roku:

„Mieliśmy doskonały punkt z kolegą Sławomirem Gąsiorem. Odbywaliśmy właśnie praktyki szkolne w księgarni wojskowej przy Krakowskim Przedmieściu. To był przełom kwietnia i maja 1988. Na Uniwersytecie Warszawskim wrzało. Przed bramą ludzie z NZS-u rozdawali bibułę. Cyklicznie odbywały się wiece, spotkania informacyjne, które prowadzili ludzie opozycji. Obaj jako działacze młodzieżówki KPN staliśmy się dzięki miejscu pracy rodzajem skrzynki kontaktowej dla naszej organizacji. Za ladą księgarską nie budziliśmy podejrzeń. Bywał u nas nawet sam przewodniczący Konfederacji Leszek Moczulski. Staszek Mazurkiewicz, Wiesiek Gęsicki zostawiali materiały (...). Do bramy UW było kilka kroków. Bez problemu po pracy docieraliśmy z <towarem> na miejsce. Na Uniwersytecie działali nasi starsi koledzy z Organizacji Akademickiej KPN «Orzeł Biały». (...) Pamiętam również noc spędzoną na ławce chyba na wydziale historycznym UW. Było nas kilku działaczy młodzieżówki KPN: Robert Małłek, Tomasz Błoński, Tomasz Andrzejewski, Sławomir Gąsior, chłopaki z Polskiej Organizacji Młodzieżowej, studenci z NZS-u i «Orła Białego». Uniwersytet wydawał się wtedy taką małą enklawą wolności»²⁰.

Najmocniej jednak zapamiętaliśmy tych, którzy ryzykowali więcej od nas. Jacek Madany, podobnie jak przywołana wcześniej Joanna Borys, nie poszedł na studia, jednak w odróżnieniu od Aśki do Kalifornii nie trafił, bo poborowym paszportów nie wydawano. Przed ludowym wojskiem przechowywał się w pomaturalnej szkole kształcącej kadry dla socjalistycznych biur podróży takich jak Harctur, Almatu czy Gromada. W nazwie miała „studium informacji turystycznej”, co pułkownik z wojskowej komendy uzupełnień skojarzył z... informatyką. I posłał Jacka już jako jej absolwenta do jednostki MSW, zawiadującej wprowadzanymi wtedy PESEL-ami. Jednym słowem – ewidencją obywateli. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. W chronionej niczym forteca jednostce na Szczęśliwicach Jacek poznał swoją księżniczkę.

²⁰ Uniwersytet wydawał się wtedy taką małą enklawą wolności. Lawina bieg od tego zmienia po jakich toczy się kamieniach. [portal internetowy] Mazowiecka Wspólnota Samorządowa, dostęp 8 maja 2018.

Zawsze podkreślał, że żona jest tylko pracownicą, a nie funkcjonariuszką MSW. A nam zaoferował prawdziwą bombę informacyjną, dzieląc się wiadomościami, do których zawodowi opozycjoniści z „Tygodnika Mazowsze” czy „PWA” po prostu nie mieli dostępu, bo niby skąd...

Czołówką jednego z numerów „Orła Białego” z 1988 r. stał się napisany pod kafkowskim pseudonimem Maciej Paraluch artykuł „Kulisy spisu powszechnego”. Pokazywał, do jakich celów MSW Kiszczaka może użyć danych zebranych przez rachmistrzów. I kim oni są: „(..) połowa rekrutować się będzie z funkcjonariuszy w cywilu, z uwagą, że będą to najbardziej spostrzegawczy i w miarę obrotni”²¹. I dalej: „obecnie prowadzone są kursy przygotowawcze dla przyszłych rachmistrzów (mam na myśli oczywiście czynnik społeczny). Podobno na zajęciach studenci zadawali niedyskretne pytania. Ciekawi zostali natychmiast wyłączeni z kursu i ze spisu. Wymaga się podpisywania zobowiązań o zachowaniu tajemnicy”²². A jeśli nie? Na zakończenie autor precyzyjnie określał, na jakie ryzyko sam się wystawia, publikując u nas tekst na ten temat: „za przekazanie danych o całym przedsięwzięciu (...) grozi już 5 lat więzienia bez zamiany na grzywnę”²³. Jacek Madany wprowadził za kraty nie trafił, ale też nowa Polska nie dała mu orderu, jedynym jego uhonorowaniem okazał się krótki biogram w dzielnie wydanym przez Instytut Badań Literackich – bez późniejszego IPN-owskiego zacietrzewienia – słowniku pseudonimów „Kto był kim w drugim obiegu”²⁴ Jacka, który potem prowadził własne biuro turystyczne, nie ma już wśród nas, pokonała go ciężka choroba. Córka Madanego, geniuszka komputerowa Paulina asystowała mi w „Tygodniku Solidarność” przeprowadzając – a miała wtedy 19 lat – świetny wywiad o sporcie, polityce i olimpiadzie w Pekinie ze sprinterką multimedalistką Ireną Szewińską. A każdy, kto zetknął się bezpośrednio z nieżyjącą już niestety „Irenissimą” wie dosko-

²¹ Maciej Paraluch [Jacek Madany]. *Kulisy spisu powszechnego*. „Orzeł Biały” nr 9 z 10 grudnia 1988.

²² Ibidem.

²³ Ibidem.

²⁴ *Kto był kim w drugim obiegu*, op. cit.

nale, że do łatwych rozmówczyń najszybsza na świecie biegaczka się nie zaliczała, a autoryzację z nią porównać się dało do przelotu Aeroflotem lub wstawiania w domu okien firmy Bertrand.

MOCHNACKI JAK WAŁĘSA

Wspierali nas przyjaciele, autorytetów jednak szukaliśmy w historii. W artykule o Maurycym Mochnackim w 1988 r, pokazałem, że nie był tylko wizjonerem, lecz przytomnym politykiem, którego koncepcja po ponad 70 latach się ziszcila. „Szansę widział Mochnacki w (...) nierówności podziałów rozbiorowych. Wstępnie postawić trzeba na tego, który zyskał najmniej. Tę koncepcję polityczną realizował Józef Piłsudski z całym obozem legionowym. To w historii polskiej myśli politycznej jedyna idea, która po kilkudziesięciu latach potwierdziła swoją słusność” – przesądzałem z apodyktycznością odczytanego 23-latka²⁵. Nie miałem też wątpliwości, że „dzieło Mochnackiego jest dziełem otwartym (w tym sensie, w jakim używa tego słowa modny dziś Umberto Eco)”²⁶ [26]. Cytowałem przy tym Norwida i Herberta, z czego znów – podobnie jak z publikacji wierszy Merty – wnosić można, że byliśmy zespołem nie tylko rozpolitykowanym, ale rzecz można rozpoetyzowanym.

Z pewnością jednak nie malowaliśmy swoim bohaterom bezkrytycznie laurek, o czym świadczą fragment mojego eseju o Mochnackim: „Warto tu przypomnieć epizod z powstaniowej Warszawy – po nieudanej próbie puczu schronienia przed tłumem, zamierzającym go zlinczować, szukał w domu najgorętszego swego wroga – ks. Lubeckiego (...). W okresie przedpowstaniowym aresztowany złożył nieostrożne zeznania a po zwolnieniu podjął hańbiącą pracę w cenzurze. Zdaniem Andrzeja Kijowskiego zdrady Mochnackiego składają się na przedziwną wierność” – konkludowałem²⁷. Trudno się oprzeć wrażeniu, że studenci '88 rozumieli z zawilości polityki i historii bez porównania więcej,

²⁵ Krzysztof Bauer [Łukasz Perzyna]. *Nie gabinety, lecz ludy*. „Orzeł Biały” nr 9 z 10 grudnia 1988.

²⁶ Ibidem.

²⁷ Ibidem.

niż dzisiejsi najemni opluwacze Leszka Moczulskiego czy Lecha Wałęsy. I też pióra mieliśmy od tych zawodowych szczurołapów bez porównania lżejsze. Zresztą: orzeł w tytule zobowiązuje. Choć Maciej Wierzyński podkreślał przy okazji dyskusji o marce papierosów „Sport”, że gdy klient przychodzi do kiosku po gazetę i prosi o „Trybunę Ludu”, nie wyobraża sobie równocześnie ludu, który wkracza na trybunę i z niej przemawia. Redaktorzy „Orła...” mieli do tytułu zdrowy dystans, wiedzieliśmy, że przy stolikach z bibułą na dziedzińcu UW mówi się o nim „kurczę blade”. Niech będzie, ważne, że mówią...

JEDNA CEGŁA Z MURU BERLIŃSKIEGO

Mieliśmy poczucie humoru. Świadczy o nim zamieszczony przy winiecie „Orła” z marca 1988 r. rysunek, przedstawiający generała Jaruzelskiego, który zza stołu prezydialnego oświadcza: „Sami widzicie towarzysze, że ich do reformy nie da się przekonać po dobroci”²⁸. Dylemat, sygnalizowany rysunkiem z kolejnego numeru, gdzie szmugler zastanawia się „zobaczymy, kto lepiej wyjdzie: wy rzucając ulotki, czy ja – nosząc rąbanek” – wydaje się już dzisiaj rozstrzygnięty: do upadku socjalizmu przyczynili się zarówno jedni, jak i drudzy, tak opozycjoniści jak przemysłowcy²⁹. Na pewno jednak nie ci, co 13 grudnia spali do południa, co dziś wypominają demonstrowali Jarosławowi Kaczyńskiemu. Jeśli warto wracać do tamtych czasów, to również po to, żeby nie uwierzyć prasie lewackiej, że głównymi opozycjonistami na polonistyce byli Ławiński z młodym Turnauem, albo agitatorom pisowskim, że role bohaterów tam pełnili Zdort z Lichocką. Subiektywnie mogę tylko zaręczyć, że studiując filologię polską w latach 1984-89, działając w KPN, opozycyjnym ruchu naukowym i teatrze akademickim z żadnym z tych nazwisk nawet się nie zatknąłem. Ale to już ich problem, a nie mój. Na psa urok...

Poznałem za to i szanowałem tych, którzy w opozycji na polonistyce naprawdę działali: wiecznego studenta Sławka Góreckiego, wtedy już

²⁸ „Orzeł Biały” nr 5, 1–15 marca 1988.

²⁹ „Orzeł Biały” nr 6, 15–31 marca 1988.

dobrze po trzydziestce, który dzięki długoletniemu pozyciu akademickiemu zaliczył w biografii oba NZS-y; Andrzeja Szozdę zawsze w zachodnim stylu pełnego humoru i werwy czy Kazimierza Groblewskiego, w którego pokoju w akademiku „na Żwirkach” (czyli przy ul. Żwirki i Wigury prawie naprzeciw Cmentarza-Mauzoleum Żołnierzy Radzieckich) nie tylko można było zamówić dowolną książkę z drugiego obiegu, ale później... naprawdę się ją dostawało. Syn rzemieślnika z Woli Mirosław Mikulski robił znakomite zdjęcia z ulicznych demonstracji, ale nigdy nie dał się dopaść zomowcom. „Orzeł Biały” fotografii nie zamieszczał, więc Mirek pisywał dla nas relacje z happeningów, organizowanych przez opozycję studencką na wzór wrocławskiej Pomarańczowej Alternatywy. Ryszard Adamski pod auspicjami Jego Magnificencji Grzegorza Białkowskiego, fizyka i poety, a od 4 czerwca „roku pamiętnego” także senatora wolnej Polski – próbował na parę lat przed „Metrem” Janusza Józefowicza i Wiktora Kubiaka z piosenek Wojciecha Młynarskiego wystawić w Teatrze Akademickim musical z broadwayowskim stylem. Plan maksimum się nie powiódł, ale jedna z tańczących wtedy na bosaka na estradzie dziewczyn jest dziś profesorką kulturoznawstwa komparatystycznego w Londynie, a inny aktor od Ryśka dyrektorował w Teatrze Studio, gdzie mocno dał się we znaki zmurszałej biurokracji. W 30 lat później reżyser Adamski gotów jest wystawić spektakl na motywach „Mazura” Jerzego Woźniaka, jednego z najważniejszych powieściowych debiutantów ostatniej dekady, jeśli tylko wielbiciele talentu ich obu nie pożałują niezbędnych środków. A ja – krytyk literacki z wykształcenia – mówię: sprawdzam. Zanim Woźniak został podziwianym pisarzem, wykorzystującym w swojej prozie wiedzę fachową zdobytą w pracy dla fundacji Polsko-Niemieckie Pojednanie – wspierał KPN i „Orla” jako działacz konfederackiej młodzieżówki, za co z kolei jego i przyjaciół nękał Stanisław Piotrowicz – wówczas komunistyczny prokurator, dziś uosobienie *dobrej zmiany* w prawodawstwie. I tak koło się zamyka.

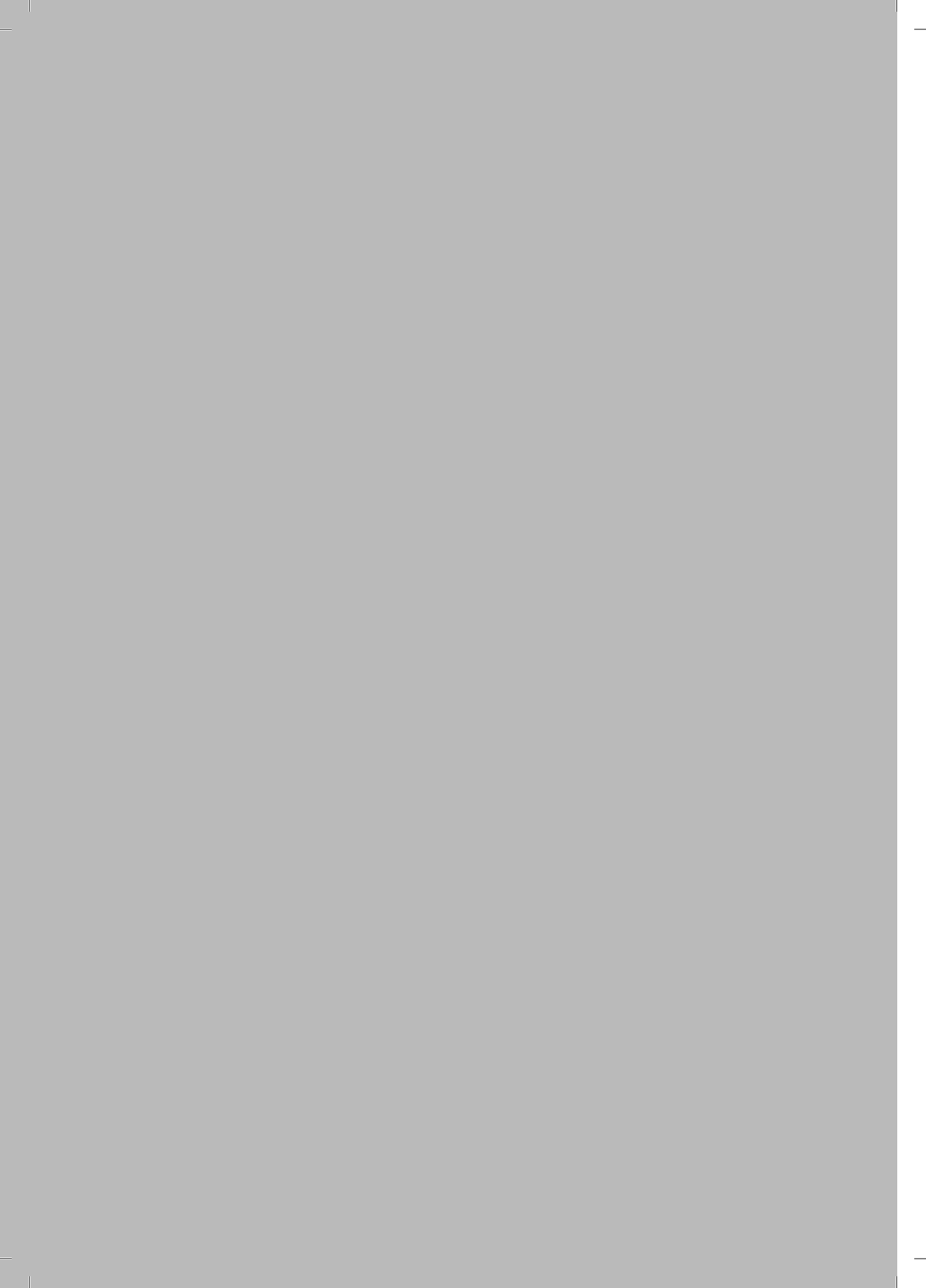
Wtedy nie zajmowały nas spory czy Wałęsę do Stoczni przywozła milicyjna motorówka, a przez mur naprawdę przelazł Kaczyński, podtrzymywany za jedną nogę przez Semkę za drugą przez Kurskiego – lecz

problem, czy Lech Wałęsa słusznie zgodził się na debatę telewizyjną z szefem reżimowych związków Alfredem Miodowiczem i czy to starcie wygrał.

Losy polskiego maja 1988 r. rozstrzygnęły się na Uniwersytecie Warszawskim, którego studenci – w odróżnieniu od robotników FSO czy Polokoloru, nie palących się wcale do strajku, bo zainteresowanych bardziej talonami na samochody i wczasy zagraniczne – wsparli spacyfikowaną Nową Hutę, co skłoniło władze do rozpoczęcia pojednawczego kursu, którego kolejnymi etapami stały się: spotkanie Kiszczaka z Wałęsą 31 sierpnia, rozmowy w Magdalence, Okrągły Stół i wybory 4 czerwca 1989 r. Z tej perspektywy można więc ocenić, że pierwsza piątka „Orła Białego” wyrwała przynajmniej jedną cegłę z berlińskiego muru...



DYSKUSJE OPINII



DR MACIEJ ZAKRZEWSKI

ROMANTYZM CELÓW, POZYTYWIZM ŚRODKÓW.
MYŚL POLITYCZNA LESZKA MOCZULSKIEGO
A TRADYCJA NIEPODLEGŁOŚCIOWA

TRADYCJA MYŚLENIA O POLITYCE

Intelektualny dorobek Leszka Moczulskiego z okresu otwartego zaangażowania w opozycję antykomunistyczną można zlokalizować w szeroko rozumianej tradycji piłsudczykowskiej. Precyzyjne określenie kształtu doktrynalnego tego nurtu jest niezmiernie trudne, o ile w ogóle jest możliwe. Sam Józef Piłsudski daleki był od wiary w jakikolwiek system teoretyczny, jako z założenia ograniczony i nieoddający prawdziwego obrazu rzeczywistości. Natomiast na przestrzeni czasu obóz polityczny Marszałka spojony był raczej więzią autorytetu osobistego przywódcy niż konkretną wizją ładu wspólnotowego. Oczywiście ruch piłsudczykowski rozwijał się w określonej rzeczywistości politycznej i przybierał pewne formy doktrynalne. Początkowo był to niepodległościowy socjalizm, który z biegiem czasu silnie nawiązał do polskiej tradycji republikańskiej. Po zamachu majowym w obozie piłsudczykowskim znaleźli się przedstawiciele socjalizmu, liberalizmu, konserwatyzmu, a nawet nacjonalizmu, zjednoczeni wokół pragmatycznego programu reformy i odpartyjnienia państwa. Podjęta przez Adama Skwarczyńskiego próba zbudowania jednolitej platformy poglądów nigdy nie uzyskała większego praktycznego znaczenia, a stworzenie ideologicznego uniformu w postaci Obozu Zjednoczenia Narodowego było raczej symbolem rozkładu, a nie rozwoju tego ruchu.

Adoktrynalny charakter tradycji piłsudczykowskiej o wiele łatwiej można charakteryzować za pomocą kategorii etosu romantycznego (idealnego wzorca kulturowego) niż ujęć teoretycznych. Z jednej strony

tradycja insurekcyjna nakazująca niezłomność w walce o niepodległość (okres walki o polską państwowość), z drugiej zaś republikański cezarizm i wzorzec służby państwu (czasy po zamachu majowym) stanowiły ramy, które wypełniała różnorodna treść doktrynalna. Tę specyfikę ruchu piłsudczykowskiego w relacji do doktryny politycznej można zrozumieć jedynie poprzez spojrzenie na niego poprzez pryzmat historii myśli politycznej wieku dziewiętnastego. Wieloletnie istnienie i walka narodu bez państwa zasadniczo wpływało na historię intelektualną. Pomędzy tradycyjnymi podziałami na: sympatyzującą z ideą rewolucji lewicą a konserwatywną prawicą wykształcił się charakterystyczny sposób myślenia niepodległościowego. Jego naczelnym wyznacznikiem było założenie prymatu postulatu odzyskania niepodległości wobec innych założeń programowych o charakterze materialnym (np. kwestia społeczna). Co więcej, symptomatyczne było to, iż założenia doktryny materialnej pełniły rolę często instrumentalną względem samego celu, np. hasło uwłaszczenia rzucone przez konserwatywny Hotel Lambert miało na celu przede wszystkim mobilizację mas chłopskich dla sprawy niepodległości, postulat reform nie wnoszono z założeń sprawiedliwości społecznej, a z taktycznej przesłanki programu odzyskania państwa. Swoistość i wyodrębnienie się programu niepodległościowego znakomicie ukazuje napięcie pomiędzy dwoma przedstawicielami radykałów z czasów powstania listopadowego: Maurycym Mochnackim i Adamem Gurowskim. Obaj w dobie powstania wzniesli wysoko hasło rewolucji społecznej. O ile dla pierwszego rewolucja była jedną z metod w wojnie z Rosją, to dla drugiego stanowiła cel autonomiczny, równoległy, ale istotowo niezwiązany z hasłem niepodległości. Nic dziwnego, że na emigracji Mochnacki zbliżył się do konserwatywnego kręgu Czartoryskiego, skupiającego siły polityczne pod hasłem: *najpierw być, potem jak być*.

Ten rys niepodległościowy przejawiał się wielokrotnie w dalszych dziejach kraju. Tworzył on warunki porozumienia na osi lewica – prawica, wygaszał spór o zasady przyszłego państwa w obliczu planu jego odzyskania. Nie likwidował on jednak sporu i napięć, a jedynie tworzył platformę możliwego i doraźnego współdziałania (zob. „biali” i „czer-

woni” w czasach powstania styczniowego czy też współpraca krakowskich konserwatystów z Piłsudskim w czasie pierwszej wojny światowej). Omawiany powyżej element doktrynalny jest też ważny dla zrozumienia sporu pomiędzy PPS a SDKPiL pod koniec dziewiętnastego wieku, którego istota sprowadzała się do analogicznego konfliktu pomiędzy postawą Mochnackiego i Gurowskiego. Jednak kategoria „programu niepodległościowego” ze swej istoty mało rozwinięta teoretycznie, nastawiona pragmatycznie, zachowywała swoje znaczenie w dobie niewoli, natomiast w czasie budowy własnego państwa traciła na swoim historycznym znaczeniu, i tak jak w przypadku ruchu sanacyjnego pozostawała zbiorem pewnych ogólnych haseł, których jedynym spoiwem był osobisty autorytet wodza i kombatancki etos legionów.

W ewolucji polityki niepodległościowej i związanego z nią sposobu myślenia postać Józefa Piłsudskiego jest kluczowa, nie tylko ze względu na powiązanie idei socjalizmu z hasłem niepodległościowym, ale także na powiązanie hasła niepodległości z wewnętrznym imperatywem moralnym. Sławne słowa z *Listu do Feliksa Perla* będące manifestem nie tyle strategii politycznej, co zakorzenionym po części w tradycji romantycznej, a po części w zapośredniczonym przez Brzozowskiego nietzscheanizmie, wyraźnie wiązały sprawę polityczną z moralnym poczuciem godności. Pisząc do Perla: *Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża – słyszysz – ubliża mi jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą*¹ Piłsudski korzystając z dawniejszych doświadczeń w czasach egotycznego modernizmu tworzył etos, niebędący teoretyczną doktryną, ale pewnym kulturowym wzorem zachowana. W warstwie kulturowej i ideowej osiągnięciem Piłsudskiego nie był określony program polityczny, idea sprawiedliwości, ale pokolenie „Kolumbów” poświęcające swoje życie w czasie II wojny światowej.

Etos, aby miał sens, wymaga realizacji, wcielenia w życie, stąd często opisując doktrynę piłsudczykowską używa się określenia *filozofia czynu*. Etos nie jest przedmiotem wyboru, ale jest zobowiązaniem względem

¹ Za: B. Urbankowski, *Filozofia czynu*, Warszawa 1988, s. 63.

form kulturowych wypracowanych przez przeszłe pokolenia. Podjęcie działań na rzecz niepodległości czy dobra państwa nie jest jedynie kalkulacją, jest zobowiązaniem moralnym².

Elementy etosu niepodległościowego, tj. *filozofia czynu*, aktywność polityczna jako zobowiązanie moralne, pojawiają się również w tekstach Moczulskiego. Walkę o niepodległość autor *Rewolucji bez rewolucji* określa za Skwarczyńskim jako *czyn bez ideologii*. Jak pisał – *są pewne wartości oraz tworzące je czyny, które nie potrzebują jakiegokolwiek odrębnej ideologii [...]*. *Środowiska i struktury polityczne działające z różnych pobudek ideowych nie mogą pomijać ponadideologicznego i ponadpolitycznego oraz ogólnonarodowego celu, jakim jest odzyskanie niepodległości*³. Dążenie do wolności jest związane z elementarnymi wartościami ludzkimi, dopiero jej osiągnięcie umożliwia realizację innych politycznych i społecznych celów. Wolność osobista w obszarze politycznym, jak i niepodległość w sferze politycznej, warunkują egzystencję i samorealizację jednostki w społeczeństwie. Z tych powodów urzeczywistnienie niepodległości oraz wolności staje się zobowiązaniem moralnym wobec własnego jestestwa oraz wobec przeszłych i przyszłych pokoleń, a raczej wobec ich wysiłku na rzecz wspólnego, ponadpokoleniowego celu⁴. Dlatego niepodległość nie jest zaledwie jednym z wielu elementów hierarchii celów realizowanych przez polityków. Znajduje się ona poza skalą wartości politycznych, takich jak dobrobyt czy bezpieczeństwo, byt niepodległy, bo dopiero umożliwia zaistnienie tejsze skali⁵.

W prelekcji *Nieztłomność i polityka* Moczulski podkreślał: *Otóż dla nas nie ma żadnej możliwości ustępstwa w kwestii niepodległości. Dla nas jest to istnienie, jest to byt, jest to życie. Nieprawda, że bez niepodległo-*

² Moczulski pisał: *Mniej ważna jest nawet rzeczywistość polityczna. Natomiast istotne są imperatywy moralne, z których wynika konieczność dążenia do Polski Niepodległej, w każdych warunkach i każdej sytuacji – nawet wówczas, gdy wydawałoby się, że to dążenie do niepodległości jest nierealistyczne i nie ma sensu*. L. Moczulski, *Porozumienie jest formą walki, a dialog narzędziem* [w:] *Idem, Czas nadziei, czas goryczy. Wybór tekstów politycznych 1973–1993*, Warszawa 1995, s. 178.

³ L. Moczulski, *Rewolucja bez rewolucji* [w:] *Idem, Czas nadziei...*, s. 117.

⁴ L. Moczulski, *Obowiązek naszego pokolenia* [w:] *Idem, Czas nadziei...*, s. 3–14.

⁵ *Idem, Porozumienie jest formą walki...*, s. 183.

ści możemy egzystować jako naród. Po pewnym czasie zostaniemy zniszczeni, rozplyniemy się, przestaniemy istnieć⁶. Jednak ten fundamentalny cel, jakim jest niepodległość, nie powinien znosić wymogu przestrzegania wartości moralnych. Moczulski wielokrotnie odrzucał myślenie w kategoriach politycznego makiawelizmu. Cel nie uświęca środków. We wspomnianym powyżej przemówieniu stwierdzał: *Jesteśmy ludźmi i nasze człowieczeństwo narzuca nam obowiązki wobec samych siebie. To znaczy nie możemy zachowywać się jak zwierzęta. Jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, Europejczykami, chrześcijanami, katolikami. Obowiązuje nas katalog nakazów moralnych – i tutaj też musimy być niezłomni*⁷. W tej perspektywie nie tylko cele, ale i środki są związane z moralnym wymiarem istoty ludzkiej. Z racji swojej natury czyniącej z istoty rozumnej podmiot moralny, człowiek podejmuje wysiłek walki o wolność, ale musi to czynić wedle określonych reguł. Przekraczanie wymogów etycznych w działalności politycznej nie tylko niweczy i deprecjonuje cel, ale kreuje sytuację, w której człowiek nie dorasta do wolności, nie zasługuje na bycie wolnym. *Musimy być niezłomni* – twierdził Moczulski – *również w przekonaniu, że moralność jest nadrzędna nad polityką – a nie odwrotnie*⁸.

Takie ujęcie oprócz swojego etycznego wymiaru również posiadało aspekt polityczny. Lider Konfederacji nie tylko zastosował dawny piłsudczykowski etos do okoliczności lat 70., ale i wkomponował go w szerszy plan pragmatyczny. W tym czasie nie tylko wysoko wzniesiony był postulat związany z prawami człowieka, ale także zakorzenione w katolicyzmie pojęcie godności. Moczulski wiązał hasło niepodległości z wymiarem etycznym, narzucał pewne wewnętrzne organicznie w działalności politycznej, ale również tworzył nowy sposób oddziaływania na szerokie masy. Upraszczając nieco, można stwierdzić, iż wartości etyczne kojarzone bądź z katolicyzmem, bądź z ruchem na rzecz praw człowieka, pełniły analogiczną rolę (to porównanie może mieć charakter funkcjo-

⁶ L. Moczulski, *Niezłomność i polityka* [w:] *Idem, Niezłomność i polityka*, b.m.w. 1986, s. 41.

⁷ *Ibidem*, s. 42.

⁸ *Ibidem*.

nalny, a nie esencjalny) postulatów socjalistycznych w PPS. Nie tylko formowały one określony i wzniosły wzór patriotycznego zaangażowania, ale również, mimo pozornego ograniczenia, urealniały niepodległość jako postulat rozumiany przez społeczeństwo.

PAŃSTWO I KONCERN. DIAGNOZA RZECZYWISTOŚCI

Wychodząc z powyższych założeń Moczulski radykalnie, jak na ówczesne czasy, definiował problem Polski. Nie mówił o kryzysie gospodarczym, deficycie demokracji w socjalistycznych instytucjach, ale otwarcie wskazywał, jak Stanisław Cat-Mackiewicz⁹, na serwilistyczny stosunek w relacjach z Rosją¹⁰. Dotykał on dogmatu, który władza chciała uznać za niewzruszony. Moczulski przywoływał wypowiedź reprezentanta „liberalnego” skrzydła systemu Mieczysława Rakowskiego: *Głównym przeciwnikiem politycznym jest każdy, kto pragnie otworzyć na nowo dyskusję nad stosunkami z Rosją*¹¹. Definiując PRL jako niesuwerenny przedmiot sowieckiej eksploatacji, lider KPN lokował się poza wszelkim nurtem ugody. Autor *Rewolucji bez rewolucji* definitywnie zrywał z trockistowsko-rewizjonistycznym charakterem opozycji antysystemowej. Od 1956 r. najważniejszy jawny opór wobec systemu odbywał się w ramach walki pomiędzy frakcjami na łonie partii, bądź szerzej, ruchu komunistycznego. Moczulski odnowił kształt opozycji, która w swoich bezpośrednich korzeniach nie miała grupy partyjnych rewizjonistów, ale tradycję Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”.

W *Rewolucji bez rewolucji* odnajdujemy ciekawą analizę istoty polskiego państwa komunistycznego za pomocą określenia *superkoncernu*. Kreślony przez Moczulskiego antagonizm idei *superkoncernu* i idei państwa miał za zadanie rozwiać wszelkie wątpliwości co do rzeczywistości

⁹ *To nie komuniści są winni, że nami rządzą [...]. Do władzy doszli oczywiście nie dlatego, że nagle zyskali oparcie w społeczeństwie, lecz dlatego, że Anglia nas najzwyczajniej sprzedała Stalinowi.* Gaston de Cerizay [S. Mackiewicz], *Klasa najbardziej niezadowolona*, „Kultura” 1965, nr 3, s. 40.

¹⁰ L. Moczulski, *Rewolucja bez rewolucji*, s. 85, 88–91, 96.

¹¹ *Ibidem*, s. 85.

trwałego porozumienia. Obie idee całkowicie się wykluczają, wszelki autentyczny dialog pomiędzy przedstawicielami *superkoncernu* (PZPR) i przedstawicielami odradzającego się politycznie społeczeństwa miał zawsze charakter pozorny. Świadoma swojej pozycji i interesu władza traktowała wszelką ugodę taktycznie, jako instrument rozładowania napięć społecznych; natomiast opozycja nie powinna się łudzić co do możliwości prowadzenia trwale konstruktywnej polityki w warunkach kontrolowanych przez władzę¹². Opozycja, chcąc być wyrazicielem dobra społeczeństwa, winna traktować porozumienia jako *formę walki*¹³. Diagnoza była prosta: albo społeczeństwo, albo partia, drogi pośredniej nie ma.

Definiując *superkoncern* Moczulski stwierdzał: *Zarząd gospodarczy zunifikował się z władzą państwową, co między innymi ma ten skutek, że podstawowe prawa ekonomiczne stały się obowiązujące dla całego układu, który na zewnątrz jest bytem państwowym. Takim podstawowym prawem ekonomicznym jest dążenie do maksymalnego zysku. Jak wiadomo, zysk można osiągnąć tylko z innymi odrębnymi układami, co dla superkoncernu przybiera postać handlu zagranicznego [...]. Całe spożycie wewnętrzne stanowi wyłącznie zapłatę dla siły roboczej superkoncernu.* Dalej pisał: *W tym układzie rządzonym prawami ekonomicznymi państwo – i władza polityczna – sprowadzone zostają głównie do funkcji zabezpieczających istnienie i działanie superkoncernu. Obowiązkiem władzy państwowej jest należyte przygotowanie i utrzymywanie w dyscyplinie rzeczywistych i potencjalnych pracowników*¹⁴. Co więcej, Polska Ludowa nie była samodzielnym podmiotem, ale jedynie filią większej struktury. Stosunek pomiędzy ZSRS, PRL a polskim społeczeństwem przypominał relację kolonialną pomiędzy centrum, zarządem kolonialnym a siłą roboczą. W toku swojej historycznej ewolucji PRL przekształciła się w biurokratyczny aparat

¹² M.in. w *Rewolucji bez rewolucji* pisał: *Oszustwo jest w PRL podstawową formą dialogu między władzą a społeczeństwem. Nie ma innych słów jak kłamliwe, nie ma innej metody postępowania – jak manipulacja.* *Ibidem*, s. 82.

¹³ *Idem*, *Porozumienie jest formą walki...*, s. 177–205.

¹⁴ *Idem*, *Rewolucja bez rewolucji*, s. 57–58.

wyzysku, której racją istnienia było zabezpieczenie przepływu towarów i pracy pomiędzy ludnością a kolonialnym centrum (Moskwą). Racją stanu *kolonialnego* aparatu PZPR było trwanie, uzależnione od zdolności zaspokajania żądań Sowietów i umiejętności pacyfikowania społeczeństwa.

Tymczasem istota i zadania państwa są diametralnie inne, powinno ono pacyfikować zagrożenia płynące z interesów innych państw i umożliwiać zaspokajanie potrzeb członków wspólnoty. Państwo jest – zdaniem Moczulskiego – rzeczą wspólną, rzeczpospolitą będącą własnością i wynikiem swobodnego porozumienia wspólnoty pełnoprawnych obywateli¹⁵. Pogłębiający się dystans pomiędzy społeczeństwem a władzą nie był procesem naturalnym, ale wynikiem sytuacji anormalnej wykreowanej przez Sowiety i ich aparat wykonawczy w postaci PZPR. Celem działań opozycji politycznej winno być stworzenie niepodległej III Rzeczypospolitej o ustroju demokratycznym opartej na filarze niezbywalnych praw i wolności każdego obywatela¹⁶.

Uzasadniając realizm programu niepodległościowego Moczulski wskazywał na fakt pogłębiającej się degeneracji komunistycznego aparatu. Z jednej strony, stracił on swoje ideologiczne ostrze, które wcześniej było skutecznym instrumentem mobilizowania energii społecznej. Zdaniem Moczulskiego polityczne cele komunistów ograniczały się wyłącznie do trwania przy władzy; ideologia była jedynie uzasadnieniem istnienia określonego establishmentu, nie wyznaczała już praktycznych działań¹⁷. Z drugiej strony, komuniści stracili całkowicie możliwość manipulacyjnego i siłowego oddziaływania na społeczeństwo. Sytuacja międzynarodowa sprzyjająca odwilży (druga połowa lat siedemdziesiątych) oraz zachodnie kredyty ograniczały w poważnym stopniu wszelkie instrumenty represji. Natomiast pogłębiający się kryzys gospodarczy i spadek zaufania do władzy generowały społeczną apatię, która nieko-

¹⁵ *Ibidem*, s. 97.

¹⁶ *Ibidem*. Zarys zasad niepodległego państwa Moczulski przedstawił w pracy: *Trzecia Rzeczpospolita. Zarys ustroju politycznego*, b.m.w, brw.

¹⁷ L. Moczulski, *Rewolucja bez rewolucji*, s. 51–52.

niecznie przybierała formy czynnego oporu, ale powodowała sytuację groźniejszą dla władzy, pojawił się bierny opór (swoisty sabotaż, w decydujący sposób wpływający na możliwości władzy wywiązywania się ze zobowiązań wobec suwerena, tj. Sowietów)¹⁸. Władza nie była w stanie odzyskać społecznego zaufania i stworzyć pozorów legitymacji społecznej. W rozgrywce aparatu ze społeczeństwem, komuniści byli na przegranej pozycji. Ponieważ nie posiadali oparcia w obywatelach, jedynym czynnikiem utrzymującym ich przy władzy był Związek Sowiecki. Sama groźba sowieckiej interwencji była wystarczającym instrumentem paraliżowania opozycji i społeczeństwa¹⁹. Moczulski zdawał sobie sprawę, że warunkiem zaistnienia w społeczeństwie postulatu niepodległości było obalenie tezy o stałej możliwości interwencji. W wielu tekstach, powołując się na sytuację międzynarodową, lider KPN udawał, że w okresie najbliższej przyszłości Związek Sowiecki będzie dążył do odwilży i nie podejmie radykalnych kroków, aczkolwiek nie jest to sytuacja stała²⁰. Analizując sytuację przed pierwszą pielgrzymką papieską Moczulski podkreślał: władza jest osłabiona i jest sama. To otwiera szanse na niepodległość.

REWOLUCJA BEZ REWOLUCJI

Tworząc program niepodległościowej rewolucji Leszek Moczulski kierował się maksymą Piłsudskiego: *romantyzm celów i pozytywizm środków*. Programowy tekst KPN *Rewolucja bez rewolucji* z 1979 r. jest manifestem realizmu politycznego zakładającego drogę do odzyskania

¹⁸ Moczulski opisywał główną formę biernego oporu jako: *zjawisko częściowego tylko wykorzystywania potencjału wytwórczego, oraz brak reakcji zatrudnionych na impulsy mające pobudzić ich do zwiększenia wysiłku*. L. Moczulski, *Rewolucja bez rewolucji*, s. 59. W *Niezłomności i polityce* podkreślał, że: *najprzeróżniejsze formy biernego oporu [...] polegają na tym, że np. wszelkie decyzje, apele władz, jeżeli nie są wymuszone bezpośrednio, nie znajdują oddźwięku. Taki opór społeczny jest dla władz rzeczą straszliwą*. L. Moczulski, *Niezłomność i polityka*, s. 43.

¹⁹ Np. J. Kuroń, *Mysli o programie działania* [w:] *Idem, Polityka i odpowiedzialność*, Londyn 1984, s. 127.

²⁰ W 1979 Moczulski stwierdzał: *[...] bez względu na zakres przemian wewnętrznych w Polsce, zbrojna interwencja radziecka wydaje się w okresie kilku lub kilkunastu najbliższych miesięcy [...] bardzo mało prawdopodobna*. L. Moczulski, *Rewolucja bez rewolucji*, s. 63.

przez obywateli niepodległego bytu politycznego przy jednoczesnym minimalizowaniu kosztów²¹. Strategia cywilnego oporu była również silnie zakorzeniona w doświadczeniu Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” z drugiej połowy lat 40. W sytuacji radykalnej dysproporcji sił pomiędzy społeczeństwem a władzą zasilaną potęgą zewnętrznego patrona, otwarty sprzeciw nie miał racji bytu. Jediną metodą walki było wykorzystywanie wewnętrznych sprzeczności i ograniczeń systemu. WiN jako bezpośredni spadkobierca Armii Krajowej, w sytuacji dynamicznej koniunktury geopolitycznej w latach 1945-1947, widząc międzynarodowe ograniczenia działań komunistów (choćby związanych z umową jałtańską), wskazywał na konieczność używania wszelkich środków politycznych, wykorzystywania wszelkich możliwości stwarzanych przez realną sytuację polityczną. Moczulski widząc zaistnienie ponownie swoistego międzynarodowego ograniczenia działań komunistów, w jawnej działalności proponował wykorzystywanie wszelkich możliwości stworzonych przez komunistyczny system prawny (np. Konstytucja PRL). Realizacja programu niepodległościowego miała być rewolucyjna ze względu na cel, a nie z uwagi na metodę.

Uwzględniając koszty, walka o niepodległość była procesem długotrwałym i ewolucyjnym. Władza mimo osłabienia nadal posiadała instrumenty zdolne nie tyle zatrzymać proces emancypacji narodowej, co poważnie go zahamować za cenę wielu ofiar. Moczulski nie miał złudzeń, władza mogła sięgnąć po bezwzględne rozwiązanie siłowe. Ze względu na własny interes mogła nawet przeprowadzić kontrolowaną eksplozję społeczną pozwalającą na zmiany kadry kierowniczej²².

Sytuacja drugiej połowy lat siedemdziesiątych przyniosła jakościową zmianę w politycznym położeniu społeczeństwa, które po wieloletnim okresie reżimowej tresury zaczęło samodzielnie artykułować postulaty społeczne i polityczne. Paradoksalnie odwilż gierkowska pobudziła społeczną ambicję. W ciągu pierwszych pięciu lat rządów Gierka zostały

²¹ *Ibidem*, s. 94.

²² Moczulski sugeruje, że wydarzenia z października 1956 i grudnia 1970 mogły być sprowokowane właśnie w celu odsunięcia określonej frakcji partyjnej przez inną. *Ibidem*, s. 70–73.

rozbudzone oczekiwania społeczne w takim stopniu, że ich pacyfikacja dawnymi metodami okazywała się nieskuteczna. Powstanie KOR i potem ROPCiO było początkiem uświadamiania sobie przez społeczeństwo własnych celów politycznych, różnych od celów władzy.

Wychodząc z założeń: jawności celu (tj. otwartego głoszenia programu niepodległościowego), podporządkowania metody działania standardom moralnym²³, oraz dostosowywania działań do realnych możliwości²⁴, Moczulski kreślił pięcioletni proces drogi do niepodległości. Zdaniem autora *Rewolucji bez rewolucji* istotą tego procesu miało być tworzenie niezależnego i alternatywnego systemu politycznego, który wypełniałby stopniowo przestrzeń pozostawioną przez obumierający biurokratyczny system komunistyczny. Kluczowym elementem strategii Moczulskiego było stałe podkreślanie politycznego wymiaru opozycji. Niezależny system polityczny mógł powstać tylko w oparciu o świadome własnych celów i własnej siły społeczeństwo. Lider KPN przeciwstawił się próbom nadania działaniom opozycyjnym wyłącznie charakteru społecznego, jak np. walka o płacę. Ten model opozycji, zakorzeniony w rewizjonizmie, mógł przynieść co najwyżej kolejną zmianę ekipy rządowej w imię zasady *samoograniczającej się rewolucji* (J. Staniszkis)²⁵, natomiast nie przybliżał w większym stopniu możliwości odzyskania suwerenności. Rozwój platformy umożliwiającej autentyczną działalność polityczną był jego zdaniem uwarunkowany zaangażowaniem społecznym, wszelkie inne działania miały posiadać charakter pomocniczy, nie mogły przesłaniać celu naczelnego.

Na kartach *Rewolucji bez rewolucji* odnajdujemy opis procesu budowania niezależnego systemu politycznego, polskiej drogi do niepodległości. Pierwszy etap polegał na tworzeniu niekoncesjonowanych ośrodków politycznych. W systemie totalitarnym wszelka aktywność niezależna, tym bardziej na polu politycznym, jest negacją racji jego istnienia. Zdaniem Moczulskiego zorganizowane grupy polityczne miały tworzyć

²³ *Ibidem*, s. 93.

²⁴ *Ibidem*, s.94.

²⁵ J. Staniszkis, *Samoograniczająca się rewolucja*, Gdańsk 2010, s. 313–349.

się wokół ośrodków myśli politycznej, następnie przechodzić do wyższych form organizacji. Świadome własnych celów organizacje tworzyłyby programy oraz konkretyzowałyby własną tożsamość, wydawałyby pisma i formułowałyby swoje apele do społeczeństwa²⁶. Kolejny etap, określony mianem *fazy formowania infrastruktury politycznej*, polegał na budowaniu *trwałych struktur i umacnianiu wpływu na poszczególne środowiska społeczne*²⁷. Spośród znacznej liczby luźno zorganizowanych grup politycznych zaczynają się krystalizować dojrzałe formy, jak partie czy związki zawodowe. *Jest to zmiana jakościowa tak pod względem krystalizacji programowej, jak i rozwoju struktury wewnętrznej*²⁸. Etap trzeci, tj. formowanie się *Polskiego Systemu Politycznego*, to okres koordynacji działań niezależnych partii i innych grup politycznych. Z wolna współpraca najsilniejszych podmiotów autentycznie reprezentujących społeczeństwo przybierała formy zinstytucjonalizowane. Ostatnim elementem tego etapu miała być budowa instytucji quasi państwowych²⁹. W konsekwencji powstania *Polskiego Systemu Politycznego* doszłoby do rywalizacji pomiędzy strukturami zdelegitymizowanej biurokracji a nową instytucjonalną konstrukcją posiadającą społeczne zaufanie i poparcie. Miała to być *faza dwuwładzy*³⁰. Najistotniejsze zadanie tego etapu to budowanie instytucji posiadających jak najszerzy mandat społeczny, które miały stanowić alternatywę dla instytucji państwowych. *Początkowo – jak pisze Moczulski – najłatwiej będzie osiągnąć to na terenie wsi, gdzie mieszkańcy winni wybierać własne Wiejskie Rady czy Gminne, działające równoległe z oficjalnymi urzędami [...]. Stosunkowo wcześniej będą mogły powstawać również Rady Załogowe czy fabryczne, wybierane przez załogi. Bezpośrednim impulsem do tworzenia tych Rad staną się wszelkiego rodzaju sytuacje konfliktowe, zwłaszcza wtedy, gdy będzie dochodziło do masowych wystą-*

²⁶ L. Moczulski, *Rewolucja bez rewolucji*, s. 101.

²⁷ *Ibidem*.

²⁸ *Ibidem*, s. 102.

²⁹ *Ibidem*, s. 103.

³⁰ *Okres dwuwładzy będzie to stan znany z naszej historii, w której obok obcych władz formowało się Polskie Państwo Podziemne. Główne różnice polegają na tym, że Polski System Polityczny będzie działał jawnie, oraz że nie będzie prowadził walki zbrojnej z obecną władzą. Ibidem*, s. 103.

pień załogi, jak np. ostrzegawczy strajk. Proces pozyskiwania mandatów społecznych powinien stawać się coraz bardziej masowy. Z czasem obejmie on instytucje wyższych szczebli, także ogólnokrajowe³¹. Zwieńczeniem tej fazy miało być utworzenie quasi parlamentu, *Krajowej Reprezentacji Politycznej*³². Ostatni etap to przejmowanie władzy przez instytucje społeczeństwa obywatelskiego. Moczulski dopuszczał taki rozwój wydarzeń, że zacznie się to od przejmowania władzy administracyjnej w niektórych regionach kraju. *Niewykluczone, że najpierw dojdzie do przejmowania kierownictwa nad poszczególnymi zakładami gospodarki narodowej przez Rady Fabryczne. W toku krótszego lub dłuższego okresu [...], władzę najwyższą przejmą instytucje wytworzone przez Polski System Polityczny. Nastąpi wówczas proklamowanie Niepodległej Trzeciej Rzeczypospolitej, ogłoszona zostanie tymczasowa konstytucja oraz przeprowadzone powszechne, równe, bezpośrednie, wolne i tajne wybory do Sejmu i innych organów naczelnych Rzeczypospolitej*³³.

Metodyka rewolucyjna Moczulskiego, przypominająca działania angielskich demokratycznych radykałów z drugiej połowy XVIII w. (tworzenie ogólnonarodowej demokratycznej reprezentacji w opozycji do brytyjskiego parlamentu), czy nawet strategię rewolucji rosyjskiej z okresu tworzenia rad, daleka jest jednak od gorliwego rewolucyjnego prozelityzmu. Z jednej strony celem *rewolucji bez rewolucji* nie była przebudowa społeczna, ale odzyskanie niepodległości, przejście aparatu władzy z rąk *zarządu kolonialnego*, z drugiej zaś strony, przyjęcie ewolucyjnego modelu pozwalało na proces dojrzewania społeczeństwa do wzięcia od-

³¹ *Ibidem*, s. 103.

³² Nie przypadkiem Moczulski użył tu nazwy politycznej reprezentacji Polskiego Państwa Podziemnego w latach 1943–1944. Należy jednak zaznaczyć fundamentalną różnicę pomiędzy obiema stronami. O ile w przypadku KRP z okresu okupacji mieliśmy do czynienia z formacją odgórną, będącą formą istnienia politycznego narodu w czasie okupacji, która miała charakter „zachowawczy” lub „ochraniający”, o tyle w przypadku instytucji proponowanej przez Moczulskiego mamy do czynienia z instytucją o profilu „rewolucyjnym”, niebędącej utajnioną formą polityczną do czasu ustąpienia stanu okupacji, ale z rywalizacyjnym względem istniejącego ośrodkiem władzy.

³³ L. Moczulski, *Rewolucja bez rewolucji*, s. 104.

powiedzialności za własne państwo. Lider KPN świadomy katastrofalnych społecznych skutków II wojny światowej i rewolucji komunistycznej w Polsce³⁴ konstruował model nie tylko drogi do niepodległości, ale również budowy społeczeństwa obywatelskiego. Moczulski podkreślał, w szczególności w tekście *Trzecia Rzeczpospolita. Zarys Ustroju Politycznego*, że *jakkolwiek przyjęcie konstytucji jest aktem jednorazowym, to ustroje państwowe formują się na przestrzeni dłuższego czasu*³⁵. Wszelkie doktrynerstwo, pomijające specyficzne cechy narodu i jego doświadczenie, było jego zdaniem szkodliwe i niebezpieczne³⁶.

Kończąc opis tworzenia *Polskiego Systemu Politycznego* Moczulski zastrzegł, że jest to jedynie model ogólny, a *wszystko to rozgrywało się będzie w coraz bardziej zażartej walce z władzami PRL [...]. Trzeba liczyć się, że władze niejednokrotnie sięgają będą po środki brutalne. W toku wydarzeń, gdy siła materialna PRL zacznie się kruszyć i rozpadać się, narastać będzie groźba radzieckiej interwencji. Wszystkie te niebezpieczeństwa trzeba rozpoznać zawczasu*³⁷.

Pisząc *Rewolucję bez rewolucji* w maju 1979 r., Moczulski zdawał sobie sprawę z korzystnych okoliczności dla podjęcia działań na rzecz niepodległości, wiedział jednak, że nie będzie to sytuacja trwała.

REWOLUCJA W PRAKTYCE

Próbując ustalić zadania opozycji na najbliższy okres (tj. 1979 r.) Moczulski w *Rewolucji bez rewolucji* podkreślał konieczność przejścia do bardziej zorganizowanych form opozycyjnych. Rola opozycji politycznej jako czynnika wyrywania społeczeństwa z letargu już minęła, konieczne było przejście do drugiej fazy, czyli *formowania infrastruktury politycznej*. Co więcej, zorganizowane struktury polityczne powinny jego zdaniem wypracować wspólny cel, tj. odzyskanie suwerenności państwowej³⁸.

³⁴ Zob. L. Moczulski, *Obowiązek naszego...*, s. 9–14.

³⁵ L. Moczulski, *Trzecia Rzeczpospolita...*, s. 6.

³⁶ *Ibidem*, s. 3–5.

³⁷ L. Moczulski, *Rewolucja bez rewolucji*, s. 105.

³⁸ *Ibidem*, s. 116.

Postulaty humanitarne, np. prawa człowieka, były skuteczną platformą ideową, ale nie powinny przesłaniać właściwego celu politycznego. Mimo swojej wagi postulaty polityczne sformułowane w oparciu o katalog „praw człowieka” miały charakter pomocniczy, żeby nie powiedzieć instrumentalny. Zdecydowanie można stwierdzić, że nie miał on charakteru autonomicznego.

Zachowanie prymatu celów politycznych działań opozycji jest widoczne w innych tekstach Moczulskiego. W *Walce strajkowej w Polsce* z sierpnia 1980 r. kładł nacisk na konieczność przyjęcia przez ruch związkowy formy zorganizowanej i skoordynowanej, która zmierzałaby do utworzenia stałych przedstawicielstw robotniczych, czyli konkretnych struktur społeczeństwa obywatelskiego³⁹. Co więcej, proponował, aby cele ekonomiczne służące jedynie obronie społeczeństwa, ale nierozwiązujące trwale problemu (którym jest totalitarna dyktatura PZPR), przekształcane były w cele polityczne. Pisał: *powinno powoli upowszechniać się zrozumienie, że strajkowa walka ekonomiczna broni społeczeństwa, ale nie rozstrzyga nabrzmiałych problemów. Te leżą bowiem w sferze polityki*⁴⁰. Widząc w sierpniu 1980 r. słabość władzy Moczulski stawiał prostą propozycję: trzeba iść za ciosem⁴¹.

Wprowadzenie stanu wojennego było w opinii Moczulskiego dowodem powiększającej się niemocy władzy, która nie potrafiąc rozwiązać kryzysu zaufania środkami politycznymi, sięgnęła po instrumenty represji o doraźnej skuteczności. Działania ekipy Jaruzelskiego pokazywały, iż formuła systemowej kosmetyki, pozorowanych reform, w celu zachowania władzy uległa wyczerpaniu. *Do dzisiaj* – pisał Moczulski w 1983 r. – *ani jedna z bezpośrednich przyczyn Rewolucji Sierpniowej nie została usunięta*⁴². Twierdził wówczas, że *rewolucja nadal trwa, ale nie charakteryzu-*

³⁹ L. Moczulski, *Walka strajkowa w Polsce. Lipcowe strajki* [w:] *Idem, Czas nadziei...*, s. 131–144.

⁴⁰ *Ibidem*, s. 143.

⁴¹ *Jeśli chcemy, aby jutro było nasze – dziś powinniśmy przestać się bać. Odwaga popłaca – dowiodły tego lipcowe strajki. Komuniści są w odwrocie.* *Ibidem*, s. 143.

⁴² L. Moczulski, *Sytuacja* [w:] *Idem, Czas nadziei...*, s. 149; podobne uwagi można odnaleźć w wywiadzie z 1 X 1986, w którym stwierdzał m.in.: *Próba ta istotnie przyniosła znaczne efekty,*

*je jeszcze konkretnej obecnej sytuacji*⁴³. Stabilizacja polityczna była tylko pozorna, i wynikała raczej z apatii społecznej niż z sukcesu komunistów. *Obecnie jest to typowa bierność przed wybuchem, a stan bezruchu – zdolny [jest – przyp. M. Z.] przeobrazić się w burzę*⁴⁴.

W tych warunkach, zakładając, że sytuacja międzynarodowa nie ulegnie pogorszeniu⁴⁵, Moczulski prognozował trzy warianty przebiegu zdarzeń:

Eksplozja społeczna. Odrzucając możliwość interwencji sowieckiej, twierdził, że wybuch społeczny może zmieść system komunistyczny, w miejsce którego zapanuje chaos lub nastąpi powstanie narodowe⁴⁶. Bardziej prawdopodobne było jednak, że wybuch społeczny zmusi władze do porozumienia z opozycją, które uspokoiłoby część zrewolucjonizowanych mas. W konsekwencji porozumienia PZPR miała zrezygnować z monopolu politycznego i dopuścić do zaistnienia koncesjonowanej opozycji⁴⁷.

Ewolucja. Władze, próbując spełnić oczekiwania: ZSRS (stabilizowania sytuacji w kraju, czyli zwiększania produktywności), USA i społeczeństwa (rozluźniania reżimu) będą się starały pozorować dialog. Wszelkie cząstkowe ustępstwa nie będą w stanie rozładować napięcia społecznego, które ulegnie radykalizacji i będzie rozsadzało ramy koncepcji. Celem władzy będzie skanalizowanie dążeń społecznych w dziedzinie

ale tylko cząstkowe, przynosząc jako całość klęskę. Stan wojenny miał przynieść likwidację opozycji, poprawę gospodarki poprzez wprowadzenie reformy gospodarczej, a także spowodować podniesienie wiarygodności PRL w ramach obozu socjalistycznego. Żaden z tych celów nie został w pełni osiągnięty. L. Moczulski, *Nie znam ustrojowych gwarancji hegemonii PZPR* [w:] *Idem, Niezłomność i polityka*, s. 32.

⁴³ L. Moczulski, *Sytuacja* [w:] *Idem, Czas nadziei...*, s. 152.

⁴⁴ *Ibidem*, s. 148.

⁴⁵ Zob. szerzej *ibidem*, s. 157–158.

⁴⁶ *Wreszcie możliwe jest, że żywiołowy wybuch przekształci się w powstanie narodowe, powstanie zbrojne. Nastąpi to wówczas, gdy spontaniczne masowe wystąpienia potrafią się samoorganizować i wytworzyć ramy wspólnego, wielostronnego, jednolicie kierowanego działania. W wyniku [powstania – przyp. M. Z.] dojdzie do szybkiego i całkowitego obalenia starej władzy, jak też szybkiego uformowania nowej, co pozwoli skrócić do minimum stan chaosu.* *Ibidem*, s. 159.

⁴⁷ *Ibidem*.

ekonomicznej. *Ustępstwom* – pisał Moczulski – *wobec masowo zgłaszanych żądań, zwłaszcza socjalnych i gospodarczych, towarzyszyć będzie ostre i represyjne zwalczanie jednostek i grup podejmujących działania uznane za polityczne*⁴⁸. Przedłużający się stan mógł prowadzić do przekształcenia się tego wariantu w wariant a).

Zastój. Najkorzystniejszy dla władzy trzeci wariant, czyli zamrożenie rewolucji i stopniowe wychodzenie z kryzysu ekonomicznego⁴⁹.

Zdaniem Moczulskiego, przebywającego wówczas w więzieniu w Barczewie, nie należało się spodziewać, że któryś ze scenariuszy wystąpi w formie czystej. Jak pisał: *Najbardziej prawdopodobny jest wariant B, najmniej C. Z punktu widzenia prognozowania działań najbardziej przydatny jest wariant B*⁵⁰. Na zakończenie tekstu *Sytuacja* Moczulski stwierdzał: *Wszystkie trzy warianty można sprowadzić do prostej formuły: albo władzom PRL uda się przeprowadzić na tyle skuteczne cofnięcie się przed presją społeczną, że unikną eksplozji, a ruch mas ukierunkują na wzmocnienie stabilizacji – albo presja społeczna będzie silniejsza i szybsza, tak że poprowadzi do wymuszonych przez naród, być może daleko idących rozstrzygnięć*⁵¹.

W rok później w artykule *Trzy horyzonty* Moczulski pisał o konieczności uzupełnienia *Rewolucji bez rewolucji*. Nowe doświadczenia – podkreślał – wymagają nowych analiz⁵². Spoglądając na kondycję opozycji stwierdzał, że *jest ona niestychanie zróżnicowana i gwałtownie się przeformowuje, ale podstawowym jej symbolem, czy też – jak kto woli – mitem jest Solidarność rozumiana przez społeczeństwo jako wartość przede wszystkim moralna*⁵³. Ponadto diagnozował istnienie w społeczeństwie przekonania o konieczności zakończenia stanu poniżania godności ludzkiej i ograniczania praw obywatelskich⁵⁴. Te dwie uwagi służyły do skonstruowania dalszej strategii działania za pomocą tzw. trzech horyzontów.

⁴⁸ *Ibidem*, s. 161.

⁴⁹ *Ibidem*, s. 162.

⁵⁰ *Ibidem*, s. 164.

⁵¹ *Ibidem*, s. 165.

⁵² L. Moczulski, *Trzy horyzonty* [w:] *Idem, Czas nadziei...*, s. 170.

⁵³ *Ibidem*, s. 172.

⁵⁴ *Ibidem*.

Pierwszym bezpośrednim celem miało być przywrócenie pluralizmu związkowego wraz z legalizacją Solidarności, czyli w istocie powrót do sytuacji sprzed stanu wojennego⁵⁵. Osiągnięcie tego celu *tworzy nowe możliwości dalszej samoorganizacji narodu*⁵⁶. Był to element pozwalający pójść dalej. Następnym zadaniem miała być demokratyzacja systemu, prowadzącego do wprowadzenia pluralizmu politycznego. Po niej pojawił się ostatni horyzont – niepodległość⁵⁷.

Wedle etapów drogi do wolności opisanych w *Rewolucji bez rewolucji*, w 1984 r. opozycja znajdowała się na etapie drugim (tj. tworzenie zinstytucjonalizowanych grup politycznych). Czas jednak wymagał, aby podjąć działania na rzecz budowy *Polskiego Systemu Politycznego* (etap trzeci), który winien być tworzony *przez grupy, które wyodrębniły się z ruchu związkowego, przybierając charakter polityczny*⁵⁸. Aktywność struktur politycznych zmierzała w kierunku możliwie jawnego działania, co umożliwiać miało osiągnięcie przywództwa w społeczeństwie. Struktury polityczne winny zatem wykształcić tzw. krąg wewnętrzny, który byłby zdolny zjednoczyć *wysiłki ugrupowań niepodległościowych, przy pełnym poszanowaniu ich odrębności ideowej*⁵⁹.

⁵⁵ W wywiadzie z października 1986 Moczulski omawiając program *trzech horyzontów* twierdził, że pierwszym krokiem do odbudowania pluralizmu związkowego jest powrót do jawnej działalności związkowej. W sprawie ujawniania nawoływał jednak do [...] *maksymalnej ostrożności. Wiadomo co się ma ujawniać na końcu, a co w ogóle ujawniać się nie powinno. Natomiast wszędzie tam, gdzie ujawnienie się powiedzie, należy je stosować od samego dołu i w całym regionie. Jeżeli w tej samej miejscowości, tego samego dnia i w miarę możliwości niedaleko od siebie ujawni się kilka Komisji Zakładowych i wystąpią z jakimiś postulatami zmian, które mają poparcie załogi, to ani dyrektor, ani nikt inny nie będzie mógł powiedzieć, że Solidarność nie istnieje.* L. Moczulski, *Nie znam ustrojowych...*, s. 34.

⁵⁶ L. Moczulski, *Trzy horyzonty* [w:] *Idem, Czas nadziei...*, s. 173.

⁵⁷ *Ibidem*, s. 173–174.

⁵⁸ Najszerszy krąg solidarnościowy winien dążyć do osiągnięcia pierwszego horyzontu, tj. odbudowania pluralizmu związkowego. *Kierownictwo w tej walce i kierownictwo tego zewnętrznego kręgu przynależy rzecz jasna tym przywódcom, którzy uzyskali bezpośredni mandat związku, a równocześnie nadal są przywódcami związkowymi, a nie stali się jeszcze politycznymi. Słuszne jest bowiem, aby działania na rzecz przywrócenia związku prowadzili działacze związkowi, a nie polityczni.* *Ibidem*, s. 175.

⁵⁹ *Ibidem*, s. 176.

W tekście *Trzy horyzonty* pojawiła się również perspektywa śródkoeuropejska. Moczulski już nie tylko pisał o programie niepodległościowym, ale głębiej nawiązując do tradycji piłsudczykowskiej, wskazywał na rolę polskiego ruchu niepodległościowego w przemianach politycznych regionu. Pisał: *niepodległa Rzeczpospolita [...] ma jednak do spełnienia ważną rolę międzynarodową. Powinna stać się z czasem nie tylko przykładem, ale i katalizatorem oraz głównym czynnikiem integrującym poczynania innych niepodległych narodów naszej części Europy, określanej często mianem Międzymorza. Dążymy więc nie tylko do niepodległego państwa wolnych ludzi, ale do wielkiej Rzeczpospolitej*⁶⁰. Jest to bardzo charakterystyczne, że człowiek zajmujący się geopolityką, świadomy wagi i zakresu spraw międzynarodowych, ten wątek – tak kluczowy dla tradycji piłsudczykowskiej, wprowadza dopiero w 1985 r. Ten fakt pokazuje, w jak taktyczny sposób Moczulski postrzegał kwestie idei. Wiedział, że społeczeństwo najpierw musi niejako oswoić się z postulatem suwerenności, dopiero w chwili dojrzewania do tej idei możliwe było wprowadzanie nowych elementów związanych już z kontekstem daleko wybiegającym poza ramy narodu zniewolonego.

Przywódca Konfederatów często podkreślał, że wprowadzenie stanu wojennego było raczej okazaniem bezsilności i desperacji komunistów niż ich siły, i wskazywał na konieczność utrzymania ofensywnego kierunku. Wyrazem tej tendencji był wywiad udzielony „Gazecie Polskiej” w 1987 r. pt. *Krajobraz przed bitwą*, będący polemiką z tezami Jacka Kuronia. Autor *Rewolucji bez rewolucji* wbrew stanowisku Kuronia nie chciał ograniczać programu opozycji do aktywności społecznej w sferze oficjalnej i półoficjalnej (spółdzielnie, spółki, samorządy)⁶¹. Podkreślał, że przy całym pożytku płynącym z tego typu inicjatyw, które wyrrywają ludzi ze stanu apatii i rezygnacji, nie powinno się tracić z oczu horyzontu związkowego i politycznego⁶². Najbardziej bezpośrednim celem winno być odbudowanie pluralizmu związkowego, co umożliwiłoby budo-

⁶⁰ *Ibidem*, s. 169.

⁶¹ L. Moczulski, *Krajobraz przed bitwą* [w:] *Idem, Czas nadziei...*, s. 212.

⁶² *Ibidem*, s. 213.

wanie struktur politycznych. Cechą charakterystyczną było odrzucenie przez Moczulskiego swoistego poczucia *obywatelskości* względem PRL-u. Np. w obliczu kryzysu gospodarczego, przeciwnie niż Kuroń, wzywał on do wysuwania kolejnych żądań społecznych przez odrodzony ruch związkowy⁶³. Punktem wyjścia było założenie, że koszty kryzysu winno ponosić państwo (a raczej rozbudowany aparat represji i propagandy), nie społeczeństwo⁶⁴. Nacisk społecznych żądań rewindykacyjnych miał prowadzić do dalszej destabilizacji i rozkładu systemu, niezdolnego do rozwiązania żadnego problemu.

Moczulski podkreślał jednak, że program niepodległościowy nie wyklucza programu Kuronia. Korzystając z doświadczenia polskiej polityki w okresie I wojny światowej⁶⁵ twierdził, że wielopłaszczyznowość działań może być pożyteczna, pod warunkiem zachowania prymatu dobra wspólnego nad interesami partykularnych grup. Porozumienie Piłsudskiego z Dmowskim przed konferencją pokojową w Paryżu było dla Moczulskiego przykładem działania tak ważnego ponadpartyjnego instynktu państwowego, w którym nie mogła uczestniczyć kierująca się swoim partykularnym interesem strona komunistyczna.

Pozostaje jeszcze do przedstawiania stosunek Moczulskiego do porozumienia „okrągłego stołu” i wyborów czerwcowych, zagadnienie wokół którego narosło wiele nieporozumień. Już w wywiadzie pt. *Porozumienie jest formą walki, a dialog jest tylko narzędziem* (1986) Moczulski nie wykluczał możliwości ustalenia porozumienia z władzami, zaznaczając jednak, że będzie ono nosić charakter tymczasowy i winno otwierać

⁶³ *Ibidem*, s. 216.

⁶⁴ W *Rewolucji bez rewolucji* Moczulski podkreślał istnienie niejako dwóch budżetów: społecznego, który jest zawsze kosztem produkcji *superkoncernu* oraz drugiego, który zapewnia właściwe funkcjonowanie systemu *kolonialnego*. Zob. *Rewolucja bez rewolucji*, s. 64–66, 77–78.

⁶⁵ *Doświadczenia historyczne, także nasze polskie, ukazują, że nawet otwarcie przeciwstawne programy, głoszone przez zwalczające się stronnictwa, w rzeczywistości uzupełniały się i pomagały osiągnąć wspólny, nadrzędny cel. Tak było z Czerwonymi i Białymi okresu Powstania Styczniowego, tak było z obozami politycznymi skupionymi wokół Piłsudskiego i Dmowskiego w okresie pierwszej wojny światowej.* L. Moczulski, *Trzy horyzonty*, s. 167–168.

opozycji szersze możliwości działania⁶⁶. Porozumienie nigdy nie byłoby trwałe. Co więcej, Moczulski podkreślał, że KPN nie musi brać udziału w takim porozumieniu, a jedynie wyznaczyć granicę kompromisu, swoiste *non possumus*⁶⁷.

Właśnie z perspektywy tego tekstu należy spojrzeć na działania KPN w latach 1989–1990. W programie KPN uchwalonym na III Kongresie (marzec 1989 r.) czytamy: *Uczestnictwo KPN w częściowo wolnych wyborach możliwe będzie jedynie wówczas, gdy ewentualne wejście przedstawicieli KPN do powołanych organów nie będzie wymagać składania jakiegokolwiek deklaracji o charakterze moralnym czy politycznym oraz gdy przynajmniej połowa łącznej ilości mandatów poddana zostanie pod wolne wybory. Udział Konfederacji w takich wyborach będzie formą walki politycznej z narzuconym Polsce systemem i satelickimi władzami PRL [...]. Polityczne wykorzystanie możliwości, jakie dają niewolne wybory, pozwoli pokrzyżować manipulatorskie zamiary władzy i umocnić nasze działania*

⁶⁶ L. Moczulski, *Porozumienie jest formą walki...*, s. 177–206.

⁶⁷ *Ibidem*, s. 199–200; W tekście *Nasze „non possumus”*. Pięć plus jeden będącym zapisem konferencji prasowej Moczulskiego z 22 IX 1986 czytamy o gotowości do rozpoczęcia dialogu Konfederacji z rządem i opozycją, który winien jednak opierać się na sześciu zasadach (5 plus 1): 1. *Równości praw i obowiązków wszystkich obywateli [...]*; 2. *Wolności realizowania przez każdego wartości humanistycznych, światopoglądu, wiary i przekonań – a to nie tylko we własnym gronie, lecz również na równych prawach w instytucjach życia publicznego [...]*; 3. *Wolności głoszenia przekonań [...]*; 4. *Wolności zrzeszania się w niezależne związki światopoglądowe, wyznaniowe, ideowe, polityczne, społeczne, zawodowe, środowiskowe, etniczne i kulturowe [...]*; 5. *Wolności wyboru własnej władzy przedstawicielskiej, zgodnie z zasadą suwerenności narodu, wyrażającej się przede wszystkim przez wybory rzeczywiście wolne, powszechne, równe, bezpośrednie i tajne [...]*; 6. *Niepodległość państwa, obejmującą zarówno rzeczywistą niezawisłość od jakichkolwiek ośrodków czy decyzji zewnętrznych, jak i całkowite zachowanie suwerenności i odrębności państwowej, terytorialnej i gospodarczej*. L. Moczulski, *Nasze „non possumus”. Pięć plus jeden* [w:] *Idem, Niezłomność i polityka*, s. 23. Należy podkreślić, że tak sformułowany program miał charakter maksymalistyczny. Moczulski określając te zasady jako punkt wyjścia dla rozmów, zdefiniował de facto punkt dojścia. Określenie w 1986 szczegółowych warunków dialogu należy postrzegać raczej jako program z zakresu retoryki politycznej mającej za zadanie utrwalanie postulatu niepodległości i wywieranie nacisku na ugodową część opozycji i władzę, niż konkretną propozycję polityczną. W tekście *Nie znam ustrojowych gwarancji hegemonii PZPR* Moczulski doprecyzowywał program „5 plus 1”: ... *potrzebne są rozmowy, ale czy dadzą one porozumienie? Jakież dadzą. Czym będzie to porozumienie? Epizodem. [...] Proces rozmów i porozumiewania się nie jest wartością samą w sobie, ale narzędziem do osiągnięcia celów politycznych*. L. Moczulski, *Nie znam ustrojowych...*, s. 37.

*na rzecz niepodległości. Najbliższym celem na tej drodze pozostaną wolne wybory*⁶⁸.

Samo porozumienie, jak i wybory czerwcowe, w których KPN wzięła jednak udział, były postrzegane jako możliwość poszerzenia horyzontów działania. Krytyka „okrągłego stołu” ze strony Moczulskiego, jak i całej KPN, była formułowana nie wobec samego faktu porozumienia, ale wobec zbytniego przywiązania przedstawicieli części opozycji do jego postanowień, w sytuacji, kiedy można było podjąć zdecydowane kroki w walce z systemem komunistycznym. Dla Moczulskiego strona komunistyczna nie była partnerem, ale przeciwnikiem. Oceniając rząd Mazowieckiego jako rząd straconej szansy, Moczulski stwierdzał: *nie potrafił [rząd – M.Z.] wykorzystać okazji, jaką dała Polsce historia. Władza komunistyczna rozsypała się, Moskwa była bezsilna, Zachód zaszokowany, ale i gotów do pomocy – trzeba było to tylko wykorzystać*⁶⁹.

Po wyborach z 4 czerwca 1989 r. KPN była ugrupowaniem najgłośniej domagającym się demontażu systemu komunistycznego, wyprzedzając w tym działania zaplecza politycznego rządu Mazowieckiego. Oceniając ówczesną sytuację Moczulski pisał: *Radykalne, całościowe zmiany wymagały tylko decyzji [...]. Tamtej jesieni Polska stanęła w miejscu. Dlaczego?*⁷⁰. Odpowiadając na to pytanie sam stwierdzał: *Wielka polityka rodzi wielkich ludzi; przyziemne poszukiwanie miejsca dla siebie, marzenia o kompromisie – a nie o zwycięstwie – tworzą polityków skromniejszego formatu*⁷¹.

* * *

Naczelną cechą koncepcji Moczulskiego z okresu jego działalności opozycyjnej jest precyzyjnie wyznaczony, przez wielu uznawany za nie-realny cel – niepodległość. To założenie konsekwentnie powtarzane zarówno w tekstach Moczulskiego, jak i w dokumentach programowych

⁶⁸ L. Moczulski, *Bez wahania*, [rozm. A. Dudek, M. Gawlikowski], Kraków 1993, s. 198.

⁶⁹ *Ibidem*, s. 204.

⁷⁰ L. Moczulski, *U progu niepodległości* [w:] *Idem, Czas nadziei...*, s. 233.

⁷¹ *Ibidem*, s. 235.

KPN⁷², determinowało pozostałe elementy doktryny politycznej. Przewodniczący Konfederacji zawsze traktował władze Polski Ludowej jako administrację *kolonialną* sowieckiego *superkoncernu*, której idea była całkowicie nie do pogodzenia z istotą państwa. Polska Rzeczpospolita Ludowa nie była kolejną, może mało doskonałą i ograniczoną w swej suwerenności formą polskiej państwowości, a jedynie zwykłym systemem sprawowania władzy w oparciu o sowiecką legitymację, której zadania w żadnym wypadku nie odpowiadały potrzebom społeczeństwa. Stanowisko Moczulskiego było proste: PRL nie była żadnym punktem odniesienia do poczucia obywatelskiego, poczucia odpowiedzialności za dobro wspólne. Antagonizm na linii państwo–społeczeństwo był dla niego tymczasowy, nie był stanem naturalnym, wynikał ze zdeformowanej sytuacji politycznej. Przedmiotem poczucia obywatelskiego mogło być jedynie państwo niepodległe, III Rzeczpospolita.

Moczulski był wiernym spadkobiercą ideowej tradycji wykuwanej w dobie zaborów, sięgającej przynajmniej do czasów Hotelu Lambert, do momentu, kiedy w obliczu klęski powstania listopadowego konieczne było nowe przeformułowanie sposobu myślenia o sprawie narodowej. W obliczu naczelnego celu – tj. odzyskania suwerenności państwowej, wszelkie spory polityczne winny schodzić na plan dalszy, a polityczny program materialny pełnić rolę instrumentalną względem celu kluczowego. To niosło ze sobą określone konwencje dla charakteru haseł politycznych, miały być one szerokie – aby mobilizować jak najszerszą rzeszę zwolenników (prawa człowieka, wolności związkowe); w związku z ich pragmatyczną rolą nie mogły one być rozbudowane teoretycznie oraz miały elastyczny charakter. Takie ujęcie myśli politycznej jako swoistej strategii wojskowej z pewnością ma swoje zastosowanie w okresie walki o własne państwo, natomiast przejawia wiele niedomagań w czasie budowania własnego państwa. Dalsza historia Konfederacji, jej próby odnalezienia się w podziałach politycznych III Rzeczpospolitej, zdecy-

⁷² M.in.: *Deklaracja ideowa Konfederacji Polski Niepodległej* z 1 IX 1979 r. [w:] M. Kasprzycki, *Konfederacja Polski Niepodległej w Krakowie 1979–1990. Wybór dokumentów*, Kraków 2009, s. 52–54.

dowanie ukazują nieadekwatność tej szkoły politycznego myślenia w ramach niepodległego państwa, kiedy należy odpowiedzieć na pytanie nie tyle o sam byt państwowy, co o jego treść.

DYSKUSJA

Mirosław Lewandowski:

– Mam trzy uwagi.

Pierwsza uwaga dotyczy poczucia godności, które było tym nowym elementem, który włączył Piłsudski. Pan się odwołał do słynnego listu Piłsudskiego do Feliksa Perla. To jest charakterystyczne, że do tego samego listu Feliksa Perla (bodaj z 1908 r.) odwoływał się Leszek Moczulski w ostatnim słowie pierwszego procesu KPN. I odwoływał się do opowiadania Żeromskiego o żołnierzu tułaczku, który może leży pod płotem, może wszystko przegrał, ale zachował właśnie to poczucie godności. A więc to poczucie godności, do którego się odwoływał Moczulski w procesie, to było nawiązanie do tej tradycji socjalistycznej. Ale przecież mamy też bardzo silną tradycję chrześcijańską, w której silny jest ten element godnościowy. Nasz papież podkreślał przecież: „Nie jesteśmy już niewolnikami! Mówimy do Boga »Ojcze«, jesteśmy Jego synami”. Odwoływał się to tego samego poczucia godności, ale wywodził je z chrześcijaństwa. Uderzyło mnie to, że nie było tych elementów chrześcijańskich u Piłsudskiego. Może nie jest takie dziwne w okresie przed I wojną światową i po tej wojnie, natomiast zdziwiło mnie, że Moczulski, odwołując się do poczucia godności w 1982 r., nie wywodził go z tradycji chrześcijańskiej, tylko z socjalistycznej.

Czy pan by się zgodził z twierdzeniem, że elementem tradycji niepodległościowej, było poszukiwanie poczucia godności poza chrześcijaństwem?

Druga rzecz, która mnie zastanowiła, to tradycja WiN-owska, o której pan mówił. W tym kontekście próbuję interpretować *Rewolucję bez rewolucji* Leszka Moczulskiego. Otóż jak pan mówił o *Rewolucji bez rewolucji*

i przypomniał koncepcję budowy Polskiego Systemu Politycznego, który potem miał obalić władzę komunistyczną, zastanowiłem się, na ile można by powiedzieć czy szukać inspiracji, że była to próba odtworzenia Polskiego Państwa Podziemnego. Nie w sensie pewnej struktury wojskowej, ale bytu politycznego. Bo Polskie Państwo Podziemne to była nie tylko struktura militarna, ale także pewna forma podziemnego parlamentu. To się różnie nazywało: na początku był to PKP, potem Krajowa Rada Narodowa, po drodze jeszcze Krajowa Reprezentacja Polityczna. W ramach Polskiego Państwa Podziemnego mieliśmy pluralizm polityczny, mieliśmy struktury sądowe i całą masę struktur cywilnych (z którymi z kolei związany był Ludwik Muzyczka, o czym jutro będę mówił).

Mam pytanie, czy to moje rozumowanie, że koncepcja Polskiego Systemu Politycznego przedstawiona w *Rewolucji bez Rewolucji* mogła wzorować się na Polskim Państwie Podziemnym, czy też – pana zdaniem – jest to całkowicie fałszywa analogia?

No i trzecia rzecz. Czego mi zabrakło w pana dzisiejszym referacie, a co mnie najbardziej uderzyło w pana artykule o Konfederacji Polski Niepodległej w monografii wydanej przez IPN? Otóż zabrakło mi stwierdzenia, że najbardziej charakterystyczną cechą podejścia Leszka Moczulskiego do polityki jest traktowanie jej jako zadania intelektualnego. U Moczulskiego, wbrew pozorom, nie ma emocji. Nie mówię, że tam jest cynizm czy wyrachowanie. Ale jest traktowanie polityki jako pewnej zagadki do rozwiązania. Przypomniałem sobie o tym pańskim stwierdzeniu, gdy czytałem rewelacyjny wywiad Marka Rodzika i Marcina Furdyny z Leszkiem Moczulskim pt. *Czytaliśmy Piłsudskiego*. Leszek Moczulski tłumaczy tam, że myślenie kategoriami pracy organicznej, takiego płytkiego realizmu politycznego jest intelektualnie łatwe. Bo wszystko „idzie z górki”: nie możemy nic zrobić, w związku z tym koncentrujemy się na szkolnictwie, edukacji, bogaceniu się i to jest intelektualna łatwizna. Natomiast w warunkach, jakie były w wieku XIX, czy w takich warunkach, jakie były w PRL, stawianie sobie za cel niepodległości było wyzwaniem, które wymagało rozwiązania całej masy intelektualnych problemów. Bo to nie jest proste – mając przed sobą ścianę,

stawiając sobie cel, który się wydaje niemożliwy, znaleźć drogę do jego osiągnięcia. Wydaje mi się, że myśmy postrzegali Moczulskiego w latach 80. – myślę, że nie tylko ja – jako człowieka w pewnym sensie oderwanego od rzeczywistości. A dzisiaj, jak się czyta jego analizy, to po prostu widać coś zupełnie innego – jakiś profetyzm! To znaczy jego oderwanie od rzeczywistości wynikało z tego, że myśmy nie dostrzegali, że to jest ambitne, intelektualne i bardzo precyzyjne myślenie. On się wydawał fantastą, bo nie dostrzegliśmy elementu intelektualnego.

Wczoraj rozmawiałem z Leszkiem Moczulskim przez telefon i opowiedział mi następującą anegdotę. Raz w życiu rozmawiał ze Stomną. Było to dopiero pod koniec lat 80. Stomma pytał go o program KPN. Moczulski mówi – „Mogłem go odesłać do lektury, ale mu wyjaśniłem, wyłożyłem mu nasze założenia”. I w pewnym momencie Stomma powiedział z lekceważeniem: „Niczego innego się nie spodziewałem. To co pan mówi, to nie jest myślenie racjonalne, tylko emocjonalne. Tak już u nas nieraz bywało i to było zgubne. Tradycja powstańcza, insurekcyjna doprowadziła nas do katastrofy!”. Moczulski się wtedy obruszył i powiedział Stommie bardzo dobitnie: „Proszę pana! Pan się myli, sądząc, że nasz program niepodległościowy ma podłoże emocjonalne. To że pan tak uważa, wynika z tego, że pan nie postrzega rzeczywistości taką jaką ona jest. Ten program jest intelektualnie uzasadniony!”.

Chciałbym pana spytać, na ile to intelektualne podejście Moczulskiego do polityki wyrasta z Piłsudskiego czy z Mochnackiego, czy z Czartoryskiego a na ile jest to specyfika Moczulskiego?

Maciej Zakrzewski:

– Jeśli chodzi o kwestie socjalizmu, chrześcijaństwa i tak dalej. Dobrze, że się tutaj pojawił Żeromski, bo w przypadku Piłsudskiego to jest formacja nie tyle socjalistyczna, co w swej istocie jest to kwestia modernizmu na przełomie XIX i XX wieku. Zarówno Brzozowski, jak i Żeromski (my Żeromskiego identyfikujemy przez jego późniejszy okres, natomiast to jest gwiazda przełomu wieków) to są te dwie postacie, które Piłsudskiego wtedy głównie zainspirowały.

Brzozowski jest niesłuchanie ważny i niesłuchanie silny. Brzozowski, który przede wszystkim pokazuje, że zrywa z socjalizmem w kontekście kosmopolitycznym, ale ma to niezwykle silne podłoże emocjonalno-godnościowe podszyte filozofią Fryderyka Nietzschego (to trzeba tutaj powiedzieć, czy nam się Nietzsche podoba czy nie). Zresztą Słowacki również był pod wpływem nie tyle Nietzschego, co całej filozofii niemieckiej. Więc ta tradycja niemiecka, czy nam się będzie podobała czy nie, gdzieś tam rezonowała w takiej łagodnej wersji na człowieka, który wtedy dorastał. Człowieka, który mierzy swoją wartość tym, że potrafi czemuś sprostać. Tworzy sobie pewne wyzwania, nie jest realistą. Więc tu jest ten element – myślę, obcy myśleniu chrześcijańskiemu.

To jest poważna rzecz, o której musimy sobie powiedzieć. Katolicyzm w okresie powstaniowym, jeśli chodzi o elity intelektualne, jest w poważnym odwróceniu. Dlatego że pozytywizm warszawski to jest dość mocna reakcja antyklerykalna. To ich odróżniało od Stańczyków. A później przychodzi ruch socjalistyczny. Czyli wszystkie ruchy radykalne, które mają wewnętrzną siłę i się właśnie napędzają, nie są ruchami konserwatywnymi, ale są budowane w opozycji do katolicyzmu, który jest identyfikowany z lojalizmem. Katolicyzm nie był identyfikowany jako ten element, który wspiera sprawę narodową albo który jest niepodległościowy. W polityce różnie się układało i o tym też się nie pamięta, że król Stanisław August przystąpił do Targowicy również za sugestią Stolicy Apostolskiej.

Zgadzam się więc, że tu jest inna tradycja. Tradycja świecka, która jest podszyta modernistycznym, rewolucyjnym podłożem.

Natomiast Moczulski, jeśli sięgał po pewne wartości, czynił to w sposób instrumentalny, bo wiedział, z jakim społeczeństwem ma do czynienia. W tych tekstach pojawia się kwestia, że my jesteśmy Europejczykami. Że my jesteśmy uformowani przez cywilizację chrześcijańską i Moczulski, identyfikując się czy nie, wiedział, że on musi wykorzystać to, co jest silne w danym społeczeństwie, natomiast nie demontować potencjału, który może przynieść rezultat. Nie zwalczać. Bo on nie występował przeciwko ani chrześcijaństwu, ani Kościołowi. Uwydatniał,

wzmacniał ten przekaz, nie do końca się z nim identyfikując. Ale to jest właśnie na zasadzie politycznej, tak mi się wydaje. A potem oczywiście też mogło się to zmieniać.

Jeśli chodzi o kwestie intelektualizmu, powiem szczerze, że zwrócił mi pan uwagę na pewną rzecz, bo pod tym kątem nie myślałem o Moczulskim. Tradycja intelektualizmu a tradycja niepodległościowa. Dlatego że tradycja niepodległościowa jest mocno pragmatyczna. Zarówno Czartoryski, Mochnacki, Piłsudski może pisali, ale to nie byli wybitni teoretycy polityczni. Dmowski był. I Moczulski tu by się trochę wpisywał.

Natomiast jest jeszcze jedna rzecz, na której można pokazać różnicę między Moczulskim a Piłsudskim (niezależnie od formatu postaci i ich roli w historii, jaką odegrali).

Uważam, że dobrzy politycy dzielą się na pokerzystów i szachistów. Szachista to jest ten, który rozważa, który działa, który czeka. Pokerzysta robi blef. Gra zaskoczeniem, nie rachuje. Przykładem tego fundamentalnego podziału na szachistów i pokerzystów to są oczywiście postaci Hitlera i Stalina. Stalin był wielkim szachistą. Można go nie lubić, można powiedzieć, że się w piekle smaży, ale politycznym szachistą był genialnym. Tego nikt mu nie odmówi. Jak Stalina zapytali, co sądzi o Hitlerze, odpowiedział: „sympatyczny człowiek, ale nie potrafi czekać”. I to pokazywało całą różnicę. A Hitler to był pokerzysta. Hitler grał blefem. Genialnie grał do pewnego momentu, bo z pokerem jest tak, że w pewnym momencie blef się kończy. Ktoś mówi „sprawdzam”. Tak jak w przypadku hazardzisty, każdy sukces blefu nakręcał Hitlera. Myślał, że w tej politycznej ruletce zawsze będzie mu wypadać czarne czy brunatne, a potem mu zaczęło wypadać czerwone.

Kim był Piłsudski? Piłsudski był pokerzystą. Tak. Pasjanse układał. Rok 1914 i sprawa rządu narodowego – blef. Bez żadnego pokrycia w faktach rzeczywistych. Zagrywka, która się skończyła początkową katastrofą, później przerobioną na konstruktywną rzecz. Kampania kijowska. Kolejny blef. Uderzenie szybko tu, żeby zdążyć wrócić na górę, zanim oni dojdą od północy. Ryzykowne, bo mimo że się skończyło Traktatem Ryskim, ale jak już mieliśmy Sowieców pod Warszawą, to to

był blef, który dużo mógł kosztować. I takich zagrywek mamy dużo. On był ryzykantem. On był hazardzistą. Operował intuicją.

Głos z sali:

– Ale powiedział, że polityka to sztuka czekania.

Maciej Zakrzewski:

– W Sulejówku...

Głos z sali:

– Dobra riposta.

Maciej Zakrzewski:

– Mamy później tak zwaną wojnę prewencyjną z Niemcami w 1932 r. On miał skłonność to tego typu zachowań.

I pytanie, kim jest Moczulski? Moczulski jest szachistą. Absolutnie. To jest człowiek wyrobiony. Tu trzeba o jednej rzeczy pamiętać. Możemy mówić o korzeniach intelektualnych, WiN-owskich, niepodległościowych, ale jest jeszcze jedna rzecz ważna. To jest człowiek, który przed 1970 r. w oficjalnym obiegu wydawał nie tylko książki historyczne, ale też geopolityczne. Myślenie w kategoriach geopolitycznych jest automatycznie związane z myśleniem szachowym: jest rozkład sił, mamy mapę i to układamy. Dmowski jest ewidentnie formatem szachisty politycznego. Może to się przekładać na skuteczność również. Nie można powiedzieć, że jedno jest dobre, a drugie jest złe. Jednemu po prostu wychodzi, a drugiemu nie. To niestety zawsze będziemy oceniać po owocach.

Mirosław Lewandowski:

– A pytanie dotyczące Polskiego Państwa Podziemnego?

Maciej Zakrzewski:

– Polskie Państwo Podziemne było takim kokonem, który miał zachować pewną tkankę społeczną w trakcie okupacji. W związku z tym

Polskie Państwo Podziemne było rozległe, bo zajmowało się wszystkim. Jest czymś innym niż Armia Krajowa. To jest inna formacja, która w trudnym okresie ma zahibernować pewne relacje społeczne. A jednak to jest instrument walki.

Mówiłem o dwóch nawiązaniach, które mi się kojarzą. To jest polityka radykałów angielskich, jak również amerykańskich z XVIII wieku. Dlatego że oni, jak im się przestała monarchia podobać to zaczęli wszędzie zwoływać konwencje, które były rozpędzane, ale działali tak, jakby króla nie było. Tworzyli społeczeństwo od dołu. To się udało w Ameryce, bo tam od dołu to wszystko zaczęło kiełkować. A drugie nawiązanie, to jest oczywiście tworzenie alternatywnego systemu politycznego w postaci rad delegatów żołnierskich i robotniczych w czasie rewolucji bolszewickiej. Kolejny wielki strateg, Włodzimierz Iljicz Lenin – człowiek, który odnowił myślenie Machiavellego w najczystszej postaci...

Mirosław Lewandowski:

– Czy zgodzimy się, że nowym elementem u Moczulskiego jest to, że wcześniej w nurcie niepodległościowym zawsze droga do niepodległości wiodła przez walkę zbrojną...

Maciej Zakrzewski:

– To będzie WiN. To jest rzeczywiście element nowy.

Jeśli zobaczymy na przykład Powstanie Krakowskie w roku 1846, to ono miało jedną ważną cechę – sześćset osób wypowiedziało naraz wojnę Cesarstwu Austriackiemu, Cesarstwu Niemieckiemu i Cesarstwu Rosyjskiemu. Absurd! Ale doświadczenia II wojny światowej nauczyły jednej rzeczy – należy szanować tkankę biologiczną, bo balansujemy na granicy biologii.

W związku z tym postawa WiN-u w dużej mierze jest zdeterminowana dwiema rzeczami: zastosowaniem bomby atomowej przez Amerykanów, a przede wszystkim doświadczeniem Powstania Warszawskiego. Moczulski ma z kolei inne doświadczenia i obserwacje związane z inter-

wencjami sowieckimi. Ważny jest kontekst międzynarodowy. Komuniści zapuścili się w pewną sytuację, w której zostali zmuszeni do tego, aby liczyć się z opinią międzynarodową. W związku z tym można było jawnie pokazać nazwiska. „Oni nas nie mogą zamknąć tak od razu. Mogą nas represjonować i tak dalej, ale my działamy jawnie, dlatego że na nas patrzy świat”. Na to samo liczyli też WiN-owcy po 1945 r. – na to, że komuniści nie będą na tyle bezczelni, żeby – mówiąc brzydko – ukraść Polskę, a wszyscy będą na to patrzeć. Tymczasem oni byli tacy bezczelni i umieli to zrobić. Na to liczył WiN. Moczulski też widział tę sytuację takiego szantażu i zaczął ją sprytnie wykorzystywać.

Jerzy Wawrowski:

– Jest 1976 r. i jest Polskie Porozumienie Niepodległościowe. Mam pytanie – na ile ten program niepodległości wpłynął na myślenie Moczulskiego? Czy tutaj jakieś związki są zauważalne?

I z tym się wiąże następne pytanie. Wiadomo, że Polskie Porozumienie Niepodległościowe było związane z Paryską „Kulturą”. Jakie były relacje Giedroyc–Moczulski? To jest taki obszar, wydaje mi się, niezbadany do tej pory. Na ile pan tutaj widzi pewne przełożenia, na przykład jeśli chodzi o politykę dotyczącą Europy Środkowo-Wschodniej? Ta kwestia była później w programie Konfederacji. A Giedroyc też wprost wywodził się z obozu Piłsudskiego...

I jeszcze jeden wątek dotyczący roli Kościoła. W *Rewolucji bez Rewolucji* jest przecież ten słynny zapis, że to Kościół będzie formą przejściową, jak system komunistyczny upadnie – jeśli nastąpi to nagle, to kardynał Wyszyński będzie jako ten lider. Stąd słynna polemika Walca z Moczulskim i sformułowanie o ajatollahu Wyszyńskim. Ajatollah – wiemy dlaczego. To było wtedy modne, bo w tym czasie zaczęła się rewolucja irańska. Później wycofano z kolportażu ten numer Biuletynu i to słowo „ajatollah” KOR-owcy wycierali, bo to było przegięcie.

Moje pytanie jest takie – jakie było myślenie Moczulskiego o Kościele jako sile politycznej?

Maciej Zakrzewski:

– Giedroyc to jest bardzo dobry trop. Tylko problem z Giedroyciem polega na tym (ja się trochę Giedroyciem zajmuję), że to jest jedna wielka tajemnica, jak napisano, gdy wyszła biografia pióra Małgorzaty Grabowskiej, redaktorki Gazety Wyborczej. To jest jedyna biografia Giedroycia. Drugim bohaterem tej książki (oprócz Giedroycia) jest Adam Michnik. Trzecią bohaterką jest Agnieszka Osiecka i jej relacja z Giedroyciem, która jest jakby pomostem sugerującym, że Giedroyciowi bardzo podobali się rewizjoniści.

Więc dwa punkty. Giedroyc jest stuprocentowym piłsudczykiem i to piłsudczykiem radykalnym. To jest gość, który w swoim cynizmie politycznym (albo wyrachowaniu politycznym) mógłby się dogadać z każdym, byleby tylko osiągnąć cel. To jest rzecz, która jest charakterystyczna dla Giedroycia w latach 30., kiedy prowadzi takie gazety jak „Bunt młodych” i „Polityka” i to jest jego główny wyznacznik w latach powojennych. To jest również człowiek, który instrumentalnie posługuje się ideami (jak Moczulski) i emocjami po to, żeby osiągnąć określony cel. U niego nie było innego celu. Rewizjonizm był tylko pewną rysą, którą można było wykorzystać. I to jest kluczowe, i to mu zostało do samego końca. Wielka szkoda, bo Giedroyc był bardzo mądrym facetem i jedną z najważniejszych w ogóle postaci historii polskiej XX wieku, natomiast jego interpretacja, jego odbiór w Polsce jest katastrofalny. Mówiąc brzydko, taką mu gombrowiczowską gębę przyklejono. Upupiono go makabrycznie. A to był naprawdę wybitny strateg, ale to, co było jego instrumentem działania politycznego uznano za jego cel. Natomiast on się tutaj w 100% wpisuje.

Stosunku Giedroycia do Moczulskiego ja, szczerze mówiąc, nie znam. Moczulski pojawia się w wypowiedziach Giedroycia, natomiast jest w nich mocny sceptycyzm. To jest inne pokolenie (jak przywołany tu Stomma) i inne doświadczenie, które skutkuje takim asekuranctwem. Stefan Kisielewski też wielki polityk, wielki Polak, do samego końca nie mógł uwierzyć, że Związek Radziecki kiedyś upadnie. Tutaj potrzeba było pewnej bezczelności, która charakteryzowała ludzi, którzy nie mieli takiego doświadczenia jak to pokolenie wcześniejsze.

Przechodząc do kolejnego pańskiego pytania – Moczulski katolicyzm i Kościół geopolitycznie traktował jako siłę. Geopolityk ma to do siebie – i jak ktoś będzie czytał *Geopolitykę* Moczulskiego na pewno zwróci na to uwagę – że on nie dzieli państw na totalitarne i autorytarne, nie różnicuje ich, że jedne są na wyższym stopniu cywilizacyjnym, a inne na niższym. On traktuje je jako ośrodki siły. Czyli cywilizacja ma dla niego o tyle wartość z punktu widzenia geopolitycznego, na ile daje przyrost mocy. I to jest jedyne myślenie, które obowiązuje w geopolityce. Cała reszta, prawa człowieka jest... Zresztą jak obserwujemy politykę amerykańską, to widzimy, że oni bardzo dużo mówią o prawach człowieka, jednocześnie realizując swoje najlepsze interesy. Dlatego że hasło praw człowieka jest tylko i wyłącznie pewnym taranem, który pomaga realizować swoje własne interesy i na tym polega polityka. Więc on tak samo postrzegał. To jest po prostu potężny ośrodek mocy, który jest w stanie przepchnąć dalej tę naszą sprawę.

Mirosław Lewandowski:

– Jeżeli chodzi jeszcze o Giedroycia, to chciałem powiedzieć, że zapytałem Leszka Moczulskiego o to, na ile można powiedzieć, że koncepcja Międzymorza Moczulskiego jest kontynuacją koncepcji Giedroycia i Mieroszewskiego. Moczulski zwrócił mi uwagę na to, że jest jedna zasadnicza różnica między tymi koncepcjami. Dotyczy postrzegania roli Rosji. W koncepcji Moczulskiego, nawiązującej do Piłsudskiego, Międzymorze jest wymierzone przeciwko Rosji, a u Giedroycia Rosja czy Związek Radziecki jest częścią otwarcia na wschód. I tu jest zasadnicza różnica. Moczulski więc, jak gdyby zdecydowanie odciął się od koncepcji „Kultury” paryskiej.

Maciej Zakrzewski:

– To też jest ważna kwestia – innej tradycji. Giedroyc w latach 30. wychodził z innych punktów widzenia niż Piłsudski. Jak sobie zobaczymy, koncepcja Międzymorza polega na tym, że tworzymy pomiędzy Morzem Czarnym a Morzem Bałtyckim blok państw średnich i małych,

które będą się przeciwstawiać sąsiadom zarówno z jednej, jak i z drugiej strony. Bo chodzi przede wszystkim o zachowanie tych dwóch wektorów. Natomiast koncepcja Giedroycia była koncepcją proniemiecką. O tym sobie otwarcie powiedzmy. Giedroyc się strasznie sprytnie z tego wymiksował, bo mu nikt tego później nie wyciągał. A główny autor tej koncepcji proniemieckiej z lat 30. – Adolf Bocheński – zginął w 1944 roku. Natomiast idea Giedroycia, którą on później kontynuował w dużej mierze, polegała głównie na tym, że jesteśmy w kleszczach, więc należy rozbić ten element kleszczy, który się da. Niemiec się nie da, bo traktat wersalski i Bismarck tak zjednoczyli, że są praktycznie monolitem nie do ruszenia. Możemy rozbić tylko i wyłącznie Związek Radziecki, który się trzęsie, poprzez stworzenie niepodległej Ukrainy. My jesteśmy za słabi, żeby to zrobić. Jedynym elementem, który może nam pomóc są Niemcy, które po 1934 r. były w dobrych relacjach z Polską. Była to idea rozbicia Związku Radzieckiego, niezależnie na jakie podmioty, niezależnie, czy te podmioty będą nam przyjazne czy nie, jak Ukraina. Bocheński pisał, że jak powstanie niepodległa Ukraina, to ona będzie w sojuszu z Niemcami. Natomiast powstanie niepodległej Ukrainy, nawet proniemieckiej, mnoży nam ilość aktorów w naszym otoczeniu. Mnoży nam możliwości gry politycznej. Porozumiemy się wtedy z Rosją, będziemy szukać równowagi. Natomiast najgorsze jest to, jeśli jesteśmy wgniecenii pomiędzy dwa monolity, które jeśli się dogadają, to jest po nas. Nie ma żadnej opcji. Giedroyc uważał koncepcję stricte Międzymorza za utopijną. To znaczy stwierdzał, że można liczyć na rozbicie Związku Radzieckiego na mniejsze twory, natomiast już tworzenie sojuszu Państw Europy Środkowo-Wschodniej nie ma podstaw. I obserwując doświadczenie lat 30., lat 20. i obserwując obecne doświadczenie, niestety przyznaję mu rację. Jest to fajne życzenie, ale jest tu taki tygiel, że każdy ma innego przeciwnika.

Czesław Jakubowicz:

– Przy kawie poruszaliśmy taki problem – dlaczego KPN się nie przebiła już po 1989 r.?

I drugie pytanie – dlaczego ja, człowiek wierzący, blisko Kościoła, czułem ogromną niechęć Kościoła do KPN?

Maciej Zakrzewski:

– Jest to bardzo tożsamy doświadczeniu Piłsudskiego w roku 1914 i nie tylko. O jego rozgoryczeniu i później dość radykalnej i bardzo negatywnej ocenie dotyczącej możliwości współtworzenia czegoś z Polakami, należy pamiętać. Należy też pamiętać, że Piłsudski był osobą wywodzącą się, bądź co bądź, z tradycji Powstania Styczniowego, ale on zawsze ciepło mówił o Wielopolskim. O Wielopolskim, który miał takie same doświadczenie z tą barwną substancją narodową, co i Piłsudski. Więc to jest tak, że zawsze będzie garstka... i niestety jest to odwieczne doświadczenie związane nie tylko z tym ruchem, ale chyba w ogóle z ludźmi, którzy cokolwiek chcą w tym kraju zmienić.

Natomiast kwestia Kościoła jest istotna w tym okresie z dwóch względów. Po pierwsze, bądź co bądź, tradycja piłsudczykowska nie była nigdy tradycją klerykalną. Kościół, jeśli chodzi o siły polityczne, zawsze miał swoje siły, które go o wiele, można powiedzieć, cieplej, bardziej pod względem pewnych powiązań osobowych, reprezentowały, związane przed wojną z Narodową Demokracją. A potem sympatyzował również z odradzającymi się ruchami chrześcijańskimi, neoendeckimi i tak dalej. Tego było dużo, z ZChN na czele. A poza tym trzeba jeszcze pamiętać, że Konfederacja Polski Niepodległej miała pewne punkty programu budzące zastrzeżenia. I to jest to, o czym mówiliśmy.

Dlaczego Konfederacja się nie przebiła? Można wskazywać na szereg punktów związanych z pewną praktyką, że ktoś czegoś nie dopilnował, że nie było tego, tego czy tamtego. Pewnie. To jest jakby jedna część odpowiedzi, ale druga odpowiedź mi się nasunęła w momencie, kiedy przemyślałem ten tekst. I jest również analogia z Sanacją. KPN nie miała spójnej formuły, pomysłu na Polskę, takiego, który można by wystawić w pierwszym szeregu, bo to z czym się przebiła do opinii publicznej, to były pomysły związane z walką o niepodległość albo z dokończeniem tej walki. To znaczy dekomunizacja, lustracja, odejście

wojsk sowieckich. Natomiast czy KPN była – jeśli chodzi o kwestie gospodarcze – wolnorynkowa? Z jednej strony tak, ale z drugiej – nie. Jeśli chodzi o sprawy moralno-obyczajowe to było w KPN szereg takich wahań, że nie wiadomo, w którą stronę iść. Były zresztą takie partie afiliowane przy KPN, jak Sojusz Kobiet Przeciw Trudnościom Życia czy Zieloni. To też pokazuje, że we wszystkie strony chciano iść, nie do końca móc się odróżnić od otoczenia politycznego, skonfrontować się, pokazać że my jesteśmy inni.

Myślę, że tu przede wszystkim sprawa ustosunkowania się do kwestii gospodarczej mogła zaważyć, a przede wszystkim to, że uznawano KPN, może nawet bezpodstawnie, za partię okresu walki. A jak już wygraliśmy to jest inna sytuacja i KPN nie potrafiła zwalczyć tego wizerunku partii walki, partii niepodległościowej. Trochę pewnie na skutek swoich wewnętrznych ograniczeń, a trochę jakby na skutek zewnętrznych okoliczności.

DR KAROL CHYLAK

PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW MYŚLI POLITYCZNEJ KONFEDERACJI POLSKI NIEPODLEGŁEJ W III RZECZPOSPOLITEJ

DZIEDZICTWO PRZESZŁOŚCI

W czterdziestą rocznicę agresji niemieckiej na Polskę, 1 września 1979 r., przed Grobem Nieznanego Żołnierza w Warszawie Nina Milewska odczytała kluczowy dokument nowej formacji politycznej: Akt Konfederacji Polski Niepodległej. Jego treść w sposób zasadniczy wyznaczyła nie tylko cele ugrupowania, ale także stanowiła podstawowy zbiór wartości konstytuujących tożsamość środowiska Konfederacji Polski Niepodległej.

Wybijającym się elementem dokumentu była próba budowania tożsamości zbiorowej powstającej organizacji poprzez nawiązanie do tradycji walki o niepodległość. Zabieg ten był niezwykle istotny, bowiem, jak to już dawno temu ustalono, żadna zbiorowość nie może przetrwać bez własnej tożsamości, bez poczucia własnej odmienności i istnienia własnych, swoistych cech¹. *Jesteśmy kolejną zmianą w długim pochodzie pokoleń* – odczytywała wspomniana N. Milewska – *Już ponad dwieście lat, od czasów Konfederacji Barskiej, społeczeństwo tysiącletniej Rzeczypospolitej prowadzi walkę o niepodległy byt państwowy*². Ten długi pochód pokoleń został wyraźnie sprecyzowany w publikacji lidera ugrupowania *Rewolucja bez rewolucji. Formacja niepodległościowa* – pisał L. Moczulski – *jest kontynuacją radykalnego i rewolucyjnego nurtu niepodległościowego, od*

¹ B. Skarga, *Zbiorowa tożsamość i zagrożenia z nią związane*, „Kultura i Społeczeństwo”, 1998, nr 3.

² Deklaracja ideowa KPN (1979), s. 2, Internetowe Archiwum KPN, http://www.earchiwumkpn.pl/dokumenty_kpn/deklaracja_ideowa_1979.pdf

dwustu lat wywierającego zasadniczy wpływ na sposób myślenia i działania Polaków. Uważa się za bezpośrednie następstwo obozu niepodległościowego Józefa Piłsudskiego – odwołując się zwłaszcza do tradycji Organizacji Bojowej PPS, Legionów, POW, Państwa Podziemnego w latach minionej wojny oraz nawiązując do ugrupowań, które po dyktacie jałtańskim nie zaprzestały oporu w imię wolności i niezawisłości narodowej³.

Istotną cechą formacji miała być jej swoista bezideowość. Bezideowość rozumiana w kontekście rodzin ideologicznych partii politycznych. We wspomnianej deklaracji ideowej głoszono: *Konfederacja Polski Niepodległej jednoczy działania i wysiłki na rzecz niepodległości. Skupia osoby działające indywidualnie oraz różne ugrupowania, odmienne w widzeniu wielu kwestii ideowych, społecznych i politycznych, lecz wierne nadrzędnej sprawie niepodległości⁴.* Pojawiło się odwołanie do Adama Skwarczyńskiego i jego koncepcji „czynu bez ideologii”. Cel, jakim było odzyskanie wolności i niepodległości miał stać się swego rodzaju nadrzędnym, ponad ideologicznym, ponad politycznym programem narodowym⁵. Warto w tym miejscu zwrócić uwagę, że taka formuła z jednej strony przydawała organizacji możliwości, likwidowała bariery i stwarzała duże pole do rozwoju, rozszerzania zbioru potencjalnych zwolenników i sympatyków. Z drugiej jednak strony, już u samego zarania, widoczny był problem, który wcześniej czy później musiał ujawnić się z całą mocą. Partia równoległe z narodzinami zdefiniowała swój koniec. Wszak odzyskanie niepodległości oznaczało zrealizowanie celu grupy, a budowanie więzi na innych poziomach nie znalazło się w tym czasie w polu zainteresowania jej twórców.

Wkrótce pojawiły się pewne tendencje, które mogły stać się czynnikiem zawężającym środowisko polityczne. W 1980 r., wraz z ogłoszeniem programu wyborczego, początkowa bezideowość zaczęła zmieniać się i nabierać określonego kształtu. We wspomnianym programie zarysowano pewną wizję przyszłego, niepodległego państwa polskiego. Krok

³ L. Moczulski, *Rewolucja bez rewolucji*, b/w, b/w, s. 42.

⁴ Deklaracja; www.earchiwumkpn.pl

⁵ L. Moczulski, *Rewolucja...*, s. 38.

ten musiał wpłynąć, jeśli nie od razu, to w nieodległej przyszłości, na krystalizację środowiska. Z jednej strony mógł mieć siłę przyciągającą te grupy, które do tego czasu dystansowały się od KPN, a z drugiej wpływać dezintegrująco, odsuwając znów te, które prezentowały inny program.

Jak miało wyglądać to przyszłe, niepodległe państwo polskie? Otóż przygotowująca się do wyborów nowa formacja polityczna postawiła, z oczywistych względów, postulat niepodległości państwowej i narodowej oraz powołanie *na miejsce PRL suwerennej Trzeciej Rzeczypospolitej*⁶. Miało być to państwo oparte na ustroju demokratycznym, bez określenia szczegółowej formy systemu politycznego. O tym miał zdecydować przyszły organ ustawodawczy nazywany Sejmem Ustawodawczym. Podnoszono konieczność zabezpieczenia podstawowych praw obywatelskich w sensie politycznym, społecznym i gospodarczym. Był to, można rzec, klasyczny zbiór, w tym: równość obywateli wobec prawa, wolność słowa, prasy, działalności politycznej, społecznej i gospodarczej⁷.

Znalazły się tam jednakowoż elementy, które nie miały już tak uniwersalnego charakteru. Podkreślono rolę Kościoła katolickiego, wyróżniając go spośród innych wyznań, z drugiej zaś strony, nie opowiadano się wyraźnie po stronie jednego z najistotniejszych postulatów wysuwanych przez Kościół, czyli wprowadzenia do szkół nauki religii. Podążano za rozwiązaniami amerykańskimi, pozostawiając tę kwestię w gestii rodziców, a optowano jedynie za wprowadzeniem możliwości nauczania religii w szkole. Wątpliwości budził jednak stopień koherentności szeregu propozycji. Z jednej strony ograniczenia roli państwa do interwencjonizmu, hasła wolnego rynku, ograniczenia obciążeń fiskalnych, z drugiej zaś utrzymania, wszak zracjonalizowanej, ale jednak, nacjonalizacji przemysłu, cokolwiek by to nie znaczyło, własności uspołecznionej oraz szerokiej polityki społecznej⁸.

Ważne miejsce zajmowała polityka zagraniczna o zrozumiałym ostrzu antysowieckim i poszukiwaniu sojusznika w świecie Zachodu. Warty

⁶ Platforma wyborcza, s. 2. www.earchiwumkpn.pl

⁷ Ibidem, s. 4–5.

⁸ Ibidem, s. 9–12.

zauważenia był postulat przełamania wrogości między Polską a Niemcami⁹. Wkrótce, w maju 1985 r., opowiedziano się też za niepodległością Ukrainy¹⁰. Optyka nakierowana przede wszystkim na Europę środkową i republiki sowieckie.

Postulaty programowe nawiązywały bezpośrednio do przedwojennego środowiska sanacyjnego¹¹, etatystycznego i solidarystycznego, ale też bardzo niespójnego i niejednolitego. Oczywiście był to tylko program wyborczy, jednak jego ideologiczna niespójność nie mogła przynieść takowej na poziomie organizacyjnym. Warto też zauważyć, że sanacja zjednoczona była niepodważalnym autorytetem Józefa Piłsudskiego, KPN, mimo wszystko, nie dysponowała aż takim aktywem.

REGLAMENTOWANA TRANSFORMACJA

Podstawowym czynnikiem integrującym środowisko konfederackie było hasło niepodległości. W tym też kontekście niezwykle istotne były przemiany polityczne, jakie nastąpiły w Polsce w końcu lat 80. i na początku 90. XX wieku. Interpretacja tych wydarzeń przez struktury partyjne, jak i zbieżność teje z opinią społeczeństwa polskiego, miała, jak się wydaje, kluczowe znaczenie dla przyszłości organizacji politycznej, jaką była KPN.

W programie uchwalonym w 1989 r. wyraźnie wskazano kolejne fazy odzyskiwania niepodległości. Po pierwsze organizacja społeczeństwa, po drugie przeprowadzenie wolnych wyborów, na koniec zaś budowa nowego państwa – III Rzeczypospolitej¹². Przewidywano udział w różnorodnych działaniach politycznych, partycypowanie w zmianach systemu, które mogłyby przybliżyć realizację celu nadrzędnego – niepodległości. W tym też kontekście interpretowano tzw. częściowe wybory do Sejmu

⁹ Ibidem, s. 6–7.

¹⁰ *Rezolucja o prawie Ukrainy do niepodległego bytu (1980)*. Jelenia Góra, 15 V 1980 r., www.earchiwumkpn.pl

¹¹ W 1989 r. KPN wprost pozycjonowała się na spadkobiercę ruchu piłsudczykowski. *Program Konfederacji Polski Niepodległej uchwalony przez III Kongres (1989)*, s. 2, www.earchiwumkpn.pl

¹² Ibidem, s. 10.

PRL. Nie odżegnywano się od wzięcia w nich udziału, uznając go za formę *walki politycznej z narzuconym Polsce systemem i satelickimi władzami PRL. W najmniejszym nawet stopniu nie będzie oznaczało – akcentowano – aprobaty istniejącego stanu rzeczy ani rezygnacji z doprowadzenia do wolnych wyborów w możliwie najkrótszym terminie*¹³.

Ostatecznie, mimo że organizacja nie wzięła udziału w rozmowach „okrągłego stołu” przystąpiła do wyborów. *Uczestniczyć w tym co się dzieje musimy także, ponieważ konieczna jest nasza obecność. Wstrzymując się od działań – pisał L. Moczulski – schodzimy ze sceny politycznej, a więc oddajemy punkty walkowerem. To prawda, że warunki ustalone są nie przez nas, i że są one często niegodziwe. Znajdujemy się jednak w sytuacji boksera, który przed wejściem na ring wie, że przeciwnik walczy nieczysto, a sędzia jest stronniczy. Nie ma jednak wyboru. Jeśli nie wejdzie na ring, eliminuje się z rozgrywek. Musi wejść, mimo, że zdaje sobie sprawę, że będzie pokonany; pozostaje jednak uczestnikiem rozgrywek i zachowuje szansę na ostateczny sukces*¹⁴. Była to decyzja niewątpliwie ryzykowna, choć zgodna z zasadniczą linią strategii politycznej¹⁵. Ryzykowna, bowiem w zdążającej do bipolaryzacji scenie politycznej, podziale na komunistów i Solidarność, ugrupowania niezależne znalazły się poza zasadniczym wyborem. Więcej, ryzykowano też utratę poparcia swojego elektoratu, którego jedno skrzydło mogło się skłaniać do poparcia mającego większe możliwości obozu Solidarności, drugie zaś uznać samo uczestnictwo jako zdradę ideałów¹⁶. Rezultaty, jakie uzyskano okazały się zdecydowanie poniżej oczekiwań. Wszyscy kandydaci KPN przepadli, zarówno ci do Sejmu, jak i do Senatu¹⁷.

Kłęska, mimo wszystko, podziałała ożywczo na struktury partyjne. Konfederacja rozpoczęła szereg akcji politycznych i poczęła wyrastać na

¹³ Ibidem, s. 18.

¹⁴ L. Moczulski, *U progu Niepodległości. 2 część Rewolucji bez rewolucji*, Warszawa 1990, s. 59.

¹⁵ *Stanowisko KPN wobec wyborów*, „Gazeta Polska” 20 IV 1989, nr 54/6, s. 1–2.

¹⁶ Por.: G. Wołek, *Konfederacja Polski Niepodległej wobec wydarzeń 1989 r.*, [w:] *Konfederacja...*, s. 72.

¹⁷ „Monitor Polski” 1898, nr 21, poz. 149; ibidem, poz. 150.

główną siłę kontestującą rząd T. Mazowieckiego i stan, w jakim znalazło się polskie państwo. Liczono na „wybuch społeczny”, który uderzyłby w istniejący gabinet oraz, co za tym miało pójść, wzrost znaczenia KPN. Aktywność przeciwdziałającą KPN podjęła też Służba Bezpieczeństwa, jednakowoż kierownictwo resortu spraw wewnętrznych nie zdecydowało się na szerokie użycie siły, a takich zdecydowanych kroków domagały się środowiska popierające ówczesny rząd¹⁸.

Kolejne elekcje przydały partii możliwości politycznych. Po pierwszych sukcesach w wyborach samorządowych, porażce w wyborach prezydenckich, nadszedł wielki sukces. W pierwszych wolnych wyborach parlamentarnych KPN uzyskała 7,5% głosów i uformowała trzeci co do wielkości klub parlamentarny liczący 51 posłów. Mandat senator-ski uzyskało czterech kandydatów KPN¹⁹. Partia mogła rozpocząć nowy etap w drodze realizacji zasadniczego celu. Ten moment można uznać za realizację drugiej fazy planu politycznego KPN. Pozostało zatem wzniesienie nowej, III Rzeczypospolitej.

W DRODZE DO NIEPODLEGŁOŚCI

Punktem wyjścia do realizacji czegokolwiek w państwie, w programie konfederackim, była niepodległość. Tylko jej uzyskanie, zgodnie z twierdzeniem L. Moczulskiego, mogło rozpocząć etap formowania się Polski²⁰. Nic zatem dziwnego, że gdy tylko rozpoczęły się obrady Sejmu klub KPN wniósł projekt ustawy o restytucji niepodległości. Akt ten miał mieć nie tylko walor symboliczny, ale umożliwić praktyczne zerwanie z dziedzictwem PRL.

Cezurę oddzielającą dwa światy – zniewolony i wolny – postawiono w dniu 22 grudnia 1991 r. *Kulminacyjnym aktem tworzenia Trzeciej Rzeczypospolitej* – pisano – *oddającym władzę w ręce społeczeństwa i przywracającym suwerenność narodu stały się wolne i nieskrępowane wy-*

¹⁸ J. Kuroń, *Moja zupa*, Warszawa 1991, s. 49; G. Wołek, op. cit., s. 78–80.

¹⁹ A. Dudek, *Historia polityczna Polski 1989–2005*, Kraków 2007, s. 115–116, 175.

²⁰ Zob.: L. Moczulski, *Niepodległość jest punktem startu*, [w:] J. Frog, T. Sochacka, *Dwie rozmowy z przywódcą KPN Leszkiem Moczulskim*, Berlin 1987, s. 3–22.

*bory parlamentarne z 27 października 1991 roku*²¹. Wspomniana nowa III Rzeczpospolita miała stać się bezpośrednią następczynią i prawnym kontynuatorem przedwojennej Polski. W ten sposób do PRL – jako formy zależnej, niesuwerennej – zaliczono również tzw. Sejm Kontraktowy oraz powołane przez niego dwa rządy. Postulowano zanegowanie dziedzictwa PRL w sposób zdecydowany, przejście do tymczasowej formy zarządzania państwem, przegląd i odrzucenie powstałych w tym okresie aktów prawnych i umów międzynarodowych, lustrację mianowanych w tym czasie funkcjonariuszy wymiaru sprawiedliwości i aparatu bezpieczeństwa. Należy zauważyć też pewną niekonsekwencję, bowiem miało to dotyczyć jedynie tych osób, które sprawowały swe funkcje w okresie od 10 października 1939 r. do 10 września 1989 r. Lata między 1989 r. a końcem 1991 r., uznawane przecież za PRL, pominięto. Postulowano również powołanie Nadzwyczajnego Trybunału Narodowego do osądzenia przestępstw zdrady ojczyzny, zamachu stanu, naruszenia suwerenności państwa i innych przestępstw przeciwko obywatelom i państwu polskiemu²².

Projekt ustawy został złożony 5 grudnia 1991 r. Po blisko dwóch miesiącach odbyło się pierwsze czytanie. Natrafił jednak na poważną opozycję w Sejmie. Ale po kolei. Leszek Moczulski argumentował konieczność ustawowego stwierdzenia przejścia od jednej do drugiej rzeczywistości politycznej. Akt ten był niecodzienny, L. Moczulski powoływał się na precedens z okresu powstania listopadowego, jednakowoż ta paralela nie była doskonała. Bardziej celne – jak się wydawało – było odniesienie do aktu parlamentu francuskiego odcinającego się od okresu tzw. rządów Vichy²³. Jednakowoż nie o znalezienie precedensu tu chodziło. Faktycznym celem było przekształcenie ówczesnego Sejmu w konstytuante, izbę, która w zdecydowany sposób odcięłaby przeszłość i rozpoczęła budowę nowego, niepodległego państwa. Akt ten miał też

²¹ *Ustawa o Restytucji Niepodległości (1992)*, s. 3, www.earchiwumkpn.pl

²² *Ibidem*, s. 1–5.

²³ *Sprawozdania stenograficzne Sejmu Rzeczpospolitej I Kadencji*, 31 I 1992, pos. 7 (przemówienie L. Moczulskiego).

swoje znaczenie dla ówczesnego układu politycznego. W pewien sposób odmawiano mu prawa do istnienia. Miał być tylko tymczasowym, ważnym, bowiem mającym za zadanie przeprowadzenie zmian, jednak działającym w okresie przejściowym, ponieważ – jak zapisano – *Proces kształtowania Trzeciej Rzeczypospolitej zostanie zakończony wraz z uchwaleniem nowej Konstytucji*²⁴.

Takie stanowisko musiało wywołać opozycję pośród posłów ówczesnego Sejmu. Większość klubów w ten czy inny sposób aktywnie partycypowała w zmianach, jakie dokonywały się od „okrągłego stołu”. Był polityczny, jaki w ten sposób powstał, nie był dziełem przejściowym, być może był niedoskonałym, ale nie odmawiano mu prawa do istnienia. Przedstawiciel największego klubu parlamentarnego – Unii Demokratycznej – Kazimierz Michał Ujazdowski w pierwszym zdaniu zanegował potrzebę ustawy proponowanej przez KPN: *W chwili obecnej Polska jest krajem niepodległym*²⁵. Nie negowano potrzeby zmian, jednakowoż odżegnywano się od stanowczego odcięcia spadku po PRL. Miał on nadal obowiązywać, jako tymczasowy, ale jednak. Argumenty o konieczności niewprowadzania chaosu były koronnymi²⁶. Analogiczną postawę przyjęli posłowie KLD²⁷.

Co istotne, również kluby prawicy odmówiły poparcia inicjatywie KPN. Poseł ZChN pochylił się jedynie nad kwestiami szczegółowymi²⁸. Zasadnicze tezy zawarte w ustawie o restytucji niepodległości podzielili posłowie klubu PC. Przemawiający w ich imieniu Lech Kaczyński zgodził się z twierdzeniem o braku zasadniczej linii oddzielającej przeszłość i przyszłość. Przyznał też, że: *ma to niewątpliwie niejeden negatywny skutek, szczególnie w zakresie psychologii społecznej*. Więcej, zgodził się też z postrzeganiem struktur komunistycznych: *projekt Konfederacji Polski Niepodległej stawia też sprawy związane z tym, co w prze-*

²⁴ *Ustawa o restytucji...*, s. 3.

²⁵ *Sprawozdania...*, 31 I 1992, pos. 7 (przemówienie K. M. Ujazdowskiego).

²⁶ *Ibidem*.

²⁷ *Ibidem* (przemówienie L. Mażewskiego).

²⁸ *Ibidem* (przemówienie J. Piątkowskiego).

konaniu Porozumienia Centrum jest też istotnym problemem. Mianowicie chodzi tutaj o funkcjonowanie jeszcze bardzo poważnych elementów starego komunistycznego systemu prawnego w obecnej rzeczywistości. Jest to o tyle groźniejsze, że temu funkcjonowaniu przypisuje się pewną, skądinąd słuszną, co do zasady i sprawdzoną historycznie, ideologię prawniczą, ideologię państwa prawnego, co z kolei stanowi swoistą ochronę dla układów społecznych, dla petryfikacji swoistych struktur, które w ramach przebudowy społecznej, budowy społeczeństwa obywatelskiego powinny ulec likwidacji. Odrzucał jednak metodę, jaką była ustawa o restytucji niepodległości – jego zdaniem – proces rozprawy z elementami komunistycznego systemu prawnego nie może być zrealizowany za pomocą jednego aktu prawnego²⁹.

Inicjatywa KPN uzyskała poparcie klubów Porozumienia Ludowego i Solidarności³⁰. Nie dawało to nadziei na powodzenie. W przeprowadzonym tego samego dnia głosowaniu – 31 stycznia 1992 r. – projekt ustawy o restytucji niepodległości upadł. Znalazł poparcie 77 posłów, przeciw zagłosowało 207, a 36 wstrzymało się od głosu³¹.

Można zadać sobie pytanie o przyczyny takiego losu, jaki spotkał projekt złożony przez KPN. Arytmetyka sejmowa nie sprzyjała powodzeniu To jedno. Istniała jednak szansa na zebranie odpowiedniej liczby głosów. Kluczową w tym była jednak postawa klubów prawicowych: ZChN, PC, i uznawanego za takiż, KLD. Drugą istotną kwestią była sama propozycja, której forma z jednej strony nie sprzyjała budowaniu koalicji, z drugiej stwarzała wiele pól konfliktowych. Jak się wydaje zaciążyła nad nią też pewna forma wypowiedzi, jaką przez lata stosował L. Moczulski. Chodzi tu o łączenie generalistów, twierdzeń na wysokim poziomie ogólności z elementami szczegółowymi, bliżej niesprecyzowanymi, tylko w pewien sposób wypełniającymi treścią rzeczzone ogólne tezy. Akt prawny napisany w formie deklaracji programowej musiał rodzić wątpliwości. Nawet generalna zgoda co do ogólnego przesłania

²⁹ *Ibidem* (przemówienie L. Kaczyńskiego).

³⁰ *Ibidem* (przemówienie Z. Berdychowskiego); *ibidem* (przemówienie J. Kulasa).

³¹ *Ibidem* (wicemarszałek A. Kern).

budziła, skądinąd słuszne obawy o praktyczne stosowanie potencjalnego nowego prawa³².

Porażka inicjatywy ustawy o restytucji niepodległości i pierwsze doświadczenia partii jako elementu Sejmu, jak się wydaje, mogły być jednym z czynników, które wpłynęły na pewien proces ewolucji KPN. Wkrótce, w marcu 1992 r. na IV Zjeździe KPN uchwalono tezy programowe. Zauważalny w nim był już pewien stopień pragmatyzacji postulatów. W pierwszym zdaniu wyraźnie stwierdzono: *ogromnym wysiłkiem całego społeczeństwa Polska odzyskała Niepodległość*³³. Uznano w ten sposób istniejącą wówczas rzeczywistość za de facto niepodległą. Postulat zaznaczenia odrębności od czasów PRL począł być nieco mniej akcentowany. Nie można jednakowoż powiedzieć, że organizacja rezygnuje z niego. W projekcie konstytucji zaznaczono, że Polska jest krajem *wskrzeszonym i powtórnie odbudowanym*³⁴. Nie było to jednak równoznaczne z postulatami formułowanymi w 1989 r. Po latach, a było to w 2012 r., L. Moczulski, wyraźnie wskazywał na błąd logiczny w tytule tematu formułowanym jako polityka niepodległościowa dzisiaj, twierdząc, że *jeśli istnieje państwo niepodległe, cel został osiągnięty – to mamy do czynienia z polityką państwową*, a określenie polityka niepodległościowa jest już tylko wynikiem pewnej *tradycji terminologicznej*³⁵.

PAŃSTWO

Nowa, wskrzeszona Rzeczpospolita, miała zostać ufundowana wolą obywateli. W 1989 r. głośzono, *iz ustrój polityczny, społeczny i gospodarczy niepodległej Rzeczypospolitej zależć będzie wyłącznie od woli jej obywateli*

³² Bezkompromisowość rozwiązań zaproponowanych w projekcie ustawy o restytucji niepodległości można też traktować w kategoriach demonstracji politycznej.

³³ *Tezy programowe Konfederacji Polski Niepodległej uchwalone przez IV Kongres (1992)*, s. 2. www.earchiwumkpn.pl

³⁴ *Konstytucja Rzeczypospolitej Polskiej. Projekt konstytucji Konfederacji Polski Niepodległej*, Warszawa 1993, s. 7.

³⁵ *Program niepodległości – dziś. Konferencja Łódzka. Listopad 2012* (przemówienie L. Moczulskiego), Warszawa 2013, s. 8.

li³⁶. Zaproponowano dość archaiczne rozwiązanie ustrojowe nawiązujące do tradycji przedrozbiorowej Polski. Sejm złożony z trzech części: prezydenta sprawującego władzę wykonawczą, senatu nadzorującego te czynności i izbę poselską mającą kompetencje ustawodawcze³⁷. Konstrukcja ta, jeśli zagłębić się w szczegółowe rozwiązania, umyka nowoczesnym klasyfikacjom systemów politycznych. Więcej szczegółów przynosi propozycja konstytucji. Postulowano państwo demokratyczne akceptujące prawa człowieka i swobody obywatelskie. Jako suwerena wskazano naród. Pojęcie to formułowano jednak w kontekście obywatelstwa. Naród rozumiany jako *ogół obywateli*, wyraźnie nawiązujący do tradycji piłsudczykowskiej. Z drugiej strony mamy sporo niekonsekwencji w tym zakresie. W kolejnych artykułach pojawiło się pojęcie obywatela innej narodowości niż polska. Jak więc definiować narodowość? Trudno orzec. W tym miejscu pojawia się też kontrowersyjne twierdzenie o nabywaniu obywatelstwa przez urodzenie, co wykluczałoby kwestie przynależności narodowej poprzez związek emocjonalny i kwestie tożsamości. Pojawia się tu też wątek, klasyczny dla środowiska sanacyjnego, czyli lojalności mniejszości narodowych wobec państwa polskiego³⁸.

Struktura władz, jaka została zaproponowana w projekcie konstytucji nawiązywała do form przedrozbiorowych. Była niezwykle skomplikowana i w umiarkowanym stopniu odzwierciedlająca zasady trójpodziału władz. Władza wykonawcza – prezydent, był jednocześnie elementem władzy ustawodawczej. Notabene, autorzy projektu konstytucji nigdzie wyraźnie nie odróżnili tych, tak klasycznych elementów ustrojowych państwa. Nie wchodząc w omawianie szczegółowych propozycji należy zauważyć wyraźną sprzeczność z deklarowaną w wielu dokumentach KPN zasadą demokratyzmu. Proponowany system zbliżał się do rozwiązań zawierających elementy władzy jednolitej, silnej władzy wykonawczej i części ustawodawczej przyznanej prezy-

³⁶ *Program Konfederacji Polski Niepodległej uchwalony przez III Kongres...*, s. 7.

³⁷ *Ibidem*, s. 8.

³⁸ *Konstytucja Rzeczypospolitej...*, s. 7, 12.

dentowi³⁹ oraz braku odpowiedzialności prezydenta za akty urzędowe (kwestia ta była bardzo niejasna). Takie zapisy kontrastowały z przyznaniem władzy najwyższej Sejmowi. Ta część ustrojowa rozumiana była, można rzec, po staropolsku, jako struktura złożona z trzech części. Co ciekawe, kadencja Sejmu została określona na 4 lata, a jednej z jej części, prezydenta, na 6. W tę całą konstrukcję wpisuje się postulat Senatu złożonego z urzędników, w istotny sposób ograniczającego, podobnie jak prezydent, wolę Izby Poselskiej. Każda ustawa musiała być uchwalona przez Sejm, a więc trzy jego elementy⁴⁰.

Proponowane rozwiązania niewątpliwie odznaczały się oryginalnością. Autorzy mieli świadomość, że mogą budzić sprzeciw. Dotyczy to zarówno stanowczo postawionej kwestii nadrzędności zasady suwerenności narodu, jak i odejście od trójpodziału władzy. Co do tej ostatniej, to L. Moczulski twierdził, że została ona zachowana, jednakowoż była tylko wskazówką, a nie nadrzędną zasadą ideową. Uważano, że nie współgra ona z polską tradycją i mentalnością narodową. *Rozdział władzy wykonawczej i ustawodawczej* – pisał L. Moczulski – *zarysowany jest silniej niż w większości konstytucji kontynentalnych, ale następuje on wewnątrz organu przedstawicielskiego, a nie między różnymi organami*⁴¹.

W dokumencie pojawiło się też określenie stanu. To pojęcie typowe dla okresu przedrozbiorowego w XX w. utraciło już swe znaczenie. Takie elementy stratyfikacji społecznej jak stany zwyczajnie już nie istniały. Ten sposób myślenia zaważył jednak na kwestiach wyborczych. Stanowość i tradycjonalizm rozwiązań przedrozbiorowych zostały zastąpione przez inny rodzaj stratyfikacji – wykształcenie. Autorzy wyraźnie ograniczyli prawa wyborcze (bierne) do osób posiadających wyższe

³⁹ Dekrety z mocą ustawy, prawo mianowania części senatorów, przewodniczenie obradom Sejmu itd.

⁴⁰ Niekonsekwencja: prezydent musiał podpisać ustawę po uchwaleniu jej przez Sejm większością 3 głosów; Sejm złożony był z Senatu, Izby Poselskiej i Prezydenta działających jako *stany połączone*; czy to oznaczało, że obradują razem, czy ich głosy liczyło równo? Czy głosowano stanami?

⁴¹ L. Moczulski, *Wizja parlamentu w nowej konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej*, Warszawa 1994, s. 17–18.

wykształcenie (wyższe bądź średnie). Demokracje ograniczające prawa wyborcze przez cenzus wykształcenia byłyby niewątpliwie w obecnych czasach zjawiskiem niecodziennym. Nadto poszukując metod podwyższenia poziomu kompetencji aparatu urzędniczego i lokalnych struktur zarządzających zdecydowano się na postulowanie ograniczeń w dostępie do tych funkcji dla osób legitymujących się określonym stopniem formalnego wykształcenia⁴².

Dokument zgłoszony przez KPN nosił wyraźne piętno L. Moczulskiego. Pojawia się więc fascynacja historią Polski, przemieszanie elementów ogólnych i szczegółowych, ich wewnętrzna niekoherentność, archaiczność rozumowania struktury społecznej, akcentowanie przede wszystkim elementów symbolicznych, niski stopień pragmatyzmu. W projekcie konstytucji przebija się niezwykle wyraźnie intencja nawiązania do tych okresów w dziejach Polski, które zostały uznane za niepodległe. Otwartym pozostaje pytanie, dlaczego wybrano tak odległe historycznie rozwiązania, łatwe do podważenia, a nie zdecydowano się na formy, jakie funkcjonowały w okresie II Rzeczypospolitej – wszak też niepodległej (konstytucja marcowa czy kwietniowa).

GOSPODARKA

Konfederacja Polski Niepodległej, a także jej lider formułowali też postulaty w zakresie społeczno-gospodarczym. W 1989 r., w nowo uchwalonym programie, stwierdzono: *ustrój gospodarczy niepodległej Polski powinien pragmatycznie przystosować się do wymogów życia i nie może być podporządkowany żadnej ideologicznej doktrynie ekonomicznej*⁴³. Wolnorynkowa gospodarka miała koegzystować z państwem dysponującym instrumentami kształtującymi kierunki rozwoju gospodarczego. Wyraźniej akcentowany, jeszcze w latach 80 XX w., etatyzm, zastąpiono przez interwencjonizm. Też zresztą niezbyt wyraziście określony. Trzeba też zaznaczyć, że rolę państwa umiejscawiano gdzieś między regulatorem

⁴² *Konstytucja Rzeczypospolitej...*, s. 55.

⁴³ *Program Konfederacji Polski Niepodległej uchwalony przez III Kongres...*, s. 8.

a interwentem. Uwypuklono rolę struktur pośrednich jako tych, które winne były pełnić rolę zabezpieczającą potrzeby społeczne: *Institucje państwowe winny ograniczyć swą rolę wyłącznie do nadzoru i udzielania pomocy w nadzwyczajnych sytuacjach*⁴⁴. Z drugiej strony optowano za klasycznie lewicowymi postulatami w polityce społecznej, jak wykonywaniem roli opiekuna wobec emerytów i rencistów oraz stosowaniem instrumentu dostarczania pracy przy walce ze zjawiskiem bezrobocia. Podniesiona otwartość na integrację ze strukturami gospodarczymi i społecznymi Europy zastrzeżona została koniecznością ochrony interesów państwowych i narodowych⁴⁵.

Program KPN w zakresie gospodarczym był wyraźnie niespójny. Jak się wydaje, nie stanowił też zbyt istotnego elementu myśli tego środowiska, stąd też trudno się doszukać w szeregu zgłaszanych postulatów w tym zakresie pewnej jednej myśli. Wartym zauważenia jest odzwierciedlenie w programie gospodarczym idei niepodległości, która w tym kontekście rozumiana była jako zerwanie ze spadkiem PRL-u i budową systemu gospodarczego od podstaw. Była to wyraźna różnica w stosunku do haseł głoszonych jeszcze w połowie lat 80., kiedy przewidywano powolne przekształcanie i usamorządowanie zarządzania podmiotami gospodarczymi⁴⁶.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Niezwykle istotnymi, także w kontekście forsowanego hasła niepodległości, były postulaty w zakresie polityki zagranicznej. Wydaje się też, że wynikało to również z osobistych zainteresowań lidera KPN⁴⁷. Postulowano zerwanie z serwilizmem PRL – to była rzecz oczywista. Nie chodziło tu jednak jedynie o ZSRR, ale również i Europę Zachodnią. Ta postrzegana była jako zagrożenie gospodarcze. Postulowano własną dro-

⁴⁴ *Tezy programowe Konfederacji Polski Niepodległej uchwalone przez IV Kongres...*, s. 3–4.

⁴⁵ *Tezy programowe Konfederacji Polski Niepodległej uchwalone przez IV Kongres...*, s. 3–4.

⁴⁶ *Program Konfederacji Polski Niepodległej uchwalony przez III Kongres...*, s. 8.

⁴⁷ L. Moczulski, *U progu niepodległości. Rewolucji bez rewolucji ciąg dalszy*, Warszawa 1990, s. 27–37.

gę, nawiązując wprost do koncepcji z okresu międzywojennego, a więc koncepcji federalistycznej, czy też tzw. Międzymorza. Słabość państw Europy środkowej, wschodniej i południowej miała się stać elementem integrującym ich interesy. Koncepcja ta, niezwykle atrakcyjna, jeśli przyglądamy się jej na bardzo ogólnym poziomie, natomiast niezwykle trudna do realizacji. Zasadniczym jej elementem jest dążność do utrzymania samodzielności politycznej i definiowanie zagrożenia ze wschodu i zachodu. Ta perspektywa, wyraźna dla takich krajów jak Polska, mniej zauważalna jest dla krajów posowieckich, gdzie niebezpieczeństwo może być definiowane jako zagrożenie wpływami polskimi. Inny jest też stopień wrażliwości na wpływy zachodnie i wschodnie krajów Europy południowo-wschodniej. Trzeba zaznaczyć, że kilkukrotne próby realizacji tej koncepcji podejmowane w dziejach Polski nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Nie zmienia to faktu, że KPN, forsując tę koncepcję wyróżniała się wówczas oryginalnością.

Koncepcja Międzymorza nie miała być formułą konkurencyjną dla projektu zjednoczonej Europy. Ten ostatni rozumiany był jako dążenie do „Europy Ojczyzn”, inna wersja byłaby sprzeczna z ideą niepodległościową. Współpraca krajów położonych w środkowej Europie miała uchronić je przed zgubnymi, jak sądzono, skutkami integracji. Wskazywano bowiem, że integracja państw rozwiniętych, silnych ze słabszymi organizmami prędzej czy później przekształci się w proces wchłaniania tych ostatnich. *Narody środkowoeuropejskie – pisano w styczniu 1993 r. – mają historyczną szansę stworzenia systemu trwale zabezpieczającego je przed obcą dominacją. I albo go stworzą, albo zostaną skazane na powtórzenie raz jeszcze lekcji historii*⁴⁸.

SPÓŁCZEŃSTWO

Zagadnienia społeczne, aksjologiczne nie należały do zbyt istotnych w programie KPN. Trudno też doszukać się spójności propozycji. Trwało przy zasadniczych postulatach swobód obywatelskich, typowych

⁴⁸ T. Szczepański, *Międzymorze. Polityka środkowoeuropejska KPN*, Warszawa 1993, s. 22–23.

dla państw demokracji zachodnich. To jedno. Po drugie, podnoszono kwestie zobowiązań państwa wobec tej części społeczeństwa, która znajdowała się w trudnej sytuacji materialnej. Mowa była o instrumentach interwencji typowych dla socjaldemokracji. Częściej pojawia się odniesienie do roli Kościoła katolickiego. Początkowo, w latach 80. XX w., mniej wyraziste, z czasem organizacja przyjęła bardziej konkretną postawę. Nawiązywano do nauki społecznej Kościoła⁴⁹. W projekcie konstytucyjnym, przyjęto historyczną formułę traktowania katolicyzmu jako pierwszego spośród równych wyznań. Znalazł się tam bowiem zapis, o wyznaniu rzymsko-katolickim, będącym religią przeważającej większości narodu, zajmującym w Rzeczypospolitej naczelne stanowisko spośród równouprawnionych wyznań⁵⁰.

Konfederacja formułowała postulaty, które można odczytywać jako zbliżanie się do pewnej formy arystokracji, rozumianego niemal po platońsku. Nadmieniono już o przydawaniu prawa do pełnienia funkcji publicznych osobom spełniającym określone kryteria wykształcenia. Postulat ten stał niewątpliwie w kontrze do równocześnie głoszonych haseł demokratyzmu. Wspomniano już o posługiwaniu się archaiczną terminologią opisującą strukturę społeczną.

POZOSTAWIONE DZIEDZICTWO

Wkład KPN w budowę nowego państwa trudno przecenić. Był on niewątpliwie duży, mimo stosunkowo krótkiego udziału w organach ustawodawczych i nieuczestniczenia w strukturach rządowych. Głównym był postulat niepodległościowy, mobilizujący, wzmacniający procesy przemian politycznych. Organizacja obligowała inne środowiska polityczne do opowiedzenia się za konkretnymi rozwiązaniami w kontekście niepodległości. Znajdowały się one więc pod stałą presją tych postulatów.

Ważna była też formuła organizacyjna przyjęta przez KPN. Opowiadając się zdecydowanie za formą partii politycznej, KPN niejako wyzna-

⁴⁹ *Program Konfederacji Polski Niepodległej uchwalony przez III Kongres...*, s. 3.

⁵⁰ *Konstytucja Rzeczypospolitej...*, s. 10.

czała pewne trendy, przecierała szlaki dla nowo rodzących się organizacji. Kolejno powstające ruchy społeczne orientowały się na KPN, wzorując się, korzystając z doświadczeń KPN, rozpoczynając budowę organizacji partyjnych, a co za tym idzie, systemu partyjnego III Rzeczypospolitej⁵¹.

Problematyczne były natomiast proponowane rozwiązania szczegółowe, które zawierają wiele wewnętrznych sprzeczności, archaicznych rozwiązań, nieuwzględniających zmieniającego się kontekstu społecznego i gospodarczego. Nie była więc zaskoczeniem sytuacja porażki na tymże polu. Proponowane rozwiązania trafiały na istotny opór, a wspomniane niedoskonałości umożliwiały torpedowanie zamierzeń KPN.

Konfederację Polski Niepodległej niezwykle trudno umiejscowić w określonym nurcie politycznym charakteryzującym się względnie spójnym zestawem postulatów i aksjologią. Można powiedzieć, że ideą KPN była niepodległa Polska, ale bez konkretnej odpowiedzi o jej kształt, formę i zasady, na których miała się opierać. KPN – można by rzec – była więc pewną postawą wolności, suwerenności i niepodległości, formą nie do końca wypełnioną jednolitą treścią, zgodnie z hasłem pierwotnym: *czynu bez ideologii*.

DYSKUSJA

Bohdan Urbankowski:

– Myślę, że bardzo dobrą postawą w referacie było odróżnianie tego, co realne politycznie i co symboliczne. Bo tak, jak patrzymy na przechodzenie w ogóle działań politycznych, kulturowych do sfery symbolicznej, do tych rzeczywistości wirtualnych, to tutaj akurat program KPN się wykazał nowoczesnością, wręcz awangardyzmem. Pamiętam tamte czasy. Myśmy z góry wiedzieli, że pewne rzeczy nie przejdą. Że jest nas za mało, że jest w tej chwili nieomal spisek wszystkich sił przeciwko

⁵¹ *Relacja Andrzeja Anusza*. Nawiązanie do procesu tworzenia się Porozumienia Centrum i innych partii opozycyjnych w początkach lat 90. XX w.

KPN, bo tak tę sytuację polityczną trzeba określić. Natomiast to chodziło także o zasugerowanie – to co pan nazwał „wzmacnianiem tendencji”. Myślę, że to wyszło. Tak samo, jak cały czas podkreślanie tej ciągłości.

Tu jest jedna teza, z którą się nie całkiem zgadzam, aczkolwiek ona była formułowana. Mianowicie, że z chwilą uzyskania niepodległości partia niepodległościowa traci sens. Byłoby tak, gdyby niepodległość była dokładnie zdefiniowana i gdyby partia rzeczywiście chciała przestać istnieć, podczas gdy od pewnego momentu partia istnieje także dla istnienia, wzmacnia własne struktury, zajmuje swoją pozycję. I tutaj myślę, że próby redefiniowania niepodległości, wskazywania tego, że jesteśmy zależni w sferze gospodarczej jednak, te próby wejścia do NATO, te próby stworzenia Międzymorza, to cały czas polegało na tym, że w gruncie rzeczy niepodległość jest pojęciem szerszym, a myśmy realizowali tylko jej kawałek. Czyli dalej jest coś do zrobienia.

Natomiast te wszystkie programy dotyczące gospodarki, niezwykle chaotyczne, miały jedną bardzo piękną czapę ideologiczną, jaką dawał Piłsudski. Wtedy był bajzel w tej dziedzinie, no i też dorobiło się do tego ideologię pod hasłem gospodarki trójsektorowej. To zresztą było wcześniej w programie sanacji – musi być gospodarka: prywatna, spółdzielcza i państwowa. Jak tak się nad tym głębiej zastanowić, to była jedyna realna koncepcja, bo właśnie dopasowana do ówczesnej rzeczywistości. Nie ma sensu upaństwowić babci, która sprzedaje dla naszego wegetarianina marchewkę i inne sałatki, a z kolei nie da się przy pomocy tej babci zbudować linii kolejowej od Gdańska do Krakowa. Myślę, że właśnie ten element pragmatyzmu jest wart wydobycia.

Mamy tutaj ten romantyzm celów (niepodległość, antysowietyzm itd.), ale tu, na tym małym poziomie, to trzeba wyszarpywać komuchom dosłownie wszystko. Stąd między innymi hasło lustracji.

Jerzy Wawrowski:

– Jest kilka kwestii.

Pierwszy wątek, który się przewijał w wielu referatach – kwestia celu partii. Skoro cel osiąga (mówimy tutaj o niepodległości), to jakby ko-

niec powodu do istnienia danej partii. Tu już Bohdan nawiązał, że niepodległość to nie jest sytuacja zero-jedynkowa. Dlaczego? Dlatego, bo są stany pośrednie, gdzie na przykład z punktu widzenia prawa międzynarodowego jest się niepodległym, a z punktu widzenia faktycznego niepodległym się nie jest. Partia niepodległościowa dalej ma sens istnienia, jeżeli poziom różnorodnych uzależnień jest tak duży, że o faktycznej niepodległości nie można mówić.

Druga kwestia to jest kwestia – mamy niepodległość, ale możemy ją stracić. Więc partia niepodległościowa w warunkach państwa niepodległego ma sens, ma sens dalej, ponieważ trzeba tworzyć takie państwo i taką gospodarkę, żeby tej niepodległości nie stracić, żeby tę niepodległość ochronić.

Pewna niespójność się wydarza w stosunku do kwestii gospodarczych, ale ja to rozumiem, z tego względu, że spójną doktryną gospodarczą jest doktryna liberalna, ta klasyczna, XVIII-wieczna. Tylko że rzeczywistość gospodarcza, rzeczywistość gospodarczo-społeczna jest tak złożona, że ludzie – w moim przekonaniu – nie stworzyli po pierwsze modelu wyjaśniającego zjawiska gospodarcze, zwłaszcza że to są zjawiska dynamiczne. Stąd też tutaj mamy z jednej strony wolny rynek, z drugiej strony – interwencjonizm. Jest tutaj próba takiego praktycznego, pragmatycznego wypośrodkowania. Podam przykład zrozumiały dla każdego, kto miał do czynienia z silnikami wysokoprężnymi. Silnik wysokoprężny, który jest sam w sobie pewnym systemem, ma tendencję do rozbiegania się. Rozbieganie się silnika spowodowałoby, że on by uległ rozpadowi, destrukcji, więc stosuje się taki mechanizm jak regulator obrotów, który po prostu go przyhamowuje. To jest taka analogia mechaniczna – mamy wolny rynek, ale gdzieś musi być ten regulator obrotów, żeby w ogóle ten wolny rynek nam nie rozbiegał się.

Mnie się wydaje, że pewnego rodzaju niespójność już wtedy była, przynajmniej u Leszka Moczulskiego, ale też i u nas – zrywaliśmy z systemem totalitarnym, wchodziliśmy teoretycznie w demokrację, ale też mieliśmy świadomość, czy przecucie, kryzysu formuł demokratycznych. Model demokracji parlamentarnej, która – z jednej strony – tak

do końca nie jest demokracją, a z drugiej strony – jest modelem powstałym w XIX wieku. My byliśmy u progu XXI wieku, a więc model demokracji parlamentarnej taki, jak mamy współcześnie, jest to model z zupełnie innej rzeczywistości. I tutaj też była chyba jakaś próba postawienia teorii prezydenta, który miał niemalże monarsze uprawnienie. Ale to też była taka tendencja piłsudczykowska – zasada jednoosobowej odpowiedzialności i jednoosobowego kierownictwa nie tylko na szczycie państwa, ale na poszczególnych jego szczeblach.

Kazimierz Wilk:

– Zaczę od sprostowania. Jako uczestnik debaty nad projektem ustawy o restytucji Niepodległości, nie zgodzę się, że ZChN zachowało się nie wiadomo jak. Jedynym ugrupowaniem parlamentarnym, które wykazało zrozumienie i poparło KPN, był klub parlamentarny Solidarność. Natomiast ZChN zachował się tak jak wszystkie inne. Ja przypomnę, że Goryszewski wystąpił i powiedział, że jeżeli ta ustawa wejdzie, to małżeństwa nie będą ważne. Proszę sięgnąć do stenogramów...

Głos z sali:

– Miał taką nadzieję...

Kazimierz Wilk:

– Ja mam dobrą pamięć i to szczególnie sobie zapamiętałem.

Druga rzecz jest taka, że to, co pan zrobił jest bardzo ciekawe. Taki kij włożony w mrowisko. Powiem tak – wożę ze sobą projekt konstytucji Konfederacji Polski Niepodległej. Możemy posiedzieć do rana i możemy punkt po punkcie... Nie ma żadnego problemu. I do pana pytanie, proszę mi powiedzieć – jeżeli jest leń, nic przez całe życie nie robił, tylko pod budką z piwem stał, nic w życiu nie osiągnął, to jak on ma decydować o Polsce, co on sobą niesie? To niech do końca życia żyje sobie tak, jak żyje.

Karol Chylak:

– Dzisiaj forma jest demokratyczna, przynajmniej teoretycznie mamy egalitaryzm w sensie prawnym. W sensie prawnym każdy ma

równe prawa. A tutaj było – w sensie prawnym – pewne ograniczenie. Ja nie oceniam, czy złe, czy dobre. Było nawiązanie wyraźnie do okresu przedrozbiorowego. Zastanawiam się, dlaczego wybrano aż tak dalekie porównanie. Rozumiem, że to chodziło o symbolikę, przede wszystkim. Natomiast w akcie prawnym być może wypadałoby to w preambule wyjaśnić. W samym akcie prawnym te rozwiązania, które tam się znalazły były po prostu archaiczne w sensie praktycznego wykonania. Bo społeczeństwo, struktury gospodarcze były już inne i nie można było ich zarządzać tego typu instrumentami. Więc można było się odwołać do 1921 r., do 1935, kiedy już były nowocześniejsze i jedne były bardziej takie prezydenckie, a drugie były parlamentarno-gabinetowe.

Natomiast o tym ZChN-ie wspomniałem, że oni zaatakowali szczegóły, oni opowiedzieli się przeciwko poprzez szczegóły, natomiast nie powiedzieli, że są przeciwko niepodległości lub że niepodległość jest, tam tego nie ma. To było troszkę inne niż Unia Demokratyczna, czy KLD, a postawa była taka sama – to wiadomo. Tylko Solidarność była za tym jeszcze i Porozumienie Ludowe Janowskiego. Gdzieś to sobie nawet zapisałem, ale już tak nie wymieniałem, bo nie chciałem zanudzić, skoro większość państwa uczestniczyła w tym.

Co do tego lenia, no właśnie, jeśli podkreślamy politykę społeczną, czyli opiekę nad osobami, to ten leń też jest taką osobą, którą nawet można powiedzieć po chrześcijańsku się opiekujemy. Tutaj raczej o wykształcenie chodziło, nie o wkład osobisty we wspólnotę, tylko o kompetencje, które się posiada...

Głos z sali:

– Czyli wykształcenie w sensie sposobu myślenia.

Karol Chylak:

– Nie, nie, to było wprost napisane, że szkoła średnia, tam przy starostach było... Nie starosta, tylko był kasztelan. Ale to bez różnicy już. Tam było – zdaje się – szkoła średnia, a wykształcenie wyższe, czyli trzeba było mieć papier, mówiąc konkretnie. Więc kto nie ma papieru,

nawet jeśli jest intelektualnie rozwinięty, no to przykro, ale nie może uczestniczyć.

Głos z sali:

– Marszałek by się nie załapał...

Karol Chylak:

– Oczywiście można się z tym zgodzić, jak ktoś ma takie poglądy. Ja tylko tu pokazałem pewną różnicę w porównaniu z demokratyzmem. To nie jest demokratyczne w żadne sposób, bo to jest wykluczające pewne grupy.

I teraz ta gospodarka, o której pan tu wspomniał. Faktycznie KPN miała gospodarkę – tak jak sanacja – czyli żadną, jeśli chodzi o koncepcję. Taką reagującą na to, co się mniej więcej pojawia. I też bardzo często posługujemy się takim skrótem myślowym, że ta gospodarka sanacyjna była jakby takimi sukcesami, bo widzimy COP, Gdynię, i to tak fajnie wygląda. Ale na dobrą sprawę nie mamy żadnego opracowania, które by podsumowało wskaźniki gospodarcze i obieg pieniądza, nie wiemy tak naprawdę, jak to było, więc posługujemy się w sferze symboli. I w sferze symboli wszystko jest OK, a w sferze praktycznej... Gospodarka jest praktyczna, gospodarka się nie żywi symbolami, tylko pieniędzmi, więc tutaj trzeba zaproponować jakieś rozwiązania. Bardziej liberalne, bardziej socjaldemokratyczne... Nie muszą być liberalne, mogą być konserwatywne przecież. I to nie oznacza, że świat będzie taki, jaką mamy ideę. Rzeczywistość jest oczywiście zawsze nieco inna, zbliża się do modelu.

I jeszcze ten element dotyczący niepodległości. Tutaj było powiedziane o tym celu partii. Partia jako struktura systemu politycznego dąży do zdobycia władzy i rządzi po coś, to jest jakby zasadniczy cel partii. I teraz cel jako niepodległość dla środowiska jest wieczny, można powiedzieć, co widać, on jest wieczny. Natomiast cel dla partii, która realizuje go poprzez władzę i instrumenty później, które dzięki władzy zdobywa, jakby tutaj się kończy. No bo mamy niepodległość, to możemy już tylko tę niepodległość formować, taką czy inną. I tu wtedy trzeba by się

konkretnie wypowiedzieć, czy ona ma być dla tych leni, czy dla innych obiboków, czy dla kogoś tam. To już kwestia wtedy jest określenia się w jakiejś tam wizji. Ona może być nowa, ona nie musi być wpisana oczywiście w te, które są, tylko może być wymyślona. Ale tutaj nie ma takiej idei jednolitej.

Piotr Wójcik:

– Chciałem się wypowiedzieć jako osoba trochę z boku i uczestnik tych wydarzeń, to znaczy jako osoba, która głosowała w sprawie tej ustawy, czytała rzeczywistość i cele Konfederacji Polski Niepodległej ówczesnej, i też jak je widzę z dzisiejszej perspektywy.

Po pierwsze chcę powiedzieć, że ta cała dyskusja o racji bytu partii niepodległościowej w warunkach odzyskanej niepodległości wydaje mi się pewnym ślepym zaułkiem. To znaczy w tym znaczeniu, że partia niepodległościowa w niepodległym państwie jest partią pro-państwową po prostu i ma zupełnie wystarczającą rację bytu, nie trzeba jej szczegółowo dodatkowo uzasadniać. Sama idea umacniania państwa jako wartości, to co wynika wprost z piłsudczyzny, z Piłsudskiego, jest już wystarczającą racją bytu dla partii. Oczywiście, że trzeba zdefiniować program państwa, jak ono ma wyglądać itd, co w tym projekcie konstytucyjnym Konfederacja czyniła w jakiś sposób. Oczywiście to, w jaki sposób, to to jest jakby sedno zagadnienia, o czym za chwilę. To jest ta pierwsza sprawa, o której chciałem powiedzieć. Wydaje mi się, że dyskusja, która by poszła w takim kierunku, że problemem dla partii niepodległościowej jest w ogóle jej istnienie w warunkach niepodległości, to jest dla mnie dyskusja jałowa. Po prostu partia niepodległościowa w wolnej Polsce jest partią pro-państwową, w której państwo jest pewną wspólną wartością, wspólnotą narodową i – szerzej – wspólnotą obywateli, którą trzeba chronić. Oczywiście, trzeba ją definiować, trzeba debatować jak ma wyglądać gospodarka, jak mają wyglądać instytucje, ale jest uzasadnienie dla istnienia tej partii, nie potrzeba nad tym dyskusji prowadzić. To jest pierwsza kwestia.

Druga kwestia, tutaj była mowa o tym, jak się odnosiły poszczególne kluby do tego projektu. Z tego, co ja pamiętam, a było to dość dawno,

więc mogę tutaj jakieś pomyłki zrobić, to głosowanie było dość szybko, na samym początku tej pierwszej kadencji...

Głos z sali:

– W styczniu...

Piotr Wójcik:

– ...i w takiej atmosferze jeszcze, ja to tak odczuwałem, święta radości z odzyskania niepodległości. Dlaczego o tym mówię? Bo to było całkiem niedawno po takim fantastycznym głosowaniu, w którym jechał przez tę salę wolnościowy, niepodległościowy, solidarnościowy walec, który wszystko po prostu tłamsił, wszystko co przeciwne, czyli co stare, co postkomunistyczne, mówiąc krótko. Mówię o głosowaniu wyboru marszałków sejmu, marszałka i wicemarszałków sejmu. To zjawisko i wrażenie musiało być jakoś tam istotne, bo nawet Wałęsa kiedyś o tym mówił, że on liczył, że ten Sejm po tym głosowaniu to jest taki silny, że on tak szybko tą większość stworzył i ta większość tak przejechała się po tych komunistach, wybrała tych marszałków sprawnie itd. I to było takie wrażenie niesamowite, wspaniałe zupełnie. Oto pierwszy sejm wolnej Polski, w sposób taki szybki, zorganizowany, w zgodzie, dużą większością wybiera komisje, kandydata na premiera... To jest bardzo ważny dla mnie kontekst. Co chcę powiedzieć? Byłem w klubie PC i ja trochę opowiadam jako osoba z zewnątrz. Myśmy to tak czytali, że idea jest słuszna, bo mamy problem kontynuacji PRL-u czy powrotu do II Rzeczypospolitej. Jaka ciągłość państwowa ma być tej wolnej Polski? Jak ma być zdefiniowana? Czyli co do zasady, ja na przykład, i w dyskusji wewnątrz klubu wielu kolegów, stawialiśmy tezę, że trzeba to rozważyć na poważnie, że jest to problem, z którym się trzeba zacząć borykać. Że ta ustawa jest zła w sensie prawnym itd., ale to nie jest najważniejszy problem tutaj do rozwiązania, że trzeba podjąć od razu, czy chcemy powrotu do II Rzeczypospolitej, w tym sensie poprzeć restytucję niepodległości, czy my tworzymy jakąś trzecią drogę, państwa niby nawiązującego, ale tylko symbolicznie, do niepodległej Rzeczypospolitej, a właściwie

niedookreślonego, czy jest kontynuacją PRL-u, czy nie. Oczywiście diabeł tkwił w szczegółach, no bo to, o czym tutaj była mowa, że „Kobra” [Goryszewski] mówił, że małżeństwa będą nieważne. Otóż o co chodzi? Chodzi po prostu o ciągłość prawną. Jak sobie z tym problemem poradzić? Tak naprawdę ta ustawa, mówiąc w największym skrócie, powinna być jednym wielkim przepisem przejściowym, pokazującym tryb derogacji większości legislacji komunistycznej, powrotu w prostej recepcji tych aktów prawnych II Rzeczypospolitej, które można w prosty sposób od razu przywrócić...

Głos z sali:

– Ale tak to było przecież!

Piotr Wójcik:

– Nie było tak! Właśnie to był mój problem z tą ustawą największy, że ona, żeby dać ten efekt w postaci prawdziwej restytucji niepodległości, powinna być tak skonstruowana, żeby pokazywać mechanizm uchylecia prawodawstwa komunistycznego. Mówiąc prostym językiem (już nie chodzi o to, żeby wchodzić tutaj w prawnicze dywagacje) – trzeba było pokazać, które przepisy przywracamy wprost z II Rzeczypospolitej, jak na przykład kodeks handlowy, a które prawo komunistyczne tymczasowo obowiązuje, bo je będziemy zmieniać. I tego nie było w tej ustawie. To znaczy tam była mowa o powołaniu komisji, która miała się zajmować weryfikacją prawa, tylko oprócz tego były wymienione konkretne ustawy, które powinny dalej obowiązywać, na przykład ustawa o reformie rolnej, o czymś tam, co powodowało z punktu widzenia prawniczego wątpliwości. Prawnictwo nie dało się tego zastosować i proste uchwalenie takiej ustawy w takiej formie po prostu, to byłaby masakra. Natomiast oczywiście chodziło o to – ja tak argumentowałem – żeby nie odrzucić tej ustawy w pierwszym czytaniu, bo jak ona pójdzie do komisji, to będzie można te wszystkie problemy zacząć rozwiązywać. Nawet gdybyśmy mieli rok debatować nad tą ustawą, to to miało sens, bo na końcu tej pracy, ten pierwszy jakby ustawodawczy sejm konstytucyjny, ta konsty-

tuanta, porządkuje i daje nam tę prawdziwą niepodległą Rzeczpospolitą, która jest prawną kontynuacją II Rzeczpospolitej. I dlatego ja byłem na przykład za tym, żeby za tym projektem głosować, bo można go później dopracować. Natomiast ewidentnie Goryszewski w pewnym sensie miał rację, to znaczy zastosowanie jej wprost, wprowadzenie tak, jak ona była napisana, było niemożliwe, mówiąc krótko.

Zbigniew Jackiewicz:

– Jeśli chodzi o kwestie ustawy, to przejście od porządku autorytarnego do demokratycznego, nie myśmy pierwsi ćwiczyli. Z prawnego punktu widzenia problem rozpoznany, amerykański teoretyk Lon Fuller opisał to w postaci modelu, jak to ma wyglądać. Tak że wszyscy, którzy używali tych argumentów formalnych wobec tej ustawy, to tak naprawdę szukali dobrego pretekstu, żeby to, co ważne, czyli wyraźnego odcięcia się od bytu reżimu PRL-u, żeby tego nie zrobić.

Druga sprawa, to myślę, że ten symboliczny moment odzyskania niepodległości jest cały czas temat dla nurtu niepodległościowego bardzo ważny, żeby nie ulegać iluzji 4. czerwca, którą próbuje się na siłę lansować. Ja w „Opinii” kiedyś o tym pisałem, że to, co zrobił reżim PRL-u 8. czerwca, 12. i 18., dokładnie pokazuje, że nie byliśmy wtedy państwem demokratycznym, nie byliśmy nowym państwem, tylko byliśmy ciągle PRL-em. Ta dyskusja się toczy, cały czas jest miejsce do tego, żeby o tym wyraźnie mówić tym, którzy polemizują i uważają, że historię można zupełnie subiektywnie opisywać, bez względu na fakty. Przedstawiam taki twardy dowód i każdemu, kto jest przywiązany do 4. czerwca chętnie dam tę złotówkę Narodowego Banku Polskiego wybitą w 1990 r., bo tam jest wyraźnie napisane Polska Rzeczpospolita Ludowa i symbol jest PRL-u. W związku z tym ten symboliczny moment ja ulokowałem 22 grudnia 1990 r. Ale to nie tyle chodziło o ten moment symboliczny – spotkania na Zamku Królewskim prezydenta wybranego w wolnych wyborach i prezydenta II Rzeczpospolitej. Chodziło też o to, że wtedy po stronie władz II Rzeczpospolitej na uchodźstwie podjęty został cały szereg aktów prawnych, które wyraźnie mówiły o tym, że misja rządu II Rzeczpospo-

litej, misja rządu działającego na podstawie konstytucji z 1935 r. została zakończona. Tak że tu, jeśli chodzi o tę kwestię symbolicznego momentu uzyskania niepodległości, myślę, że jest to bardzo ciekawy i ważny temat.

Jeszcze tylko taki drobiazg – kwestia reguł demokratycznego państwa, reguł wyborczych. Czasami to, do czego jesteśmy przyzwyczajeni, nie budzi naszych zastrzeżeń, a inne nowe rozwiązania tak. Bierne prawo wyborcze oparte jest na cenzusie zawsze, łącznie z aktualnym porządkiem, to jest cenzus wieku. Proszę zwrócić uwagę, że on jest oparty na równie wątpliwym założeniu, że człowiek mądrzeje z wiekiem. Gdy zestawimy tę regułę cenzusu wykształcenia, to możemy śmiało dyskutować o tym, czy jesteśmy bardziej przekonani do tego, że człowiek mądrzeje wraz z uzyskiwanym wykształceniem, czy mądrzeje bardziej z wiekiem. Ja jestem nauczycielem akademickim i rozumiem te wątpliwości wynikające z codziennej praktyki, ale dla mnie, w sensie budowy pewnej koncepcji, cenzus wieku i cenzus wykształcenia są takimi samymi elementami, są równoważne i w żaden sposób nie kwestionują zasady równości wobec prawa. Bo nie są elementem ograniczającym konstytucyjne prawa kogokolwiek.

Piotr Wójcik:

– Jedno zdanie, dosłownie, bo zapomniałem o nim powiedzieć. Moja ocena i częściowo ocena naszego klubu – wtedy PC, była taka, że ustawa jest pewnym aktem symbolicznym KPN, a właściwie jego przywódcy. Uważałem, że Leszek Moczulski ocenia sytuację w ten sposób, że chce, żeby jak najszybciej były następne wybory, bo uważa, że je wygra, przejmie pełnię władzy i dopiero wtedy będziemy realnie rozmawiać o restytucji niepodległości czy w ogóle o jakichkolwiek rozwiązaniach. W związku z tym, że ta postawa ma wymiar wyłącznie symboliczny Moczulski gra na to, aby nikt tego nie poparł, żeby wykazać, że jedynie KPN chce prawdziwej restytucji niepodległości. A w ogóle to chodzi o to, że trzeba to wszystko rozpedzić i zrobić wybory.

Andrzej Anusz:

– Przede wszystkim gratuluję Karolowi, że tak świeżo to ustawił. Bo my już tak jesteśmy, że tak powiem... idziemy pewnymi kalkami, patrzymy na historię KPN, mamy już takie swoje pewne tory i ciężko z tych torów nam czasami wyskoczyć. I super, że tak to pomieszał, zrobił takiego miksta, bo on jest taki ożywczy. Świeże to jest bardzo i to jest super.

A teraz jeśli chodzi o KPN, o takie charakterystyczne rzeczy, które moim zdaniem są istotne. Do końca bym się nie zgodził z tezą, że po KPN nie zostały pewne rzeczy.

Pierwsza sprawa, to konstrukcja i funkcjonowanie systemu politycznego. Sam fakt, że KPN już w 1979 r. się zdefiniowała jako partia polityczna i po 1989 r. cały czas to jakby podtrzymał i był tą partią polityczną, to wtedy było wartością samą w sobie. Dlatego, że my byliśmy w 1989 r. w ruchu komitetów obywatelskich, w Solidarności i tak dalej. I było bardzo wielkie zagrożenie, była też grupa (to zresztą już opisane jest), która chciała zawłaszczyć ruch solidarnościowy i zrobić z niego taką Partię Rewolucyjno-Instytucjonalną. To było realne zagrożenie. I to, że ten system potem zaczął się kształtować, zaczęły powstawać partie polityczne: PC, ZChN itd., to punktem odniesienia była KPN. Przynajmniej dla nas była. Ja byłem współzałożycielem PC, i dla nas argumentem bardzo ważnym w tej całej tak zwanej postsolidarnościowej rozgrywce była KPN, jako partia polityczna, która miała już 10 lat. Wiadomo, że funkcjonowała w takiej a nie innej sytuacji, ale była jasno zadeklarowana, że jest partią polityczną. Czyli – tworzymy system partyjny w 1989 r., nie idziemy w jakieś dziwne rozwiązania przejściowe itd. KPN ze swoją już dziesięcioletnią historią była dla nas bardzo ważnym, i dla całego systemu politycznego, tworzącego się wtedy, była bardzo ważnym punktem odniesienia. To jest pierwsza rzecz.

Druga, jeśli chodzi o system polityczny – formuła wodzowska Mo-czulskiego. To było oczywiście piłsudczykowskie. Idea wodzowska, silnego przywództwa partyjnego – jej prekursorem była KPN. Po iluś latach kształtowania się systemu politycznego widzimy jak funkcjonują

demokratyczne partie polityczne w Polsce – to są partie wodzowskie de facto: Kaczyński, Tusk itd. Oczywiście Moczulski, Szeremietiew czy Stański, w momencie tworzenia KPN, odwoływali się do Piłsudskiego, do jego ruchu, patrzyli historycznie. Natomiast to patrzenie historyczne na dzisiejszą rzeczywistość 2019 r., gdzie funkcjonują partie polityczne w Polsce, to są partie wodzowskie, to jest, że tak powiem, DNA KPN.

Teraz kolejny element – ciekawy, istotny, moim zdaniem. W myśleniu Konfederacji, w tych dokumentach, jest wyraźne zaznaczenie okresu 1989–1991 jako okresu przejściowości. Tymczasem zdecydowana większość społeczeństwa odbiera, że 4 czerwca 1989 r., to jest ten *deadline* – wtedy pojawiła się niepodległa Polska, wolne wybory itd. A tak oczywiście nie było, bo te wybory były tylko częściowo demokratyczne. One były, że tak powiem, ustawką, polityczną ustawką. Natomiast na zewnątrz one oczywiście funkcjonują na zasadzie, że ludzie poszli i w wolnych wyborach odrzucili komunę. Tak nie było – wiemy o tym. Natomiast oczywiście narracja wtedy ta dominująca, tak to ustawiała. Natomiast to podkreślanie przejściowości, które KPN akcentowała, ono oczywiście było bardzo ważnym dla kształtowania się wtedy partii politycznych. Bo te partie odnosiły się do tego problemu: część przyjmowała (typu Unia Demokratyczna), że 4 czerwca to już jest demokracja i niepodległość, a część uznawała, że nie, że my dopiero kształtujemy system polityczny (PC na przykład tak uważało).

Kolejny element, o którym tutaj była mowa, też z myślenia Konfederacji, to jest kwestia nawiązania do Konstytucji z 1935 r. i do rządu emigracyjnego. Myśmy, ja pamiętam te wielkie dyskusje, myśmy wymusili na Kaczyńskim, jako szefie kancelarii, a on wymusił na Wałęsie, żeby Wałęsa przyjął insygnia rządu emigracyjnego. On nie chciał tego zrobić, Unia Demokratyczna tego nie chciała, tamta strona była przeciwna. Znaczący oni kategorycznie, bo tam nawet był skandal, a myśmy to wymusili. To wzięło się z myślenia KPN-owskiego, znaczący – nazwijmy to – nurtu niepodległościowego. W nurcie niepodległościowym to zawsze było obecne, że rząd emigracyjny, konstytucja kwietniowa i – w sensie

symbolicznym oczywiście – ale musi być jakieś przejście, nawiązanie. Oczywiście ono było kalekie, bo wiadomo jak Wałęsa do tego podchodził, ale insygnia przyjął, to jest fakt.

Teraz może przejdę do takiej bardziej wspomnieniowo-taktycznej rozgrywki, która się wtedy kształtowała. Moim zdaniem, fundamentalnym powodem tego, że Konfederacja się potem nie utrzymała, było to, że nigdy nie weszła do rządu. Stawiam taką tezę dlatego, że de facto wszystkie partie polityczne (napewno po 1991 r.) miały trochę charakter sektorowy. Co mam na myśli? KPN była partią bezpieczeństwa narodowego i obrony narodowej, tak była definiowana. I zobaczcie co się stało, jak KPN nie weszła do rządu? Ministrem obrony został Parys, facet z nurtu niepodległościowego. Cały czas było myślenie, jak ja to odtwarzam, że to miejsce w MON, ten sektor bezpieczeństwa, jest zostawiony dla KPN, dla Moczulskiego, a być może dla tego, kogo KPN wskaże, a wiadomo, że wtedy to był Moczulski.

Głos z sali:

– Olszewski się bał Moczulskiego

Andrzej Anusz:

– Nie. Zaraz o tym będziemy mówić.

Sprawy bezpieczeństwa oczywiście, to była stała tradycja KPN – drużyny strzeleckie, paramilitarne, tak myśmy to odczytali. I to, że Parys został, później Szeremietiew też był wiceministrem, wiadomo, to są politycy z nurtu niepodległościowego.

I teraz mówię o tym bardzo ciekawym wątku, że nagle zaczyna się w programie KPN pojawiać element chadecki. Dla nas to było jasne, czytelne, że to jest zbudowanie pewnej płaszczyzny pod zrobienie koalicji politycznej. Znaczy KPN jakby się wpisywała w ten dominujący nurt chadecki. Pokazał to. Myśmy oczywiście uznali – fajnie, że to pokazaliście, bo możemy – powiedzmy jako PC, ZChN, Solidarność – do tego się dokleić i idziemy razem. Wy na gospodarce to tak, umówmy się... Ale w wojsku jesteście dobrzy, w ciągłości jesteście dobrzy. ZChN wnosił

inne rzeczy, PC bardziej wносиło de facto liberalny program gospodarczy – taka jest prawda. Program polityczny się tworzył w momencie realnie przejmowania władzy. Wiemy, że te partie, te ugrupowania, po 1989 r. wiadomo, że nie miały gotowych programów politycznych, nikt nie miał. Mazowiecki nie miał też, to wszystko się tworzyło. To było tak, jak to Piłsudski mówił w 1919 r., że on się czuje jakby budował samochód i to jest samochód w trakcie budowy a on nim jedzie, strzela i prowadzi wojnę. I to dokładnie był taki czas, że myśmy budowali ten mechanizm, on musiał jechać i tak to było odbierane.

Teraz – nie chcę przedłużać – ustawa o restytucji niepodległości. W tej książce, którą z Łukaszem napisaliśmy, taką małą książkę, o Konfederacji, postawiłem tezę, że ustawa o restytucji niepodległości to też jest jeden z tych elementów spuścizny KPN, który zostaje, mimo tego, że to nie zostało przyjęte. Teraz o kulisach. Tutaj Piotrek już pewne rzeczy mówił... Rząd Olszewskiego był rządem mniejszościowym. W styczniu 1992 r. cały czas się toczyły negocjacje o poszerzeniu koalicji. W PC były dwie linie. Pierwsza linia, którą reprezentował Kaczyński, to rozszerzenie rządu o Unię Demokratyczną, o KLD. Chciał iść w tamtą stronę. I druga linia, którą reprezentował Olszewski i powiedzmy część klubu, między innymi my z Piotrkim byliśmy jako młodzi wtedy gniewni w tej grupie, że trzeba rozszerzyć rząd o KPN i PSL. I to była tak zwana, jak myśmy to określali, formuła chrześcijańsko-ludowa rządu, a tamta była, że tak powiem, liberalno-demokratyczna. To były dwie formuły, które pierwszy rząd pochodzący z wolnych wyborów miał określić i zdecydować, w którą stronę iść. I ustawa o restytucji dokładnie nam podzieliła klub na pół. Kaczyński przyszedł i mówił, że nie, w ogóle odrzucał. Oczywiście robił to z przyczyn taktycznych, bo Geremek przyszedł i powiedział – jak wy przyjmiecie ustawę o restytucji niepodległości, to Unia Demokratyczna nigdy nie wejdzie do rządu Olszewskiego. Oni to tak postawili, nigdy, w ogóle nie mamy o czym rozmawiać. Natomiast my mówiliśmy, i Olszewski (nie wprost, bo on był premierem, ale powiedzmy ta grupa, która później, po 4 czerwca, utworzyła RdR) mówił, że my Unii Demokratycznej w ogóle nie chcemy, w ogóle nas to nie in-

teresuje i powinniśmy, tak jak Piotrek mówił, na początku symbolicznie, poprzeć tą ustawę...

Piotr Wójcik:

– W pierwszym czytaniu

Andrzej Anusz:

– W pierwszym czytaniu – skierować ją do komisji i przyjąć zasadę fundamentalną, symboliczną, o restytucji niepodległości, bo to jest filozofia, to jest fundament nowego państwa. I niech komisja przez rok pracuje, pisze prawo itd. Było głosowanie i myśmy, nie wiem, jeden, czy dwa głosy, myśmy przegrali. Ale to było fifty-fifty. A wtedy niby się wydawało, że Kaczor w ogóle przywódca, rozdaje karty...

Głos z sali:

– Dzisiaj Polska byłaby już inna...

Andrzej Anusz:

– W związku z tym uważam, że właśnie sprawa restytucji niepodległości, w ogóle tego pojęcia, powrotu, ciągłości, nawiązania do II Rzeczypospolitej, to jest bardzo ważne. Moim zdaniem to jest jeden z tych elementów (obok innych, które wymieniłem wcześniej), który po KPN zostanie. I to będzie – jestem pewny – w historii najnowszej, zasługa KPN.

Michał Janiszewski:

– Chciałem Karolowi gorąco podziękować za to trochę inne spojrzenie na nasze sprawy.

Jest drugim występującym w ciągu dwóch dni, który stwierdził, że KPN nie miała programu. Mirek w stosunku do dr. Zakrzewskiego różni się... To, że my wiemy, żeśmy mieli program, to wcale nie znaczy, że inni wiedzą. Skoro człowiek nauki nie może dotrzeć do tego dzisiaj, co prawda po latach (ale wówczas sytuacja była taka sama), to znaczy, że jest

to problem. Te rzeczy programowe, które Konfederacja posiadała, one istnieją, tak jak Karol powiedział, u mnie w szafie. Istnieją ze trzy książki tego programu. Trzeba by to udostępnić, chociaż temu gronu badaczy, żeby badając wiedzieli, że to było. A tak to rzeczywiście dociera się tylko do tej restytucji niepodległości, tylko ją się jeszcze zauważa, innych spraw już nie.

W nawiązaniu do Piotrka. Ty masz rację, to tak było. Ale słuchaj, po odrzuceniu tej ustawy w pierwszym czytaniu, atmosfera w klubie KPN zrobiła się taka, takie przekonanie zaczęło dominować, że w tym towarzystwie, to my dalej nie pojedziemy. Jak oni nawet najgłówniejszych rzeczy nie chcą przyjąć, to o czym my będziemy z nimi rozmawiać?

Karol podkreślił też jeszcze jedną bardzo istotną rzecz. KPN nigdy nie pełniła innej roli niż roli opozycji. Nie byliśmy po drugiej stronie, nie rządaliśmy. Nie możemy powiedzieć, że byśmy robili tak albo siak – nie wiemy. Ale z roli opozycji, z tego co on stwierdził, nam się też tak wydaje, wywiązaliśmy się bardzo dobrze. To jest ta presja, to jest to wrzucanie projektów, pomysłów. Jakość rządzenia zależy od jakości opozycji, bardziej niż rządzących. Mówię oczywistą oczywistość, ale tak jest, szczególnie jak się patrzy z dzisiejszego punktu widzenia, gdzie jest bełkot jakiś, nie ma żadnej jakości. Po audycji, jak się tak na moment zastanowić, o co oni prowadzili spór, to nie ma tej spornej materii w ogóle. Popyskowali jeden na drugiego i na tym się skończyło. Wtedy tego nie było.

Bohdan Urbankowski:

– Nawiążę do wczorajszego wystąpienia i zacznę od dygresji. Jak państwo wiedzą, przez te lata wykładałem filozofię. Były to piękne czasy: rewolucja seksualna, ale także jakieś drzenie wśród młodzieży – poszukiwanie własnych ideałów. Bardzo często miałem ten problem, że wykład się zamieniał w dyskusję światopoglądową. Przy czym byli tam autentyczni marksiści, zwłaszcza karierowicze ze Związku Socjalistycznego Studentów Polskich, bo tak się potem ta nazwa zmieniła, ale byli materialści, tacy materialści, po prostu to byli ludzie z AWF, żyjący biolo-

gicznie, tymi kategoriami mierzącymi sukces i to rzutowało na ich etykę. I oczywiście wierzący. Klócili się o to, bo byli różnych orientacji. Ja im zaproponowałem jedno. Żeby najpierw wypisać definicje Boga. Oczywiście, ktoś pamiętał Augustyna, ktoś sięgał aż do Grecji, itd. Ale potem okazało się, już w dalszych wypowiedziach, że nie było ani jednego, który by w Boga nie wierzył ujętego jako Absolut, jako Wszechświat, jako Uniwersum, jako Życie, jako Materia Twórcza, bo nawet i takie głosy były. Do czego zmierzam? Otóż do tego, że w momencie, gdy zaczniemy coś definiować, to wtedy naprawdę wiemy, o co chodzi. Gdy oni zdefiniowali sobie Boga, to już nie klócił się tamten niewierzący z wierzącym, tylko zwolennik panteizmu ze zwolennikiem panenteizmu, bo to dla nich było cholernie istotne. I w ten sposób uchroniliśmy dyskusję od tego, co się nazywa alienacją, a co w tej chwili obserwujemy, to znaczy kłótnią o pojęcia. Coś pasuje, coś nie, coś przenoszone z jednej epoki w drugą. Wyjściem z tego jest tradycyjne sokratejskie definiowanie pojęć, przy czym już od tamtego czasu wiadomo, że jedyna dobra definicja, to jest definicja dialektyczna – pokazanie celu. Wszystkie inne to są już niedookreślone. Niedookreślone jest pojęcie niepodległości. Nie istnieje coś takiego jak stuprocentowa niepodległość, nie istnieje stuprocentowa wolność jednostki, nie istnieje stuprocentowe państwo, bo zawsze są jakieś takie anarchistyczne dziury.

Stwórzmy definicje, „adhokratyczne”. Dlaczego to słowo? Otóż w pewnym momencie na Zachodzie, a właściwie na Północy, bo to była Skandynawia, powstały takie struktury adhokratyczne – ad hoc, na teraz, które miały wykonywać pewne zadania i potem się rozwiązać. Oni uważali, że w ten sposób zwalczą biurokrację. Nie zwalczyli, bo struktury miały tendencje do przedłużania własnego życia, udawały, że jeszcze mają coś do zrobienia albo o coś im chodzi, ale tak czy inaczej idea była dobra. Jeżeli stworzy się takie pojęcia adhokratyczne na potrzeby tej dyskusji, to możemy na przykład uznać, że program w danym momencie niepodległościowy, to był ten, co głosiła KPN. Po prostu. I ten temat nam się kończy. Program Piłsudskiego, to ten, który głosił Piłsudski. Tyle w kwestii teoretycznej.

Natomiast mam jeszcze jedną uwagę, myślę, że dotyczącą także nas wszystkich. Ruch piłsudczykowski był ruchem elitarnym, jak elitarna była Konfederacja Dzikowska i wcześniejsza Olkuska. Ta elita była tak nieliczna, że do dzisiaj nie można jej znaleźć, tylko są te ślady szabel na katedrze w Olkuszu. Elitarny był ruch piłsudczykowski, stąd potem opowieści o dodatkowych brygadach, które chciały się *ex po* zapisać do elity. Dokładnie to samo było z KPN. Nie było w KPN tyłu odważnych, ilu potem opowiadało o swoich wyczynach. Sam nie należałem do tych najodważniejszych i nie byłem w czołówce KPN przecież. Natomiast na tle tego, co się działo, to jednak KPN była kontynuacją głównego nurtu niepodległości od tamtych konfederacji przez podziemną PPS do dzisiaj. I ten nurt będzie dalej, bez względu na to, czy będzie się nazywał KPN, czy znajdziemy paru inteligentnych i przyszłościowo myślących ludzi w dawnym PC, czy będziemy mieli to szczęście, że nieliczni inteligentni prawnicy dołączą do naszego grona, bo w tamtym będą się już źle czuli. Tak czy inaczej, będzie ten nurt istniał, po prostu dlatego, że wciąż jest zapotrzebowanie na niepodległość. I to, co mówiłem o tym rozszerzeniu pojęcia niepodległości, to jest rozszerzenie pola zadań. Wiadomo, że nie wszystko zostało zrobione. To, co było w pewnym momencie symbolem ruchu piłsudczykowskiego – I Brygada, „byliśmy samotni”, „rzuciliśmy na stopy” i ta nawet przejęta, niezbyt prawdziwa, wizja zamykanych drzwi i okien w Kielcach – było potrzebne, bo budowało pewien wizerunek. Myślę, że potem to samo stało się udziałem KPN, przed którym zamykano drzwi i okna i był elitarny.

Piotr Wójcik:

– To jest bardzo ważny moment, do którego dotarliśmy w tej dyskusji. On się w wypowiedzi Bohdana pojawił i jeszcze kilku wcześniej. Otóż tak, jak rozmawialiśmy, jak była mowa o romantyzmie celów i pozytywizmie środków – Piłsudski nie był anachroniczny, także jako przywódca, już w okresie po odzyskaniu niepodległości. Mamy kwestię tego, w jaki sposób redefiniować obronę niepodległości w dzisiejszej Polsce, w kontekście wyzwań, przed którymi stajemy, globalnych wyzwań.

Nam grozi niebezpieczeństwo zakwalifikowania i zepchnięcia nurtu niepodległościowego w anachronizm polegający na pewnym autarkicznym myśleniu. Zajmujemy się niepodległością i reszta nas nie interesuje, ignorujemy rzeczywistość, która istnieje obiektywnie, ignorujemy współczesny świat. Kwestia wielkich organizmów ponadnarodowych, kwestia Jedwabnego Szlaku wymagają zdefiniowania nowoczesnego myślenia niepodległościowego, w kontekście odpowiedzi na te wyzwania. Nie na zasadzie wyparcia – nie chcemy, bo to nam zagraża. Tu jest takie niebezpieczeństwo zepchnięcia myślenia nurtu w tę stronę i wyzwanie dla nas, dla środowiska myślącego w kategoriach niepodległościowych. To jest trudne, bo tak naprawdę przez 25 lat niepodległej Polski, ten problem nie został zdefiniowany. To znaczy nikt nie przedstawił, oprócz płytko interpretowanej, tylko hasłowo, koncepcji Europy ojczyzn, nikt nie przedstawił tej drogi – myślenie niepodległościowe a stosunek i miejsce Polski w Europie, miejsce Polski wobec wyzwań globalnych. I to jest, wydaje mi się, wyzwanie, które nurt niepodległościowy powinien podjąć.

Karol Chylak (*krótko, bo czas gonit*):

– Wbrew pozorom – dzisiejsze spotkanie dobrze wyszło, dlatego że pokazało, ile widać na zewnątrz. Tyle widać po prostu na zewnątrz, więcej się nie da wyszukać. Przeszukałem kilka bibliotek warszawskich, tam nie ma nic więcej.

Cieszę się, że wywołało to kontrowersje, bo o to chodziło. Nie chodziło o to, żebyście tylko posłuchali.

I dobry postulat tutaj padł – zbudowania pozytywnego programu niepodległościowego, takiego na przyszłość, takiego, którego nie ma.



„Ja, Szekspir. Ja, Bóg”

Taki prezent zrobił nam wszystkim doktor Bohdan Urbankowski wydając swoją książkę, związaną z rokiem początku przemian. Dziękujemy!

Cena: 60 zł (w tym koszty wysyłki)

Wpłaty na konto:

54 1440 1231 0000 0000 1075 6251



„Ludwik Muzyczka *Benedykt*”

Książka Mirosława Lewandowskiego do nabycia.

Cena: 60 zł (w tym koszty wysyłki)

Wpłaty na konto:

54 1440 1231 0000 0000 1075 6251